

PRZEGŁĄD POWSZECHNY

„BŁOGOSŁAWIONY LUD, KTÓREGO PANEM
BÓG JEGO” *Ps. 143.*

ROK LIV

Tom 214

KWIECIEŃ — MAJ — CZERWIEC

1 9 3 7

WARSZAWA
DRUKARNIA WYDAWNICTWA KSIĘŻY JEZUITÓW*

SPIS RZECZY NA KOŃCU TOMU

Wielkie święto Polski.

Z chwilą, kiedy w uroczystość św. Józefa, dnia 19 marca bieżącego roku, orzekł Ojciec św. Pius XI, że proces kanonizacyjny Błog. Andrzeja Boboli ma być doprowadzony do końca, znikła już reszta obaw, jakie mieć można było co do najwyższego uczczenia, jakie Kościół przyznaje swym bohaterom. Uroczyste podniesienie naszego Męczennika do rzędu świętych stało się rzeczą zdecydowaną i tylko jedno pozostawało pytanie, kiedy ten wielki akt będzie mógł się dokonać.

Ojcowska dobroć „polskiego Papieża“ i pod tym względem wyprzedziła nasze najśmielsze pragnienia. W chwili kiedy piszemy te słowa zdaje się być rzeczą niewątpliwą, że już w najbliższym miesiącu czerwcu na skroniach Błogosławionego naszego Rodaka spocznie najchlubniejszy wieńiec, jaki na tym świecie ozdobić może głowę syna naszej ziemi.

Nie może to ulegać żadnej wątpliwości, że kiedy ten uroczysty dzień nadejdzie, będzie on i być powinien wielkim świętem całej Polski.

Przedewszystkim pojawi się na powrót Ojczyzna nasza na tej wspaniałej a tak szerokiej nadprzyrodzonej widowni ku której kierowały się po wszystkie czasy święte i szlachetne ambicje narodów chrześcijańskich. Niegdyś nie brakło nas na tej arenie nieśmiertelnego bohaterstwa. Innocenty IV kanonizował św. Stanisława biskupa, Leon X św. Jacka, Klemens X św. Stanisława Kostkę, Klemens XIII św. Jana Kantego, żeby nie wspomnieć o szeregu Błogosławionych. Ale od lat 170 głucho było o Polsce na tych wyżynach, na

których nieomylnie usta orzekają o zasługach tych ludzi, co są kwiatem całej ludzkości i jej najwyższą chlubą. Jak gdyby z utratą politycznego bytu jakiś smutny cień padł na naszą Ojczyznę i w religijnej dziedzinie, przez zgórą półtora wieku nikt z rdzennych Polaków nie został uroczystie ogłoszony świętym. Kanonizowano przez ten czas całe szeregi Włochów, Hiszpanów, Francuzów, Niemców, Anglików, Flamandów, a nawet Japończyków i innych jeszcze zamorskich ludów, a dla syna naszego narodu nie rozświeciła się ani razu wspaniała iluminacja bazyliki św. Piotra, nie zabrzmiała pod sklepieniem największej na świecie świątyni triumfalna fanfara, nie podniosły się radosne okrzyki tłumów reprezentujących cały katolicki świat.

Boгу dzięki, że kanonizacją Błog. Andrzeja przerwie się ta złowroga cisza. Jak Polska zajęła na powrót należne sobie miejsce na karcie Europy i na rynkach wielkiej polityki światowej, tak przypomni się kulturalnej ludzkości i na tych wyżynach, gdzie wpisuje się w złotą księgę chwały imiona najwyższych bohaterów życia. Jeżeli

Choć nas nie było — przecieżmy bywali,
Na bojowiska każdego przestrzeni
Z orłem ze srebra i szablą ze stali,

niech się pokaże, że umieli Polacy i z krzyżem w ręku wygrywać najświętsze boje.

Kanonizacja błog. Andrzeja będzie wielkim świętem całej Polski, bo opromieni nasz naród przed szerokim światem nowym i najpiękniejszym ze wszystkich, blaskiem.

Ale po wtóre będzie to wielka uroczystość narodowa, bo Błogosławiony Andrzej od dwóch zgórą wieków tak dziwnie, tak opatrnościowo związał się z naszą i swoją Ojczyzną.

Najpierw znać wyraźny palec Boży w samym sposobie, w jaki cześć Jego się rozpoczęła.

W tej samej zawierusze kozackiej, która Jemu przyniosła koronę męczeńską, dziesiątki innych świątobliwych zakonników, w wielkiej mierze i braci zakonnych Błog. Andrzeja poniosły okrutną śmierć za wiarę. A jednak Jego jednego wyróżniło wyraźne objawienie Boże i do Niego skierowała Opatrzność tak ogromną ufność wiernych, że

zaledwie podniesiono wybornie zachowane ciało Jego z podziemia, otoczyły Jego grób, najpierw w Pińsku, potem w Połocku całe fale najgorętszych modlitw.

I nie były te modlitwy daremne. Jeżeli do wstępnych beatyfikacyjnych procesów w XVIII wieku powoływano się już na setki wybitnych łask, przez przyczynę Męczennika otrzymanych, to z czasem pomnożyła się ta liczba przeszło dziesięciokrotnie. Na samym początku XIX wieku, bawiący wówczas na Białej Rusi, późniejszy Gen. Tow. Jezusowego i sam kandydat do czci ołtarzy, o. Jan Roothaan nazywa Andrzeja Bobolę w listach do rodzinnej Holandii pisanych „wielkim cudotwórcą polskim“. Z samych powojennych czasów, odkąd część relikwii Błogosławionego przywieziona została do kraju, do rąk piszącego te słowa doszło około 2000 podziękowań z całej Polski za otrzymane łaski. Dwie z tych łask uznane świeżo zostały za cudowne, ale są między nimi i inne tak osobliwe, że mogły by niezawodnie stać czoło, nawet tak bardzo surowemu badaniu, jakie zwykły stosować przy kanonizacji rzymskie trybunały. Nie ulega więc wątpliwości, że, jak Błóg. Bobola przez swą dobroć i potęgę u Boga okazuje swej ziemskiej Ojczyźnie szczególną życzliwość, tak też zapisał się niezatartymi głoskami we wdzięcznym jej sercu.

Ale nadto zapisał się jeszcze przez głośną przepowiednię, która dana narodowi w chwili najsmutniejszego upadku, przez sto lat prawie krzepiła serca polskie nadzieją, aż w naszych oczach ziściła się w całej pełni. Przyszła i jest już poza nami straszliwa wojna, która ogarnąć miała wszystkie niemal europejskie ludy; olbrzymi front tej wojny przeszedł istotnie przez te pińskie błota, które Błóg. Andrzej potem apostołskim i krwią męczeńską użyźnił; po wojnie odzyskała Polska swobodę, i to w sposób z wielu względów cudowny; zapowiedziana kanonizacja Męczennika już dochodzi do końca, choć całe ogromne szeregi dawniej od niego beatyfikowanych Sług Bożych ku aureoli świętości nie idą i zapewne nigdy nie dojdą.

Czy wobec tego wątpić można, że Błóg. Andrzej i tej obietnicy dotrzyma, że stanie się jednym z głównych Ojczyzny swej patronów?

Ale jeżeli już z tych powodów kanonizacja Męczennika będzie wielkim świętem całej Polski, to względ na dzisiejszą chwilę i obecne położenie naszej Ojczyzny dodaje temu świętu szczególniejszego znaczenia.

To pińskie pole pracy Błog. Andrzeja, przez które lat temu dwadzieścia przebiegał krwawy front wielkiej wojny jest dzisiaj miejscem, w którym stykają się, a wnet zapewne zmagać się zaczną inne jeszcze potęgi. Po jednej stronie kultura zachodnia, której Polska jest najdalszym na wschód wysuniętym bastionem, po drugiej stronie ta mieszanina bizantynizmu i tatarstwa, która przez różne etapy długiej ewolucji dziejowej doszła nareszcie do tego straszliwego barbarzyństwa, jakim jest bolszewickie antychrześcijaństwo. Wydaje się rzeczą niepodobną, by te dwa tak odrębne i tak wrogie światy nie miały kiedyś zetrzeć się orężnie, a choćby i nie przyszło do krwawego starcia, wojna ideowa i religijna nie może ustać, póki jedna lub druga z tych potęg ze stanowiska swego nie ustąpi.

Otóż w tej wojnie, której ciężar ona przede wszystkim dźwigać będzie, potrzebuje Polska potężnego patrona. Za wielka to jest walka duchów, żeby niebo się w nią mieszać nie miało. A któż bardziej nadaje się na patrona tej walki, jak Ten, co w niej i za jej sprawę życie położył w ofierze! Wszakże ten straszliwy dramat, który rozegrał się 14 maja 1658 roku pod dachem rzeźni, na rynku w Janowie pińskim, to nie było nic innego, tylko starcie wysokiej, duchem silnej, zachodniej kultury ze wschodnim barbarzyństwem. Pierwszą reprezentował cichy i opuszczony przez wszystkich zakonnik, zbrojny tylko tą ogromną miłością, która od lat wiodła go po drogach apostołskiej, ofiarnej pracy; drugie przedstawiało zdziczałe kozactwo, które rzekomo w obronie prawosławia, dopuszczało się nad bezbronnym niesłychanych okrucieństw. Bezpośredni wynik tej walki był jasny: brutalna siła na razie wyjść musiała zwycięsko, ale na dłuższą metą zatriumfował duch. Błog. Andrzej świeci coraz wspanialszym blaskiem i coraz zdolniejszym się staje, żeby dziś wstawiennictwem swoim w niebie dalej prowadzić to dzieło miłości, któremu nareszcie ulec musi stary wschodni błąd i zrodzone z niego barbarzyństwo.

Z pewnością nie jest to czystym przypadkiem, że petycja encyklika przeciw bolszewickiemu bezbożnictwu schodzi się niemal z kanonizacją naszego Męczennika. Widocznie i Ojciec święty wzywa Go jako sojusznika w olbrzymiej walce, jaką toczy Kościół w tej chwili. A jeśli ma być pomocnikiem całemu chrześcijaństwu, to przede wszystkim swojej Polsce. Wszakże On krwią z krwi naszej, kością z kości naszej, najtypowszy Polak i z pochodzenia i z charakteru i z najszlachetniejszych umiłowań opatrnościowych zadań naszej Ojczyzny.

Z tych i wielu jeszcze innych powodów musi nam wszystkim leżeć na sercu, by uroczystość kanonizacji wypadła, o ile tylko być może świetnie i okazale. Trzeba żeby bardzo wielu Polaków wszelkiego stanu stanęło w Rzymie około swego Rodaka wstępującego na ołtarze. Musimy dać dowód, że solidaryzujemy się z przewodnią ideą Jego życia i że chcemy walczyć pod tym sztandarem, któremu On służył aż do męczeńskiej śmierci. Całe to święto Polski powinno nam się stać jak by nowym pasowaniem rycerskim na przedmurze chrześcijaństwa i nowym zaznaczeniem roli, jaką w ogromnych zmaganiach się dzisiejszej doby Ojczyzna nasza chce odegrać.

Rzecz prosta, że do przeprowadzenia całego tego dzieła potrzeba i nie małego materialnego wysiłku. Potrzeba grosza na obchody rzymskie i potem na obchody w kraju — samo przystrojenie i oświecenie bazyliki św. Piotra kilkaset tysięcy lir wymaga — potrzeba go na spodziewane przywiezienie ciała nowego Świętego do Polski, potrzeba na urządzenie licznych pielgrzymek. Ale z jednej strony te sumy, rozłożone na bardzo licznych ofiarodawców, nikogo naprawdę nie obciążają, z drugiej strony było by to dowodem wielkiej ciasnoty umysłu i serca żałować wydatków, którymi okupuje się tak wielkie moralne i ideowe dobra.

Termin obchodów jest bardzo niedaleki, trzeba więc by wszyscy ludzie dobrej woli wzięli się gorąco do dzieła. Kto może, niech nadysła ofiary i do zbierania tych ofiar dopomaga (konto RKO 414.014 na imię niżej podpisanego); inni niech się gotują do rzymskiej podróży; wszyscy niech

się modlą, by ta wielka sprawa, tak pomyślnie rozpoczęta, wyszła na najwyższe dobro Kościoła i Ojczyzny.

Błogosławiony Andrzej, który pokazał się już dotąd tak bardzo hojnym dla swych czcicieli, niezawodnie całym strumieniem łask wzbogaci najdroższą sobie, a tak bardzo potrzebującą pomocy Polskę.

Ks. Jan Rostworowski T. J.

Czarne orły.

Trójkąt trzech mórz.

Dokoła Polski dzieją się sprawy tak niesamowite, że aby należycie zdać z nich sprawę, godzi się przypomnieć zasadnicze rysy naszego położenia międzynarodowego.

Polska stanowi północną głowicę geopolitycznego obszaru opartego o Bałtyk, Adriatyk i Morze Czarne. Obszar ten zasiedlony jest przez rzeszę ludów liczebnie słabszych niż ościennie. Ma on to do siebie, że przyłączony w całości do Niemiec lub Rosji, może Niemcom zapewnić przewagę nad Rosją lub odwrotnie; a także swemu władcy zapewnić panowanie nad całym bliskim Wschodem, wraz z jego węzłami światowych dróg morskich w Bosforze, Dardanelach i Suezie. Stanowi on naturalny pomost dla ekspansji Europy na zewnątrz, lub najazdów na nią. Dzięki takim właściwościom obszar ten od wieków stał się polem naporów imperialistycznych idących nań od zachodu, wschodu lub południa. Najwcześniej wystąpił staro-germański *Drang nach Osten* wzdłuż pobrzeża Bałtyku i górnego biegu Dunaju; później turecko-otomański najazd na Bizancjum, Budę i Wiedeń; najpóźniej — rosyjski prąd „do ciepłych mórz”, idealizowany jako sen o Carogrodzie, zjednoczeniu Słowian i „trzecim Rzymie”.

Polska odgrywała zawsze decydującą rolę w ścieraniu się tych sił dziejowych. Ogniskuje bowiem w sobie jak w soczewce geopolityczne właściwości całego trójkąta trzech mórz, otwiera wrota doń zwłaszcza dla naporów idących od wschodu lub zachodu. Gdyby w myśl „testamentu Piotra Wielkiego” Polska w całości przyłączona została do Moskwy,

to pozwoliłaby jej pognać współzawodnictwo niemieckie i zapewniłaby podstawę dla dalszej konsekwentnej przewagi moskiewskiej na południe od Karpat, nad całą doliną Dunaju, aż po Adriatyk i Carogród. Gdyby zaś owładnął Polską w całości niemiecki *Drang nach Osten*, to tym samym odepchnąłby współzawodnictwo rosyjskie od Bałtyku i rozwarł by przed sobą dostępy ekspansji nie tylko na „Bizancjum i Bagdad“ lecz także na północno-czarnomorską Ukrainę.

To bierna postać geopolitycznej wagi naszego kraju. Niemniej jednak potężnie wystąpiła w dziejach również jej postać czynna. Polska stała się ogniskiem odśrodkowego oporu ludów trójkąta trzech mórz przeciwko dośrodkowym nań naporom z zewnątrz. Podjęła i wprowadziła w czyn ideę unijną, ideę trwałej komasacji sił narodów zagrożonych, celem wspólnej obrony przeciwko wspólnym niebezpieczeństwom. Z tej idei zrodziła się Rzplita polsko-litewsko-ruska. Wystarczyła ona by w ciągu kilku wieków odpierać zewnętrzne najazdy nacierające w kolejnym po sobie następstwie. Nie zdołała jednak Polska ideą Jagiellońską objąć całego trójmorskiego obszaru, zjednoczyć go w rodzimym imperium wschodnim i podnieść do takiego stopnia potęgi, by stał się zdolny raz na zawsze położyć tamę ofensywności wrogów, nie tylko kolejnym, lecz także skoordynowanym i równoczesnym. Nie starczyło na to Polsce dynamiki wewnętrznej, nie starczyło zdolności do wielkiego, ciężkiego, ofiarnego znoju, nie starczyło żelaznej wytrwałości i konsekwencji w budownictwie państwowym. Zbyt młodą była na to Polska społecznie, a duchowo zbyt lekkomyślną. To też rozwinąwszy orle loty dziejowego czynu na niezmiernych przestrzeniach wschodu od Grunwaldu po Warnę, od Moskwy po Wiedeń załamała się Rzplita na egoizmie stanowym swej szlachty, która każdą wyprawę wojenną kazała królom opłacać ustępstwami na rzecz anarchii wewnętrznej.

I tak się z czasem stało, że południową część swej unijnej misji dziejowej odstąpiła Polska Habsburgom, oddając im Czechy, Węgry i całą stąd perspektywę na Bałkan. Unię z Litwą opłacała utratą piastowskiego dziedzictwa na

Śląsku oraz Prus Wschodnich, na krzyżakach w zasadzie zdobytych; a zarazem nie tylko nie rozwiązała czynnie swego stosunku do Moskwy, lecz odstąpiła jej Nowogród Wielki i Kijów, czyli punkty wyjścia naporu na Bałtyk i Carogród. Z tych historycznych niedociągnięć Polski odrodziły się wielkie dośrodkowe napory imperialistycznie zewnętrzne. Przejęły z rąk Polski inicjatywę dziejowego czynu, podejmując ją tym razem nie kolejno, lecz równocześnie. Zawarły między sobą alians drapieżnych, czarnych orłów przeciwko rozpasanemu w saskim wszeteczeństwie orłowi białemu i rozdarły go.

Rozdarły wszakże mimo woli. Każdy z nich, a zwłaszcza rosyjski, niewątpliwie wolałby go być pochłonać niepodzielnie. Żaden jednak nie był na tyle potężniejszy od współzawodników, by móc wyłącznie owładnąć polskimi wrotami trójkąta trzech mórz. Skoro zaś czarne orły wdarły się w te wrota równocześnie wszystkie trzy, to ustaliły między sobą doskonałą, długotrwałą równowagę między Bałtykiem a Karpatami; lecz zarazem tą samą równowagą zabarykadowały sobie wzajemnie dostęp do południowej części trójmorskiego obszaru, położonej między Adriatykiem a Euksynem. Ocalała więc Turcja, podlegając rozbiorom bardzo powolnym, przez cały okres polskiej niewoli.

Dopiero w 1914 r. Niemcy i Austro-Węgry zdecydowały *viribus unitis* owładnąć w całości geopolitycznym trójkątem, włącznie z Polską i Turcją. Odważyły się przeciąć Moskwie jej historyczny, carogrodzki szlak ekspansyjny swą „linią trzech B” (Berlin - Bizancjum - Bagdad). Zamysł ten nieweczył jednak nie tylko dążenia rosyjskie. Wiódł także do opanowania przez Niemcy centralnych węzłów dróg morskich całego Starego Świata: Bosforu, Dardaneli i Suez. Godził więc również w bezpieczeństwo zachodnich imperiów kolonialnych, zwłaszcza Wielkiej Brytanii, metropoliom zaś zagrażał na kontynencie hegemonią niemieckiej *Mittleeuropy*. Dlatego ofensywa berlińsko-bizantyjsko-bagdadzka mocarstw centralnych wywołała wojnę nie tylko z Moskwą, lecz i z Zachodem.

Wynik stąd wypadł dla wszystkich trzech czarnych orłów nieoczekiwany. Niemcy powaliły Moskwę, ale Za-

chód powalił Niemcy. Naddunajska zaś misja habsburska sama się rozpadła nie tyle od ciosów zewnętrznych ile rozsadzona od wewnątrz rozgorzałymi lokalnymi nacjonalizmami. Wiekowa niewola została zdjęta z bezwładnego pola depresji między Bałtyckim, Adriatyckim i Czarnym Morzem. Wszystkie ludy tego obszaru wkroczyły w „jutrzeńkę wolności“.

Balkanizacja.

Wkroczyły w nią jednak w stanie i warunkach przeczących wszelkim doświadczeniom przeszłości. Historia wysuwała dotąd na tym obszarze dwie tylko możliwości rozwiązań międzynarodowych trwałych: podjętą przez wielką „unię trzech mórz“ czyli samoistnego imperium Wschodu, albo też idee integralnego wcielenia całego trójmorskiego obszaru w jedno z imperiów ościennych. Ani jedna, ani druga koncepcja nie została historycznie zrealizowana. Polska podzieliła się funkcją uniiową z Habsburgami, imperia zaś ościenne zdołały jedynie rozparcelować trójmorski obszar między sobą. To co powstało na nim w wyniku wielkiej wojny było czymś jeszcze odmiennym, zupełnie „nowoczesnym“. Było triumfem demokracji narodowościowej, parcelacją między-nacjonalistyczną, opartą na wytworzonej z rozkładu syntez państwowych chaotycznej, szachownicy etnicznej. Była to istna antyteza wszelkich historycznych dążeń komasacyjnych, wewnętrznych, polskich, czy zewnętrznych, zaborczych. Rości się ona od geopolitycznych dziwolągów w postaci enklaw i korytarzy, które bałwochwalstwu zasady narodowościowej składają ofiarę z elementarnych zasad strategii i logiki państwo-twórczej.

Oto na północy, nad Bałtykiem utworzono urągający zdrowemu rozsądkowi, bezpieczeństwu i uczuciom narodowym wszystkich zainteresowanych stron „system“ dwóch korytarzy i trzech enklaw. Nasze Pomorze i Wileńszczyzna prowokuje Niemców i Litwę, my w nich siedzimy jak na szpilkach, gdański klin podcina nam naszą gdyńską tchawicę, miecz Damoklesa Mazurów pruskich zwisa tuż nad Warszawą, Kowno i Moskwa rozwarły swoje nożyce po obu stronach Wilna. Wszystko to razem sprawia, że nasze na-

turalne geopolityczne oparcie o Bałtyk, zawisło na cienkich stryczkach korytarzy, pod groźnym znakiem zapytania z dwoma wykrzyknikami.

Nie dość na tym. Za południową ścianą Karpat, odwiecznie przyjazna, ongi najbezpieczniejsza nasza granica ze Słowacją węgierską zastąpiona została monstrualną „kiszka” Czechosłowacji. Wyciąga się ona jak ramię polipa ku „mateczce Rosji”, w kontakcie z ukraińską irredentą w Małopolsce wschodniej, rozrywając szczególnie złośliwie jedność geopolityczną tysiącletniego królestwa Węgier. I na Bałkanie nie jest lepiej. Enklawa albańska utworzona jeszcze przed wielką wojną przez Niemcy i Austro-Węgry dla pogiębienia Serbii, została w drugiej wojnie bałkańskiej skompensowana korytarzem macedońskim Jugosławii. Ma on zapewnić jej rezerwowe wyjście na Morze Śródziemne przez grecką Salonikę, a więc poza, włoską obecnie, cieśninę Otranto. Korytarz jednak ten stanowi zarazem pięć achileusową Jugosławii, ujętą w kleszcze sojuszu Włoch z odwetowym dążeniem Bułgarii. Wreszcie na najdalszym południu, grecki wąż Tracji Zachodniej opasuje Bułgarię i odcina ją od Morza Egejskiego mniej niebezpiecznie, ale szczelniej niż Prusy i Litwa Polskę od Bałtyku.

Wszystkie te geopolityczne absurdy są ogniskami przewlekłego zakażenia, zajadłą nienawiścią i walką, stosunków między wyzwolonymi narodami. Ten właśnie system jako nowa formacja historyczna na obszarze bałtycko-adriatycko-czarnomorskim miał w okresie powojennym złożyć egzamin ze swej zdolności do życia. Swym dziejotwórczym stylem system ten ściśle harmonizował z pacyfizmem i Ligą Narodów, które roztoczyły nad nim swą protekcję. Okazało się niestety, że nie zbyt wiele przewyższa je żywotnością.

W zjednoczeniu wewnętrznym, unijnym, na historyczną modłę polską, „trójką” trzech mórz” stanowiłby potęgę o 100 milionach ludności, zdolną każdemu zewnętrznemu niebezpieczeństwu skutecznie stawić czoło. Anektowany w całości przez którekolwiek imperium ościenne dałby mu panowanie nad światem. „Zbałkanizowany” zaś według zasad powojennej demokracji narodowościowej stał się jedynie soczewką ogniskującą wielkomocarstwowe antagonizmy kon-

tynentu. To też powojenne losy tego obszaru, którego wolność była najważniejszym pozytywnym wynikiem wielkiej wojny, kształtowały się w absolutnej zależności od perypetyj ogólnego układu sił w Europie. Jak mianowicie?

Za przykładem Europy wschodni obszar trójmorski rozpadł się bezpośrednio po wojnie na grupy zwycięzców i zwyciężonych. Zwycięzcy to Polska oraz Mała Ententa Czechosłowacji, Jugosławii i Rumunii. Zwycięzeni i odwetowcy to Węgry, Bułgaria i po części Austria. Polska i Mała Ententa sprzymierzają się z Francją, ponadto Polska i Rumunia wchodzi w obrończy sojusz przeciwrosyjski. To jest system biernej ochrony owoców zwycięstwa. Przeciwstawia mu się w Europie odwetowy sojusz w Rapallo Niemiec, Rosji, ku któremu nad Dunajem cją naprzód tylko Węgry i Bułgaria. Pozycja zwycięzców tak na całym kontynencie jak w jego wschodniej części „trójmorskiej” jest wtedy jeszcze trudna do podważenia dla przeciwników, głównie dlatego, że oparta na okupacji Nadrenii i ubezwładnieniu Niemiec. Pozycja ta silniej jednak poczyną drzeć w swoich podstawach, gdy z powodu francuskiej niechęci do ustępstw kolonialnych na rzecz Włoch, cofnęły one swoją ofertę współdziałania z zachodem w ochronie dorzecza Dunaju przed odwetową ekspansją niemiecką i wystąpiły zaczepnie przeciw Jugosławii. Akcja ta rozwijała się równolegle do ówczesnej politycznej ofensywy niemieckiej na Pomorze, opartej na Rapallo i pośrednio ją wspierała. Współ z nią zmierzała do zniszczenia wschodnich sojuszników Francji: Polski nad Bałtykiem, Jugosławii nad Adriatykiem. Jugosławię starały się wówczas Włochy osaczyć, wprowadzając się do Albanii i współdziałając z Węgrami i Bułgarią w dążności rozbiorowej: do Chorwacji aspirowały Węgry, do koryfarsza macedońskiego Bułgaria i Albania, do pobrzeża dalmatyńskiego i serbsko-bośniackiego centrum Jugosławii — sama Italia. Dążność ta załamała się, podobnie jak pomorska ofensywa Niemiec i z tych samych co ona powodów: Nadrenia znajdowała się wówczas jeszcze pod okupacją mocarstw zachodnich, mocarstwa zaś centralne i Rosja nie były dostatecznie uzbrojone i nie czuły się na siłach do nowej rozprawy orężnej, którejby ponowny rozbiór Polski i Jugosławii wymagał.

To był pierwszy okres powojennych losów Europy w ich odbiciu na trójkącie trzech mórz. Okres drugi otwiera przewrót hitlerowski w Niemczech i zerwanie Rapallo. Decydującą w tym okresie rolę odgrywa czynne wystąpienie Polski, oraz zwrot skutkiem niego agresji niemieckiej na południowy-wschód, przeciwko Austrii.¹⁾ Kraj ten stanowi dla Niemiec obok polskich szerokich wrót do panowania nad trójkątem trzech mórz, jakby rodzaj ważnej furty bocznej wiodącej bezpośrednio w dorzecze Dunaju. *Anschluss* Austrii pozwoliłby Niemcom osaczyć od południa Czechy, z którymi Austria stanowi ściślejszą jedność geopolityczną, przejściową pomiędzy rodzimym obszarem Niemiec a ściślejszą jednością geopolityczną historycznego królestwa Węgier. Aneksja Austrii toruje przeto Niemcom drogę do aneksji Czech, ich słowackiego korytarza ku Ukrainie, oraz Węgier. Tak głębokie wdarcie się Niemiec w doliny Dunaju zagraża jednak wznowieniem niemieckiej ekspansji na Bałkan i Azję Przednią, oraz uzależnieniem Italii. Stąd Austria przez szereg lat stała się polem starcia Niemiec i Włoch, oraz cementem, który złączył Rzym faszystowski z Paryżem. Wyniknął stąd szereg rozległych następstw, jak zbrojenia Niemiec, podbój Abisynii, remilitaryzacja Nadrenii.²⁾

Posiadłszy Abisynię Italia przyjęła ją za oś swej polityki. Ta oś wymagała sprzymierzeńca przeciwko Anglii, oraz częściowo Francji, która sprzymierzeńcem przeciwwangielskim Włoch być nie chciała. Mussolini zwrócił się więc ponownie do współdziałania z Niemcami. Musiał w tym celu ustąpić z nieprzejednanego wobec nich stanowiska w sprawie austriackiej. Pierwszy bardzo znamieny krok w tym kierunku wykonał nawet jeszcze w gorącym okresie wojny z Abisynią i przeciwwłoskiej kampanii sankcyjnej Ligi Narodów. Próbował wtedy, jesienią 1935 r. zawrzeć układ z jugosłowiańskim rządem Jewticza w tym duchu, że Jugosławia obejmie straż nad Austrią, Niemcom zaś pozostawiał wolną rękę wobec Czechosłowacji. Układ ten został w Jugosławii udaremniony wpływem Francji i dymisją gabinetu Jewticza, ale

¹⁾ Patrz artykuł „Europa powojenna” w zeszycie grudniowym.

²⁾ Tamże.

zasadę włoskiego *désintéressement* w stosunku do Czechosłowacji nadal respektował „blok rzymski” Italii z Austrią i Węgrami. W lipcu ub. r. posunął się Mussolini jeszcze o krok dalej akceptując *condominium* z Niemcami w Wiedniu w postaci ugody niemiecko-austriackiej. Wreszcie w związku z wojną w Hiszpanii nastąpiła ostatnia najbardziej niesamowita faza przemian tak w ogólnym układzie sił w Europie, jak w jego naddunajskim odbiciu.

Między Rapallo a paktem czterech.

Bieg wypadków w tej nowej fazie przybiera gorączkowe tempo i jak w malignie przerzuca się z jednych zasadniczych, dotąd latami trwających nastawień w odwrotne, oraz znów *vice versa*. Europa szamocze się między antybolszewickim jesiennym kursem „osi Berlin—Rzym”, wymierzonym przeciwko paktom Zachodu z Sowietami, a widmem nowego Rapallo, które godzi w sprzymierzony z zachodem „trójkąt trzech mórz” jak i zachodnie imperia kolonialne. Z błyskawiczną szybkością rozwija się zaraz potem nowe natarcie „osi Berlin—Rzym” celem wciągnięcia Zachodu w „pakt czterech”, znany z r. 1933¹⁾ a zwrócony zarówno przeciwko Moskwie, jak „trójkątowi trzech mórz”.

Punkt wyjścia tej perypetii stanowi inicjatywa Moskwy, podjęta na skutek rosnącego tam poczucia zagrożenia. Rozwijało się ono etapami zapewne już od przesunięcia zainteresowań sojuszniczych Francji i Anglii z Rosji na Polskę w lecie ub. r. Wzmogła je jesienna proklamacja antybolszewicka „osi Berlin—Rzym”, podjęta na tle starcia w Hiszpanii dwóch interwencji, moskiewskiej i hitlero-faszystowskiej. Rozdrażnił to poczucie niemiecki gest sojuszniczy wobec Japonii, na który Anglia i Francja odpowiedziały apelem do Ameryki. Zdecydowała więc Moskwa zmienić front wobec mocarstw faszystowskich, pójść im na rękę, odwrócić ich aspiracje ekspansyjne, popierając je w kierunku dla siebie bezpieczniejszym.

Tak się też stało. Moskwa oddała Niemcom i Włochom cenną przysługę czynnie dopuszczając nacisk Turcji na Ale-

¹⁾ Patrz artykuł „Europa powojenna” w zeszycie grudniowym.

ksandretę w Syrii francuskiej, oraz niemniej cenną przysługę bierną, dając poznać chęć wycofania się z interwencji hiszpańskiej. Berlin i Rzym uzgodniły skwapliwie taktykę swoją z tymi posunięciami. Zawieszono hasło przeciwbolszewickie, wysunięto natomiast wprost przeciw Zachodowi hasło kolonialne. W Hiszpanii Niemcy ze swej strony pozostawiły wolną rękę Włochom, w zamian zaś otrzymały od Włoch rozszerzenie wolnej ręki nad Dunajem z Czechosłowacji na Austrię i Węgry. Na zewnątrz ujawniła się ta zgoda cofnięciem włoskiego poparcia dla restauracji Habsburgów, która by pokrzyżowała dążenia niemieckie.

Jest to posunięcie geopolityczne tak radykalne i tak na pozór dla samej Italii niebezpieczne, że wzbudziło na zachodzie nie tylko obawę, lecz i podziw. A jednak da się ono pojąć w świetle reakcji, jaką wywołało ze strony Moskwy. Wobec manifestowanego od pewnego czasu „zainteresowania” Niemiec Czechosłowacją, Moskwa nie reagowała bynajmniej wprost, jako sojuszniczka Pragi z mocy „paktu wzajemnej pomocy” zawartego z nią i z Paryżem. Przeciwnie Moskwa doraźnie zignorowała te układy, natomiast odpowiedziała równoległą akcją nad Bałtykiem. Czerwony marszałek Jegorow wyruszył z rewizytą do Kowna i innych stolic tamtejszych. Te odwiedziny stanowiły odpowiedź na poprzednie obediencje złożone przez szefów sztabu lub ministrów Litwy, Łotwy, Estonii i Finlandii na Kremlu. Jest to więc kontakt polityczno-wojskowy, który oznaczał najniewątpliwiej dążność do utrzymania równowagi z zamierzoną ekspansją wpływu niemieckiego na południe od Karpat, przez takąż ekspansję wpływu rosyjskiego nad półwyspem bałtyckim.

Jest to stara, historycznie wypróbowana droga równowagi politycznej między ościennymi wobec „trójkąta trzech mórz” imperiami. Droga równowagi niezawodnej tak w stadium rozprzestrzeniania się wpływów, jak w ślad za nimi mogących się rozwinać aneksyj i rozbiorów. Co najważniejsza, ta droga jest możliwą do przyjęcia także ze strony Włoch, a nawet Francji, boć nie inną była zasadnicza natura równowagi europejskiej w okresie przedwojennym, gdy okazała się ona dość solidną by zapewnić długotrwały pokój.

Ale jest to zarazem droga w najwyższym stopniu groźna dla niepodległości państw „trójkąta trzech mórz“. Droga likwidacji tego głównego dzieła Wersalu, które okazało się tak ułomnym, że nad jego zdolnością do życia zarysował się z kolei ten sam groźny znak zapytania, który już pograżył pacyfizm i Ligę Narodów. Droga ta opasuje w szczególności Polskę ramionami polipa poprzez korytarze i enklawy południa i północy z gdańskim cierniem włącznie. Jak ongi tak i obecnie na naszym terytorium znajduje się główny węzeł rozbiorowej równowagi między Niemcami a Rosją, możliwy, powtarzam, do przyjęcia także dla Włoch i mocarstw zachodnich.

Inna rzecz, że proces ten wprawdzie się zarysował w swoim stadium wstępnym, ale napotkał na szczęście trudności — w łonie samego zagrożonego obszaru. „Bałkanizacja“ uczyniła go wprawdzie polem depresji, czyli najmniejszego oporu w stosunku do sąsiednich dynamizmów imperialistycznych, jednak opór ten się zaznaczył i poważnie zaciążył na dalszym biegu wypadków. Stało się to w następujący sposób.

W Berlinie nie bardzo wiedziano skąd i jak dałoby się wciągnąć Czechosłowację pokojowo w sferę niemieckiego wpływu, wszelkie w tym kierunku prasowe „balony próbne“ pozostały bez skutku. To właśnie zaktualizowało stosunek Niemiec do Austrii i Węgier i zmusiło do uzgodnienia z Włochami likwidacji habsburskich projektów restauracyjnych. Z Rzymem doszedł Berlin do zgody wzamian za Hiszpanię, Moskwa zamierzyła skompensować się nad Bałtykiem, ale z Wiedniem i Budapesztem poszło znacznie trudniej. Spróbowano podczas odwiedzin min. Neuratha w Wiedniu wzmocnić hitleryzm w Austrii, na Węgrzech zaś opanować władzę puczem madziarsko-rasistowskim. Gdyby to nastąpiło, wówczas Austria i Węgry, uzależnione od Berlina stałyby się narzędziem skutecznego nacisku na Czechosłowację, zwłaszcza od strony Węgier, w kierunku przyłączenia do nich Słowaczyny. Ewentualne próby pozostałych państw Małej Ententy, Rumunii i Jugosławii przyścia Czechosłowacji z pomocą mogły być łatwo udaremnione przez przyjazny dla Niemiec nacisk Moskwy na Besarabię, a faszystowskiego Rzymu na korytarz macedoński.

Ten plan spalił wszakże na panewce skutkiem oporu Wiednia i Budapesztu. Wówczas „oś Berlin-Rzym” ponownie zareagowała na wielkiej szachownicy światowej. W Londynie doręczono z godnym uwagi pośpiechem noty berlińskiej i rzymską zawierające, odkładaną przez szereg miesięcy odpowiedź na propozycje angielsko-francuskie w sprawie „nowego Locarna”, czyli zachodniego paktu bezpieczeństwa. Kontrpropozycja niemiecko-włoska domagała się równoległego rozluźnienia węzłów sojuszniczych Francji z Polską, Czechosłowacją i Jugosławią, jakoteż i paktu wzajemnej pomocy z Sowietami.

Kontrpropozycja ta bardzo przypominała pakt czterech z r. 1933. Zmierzała oczywiście do uzyskania od Zachodu wolnej ręki przeciwko Wschodowi, przede wszystkim dla Niemiec i zapewne przede wszystkim na odcinku naddunajskim. Taktycznie popierały ją postępy jen. Franco pod Madrytem osiągane z pomocą oręża włoskiego, ponieważ zdawały się rokować protektorat Italii nad Hiszpanią i nacisk z tej strony na mocarstwa zachodnie. Taktycznie popierała kontrpropozycję niemiecko-włoską również alternatywa, że w razie jej odrzucenia, zostanie restytuowane Rapallo. Mogłoby zaś ono zwrócić się zarówno na wschodnio-europejski „trójkąt trzech mórz”, jak też wprost przeciwko mocarstwom zachodnim w Azji Przedniej, przez nacisk Moskwy i Turcji na francuską Syrię i angielski Irak. Ten nacisk mógł być dla Zachodu tym niebezpieczniejszy, że nie pomogłyby im go odepchnąć Włochy, jak w r. 1925. Przeciwnie, usadowione w Hiszpanii mogły by stamtąd rozwijać napór na Gibraltar i Marokko, równoległy do rosyjsko-tureckiego na Bliskim Wschodzie. Zbrojenia angielskie a nawet francuskie świadczą, jak poważnie liczą się mocarstwa zachodnie z tymi groźnymi możliwościami. Wreszcie pewną pokusę dla mocarstw zachodnich mogła stworzyć zasadnicza możliwość ustalenia na kontynencie europejskim równowagi przedwojennego typu, rozbiorowej w stosunku do trójkąta trzech mórz”. Precedensy skłonności w tym kierunku istnieją w powojennej polityce, zwłaszcza angielskiej. Wszak gorąco popierała ona pakt czterech w r. 1933. Obecnie ta sama skłonność ujawniła się w niektórych głosach prasy angielskiej.

skiej, przychylnych wskrzeszeniu paktu czterech szczególnie kosztem państw naddunajskich.

Mimo wszystko jednak nowa próba podjęta w tym kierunku przez Niemcy i Włochy, była posunięciem śliskim, nie precyzowała bowiem dostatecznie w jakim stosunku projekt ten miał pozostawać do Moskwy. Państwa naddunajskie ujawniły pewną zdolność oporu, ponadto zaś nawet powodzenie na tym odcinku nie mogło by zaspokoić ostatecznie aspiracji ekspansyjnych Niemiec. Nie zaspokoiłaby ich nawet restytucja przedwojennej równowagi rozbiorowej, którą wszak rozsadziła w r. 1914 właśnie agresja niemiecka. Wreszcie układając się z Zachodem Niemcy musiały by odstąpić od poważnych rewindykacji kolonialnych, a więc nadal poszukiwać nowych dla siebie nabytków terytorialnych nie tylko w przeludnionej Europie środkowej. Moskwa zatem miała powody do nieufności wobec kroku niemiecko-włoskiego w Londynie i Paryżu. Miała powód obawiać się, że podobnie jak w r. 1933 nowy pakt czterech zwróci się nie tylko przeciw „trójkątowi trzech mórz“, lecz i przeciwko niej. Postępy gen. Franco w Hiszpanii oraz wewnętrzny zwrot Francji w kierunku społecznie umiarkowanym mogły tylko umocnić tę obawę Rosji Sowieckiej. Zareagowała więc zapobiegawczo przez Komintern rozruchami w Paryżu, oraz kontrofensywą czerwonych w Hiszpanii, skierowaną przeciwko projektom tamtejszej hegemonii włoskiej. Kontrofensywa wyraziła się nawet w militarnej porażce wojsk włoskich.

Unia trzech mórz.

Jak daleko sięgną następstwa tego rosyjskiego posunięcia trudno przewidzieć. Przeciwdziałają się one koncepcji paktu czterech w jego świeżo zaprojektowanej postaci, gdyż zanedbto przypomina jego postać z r. 1933, która atakowała Moskwę oraz Polskę. Jednak obecnie Polska jest atakowana przez nowy projekt Zachodu nie tyle wprost ile pośrednio, przez państwa naddunajskie. Ten kierunek ekspansji Niemcy wołały uzgodnić z Włochami za cenę Hiszpanii. Gdyby ta cena odpadła, to Włochy powróciłyby do protekcji Austrii i Węgier, ale zapewne nie Czechosłowacji. Aktualnym więc nadal pozostaje niebezpieczeństwo, że Zachód, Niemcy i Mo-

skwa mogą odnaleźć linię kompromisu między sobą bardziej jeszcze bezpośrednio krążącą dokoła Polski. Nowe rozwiązanie rozbiorowe nie mogłoby wprowadzić zaspokoić Niemiec, nie zapobiegłoby na długo nowej między nimi a Moskwą rozprawie czynnej, która podobnie jak w r. 1914 miałaby widoki rozwinięcia się w wojnę powszechną. Mimo to jednak, takie rozwiązanie, choćby prowizoryczne, może realnie wejść w rachubę gdyby się okazało, że „trójkąt trzech mórz“ z Polską na czele stanowi pole depresji, obszar najmniejszego oporu. Stopień tej zdolności oporu wypróbowują właśnie kierujące się przeciw niemu naciski.

Jest to niebezpieczeństwo tym bardziej bliskie, im bierniej zachowują się mocarstwa Zachodnie, im wyłączeniej dbają tylko o to, by po swojej stronie wytworzyć dostateczny odpór oszańcowując się pasami fortec, sypiąc miliardami na pancerniki, czołgi i samoloty. W tych warunkach naczelnym wskazaniem racji stanu zarówno polskiej, jak innych państw wersalskiego trójkąta, staje się gwałtowna dynamizacja sił materialnych, organizacja współdziałań między współzagrożonymi sąsiadami, aktywizacja i szeroki zasięg inicjatywy politycznej. Nie może już wystarczyć bierna „polityka bariery“ oparta o Zachód. Narzuca się gwałtowna konieczność wewnętrznego umocnienia zarówno poszczególnych państw trójkąta trzech mórz, jak reorganizacji jego struktury międzypaństwowej, oraz określenia czynnej na zewnątrz postawy w stosunku do Moskwy i Niemiec.

Aksjomatem w tej dziedzinie staje się przede wszystkim: nie dopuścić do współdziałania tych „czarnych orłów“ w kierunku dośrodkowym czyli rozbiorowym. Ażeby ten cel osiągnąć, należy 1^o wytworzyć szybko dostateczną potęgę; 2^o rzucić ją na szalę w taki sposób, ażeby dążności ekspansyjne Niemiec i Moskwy już to zwrócić ponownie przeciw sobie, jak tego dotąd chciał Hitler, już to odwrócić w kierunkach odśrodkowych, mniej dla państw śródmoorskiego trójkąta niebezpiecznych. Tego się oczywiście nie osiągnie sztywną polityką bariery, natchnioną duchem kołającegogo pacyfizmu.

Nacisk niemiecki na Dunaj wywołał już w tym względzie cenną reakcję. Okazało się, że niechęć Węgrów do to-

talizmu, oraz przywiązanie do niepodległości są dostatecznie silne, ażeby odrzucić tak silne nawet dla nich pokusy jak reaneksja Słowaczyny, którąby mogli osiągnąć, gdyby przyjęli totalizm wewnątrz, a protektorat Berlina z zewnątrz. Również katolicka Austria, choć nagle pozbawiona protekcji faszystowskiego Rzymu przeciw *Anschlussowi* do Niemiec, zachowała się z siłą i godnością. Oba te małe państwa sukcesyjne nawiązały między sobą żywy kontakt, celem połączenia oporu przeciwko niemieckiemu niebezpieczeństwu. Oczywiście nie może to wystarczyć. Dalszą jednak ewolucję powinna umożliwić dobra wola solidarnej obrony, która się daje odczuć także pomiędzy Budapesztem i Wiedniem z jednej strony, Francją zaś z drugiej. Powinna się ta dobra wola wyrazić w jakimś układzie obronnym, choćby narzuconym i prowizorycznym wobec zagrożeń bliższych, odsuwającym zasadnicze rozstrzygnięcie sporu o Słowacznę. Zasadnicze rozwiązania dadzą się pomyśleć tylko w związku z samoistnym, konstruktywnym planem nowej równowagi europejskiej, który należy stworzyć; zarówno jak należy rozwinąć siłę zdolną do jego poparcia.

Cenną pomoc moralną i wskazania dążeń samoistnych, jakie przynoszą zagrożonym między Rapallo a paktem czterech narodów „trójkąta trzech mórz”, najświeższe encykliki Ojca świętego przeciwko komunizmowi i hitleryzmowi. Potępiają one te fałszywe doktryny społeczne ze stanowiska religijnego i to jest bezpośrednim tych encyklik zadaniem. Jednak niemniejszy również posiadają pośredni walor polityczny, gdy podejmują rękawicę rzuconą katolicyzmowi przez Goeringa w Niemczech; gdy bezkompromisowo stają do walki w obronie niewzruszonych zasad wiary, gdy podnoszą ducha odważnego oporu w zagrożonej przez Niemcy Austrii, gdy piętnując materialistyczny totalizm, podtrzymują stanowisko Węgier wobec wschodniego puczu, gdy przeciwstawiają się faktycznie oportunizmowi politycznemu, który wykazała „oś Berlin — Rzym” w stosunku do komuny i Moskwy.

Encykliki wskazują, że nie jest właściwym ani możliwym ze strony wyznawców katolicyzmu współdziałanie z którąkolwiek ze zwalczających się idei totalnych, hitlerowska

czy stalinowską, przeciwko drugiej, ponieważ obie są w gruncie rzeczy pogańskie, materialistyczne, sobie pokrewne i skłonne do kompromisu między sobą. Przez analogię nasuwa to myśl, że podobnie może nie być właściwym ani osiągalnym poszukiwać obecnie ratunku dla narodów zagrożonych przez Niemcy lub Moskwę przez sojusz polityczny z jedną z tych potęg przeciwko drugiej. Byłaby to droga obecnie najłatwiej dostępna, zwłaszcza dla Polski w stosunku do Rosji. Gdy się wynurza widmo paktu czterech, i niepokoi nie tylko Polskę, lecz i Moskwę, tym samym powstają widoki na skuteczne jego zażegnanie za pomocą przystosowanej do nowych warunków wersji polskorosyjskiego „paktu nieagresji” z r. 1932 i bloku wschodniego z r. 1933. Tu istotnie zdaje się leżeć kierunek najmniejszego oporu dla państw „trójkąta trzech mórz” z Polską na czele. Ale kierunek najmniejszego oporu nie zawsze prowadzi do rozwiązań najkorzystniejszych i najtrwalszych.

Jak ongi tak i dziś rozwiązania te leżą przede wszystkim w płaszczyźnie dynamizacji i komasacji własnych sił obronnych zagrożonego obszaru. Jak ongi tak i dziś Polska w pierwszym rzędzie powołana jest do naczelnej w tym kierunku inicjatywy. Na Polsce bowiem skupia się *maximum* zagrożenia, ona posiadała *maximum* doświadczenia, ona jest największym i najsilniejszym państwem „trójkąta trzech mórz”. Musi więc Polska tę inicjatywę podjąć, bo dla niej stanowi ona kwestię bytu w jeszcze wyższym stopniu niż dla jej południowych sąsiadów. Musi zdynamizować wewnętrznie i zaktywizować zewnętrznie tak siebie jak ich. Nie uczyni zaś tego, jeśli nie zaprzestanie dreptać kataleptycznie „raz dokoła” w rutynie i szablonie polityki gospodarczej, społecznej i międzynarodowej, i jeśli nie zaprzestanie oglądać się na protekcję Zachodu, wyglądać daremnie po życzek, „podciągać” daremnie entuzjazm do kapitalizacji — miast porwać naród do szturmowania nowych dróg.

St. Szczutowski.

Krzyżowcy.

Na wstępie, uprzedzając wszelkie dalsze wywody, także i te najbardziej krytyczne, stwierdzić musimy z góry, iż *Krzyżowcy* to nie tylko szczytowy punkt twórczości Zofii Kossak, nie tylko najwybitniejsza polska powojenna powieść historyczna, ale nadto jest to jedna z najciekawszych i najefektowniejszych pozycji w dorobku całego powieściopisarstwa Polski Odrodzonej — zjawisko literackie o horyzontach i osiągnięciach na miarę prawdziwie europejską!

Stanowiąc dzięki tym horyzontom i osiągnięciom jedną z tych książek, które zdobywają sobie jak najzasłużeniej opinię sukcesów sztuki i kultury narodowej ponadczasowych, sukcesów, które historia literatury notuje i bada, jako pozycje o wartości bezwzględnej, trwałej, być może, nieprzemijającej — są przecież zarazem *Krzyżowcy* dziełem wybitnie współczesnym, powieścią historyczną, typowo dwudziestowieczną.

Za cechy najwybitniejsze tej powieści uznaliśmy rewizjonizm i aktualizację.¹⁾ Czy odnajdziemy je i w *Krzyżowcach*? Niewątpliwie; jedno i drugie w stopniu bardzo silnym.

I.

Rewizjonizm *Krzyżowców* ma charakter potrójny; dotyczy: najpierw całej epoki, dalej faktu krucjaty, jako zjawiska, względnie procesu historycznego, wreszcie i poszczególnych postaci.

¹⁾ Por. „Historia przed sądem współczesnej literatury” — *Przegląd Powszechny*, marzec 1937.

1. W odniesieniu do całej epoki — do średniowiecza w ogóle, a w szczególności do wieku XI — autorka zajmuje stanowisko pośrednie pomiędzy tą idealizacją jaka cechowała ujęcie romantyków, w pierwszym rzędzie — Walter Scotta — a „odbronzowieniem“, dokonywanym przez czasy późniejsze, najjaskrawiej zaś reprezentowanym przez słynny paszkwil Marka Twain'a *Yankee na dworze króla Artusa*. Wizja przecież romantyczna średniowiecza, najpełniej i najpopularniej zarazem przedstawiona, rozpowszechniona i uniesmiertelniona przez *Ivanhoe* i *Talizman* Walter Scotta, nieporównanie sugestywniej potrafiła się narzucić całym pokoleniom inteligencji czytającej, niż jakiegokolwiek literackie próby „odbronzowienia“ tej epoki. Wobec tego rycerstwo XI-towieczne, takie, jakie je poznajemy w *Krzyżowcach* w ujęciu Zofii Kossak, stanowić musi, siłą rzeczy, dla czytelnika sensację niebywałą. Poraz pierwszy w literaturze pięknej poważnie, sugestywnie i *con amore* uwypuklone zostały, obok cech świetlanych, dobrze wszystkim znanych z tradycji romantycznej, także i wszystkie ciemne strony, wszystkie półbarbarzyńskie jeszcze i prymitywne elementy kulturalne, moralne i psychologiczne feudalnego społeczeństwa XI-wiecznego. I właśnie sensacyjność i nowość, jaką stanowi ta wizja „drugiej strony medalu“, sprawia, iż oddziaływa ona na wyobraźnię nieporównanie silniej, niż obrazy stron dodatnich, wywołując w czytelniku z roku 1936 niezwykle silne wrażenie analogii pomiędzy Zachodem europejskim w roku 1095, a feudalną Abisynią rasów i dedżaków — równie jak Prowansalczyki i Normandowie — rycerskich, odważnych, okrutnych, pobożnych, zabobonnych i ciemnych...

Jeśli chodzi o walory artystyczne, to ten rewizjonistyczny obraz społeczeństwa zachodniego, jako organicznej całości, jako zbiorowości, ściśle zamkniętej w ramach czasowych pewnej epoki, o której wiemy, iż stanowi tylko jeden ze szczebli rozwoju kulturalnego — należy do najbardziej plastycznych i najbardziej sugestywnych w całym dziele, mimo iż rozrzucony jest partiami po całej książce.

2. Rewizja krucjaty jest dwustronna. Z jednej strony przeciwstawia się ujęciu tradycyjnemu, które sławiło jedynie

religijną ekstazę i nadludzkie rycerskie bohaterstwo tego jedyne go w dziejach skrajnie idealistycznego przedsięwzięcia; zarazem przecież idzie w kierunku zdecydowanego zwalczania materialistycznego sceptycyzmu, z jakim historiografia przedwojenna odnosiła się do pierwszej krucjaty, kwestionując idealistyczny charakter nie tylko jej przebiegu, ale i przyczyn.

Otóż Zofia Kossak nie ukrywa żadnej z przywar, której by krzyżowcom nie wyrzucali nowsi historycy: ani ciemnoty mas, ani barbarzyńskiego nieraz ich okrucieństwa, ani nieustającego braku zgody, ani wreszcie przerażających objawów masowej demoralizacji. W reprezentujących zaś te masy jednostkach piętnuje anarchizm albo sobkostwo, głupotę lub chorobliwą ambicję, rozpętanie instynktów i brak, względnie utratę jakiegokolwiek poczucia swego posłannictwa, czy choćby najzwyczajniejszej w stosunku do wytkniętego przez siebie wraz z innymi celu odpowiedzialności i konsekwencji. Jednym słowem, obraz wybitnie nie budujący! Z drugiej przecież strony autorka wyraźnie manifestuje swą wiarę w idealistyczne, religijne podłoże samego procesu dziejowego, jakim była krucjata — wielki czyn, mający ludzkość poprowadzić ku udoskonaleniu — udoskonaleniu indywidualnemu i zbiorowemu, ku wyższym formom życia społecznego, moralnego i kulturalnego. Czyn ten pojmuje jako świadome, twórcze i wznioste dzieło Kościoła, wielkiego, mądrego i przenikliwego przewodnika ludzkości i kultury na drogach historii ku wyższej, doskonalszej przyszłości.

3. Z osób poszczególnych — bohaterów i wodzów pierwszej wyprawy krzyżowej rewizjonizm autorki gruntownie rozprawił się tylko z dwiema. Piotr z Amiens, ów sławiony przez tradycję płomienny kaznodzieja, duchowy wódz krzyżowców, w powieści ukazuje się nam, jako klasyczny okaz „człowieka małego“; lichoty jego i wielkiej, wielkiej szarzyzny nie okupi (przynajmniej w oczach czytelnika) raz jeden okazane bohaterstwo. Drugi to Gotfryd de Bouillon, przez tradycję uznany za naczelnego wodza krzyżowców, ów „hetman wojsk pobożnych“, spopularyzowany przez *Jerozolimę Wyzwoloną* Tassa, a w Polsce przez Piotra Kochanowskiego — ów pierwszy król Jerozolimy, pierwszy

obronca Grobu Pańskiego! Zofia Kossak maluje go, jako człowieka bardzo prawego, wysoce moralnego, wysoce religijnego — ale w gruncie rzeczy człowieka szarego, jakich w wojsku krzyżowym mogły być setki; wódz zaś z niego żaden i żaden materiał na wielką indywidualność historiotwórczą. Pozatem charakterystyka wodzów krzyżowych nie odbiega zbyt daleko od ujęcia tradycyjnego, często nieomal podręcznikowego.

II.

Obok rewizjonizmu cechuje także *Krzyżowców* w silnym stopniu i aktualizacja. Prawie wszystkie najważniejsze problemy dzisiejsze znalazły swe odzwierciedlenie na kartach powieści z wieku XI. niesprawiedliwość społeczna i konieczność naprawy ustroju, walka o władzę i jej metody, kwestia kobieca, antysemityzm, skomplikowane zagadnienia życia erotycznego — wszystko to, jak zapewnia nas autorka, było w równym stopniu aktualne, palące i trudne do rozwiązania za czasów papieża Urbana II, jak i dziś. Aktualizacja przecież nie ogranicza się w *Krzyżowcach* tylko do uwypuklenia analogij, zajmuje się ona nadto i drogami, jakie mogą i powinny prowadzić do zażegnania konfliktów, do rozwiązania problemów. Otóż — jeśli chodzi o epokę krzyżowców, czytelnik nie ma najmniejszej wątpliwości. Autorka niedwuznacznie mówi nam całą swoją książką, iż jedynie Kościół katolicki miał zrozumienie dla wszystkich tych problemów, oraz siłę i wolę do ich rozwiązania. Kościół, głównie w osobach papieża Urbana i biskupa Ademara, inicjuje krucjatę, jako potężny ruch religijny i moralny, ale otwierający zarazem zawrotne perspektywy dla dobroczynnych reform społecznych, obyczajowych, ekonomicznych, kulturalnych. Kościół jest jedynym reprezentantem i propagatorem oświecenia i postępu. Zwalcza w imię chrześcijańskiego humanitaryzmu barbarzyństwo i okrucieństwo, bez względu na to, skądby pochodziły i przeciw komu były by skierowane; pierwszy występuje, jako rzecznik emancypacji kobiet, wyszydza i tępi zabobony, wreszcie okazuje ogromnie dużo wnikliwości i zrozumienia dla słabości ducha i ciała ludzkiego. Niezwykle oryginalna w tym względzie i jakże efek-

towna jest scena, w której widzimy biskupa Ademara, który jako subtelny i doświadczony psycholog i znawca ułomności natury ludzkiej, bardzo niechętnie godzi się na ślubowanie dwojga nowożeńców, iż dotąd nie połączą się naprawdę ze sobą, aż zdobyta zostanie Jerozolima — przewiduje bowiem fatalne tego ślubu następstwa...

Reasumujemy: w *Krzyżowcach* Kościół to jedyna potęga twórcza w dziedzinie historii i kultury, jedyne siedlisko mądrości i inteligencji, przewodnik duchowy doświadczony i trzeźwy, raczej łagodny i pobłażliwy, niż surowy. Dokonywana zaś przez tę powieść aktualizacja problemów średniowiecznych pozwala przypuszczać, że ta zasadnicza historiozoficzna postawa autorki odnosi się nie tylko do wieku XI, ale i do XX. Tym samym staje autorka w rzędzie całej plejady tych XX-towiecznych europejskich pisarzy, którzy — z Chestertonem, Mauriac'em i dążącymi ku Rzymowi rosyjskimi „bogoiskatielami” na czele — znów skłonni są widzieć w Kościele katolickim jedyną siłę, mogącą rozwikłać bezboleśnie dręczące współczesność konflikty — jedynego przewodnika doświadczonego i trzeźwego, raczej łagodnego i pobłażliwego, niż surowego.

III.

Definiując powyżej zasadniczą historiozoficzną postawę *Krzyżowców*, tym samym uznaliśmy tę powieść za reprezentującą pewne skonkretyzowane ideologiczne podejście do rzeczywistości zarówno historycznej, jak artystycznej. Skłonni jesteśmy pójść dalej i uznać, że żadna współczesna powieść polska, reprezentująca całkowicie skonkretyzowaną ideologię katolicką, nie ujmuje tej ideologii, względnie historiozofii nie tylko efektowniej pod względem artystycznym, ale także i głębiej, niż *Krzyżowcy*. Wprawdzie właśnie ze stanowisko katolickiego robi się tej książce zarzuty, że jest ponura, pesymistyczna i raczej oddziaływująca destrukcyjnie, niż budująca; dalej, że odziera wielkich bohaterów krucjaty z wszelkiej aureoli heroizmu i wielkości, jakimi przez wieki całe opromieniała ich tradycja; wreszcie, zgłębiając przeżycia duchowe, a więc i religijne licznych jed-

nostek, nie potrafiła oddać uniwersalizmu średniowiecznej religijności. Ci przecież, którzy z tego rodzaju zarzutami występują, nie biorą pod uwagę tego, iż w założeniach swych głęboko i bez zastrzeżeń katolicka ideologia i historiozofia Zofii Kossak reprezentuje katolicką literaturę XX-towieczną, o tyle różną od XIX-towiecznej, o ile dynamizm Kościoła z okresu Piusa XI różny jest od obronnej podstawy pontyfikatu Leona XIII.

Nasza powieść katolicka — głównie kobieca — pojmowała dotąd swe zadanie w ten sposób, iż wszystkie wyprawiane przez się postacie katolickie wyposażała w same cnoty, często najbardziej heroiczne; z przeciwników zaś religii i Kościoła robiła zazwyczaj czarne charaktery, przykłady odstraszaające. Autorka *Krzyżowców* — jako historiozof i jako artystka — nie mogła się zadowolnić tak powierzchownym ujęciem. Pogłębiła problem. Dlatego pokazała tyle odpychających, oburzających nieraz stron krucjaty, by przekonać czytelnika, iż gdyby było to przedsięwzięcie ludzkie jedynie, nigdyby w takich warunkach nie mogło się ukoronować sukcesem; dlatego pomniejszyła wielkich bohaterów — wodzów, by przeprowadzić jedynie prawdziwą tezę, iż stanowili oni nie bezwzględne wielkości same w sobie, ale tylko wybrane narzędzia zamiarów Bożych. Chodziło jej o to, aby w sposób artystycznie najbardziej przekonujący dowieść, iż *gesta Dei per Francos* to były na prawdę *gesta Dei*, a nie Franków!

Jeśli zaś chodzi o uwypuklenie przez autorkę przeżyć duchowych indywidualnych raczej, niż zbiorowych, to i to doskonale da się wytłumaczyć na płaszczyźnie najbardziej charakterystycznych dla naszej epoki prądów ideologicznych. Kościół, który — mając we wszystkich epokach niezwykle silne poczucie rzeczywistości i umiaru — zwalczał zawsze wszelkie krańcowości, mogące łatwo przejść w wynaturzenie; który w w. V zwalczał Nestoriusza, ale także i na wprost przeciwnym biegunie stojących eutychian — monofizytów — w w. XIX zwalczał przerosty antyspołeczne indywidualizmu, np. skrajny liberalizm, nietzscheanizm etc. W wieku XX jednak sytuacja się odmieniła, indywidualności grozi całkowite zmiżdżenie i pochłonięcie przez skrajny nacjonalizm

styczny totalizm, równie jak przez wrogi temuż materialistyczny bolszewicki kolektywizm, wobec czego właśnie chrześcijaństwo ze swą doktryną indywidualnej odpowiedzialności i indywidualnego zbawienia, staje się *ultima Thule* indywidualizmu, czego odbicie znajdujemy także i w *Krzyżowcach*.

Rzecz inna, że *Krzyżowcy* w swej imponującej i głębokiej katolickiej konstrukcji historiozoficznej posiadają punkt słaby, którego nie potrafilibyśmy obronić i nie wiemy, jakby tego mogła dokonać sama autorka. Chodzi tu o sprawę przeprowadzenia motywu „cudu znalezienia św. włóczni”. Wydaje się nam, że najlepszy historiozof-powieściopisarz marksistowski nie zdołałby nadać otoczonej aureolą cudu tradycji wytłumaczenia bardziej ortodoksyjnego z punktu widzenia materialistycznej interpretacji elementu cudowności.

Bo zważmy tylko. Co jest według historiozofii materialistycznej podstawą wszelkich procesów historycznych? Sprawy ekonomiczne, warunkujące byt materialny, byt fizyczny! Czyli głód i potrzeba zaspokojenia go jest punktem wyjścia dla całego rozwoju społecznego i kulturalnego. Otóż w *Krzyżowcach* w sprawie znalezienia św. włóczni nie możemy zastosować żadnej innej obiektywnej interpretacji. Jeden z krzyżowców, cierpiący w obleżonej Antiochii męki głodu, ma halucynację właśnie na tle głodowym. Majaczy mu się, że doznaje objawienia, iż tu, w Antiochii zakopana jest włócznia, którą przebity był bok Zbawiciela. Sugestia, jakiej na skutek osłabienia uległ, udziela się natychmiast wszystkim innym krzyżowcom, znajdującym się w podobnym stanie ducha — staje się więc zbiorową, zamienia się w ekstatyczne uniesienie... Wszyscy zaczynają gorączkowo kopać w miejscu, gdzie rzekomo ma być zakopana św. włócznia... Gdy entuzjazm doszedł do szczytu, przebiegły, nie mający ani krztyny instynktu religijnego normandzki Boemund wchodzi do wykopanego dołu ze starą włócznią, przyniesioną poprzedniego dnia od Saracenów... Po chwili rozlegają się ekstatyczne okrzyki tysięcy, że św. włócznię znaleziono, wojsko krzyżowe, podniesione na duchu, jak nigdy, uderza na muzułmanów i odnosi niewiarogodne świetne zwycięstwo. Dzięki... czemu? dzięki zbioro-

wej sugestii, znakomicie wyzyskanej przez Boemunda! — Inaczej nie możemy zrozumieć tego epizodu.

Ale jeden słaby punkt nie pomniejsza wartości całego imponująco a kunsztownie wzniesionego gmachu, najwyżej skłania do gruntowniejszego zbadania całości. Zresztą, i za ten słaby punkt nie wolno autorki obarczać wyłącznie indywidualną odpowiedzialnością. Polacy, naród wielkich artystów, nie jest, zdaje się, narodem wielkich historiozofów. A czy o najświetniejszym naszym powieściopisarzu nie napisał jego biograf, egzegeta i wielbiciel: „Im większym był artysta, tym słabszym historiozofem“?¹⁾

IV.

Już to samo, cośmy wyżej powiedzieli o Zofii Kossak, o jej historiozofii, o rewizjonizmie i aktualizacji — czyniło by z *Krzyżowców* powieść historyczną, daleko wykraczającą poza granice, zakreślone ambicjami i osiągnięciami naszej literatury powojennej na terenie tego rodzaju literackiego. Ale jeszcze zanim napisała *Krzyżowców*, znaliśmy Zofię Kossak-Szczucką, autorkę *Beatum scelus*, *Złotej wolności* i *Legnickiego pola*, jako tego jedyne go może współczesnego powieściopisarza polskiego, którego cechował bezpośredni emocjonalny stosunek do przeszłości. A więc dziedzictwo najbardziej charakterystycznego dla XIX-towiecznej powieści historycznej elementu, przeniesione w wiek XX i w *Krzyżowcach* łączące się z typowo powojennymi elementami rewizjonizmu i aktualizacji. Połączenie to staje się decydujące dla ukształtowania się *Krzyżowców*, jako dzieła sztuki o tak wielkiej rozległości horyzontów i takim bogactwie elementów i środków artystycznych, jak mało które współczesne powieści historyczne o sławie europejskiej.

Stwierdzenie jednak tego niezwykle pochlebnego dla polskiej powieści faktu nie może nas zwolnić od poddania krytycznej analizie stopnia doskonałości artystycznej, osiągniętej przez te środki i elementy. Przejdźmy je więc krótko po kolei.

¹⁾ Por. Stanisław Lam: *Henryk Sienkiewicz. Cechy i elementy twórczości*.

1. Imponująca erudycja Zofii Kossak, operująca materiałem historycznym przebogatym i niemal bez reszty źródłowym, jakkolwiek budzi podziw, zdumiewać może tylko zupełnego laika. Dzisiaj w ogóle nie pisze się już powieści historycznej, nie oparłszy jej uprzednio o możliwie najgłębsze fundamenty dokumentarne. Ten kult autentyczności, ta „religia dokumentu” dochodzi częstokroć do przesady, wypaczając cele i drogi dzieła sztuki, a nie dzieła erudycji — jakim w pierwszym rzędzie być winna powieść historyczna. Zdumienie natomiast, pełne najwyższego uznania, budzi ogromna — typowo kobieca! — praktyczność i gospodarność, z jaką autorka radzi sobie z tym przebogatym, mogącym grozić przeładowaniem — materiałem. Wystarczy powiedzieć, że nadmiar erudycji nigdzie nie obciąża pozabeletrystycznym bałastem ani wartkiego toku narracji, ani lekkości stylu.

Erudycja ta przecież nie ustrzegła autorki od paru błędów, tym jaskrawszych, że występujących na tle wspaniałe autentycznej wizji całości. Do drobniejszych zaliczyć należy omyłki chronologiczne¹⁾ czy topograficzne;²⁾ poważniejszym natomiast anachronizmem jest przesunięcie o całe prawie stulecie wstecz początków prowansalskiej kultury artystycznej, głównie poezji trubadurów; a już zupełnie niezgodny z rzeczywistością jest fakt, by ulubiony trubadur Rajmunda de St. Gilles mógł być uczniem czy rywalem samego Peire Vidal, gdyż ten ostatni żył conajmniej w 80 lat później!

2. Najbardziej charakterystycznym elementem konstrukcji artystycznej Zofii Kossak i zarazem najsilniejszą stroną jej talentu jest pierwiastek epicki — pierwiastek twórczy, tak typowo męski, że aż zadziwiający u pisarza-kobiety, a jednak niewątpliwy w tej swej epickiej rasowości, czyniącej z pani Zofii Kossak-Szczuckiej jednego z najwybitniejszych batalistów w całej literaturze współczesnej. Pod tym względem jest autorka *Krzyżowców* w prostej linii dziedziczką talentu i kunsztu sienkiewiczowskiego. Z dziedzictwem tym próbowała zresztą walczyć, próbowała spod jego sugestii się

¹⁾ Cesarz Herakliusz nie mógł walczyć o Jerozolimę z Persją już zislamizowaną.

²⁾ Na Augusteonie w Konstantynopolu stał posąg Heleny, nie Konstantyna.

wyzwolić. *Złota wolność* jest klasycznym przykładem owego przewycięzania „sienkiewiczizmu”. Autorka, pomna, iż Sienkiewicz, jako typowy epik - homeryda, wrażliwy był przede wszystkim, a nieraz i wyłącznie na dwie tylko strony życia przeszłości: heroizm rycerski i miłość — umyślnie starała się pogłębić i rozszerzyć horyzonty swej wizji epickiej, pomnożyć je o obrazy życia religijnego, umysłowego, artystycznego, społeczno-obyczajowego. Stara się to czynić i w *Krzyżowcach*, z różnym jednak powodzeniem. W każdym razie nic innego, tylko ów homerycko-sienkiewiczowski pochodzenia talent i kunszt epicki pozwala autorce uporać się ze swym wielkim tematem — tylko on umożliwia pochwylenie i artystyczne przetworzenie w słowo rytmu stawania się historii, dynamiki procesu dziejowego, jednego z najdonioślejszych na przestrzeni tysiącleci! Ale rzadko kiedy bywa uczeń nad mistrza, i w tym wypadku też się tak nie stało. Powiedzmy szczerze: wizja świata średniowiecznego i krucjaty, stworzona przez Zofię Kossak, napewno bardziej jest wielostronna i głębsza, niżby to mógł uczynić Sienkiewicz; ale w artystycznym epickim kształtowaniu dynamizmu historii twórca *Ogniem i mieczem* jest niedościgły; *Krzyżowcom*, im dalej się od Clermont ku Jerozolimie posuwamy, coraz to bardziej zaczyna brakować tchu; oddech epicki słabnie i już go nie starcza, by ze szturmu i zdobycia Świętego Miasta — szczytowego punktu krucjaty! — uczynić coś więcej, niż scenę poprawną, ale bladą i jedną z najsłabszych w książce. Chyba, żebyśmy przyjęli, że to robione jest świadomie, że w ramach koncepcji historiozoficznej autorki mieści się też prawda, iż nie realny bynajmniej cel krucjaty był w tym wielkim dziele najważniejszy, tylko samo poruszenie z posad całej Europy w imię ideału religijnego!?

Z drugiej strony nie należy zapominać, że tradycyjna wizja zdobycia Jerozolimy otoczona jest aureolą tak ścisłego zespolenia ekstazy religijnej z epickim dynamizmem i patosem heroicznej walki, że za mało by tu było chyba i Sienkiewicza, którego by należało — dla oddania całej pełni tej wizji — pomnożyć o Calderona czy o Dostojewskiego?!

3. Sienkiewiczowskiemu też pokrewny jest wielki talent plastyczny Zofii Kossak, który swym umiłowaniem samej

dekoracyjności i barwności tematu historycznego czyni z tak bardzo współczesnej powieści, jak *Krzyżowcy*, zarazem klasyczny okaz XIX-towiecznego walter-scottyzmu. Jak twórców *Ivanhoe'a*, *Salammbo*, *Narzeczonych* (Manzoniego) i *Quo vadis*, tak i plastykę pani Kossak najsilniej pociąga i najlepsze jej daje pole do popisu to, co w przeszłości, w wizji historycznej jest najbardziej egzotyczne. A więc nie obraz łacińsko-chrześcijańskiej Europy i jej cywilizacji, ani nie świat muzułmański, z którym powieść polska dosyć dawno się zżyła i który choć z wielkim obiektywizmem, z najmniejszym przecież efektem artystycznym i najbardziej konwencjonalnie został przez *Krzyżowców* odtworzony; ale na wpół pogańskie, pół-barbarzyńskie obyczaje XI-towiecznego Śląska, w pierwszym zaś rzędzie egzotyczny dla nas zupełnie świat obyczajowy i kulturalny resztek chrześcijaństwa azjatyckiego, armeńskiego i syryjskiego, a nade wszystko przewspaniała wizja Bizancjum — oto gdzie talent plastyczny polskiej autorki najwyższe święci triumfy. Plastyka jej jednak, umiejąca zaintrygować i olśnić (np. scena odwiedzania skarbcza Bazileusa), nie potrafi — w przeciwieństwie do sienkiewiczowskiej — porwać, wstrząsnąć lub choćby tylko wzruszyć, za mało jest sugestywna. Wyjątek stanowi jeden jedyny obraz: przywoływanie „strzygi” przez Głowacza!

4. Nie jest sugestywnym, mimo że barwny, żywy i nieraz klasycznie piękny, względnie efektownie archaizowany — styl *Krzyżowców*. W tej dziedzinie Zofia Kossak najmniej jest właściwie usamodzielniona — szczególnie tam gdzie nie archaizuje, pozostaje pod całkowitym wpływem Sienkiewicza. Takie np. listy Szczepana z Blois do żony posiadają całe zdania, które wyjęte z całości, w oczach najwybitniejszego sienkiewiczologa ująć by mogły za wyjątki z listów Winicjusza do Petroniusza lub odwrotnie.

5. W *Krzyżowcach* ogromne postępy — w porównaniu z poprzednimi swymi powieściami historycznymi — czyni pani Kossak w zakresie techniki czysto beletrystycznej, w zakresie umiejętności opowiadania. W *Złotej wolności* losy braci Pielszów naprawdę mało obchodziły czytelnika i poważnie go nudziły; w *Legnickim polu* też zdarzały się całe partie, beletrystycznie chybione — w *Krzy-*

żowcach nie znajdziemy takich. Jeśli popularnym ideałem powieści jest, aby była ciekawą, mamy przed sobą jedną z najwybitniejszych powieści w całej literaturze światowej. Co prawda, zdarza się, że efekty beletrystyczne, tu użyte, są czasem ryzykowne, nieraz naiwne: np. wprowadzenie do akcji bitwy oswojonej lwicy, przechylającej szalę zwycięstwa na stronę rycerzy krzyżowych. Czy w motywie tym jednak nie należy raczej widzieć nieprzewycięzonych uroków starego eposu fantastyczno-bohaterskiego, który, osnuty dookoła jakiegoś wielkiego historycznego tematu, sugeruje silnie każdego, najbardziej nowoczesnego, trzeźwego i realistycznego pisarza, gdy tylko sięgnie po ten sam temat? Znaleźlibyśmy w *Krzyżowcach* niejedną reminiscencję — może nawet podświadomą tylko — *Jerozolimy wyzwolonej*: miłości Tankreda, zaczarowanych ogrodów Armidy...

6. Przechodzimy do elementu, dotąd najslabszego w twórczości historyczno-powieściowej Kossak-Szczuckiej, do charakterystyki postaci, w pierwszym rzędzie wielkich postaci dziejowych, historiotwórczych. Pod tym względem *Złota wolność*, a szczególnie *Legnickie pole* cechowała jak najdalej posunięta typizacja. Skarga, Chodkiewicz, Żółkiewski — były to postacie nie zindywidualizowane, szablonowe, zbeletryzowane portrety z podręcznika historii. A w *Legnickim polu*? Chińczyk koniecznie musi być tajemniczy, Templariusz koniecznie zniewieściały i rozpustny, Wenecjanin koniecznie musi nienawidzić Genuńczyka — Henryk Brodaty zaś ukazuje się nam po raz pierwszy, skubiąc wspaniałą białą brodę! Jakże inny był pod tym względem choćby Sienkiewicz, który stworzył postacie do tego stopnia zindywidualizowane przez siebie, że obraz ich narzucał się całym pokoleniom tak silnie, iż całkowicie przesłaniał prawdę historyczną o danej postaci — wystarczy przypomnieć Jareme Wiśniowieckiego.

W związku z ogólną tą cechą autorki i od *Krzyżowców* trudno było się spodziewać zindywidualizowania postaci, a tym bardziej rewizjonizmu. Na przykładach jednak Piotra z Amiens i Gotfryda de Bouillon wykazaliśmy, że stało się inaczej. A więc znów mamy postęp niewątpliwy. Ale powiedzmy szczerze — nieduży. Bo prócz tych dwu postaci,

wszyscy inni bohaterowie jak Ademar, Baldwin, Boemund, Tankred, Rajmund — to znowuż tylko zbeletryzowane portrety, jeśli już nie z podręczników, to z historycznych kronik. Ale obok słabo rozwiniętej umiejętności indywidualizacji postaci, jest sprawa ważniejsza. Powiedzieliśmy wyżej, że małość duchową krzyżowców, nawet najwybitniejszych herosów tego dziejowego eposu należy przypisać historiozofii, ideologii, chęci pomniejszenia roli ludzi w krucjacie na rzecz roli Boga. Może jednak jest inaczej? Może typ twórczy Zofii Kossak nie posiada warunków do artystycznego kształtowania wielkości? W każdym zaś razie posiada ich znacznie mniej, niż np. rosyjski emigracyjny pisarz M. A. Ałdanow, znany sceptyczny, a nieraz i cyniczny "pomniejszyciel wielkości", który przecież, gdy chce pokazać nam wielkość, czyni to w sposób niezwykle sugestywny i nie pozostawiający żadnej wątpliwości, że oto ten ktoś — mimo wszystkich swych, przez autora nawet uwypuklanych przywar i śmieszności — to wielkość prawdziwa, na miarę Fidiasza, nie Krawca!¹⁾

7. Słabym punktem twórczości Zofii Kossak była także kompozycja, głównie w *Złotej wolności*. Pod tym względem w ogóle nie można jakichkolwiek snuć analogij pomiędzy nią, a Sienkiewiczem, co zresztą żadnej jej nie przynosi ujmy, jako że talentowi kompozycyjnemu twórcy *Quo vadis* nikt nigdy nie dorównał w historii powieści polskiej. Otóż kompozycja *Krzyżowców* jest wspaniała. Jest to niewątpliwy, być może, największy sukces czysto techniczny autorki *Złotej wolności*. Musimy jednak się zastrzec, że nie możemy określić dokładnie, ile w tym fakcie jest zasługi twórcy, a ile zasługi... tematu? Nie zapominajmy bowiem, że przebieg akcji *Krzyżowców* dokładnie pokrywa się z przebiegiem krucjaty — czy więc to nie sama historia przyszła z pomocą pani Kossak, nadając jej opowieści wspaniałe ramy kompozycyjne, w które przed 9 wiekami zamknęła jeden z najbardziej dynamicznych procesów dziejowych?!

¹⁾ Por. „Nowe drogi rosyjskiej powieści historycznej” — *Przegląd Powszechny*, maj 1934.

Od siebie dodała autorka m. in. motyw udziału w krucjacie grupy Polaków ze Śląska, jako zasadniczą ramę kompozycyjną. Posunięcie to właśnie ze względów konstrukcyjnych, jak się okazało, niezbyt szczęśliwe — skądinąd ma ogromnie doniosłe znaczenie. I nie tylko dlatego, że świadczy o patriotyzmie autorki, o jej dumie narodowej i regionalistycznej, która cierpiałaby, gdyby Polacy i Ślązacy nie mieli wziąć udziału w tak wielkim czynie, jak krucjata. Nie, przede wszystkim moment ten ma ogromne znaczenie symboliczne: jak owi Ślązacy w krucjacie manifestują przynależność Polski do kultury łacińsko-europejskiej, zgłaszając swój akces do całej jej wielkiej przeszłości i przyszłości historycznej, do wszystkich tej historii momentów przełomowych — tak i *Krzyżowcy*, sięgając po temat z historii nie polskiej, z historii, co jest „swoją” dla całej Europy — manifestują ambicje i kwalifikacje literatury polskiej do brania udziału w tworzeniu ogólnoeuropejskich dóbr kulturalnych i obejmowania zasięgiem swych zainteresowań i oddziaływań cały świat kulturalny na równi z innymi literaturami europejskimi. W epoce niewoli literatura, pełniąca rolę wódza narodu, nie mogła wychodzić poza granice spraw czysto domowych; gdy raz wyszła (*Quo vadis*, a w pewnym sensie i *Faraon*) zdobyła cały świat. Dziś wolny naród we własnym państwie ma wszelkie dane, by na równi z innymi obejmować szersze horyzonty — horyzonty poza domowe. Tylko w taki sposób zdobywa się pozycję literatury światowej. Pierwszy donioślejszy krok czynią w tym kierunku właśnie *Krzyżowcy*, a czynią to tym bardziej obiecująco, iż są — nie tylko pod względem tematycznym, ale i artystycznym — dziełem bardzo wysokiej klasy wszech europejskiej.

Teodor Parnicki.

Przemiany w Stronnictwie Ludowym.

Przeżywamy niewątpliwie okres znacznego ożywienia życia politycznego w Polsce. To ożywienie polityczne ogarnia coraz większe rzesze. Znamionym przejawem tego ożywienia jest fakt, że proces ten idzie zarówno z góry, od strony polityków - przewodców, jak i z dołu, od mas ludowych miast i wsi.

Można nawet zaryzykować twierdzenie, że ten proces od dołu przejawia szybsze tempo i większą dynamikę. Przy głębszej analizie rzeczywistości społeczno-politycznej nie trudno dojść do wniosku, że jesteśmy w sezonie czy raczej w przededniu mniej czy więcej zasadniczych i wielkich zdarzeń politycznych w naszym kraju.

Do pewnego stopnia wskaźnikiem tego ożywienia politycznego są dokonywane się przemiany w stronnictwach, czy jak się zwykło obecnie mówić „obozach politycznych”. Wskaźnik ten jest dość czuły i miarodajny dla słusznej oceny sytuacji.

„Chłop w Polsce potęgą jest”¹ Ale tej prawdy nie można jeszcze uwieńczyć okrzykiem triumfu. Że lud wiejski jest ilościową potęgą, to już wszyscy zrozumieli, nawet ci spośród mieszkańców Rzeczypospolitej, którzy najmniej mieli zrozumienia dla społecznej rzeczywistości Polski. Mam na myśli marksistów, szczególnie tych ortodoksyjnych, komunistów, którzy przez długie lata uważali włościanstwo za zanikającą klasę społeczną a dziś jeszcze traktują chłopstwo jedynie pod kątem widzenia jego przydatności jako ilościowego sojusznika w ich walce rewolucyjnej, która w swej istocie nie jest ani chłopską ani polską. Z drugiej strony

nasze sfery kapitalistyczne, liberalne, częściowo mieszczańska inteligencja, a w całości żydzi widzieli i widzą tylko ilościową wielkość stanu włościańskiego nie rozumiejąc jego wielkich wartości jakościowych, jego wielkiej twórczej i samoistnej roli w kulturze i moralności, jego wciąż rosnącego wpływu na całość życia społecznego w Polsce.

W świadomości ludzkiej, ściślej w świadomości polskiej i w naszej rzeczywistości potęga chłopska, ta jakościowa potęga przeszła niewątpliwie w stadium realizacji powolnego ale trwałego stawania się.

Trzeba żeby społecznicy i zawodowi politycy wzięli w rachubę jako bezsporny pewnik, że konieczne dziś i przez wszystkich uznane, odrodzenie i konsolidacja narodowa skutecznie dokonane być mogą jedynie przy współudziale i w oparciu o niewyczerpalny rezerwuar ludzki, o niewyczerpalne źródło nowych sił fizycznych i moralnych, jakim jest w Polsce wiejski lud.

Otóż w obecnej rzeczywistości politycznej Polski do wielkich, wpływowych ruchów partyjno-politycznych polskiej wsi należy zaliczyć: Stronnictwo Ludowe i Stronnictwo Narodowe.

Nowo powstały Obóz Zjednoczenia Narodowego płk Koca uczynił ostatnio poważną próbę wdarcia się na ten teren i odegrania tam wielkiej roli. O wynikach jednak tej próby a nawet o jej kierunku jest jeszcze zawcześnie mówić.

Nie zaniedbują również terenu chłopskiego marksiści, zarówno socjaliści jak i komuniści, chociaż ci ostatni czynią to z większym uporem i rozmachem, jednak jak dotąd bez większych sukcesów organizacyjnych.

Nie ulega wszakże wątpliwości, że politycznie i organizacyjnie najsilniejszym stronnictwem na wsi jest Stronnictwo Ludowe.

Polityczny ruch ideowo-chłopski przechodził w odrodzonej Polsce rozmaite koleje. W żadnym innym ruchu politycznym nie było tyle rozłamów partyjnych co w stronnictwach włościańskich. Zjawisko to, niewątpliwie ujemne tak z punktu widzenia interesów polityczno-klasowych włościanstwa jak i z punktu widzenia ogólnopolskiego, da się wytłumaczyć przede wszystkim przez zbyt wybujałe

ambicje i antagonizmy osobiste partyjnych przewodców i z powodu braku jasno wykrystalizowanego światopoglądu ideowego oraz wynikającego stąd zmiennego ustosunkowania się do odrębnych zagadnień społecznych, politycznych czy nawet czysto ideowych.

Poważnym krokiem ku konsolidacji politycznej było dokonane kilka lat temu w 1931 r. połączenie trzech partyj chłopskich: PSL „Piaś”, PSL „Wyzwolenie” i Stronnictwa Chłopskiego w jedno Stronnictwo Ludowe, przy pewnej przewadze elementów z byłego „Piasta”, najbardziej umiarkowanej spośród chłopsko - klasowych partyj. Ta przewaga b. „Piasta” w Str. Ludowym została wzmożona po ponownym odłamaniu się mniejszych grup z byłych członków Str. Chłopskiego (Wrona, Waleron i inni) i byłych członków „Wyzwolenia” (Malinowski, Róg, Langer, Smoła i inni).

Stronnictwo Ludowe liczy obecnie według oficjalnych danych, nie wiele ponad 100.000 zarejestrowanych członków partyjnych. Wpływy jednak polityczne są niewątpliwie o wiele większe, na co wskazały masowe wystąpienia tego Stronnictwa w 1936 roku (Nowosielce, Obchód „Czynu Chłopskiego” w związku z rocznicą 1920 r. itp).

Faktycznym ideowo - politycznym wodzem tego Stronnictwa jest Wincenty Witos, przebywający na emigracji w Czechosłowacji. Autorytet jego jest wielki w masach członkowskich, szczególnie wśród starszych działaczy ludowych i wśród byłych „Piastowców”, napotyka wszakże na niechęć czy zawiść konkurencyjną wśród byłych przewodców „Wyzwolenia” i Str. Chłopskiego, którzy pozostali w zjednoczonym Str. Ludowym i na niezrozumienie oraz opozycyjność pośród młodszej generacji działaczy ludowych, bardziej radykalnych i niecierpliwych. Faktem jest, że Str. Ludowe jest bodaj jedyną dziś partią polityczną w Polsce, która posiada prawie że powszechnie uznanego wodza i to nie tylko w znaczeniu symbolu, sztandaru, ale faktycznego. A to stanowi w polityce czynnik niemałej wagi.

W obecnym okresie ogólnego politycznego ożywienia i przemian, również Stronnictwo Ludowe przechodzi okres pewnych fermentów i dokonywują się w nim znaczne przemiany.

Na czym przemiany te polegają?

Częściowo ujawnił nam to przebieg nadzwyczajnego Kongresu Stronnictwa dnia 17 stycznia br. w Warszawie, a resztę wywnioskować możemy na podstawie studiów wydawnictw Stronnictwa Ludowego i z głosów przeciwników tego Stronnictwa. Zaznaczyć wypada, że sfery kierownicze Stronnictwa Ludowego nie wykazały dotąd chęci czy zdolności zapoznania społeczeństwa z nurtującymi ich ruch zagadnieniami. Twórczość ideologiczna tego Stronnictwa jest nad wyraz mała i słaba. Przyznaje to pośrednio prezes Kongresu styczniowego p. Stanisław Thugutt, gdy z emfazą wygłasza w swoim zagajeniu słowa: „My musimy tworzyć swój światopogląd”.

A nie próbuje nawet dać choćby wytycznych takiego światopoglądu. Kongres Str. Ludowego ani ostatni, ani żaden z poprzednich, tym zagadnieniem światopoglądowym nie chciał się zająć na serio. Wysiłek myśli zastępuje się ślizganiem się po powierzchni zjawisk społeczno-politycznych i unikaniem nawet poważniejszych prób sformułowania własnej ideologii. To jedna z największych słabości Stronnictwa Ludowego. Obok powszechnego do niedawna w Polsce wstępu do głębszych programów, ten brak ideologii w Stronnictwie Ludowym wypływa z jego różnorodnego składu. Chodzi tu o warstwę inteligencką, rządzącą w Stronnictwie. Warstwa ta pochodzi z różnych partij i środowisk, a jednocząc się we wspólnym Stronnictwie Ludowym nie przedstawiali oddzielni członkowie tej warstwy żyć swoimi odrębnymi, a nieraz wzajemnie wykluczającymi się poglądami i mentalnościami.

Unikanie sformułowań ideologicznych tłumaczy się więc obawą przed nowymi tarciami i rozłamami wewnętrznymi. Styczniowy, nadzwyczajny Kongres Str. Ludowego miał przede wszystkim za zadanie zademonstrować na zewnątrz jednolitość szeregów Stronnictwa, i to jednolitość w opozycyjności i bezkompromisowości w stosunku do obecnego systemu rządzenia w państwie. Trzeba przyznać, że w tej czysto taktycznej dziedzinie jednolitość ta wygląda solidnie, nie było w niej sztucznej reżyserii ani nakazu. Stronnictwo Ludowe trzyma się mocno memoriału wręzonego latem

1936 roku w Nowosielcach — generalnemu inspektorowi sił zbrojnych marsz. Śmigłemu-Rydzowi.

Gorzej wygląda z faktyczną jednością, gdy chodzi o drogi realizacji żądań Str. Ludowego. Tu spory są bardzo rozległe, chociaż kierownictwo Stronnictwa dba o to, by oddźwięki tych sporów nie przedostawały się na zewnątrz.

Niezależnie od prób dywersyjnych z zewnątrz, te czynniki, które od zarania ruchu ludowego przyczyniały się do osłabienia spójni organizacyjnej nadal istnieją, może w silniejszej jeszcze formie. Zarówno intrygi oddzielnych przewodców partyjnych, jak i brak jednolitości ideologicznej są nadal tym fermentem, który to, bodajże największe dotąd stronnictwo w Polsce od wewnątrz rozsadza.

Gdy krytycznie badamy przemiany dokonywujące się w Stronnictwie Ludowym napotykamy na ciekawe zjawisko zapanowania również i w tym Stronnictwie pewnych mitów, klóących się ze zdrowym, jak się to mówi, chłopskim rozumem i nie pasujących do współczesnej rzeczywistości. Chodzi przede wszystkim o tzw. polityczną demokrację.

Stronnictwo Ludowe uważa, że dla polskiego włościanina nie ma teraz ważniejszej potrzeby jak walka o ustrój demokratyczny w państwie! Przewodcy Stronnictwa bez głębszej, a nieraz bez żadnej analizy przyjmują za pewnik, że wytwór mieszczańskich rewolucyj XVIII i XIX wieku: parlamentarne i wielopartyjne demokracje odpowiadały, odpowiadają i w przyszłości odpowiadać będą interesom włościanstwa jako klasy i że to w ogóle najidealniejszy na wieki ustrój polityczny.

W tym zagadnieniu wyraźnie widzimy oddziaływanie na umysłowość chłopską obcych jej i zewnętrznych czynników. Ideał ustroju politycznego, który by był dobry na wszystkie czasy i we wszystkich krajach jest paradoksem, a nawet sprzecznością. Lecz nawet z punktu widzenia i interesów klasowo - chłopskich, demokratyczno - porewolucyjny ustrój nie zawsze odpowiadał istotnym interesom ludu. Weźmy na przykład okres panowania Napoleona I. Ustrój ówczesny był niewątpliwie oparty na dyktaturze. A wszak wszyscy historycy są zgodni co do tego, że we Francji w tym czasie chłopom najlepiej się powodziło, o wiele, wiele lepiej niż

w obecnej skrajnie demokratycznej republice i to niezależnie od gospodarczego kryzysu.

Dalej pod pojęciem demokracji można rozumieć wiele przeciwnych sobie rzeczy. O najpełniejszej, najkonsekwentniejszej demokracji deklamują dziś najwięcej bolszewicy to jest właśnie ci, którzy u siebie zaprowadzili ustrój najbardziej wrogi interesom ludu. A z drugiej strony może powstać pytanie czy w klasycznym ustroju faszystowskim, we Włoszech, lud w najszerszym i najprawdziwszym tego słowa znaczeniu nie żywi głębokiego zaufania do państwa faszystowskiego i jego wodza Mussoliniego?

Gdy zaś od rozważań ogólnych przejdziemy do konkretnej sytuacji Polski to widoczna jest nierealność całej tej hiper-demokratycznej gadaniny obecnych przewodców Stronnictwa Ludowego.

Bo, o ile przyjmiamo, że sytuacja Polski istotnie wygląda tak, jak ją namalował prezes Kongresu St. Thugutt w słowach:

Ojczyzna w niebezpieczeństwie. My idziemy naprzód prosto do wojny światowej, a stosunki wewnętrzne nie zapowiadają spokoju. My nie chcemy rewolucji, bo w to wmieszać się mogą obcy.¹⁾

to musimy sobie odrazu odpowiedzieć, czy dla takiej właśnie sytuacji celowa jest partyjno-parlamentarna demokracja?

Kto rozumuje, jak ten chłopski działacz p. Franciszek Słysz, ten sam, który wręczył rezolucję w Nowosielcach marsz. Śmigłemu-Rydzowi, że:

Na pierwszym planie stawiamy ugruntowanie naszej państwowości przez zapewnienie Polsce bezpieczeństwa i siły na zewnątrz, a ładu i porządku na wewnątrz,

ten musi też zrozumieć, że Polsce potrzebny jest ustrój państwowy dość daleko odbiegający od wzorów skłóconego partyjnie ustroju demokratyczno-liberalnego.

¹⁾ Ten i inne cytaty z Kongresu wzięte są ze sprawozdań ogłoszonych w centralnym organie Stronnictwa Ludowego *Zielony Sztandar* z dnia 24. I. 1937 r.

Słowa głównego referenta Kongresu, Macieja Rataja o stawce ludowców na demokrację brzmią obco, jak gdyby ten polityk przejął żywce od marksistów poszufladkowanie społeczeństwa na kategorie polityczne:

Sanacja mówi, że wobec tego (naszego położenia geopolitycznego między hitleryzmem a bolszewizmem) musi utrzymać w Polsce rządy silnej ręki.

Inni mówią, że trzeba komunizmowi przeciwstawić faszyzm, inni znów chcą od faszyzmu bronić się komunizmem. Jest to metoda leczenia tyfusu — cholera. Stronnictwo Ludowe zaś ma zasadę, że Polska musi być demokracją, łączącą wolność z dyscypliną.

Obraz bardzo uproszczony i nie mający nic wspólnego z rzeczywistością Polski. Przewódca Stronnictwa p. Rataj przyjinuje frazes o faszyzmie w Polsce od socjalistów i komunistów, nie starając się nawet bliżej scharakteryzować kogo i co ma na myśli. Nic też dziwnego, że gdy na przykład filosemiccy działacze Stronnictwa utożsamiają „faszyzm z endecją“, to tzw. antyklerykali-ludowcy pojęli to inaczej, równając faszyzm z katolickim Kościołem, a jeden z delegatów jeszcze wyraźniej sformułował swe przekonania, twierdząc, że „Akcja Katolicka — to faszyzm“. Dla innych znowu „faszyzmem“ jest — „sanacja“. A jeśli już chodzi o pełnię prawdy to warto spytać działaczy Stronnictwa Ludowego: kto to w Polsce każe „leczyć komunizm faszyzmem“?

W ogóle stawianie zarówno w przemówieniach, jak i w uchwałach Kongresu na jednej płaszczyźnie realnego niebezpieczeństwa komunistycznego z wyimaginowanym wewnętrznym niebezpieczeństwem polskiego faszyzmu jest albo agitacyjnym ułatwianiem sobie zadania, albo też operowaniem frazesami, których treści dobrze nie przemyślano.

Tak czy owak, frazesy te puszczane w chłopskie masy mogą poczynić niepowetowane szkody dla interesów państwowych Polski i dla samej warstwy chłopskiej. Słuszna teza o łączeniu „wolności z dyscypliną“ może być urzeczywistniona w konkretnych warunkach Polski bez kopiowania ustrojów naszych bliższych sąsiadów i to nie tylko od ZSRR i Niemców, ale również... od Czechosłowacji.

Niemniej nierealną od stawki demokratycznej jest wyrażana i coraz mocniej, coraz bardziej demagogicznie podkreślana klasowość Stronnictwa Ludowego.

Okres rozbitcia się narodów na zasadniczo i wiecznie zwalczające się klasy społeczne ma się na szczęście ku końcowi. Ten ujemny produkt społeczny, który osiągnął swój najwyższy szczyt w XIX wieku i w pierwszym ćwierćwieczu obecnego stulecia ustępuje coraz wyraźniej miejscu współpracy klas w ramach jednolitego narodu i porządnie zorganizowanego państwa. Czy znaczy to, by nie było potrzeby, teraz i w przyszłości, obrony interesów społeczno-gospodarczych i kulturalno-politycznych oddzielnych stanów i klas społecznych? Bynajmniej. Jak długo różnice społeczne istnieją, potrzebna i pożyteczna jest obrona pewnych odrębnych interesów stanowych. Do tego właśnie potrzebne są w ramach ogólnej organizacji państwowej czy narodowo-społecznej specjalne organizacje zawodowe, kulturalne itp.

Rola natomiast partii politycznej — każdej partii — to dążenie do władzy w państwie, to walka o tę władzę. Gdy zaś partie organizują się według zasad klasowych to walka o władzę w państwie łatwo zamienić się może, a nawet zamienić się musi w walkę klasową o władzę i w dalszej konsekwencji w rewolucję socjalną tak usilnie propagowaną przez szkołę marksowską.

Zgubą dla współczesnego państwa jest, gdy państwo staje się narzędziem jednej tylko klasy społecznej. Współczesne państwo nie może skutecznie spełnić swojej funkcji społecznej jak tylko jako wyraziciel interesów narodu jako całości. Po co więc w obecnych czasach i w teraźniejszej rzeczywistości Polski potrzebna jest klasowa polityczna partia chłopska?

Nawet gdy uznamy teoretycznie uzasadnienie potrzeby walki o ustrój parlamentarno-demokratyczny w państwie, to jeszcze i wówczas nie sposób pogodzić się z myślą, że ma to być ustrój, oparty na klasowej misji wiejskiego ludu. Konkretnie dziś za taką demokracją wypowiada się również PPS i socjalistyczne Związki Zawodowe. Nawet komuniści zaklinają się w swojej wierności dla demokracji. A wreszcie wszelakie czynniki radykalno-masońskie i liberalno-burżua-

zyjne widzą w demokratycznym ustroju jedyną, obecnie możliwą dla siebie formę ustroju państwowego, Polski. W tym najważniejszym dziś dla Str. Ludowego zagadnieniu, klasowość chłopska czy inna, nie ma więc żadnego głębszego uzasadnienia.

Ciekawe, że w zewnętrznie arcy-demokratycznej Czechosłowacji, skąd część ludowców czerpie swe natchnienie, Stronnictwo Republikańskie (tzw. „Agrariusze”), odpowiednik naszego Str. Ludowego, wcale tak mocno nie podkreśla swojej klasowości chłopskiej, a ma ambicje być partią ogólnonarodową i jest nią też w pewnej mierze. To samo widzimy w szeregu innych krajów demokratycznych. Wyraźnie klasowe partie chłopskie widzimy najczęściej w krajach bałkańskich i naprawdę lud polski nie potrzebuje zazdrościć tych wzorów...

O ile więc obecnie dokonywujące się przemiany pójdą w kierunku dalszego zaostrzenia momentu klasowości w Stronnictwie Ludowym, to ruch ten o bogatej przeszłości niechybnie zejdzie na manowce. Ostać się ten ruch potrafi tylko w razie zawrócenia z torów klasowych na drogi ogólnonarodowe. I nie tylko się wówczas ostanie, lecz przy odpowiedniej polityce, ma nawet szanse odegrania wielkiej, a może decydującej roli w przyszłym rozwoju społeczno-politycznym Rzeczypospolitej, właśnie dlatego, że włościanstwo jest ilościowo i jakościowo najważniejszą warstwą naszego narodu.

Groźnym zjawiskiem w Stronnictwie Ludowym jest dalej zaznaczająca się wyraźnie obojętność czy może nawet wrogość tego Stronnictwa lub raczej sfer kierowniczych Stronnictwa, do Kościoła katolickiego. Chłop polski był, jest i będzie ostoją wiary katolickiej w Polsce. Prawdziwe nastroje chłopstwa polskiego wyraził na Kongresie Stronnictwa Ludowego, cytowany już delegat p. Słysz, gdy gorące swoje przemówienie, przy wręczaniu sztandaru Kongresowi zakończył staropolskim i katolickim hasłem-modlitwą: „Tak nam dopomóż Bóg!”. Ale to był głos na Kongresie odosobniony. Kongres stronnictwa mającego za członków bodajże samych rdzennych katolików rozpoczął się bez Boga, bez gromadnego udziału we Mszy św. Czy

ten szczegół nie symbolizuje manowców, na jakie wkroczyło to polskie Stronnictwo?

W przemówieniu obecnego oficjalnego wodza Stronnictwa p. Rataja mamy nadto groźbę-ostrzeżenie, skierowane pod adresem duchowieństwa katolickiego; p. Rataj oświadczył:

Naszym celem nie jest walka z religią, ani z Kościołem, ale ostrzegamy duchowieństwo, że wobec uderzenia(?) w cały(?) nasz ruch — nie będziemy milczeć.

Uprzedzając zapowiedzi swego wodza niektórzy przewodcy zaprzestali „milczeć”. Wystąpienia, zupełnie nie sprovokowane, przeciw Kościołowi mnożą się. Sygnalizują o tym ze wszystkich stron kraju. Więcej, pośród młodszej generacji ludowców (szczególnie pośród „Wiciowców”) szerzy się w zastraszający sposób neopogaństwo w „najczystszej”, ba nawet hitlerowskiej (mimo wrogości do faszyzmu) postaci.

Oto próbka tego neopogaństwa, jedna z bardzo, bardzo wielu. W numerze świątecznym na Boże Narodzenie *Zielonego Sztandaru*, (z 25. XII. 1936 r.) znajdujemy wiersz pt. „Nowina” poety ludowcowego p. St. Młodożeńca, w którym m. in. czytamy:

Siekirkami, psia go mać,
Wyładziemy, co nas stać!...
Motykami, psia go mać,
Przykażemy słońcu grzać!

„Budująca i chrześcijańska” lektura dla działacza ludowcowego przy stole wigilijnym...

I jakby echo na zarzuty programu PPS przeciwko Kościołowi,¹⁾ powtarza przewodca Str. Ludowego na emigracji p. K. Bagiński iż:

Kościół chlubi się(?!), że pod jego skrzydła schroniła się inteligencja. Tak, to prawda. Ale jest również prawda, że stało się to w tym czasie, gdy kler daje rozgrzeszenie dla najniższych instynktów ludzkich.²⁾

Ileż w tym jednym zdaniu typowego wykolejenca inteligentkiego kryje się zakłamanie i klasowej nienawiści do in-

¹⁾ *Przegląd Powszechny* za marzec 1937 r. „Drogi PPS”.

²⁾ *Zielony Sztandar* z 10. I. 1937 r. artykuł „Zmierzch inteligencji”.

teligencji i do kleru! Ani jeden, ani drugi zarzut nie jest prawdą. Inteligencja polska, niestety, jeszcze niezupełnie schroniła się pod skrzydła Kościoła, nie miał więc Kościół jeszcze okazji do chlubienia się. A to „rozgrzeszenie najniższych instynktów ludzkich” brzmi paradoksalnie w ustach klasycznego demagoga wiecowego, który tylko na apelowaniu do takich instynktów żeruje. Czyżby pobyt na emigracji w Czechach, aż tak zaślepił p. Bagińskiego, czy też jest to odrodzenie starej mentalności „Wyzwolenia”? Można się jednak spodziewać, że rozważniejsi przewodcy Stronnictwa Ludowego i sami rozumieją i przekonanie to wpoją w całe Stronnictwo, że jakikolwiek ruch, chcący się opierać na chłopach polskich nie może nie być w zgodzie z trwałym i na nowo potężnie odradzającym się poczuciem przynależności do Kościoła katolickiego i czynnego, głębokiego przywiązania do wiary ojców. W duszy chłop polskiego katolicyzm i Polska są ze sobą nierozzerwalnie związane i to raz na zawsze.

Kościół zaś jako taki nie mieszał się i nie myśli się mieszać w różne aktualne rozgrywki polityczne — o tym wie każdy z nas, świeckich katolików, a powinni również wiedzieć wszyscy przewodcy ludowcowi, choćby nawet należeli do ludzi niereligijnych.

Szczególny jednak dynamizm ideowo-polityczny przejawia się w życiu społecznym młodszego pokolenia, które wyrosło już w Polsce państwowo niepodległej. Tyczy się to zresztą młodzieży wszystkich stronnictw i obozów politycznych.

Ale żadne chyba Stronnictwo nie ma tylu „kłopotów” ze swoją młodzieżą, co Stronnictwo Ludowe. Związek Młodzieży Wiejskiej „Wici” (w niektórych dzielnicach kraju występuje też pod nazwą „Znicz” i pod innymi nazwami) jest organizacją faktycznie zależną od Str. Ludowego, ale silnie fermentującą (jak każde młode wino). W całej tej organizacji dadzą się ustalić pewne, coraz wyraźniej krystalizujące się tendencje.

Przede wszystkim ogólna tendencja opanowująca masy członkowskie i absolutną większość kadr kierowniczych „Wici” to przeciwstawienie się starym w Stronnictwie Lu-

dowym, w pierwszym rzędzie, bardziej umiarkowanym byłym „Piastowcom“.

Drugą nurtującą silnie tendencją to dążność, a gdzieś niegdzie już realizacja, tak zwanej współpracy czy współdziałania z młodzieżą robotniczą, ściślej mówiąc chodzi o młodzież socjalistyczną, a nawet komunistyczną.

Trzecią taką ogólną tendencją „Wici“ to wyraźniejszy kurs lewicowy w walce z tzw. „reakcją“, tzn. „fasyzmem“ i — oczywiście z katolickim klerem.

Czwartą widoczną tendencją jest stanowisko „Wici“, w odróżnieniu od stanowiska kierownictwa Stronnictwa Ludowego, że w swojej działalności ludowcy powinni kłaść większy nacisk na przebudowę społeczną, na konieczność planowości w gospodarce i na działalność społeczno-oświatową, nie ograniczając się jedynie do działalności czysto politycznej.

I wreszcie tendencją silnie w „Wiciach“ panującą jest ideologia kolektywizmu gospodarczego, a przynajmniej syndykalizmu jako etapu do kolektywizmu. W swoich poglądach programowych, ostatecznie jeszcze nie sformułowanych „Wici“ wypowiadają się za socjalistycznym programem upaństwowienia lasów, kopalń, banków itp., za bezpłatną oświatą „wolną od kleru“ itd.

Ten ruch „Wiciowy“ dlatego jest taki kłopotliwy dla Str. Ludowego, że gdy w Stronnictwie myśl ideologiczna jest w zupełnym zastoju, to wśród młodzieży ludowej odbywa się bardzo ożywiona działalność myślowa z wyraźnymi tendencjami przejmowania modnych, radykalnych, najczęściej socjalistyczno-komunistycznych poglądów.

Same „Wici“ są, rzecz zrozumiała, wewnętrznie niejednolite. Krystalizuje się tam pięć grup o odmiennych obliczach ideowo-politycznych.

1. Kierownicza grupa starszych „Wiciowców“ (Niećko, Błasiak, Rek, Solarz i inni), jest lojalna w stosunku do Stronnictwa Ludowego, reprezentuje poglądy skrajnej klasowości chłopskiej ruchu ludowego. Teren wpływów głównie środkowa Małopolska.

2. Zupełnie ścisła grupa partyjna w „Wiciach“ (Grudziński, Strojek i inni), ze znacznymi wpływami w Wielko-

polsce i Małopolsce zachodniej jest bezpośrednim ambasadorem Str. Ludowego w „Wiciach” i szerzycielem tendencji „wiciowych” w Stronnictwie Ludowym.

3. Grupa spółdzielcza (Miłkowski, Domański — prezes „Wici” i inni) kładzie nacisk na działalność gospodarczo-spółdzielczą i na momenty społecznej przebudowy wsi. Wypowiada się za ideą szerokiego „frontu demokratycznego” wraz z PPS, ZZZ, „Naprawą” itp. Przecistawia się politycznej działalności Witosa i w ogóle byłych „Dziastowców”.

4. Grupa lewicowa (Ignar, Balcerzak, Lutyk, Świetlik, Solarzowa i inni), ujawnia wyraźne tendencje usamodzielnienia się od Stronnictwa Ludowego i kroczenia własnymi drogami. Jest nie tylko za „frontem demokratycznym”, ale zasadniczo zgadza się na „antyfaszystowski front ludowy” w ujęciu komunistycznym. Ma wpływy w województwach łódzkim i lwowskim. Jej organem było *Chłopskie Życie Gospodarcze* w Łodzi, ostatnio zawieszone w swej działalności.

5. Grupa komunizująca (Wieczorek, Wolski i inni), mocno popierana przez część lewicowej inteligencji ludowcowej (inż. Drzewiecki z zamkniętego *Dziennika Popularnego*) oraz przez radykalnych pisarzy tzw. ludowych (Czuchnowski, Skura, Burek i inni). To grupa, która ma w swoich szeregach obok zdeklarowanych komunistów, działaczy i członków „Wici” wypowiadających się za ścisłą współpracą nie tylko z socjalistami ale również z komunistami i za ostrą, rewolucyjną walką z obecnym ustrojem politycznym Polski. Grupa ta posiada wpływy w plockim, w pow. mińsko-mazowieckim a częściowo w lubelskim, kieleckim i łódzkim.

„Wici” posiadają swój ośrodek ideologiczny i szkołę kadrów w Uniwersytecie Ludowym w Gaci Przeworskiej!

Wśród wszystkich ogniw organizacyjnych „Wici” — Wielkopolski Zw. Młodz. Wiejskiej ustosunkowuje się bardziej pozytywnie do religii. W reszcie tej organizacji silnie panują tendencje areligijności, a nieraz nawet pogaństwa i wojującego bezbożnictwa.

Na styczniowym Kongresie Str. Ludowego grupa delegatów i „gości” usiłowała wyraźnie forsować stanowisko za „frontem ludowym”. Współdziałali tu przede wszystkim lewi-

cowcy i elementy komunizujące z „Wici”. Z zewnątrz starał się na to wpływać zamknięty *Dziennik Popularny*.

Lecz Kongres wyraźnie odgrodził się od tego stanowiska, nie zgadzając się nawet na wyraźną i stale wiążącą współpracę z PPS, do czego skłaniają się w Str. Ludowym radykalno-inteligenckie elementy grupujące się koło Thugutta, adw. Gralińskiego i wiciowca Reka.

Na lewicowe tory pcha Stronnictwo Ludowe działająca tam grupa masońska. Że to nie tylko domysły i wrażenie obserwatora świadczy specjalna uchwała styczniowego Kongresu, opiewająca:

Kongres stwierdza, że członkiem Stronnictwa Ludowego może być tylko jednostka całkowicie niezależna i nieskrępowana w swym sumieniu przez jakiegokolwiek organizację tajną lub jawną.

Formuła tego uchwalonego wniosku nie jest zbyt wyrażna. Wnioskodawcy chodziło niewątpliwie o wyrugowanie ze Stronnictwa masońskich prowodyrów, ale widocznie kierownictwo Kongresu (w prezydium na 5 członków zasiadało aż 3 dobrze znanych ze swoich poglądów przewodców — Thugutt, dr Putek i Irena Kosmowska) postarało się o stopień ostrza tego wniosku. Tak jak ta uchwała ostatecznie brzmi jest ona wykwitem największego braku logiki. Bo według tej uchwały konsekwentny katolik nie mógłby należeć do Str. Ludowego, bo katolik jest „skrępowany” w swym sumieniu (przykazaniami boskimi i kościelnymi) i należy do „organizacji jawnej” (Kościół). Takie to nielogiczne wyskoki potrafią zrobić na „demokratycznych” Kongresach, demokraci szczególnego zabarwienia. Podobno i wniosek antyżydowski uległ dziwnej ewolucji a potem po prostu zniknął za kulisami komisji.

Jest rzeczą bardzo ciekawą jak ustosunkowują się komuniści do obecnej polityki Stronnictwa Ludowego. Poznanie stosunku komunistów do zjawisk naszego życia politycznego jest nader pouczające. Do pewnego stopnia można w ten sposób poznać chore i zdrowe miejsca naszego życia zbiorowego. Ogólnie rzecz biorąc, z tym, co komuniści chwają, jest coś nie w porządku, a naodwrot to co gania, jest widocznie dodatnie z punktu widzenia interesów Polski.

Ograniczymy się do zacytowania najbardziej miarodajnego głosu:¹⁾

Nie ma wroga na lewicy. Zrozumienie tej elementarnej prawdy powstaje w partiach socjalistycznych i w Stronnictwie Ludowym. I to jest w dużej mierze zasługą naszej partii.

Komuniści polscy widzą dziś w socjalistach i ludowcach sprzymierzeńców w walce z faszyzmem.

Komuniści odrzucają metody frakcyjnego rozsadzania tych partij od wewnątrz.

Komuniści gotowi są poprzeć każde porozumienie między tymi stronnictwami, zakładające podwaliny pod szeroki front demokratyczny. Ośrodkiem takiego frontu powinno stać się porozumienie partij socjalistycznych, Stronnictwa Ludowego i zjednoczonych związków zawodowych.

Całe doświadczenie okresu przedmajowego (1926 r.) wykazało, że „demokracja” szukająca wroga nie tyle na prawicy, ile na lewicy, zapędzająca w podziemia komunistów, demokracja podporządkowana reakcyjnemu klikom wojskowemu, w imię rzekomej obrony państwa, torowała drogę faszystowskiej dyktaturze.

Dalej p. Leński (główny agent Stalina w Polsce) chwali stanowisko zajęte przez krakowski organ Str. Ludowego *Piast* w artykule przedkongresowym, z którego cytuje następujące miejsce:

W myśl naszych uchwał jesteśmy gotowi do każdego porozumienia demokratycznego, które ma na celu likwidację systemu rządzenia ostatnich lat 10 i urzeczywistnienie warunków, ujętych przez Str. Ludowe w memoriale nowosielskim.

Do tych słów Leński dodaje od siebie: „Prosto i dobitnie, jak na demokratów przystało”, przeciwstawiając język Str. Ludowego jako „niewątpliwie bardziej wyrazisty niż język PPS”.

Chwali p. Leński Str. Ludowe: za słuszne stanowisko w sprawie wolności politycznej i związanej z tym obrony niepodległości Polski; za uchwałę Kongresu przeciwko Berzie Kartuskiej i za żądanie amnestii dla Witosa i pozostałych emigrantów brzeskich; za część uchwały politycznej Kongresu, która mówi o „współdziałaniu z ugrupowaniami

¹⁾ *Przegląd* — styczeń-luty 1937 r. Organ Politbiura KC. KPP wychodzący w Brukseli. Artykuł J. Leńskiego pt.: „Nie ma wroga na lewicy”.

szczerze demokratycznymi dla realizowania konkretnych celów bez ograniczenia samodzielności Str. Ludowego". Chwali też za opozycję Str. Ludowego przeciw polityce zagranicznej min. Becka. Po czym stawia swoje żyro:

Pod tymi postulatami podpisze się każdy, kto uważa, że na porządku dziennym stoi obecnie walka o demokrację Polski. Podpiszą się również komuniści, walczący w pierwszych szeregach ludu o swobody demokratyczne.

Ma wszakże p. Leński także pretensje do Stronnictwa Ludowego. Krytyka jego sprowadza się do czterech punktów uchwał styczniowego Kongresu, a mianowicie:

1. Niesłusznie — zdaniem p. Leńskiego — Str. Ludowe ogranicza się do postulatu amnestii dla „emigrantów brzeskich”, powinno wysuwać żądanie amnestii dla wszystkich więźniów i emigrantów politycznych. Widocznie ZSRR chętnie pozbył by się tych kilkuset „polskich” komunistów bruźdzących i radykalizujących w „raju” sowieckim, a którzy byli by dla Moskwy nieocenionym wprost elementem rozsadzającym Polskę od wewnątrz...

2. Źle czyni Str. Ludowe gdy wysuwa hasło „reformy rolnej”, zamiast rewolucyjnego hasła: „ziemia bez wykupu”.

3. Wypowiada się przeciwko złudzeniom i nadziejom (podobno panującym w Str. Ludowym) że uda się „bez wstrząsów” przejść od „systemu sanacyjnego do demokracji”.

4. Ostro wypowiada się przeciw zastrzeżeniom Str. Ludowego przeciw komunistom i uleganiu „faszystowskim bredniom o czerwonym imperializmie”.

Poznanie tego stanowiska KPP jest konieczne, by zrozumieć, co złego grozi Stronnictwu Ludowemu w ostatnio dokonywujących się przemianach. A swoją drogą przewódcom Str. Ludowego nie zaszkodziło by przemyśleć własne drogi rozwoju pod kątem widzenia wyżej przytoczonych pochwał i zarzutów komunistów.

Dla dalszej taktyki Stronnictwa Ludowego miarodajna jest uchwała Kongresu, która wypowiada się przeciwko współpracy z „faszystami i komunistami” i nawet z „jakimkolwiek bądź innym ugrupowaniem, dążącym do wprowadzenia dyktatury”. Czyżby to oznaczało, że Str. Ludowe

jest przeciw współpracy z PPS, która w swym programie wypowiada się za „czasową dyktaturą”? Myślę, że „realni” politycy ludowcowi, autorzy uchwał Kongresowych, nie przywiązują zbyt wielkiej wagi do słów rezolucyjnych i stąd ten brak ścisłości oraz jasności.

Stronnictwo odkłada opracowanie konkretnego planu gospodarczo-społecznego na okres późniejszy, po dojściu do władzy, ograniczając się na razie do wysuwania dwóch zasadniczych haseł: reformy rolnej i uprzemysłowienia kraju oraz wielkich robót publicznych, wypowiadając się przy tym (w odróżnieniu od socjalistów i „wiciowców”) przeciw etatyzmowi i zbiurokratyzowaniu życia gospodarczego.

Doświadczeni, zdawało by się przewodcy partyjni, dobrze nie zrozumieli współczesnej, że tak powiem „socjologii” ruchów politycznych. Programy społeczno-gospodarcze służą tu jako platforma mobilizacyjna mas i dostarczają celu w walce o władzę. To „odkładanie na później”, może subiektywnie uwarunkowane niechęcią posługiwania się demagogią, świadczy zarazem jeszcze raz, o braku wykrystalizowanej myśli ideologicznej we współczesnym ruchu ludowym w Polsce.

Jak Stronnictwo Ludowe zamierza realizować swoje postulaty? O jakiejś przemyślanej i opracowanej strategii i taktyce politycznej trudno w tym Stronnictwie mówić. Tu taktykę określa się od wypadku do wypadku, empirycznie i... eklektycznie.

Z wydawnictw Stronnictwa można wywnioskować, że w najbliższym czasie, po odmownym i negatywnym stanowisku w stosunku do deklaracji pułk. Koca i Obozu Zjednoczenia Narodowego, Stronnictwo Ludowe przystąpi do nowego wyprowadzania mas chłopskich na ulicę. Projektuje się więc masowy obchód Rocznicy Racławickiej. Dalej władze partyjne podejmą rzuconą na styczniowym Kongresie inicjatywę Ogólnopolskiego Zjazdu Chłopskiego w Warszawie, połączonego z marszem wielotysięcznych mas chłopskich na Warszawę. Odżyła by więc koncepcja formy walki wysunięta na słynnym Kongresie Centrolewu w Krakowie. Możliwe też jest, że w związku z odmownym stanowiskiem rządu w sprawie amnestiowania p. Witosa i innych emigrantów

brzeskich (Kiernika, Bagińskiego i Liebermanna), wszyscy oni lub niektórzy z nich zjawia się samowolnie w odpowiednim czasie w kraju. W czasie Zjazdu Chłopskiego ma być w całym kraju proklamowany strajk powszechny rolników. Dalej, zdaje się, myśl strategiczno-taktyczna w Stronnictwie Ludowym nie sięga. I w tym tkwi wielkie, bardzo wielkie niebezpieczeństwo. Rozkołysać masę w okresie jeszcze trwającej biedy materialnej i znacznego politycznego niezadowolenia w kraju nie jest znów tak trudno. W każdym razie Stronnictwo Ludowe stać na to. Ałoli gorzej przedstawiać się będzie sprawa z pohamowaniem rozkołysanej i uruchomionej masy, z utrzymaniem jej w granicach legalnych, dla całości państwa nieszkodliwych.

Teraz dopiero może zrozumieją krótkowidze polityczni czemu to komuniści są za „frontem demokratycznym“...

Zawodne, na dłuższą metę, są nadzieje, że środkami administracyjnymi można po prostu zlikwidować taki ruch, jaki reprezentuje Stronnictwo Ludowe. Stronnictwo wzięło kurs na zaostrenie swojej taktyki politycznej. O ile nie zostaną spełnione te żądania ruchu ludowego, które możliwe są do spełnienia, jak np.:

1. Amnestia dla Witosa i jego towarzyszy z emigracji,
2. rewizja ordynacji wyborczej w kierunku umożliwienia również polskim opozycyjnym czynnikom politycznym dojścia do wpływów w państwie i wyłonienia takich ciał ustawodawczych, które naprawdę reprezentować będą opinię publiczną narodu, i wreszcie

3. przeprowadzenie racjonalnej na kryteriach narodowych i gospodarczo-społecznych opartej reformy rolnej oraz praktycznego przyspieszenia i ułatwienia przejścia nadmiaru ludności wiejskiej do przemysłu, handlu i rzemiosła — to należy się obawiać wstrząsów wewnętrznych, które nie wyjdą, w obecnej naszej sytuacji, na pożytek naszego państwa, w obecnej zwłaszcza koniunkturze politycznej!

Stronnictwo Ludowe, które reprezentuje znaczne masy włościaństwa polskiego, przechodzi okres daleko sięgających przemian. Pozbawione bezpośredniego kierownictwa ze strony faktycznego wodza, a co wielokroć ważniejsze pozbawione jasnej, przemyślanej do końca ideologii i strategii politycznej,

oraz obciążone balastem fałszywych, obcych i szkodliwych poglądów, które usiłowaliśmy poddać analizie i ocenie — może z tego procesu przemian wyjść nie tylko rozbite logiką, nie przemyślanej do końca, walki, ale może również służyć jako taran bijący nie tylko w najżywotniejsze interesy całego kraju ale i samej klasy chłopskiej — największej i podstawowej warstwy społecznej Polski współczesnej.

J. Skaliński.

Zagadnienia dostępu do surowców i kolonij.

I.

Ostatnie lata światowego kryzysu gospodarczego nadały specjalnej wagi zagadnieniu kolonialnemu oraz związanej z nim sprawie surowcowego zaopatrywania się we własnych granicach celnych. Właściwe rozwiązanie tych problemów stanowi dla państw nie rozporządzających własnymi rynkami surowcowymi i większymi zasobami dewizowymi kwestię bytu. Zagadnienie zaostrza się niepomierne, jeśli ponadto państwa te są pozbawione kapitałów a zmuszone do wyżywiania przeludnionego zespołu swych obywateli. Odczuwając dotkliwie niezadawalniający stan faktyczny tych spraw, każde z mocarstw nim dotkniętych chwytą się rozmaitych sposobów dla pomyślnego rozwiązania tego zaognionego problemu. Japonia i Włochy zmierzają do tych rozwiązań zbrojnie, na własną rękę i własne ryzyko. Rzesza Niemiecka, wysuwając je w licznych publicznych wystąpieniach swych wodzów, usiłuje wyzyskać polityczny rozgardiasz Europy i drogą dwustronnych pertraktacyj uzyskać zadośćuczynienie swym żądaniom. Polska, wychodząc z założeń solidaryzmu międzynarodowego i wzajemnej rozwojowej współzależności państw, wysuwa te zagadnienia na forum Ligi Narodów. Brytyjskiej też i polskiej inicjatywie zawdzięcza swe istnienie specjalna Komisja Surowcowa, utworzona uchwałą Rady Ligi Narodów i mająca się zebrać w marcu dla omówienia tych wszystkich zagadnień. Rozmaitość metod, stosowanych

przez mocarstwa w ich usiłowaniach rozwiązania zagadnień kolonialnych i surowcowych, oraz ich szeroki zasięg geograficzny, świadczą dowodnie, że są one dzisiaj niewątpliwie najbardziej poważnymi zagadnieniami wielkiej polityki światowej.

II.

Kolonizacyjny wysiłek Europy, podnoszący walory gospodarcze i cywilizacyjne krajów zamorskich, przebył w ciągu kilku stuleci długą ewolucję. Poszczególne jej fazy, będąc refleksem gospodarczych i politycznych nastawień Europy, oraz ogólno-światowych koniunktur, nosiły w sobie niemniej wyraźne cechy narodów, przodujących w danym okresie w poczynaniach kolonizacyjnych, lub biorących w nich przynajmniej czynny udział.

Ideowe założenia kolonizacyjne Hiszpanów, przenoszących na terytoria zamorskie zapal walki z niewiernymi, zrodzony w bojach o wolność własnej ojczyzny, zbyt szybko niestety skorumpowane zapędami użycia, umożliwionego dzięki olbrzymim a łatwo zdobytym skarbowi, nadały piętno hiszpańskiej cywilizacji całemu kontynentowi, lecz roztrwożyły początkową energię samej macierzy i przyniosły jej długie wieki upadku, oraz ostateczną utratę tych posiadłości.

Poczynania kolonizacyjne Portugalii wychodziły z nieco innych założeń. Przypisując mniejszą wagę efektywnemu władaniu terytoriami zamorskimi, zmierzają one raczej do opanowania handlowego monopolu produktów kolonialnych z Afryki i Azji, rozbudowując w tym celu szereg baz ufortyfikowanych, mających strzec i kontrolować morskie drogi komunikacyjne.

Kolonizacyjna akcja Portugalczyków bardziej nastawiona na cele i rachuby gospodarcze znalazła potężnego rywala w Holendrach oraz w Anglikach. W te same walce o możliwości gospodarczej eksploatacji zasobów kolonialnych, toczonych przez Holendrów z państwami iberyjskimi, pragnącymi zachować wyłącznie dla siebie jej korzyści i tym samym uzależnić od siebie resztę Europy, te właśnie „gospodarcze uzdolnienia Holendrów, tak kontrastujące z hiszpań-

skimi, dawały im na terenie materialnym niewątpliwe pierwszeństwo przed Hiszpanami".¹⁾

Usiłując zapewnić sobie pierwszeństwo na morzach i w posiadaniu dominiów kolonialnych, oraz nie unikając w realizowaniu tych dążeń najbardziej brutalnych środków, brytyjskie poczynania kolonialne udostępniały jednak również i innym narodom pewne, skromne wprawdzie, korzyści z tej eksploatacji. Anglicy bowiem uważali, że zyski z tej eksploatacji będą tym większe, im potężniejszymi staną się obroty tych kolonii z Europą. Wychodzili oni z założeń, że Europa mająca być dobrym klientem brytyjskiego handlu zamorskiego, umożliwiającym mu dalszą rozbudowę jego potęgi, winna, niezbyt wzbogacając się, posiadać jednak określone środki dla dokonywania tych zakupów.

Jeżeli cechy narodowe w tej lub innej mierze wpływały na ukształtowanie poglądów i metod działań kolonialnych, to jednak czynnikiem najbardziej decydującym o ustosunkowaniu się Europy do zagadnień kolonialnych, bywał zawsze stan jej politycznego i gospodarczego rozwoju. Pierwociny kolonizacyjne zastały Europę w początkach przebudowy jej stanu politycznego i gospodarczego. Wewnętrzne te jej kłopoty pozwoliły Hiszpanom i Portugalczykom na zagarnięcie nie tylko całości ziem już odkrytych, lecz w ich rękę zostawiły także i dalsze możliwości odkryć i nowych zdobyczy. Długi okres formowania się nowoczesnego oblicza Europy, oraz trwający przez szereg stuleci jej prymitywizm gospodarczy, użytkujący prawie wyłącznie produkty miejscowej wytwórczości, ułatwiał Holendrom, Anglicom i Francuzom zamykanie dostępu na ich terytoria kolonialne innym narodom. Wyłączność metropolij w dysponowaniu i użytkowaniu kolonij jest przez długi szereg stuleci powszechnym publicznym prawem Europy.

Wiek XVIII, rozszerzając polityczne i społeczne podstawy państw, wywołuje nie tylko decyzje Kongresu Wiedeńskiego o koniecznościach pewnej ochrony ludów kolonialnych, lecz również przynosi pierwsze przebliski uświadomienia potrzeb efektywnej okupacji terytoriów kolonialnych

¹⁾ Rafael Altamira: *Historia de Espana y la civilizacion española*.

dla uzyskania prawa do nich. Kongres Berliński nadaje istotną wartość prawną tym ideom, ustanawiając, że tylko faktyczna okupacja tych terytoriów uprawnia do tytułu ich posiadania. Decyzje berlińskie, uniemożliwiające fikcyjność posiadania, oraz bruxelskie, stawiające pewne przesłanki humanitarne w stosunku do ludności tubylczej, nie były jednak jeszcze ostatnią fazą ewolucji kolonialnej, ani jedne bowiem, ani drugie, nie obowiązywały kolonizatora do efektywnej eksploatacji tych terytoriów. Takie właśnie założenia i to oparte na przesłankach dopuszczenia do tej eksploatacji całej społeczności międzynarodowej, wprowadził, naszym zdaniem, do metod kolonizacyjnych dopiero pakt Ligi Narodów, a w szczególności jego art. 22.

O ile *à la lettre* postanowienia tego artykułu odnoszą się tylko do terytoriów mandatowych, to jednak nie da się zaprzeczyć, że z ducha całego paktu, jak i z jego postanowień kolonialnych, wyraźnie wynika, że społeczność międzynarodowa wkroczyła w tej dziedzinie w nowy etap rozwoju, odbierający mocarstwu kolonialnym dawną arbitralność co do postępowania ich w stosunku do ludów i terytoriów kolonizowanych, jak również i w stosunku do samej ich eksploatacji. Dlatego również pierwotne subiektywne prawa państw do ich terytoriów kolonialnych zaczynają stopniowo przetwarzać się w zespół kompetencji, wykonywanych przez nie w interesie całej społeczności narodów i przez nią kontrolowanych.

III.

Rozpowszechnienie pojęć, przyjęcie metod, oraz zasięg uprawnień kolonizacyjnych, dawały w każdym okresie dziejów wykładnię ideowego, politycznego i gospodarczego stanu Europy. Dzieląc między Portugalią i Hiszpanią całość świata zamorskiego, bulla papieska nie tylko była widomym znakiem panującej doktryny publicznego prawa Europy, lecz zarazem wykładnią etycznych nastawień katolickiego świata, powierzającego tym dwom narodom walkę o uchrześcijanie krajów pogańskich. Postanowienia kongresowe w Wiedniu, Berlinie i Brukseli, wiążące państwa kolonizatorskie obowiązkami opieki nad ludami kolorowymi, oraz konieczno-

ściami efektywnej okupacji terytoriów, dawały wyraz nowym ideom, które nakazywały władzy publicznej czuwać nad bezpieczeństwem terytoriów jej podległych i ustanawiały jej międzynarodową odpowiedzialność za uchybienia w tej dziedzinie. Podstawowe zasady Ligi Narodów, znajdujące swój najdobitniejszy wyraz w instytucji międzynarodowych mandatów kolonialnych, stały się wykładnikiem nowych prądów, płynących z niezaprzecznego faktu ścisłej i wszechstronnej współzależności państw, stwarzającej stan jeszcze niedostatecznie uświadomionego solidaryzmu międzynarodowego.

Rozszerzając swe społeczne podstawy, państwo nowoczesne wciąga coraz to szersze masy do czynnego współdziałania. Stąd też w ramach tego państwa, nie mogło być miejsca dla kompanij kolonizacyjnych, eksploatujących ongiś na własną wyłączność olbrzymie terytoria kolonialne i wykluczających z udziału w zdobyczach nie tylko obcych, lecz także i własnych obywateli, nie będących jednak ich współdziałowcami. Usuwając wewnątrz państwowe przeszkody dla kolonialnych poczynań własnych obywateli, oraz szeroko je popierając, państwo nowoczesne musiało również zgodzić się na stopniowe międzynarodowe rozszerzenia baz kolonialnej działalności człowieka. Stąd też już od końca ubiegłego stulecia w szeregu kolonialnych aktów międzynarodowych (statut Konga, Marokka) znajdują coraz szersze zastosowania tendencje „wcielania kolonij do społeczności międzynarodowej przez ustanawianie ekonomicznej równości pomiędzy metropolią a państwami trzecimi”.¹⁾

Ostatnie dziesięciolecie stwierdziły dostatecznie, że podstawy tego solidaryzmu narodów tworzą nie tylko założenia ideowe i humanitarne, lecz także konieczności życia realnego i jego materialnych objawów. Budowanie dobrobytu narodu na przesłankach zmonopolizowania przez niego produkcji wyrobów i całości handlu, oraz na podporządkowaniu jego dyspozycjom reszty krajów, skazanych na wytwórczość prymitywną, niemożliwe jest już dzisiaj do przeprowadzenia,

¹⁾ G. Scelle: *Précis de Droit des Gens*.

tak wobec konieczności otrzymywania w zamian coraz większych ekwiwalentów, jak i wobec powszechnych tendencji do uniezależniania się od obcych wpływów przez rozwijanie własnej i wszechstronnej działalności gospodarczej. Masowe zapotrzebowania na surowce zmusiły również do rewizji dawnych metod, które umożliwiały nabywania za bezwartościowe błyskotki nie wielkich wprawdzie, jak na dzisiejsze stosunki, ilości kolonialnych produktów luksusowego spożycia. Konieczność dostarczania państwom - pośrednikom coraz to większych ekwiwalentów za towary kolonialne, jak również opłacanie przez te państwa ich kolonialnych równowartości, musi doprowadzić do wyrównania poziomów wytwórczości i zamożności w koloniach, metropoliach i państwach trzecich. Tylko bowiem zbliżony poziom dobrobytu indywidualnego umożliwi tym ostatnim zwiększanie ich zakupów kolonialnych, a podnosząc wytwórczość kolonij uwielokrotni też chłonność ich rynków. Również dawne nieograniczone prawie możliwości przemysławiania kraju, a tym samym i wyżywiania bardziej zagęszczonej jego ludności, znajdujące swe podstawy w bezkonkurencyjnej eksploatacji kolonij, tak znacznie ograniczonej w dzisiejszych warunkach, zmuszają kraje przeludnione, a spóźnione w swym rozwoju gospodarczym, do większego liczenia się z koniecznością znalezienia jakiegoś ujęcia dla emigracji ich ludności.

Rozważając więc zagadnienia kolonialne, nie można pomijać, ani powszechnej współzależności państw, ani stanu ideowych założeń ustrojowych państwowych i międzynarodowych, ani też tej długiej ewolucji, która dokonała się w ciągu wieków w pojęciach i metodach kolonizacyjnych. Nowe warunki bytowania, obarczające rządy państwowe koniecznością wyżywienia i zatrudnienia swych obywateli, przyczyniają się do tego, że te właśnie motywy gospodarcze i populacyjne są wysuwane dziś na pierwszy plan uzasadnień kolonialnych rewindykacyj. Na tych też niewątpliwie motywach opierał Wilson swój pierwotny projekt oddania w ręce małych państw administracji dawnych kolonij niemieckich. Również lord Lugard widzi w tym fakcie główne powody nowych żądań kolonialnych.

IV.

Początkowy dopiero stan badań geologicznych, przeprowadzanych ponadto w niektórych tylko koloniach, nie pozwala oczywiście na dokładne oszacowanie ich bogactw kolonialnych, ani tym bardziej na współmierne ich porównania z zasobami krajów cywilizowanych. Jednak nawet już te, dorywcze tylko i przypadkowe raczej badania dostatecznie mówią o kompletnym upośledzeniu Europy w tej dziedzinie. Porównując węglowe i żelazne zasoby metropolii brytyjskiej z analogicznymi zasobami samych tylko dominiów, zobaczymy że w tej olbrzymiej masie surowcowych zasobów imperium, wysuwających go na czoło ich posiadaczy, udział metropolii nie przekracza 16%, a w zasobach rudy żelaznej nie dochodzi nawet do 10%. Same tylko węglowe bogactwa Indochin, pozwalają przypuszczać, że przekraczają one wielokrotnie także same zasoby metropolii.

W dziedzinie możliwości rolniczych i hodowlanych, przestrzenie kolonialne, rozrzucone pod rozmaitymi szerokościami geograficznymi i w różnych warunkach klimatycznych i przyrodniczych, umożliwiają ich posiadaczom rozwinięcie najbardziej różnorodnych produkcji i stawiają je w wyraźnie uprzywilejowanej pozycji w porównaniu do mocarstw pozostałych. Tworząc bazy ich samowystarczalności, terytoria te umożliwiają metropoliom narzucenie ich przewagi innym państwom, zmuszonym do korzystania z ich kolonialnej produkcji.

Zest. 1. Udział krajów kolonialnych w światowej produkcji kopalnianej.

Surowiec	%	Surowiec	%	Surowiec	%
Nikiel	96.2	Ruda cynowa	62.7	Ruda ołowiu	33
Wanadium	82.3	Fosfaty	57.8	Tungsten	28
Chrom	73.3	Ruda manganu	46.1	Ruda cynkowa	25.2

O ile w dziedzinie możliwości eksploatacyjnych posiadanie kolonij otwiera przed ich metropoliami rozległe perspektywy, to nawet już obecna ich eksploatacja, będąca w początkowym zaledwie stadium, pozwala im na zmonopolizowanie dyspozycji szeregu surowców. Biorąc pod uwagę

całość dominiów, protektoratów, mandatów, kolonij i krajów podporządkowanych, oraz obliczając ich średnią roczną produkcję podług źródeł Ligi Narodów za dziewięciolecie 1926/34, możemy stwierdzić, że udział tych krajów w światowej produkcji kopalnianej (Zest. 1), nie był mniejszy niż

Zest. 2. Udział krajów kolonialnych w światowej produkcji roślinnej, tekstylnej i oleistej.

Surowiec	%	Surowiec	%	Surowiec	%
Juta - manila	99.9	Sesam	83.5	Wełna	54.8
Kopra	99.9	Orzeszki ziemne	81.3	Ryż	51.7
Kauczuk	97.0	Kakao	69.3	Nasiona baweł.	27.6
Soya	87.8	Kolza - konopie	62.0	Bawełna	24.9

ich udział w światowej produkcji roślinnej, tekstylnej i oleistej (Zest. 2). Udział posiadłości zamorskich w ogólnej kopalnianej produkcji imperiów dostatecznie wyraźnie ilustruje

Zest. 3. Udział posiadłości zamorskich w produkcji kopaln. Imperiów.

Surowiec	Brytania %	Francja %	Holandia %
Ruda miedzi	100	100	—
„ cynkowa	100	84.2	—
„ cynowa	97.1	100	100
„ ołowiu	94.6	78.1	—
Nikiel	100	100	—
Chrom	100	100	—
Rudy manganowe	100	82	100
Tungsten	97.6	100	100
Piryty	98.8	8	—
Ruda antymonu	100	15.1	—
Wanadium	100	—	—
Ruda żelaza	31.6	5	—
Glin	99.3	—	100
Ropa naftowa	100	1.9	100
Fosfaty	100	96.8	100

zest. 3, natomiast w wyżej wykazanej produkcji tekstylnej, oleistej i roślinnej kolonie właśnie dostarczają swym imperiom prawie jej całość.

Dla dokładniejszej oceny znaczenia kolonii w produkcji surowcowej nie zawadzi uświadomić sobie udział Imperium Brytyjskiego w surowcowej produkcji światowej (Zest. 4), gdzie kolonie, a szczególnie dominia, walnie przyczyniają się do zajęcia przez to Imperium monopolistycznego prawie stanowiska w wydobywaniu niejednego surowca.

Zest. 4. Udział Imper. Brytyjskiego w światowej produkcji surowcowej.

Surowiec	%	Surowiec	%	Surowiec	%
Juta manila	90.4	Kakao	58.3	Nasiona bawełny	26.5
Nikiel	87.2	Wełna	55.6	Tungsten	25.8
Wanadium	83.5	Chrom	51.8	Węgiel kamien.	24.5
Sesam	76.3	Ruda cynowa	44.8	Bawełna	23.8
Kauczuk	62.2	Rudy mangan.	43.5	Ruda cynkowa	23.3
Herbata	60.6	Ryż	37.2	Pszenica	21.8
Konopie-kolza	60.3	Ruda ołowiu	33.4	Masa drzewna	21.7
Orzeszki ziemne	58.5	Kopra	32.0	Ropa naftowa	2.1

Uwzględniając fakt, że statystyki kolonialne dalekie są jeszcze od europejskiej dokładności i wykazują często ponadto zamiast produkcji danego surowca jego wywóz, oraz że szereg mniejszych kolonii nie był włączony do światowych zestawień, będziemy mogli słusznie przypuszczać, że ten olbrzymi udział krajów kolonialnych w światowej produkcji surowcowej wzrośnie niepomniernie. Zaryzykujemy nawet twierdzeniem, że udział ten winien być powiększony o produkcję szeregu rozległych krajów Ameryki Południowej i Środkowej, tak zasobnych we wszelkie możliwości, a pod względem zagospodarowania i zaludnienia niczym nie różniących się od warunków, panujących w koloniach, a jednak mimo to zazdrośnie chronionych doktryną Monroëgo dla przyszłej i wyłącznej eksploatacji władców Ameryki.

V.

Zagadnienia demograficzne i emigracyjne łączą się ściśle ze sprawą kolonizacji, ich bowiem właściwe rozwiązanie umożliwia zaludnianie tzw. kolonii osiedleńczych, pozwala-

jących europejczykom na stały pobyt i wszechstronne zatrudnienie, jak również i należyłą rekrutację europejskich sił kierowniczych, wszelkich szczebli, do tzw. kolonij eksploatacyjnych, dostarczających gros sił pracowniczych z pośród tubylców.

O roli europejczyków w zagospodarowaniu krajów kolonialnych i zwiększaniu ich znaczenia w miarę wzrastania europejskiego zaludnienia, świadczy dowodnie wciąż wzmagający się udział w życiu politycznym i gospodarczym dominiów brytyjskich, oraz Północnej Afryki francuskiej, w której sama tylko Algeria, absorbując około 19% wywozu i przeszło 13% metropolitalnego przywozu, zajmuje pierwsze miejsce w zewnętrznym handlu Francji.

Brak stałego europejskiego elementu pracowniczego, lub tylko kierowniczego, łącznie z częstymi brakami tubylczego zaludnienia, lub niechęci tego ostatniego do regularnej pracy, zawsze uniemożliwia racjonalne zagospodarowanie kolonij, a niekiedy nawet zainicjowanie eksploatacji szeregu ich bogactw naturalnych. Ponieważ tylko gospodarstwa europejskie, lub prowadzone na ich wzór, umożliwiają ciągłość i stałość produkcji kolonialnej, jak również zachęcają tubylców do wszczęcia systematycznej pracy zagwarantowaniem im wyżywienia oraz opieki sanitarnej, przeto wszystkie kolonie usiłują wszelkimi środkami przewyższać niechęć obywateli metropolitalnych do stałego osiedlania się na ich terytoriach. Akcja ta jednak nie osiągnęła dotychczas poważniejszych rezultatów.

Dysponując możliwościami zajmowania lepszych terytoriów, lub tylko zmierzając w kierunkach, wytkniętych przez pionierów, dotychczasowe fale europejskiej emigracji nie kwapiły się do kolonizowania ziem nieznanych, uważanych za niewłaściwe dla europejskiego osiedlenia, lub po prostu wymagających większych nakładów pracy. Powojenne szczelne zamknięcie przed emigracją terytoriów amerykańskich, skierowało uwagę Europy ku wolnym i rozległym przestrzeniom Afryki. Nowe i poważniejsze badania, rozpoczęte w założeniach cięższych warunków bytowania, wykazały, że nawet takie terytoria jak Kongo, uważane za najmniej nadające się do europejskiego zaludnienia, mogą

je umożliwić na rozległych przestrzeniach niektórych swych prowincyj. Charakterystyczną jest w tym względzie opinia byłego gubernatora Konga Heenen'a,¹⁾ oraz Legouis'a.²⁾ Również inny kolonista³⁾ wyraża zdanie, że dawne obawy tropikalnych klimatów uległy dziś znacznemu złagodzeniu wobec postępów higieny i szerszego uświadomienia korzyści, płynących z okupowania terenów wyżej położonych. O postępach higieny tropikalnej świadczą bodaj statystyki śmiertelności wśród belgijskich urzędników Konga, wynoszące w końcu ub. st. 4'8% i spadające do 1'30% w roku 1929.

Poruszając również to samo zagadnienie, J. Weulersse⁴⁾ wskazuje na brytyjską Afrykę Wschodnią (Kenya, Tanganika, Uganda), jak zresztą i na kolonie sąsiednie, gdzie postępy higieny, oraz stopniowe dostosowywanie sposobów bytowania do warunków klimatycznych kraju, znacznie polepszyły sytuację sanitarną wśród białych, a szczególnie zmniejszyły śmiertelność wśród urzędników tych krajów, wynoszącą w r. 1910 aż 1'40% i spadającą obecnie do 0'43%. Terytoria obu Rodezji i Nyassaland'u zapewniają w tym względzie jeszcze lepsze warunki i mogą być, w myśl tegoż autora, ośrodkami białej kolonizacji w pełnej Afryce tropikalnej.

Jeżeli zdaniem Grandidier'a,⁵⁾ kolonista europejski nie wiele znajdzie miejsca dla możliwego i stałego swego osiedlenia

¹⁾ *Pour ce qui est de l'acclimatement physique et du développement de la race, les difficultés rencontrées par les blancs au Congo ressembleraient moins de la température élevée en elle-même que de la grande humidité, qui jointe à cette chaleur torride, constitue un milieu particulièrement propice à la multiplication de germes morbides et hostiles aux Européens. Dans les hauts plateaux de l'Est cette influence ne joue pas. D'autre part, un facteur de dégénérescence des populations — nègres aussi bien que blanches — dans ces hauts plateaux serait la pauvreté du sol en calcaire, et par suite, l'insuffisance dans les produits comestibles de sels de calcium indispensables à l'organisme. Une alimentation appropriée permettrait d'éliminer ce facteur de dégénérescence.*

²⁾ *D'après certains experts, on aurait trop vite conclu, de quelques expériences fragmentaires, à l'impossibilité d'implanter la culture du blé au Congo, au contraire, cette culture, qui serait d'un grand secours au petit colonat y serait parfaitement réalisable.*

³⁾ J. F. Duflos: *L'Afrique Française*, za II/III 1936.

⁴⁾ J. Weulersse: *L'Afrique noire*, 1934.

⁵⁾ *Journal des Débats*, 9 II. 1936.

na północ od linii Kongo - Massaua (za wyjątkiem oczywiście Północnej Afryki), to na południe od niej warunki klimatyczne, sprzyjające jego osiedleniu „znajdują się na dość licznych i rozległych terytoriach”, szczególnie zważywszy fakt, że w górzystych tych krajach, tubylcy zamieszkują bardziej gorące i niżej położone okolice, nie zapuszczając się w wyższe rejony, nadające się właśnie dla europejskiej kolonizacji.

O ile zasiedlenie rozległych terytoriów Afryki, oczywiście nie bez znacznych ofiar wśród pionierskiego elementu europejskiego i potężnych nakładów finansowych, nie wychodzi z granic możliwości, o tyle znacznie rozleglejsze są fizyczne możliwości kolonizacji na terytoriach Kanady lub Australii, które paru zaledwie milionami mieszkańców zaludniają przestrzenie równe dwum Europom. Potrzebując dla całkowitego swego rozwoju europejskiej imigracji, oraz mogąc jej w całej pełni zaofiarować zupełnie możliwe naturalne warunki aklimatyzacji, nie chcą jednak te kraje przyjmować innej imigracji, jak tylko złożoną z przedstawicieli tego samego szczepu co i ich władcy. Ponieważ jednak ciśnienie demograficzne w niektórych krajach sąsiednich, o potężnie rozbudowanym aparacie militarnym, grozi szeregowi takich kolonij po prostu zalaniem ich terytoriów przez element rasowy jeszcze bardziej dla nich obcy, uzależniony ponadto politycznie od tych sąsiadów, zaś emigranci z krajów macierzystych nie chcą opuszczać swych ognisk metropolitalnych, sądzić przeto można, że sytuacja ta ulegnie wkrótce poważnym zmianom.

VI.

Ostatnie powszechne, jak się zdaje, ożywienie gospodarcze, wywołując zwiększone zapotrzebowanie na surowce, może również spotęgować międzynarodowe ruchy migracyjne.¹⁾ Zapowiedź równoczesnych prawie narad w sprawach surowcowych pod auspicjami Ligi Narodów, oraz

¹⁾ *It is a matter of experience that emigration increases in times of progress, especially following upon a period of marked depression* (de Montgometry: *Pax Britannica*. 1928).

w kwestiach kolonialnych i migracyjnych w ramach Międzynarodowej Organizacji Pracy, świadczy o tym, że podejmuje się poważną próbę równoległych rozstrzygnięć tych skomplikowanych zagadnień.

Wzrastające ciśnienie demograficzne w granicach szeregu państw, zagrażając sąsiednim bezludnym krajom, przyczyni się niewątpliwie do przyspieszenia tych rozstrzygnięć, ponieważ każdy z tych krajów, a przede wszystkim Australia stają wobec wyboru „bądź dobrowolnego dopuszczenia na swe terytoria imigracji białej, bądź przymusowego przyjęcia kolonistów rasy żółtej”.¹⁾ Świadectwem stopniowego uświadamiania sobie tego faktu w posiadłościach zamorskich są nie tylko nieustanne alarmy prasy, lecz również uchwały szeregu rozmaitych instytucji. Ostatni Kongres Izb Handlowych Imperium Brytyjskiego (X. 1936), pozwolił przewodniczącemu zamknąć obrady słowami, że „gdyby okazało się, że W. Brytania nie będzie w stanie dostarczyć odpowiedniej ilości imigrantów, koniecznym będzie zwrócenie się z żądaniem o nich do innych odpowiednich krajów Europy”.

Niebezpieczeństwo zalania bezludnych terytoriów Australii falą obco-rasową, jest ponadto potęgowane w innych koloniach, o słabym europejskim zaludnieniu, wzrastającym niebezpieczeństwem wewnętrznym, płynącym z coraz bardziej agresywnej żywotności ich własnych kolorowych mieszkańców. Prawie całość krajów afrykańskich, stoi obecnie wobec coraz bardziej zwartej masy murzyńskiej, zaczynającej uświadamiać sobie swą kolosalną numeryczną przewagę i poczynającą zdobywać na europejczykach coraz to nowe pozycje, stosując do białych ich własne metody działania. Ostatnie wypadki we francuskiej Afryce Północnej stwierdzają, że tendencje te są jeszcze bardziej żywotne w świecie arabskim, niezbyt mile spoglądającym na panowanie europejczyków na jego terytoriach.

Wobec wzrastającego zewnętrznego i wewnętrznego niebezpieczeństwa kolorowego, całość kolonij zagrożonych ma do wyboru jedną tylko drogę: zwrócenia się o środki ratunkowe do Europy. Ponieważ jednak kraje macierzyste

¹⁾ *Geopolitik*. IX 1936.

tych kolonij dawno już wyczerpały swą ludnościową siłę ekspansywną, przeto pozostają do dyspozycji wyłącznie inne narody Europy. Z pośród tych ostatnich, kraje przemysłowe o relatywnym przeludnieniu, dysponują tylko emigracją przemysłową, całkowicie nie nadającą się do poczynañ pionierskich w koloniach, jak przekonało się o tym całe Imperium Brytyjskie, usiłujące kosztem kolosalnych nakładów przesiedlić bezrobotnych metropolii na rolę kolonialną. W tym zwiężającym się coraz bardziej wyborze pozostają więc tylko przeludnione kraje rolnicze.

Jeżeli te ostatnie kraje tworzą potencjonalny czynnik, zdolny do podniesienia wartości kolonij, to jednak rządy tych państw i ich opinie publiczne nie mogą bezwątpienia udzielić swej pomocy bez otrzymania w zamian określonych ekwiwalentów. Stąd też nieuniknioną wydaje się konieczność pogodzenia kulturalnych i gospodarczych aspiracyj tych narodów z interesami polityki i gospodarstwa tak samych kolonij, jak i ich metropolij.

W płaszczyźnie teoretycznych rozważań, kolonialny system brytyjski, umożliwiający kulturalny rozwój Francuzów w Kanadzie i na wyspie Maurycego, a Boero-Holendrów i Niemców w Związku Południowo-Afrykańskim, aprobujący jako język urzędowy w tych dominiach francuski, holenderski i niemiecki, mógłby najłatwiej temu zadość uczynić. Spełnienie tego pierwszego warunku mógłby również ułatwić fakt, że „Anglicy byli pionierami, przenoszącymi zagadnienia narodowościowe z dziedzin politycznych na właściwsze dla nich pole działań kulturalnych,¹⁾ Takie też ujmowanie zagadnienia, pozwalające na omawianie w Parlamencie możliwości przyjęcia Argentyny do łona Brytyjskiego Commonwealth'u, może dać również obcym osiedleńcom większą gwarancję zachowania ich kulturalnej łączności z krajem macierzystym.

W ramach tradycyjnej już oddawna polityki liberalnej, łatwiej też przyjdzie W. Brytanii właściwe ujęcie zagadnień korzystania przez kraj macierzysty emigrantów z owoców ich kolonialnych poczynañ gospodarczych. Wzbogacając za-

¹⁾ A. Zimmermann: *Empire Britannique et la S. d. N.* 1930.

soby tego kraju niezbędnymi dla jego rozwoju surowcami, pochodzącymi z obcych dla niego zon klimatycznych, lub z bogatszych od niego w kopaliny krajów, W. Brytania, jako największa przewoźniczka morską, nie małe też z tego wyciągnie korzyści.

Nie negując masy trudności, tkwiących w dziedzinie psychologicznej, politycznej i gospodarczej, a piętrzących się na drodze do realizowania europejskiej współpracy kolonialnej, takie jednak rozwiązanie, uważamy za jedynie umożliwiające pogodzenie potrzeb gospodarczych i populacyjnych krajów przeludnionych, a pozbawionych kolonii, z interesami polityki i gospodarstwa mocarstw kolonialnych.

VII.

Polskie postulaty kolonialne, wysunięte ostatnio na forum Ligi Narodów, połączyły te zagadnienia w jednolitą całość, wychodząc z założeń, że użytkowanie surowców z produkcji kolonialnej, nie może być oderwane od samego aktu ich wydobywania, wydobywanie natomiast jest ściśle związane z organizacją tej produkcji, a więc z emigracją sił wytwórczych i koniecznościami jej finansowania.

Polska poruszając zagadnienia kolonialne, opiera się na założeniach solidaryzmu międzynarodowego, wymagającego udostępnienia w pełni każdemu narodowi możliwości rozwoju. Nie same jednak tylko, idealne założenia tworzyły bazę polskich postulatów w Genewie. Nadmiar ludnościowy terytoriów Polski jest poważnym czynnikiem, hamującym jej postęp gospodarczy i uszczuplającym pojemność jej rynku dla obcych towarów. Jeżeli bowiem w spożyciu tak wybitnie kolonialnych towarów, jak bawełna i rozmaite używki upośledze Polski jest niewątpliwe (Zest. 5), sytuacja nasza pod względem zużycia energetycznego (Zest. 6), jest jeszcze znacznie gorszą i świadczy ona ponadto, że również spożycie wszystkich innych surowców dla przetwarzania których służą te czynniki, stawiają nas na najbardziej szarym końcu krajów Europy.

Lepsza organizacja społeczna, bardziej jednolite zagospodarowanie całej przestrzeni kraju, oraz większe uprzemysłowienie, mogą niewątpliwie poprawić naszą sytuację

gospodarczą, jednak nie należy się łudzić nadzieją, że przy naszym natężeniu ludnościowym i nieznacznych zasobach gospodarczych oraz naszych ciężarach społecznych, płynących z sytuacji geopolitycznej, te tylko środki wszystkiemu zaradzą. Brak dawnych warunków dla możliwości szybkiego

Zest. 5. Spożycie na głowę ludności w latach 1926/1933 (w kg).

Państwo	Bawełna	Cukier	Kawa	Herbata	Kakao
Anglia	13·2	45·8	0·4	3·81	1·4
Stany Zjednoczone	12·5	50·1	5·7	0·34	1·6
Belgia	9·3	27·7	5·5	0·03	1·0
Francja	7·6	26·1	4·3	0·04	0·9
Holandia	5·3	39·0	4·7	1·69	6·0
Niemcy	5·3	25·1	2·1	0·08	1·2
Polska	2·0	10·5	0·2	0·06	0·2

uprzemysłowienia kraju, które by mogło ułatwić istnienie naszych rynków kolonialnych, oraz olbrzymie społeczne koszty produkcji, związane z potrzebą utrzymania nadliczbowego i nieproduktywnego elementu ludzkiego, utrudniają nam niewątpliwie konkurencję międzynarodową. Stąd można

Zest. 6. Spożycie na głowę ludności w latach 1926/1933.

Państwo	Węgiel kam. w kg	Prąd elekt. w kwh	Państwo	Węgiel kam. w kg	Prąd elekt. w kwh
Belgia	4.026	486	Holandia	1.744	208
Anglia	3.826	337	Czechosłow.	1.640	186
Stany Zjedn.	3.734	880	Szwecja	1.029	790
Niemcy	2.192	409	Austria	959	367
Francja	1.934	326	Polska	797	80

sądzić, że tak Polska, jak i inne państwa, jednakowo są zainteresowane w znalezieniu możliwości emigracyjnych, pozwalających, bez całkowitej utraty korzyści z emigracji, na lepsze zagospodarowanie pozostałej w kraju ludności, podwyższenia jej stopy życiowej, no i zwiększenia tym samym chłonności rynku polskiego.

Wysuwając swe postulaty kolonialne, wnosi Polska do międzynarodowej współpracy na tym polu walory podstawowego znaczenia. Pamiętać bowiem zawsze należy, że podstawowym elementem emigracyjnym do krajów kolonialnych, nawet najbardziej zagospodarowanych, jest zawsze element rolniczy. Fala emigracji przemysłowej jest zjawiskiem wtórnym, płynącym za pionierską falą rolniczą, stwarzając bazę dla wszechstronniejszego rozwoju gospodarstwa krajowego. W dzisiejszych warunkach tylko taka emigracja, specjalnie przystosowana do gospodarowania na niewielkich działkach, spełnić będzie mogła szerokie i rozmaite zadania. Tworząc bowiem gospodarstwa samowystarczalne, dające możność godnego wyżycia koloniście — w miarę jego zagospodarowania i doskonalenia się, stawać się będzie coraz bardziej ważnym czynnikiem produkcji i pochłaniać coraz to większe ilości europejskiej wytwórczości.

Szerokie zaplanowanie europejskiego zagospodarowania w koloniach, a nawet częściowe tylko wprowadzenie go w życie, wymaga bardzo dużych nakładów finansowych, którymi nie rozporządza Polska, mająca ponadto do spełnienia nieskończoną ilość inwestycji i ulepszeń u siebie w kraju. Stąd też wyłania się niezaprzeczalna konieczność ścisłej współpracy Polski z państwami zasobnymi w walory finansowo-gospodarcze i kolonie, mogące w połączeniu z polską siłą ludnościową, umożliwić korzystne dla obu narodów zagospodarowanie terytoriów kolonialnych. Za koniecznością tej współpracy przemawia również geopolityczna sytuacja Polski, uzależniająca naszą komunikację z krajami zamorskimi od swobody użytkowania wąskich przejść cieśninowych i stawiająca nas w zależności od państw dysponujących tą komunikacją na morzach. Zależność polskich połączeń z koloniami od dobrych stosunków z mocarstwami morskimi może jednak spowodować ich przychylność dla naszych postulatów kolonialnych, ponieważ najbardziej intensywne zaludnienie kolonij polskim elementem w niczym nie zagrozi politycznej jedności tych kolonij z metropolią, czego jednak nie można powiedzieć o państwach, posiadających znacznie szerszą bramę morską i bardziej natarczywie wysuwających swe żądania kolonialne. Ta

polityczna zależność kolonialna może również przyczynić się do większego zsolidaryzowania polskich interesów z interesami każdego mocarstwa kolonialnego, które lojalnie zagwarantuje możliwości kulturalnego i narodowego rozwoju polskich osiedleńców i ułatwi im utrzymywanie więzów gospodarczych z dawną macierzą.

VIII.

Międzynarodowa walka o surowce i kolonie, ostatnio wyraźnie nabierająca ostrych akcentów, jest zagadnieniem podstawowej wagi, tak dla państw nimi dysponujących, jak i dla tych co są ich pozbawieni. Wielkie zainteresowanie pierwszych wyjaśnia się wciąż wzrastającym udziałem kolonij w handlu z metropolią. Obroty z własnymi posiadłościami, stanowiące w 1913 roku 28·5% handlu zagranicznego W. Brytanii, wzrosły w 1935 do 40%, a obroty Francji zwiększyły się z 10·5% do prawie trzeciej części jej handlu zewnętrznego. Dowód stałego wzrostu znaczenia kolonij w gospodarstwie światowym daje chociażby udział trzciny cukrowej w wytwarzaniu cukru, wynoszący w 1913 roku 43·5% całości tej produkcji, a osiągający, kosztem produkcji buraczanej, aż 67·5% w roku 1933.

Wobec zwiększania się gospodarczego znaczenia kolonij, ich metropolie nie zdradzałyby oczywiście wielu chęci nie tylko już do ich pozbycia się, lecz nawet do samej tylko zmiany metod ich eksploatacji z dopuszczeniem do niej innych państw, gdyby nie to, że dalsze pozbawianie tych ostatnich wszelkich korzyści eksploatacji kolonialnej, groziło by poważnymi komplikacjami, a nawet i samemu stanowi ich posiadania. Wzrastająca agresywna prężność ras kolorowych specjalnie odczuwana, tak w granicach kolonij, jak i na zewnątrz ich, z konieczności musi doprowadzić do większego zsolidaryzowania się europejskich interesów kolonialnych i szerzej musi otworzyć terytoria zamorskie dla wszechstronnych poczynañ całości państw Europy.

Roman Piotrowicz.

Piśmiennictwo łużyckie czasów powojennych.

Wojna światowa stała się poważnym ciosem dla Łużyczan, albowiem wielu z nich musiało wziąć w niej udział, wobec czego zabrakło działaczy. Brak inteligencji odbił się poważnie na ruchu umysłowym, szczególnie wydawniczym, ponieważ zabrakło i środków pieniężnych i ludzi, nic przeto dziwnego, że musiało upaść wiele pism. Łużycanie nie byli pewni, jaki los ich czeka, ponieważ i losy wojny nie były pewne.

Skoro jednak stało się jasne, że Niemcy poniosą klęskę, poczęły się budzić nadzieje, zwłaszcza kiedy w ostatnich miesiącach wojny światowej zrodziła się w Czechach myśl, aby i Łużyce przyłączyć do mającego powstać państwa czesko-słowackiego. Orędownikiem sprawy Łużyczan był ich czeski przyjaciel Adolf Černý, który niebawem po powstaniu Czechosłowacji ogłosił książkę z szeregiem artykułów pt. *Lužická otázka* (Zagadnienie łużyckie).

Tymczasem w Łużycach działalność polityczno-narodową rozwinął Ernest Bart, który tak w licznych przemówieniach, jak również w artykułach, ogłaszanych w *Serbskich Nowinach*, jak wreszcie w oświadczeniu w sejmie saskim występuje w obronie praw swego narodu. Po klęsce Niemiec związał się 13 listopada 1918 r. w Budziszynie „Narodny Wubjerk“ (Narodowy Komitet), który przystąpił do energicznej działalności w całych Łużycach. Od tego czasu odbywają się coraz liczniejsze zgromadzenia, przy czym doniosłe znaczenie posiada zebranie 20 listopada we wsi Khró-

sćicach, gdzie przedstawiciele narodu uchwalili bardzo znamiennej rezolucję, że mianowicie Łużyczanie na zasadzie prawa stanowienia o sobie narodu postanawiają sami zdecydować o losie Łużyc, które mają mieć samodzielność. W celu sankcjonowania tak doniosłej uchwały uważają za konieczne wysłanie delegata na konferencję pokojową. Licząc na jej pomoc, wydał „Narodny Wubjerk” z początkiem r. 1919 proklamację, w której żądał na podstawie zasad Wilsona samoistnego państwa łużyckiego, ponieważ Łużyczanie są odrębnym narodem słowiańskim.

Akcja Łużyczan wywołała ze strony Niemców reakcję, rozpoczęły się więc aresztowania wybitniejszych działaczy, wśród nich również Bryła, gdy wrócił z Paryża. Tymczasem Konferencja Pokojowa nie uwzględniła ani rezolucji Beneša ani prośby łużyckich przedstawicieli, a jedynie w stosunku do Łużyczan postanowiono to, co odnosiło się do narodowych mniejszości, więc gwarancję swobodnego rozwoju na polu duchowym, religijnym i kulturalnym.

Pomimo trudności, jakie Niemcy stawiali akcji Łużyczan, nastąpiła dość wydatna praca w kierunku gospodarczym i kulturalnym; praca ta rozwijała się dość pomyślnie do ostatnich lat i dopiero przewrót w Niemczech w r. 1933 stał się dla Łużyczan tragicznym momentem, wówczas bowiem nastąpiło zamknięcie wielu łużyckich wydawnictw, a przywódcy narodowi dostali się do więzienia.

Po zwycięstwie Hitlera w maju 1933 zwolniono z więzienia Łużyczan, którzy odczuli pewną ulgę i uzyskali możliwość pracy na polu narodowym na zasadzie oświadczenia Hitlera, że jego rząd nie chce nikogo germanizować i daje niemieckim narodom, należącym do Rzeszy, swobodę rozwoju kulturalnego, a zwłaszcza w dziedzinie kultury ludowej.

Wtedy też kierownictwo sprawami narodowymi wzięła na siebie „Domowina”, naczelna organizacja wszystkich łużyckich towarzystw, a zarazem udzielna organizacja narodowa. Na prezesa „Domowiny” powołano młodego nauczyciela Pawła Nede, który nie zawiódł położonego w nim zaufania. Doniosłym wydarzeniem było złożenie przez „Domowinę” na żądanie Ministerstwa Spraw Wewnętrznych

w lutym 1935 r. memorandum narodu łużyckiego, w którym wysunięto daleko idące wnioski co do zawarowania praw narodowych Łużyczan. Prócz memorandum przedstawiła „Domowina” rządowi niemieckiemu projekt nowej organizacji administracyjnej Łużyc; projekt ten wysuwa stworzenie z Łużyc, stosownie do nowego podziału państwa niemieckiego, odrębnej gminy państwowej (*Reichsgau*), innymi słowy złączenia w jedną całość obszarów łużyckich, rozdzielonych między Saksonię i Prusy.

Po upadku ducha wśród Łużyczan, jaki się przejawiał w chwili wybuchu wojny światowej i podczas jej trwania, następuje potem wobec nadziei wyzwolenia nagłe wzmożenie się łącznie z działalnością polityczną działalności kulturalnej, a w pierwszym rzędzie literackiej.

Jak poprzednio, tak i obecnie, twórczość ta wyraża się głównie w czasopiśmie, ponieważ nieznaczna ilość czytelników nie pozwala na drukowanie większej ilości książek. Wobec tego książki łużyckie ukazują się tylko bardzo rzadko, natomiast prawie cała produkcja literacka zawiera się właśnie w czasopiśmie, wskutek czego jest też dość trudno dostępna.

Podobnie jak skromne jest czasopiśmiennictwo, przeznaczone dla niewielkiej ilości odbiorców, tak samo musi rozwijać się dzisiaj w bardzo ciężkich warunkach piśmiennictwo Łużyc, które jednak po klęsce Niemiec i wobec nadziei poprawy warunków narodowego życia zyskało w pewnej mierze na ożywieniu ruchu literackiego. Pisarze łużyccy zawiązali w r. 1921 pod przewodnictwem Jakuba Lorenc-Zaleskiego „Koło serbskich spisowacelow”, które raczej wykazuje żywszą działalność w Pradze, aniżeli w Budziszynie.

Ilość pisarzy łużyckich jest stosunkowo nieznaczna, jednak pomimo tego rozwijają działalność na każdym polu literackim. Jak dotychczas, tak i obecnie przeważają w literaturze dwa pierwiastki: miłość Boga i ojczyzny, wyrażane w różny sposób. Brak było w literaturze łużyckiej z drobnymi wyjątkami poezji erotycznej, w tym jednak okresie znajdziemy już przedstawicieli i tego kierunku, zwłaszcza że o ile poprzednio uprawiali poezję poza nauczycielami przede

wszystkim duchowni, teraz przeważają pisarze świeccy, którzy rozszerzają zakres piśmiennictwa.

Obecnie przodujące miejsce jako poeta zajmuje ks. Józef Nowak, który najsilniej uderzył w ton patriotyczny, budząc w narodzie wiarę w wytrwałość i otuchę w jaśniejszą przyszłość.

Poezja Nowaka wy płynęła niewątpliwie z momentu, w jakim znalazły się Łużyce po klęsce Niemiec w wojnie światowej, chociaż i podczas wojny poeta ten budził w narodzie optymizm. Wierzy on głęboko w odmianę losu i w to, że nadchodzi nowy czas, który przyniesie narodowi poprawę bytu.

Najsilniej ujawniła się wiara autora w cyklu *Z duchem swobody*, od którego cały zbiorek otrzymał swój tytuł. Więc przypomina narodowi dawną hańbę, dawną zdradę margrabiego Gerona i niszczenie ojczyzny przez najeżdżcę oraz wzywa naród w wierszu „Wopomń hańbu” do obudzenia się z wiekowego snu.

Najmocniej uwidoczniło się uczucie patriotyczne, przemieszane z mesjanizmem w wierszu „Adwent” (czas. *Łužica* z r. 1929), w którym autor kojarzy nadejście Chrystusa z pragnieniem narodu, by i on znalazł swego Zbawiciela.

Poza poezją liryczną uprawiał ks. Nowak również twórczość dramatyczną.

Z pośród jego dramatów należy zwrócić uwagę na poemat dramatyczny *Lubin a Sprewia*. Jest on nawskroś symboliczny, o czym świadczy upersonifikowanie Lubina i Sprewy, które są najwyższym wyrazem, widomym znakiem dążeń narodu łużyckiego. Nie jest to właściwy utwór dramatyczny i z tej strony nie można go rozpatrywać, jedynie ma w sobie pewną dramatyczność scenka druga „Rola” w pierwszym obrazie i również druga „Kral” w drugim, poza tym cztery inne scenki — chóry natomiast są całkiem liryczne. Pojęte na sposób grecki, wzruszają głębią uczucia patriotycznego, przedstawieniem losu nieszczęśliwego narodu. Zbliżają się jeszcze do klasycznych chórów przez to, że autor podkreślił silnie fatalizm, jaki zaciążył nad narodem, który szuka otuchy, szuka pomocy, lecz ogląda się za nią napróżno. Właśnie przez to położenie nacisku na fragizm

narodowy, przez podkreślenie rozpaczego wołania, gdy naród umiera, przez głębię lęku przed tym, co ma przyjść jakby z nieuniknioną koniecznością, utwór Nowaka nabiera szczególnej wartości.

Prawie współcześnie z Nowakiem wystąpił jako poeta Jan Skala. W dwudziestym roku życia zaczął ogłaszać artykuły w niemieckich socjalistycznych gazetach. W języku łużyckim zaczął pisać od r. 1911, przy czym przede wszystkim próbował poezji.

Skala, ogłaszał swoje wiersze, wzorując się na Cišin-skim, w różnych czasopismach, aż dopiero potem zebrał je i wydał swoim nakładem w Budziszynie w r. 1920 pt. *Srjódkki* (Okruchy).

Liryka Skali nie obejmuje szerokich kręgów, w jego wierszach przewijają się głównie dwa motywy: patriotyzm i miłość do gniazda rodzinnego; prócz tego dosyć silnie uwidoczniło się uczucie do matki. Poeta czuje w sobie siłę twórczą, którą chce zużytkować dla dobra narodu. Więc jednoczy się z tymi, którzy swoją pieśnią występują do walki o sprawę narodową i niejedną łzę ocierają z oczu ludu łużyckiego. Lecz jest świadom, że walka o staroserb-skie prawa nie jest łatwa, ponieważ lud jeszcze drzemie i niewiedomo, kiedy obudzi się ze snu. Ale wierzy, że jednak nadejdzie chwila przebudzenia, że zajaśnieje nad ziemią łużycką pogoda, a łużycka niwa nie będzie trzęsawiskiem.

W omawianym zbiorze przeważa poezja patriotyczna, która niewątpliwie przez swą siłę i wiarę zapewnia pocieie uprzywilejowane stanowisko, pomimo, że pod względem artystycznym poezja to słaba i pozbawiona tych wartości, jakich się wymaga od prawdziwego dzieła sztuki.

W r. 1923 ukazał się w Budziszynie własnym nakładem drugi tomik poezji Skali pt. *Škre. Zberka z lubošce khwilow* (Iskry. Zbiorek z chwil miłości), dedykowany matce i żonie. Już w poprzednim tomiku pisał poeta o swym gorącym przywiązaniu do matki, uderzał też w strunę miłości, lecz dopiero tutaj doszły te uczucia do pełni wyrazu. Właściwie o matce pisze poeta tylko w pierwszym wierszu „Mojej maćeri“ (Mojej matce), lecz wierszyk ten jest niewątpliwie najlepszy, jako wyraz gorących uczuć synowskich.

Miłość jest rzadkim i dość ograniczonym tematem w łużyckiej poezji. Właściwie nie bardzo się w niej mieści, gdyż zasadniczym jej hasłem jest Bóg i ojczyzna. Dlatego też poezja miłości jest bardzo nieśmiała i niepewna siebie, licząca się bardzo wyraźnie z czytelnikiem — ludem, który nierad wczytywać się i wczuwać w problemy erotyzmu.

Poezja ta musi ograniczyć się do uczuć, normalnie przez kochające się osoby przeżywanych, bez zwrotów ku rozpacz, zawodom i tragedii.

Taka też jest ona i u Skali, a zrodziła się z jego miłości do przyszłej żony, która stała się jego Beatrice, aniołem jego poetyckiego natchnienia.

Stosunek poety do ukochanej, wyrażany w poezji, jest sentymentalno-naiwny, więc obraca się około miękkih warg, pełnych słodkich pocałunków, białej rączki, obejmującej serce, około wietrzyków, z którymi by poeta płynął rad do ukochanej, około czekania na nią pod umówioną lipą, oczywiście daremnego, tęsknoty, gdy nie ma umiłowanej, tęsknoty, łamiącej jego silną duszę. — To wszystko mniej więcej, co poeta może powiedzieć o swej miłości z tym dodatkiem, że jego ukochana jest wielką patriotką.

Przede wszystkim, a raczej wyłącznie jest poetą miłości Jan Lajnert, który po ogłoszeniu jednego tomiku poezyj w r. 1928 w Budziszynie *Wybuch radości — krople łez*, zapowiadającego zdolnego poetę, zamilkł zupełnie.

W stosunkowo niewielkim tomiku udowodnił Lajnert niemal w każdym wierszu, że posiada prawdziwy talent poetycki, i to wybitnie liryczny. W każdym jego wierszu zawiera się inne uczucie, każdy wprowadza nas w inny nastrój, a wszystkie odznaczają się nadzwyczajną subtelnością, świadczącą o wielkiej wrażliwości poety.

Wyśpiewawszy różne melodie miłosne od bajki, uwielbienia, wesołości i beztroskiej żartobliwości do żalu, zwątpienia i rozpacz, a w końcu wiary w piękno życia, zamilkł poeta prawie zupełnie i rzadko bardzo ogłaszał w Łużycy r. 1928 i 1930 swoje wierszyki.

Szkoda wielka, że Lajnert zaprzestał tworzyć, ponieważ jego poezja wnosi do literatury łużyckiej jakieś nowe tchnienie, nie tylko przez wprowadzenie i opisanie uczucia miło-

ści ze strony psychicznych wzruszeń i przeżyć, ale w dużym stopniu przez wielką staranność i dobrą formę, która jego wiersze bardzo wyróżnia od wierszy innych poetów łużyckich i wysuwa go jako artystę na miejsce przodujące.

Poezja Pawła Krejčmarja posiada ton znacznie słabszy, choć poeta stara się o piękno wierszy. Poezje swoje ogłaszał przez szereg lat głównie w *Łużicy*, następnie wydał je z drzeworytami M. Nowaka w r. 1929 w oddzielnym tomiku w Budziszynie pt. *Raj myśli, snów z łużyckich niw*. Krejčmar ma wielkie ambicje literackie, ale brak mu przygotowania i samodzielności. W zakres swoich literackich tematów pragnie wprowadzić wiele spraw, ale nie zawsze umie je odpowiednio opracować. Wierszyki Krejčmarja posiadają dużo prostoty, są bezpretensjonalne i nadają się przede wszystkim do deklamacji dla ludu.

Poważne nadzieje jako poeta rokował Paweł Wićaz, który jednak wskutek choroby nie mógł rozwinąć należycie swego talentu.

Napisał niewiele wierszy, rozrzuconych po czasopiśmie, głównie zaś mieszczą się one w *Łużicy*. Niektóre z tych wierszy posiadają dużo bezpośredniego uczucia, w pierwszym rzędzie patriotycznego.

Jakub Lorenc-Zaleski wystąpił na polu literackim przy końcu XIX w., jednak właściwy jego rozwój i znaczenie jako najlepszego łużyckiego beletrysty przypada na czasy powojenne.

Nowele ogłaszał przed wojną, a najpiękniejszą jest *Wostašan*, przepojona elementem baśniowym. Autor wykazał tu dużą zdolność wczuwania się w łużyckie prawieki, wczarowania życia swoich rodaków sprzed lat tysiąca, a równocześnie dał piękne opisy rodzinnych gór i lasów.

Wymienione opowiadanie stanowi jakby przygotowanie do obszerniejszej noweli, a raczej już prawie powieści *Łużyczcy rycerze*, przypominającej tematem i sposobem rozwijania akcji *Starą baśń* J. I. Kraszewskiego. Ta nowela o charakterze historycznym zawiera więcej momentów mitycznych, aniżeli ściśle dziejowych, nie mniej jednak ro**bi** wrażenie opowiadania historycznego.

Autor usiłował ożywić przed współczesnymi krwawą przeszłość połabskich Słowian, ale przeszłość tę podał w negatywnym oświeceniu, opisuje klęskę narodu, nie pokazując ani triumfu, ani zwycięstwa. Zachodzi też obawa, czy pesymistyczny obraz przeszłości może stać się prawdziwą pobudką i zachętą do działania, czy może być istotnie pokrzepieniem serc. Utwór ten nazwano łużycką epopeją, sądzić jednak można, że jest w tym nieco przesady.

Jednak wszystkie wymienione braki nagradza autor bardzo pięknym i pełnym obrazowości językiem, w tym względzie jest Zaleski niewątpliwie najlepszy wśród łużyckich prozaików.

Druga nowela, również o zakroju powieściowym *Kifko*, jest fantastycznym opowiadaniem, w którym nieraz trudno uchwycić wątek treściowy; autor operuje symboliką. W ten sposób obok symbolisty Nowaka, poety, reprezentuje Zaleski symbolizm w prozie łużyckiej.

Utwór *Wyspa zapomnianych* nazwał autor romansem poszukującej duszy łużyckiej. Jednak powieść to nie jest, a najśluszniej możnaby ten utwór określić jako poemat pisany prozą, na który złożyły się dwojakie wpływy: symbolizm böcklinowski, którego wpływ na autora widoczny jest nawet w tytule, i Dantego *Boska komedia*. Wpływ tego arcydzieła jest aż nadto widoczny, to też nie trudno, pomimo zawilości symbolicznej, wydobyć z łużyckiego utworu jego istotną tendencję i stwierdzić, że Zaleski starał się stworzyć raj łużycki. Tym samym *Wyspa zapomnianych*, jeśli pominiemy dominujący pierwiastek osobisty, staje się utworem ogólnonarodowym, w którym autor stawia sobie pytanie co do losu swego narodu, co do jego wartości i powołania, co do jego przeznaczenia, przy czym kraj swój ojczysty określił dość osobliwą i poetycką nazwą: „Kupa zabytych”. Tą właśnie wyspą są Łużyce, widziane niejako oczyma, ujmowane historiozoficznie.

Bardzo pożyteczną lekturę znajdzie czytelnik w opowiadaniach Mikołaja Domaški, który jest wprawdzie starszy od autora *Wyspy zapomnianych*, lecz jego działalność literacka przypada raczej na czasy powojenne.

W powieściach Domaški tendencyjność zmierza do pokazania szlachetnych postaci, które biorą górę nad złem i dochodzą do zwycięstwa.

Domaška próbował również pisać dramaty dla ludu, ale ani *Znalezienie cudownej figury w Różencie*, ani *Ślepy Beniamin* nie mają większego znaczenia.

W roku 1920 grano w Budziszynie w niemieckim teatrze z okazji zjazdu łużyckich studentów sztukę *Janofa Wićaz*. Był to pierwszy występ Marii Kubašec. Niebawem jednak dała się poznać oryginalnym utworem mianowicie nowelką *Trędowaty*.

Autorka nie była w pomysle oryginalna. Dawny motyw znany z utworu *Biedny Henryk* Hartmanna von der Aue i z dramatycznego opracowania tegoż motywu przez Gerhardta Hauptmana, przetworzyła na swój sposób, przenosząc go do stosunków łużyckich. Pod tym względem nie ma nowelka większego znaczenia, zato jest napisana bardzo ładnym językiem i posiada rzadko spotykane w łużyckiej noweli silne napięcie.

W r. 1925 odegrano siłami amatorskimi sztukę trzyaktową Kubašec pt. *Czarownica*. Utwór ten nie jest pozbawiony inwencji i poetyckiego uroku. Rzecz dzieje się w czasach bliżej nieokreślonych, kiedy to jeszcze wierzono w czarownice.

Całkiem oryginalną postacią w łużyckiej literaturze jest Marcin Nowak, pisarz i równocześnie malarz, który przez pewien czas ogłaszał swoje utwory pod pseudonimem Wohnjoš lub Njehorński.

Jako pisarz wystąpił Nowak dość późno, zaczynając od przekładów z literatury polskiej, ogłaszanych w *Łużicy* i *Serbskich Nowinach*. Są to przekłady fragmentów z utworów Reymonta (z *Chłopów*), Żeromskiego, niektórych opowiadań Tetmajera z *Na skalnym Podhalu*, Ejsmonda i in. W r. 1935 ogłasza Nowak w *Serbskich Nowinach* przekład powieści F. Goetla *Kar-Chaf*. Oryginalne prace Nowaka mają charakter impresjonistyczny, są to w pierwszym rzędzie interesujące i barwne opisy podróży np. zbiór wrażeń z wycieczki po Beskidach *W polskich Bjeskidach*, ogłaszanych w *Łużicy* w latach 1926—27, lub *Z Bratysławy do Krakowa*,

bardzo interesujący reportaż podróżniczy, ogłoszony w *Serb-skich Nowinach* w r. 1933. Podobnie interesująco opisał autor swoje wrażenia z podróży po Czechach i Jugosławii, a z szczególnym zamiłowaniem maluje swój kraj rodzinny.

Nowak jest poza tym autorem kilku pomniejszych nowelek o charakterze wybitnie symbolicznym. Do najbardziej artystycznych należy zaliczyć *Djaboł w holi* (Diabeł w borze) i *Rycerze*; obydwie one mają za temat stosunki łużyckoniemieckie, walkę o byt i prawa narodowe, przedstawione w sposób żywy i plastyczny.

Pisarz ten jest doskonałym artystą, i świetnie opanował język, zna jego wartość i działanie sugestywne, a jako malarz myśli obrazami. Dzięki tym wartościom stanowisko Nowaka w literaturze łużyckiej jest bardzo poważne i pewnie wniesie w nią utwory pod każdym względem doskonałe.

Pomijając innych autorów, którzy na polu literackim posiadają niewielkie znaczenie, a większe w dziedzinie badań naukowych, należy stwierdzić, że powojenna literatura łużycka rozwija się bardzo pomyślnie i posiada coraz większą ilość przedstawicieli, przy czym to godne uwagi, że o ile dawniej reprezentowali ją przede wszystkim duchowni, o tyle obecnie pojawia się wielu pisarzy świeckich, którzy zmierzają do rozszerzenia tematycznego zakresu piśmiennictwa. Poważną pozycję stanowią również przekłady z obcych literatur, przy czym siłą rzeczy miejsce przodujące zajmuje literatura czeska, jest ona bowiem najlepiej znana pisarzom łużyckim i wywiera na nich niewątpliwie wpływ najsilniejszy. Poza tym są uprzywilejowane inne słowiańskie literatury, zwłaszcza polska i rosyjska, ale już w mniejszym stopniu, mało natomiast tłumaczy się z innych literatur europejskich, a więc i z niemieckiej.

Samo przez się oczywiste, że w trudnych warunkach, w jakich znajdowały się Dolne Łużyce, literatura rozwijała się dość słabo, a do połowy XIX w. przeważa, jak w wiekach dawniejszych, literatura religijna, mająca na uwadze cel praktyczny. Jednak i ten rodzaj literacki ma niewielu przedstawicieli.

Okolo r. 1880 wystąpił na polu literackim Mato Kósyk, który wydzwignął dolno-łużyckie piśmiennictwo na poważne

stanowisko, a sam zajął obok Zejlerja i Čišinskiego wybitne miejsce; z pierwszym łączy go czysta ludowość, będąca podstawą w jego utworach, a przejawiająca się w naśladowaniu pieśni ludowej, z drugim artystyczna forma wiersza.

Kósyk rozpoczął od poematów, ale nie jest epikiem, lecz raczej lirykiem i w tym rodzaju literackim leży główna jego siła. Zajmuje on w dolno-łużyckiej literaturze miejsce przodujące, uczuciami i poglądem na świat zbliża się raczej do Zejlerja, jakkolwiek nie posiada tej głębi uczucia, co ten poeta górno-łużycki. Nie może też iść w porównanie z Čišinskim, brak mu mianowicie siły wyrazu, jaką znajdujemy u tego poety, a przede wszystkim daleko mu do tego poziomu artystycznego, na jaki wzniósł się Čišinski.

W czasach powojennych zjawiał się nowy talent literacki, który nie zawiódł pokładanych w nim nadziei. Była to Mina Witkojc.

Witkojc posiada prawdziwy talent poetycki, a jeśli chodzi o zdolność do wyrażenia i pogłębiania uczuć, to stoi wyżej od Kósyka. Umie subtelnie odczuwać i wypowiadać wrażenia, potrafi wchłonać w duszę jakiekolwiek przeżycie i wyrazić je silnie, i właśnie ta umiejętność odsłaniania świata duchowego nadaje jej utworom poważną wartość. Umie panować nad formą i ożywiać wiersz różnorodnością rytmiczną, ma wrażliwość na piękno języka ojczystego, któremu nadaje sporo wdzięku. Witkojc to pewnie najlepsza poetka w tak górno- jak i dolno-łużyckiej literaturze.

Tak się przedstawiają dzieje łużyckiej literatury w latach powojennych. Nie jest ona zbyt oryginalna, ani bogata, ale wystarcza na podtrzymanie narodowości i to zadanie spełnia dobrze. Można zauważyć, że ta literatura nie upada, lecz przeciwnie, stale się rozwija i doskonali, nabiera mocy i samodzielności, a to wszystko pozwala mieć nadzieję, iż dzięki stałej ewolucji podtrzyma nadal wolę narodu do życia.

Dr Józef Gołąbek.

Przegląd piśmiennictwa.

Stanisław Miłaszewski: *Bunt Absalona* (dramat w 10 odsłonach), wyd. 6, wyd. św. Wojciecha. — Józef Kisielewski: *Powrót*, wyd. św. Wojciecha. — Jan Władysław Grabski: *Na krawędzi*, wyd. św. Wojciecha. — Czesław Straszewicz: *Gromy z jasnego nieba*, wyd. „Prosto z mostu”. — Wojciech Wasiutyński: *Z duchem czasu*, Warszawa 1936 „Prosto z mostu”. — Eugeniusz Szermentowski: *Historia jednej błagi*, Tenże: *Karierowicz*, wyd. Michalak i Ska, Warszawa. — J. Wielawski i Winiarz: *Gdzie ludzie żyją lat 25*, wyd. Biblioteka Polska. — Bohdan Pawłowicz: *W słońcu dalekiego południa*, wyd. Biblioteka Polska. — Stefan Łaskiewicz: *Sępy* (powieść lotnicza), wyd. Arcta.

Dramat biblijny jest nie tyle jaką próbą talentu. Mimo dramatyczności tematów biblijnych grożą tu autorowi liczne niebezpieczeństwa: niebezpieczeństwo papierowości, szablonu, przesadnego patosu. Wszystkie te niebezpieczeństwa omija jednak szczęśliwie Stanisław Miłaszewski w swoim *Buncie Absalona*. Postacie są żywe, akcja dobrze zazębiana, język pełen umiaru. Jedynie może klasyczna, dziś teoretycznie nieobowiązująca, ale w praktyce jakżeż zawsze ważna „jedność akcji” pozostawia nieco do życzenia. Ale i o tym trudno powiedzieć coś decydującego przed „próbą sceny”. Utwór przeznaczony na scenę zmienia się na niej nieraz do niepoznania, często myli wszelkie przewidywania — na lepsze lub na gorsze, zależy. To też o tych walorach scenicznych *Buntu Absalona* trudno dziś przesądzać, można tylko stwierdzić, że wartości literackie są duże, (a wbrew panującym dziś teoriom jest to jednak zazwyczaj najlepsza i najpewniejsza rękojmia i wartości scenicznych). Napięcie dramatyczne dobrze jest wytrzymane przez cały tok akcji, jest w nim coś z tragiczności klasycznej, ciągle ciąży nad ludźmi i ich poczynaniami przekleństwo grzechu popełnionego przez człowieka świętego:

Runięciem wysokiej wieży
Jest grzech świętego: — bez liku
Skutków ma i swym ciężarem
Rozlicznych ludzi obarcza.

(przypomina się nam piękna książka Bernanosa *Journal d'un curé de campagne*). Wiersz sztuki, jak zawsze wiersz Miłaszewskiego, jest poprawny, dobry opanowany. Miłaszewski posiada naprawdę „rzemiosło poetyczne” w pełni, włada nim doskonale i swobodnie. Jest jednym słowem poetą. Jest to pochwała wyglądająca na pozór skromnie, ale w istocie jest duża, jeżeli od tego zaszczytnego miana odsądzimy tych wszystkich, co piszą słowem rymowym a przyznamy ją tylko tym, którzy władają nim dopiero na pewnym poziomie. To też skreślając superlatywy, których krytyka zazwyczaj nadużywa, można powiedzieć, że *Bunt Absalona* jest dziełem człowieka utalentowanego, wysoce kulturalnego, dziełem poety i myślę, że te proste skonstatowania wyrażają całe uznanie jakie się ostatniemu dziełu Stanisława Miłaszewskiego należy.

Powrót Józefa Kisielewskiego, a raczej Anny Nowotnej do rodzinnego miasta Zadość, jest powrotem smutnym. Opuściła je wygnana przez rodziców, porzucona przez narzeczonego, aby w dalekim mieście urodzić nieślubne dziecko. Po 20 latach ciężkiego życia, życia pełnego ofiar, trudu pracy i tułaczki, wraca do rodzinnego miasteczka odziedziczwszy majątek po rodzicach. W miasteczku nie zapomniano skandalu. Część powieści opisująca nastroje Zadości, surową cnotę pani aptekarzowej, wzniosłe zasady pani sędziny, jest najlepszą częścią książki. Autor potrafił wydobyć bardzo dobrze zaśniedziałość, obłudę ciasnotę tego środowiska, oddać kołtuństwo cnoty, trzymającej się raczej pozorów, niż istoty rzeczy. Także postać Anny jest dobra. Nie ma w niej nic z łzawości, nic z szablonowości „ofiary opinii”. W dalszym toku autor z torów powieści psychologicznej schodzi raczej na tory powieści społecznej. Wyrasta przed czytelnikiem zagadnienie bezrobocia, zagadnienie strajków, kapitalizmu, wyzysku. W drugiej też części występuje na arenę ciekawa postać księdza Leśniaka, z wszystkimi wewnętrznymi problemami powołania i pracy apostołskiej. To bogactwo tematów i wątków jest może wadą powieści, zbyt rozbijając akcję, poruszając zagadnienia, które domagałyby się bardziej wyczerpującego i bardziej pogłębionego przestudiowania. W ogóle powieść zyskałaby na większej zwartości, na większym ujednostajnieniu. Najlepszą jej stroną są sylwetki ludzkie, żywe i wyraźne. Ale może dla powieści jest to zaleta najważniejsza, pozwalająca zapomnieć o brakach.

Na krawędzi Jana Władysława Grabskiego jest trzecią i zdaje się ostatnią częścią trylogii, której dwie części pierwsze *Bracia* i *Kłamstwo* omawialiśmy tu w swoim czasie. Czytając tę książkę stwierdzamy z przyjemnością duży i stały postęp pisarski autora. Grabski jak już zaznaczałam poprzednio, jest pisarzem obdarzonym dużym pisarskim temperamentem, ma dużą swadę, żywość,

pomysłowość. Ma doskonałe powieściowe „chwytły”. W tej powieści zalety te uwypuklają się wyraźniej, gdyż mniej niż w poprzednich zajmuje się autor „służbą społeczną”, mniej do powieści doszywa pouczeń politycznych i społecznych. Zwłaszcza początek powieści jest dobry. Opis odmy robionej bohaferowi, Jackowi, w sanatorium doktora Wolfa, jest sceną kapitalną i przez doskonały realizm i przez dużą sugestywność. Doskonałe są opisy życia suchotników w przeróżnych sanatoriach, doskonałe typy lekarzy, pielęgniarek, chorych; znajdujemy epizody pełne prawdziwego liryzmu, jak epizod z małą Liną i sceny godne dobrych komedii sytuacyjnych. Satyra na lekarzy i sanatoria jest cienka, dowcipna, przekonywująca. Ale i ta powieść nie jest wolna, zwłaszcza pod koniec, od szlachetnych wad autora, społecznika i moralizatora z przekonania. Nie chcę być źle zrozumianą: nie zarzucam tej, ani żadnej innej powieści, że chce być wykładnikiem pewnych idei, komentarzem plastycznym pewnego światopoglądu, że chce nawet być tych idei i tego światopoglądu służbą i propagandą. Ale idee i pouczenia muszą z książki emanować same przez się, muszą wynikać bezpośrednio i koniecznie z charakterystyki osób, z sytuacji i faktów, muszą być raczej zapachem książki, jej aurą, niż udowodnionym przez fakty wnioskiem. Otóż tego wtopienia idei w fabułę jeszcze u Grabskiego nie widzimy. Pouczenia jego powieści wynikają nie tyle z założeń powieściowych, ile z wfilczonych w nią rozmów i dysertacji. „Pouczenia” zaś religijne, które tu wysuwają się na plan pierwszy, choć napewno szczerze katolickie, mogłyby jednak stać się tematem dyskusji i być komentowane „rozmaicie”. Nieco dziwnie wygląda ta kochanka, która jedzie do Lourdes, przywozi stamtąd cudowną wodę, woda ta rzeczywiście w zupełnie cudowny sposób uzdrowia Jacka i w konsekwencji nawraca jego niewierzącą matkę. Mogło być i tak, ale dziwnie to wychodzi. W ogóle coraz więcej przekonywuję się jak niebezpiecznym motywem w powieści jest cud, jak niebezpieczny jest i pod względem religijnym i pod względem artystycznym. Nie można tu zalecić autorom dość daleko idącej ostrożności... Co do samego autora upieram się przy wypowiedzianym już kiedyś twierdzeniu, że gdyby zechciał oddzielić swoją szlachetną i pożyteczną działalność publicystyczną od twórczości literackiej, stałby się powieściopisarzem bardzo dobrym, bo ma na to pierwszorzędne dane: czysty prosty język, żywość, dowcip, trafność obserwacji, zdolności naracyjne. Że te wszystkie zalety są znane i uznane na literackim Parnasie dowodzi fakt, że znakomita poetka K. Młakowiczówna podała *Na krawędzi* do nagrody Akademii niezależnych.

Wydawnictwo *Prosto z mostu* staje się coraz ruchliwsze, i trzeba przyznać, że w wyborze dzieł (zwłaszcza dzieł beletry-

stycznych) ma szczęśliwą rękę, a może po prostu dobre oko. Po pierwszorzędnym nowelach Andrzejewskiego, daje nam obecnie tom opowiadań Czesława Straszewicza *Gromy z jasnego nieba*. Nowele Straszewicza nie są na pewno doskonałe, nie są tak zwarte i wykończone jak nowele Andrzejewskiego, ale jest w nich jakaś siła, ekspresja i dramatyczność bardzo biorąca. Najlepszym wydaje mi się opowiadanie pierwsze „Wzgórze księżycy”. Obraz starzejącego się, zapomnianego, od władzy odsuniętego polityka Serrata jest przejmujący. Doskonałe jest ciągle oczekiwanie przez niego depeszy wzywającej go do tworzących się w Paryżu gabinetów, doskonałe oddalenie i obcość żyjącej z nim rodziny. Jest w tym patetycznym starcu coś z grozy i upiorności bohaterów Greena. Dramatyczne momenty ma też opowiadanie drugie, choć jego temat, przypadkowe odkrycie przez bohatera żydowskiego pochodzenia, jest mniej przekonujące, miałam ochotę powiedzieć mniej ludzkie. Wszystkie opowiadania zyskałyby na silniejszych zakończeniach, na jakiejś klamrze, spinającej wyraźnie ich dramatyczne momenty. Odebrało by im to charakter fragmentaryczności, który noszą i który nie wychodzi im na dobre. W każdym razie są to nowele ciekawe, jest w nich to „coś” co znamionuje talent.

Czytając zbiór feljetonów Wojciecha Wasiutyńskiego *Z duchem czasu* rozmyśla człowiek ze smutkiem o fatalnym wpływie dziennikarstwa na literaturę, a raczej na piszących ludzi. Nie dlatego, żeby felietony p. Wasiutyńskiego były złe, lecz właśnie dlatego, że mogły by być dobre, gdyby nie były felietonami, gdyby nie musiały zaczepiać uwagi zaspieszonego czytelnika gazet dowcipem, oryginalnością formy, udaną beztroską, łobuzerstwem i wszystkimi innymi trójkami felietonowymi. Czytając bowiem te jedno-dniówki, którym kazano trwać w monumencie książki przechodzi ciągle czytelnik od irytacji do odruchów sympatii dla autora, do zainteresowania problemami, które porusza. Bo dużo ciekawych problemów porusza Wasiutyński; porusza je inteligentnie i zajmująco. Widać, że ma szerokie zainteresowania i że wiele ciekawych rzeczy mógłby nam powiedzieć, gdyby miał czas je przemyśleć, do dna, gdyby nie musiał ich rozdrabniać i zużywać w felietonach. Ale felieton musi być krótki, i musi w 200 wierszach dawać konkluzje decydujące czy to chodzi o zagadnienia kultury, czy struktury społecznej, czy kwestii narodowościowej, czy o zagadnienie stosunku pracy do twórczości, czy o rozstrzygnięcie kwestii ukraińskiej. Z tego powodu rozdziały tej książki czyta się wedle ustalonego schematu: przeważnie jest czytelnik zainteresowany początkiem artykułu, uderzony trafnością obserwacji, postawieniem problemu, inteligentną uwagą, i zawsze pod koniec doznaje zawodu, gdy nagle zawiły i ciekawy problem znajduje jasne, proste i bezapelacyjne rozstrzygnięcie na stronie trze-

ciej... Może to jest konieczne i potrzebne dla dziennika, który ma być walką o pewien światopogląd, który ma być propaganda pewnych idei. Ale w książce razi to w sposób przykry. Gdyby te felietony były puste i bezmyślne nie mielibyśmy pretensji. Ale właśnie interesują nas, często pasjonują poruszone przez nie problemy, jesteśmy „wzięci” jakąś uwagą i sądem autora. Mielibyśmy ochotę zasiąść z autorem w cieniu oliwkowego gaju i zapuścić się z nim w szlachetną krainę idei. Dyskutować byłoby o czym. Może tu i ówdzie spieralibyśmy się o różne punkty jego myślowego programu. Ale dogadalibyśmy się na pewno, dogadalibyśmy się przede wszystkim na tle jego szczerego i odważnego katolicyzmu, częściowo także na tle jego zapatrywań narodowościowych, choć może wybuchłaby kłótnia o pewne wybujałości nacjonalizmu (kto wie może te właśnie wynikły także z braku „domyślenia”). Ale cóż! p. Wasiutyński zamiast chłodzić nogi w srebrzystych wodach Illinoisu biegnie już ku przyszłotygodniowemu felietonowi... Gdyby nie sięgając aż do Sokratesa zechciał się p. Wasiutyński wzorować na Sokratesie współczesnym, na Alainie, gdyby w comiesięcznym feljetonie dawał nam owoc swych trzydziestodniowych rozmyślań - byłby to na pewno esseista bardzo sympatyczny, bardzo inteligentny i bardzo ciekawy. Ale cóż... naszego Alaina *in spe* zżera i niszczy rak dziennikarski. A naprawdę szkoda...

Powieść Eugeniusza Szermentowskiego (której pierwsza część nosi tytuł *Historia jednej blagi* a druga *Karierowicz*) kończy się taką maksymą: „Żadna praca podjęta bez idei nie będzie miała trwałej wartości”... Dobrze że ta maksyma wyrażona jest jasno na końcu książki, gdyż wysnuć z treści byłoby ją trudno. Treść w trzech słowach jest taka: bezrobotny inteligent Kamil Gaszyński dostaje w swe ręce czek na 50.000 zł. Czek ten został wyłudzony senatorowi Zadorze-Lubinowskiemu w mętnej i skomplikowanej aferze szulerskiej. Gaszyński obiecuje kompromitujący czek odzyskać i senatorowi go oddać, spodziewając się za to poparcia w karierze. Ale odzyskawszy czek namyśla się, że o wiele skuteczniej będzie go zrealizować na własne imię i własny benefis, co też czyni pod sfalszowanym nazwiskiem. Równocześnie zwierza mu przyjaciel plan swego pomysłu i opracowania, jakichś nadzwyczajnych schronów przeciwgazowych, które mają zbawić Polskę a wynalazcy zdobyć majątek. Przyjaciel prosi Gaszyńskiego, aby swymi wpływami uzyskał zatwierdzenie tych planów i wprowadzenie ich w życie. Gaszyński robi tak samo jak z czekiem: plany opatentowuje i realizuje na własne imię i benefis. Zostaje dyrektorem wielkiego przedsiębiorstwa, milionerem, człowiekiem sławnym i wpływowym a przyjacielowi - wynalazcy daje z łaski skromną posadkę w swoim biurze. Równoległe z tą akcją rozwija się fabuła romansowa po-

wieści: Kamil był zaręczony z piękną i zacną Melą. Maltretuje ją i zdradza, wkońcu uwiodłszy, porzuca — i wyjeżdża za granicę z młodziutką Zosią Camachówną, którą także „na drogi najgorsze popchnął”. Tam zostawia ją w rękach jakiegoś entraprenera filmowego, przypominającego raczej entraprenera od całkiem innych spraw i wróciwszy do kraju zaręcza się dla ambicji z księżniczką Yolaną, nie zrywając z nią nawet wówczas, gdy przekonał się, że zdradza go w sposób najbardziej cyniczny. To jest szczyt jego kariery. Nagle wszystko się wali. Oszustwa wychodzą na jaw, wydaje się i sprawa czeku i planów, Yolanta zrywa zaręczyny i Gaszyński idzie do więzienia, ale nie zupełnie zgnębiony, bo szlachetna Mela w scenie pełnej melodramatycznego patosu odchodzi od ołtarza podczas swego ślubu, zobaczywszy w kościele Kamila i staje przy nim mężnie i niezłomnie w chwili gdy policjanci ujmują go pod ramiona! Ta historia „kariery” Gaszyńskiego to dla autora praca bez idei.. jego posunięcia to tylko karierowiczostwo. Bardzo narzeka w swej powieści Szermentowski na chrześcijaństwo, że wytwarza w ludziach psychikę niewolniczą, że jest religią słabości i martwoży. Widocznie przewyciężył w sobie tę niewolniczą i przesadną etykę i swemu bohaterowi, który w naszych, przez chrześcijaństwo zdeprawowanych pojęciach, jest złodziejem i oszustem w sprawach finansowych, a szują w sprawach erotycznych — zarzuca jedynie brak ideowości. To już jest etyka wyzwolona i bez przesądów, etyka ludzi silnych. Takich nieporozumień w książkach Szermentowskiego możnaby znaleźć więcej. Może z użytych przez niego motywów: sfery szulerskiej, spelunki gry, wykradzionych planów, gwiazd filmowych i międzynarodowych spekulantów możnaby stworzyć zajmującą powieść defektywistyczną. Ale ambicje autora są o wiele wyższe: wskazuje na to i wyżej wspomniana propozycja reformy chrześcijaństwa i liczne cytaty z Wilde’a, Huxleya, Parandowskiego, których komentarzem ma być rozwijająca się akcja, a także najwidoczniej zamierzona satyra na polskie stosunki polityczne i stosunki w świecie arystokratycznym. Łatwo w tej satyrze odkryć znane osobistości z warszawskiego świata. I ten zamierzony obraz naszej „współczesności” jest może najsmutniejszą stroną tej niewesołej książki. „Oblicze dumnego hrabiego spłonęło od szczęścia” (że użyjemy tu stylu nieporównanej Madzi Samozwaniec) powiada autor. Jest to słuszne, myli się tylko w tym, że uwielbianą autorkę naśladuje nie tylko w tym zdaniu, ale w całej książce, a raczej w obydwóch książkach. Naśladuje ją a właściwie prześciga konsekwentnie i wytrwale. Książeczki Szermentowskiego mówią wyłącznie takim stylem: „Nie bądź pan w ząbek szarpany i fasonu nie odstawiaj”. „Niech mnie pan nie bajeruje” itd. Dżentelmeni przemawiają do siebie najchętniej przez „panie ładny”, a autor od siebie używa wyrażen i opisów oryginalnych i przekonujących, poetyczne:

„zza drzew wychylał się księżyc w kształcie bumerangu”; dowcipne: „a następnie zawył jak pinczerek mający zatwardzenie i nagle uciał”. Myślę, że Magdalena Samozwaniec zielenieje z zazdrości.

Przyznaję, że piszę o książkach Szermentowskiego ze złośliwą ironią, że może nie powinno się w ten sposób pisać o żadnej książce, gdyż każda jest jednak wielkim i szczerym wysiłkiem człowieka, starającego się dać z siebie to, co ma najlepszego. Ale naprawdę, trudno powstrzymać się od zniecierpliwienia, czytając ten typ książek, trudno nie usiłować wszelkimi środkami zapobiec ich poczytności, bo takie właśnie powieści i przez swój fałszywy patos i przez pomieszanie pojęć i przede wszystkim przez brak wszelkiej kultury, nie są lekturą obojętną, lecz prawdziwymi, groźnymi szkodnikami w życiu umysłowym i kulturalnym społeczeństwa.

Książka J. Wielawskiego i W. Winiarza *Gdzie ludzie żyją lat 25* powinna się właściwie nazywać „Młodość i awantura”, bo właśnie młodość i pełna fantazji przedsiębiorczość autorów jest jej największym wdziękiem i wartością. Dwóch młodych lekarzy ciuła grosz do grosza, aby odbyć daleką i długą podróż. Na kilka lat pobytu w Azji trudno uciułać dostatecznego kapitału i nie może nim być zaoszczędzonych złotych 5000. Ale młodzi podróżnicy mają w ręku maszynkę do robienia pieniędzy: dyplom doktorski. To też z tym skromnym kapitałem 5000 zł wybierają się przez Rosję i Konstantynopol do Persji. Tam w mieście Sziras otwierają... klinikę. Po kilku miesiącach, zasilwszy kasę, jadą dalej, do Indii. Tu już nie praktykują, lecz studiuja: przechodzą kurs medycyny u starego mędrca-lekarza. Dowiadują się przedziwnych rzeczy o jamach, zbiornikach i humorach ludzkiego ciała... Asystują przy błyskawicznych auskultacjach i psychologicznych diagnozach... Tak wzbogaciwszy swą wiedzę jadą do Chin. Tu kasa jest już w stanie opłakanym: 5 dolarów na dwóch. Ale dla dobrych lekarzy to drobiazg. Znajdują posady w klinice neurologicznej, potem poczynają praktykować w Nankinie. Szczęście im sprzyja: udana kuracja żony jakiegoś dygnitarza zdobywa im sławę, i nasi przyjaciele zostają mianowani doradcami lekarskimi rządu chińskiego! Na tym stanowisku mogą znowu spędzić kilka spokojnych miesięcy w cudownej ukwieconej willi, lecząc, zwiedzając i oszczędzając na przyszłość. Z Chin udają się do kraju Wschodzącego Słońca, a przy końcu tomu odprowadzamy ich do brzegów Kalifornii. Leczenie Persów i Chińczyków jest dużo skuteczniejszym sposobem poznania kraju i życia niż najsumienniejszym wypełnianym program Bedekera, a system podróżowania z biletem dyplomu, jest dużo lepszy i ciekawszy niż sposób podróżowania z biletem Cooka. To też dr Winiarz i Wielawski mówią nam o egzotycz-

ných krajach Azji rzeczy ciekawsze i oryginalniejsze, niż najbardziej chytry reporterzy, a ich lekarska trąbka dużo dokładniej wysłuchiwała szmerów życia i biegu krwi obcych narodów, niż wiele tomów rozsądnych i normalnych podróżników.

Książka Bohdana Pawłowicza *W słońcu dalekiego południa* daleko odbiega od szablonu książek podróżniczych, tych książek, w których autor-podróżnik opisuje swoją marszrutę, przygody i wrażenia „po kolei”, od początku do końca, gdyż wszystko co widział, wszystko co przeżył, wydaje mu się ważne i jedyne. Pawłowicz bardzo wiele podróżował, wiele widział i umie wybierać. Oszczędza nam opisów tych przeżyć, których doznaje każdy przejechawszy Zbąszyń czy Zebrzydowice. Ze swej włości po szerokim, rzeczywiście najszerszym świecie, daje nam tylko bulion, tylko samą esencję. Książka jego składa się z luźnych, pozornie nie wiążących się rozdziałów, z szeregu jakby obrazków czy opowiadań czy nowel (ach jakżeż trudne są definicje) dających nam fragmenty życia na egzotycznym tle. Znajdziemy tu smutną historię o śpiewaku z Camagnoli i historię schwytanego w Hiszpanii anarchisty, i romantyczną historię o miłosnej „vendecie” zazdrosnego Hiszpana, i rzewne opowiadanie o tym, jak na Wielkanocnym nabożeństwie zaśpiewała w kościele sławna śpiewaczka Gloria de Las Casas, i dziwne historie z przeszłości Meksyku, i obrazki z życia polskich kolonistów w południowej Ameryce. Ta część książki opisująca stosunki kolonistów, warunki i trudności ich pracy, stanowi najciekawszą rzeczowo część książki. Książka pisana językiem prostym, wyrazistym, przepojona rzetelnie chrześcijańskim duchem, świadczy o dużej inteligencji i kulturze autora, daje wiele ciekawych wiadomości, pięknych pejzażów, żywych scen rodzajowych jest jednym słowem interesującą i czytania warta.

Lotnictwo jest bardzo pociągającym i wdzięcznym tematem literackim. Dopisek „powieść lotnicza” dobrze usposabia czytelnika, a warkot motorów ożywia już sam przez się karty książki i dodaje im „skrzydeł”. *Sępy* Stefana Łaszkiewicza nie zawodzą pokładanych w nich nadziei. Mamy tu wszystko czego się po powieści lotniczej spodziewamy: emocje karkołomnych lotów, zwycięstwo odwagi i szaleńczej śmiałości, dramatyczność katastrof, mamy zabrązowany już dzisiaj (przez Kessel'a) typ odważnego i do szaleństwa śmiałego lotnika, mamy tak kapitalnie przez Saint-Exupery stworzony typ zwierzchnika, surowego a dobrego, twardego a wyrozumiałego, groźnego a uwielbianego. Stosunek młodego pilota Korejwy do takiego właśnie niezwyklego zwierzchnika, sfinksa i ojca, Brandta, jest główną i udaną osiá powieści. Jej węzłem dramatycznym jest miłość obydwu do jednej kobiety. Sytuacja jest pełna tajemniczości i zawikłań, bo Korejwa nie wie, że Brandt kocha Janinę, Janina nie wie, że Brandt jest

uwielbianym przez Koreję zwierchnikiem, Brandt nie wie, że Korejwa pokochał jego umiłowaną Janinę. W ogóle nikt niczego nie wie, jedynym uświadomionym od początku czynnikiem jest czytelnik. Na końcu wszystko się wyjaśnia, wszyscy z drażliwej sytuacji wychodzą szlachetnie i porządnie, Korejwa jest trochę smutny (nie wątpimy jednak, że się pocieszy) Brandt i Janina szczęśliwi, a czytelnik zadowolony, że przeczytał książkę przyjemną, pełną emocjonujących opisów i wzruszających sytuacji.

Zofia Starowieyska-Morstinowa.

Brzozowski Stanisław: *Kultura i Życie*. Wyd. Instytutu Literackiego. Współczesna powieść i krytyka. Artykuły literackie. Studia o Wyspiańskim. Warszawa 1936. T. IV, str. 448; t. VI, str. 392.

W 25 lat po śmierci ukazuje się w wydawnictwie Instytutu Literackiego pod redakcją Artura Górskiego i Stefana Kołaczковского zbiorowe wydanie pism przedwcześnie zmarłego pisarza. *Kultura i Życie*, jako tom IV, opracowany przez jednego z najwybitniejszych znawców Brzozowskiego, p. Wykę, obejmuje zagadnienia sztuki i twórczości, drukowane w *Głosie, Kryfycie* i w *Przeglądzie społecznym*, oraz pod ogólnym nagłówkiem „W walce o światopogląd” artykuły z dziedziny filozofii, drukowane w *Głosie*, w *Przeglądzie filozoficznym*, *Przeglądzie społecznym*, lub wydane osobno. Tom VI, opracowany przez pp. Suchodolskich zbiera artykuły z zakresu współczesnej powieści, krytyki literackiej i inne literackie szkice, rozsiane również po czasopiśmie, dziś już trudno dostępnych, nie tylko w *Przeglądzie społecznym*, ale w *Świecie, Panteonie, Drodze, Społeczeństwie, Zjednoczeniu*, oraz osobno wydane.

Wydawcy oparli się na pierwodrukach z uwzględnieniem zmian, jakie w nich poczynił autor w swych zapatrywaniach, zaznaczając odchylenia w przypisach do każdego tomu. Szkoda, że nie uzupełnili cennego wydania zaznaczeniem przy poszczególnych artykułach głosów krytyki, jaką one budziły za lub przeciw. Dla przyszłego monografisty Brzozowskiego byłoby to i cennym materiałem i dużym ułatwieniem pracy.

Brzozowski nie był naukowcem. Nie chodziło mu o badanie i zgłębianie problemów. Wszystkie jego wystąpienia noszą na sobie cechę na wskroś indywidualnego subiektywizmu. Stąd na jego sąd ani o ludziach ani o systemach spuścić się nie można. Światopoglądem wiązał ze sobą zarówno licznych wielbicieli, jak budził sprzeciw. Zwolennik Marxa, tak jak on go pojmował, wchłaniał w siebie równocześnie Bergsona, Nitschego, Avenariusza, Spencera, Kanta; w Szwajcarii zetknął się z Leninem i Łunaczarskim, wreszcie przylgnął do Sorela, też go po swojemu pojmując, tak że mógł o Brzozowskim złośliwie, ale nie bez pewnej racji, napi-

sać Feldman, że „ostatnie dziełko *Pamiętnik* świadczy, jak można zostać katolikiem, nie będąc chrześcijaninem”. Wszak on sam rok przed śmiercią, pisał: „gdybym był katolikiem”. Brzozowski porównywał nawet tych, którzy byli dalecy od jego poglądów, osobliwie radykalizującą młodzież.

Jeżeli jednak współczesne, przedwojenne społeczeństwo mogło upatrywać w Brzozowskim zapowiedź dopiero nowych czasów i swoich nadziei a wielu, poza atakami na osoby sobie nie miłe, mogło lekceważyć jako „mrzonki właściwe idee, o które walczył, to trzeba powiedzieć, że dopiero w naszych czasach jest on pisarzem w pełni znaczenia aktualnym. Hasła, które głosił, zdawało się bez nadziei, że będą w czyn wprowadzone, urzeczywistniają się w naszych oczach, z całym okrucieństwem zagłady. Brzozowski za jedyną rzeczywistość uznawał życie, i człowieka, który je sam tworzy swą pracą i to pracą fizyczną — robotnika. Można go nazwać trybunem proletariatu. W wydanych tomach znajdujemy silne stwierdzenie tego stanowiska.

„Literatura jest tylko wyrazem świadomości uczucia i woli... musi się opierać na przekonaniu, że reprezentuje typ życia zdolny do rozwoju... jakim jest jedyny typ świadomego robotnika.” „Wszystkie inne formy życia, o ile się do niego zredukować nie dadzą, są czymś tymczasowym, patologicznym, zgoła ujemnym.” „Znaczenie każdego innego typu życia: rycerskiego, kapłańskiego, kupieckiego, prawniczego itd. było zawsze umotywowane przez to, jakie znaczenie mają one dla czegoś po za sobą, dla czegoś, czym nie są.” „Typ świadomego robotnika służy tylko samemu sobie. Inne muszą się wylegić przed nim i przed sobą.” „Świata ludzkiego podstawą i twórcą jestem ja — mówi świadomy robotnik. Dziś kiedy ja prawdziwy zwycięzca świata staję się sobą, czym wy będziecie?” „Jedyną siłą jest praca. Tylko to co ma znaczenie dla pracy, ostaje się, rozwija” (Alternatywa). „Świadomość ta musi czynić zadość całkiem określonym warunkom: musi sprzyjać swobodnej, niekontrolowanej z zewnątrz pracy na poziomie możliwie najwyższego opanowania przyrody i swobodnemu, niekontrolowanemu przez żadną zewnętrzną powagę, prócz własnego sumienia, życiu płciowemu ludzkości, które by, przy zachowaniu swobody, nie zagrażało utrzymaniu osiągniętego poziomu biologicznego, lecz przeciwnie gwarantowało jego rozwój” (Studia o Wyspiańskim, str. 311). „Kto nie jest momentem tej walki o utrzymanie i rozszerzanie biologicznych i technicznych zdobyczy człowieka, ten wisi w powietrzu i nie wrośnie w ziemię mimo wszelkie kombinacje myślowe” (Idee). Dla tego „Szlachta polska zakończyła raz na zawsze swój żywot... *iam foetel*.” „Mieszczaństwo przeżyło okres po r. 63 wzmoczonej działalności. Ale ideologowie jego żyli w świecie myśli własnej. Pozostali osamotnieni pośród mieszczaństwa, które żyło tylko sprytem, przemysłem jednodniowego służalstwa.” „Po r. 63 nie

może być mowy o żadnym, chociażby tylko moralnym wpływie kleru. Warstwa ta degeneruje się w tym czasie niesłychanie szybko, pozbywa się jakichkolwiek kulturalnych pretensji i pozorów, staje się nieustającym niebezpieczeństwem moralnym, czynnikiem społecznego i kulturalnego wstecznicstwa. „Rewolucja ujawniła, że nie ma w społeczeństwie polskim żadnej świadomej i zdolnej do działania siły prócz zorganizowanego proletariatu... nie ma w nas narodowych form myślenia, uczucia, działania po za proletariatem. Proletariat z jednej strony a bankructwo narodowe, zrzeczenie się myśli o przyszłości z drugiej... Wszelka nieproletariacka polityka narodowa w Polsce jest złudzeniem” (Literatura polska wobec rewolucji).

Wszystko, co Brzozowski przemyślał, co pisał wypływało z tego podłoża. Wszystkie jego oceny ludzi i kierunków z nim się organicznie wiązały. Brzozowskiego albo się przyjmuje albo można go zwalczać. Jednakże jakiegokolwiek kto zajmie wobec niego stanowisko, przejęć mimo Brzozowskiego nie będzie mógł ani historyk kultury, czy badacz psychologii epoki, ani badacz dzisiejszych głęboko zakorzenionych prądów społecznych, które w nim znajdowały rzecznika i w wielkiej mierze z niego wyrosły. Sam wyznawał: „Piszemy i myślimy dla jutra, które przyjdzie” (IV. 134). Dlatego wydanie dzieł tego pisarza jest cennym dorobkiem.

Ks. Władysław Rejowicz T. J.

François Mauriac: *Życie Jezusa* — przekład Marii Czapskiej, wyd. Roju.

Często słyszy się zdanie: poco pisać życie Chrystusa, skoro jest Ewangelia? Czy który z pisarzy potrafi pisać — nawet po literacku — lepiej, plastyczniej postać Chrystusa oddać? Jest to rozumowanie niesłuszne. Pisarzowi porywającemu się na opisywanie życia Chrystusa nie chodzi nigdy o poprawianie czy prześcignięcie Ewangelii. Chodzi mu o własną duszę i własną miłość. Pisarz nie wybiera sobie tematów. Tematy same do niego przychodzą a ich dojrzałość poznaje po poruszeniu serca i zaniepokojeniu duszy. Gdy jakiś temat obejmie go jak płomień — nie może o nim nie pisać.

Czytając książkę Mauriaca nie mamy żadnej wątpliwości, że takim właśnie płomieniem została objęta jego dusza. Nie jest to bowiem próba ani historycznego ani naukowego odtwarzania życia Jezusa; nie kusi się autor o jakieś specjalne oddanie tła, krajobrazu czy środowiska. Chrystus tej książki to nie Chrystus Ewangeliczny, to Chrystus Mauriaca, tak jak Chrystus z *Dziejów Chrystusa* — drugiej tak samo dyskusje i sprzeczki wzbudzającej książki — jest Chrystusem Papiniego. Chrystus Mauriaca i Chrystus Papiniego to Chrystus ich żarliwych, gwałtownych, udręczo-

nych dusz. I w tym leży wielkość obu tych książek, dlatego wielu się nimi zgorszyło, choć i wielu wzruszyło. Bo rzeczywiście o Jezusie — o Jego osobie, nie może nam nikt nic powiedzieć lepiej i nic ponadto co powiedział On sam, przez swoich dziejopisów. Ale każdy może nam mówić o swoim z Bogiem-człowiekiem współżyciu, o swoim spotkaniu z Chrystusem. I przychodzi refleksja marginesowa, czy w ogóle pisarz może nam mówić o czymś innym, jak o sobie, czy własne każdego przeżycia nie są jedynym źródłem natchnienia i jedynym tematem artystycznej twórczości?

Książka Mauriaca kończy się słowami: „Odtąd każdy może spotkać na swej drodze czatującego nań Boga”. I cała nie jest niczym innym jak komentarzem tych słów. Jest, jak powiada autor w przedmowie, rozważaniem sprawy jedynie ważnej, jest pokuszeniem się o odpowiedź na pytanie, które sobie każdy wierzący człowiek zadać musi: „A ty co sądzisz o tym człowieku?” Każdy kto choć trochę zna twórczość Mauriaca zrozumie, że tak właśnie a nie inaczej musiało wypaść spotkanie wielkiego pisarza z jego Bogiem, że taka a nie inna musiała być jego odpowiedź, że takim a nie innym musi być Chrystus Mauriaca.

Mauriac, jak to już niejednokrotnie było podnoszone, ma duszę niewątpliwie zarażoną Jansenizmem. Ma Jansenizmu trwogę i surowość, ma jansenistyczne pojęcie o naturze ludzkiej z gruntu złej i zepsutej, nie zdolnej do odruchu naturalnego, któryby nie był przełamaniem i naruszeniem prawa Bożego. Dla niego każdy odruch człowieka jest odruchem grzechu. Wedle niego żadne z praw Bożych nie idzie zgodnie z naturalnymi uczuciami człowieka, żadne nie ma na celu rozwijać ich, lecz każde musi je z założenia samego łamać. Pięknie mówi Mauriac w „Życiu Jezusa”, że tylko ten potrafi zaśpiewać franciszkański hymn do słońca, kto umiał modlić się z Janem od Krzyża. Ale zdaje się, że Mauriac, który Jana od Krzyża niewątpliwie czuje i rozumie, hymnu franciszkańskiego nie potrafi zaśpiewać nigdy. Religia nie jest dla niego nigdy tylko miłością, broń Boże radością lub szczęściem, jest zawsze i wyłącznie łamaniem, druzgotaniem, zwyciężaniem wszystkiego co ludzkie.

Takim więc z konieczności musiał być i jego Chrystus: surowy, gwałtowny, miażdżący i potępiający wszystko co ludzkie, idący zawsze wbrew człowiekowi. Chrystus-człowiek to człowiek udęczony głupotą i złością ludzkiej natury, człowiek smutny, zniecierpliwiony, zniechęcony człowiekiem. Złość, głupota i tępota natury ludzkiej jest tak wielka, że nawet Bóg jest częstokroć wobec niej bezsilny! Tak, ten Chrystus z pękiem powrozów w ręku, ze słowami tak często pogardliwymi, twardymi i szyderczymi na ustach, może się wydać niejednemu przerażający. A jednak — i tu leży moment wzruszający tej książki — do tego przerażającego chłostającego Chrystusa wyrywa się autor

całą potęgą swej miłości i uwielbienia; zdruzgotany, złamany i urzeczony klęczy wytrwale u Jego stóp. O tej swojej miłości mówi w przepięknej, głębokiej przedmowie. Pisze, że nie mógłby wierzyć w Boga, gdyby w pewnej chwili dziejowej, nie był się ten Bóg „pogrążył w człowieczeństwie”, że tylko pod przewodnictwem Boga-człowieka zdolny jest powtarzać modlitwę „Ojcze nasz” — i dalej wypowiada te pełne miłości i arcychrześcijańskie słowa: „Wielkie drzewo katolicyzmu wydaje nam się tak piękne tylko dlatego, że jest istotnie żywe, że mimo tylu uschłych gałęzi burzy się od soków i krew Chrystusa krąży po nim nadal od korzeni aż do najdrobniejszych gałązek i do ostatniego liścia. Katolicyzm bez Chrystusa byłby pustą, misternie rzeźbioną muszlą. Gdyby przeciwnie jakiś przypływ morski zburzył świątynie i klasztory, pałace i dzieła sztuki, nic nie byłoby w rzeczywistości zburzone, bowiem zostałby Baranek Boży...”

I tym żarliwym wyznaniem Bóstwa Chrystusowego jest cała książka Mauriaca. Gdyby Mauriac był człowiekiem niewierzącym, gdyby w Chrystusie widział tylko człowieka, książka jego byłaby może nawet książką bluźnierczą. Ale Mauriac w Chrystusie widzi i czci przede wszystkim Boga, a Bóg ma inne niż ludzie miary. Taktyka i żądania — po ludzku niedorzeczne — stają się mądrością najwyższą, skoro są taktyką i żądaniem Bożym, bo ludzka mądrość jest w oczach Bożych głupotą a szaleństwa Boga są mądrością ponadludzką, a także pozory nienawiści są wszystko spalającym płomieniem miłości. To też wbrew pozorom ta książka pełna twardości i jakby ponurej pasji, jest krzykiem uwielbienia i heroicznej miłości — tylko miłości przeszybowanej już kompletnie na tory nadprzyrodzone.

Można się zgodzić z zarzutem, że Mauriac ujął Chrystusa jednostronnie, ale — jak powiada — jeżeli każdy z naszych przyjaciół widzi nas inaczej, to tym bardziej każdy inaczej widzi Chrystusa; a że Mauriac poza Chrystusem przynoszącym miecz, przychodzącym rozdzielić matkę od córki, poza Chrystusem błogosławiącym wbrew naszym instynktom, płacz, ubóstwo, prześladowanie nie dostrzegł Chrystusa weselącego się prostymi radościami ludzi, Chrystusa nie chcącego dołamać trzciny nadłamanej — to jest rzeczą jego temperamentu, to jest może tragedią jego miłującej lecz wiecznie udręczonej duszy. Czy tak czy inaczej odnosić się będziemy do tej pięknej książki, czy będziemy reagować na nią przyjęciem i podziwem, czy też oburzeniem i sprzeciwem, w każdym razie obojętną nie zostanie, w każdym razie musi wstrząsać naszą duszą. A to już bardzo wiele.

Dobre tłumaczenia są u nas taką rzadkością, że przepiękne tłumaczenie *Życia Jezusa* przez Marię Czapską zasługuje na wyjątkowe podkreślenie. Miało by się prawie ochotę powiedzieć, że przekład jest piękniejszy od oryginału! Jest w nim taka soczystość, taka świeżość i bezpośredniość, taka super-mauriacowska

namiętność i gorącość, że ma się wrażenie, iż tłumaczka razem z autorem książkę tę tworzyła, razem z nim maczała pióro w gorących gejzerach spalającego natchnienia. Przekład Marii Czapskiej jest w całym tego słowa znaczeniu przekładem kongenjalnym.

Zofia Starowieyska-Morstinowa.

Gustaw Olechowski: *Walka o prawo do pracy*. Biblioteka wiedzy społecznej. Polskie Towarzystwo Przyjaciół Książki. Warszawa, Poznań, Kraków, Lwów. Str. 126.

Konieczność rozwojowa życia wpędzając je w pozornie ślepe zaułki zmusza umysły ludzkie do szturmowania wyjść na nowych nieznanach dotąd drogach. W ciągu 20 lat nowej polskiej niepodległości dławiący się od nadmiaru kapitałów Zachód nie umiał i nie zdołał podać skutecznej pomocy naszemu krajowi obciążonemu z tytułu dziedziczości i zniszczeń wojennych ostrą anemią kapitalistyczną. Nie dziw przeto, iż nasza choroba ekonomiczna weszła w stadium złośliwe wymagające radykalnych i odważnych metod leczenia. Pewne w tym kierunku myśli unoszą się więc w atmosferze chwili, powstają w poszczególnych umysłach i ujawniają się prawie równocześnie lub w szybkiej kolejności. W r. ub. Tytus Filipowicz, Stanisław Grabski i Hipolit Gliwic rozszeżyli kampanię na rzecz wielkich robót publicznych, finansowanych emisjami środków obrotowych. Następnie w miesiącach letnich w *Przeglądzie Powszechnym* niżej podpisany podał krytyce zarówno tę inicjatywę, jak program deflacyjny Matuszewskiego, wysuwając ze swej strony koncepcję oderwania pieniądza od „podstawy” złotej i dostarczania życia gospodarczemu kapitału obrotowego proporcjonalnie do potrzeb, przy waloryzacji zobowiązań według wskaźnika cen hurtowych. W kilka tygodni później, na jesieni ukazała się praca Olechowskiego, która myśl waloryzacyjną stawia bardziej zasadniczo pod względem teoretycznym i radykalizuje ją praktycznie.

Myśl to śmiała, godna uwagi i wszechstronnej dyskusji. Autor, zgodnie z coraz powszechniejszą opinią, domaga się obalenia kapitalistycznej praktyki miazdzącej człowieka w wywrotowości zjawisk gospodarczych, oraz realizacji zasady, że nie człowiek dla gospodarstwa, lecz gospodarstwo ma funkcjonować dla człowieka. W systemie kapitalistycznym punkt nieruchomy pośród powszechnej fluktuacji automatyzmów stanowi złoto jako rzecznik wartości i regulator dopływu środków obrotowych. Przyczyną klęsk współczesnych, zwłaszcza bezrobocia jest niedostateczność lub nieprawidłowość tego dopływu, przy nierównomierności światowego podziału złota. Proponuje więc autor, ażeby u nas w Polsce, gdzie nędma i zacofanie gospodarcze szczególnie złośliwie daje odczuwać ciężar złotego kagańca, odrzucić go i zastąpić racjonalniejszym, bardziej życiowym miernikiem war-

tości, i podstawą emisji. Takim miernikiem i podstawą miałyby się stać powszechnie obowiązująca norma skromnie ale wystarczająco i kulturalnie zaspokajanych potrzeb jednostki ludzkiej. Za mierniki wartości przyjmuje tedy autor cenę jednego kilograma „abstrakcyjnego towaru wydedukowaną jako średnia arytmetyczna z cen około 40 artykułów pierwszej potrzeby. Środków obrotowych dostarcza życiu gospodarczemu państwo proporcjonalnie do potrzeb, ceny wobec tego wahać się mają tylko nieznacznie, o ile zaś wahając się to wahają się zobowiązania wraz z nimi również według obliczonego jak wyżej wskaźnika cen, czyli „biometru“.

Książka napisana przystępnie, z gorącym przekonaniem, interesującą argumentacją, warta przeczytania, zastanowienia i dyskusji.

St. Szczutowski.

Stanisław Szczęch: Erazm Majewski, jako ekonomista. Lublin. Towarzystwo Naukowe Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego. 1936. Str. 227.

Jest to praca wykonana w seminarium polityki społecznej ks. prof. dra A. Szymańskiego w Kat. Un. Lub., przyjęta jako rozprawa doktorska przez wydział prawa Un. Jagiellońskiego w Krakowie. Erazm Majewski był jedną z najwybitniejszych postaci b. Kongresówki przed wojną. Zamożny przemysławiec, posiadane środki, czas, energję i uzdolnienia poświęcał żywej działalności intelektualnej i częściowo społecznej w różnych dziedzinach, imponując rozpiętością zainteresowań. Przyrodnik, archeolog, socjolog i ekonomista w każdej z tych dziedzin pozostawił prace, swego czasu głośne o dużej nieraz wartości, popularyzatorskiej, czy nawet zasadniczej. P. Szczęch referuje naprzód życiorysowo charakter ogólny tej indywidualności na tle prądów umysłowych i społecznych ówczesnych, zaznajamia czytelnika z poglądami filozoficznymi i socjologicznymi Majewskiego. Potem sumiennie i gruntownie analizuje jego teorię ekonomiczną, zawartą głównie w dziele pt. *Kapitał*, wydanym bezpośrednio przed wielką wojną. Zostało ono pomyślane, jako kontrofensywa liberalno-kapitalistyczna w stosunku do słynnego *Kapitału* Karola Marxa, twórcy doktryny socjalistycznej. Zwalczając tę doktrynę, która jako podstawę tworzenia wartości gospodarczych wysuwa przede wszystkim fizyczną pracę robotnika, Majewski usiłuje tę jednostronność zwalczyć za pomocą tezy odwrotnej. Podporządkowuje więc nie mniej jednostronnie znaczenie pracy fizycznej w produkcji, czynnikowi duchowemu, tj. technicznemu i organizatorskiemu. Ten czynnik duchowy ma być naczelnym twórcą dóbr materialnych i najważniejszym składnikiem gospodarczej funkcji kapitału, tym samym zaś uzasadnia przewagę praw przedsiębiorcy w stosunku do najemnika.

Tak stawia to zagadnienie Majewski. P. Szczęch zaś wyłożywszy całokształt jego teorii ekonomicznej w rozdziałach o czynnikach wytwórczych, wymianie, podziale społecznym i polityce społeczno-gospodarczej, omawia ją następnie z obiektywnym krytycyzmem, zestawiając z poglądami innych ekonomistów. Wynika stąd fragmentaryczny przegląd teorii współczesnej ekonomiki, często rozbieżnych, silnie spekulatywnych, nie dość silnie związanych z obserwacją natury społecznego współżycia oraz zmianami jakie w niej zachodzą. Na ogół jednak taki właśnie obraz jest znamienny dla kryzysu w jakim się ta gałąź wiedzy znajduje.

Książka niezbyt „potoczysta” w czytaniu, ale dobra i na czasie jako gruntowna monografia o kapitalistycznym pojmowaniu zjawisk gospodarczych, które obecnie podlega teoretycznej i praktycznej rewizji.

St. Szczutowski.

Aleksandra Davi-Neel i Lama Yongden: MIPAN — Lama Pięciu Mądrości. Tłum. z franc. Róża Czekańska-Heymanowa. Wyd. Arcta. Warszawa 1936 15×21 cm str. 304.

Pomimo licznych wypraw naukowych tajemniczy Tybet pozostaje do dziś prawie nieznany. Co gorzej, opisy powierzchownych reporterów lub fantazja pisarska ludzi, którzy go nigdy nie widzieli, przedstawiały go właśnie nie takim, jakim jest w rzeczywistości. Szczęśliwy wyjątek stanowi niniejsza książka, ujęta w formę powieści. Autorka, francuska podróżniczka, spędziła w Tybecie szereg lat i zaproponowała pewnemu znajomemu łamie, aby wraz z nią opisał swoją ojczyznę — Wysoki Kraj Śniegów. Z wielkim zainteresowaniem śledzimy jego własne przeżycia wewnętrzne oraz losy i przygody życiowe, wraz z nim poznajemy dzikie góry i wyżyny Tybetu, życie na książęcym dworze i chacie wieśniaka, sfery kupieckie i duchowne, wierzenia i praktyki religijne tych ludzi, nowy, mało znany świat. Doskonale przetłumaczona i pięknie wydana książka stanowi nadzwyczaj ciekawą i pouczającą lekturę.

Ks. Bronisław Bojufka T. J.

Agni Joga. Tłumaczenie z angielskiego. 14×20 cm, str. 356. Warszawa 1936. Bez nazwiska autora, tłumacza i wydawcy.

Jest to jedna z wielu książek teozoficznych. Roi się w niej od przeróżnych błędów wypowiedzianych we formie aforyzmów, bez uzasadnienia i jasnego porządku. Cała książka nie ma żadnego podziału na jakieś części czy rozdziały. Tu i ówdzie znajdują się oczywiście i prawdziwe, słuszne spostrzeżenia. — „Joga” to „najwyższa łączność z osiągniętymi kosmicznymi”. Krótki wyjątek najlepiej zilustruje całe dziełko: str. 91: „Zobaczmy na czym

polegają podobieństwa i różnice Agni-Jogi i innych Jog. Karma Joga jest bardzo podobna, gdy ma do czynienia z pierwiastkami ziemskimi. Ale kiedy Agni-Joga opanowuje drogi do uświadczenia dalekich światów, różnica staje się oczywistą. Radża Joga, Dżana Joga, Bhakti Joga — wszystkie one odgradzają się od codziennej rzeczywistości. I dlatego nie mogą przejść do ewolucji przyszłości. Oczywiście Agni Jog powinien być Dżani i Bhakti, a rozwój ducha robi z niego Radżę Joga. Jak piękna jest możliwość odpowiadać zadaniom przyszłej ewolucji, nie odrzucając zdobyczy ducha przeszłości! Nie trzeba chwalić się nowością, bowiem tylko korelacja elementów odnawia możliwości". I tym stylem od początku do końca! Naprawdę litość bierze nad biednym umysłem ludzkim, który czasem w ciemnych niedorzecznościach upatruje głębię A to tylko woda, woda i nawet bardzo mętna!

Ks. Bronisław Bojułka T. J.

Taras Szewczenko: *Poezje*. Warszawa 1936. Ukraiński Instytut naukowy, 14×20 cm, str. 406,

Półtora roku temu obchodzono uroczystości 75 rocznicy śmierci narodowego wieszczki ukraińskiego, który tak znakomicie odczuł i wyśpiewał wszystkie bóle i krzywdy swego ujarzmionego narodu i płomiennym słowem powołał go do walki o lepszą przyszłość. Chociaż dzieła jego, tłumaczone na blisko 30 języków, znalazły również wielu tłumaczy polskich, nie miały one jednak należytego rozpowszechnienia, bo i wartość artystyczna wielu przekładów nie była dość wysoka. Przy tym niektóre utwory o szczególnym znaczeniu ideologicznym nie były dotychczas przełożone.

Skłoniło to Ukraiński Instytut naukowy do wydania możliwie obszernego wyboru poezji Szewczenki w przekładach poetów współczesnych. Podjęli się tego zadania: Maria Bieńkowska, Konstanty Dumański, Tadeusz Hollender, Jarosław Iwaszkiewicz, Czesław Jastrzębiec-Kozłowski, Bohdan Łepki, Józef Łobodowski, Włodzimierz Słobodnik i Kazimierz Wierzyński. Poza tym umieszczono przekłady dawniejsze: L. Sowińskiego A. J. Gorzałczyńskiego, Z. Wojnarowskiej i B. Żyranika. Naczelne kierownictwo i redakcję objął znany szewczenkolog, Paweł Zajcew. Dodał on znakomite przypiski, ułatwiające czytelnikowi polskiemu zrozumienie utworów

Tak wydawnictwu jak i tłumaczom musimy szczerze pogratulować. Dali społeczeństwu polskiemu książkę, jaką nie tylko miło wziąć do ręki, ale warto nawet pilnie przestudiować. Należyte zrozumienie ideałów narodu ukraińskiego bez poznania twórczości oraz roli dziejowej jego duchowego wodza jest niemożliwe. Przekłady zaś posiadają dwie cenne zalety: są możliwie

wierne a równocześnie o wielkiej wartości artystycznej. Zewnętrzny wygląd książki przynosi też zaszczyt drukarni B-ci Drapczyńskich (Warszawa, Piusa XI 15).

Ks. Bronisław Bojułka T. J.

Eugeniusz Romer: *Polityczny Atlas kieszonkowy*. Książnica-Atlas, Lwów-Warszawa 1937. 12×20 cm, str. 136.

Znajomość geografii nigdy nie może być za wielką; a u bardzo wielu ludzi jest ona stanowczo za małą, niekiedy gorsząco znikoma. Przy dzisiejszych komunikatach z całego świata człowiek kulturalny powinien się w niej orientować w lot! Wałą pomocą do tego może posłużyć ten właśnie atlasik. Główną jego część stanowią barwne mapy polityczno-topograficzne w liczbie 61 tablic z 38 mapami, do których dołączono trzy tablice flag. Szczegółowy indeks, liczący około 10.000 nazw umożliwia natychmiastowe odszukanie ich na mapie. Drugą część atlasu wypełnia 28 tablic, które przedstawiają geograficzne rozmieszczenie wielu zjawisk fizycznych, gospodarczych itp. oraz ich związku ze sobą i z ziemią. Specjalne wykresy ułatwiają szybkie a pogładowe zaznajomienie się ze stosunkiem ludności do powierzchni poszczególnych krajów, o rozmiarach produkcji, handlu itd. Mały rozmiarami a cenny i treściwy atlasik obywatelski.

Ks. Bronisław Bojułka T. J.

Ks. Kazimierz Grądzki: *Małżeństwo w świetle prawa i życia*. Warszawa 1936. XXIV+275. *Dobrodziejstwo rozwodów*. Katowice, Diec. Instytut A. K.

Uświadomienie najszerszych sfer społeczeństwa o istocie, obowiązkach i znaczeniu małżeństwa chrześcijańskiego jest dziś szczególnie potrzebne ze względu na niezdrową atmosferę, jaka panuje w tej dziedzinie życia, oraz wiskzącą ciągle jeszcze sprawę kodyfikacji prawa małżeńskiego w Polsce. Nowa obszerniejsza nieco książka, jaką w tej materii wydał niedawno ks. K. Grądzki, chce służyć praktycznym celom, dać katolikom obraz tego, czym małżeństwo jest samo w sobie i czym powinno być w życiu. Stąd autor przechodzi krótko dogmatyczną stronę małżeństwa i odnośne przepisy prawa kościelnego, a zatrzymuje się dłużej nad praktycznymi zagadnieniami, związanymi z przygotowaniem do małżeństwa i jego zawarciem, życiem rodzinnym i wychowaniem dzieci; tej ostatniej np. rzeczy poświęcił kilkadziesiąt stron. W tej formie, jako zwięzłe zestawienie teorii i praktycznych wskazówek, może książka powyższa okazać się pożyteczną, pomimo pewnych braków w przytoczonej literaturze, oraz paru błędów rzeczowych, jakie wkradły się do drugiej części.

Dobrodziejstwo rozwodów jest to sensacyjno-popularna broszurka, wydana przez D. I. A. K. w Katowicach. Na podobień-

stwo opublikowanych tamże już dawniej zeszytów o następstwach grzechu i o pijaństwie, przedstawia ona na 16 stronach ($23\frac{1}{2} \times 16\frac{1}{2}$ cm) zagadnienie rozwodów, w obrazach i zwięzłych zdaniach; jedno i drugie oddane wyraziście na kredowym papierze różnobarwnym drukiem. Dzięki tej metodzie zdołano objąć na niewielkiej przestrzeni spory materiał, także statystyczny, z dołączeniem najkonkretniejszych wyjaśnień, które tłumaczą różne ujemne strony prawa rozwodowego i przeciwstawiają im zbawczą naukę Kościoła katolickiego. W następnym wydaniu możnaby tylko uzupełnić niektóre dane nowszymi statystykami, oraz poprawić na 2 stronie nazwisko posła franc. na Naquet.

P.

Paweł Popiel: Rodzina Popielów herbu Sulima z przydomkiem Chościak, Kraków, 1936, str. 132. n-

Praca nie ma pretensji do wyczerpującego studium historycznego, ale, jak sam autor we wstępie zaznacza, jest wyrazem pietyzmu autora do swej rodziny, która obok typowych zawadaków miała wybitnych mężów i kobiety, mogące stanowić w całym tego słowa znaczeniu typ i wzór prawdziwych matron polskich. Te właśnie wartości pozytywne zebrał autor skrzętnie po archiwach i bibliotekach, przede wszystkim rodzinnych, aby dalszym pokoleniom szeroko rozrosłej rodziny Popielów przedstawić szlachetne przykłady nie tyle do miłej admiracji ile raczej do naśladowania.

I wobec tej bezpretensjonalności naukowej a niezwyklego sentymentu rodzinnego, obok dużej wnikliwości i erudycji, jaką się spotyka w tej pracy, czyta się ją z dużym zainteresowaniem jako gawędę człowieka, który przeżył i przepracował wiele i umie ocenić słusznie i życie i ludzi.

Praca stanowi jakby wycinek z historii polskiej sięgający od XIV niemal wieku aż do dnia dzisiejszego. Wycinek, a może raczej na tej jednej rodzinie zilustrowaną świetnie historię Polski, gdzie obok wielkości widzimy miernoty, obok utracjuszostwa — wybitną gospodarność, obok sobiepaństwa — bohaterstwo dla dobra drugich, obok hreczkosiejów — ludzi na katedrach uniwersyteckich, obok zakonników i mniszek otwarte i sławne domy, obok bankrutów moralnych — nieprzeciętną świątobliwość. A przy tym ta specjalność, że ci polscy patrioci i dygnitarze, to potomkowie różnych Dymitrów Fedków i Hrehorów — rusinów, dla których jeszcze do XVIII w. kwestia narodowości nie stanowiła momentu ani jakowejś ambicji, ani pretensji. — Pracę czyta się z tym większym zainteresowaniem, im bliżej się zna tę tak liczną rodzinę i im lepiej znało się autora, który w sobie skupił w wybitnej mierze pozytywne wartości swych protoplastów.

Ks. R. Moskała T. J.

St. Herbst i J. Zachwatowicz: *Twierdza Zamość. Architectura Militaris*. - I. Warszawa 1936. Wydawnictwo Zakładu Architektury Polskiej i Historii Sztuki Politechniki Warszawskiej. Skład Główny. Inst. Wyd. Biblioteka Polska.

W zakładzie Architektury Polskiej w Warszawie została utworzona w r. 1928 odrębna „Seksja Fortyfikacji”, która sobie wzięła za cel pracy badanie systemów obronnych, studia nad stanem wiedzy fortyfikacyjnej, opracowania metodyczne i działalność wydawnicza. Jako pierwszy tom „*Architecturae Militaris*” ukazało się dzieło „*Twierdza Zamość*”. Jest to owoc rzetelnej pracy historyka wojskowości i architekta, których wyniki nie zostały ogłoszone jako odrębne rozdziały książki, ale złożyły się w całość jednolitą i nierozdzieloną. Dr Herbst podał w zwartej syntezie dzieje zamojskiej fortecy a J. Zachwatowicz przedstawił zasady sztuki fortyfikacyjnej, zaopatrzył dzieło w mnóstwo przekrojów, konstrukcji, planów, fotografii. Pomiaru w wielkiej części wykonali studenci warszawskiej Politechniki. Prace obydwóch uczonych dały obraz przejrzysty — zyskałby on zapewne na jasności, gdyby treść historyczna została oddzielona od architektonicznej. Dalsze tomy wykażą, która metoda jest lepsza. W końcu należy podkreślić artystyczną, wprost luksusową zewnętrzną szatę dzieła.

Ks. L. Fraś.

Alina Chodaczek: *De Prisciliani Lydi Solutionum capite VI*. — *Acta Seminarii Philologici II Universitatis Ioanneo-Carismirianae Leopoliensis curante Gregorio Kowalski. Fasc. I. Leopoli Polonorum 1936. Gubrynowicz i Syn. Str. 42.*

Interesująca, poprawnym językiem łacińskim napisana rozprawka. Autorka w oparciu o szósty rozdział *Solutiones* Priscyliana analizuje hydrologiczne poglądy pisarzy starożytnych dotyczące tego rodzaju zjawisk, jak przyptyw i odpływ morza, słoność wody morskiej, pochodzenie źródeł itp. Jakkolwiek Arystotelesowi obcy był podtrzymywany przez Priscyliana pogląd, jakoby wszystkie morza stanowiły jedno, to jednak po bliższej analizie zachowanych u Seneki, Pliniusza i Priscyliana Posydoniusza dochodzi autorka do wniosku, że stanowią one komentarz do *Meteorologicon* Arystotelesa.

W. Z.

Roman Zawada: *Książka rezerwisty*. Wojskowy Instytut Naukowo-Oświatowy. Warszawa. 1936. Str. 442.

Po kilkunastu miesiącach czynnej służby żołnierz przychodzi normalnie w szeregi rezerwy. Rezerwista nie przestaje być jednak żołnierzem, pozostaje jedynie na długoterminowym urlopie. W razie potrzeby musi stawić się na zwołanie władzy i rzecz wiadoma, że rezerwa jest podstawą obronności państwa. Im lepsza

rezerwa tym lepsze jest wojsko. W tej myśli podtrzymania ducha wojskowego w rezerwie jest zredagowana niniejsza książka. Znaleźć w niej można istotnie wszystko co dla prostych żołnierzy rezerwistów może być użytecznym i kształcącym. Bardzo bogaty dział ilustracyjny i żywe ujęcie tematów czynią lekturę miłą i zajmującą. Praca w swoim rodzaju wprost znakomita.

E. K.

Oprócz tego nadesłano do Redakcji:

Nakładem Naukowego Towarzystwa Pedagogicznego:

Społeczne przyczyny powodzeń i niepowodzeń szkolnych. — Prace z pedagogiki społecznej pod redakcją H. Radlińskiej. Warszawa 1937, str. 502.

Jan Fryderyk Herbart: Wykłady pedagogiczne w zarysie. Przełożył dr Franciszek Biela. Warszawa 1937, str. 176.

Nakładem księgarni św. Wojciecha w Poznaniu:

Ks. Z. Baranowski: Zagadki życia. — Rozmowy etyczne, str. 314.
Szczepan Jeleński: Światła tajemnic. — Rozmowy dogmatyczne, str. 292.

W. Hynek: Święty całun. — Męka Pańska w oświeceniu nauki. Spolszczył i opracował St. Karwowski, str. 126.

Postacie Świętych: Św. Władysław, św. Roch, św. Florian (oprac. Wanda Brzeska). Św. Alfons Liguori (F. Henner). Św. Joanna d'Arc (Z. Zawisza-Kermowa). Św. Wincenty Feryjusz (M. Pachucki). Św. Łukasz (M. Winowska). Św. Franciszek Salezy (A. Szottowa), po str. 32.

Wydawnictwa Instytutu Śląskiego:

Stefan Kaufman i Roman Maryniarczyk: Roboty publiczne w województwie śląskim. Katowice 1937, str. 70.

Bronisław Giziński: Postępy przemysłu chemicznego na Śląsku za czasów polskich. Katowice 1937, str. 30.

Józef Skoczek: Stosunki kulturalne Śląska ze Lwowem w wiekach średnich. Katowice 1937, str. 40.

Aleksander Szczepański: Kierunki eksportu wytworów przemysłu górnośląskiego. Katowice 1937, str. 27.

Kazimierz Tymieniecki: Kolonizacja a germanizacja Śląska w wiekach średnich. Katowice 1937, str. 41.

Krzysztof Winter: Kuźnie śląskich i kopalń opis i oznaczenie krótkie. Wyd. Ogrodziński. Katowice 1937, str. 46.

Nakładem różnych:

M. Fredro Szembek: Klapsy. Zbiór satyr i fraszek. Poznań, Ostoja (bez daty), str. 230.

Anna-Danuta Drużbacka: La princesse Irène Puzyna. Paris, Labergerie 1937, str. 92.

Fr. Seppelt i Kl. Löffler: Dzieje papieży — od początków Kościoła do czasów dzisiejszych. Uzupełnił T. Silnicki. Wagner, Poznań 1937, str. 712.

Hanna Malewska: Żelazna korona. Powieść. Książnica-Atlas, Warszawa, str. 270+294.

- Georges Bernanos: Pamiętnik wiejskiego proboszcza. Przełożył W. Rogowicz. „Rój”, Warszawa 1937, str. 308.
- D. Mereżkowski: Jezus Nieznany. Przełożył J. Horzelski. Spółka wydawnicza „Płomień”, Warszawa 1937, str. 308.
- Encyklopedia Nauk Politycznych. — Zeszyt 6, od „Czekowe prawo (dok.) do Dżungaria. Wyd. Instytutu Społecznego i Bibl. Polskiej. Grudź. 1936.
- Dr Andrij Iszczak: Dogmatyka nezjedynenoho Schodu. — Czastyna zahalna. Wydanie Hr.-kat. Bohosłowskoj Akademii y Lwowi 1937, str. 284.
- Stanisław Brzozowski: Legenda młodej Polski. Warszawa 1937, str. 494. Nakł. Instytutu Literackiego.
- Stephan Leo von Skibniewski: Reflexion — Implikation; eine psychologische naturtheologische Untersuchung. Lwów 1936, str. 360.
- Janina Miedzińska: Na niemieckim froncie pracy. Bibl. Polska, Warszawa 1937, str. 202.
- Roczniki socjologii wsi — studia i materiały, pod redakcją Wł. Grabskiego, Tom I. Rok 1936, str. 282.
- Wiktor Ignacy Gutowski: Źródło wody żywej. Dziennik podróży do Ziemi świętej i na Wschód r. 1934. Kraków 1936, str. 142.
- Tacyt: Dialog o mówcach — opracowany przez ognisko filologii klasycznej w Lublinie, nakł. Tow. Przyjaciół Nauk w Lublinie 1937, str. 73.
- Jan Piętka: Wit Stworz. Nakł. Braci Albertynów, Warszawa 1937, str. 110.
- Mieczysław Ligowski: Walka o duszę dziecka polskiego. Nakł. Inst. Akcji kat., Płock 1937, str. 56.
- Eugeniusz Kłoczowski: Obecne prądy społeczne i gospodarcze nurtujące wieś polską. — Problem agrarny w Polsce. Nakł. Katol. Stow. Mężów, Płock 1937, str. 32.
- Stanisław Helsztyński: Proroctwo Amosa. — Przekład biblijny. Bibl. Wici 1936, str. 28.
- Bogdan Ostoja: Ku Bogu i radości. Nakł. własnym, str. 78.
- Marian Stawiński: Co wnosi w życie polska Akcja kat. mężczyzn? Katowice 1937, str. 40.
- J. Antocolensis: Rekolekcje radości. Wydaw. Dobra Prasa, Wilno 1937, str. 26.
- Wiktor Adler: Antysemityzm gospodarczy w świetle cyfr. Wyd. „Myśli socjalistycznej” Warszawa 1937, str. 62.
- H. Wildecki: Niebezpieczeństwo żydowskie. „Gryf” Poznań 1937, wyd 4, str. 78.
- Ks. Henryk Weryński: Niezgłębiona przepaść. Str. 31.
- Stanisław Okęcki: Ochrona czci osobistej w Polsce. Warszawa 1936, str. 22.
- Ks. Władysław Kłapkowski: Kolegium Księży Dominikanów w Sejnach. Przyczynek do rządów pruskich na ziemiach polskich. Odbitka z „Collectanea Theologica” XVII (1936) f. 4. Lwów.
- Walenty Majdański: Giganci. Warszawa 1937.
- Gen. Mariusz Zaruski: Z harcerzami na „Zawiszy Czarnym”. Książnica-Atlas, Lwów 1937.
- Kazimierz Sejda: C. K. Dezerterzy. Inst. Wyd. Biblioteka Polska, Warszawa 1936.

Sprawozdanie z ruchu religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Dwie encykliki. — Położenie Kościoła w Niemczech. — Zdemaskowanie rasizmu. — Perspektywy krzyżowej drogi.

Jest rzeczą oczywistą, iż Kościół katolicki w Niemczech znajduje się obecnie w położeniu bolesnym prawie że tragicznym. Teror totalizmu Trzeciej Rzeszy dosięga swego zenitu, otwierając przed katolikami w Niemczech perspektywy drogi krzyżowej, katakumb a może i krwawego męczeństwa.

I w tym momencie ostatecznego napięcia nerwów i umysłów pada z Watykanu potężny manifest, który zdzierając maskę obłudy z menderów narodowego socjalizmu, piętnując ich cynizm i przewrotność, mobilizuje opinię całego świata przeciw mitowi krwi i rasy, przeciw hegemonii pięści nad wolnością ludzkiej duszy. Starzec złamany wiekiem i chorobą, ale zbrojny Chrystusową mocą, człowiek, który przeżył wiele i wiele przecierpiał, z nieustraszoną odwagą Piotra i Pawła rzuca możliwym tego świata potężne wyzwanie do walki nie na miecze ale na idee i światopoglądy. W dwudziestym wieku, wieku galopu techniki i wyścigu zbrojeń, przewrotów politycznych i społecznych wstrząsów, w dobie kryzysów ekonomicznych i duchowych — wskrzesza tradycje Leonów Wielkich, Grzegorzów VIII i Innocentych III, by zastąpić drogę zalewowi nowego barbarzyństwa i przeciwstawić się nowym próbom zakucia Kościoła w kajdany.

W błyskawicznym tempie i ku wielkiemu zdumieniu wrogów Kościoła rzuca Pius XI na szalę dziejowych wypadków autorytet suwerena ducha i atakuje najgroźniejsze herzeże nowożytnych czasów: komunizm i rasizm.

Dwie te ideologie, tak na pozór biegunowo różne, mobilizujące wzajemnie przeciw sobie opinię świata, głosząc ostentacyjnie krucjatę wzajemnej eksterminacji, spotykają się

mimo wszystko we wspólnym wysiłku walki z Bogiem i Jego królestwem na ziemi. Idealizm Hegla podstawiając dziś na miejsce państwa rasę i krew, równie jak materializm Marksa, głoszący ziemski raj pod dyktaturą proletariatu, tworzą nowe bożyszczka i nową budują Babel a usiłując sięgnąć zbrojną prawicą luf i aeroplanów w niebiosa, kierują ostrza swych idei przeciw objawieniu, na którym się opiera wiara w nadprzyrodzone wartości. Dziś te dwa obozy dzieli zachłanność ziemi i władzy ale niedalekim może być dzień, gdy ponad płoty politycznych targów wyciągną się prawice dyktatorów, *Hackenkreuz* połączy się z sierpem i młotem a Hitler stanie przy Stalinie dla wspólnych, dalej sięgających celów. A celem tym zniwelowanie dusz, zdeptanie indywidualności ludzkiej woli, zdevaluowanie wartości ducha, walka z Bogiem i religią. Reżyserem tego aliansu będzie duch Antychrysta, który dziś mobilizuje te dwa, tak pozornie sobie wrogie obozy i ideologie. Oba te obozy w skłóceniu swych najbliższych celów kierują swe oskarżenia przeciw Kościołowi. Komunizm rzuca przez komintern haniebne oszczerstwo, iż Kościół w obronie swej kasty sprzymierzył się z faszyzmem, którego szczytową inkarnacją jest hitleryzm; hitleryzm zaś usiłuje wmówić w świat potworną insynuację, iż Kościół przez swoją doktrynę społeczną toruje dziś drogę dla komunistycznego przewrotu. I oto Pius XI, podejmując cyniczne wyzwanie, rzuca słowa potępienia na komunizm i na rasizm, wykazując głęboko i nieodparcie wewnętrzne i istotne aliance tych dwóch ideologii, nie mających nic wspólnego z Chrystusem i Jego ewangeliczną nauką. I w tym leży epokowa doniosłość obu tych encyklik. Sprzągnięte klamrą czasu, w którym zostały wydane, zbrojne ideą, którą głoszą, uderzają w obłudę i cynizm, stając w obronie uciśnionych dusz, stworzonych przez Boga do wolności dzieci Bożych.

Jeśli encyklika papieska, potępiająca komunizm nie była wielką niespodzianką, to encykliki przeciw rasizmowi nie spodziewał się nikt, a już najmniej Trzecia Rzesza. Suwereni jej zakneblowali niemieckie radio, by naród nie usłyszał noworocznego orędzia Papieża. I oto nagle, ze wszystkich ambon w Niemczech, rozebrzmiały słowa Ojca chrześcijaństwa, zanim Berlin zdołał wysłać swych agentów. Zdumienie ogarnęło rząd i partię, nie pomogła rewizja w berlińskiej kurii biskupiej, nie pomogło nagle odwołanie posła von Bergen ze Rzymu, ni bezsilna wściekłość oligarchów na „beprzekładne użycie ambony dla politycznych celów“; nie tylko cały świat, ale i cały niemiecki naród dowiedział się, że Papież czuwa i należycie ocenia tragiczne położenie Kościoła w Niemczech.

Tragizm ten przygotowywały w okresie ostatnich lat powoli a nieustępliwie rządy narodowego-socjalizmu, który, podpisawszy konkordat i zlikwidowawszy katolickie Centrum, ścigał umiejętnie pętlę, by zdusić w Niemczech katolicyzm, gdyż na jego poparcie w dziedzinie idei nie mógł absolutnie liczyć. Szykany i prześladowania katolików rosły z roku na rok, mnożyły się aresztowania duchownych a ataki prasy narodowo-socjalistycznej zdawały się przechodzić wszelkie granice przyzwoitości. Z początkiem ub. roku mówiono nawet jawnie o wznowieniu *Kulturkampfu*.

Tymczasem w lecie ub. r. obiegała niemiecką prasę sensacyjna pogłoska, iż episkopat niemiecki na swym zjeździe w Fuldzie znalazł wreszcie formułkę porozumienia i stanął solidarnie przy rządzie Hitlera, ofiarowując mu swą pomoc w wielkiej krucjacie, którą właśnie *Führer* montował z hałasem przeciw komunistycznej zarazie. Porozumienie to miało położyć nareszcie kres wewnętrznej religijnej walce.¹⁾

Takie ujęcie sprawy i taka ocena orędzia episkopatu była jednak niesłychanym uproszczeniem zagadnienia, kryła w sobie nadto oszczerstwo, które mogło rzucić cień na prawowierność Kościoła w Niemczech. Mówiono bowiem o wyciągnięciu dłoni przez episkopat a przemilczano chytrze warunki, które towarzyszyły gestowi rzekomego pojednania. A przecież warunki te zawierało najwyraźniej orędzie pasterskie:

Nie broń wojenna podetnie najgłębsze korzenie bolszewizmu. Zwyciężyć go może jedynie odrodzenie całej Europy, a naszego kraju w szczególności, w Jezusie Chrystusie i Jego Kościele. Pomoc nadejdzie nie z doktryny opartej na krwi... ale z przekonań zdolnych do przezwyciężenia wszelkich burz, gdyż przekonania te zakorzenione są w Bogu i wieczności... Ktokolwiek nie zwalcza bolszewizmu na religijnym terenie, otwiera mu tym samym drogę w dziedzinie polityki i ekonomii.

Nie można było jaśniej wyrazić zasady, iż tylko chrystianizm stanowi prawdziwy oręż przeciw atakom komunistycznej rewolucji i że na szaleństwo zakrawa walka z Moskwą przy równoczesnej wojnie z Chrystusem i Jego Kościołem.

To też fata morgana religijnego pokoju w Trzeciej Rzeszy rozwiała się szybko. Hitleryzm odrzucił ofertę, opartą na takich warunkach. Nie tylko odrzucił ale przystąpił do wzmożonej ofensywy w dziedzinie ideologii.

¹⁾ Korzystamy z gruntownych wywodów p. R. d'Harcourt: Catholisme, Hitlérisme, Bolschevisme. Cfr. *Études*, 20 Janvier 1937.

Episkopat niemiecki twierdził w swym orędziu, iż tylko chrystianizm może stanowić zwycięską tamę przeciw falam bolszewizmu. I oto przywódcy rasizmu zaatakowali z furją ten właśnie doktrynalny pewnik. Do ataku zaś przystąpiły nie tylko pisma rasistowskiej awangardy tego typu co *Durchbruch, Blitz, Nordland...* dla których najgwałtowniejsze inwektywy i bluźnierstwa są chlebem codziennym, ale w szeregach ofensywy stanęli i ideowi przywódcy tej miary co Rosenberg, Darre, von Schirach, Grohe, Ley i inni, pod ich zaś inspiracją zaczęła pisać cała dziś zgłęszaltowana prasa.

Grohe, koloński *Gauleiter*, jeden z najbardziej wpływowych wodzów hitleryzmu w Nadrenii, odsłonił jasno karty na Kongresie wodzów 11 października ub. r., gdy w swym ideowym przemówieniu skierował całą nienawiść przeciw katolicyzmowi, zbijając punkt po punkcie tezy, zawarte w orędziu episkopatu.

Tylko punkt wyjścia narodowy i rasowy może skutecznie zwalczać bolszewizm i zwyciężyć go w jego podstawach duchowych. Do tego dzieła są zupełnie niezdolne te potęgi, które opierając się same na internacjonalizmie, głoszą równość ludzkości międzynarodowej, podają w wątpliwość i zaprzeczają w wielu dziedzinach życia prawa natury, podyktowane przecież przez Boga a błędy swe koronują nie tylko tolerancją wobec jedynej podpory bolszewizmu: żydów, ale stawiają ich nawet jako lud wybrany! Niezliczonymi kanałami międzynarodówki rozszerzono nienawiść i niezrozumienie narodowego socjalizmu, tej jedynej bojowej kolumny, która skutecznie może zwyciężyć bolszewizm. Dzisiaj ci sami propagatorowie, którzy w swej istocie są synami tego samego ducha co marksizm, podają się za nieodzownych naszych pomocników w walce z bolszewizmem. Nie możemy tego pojąć! Bo czegoż dowodzą fakty? Dowodzą one niestety, iż właśnie w krajach odznaczających się ścisłym poszanowaniem wyznaniowości, bolszewizm usadowił się z największą łatwością. Krwawy los Hiszpanii pokazuje nam dowodnie do czego dochodzi lud pozbawiony idei narodowej, a wydany na pastwę kierownictwa wyznaniowej międzynarodówki.

Stosownie do rzuconego hasła partyjnej ofensywy, te same prawie słowa powtórzył w dwa dni później sam szef A. Rosenberg:

Dobrzeby zrobił obóz katolicki, gdyby choć trochę zastanowił się nad słowami głoszonymi z ambon: „Nie będziez kłamał!” — Wszak to pod wodzą don Sturzo stoczyły się Włochy nad przepaść komunizmu. Wszak za panowania *Centrum* posiadał w Niemczech bolszewizm 6 milionów głosów w Reichstagu. Wszak to

w katolickiej Hiszpanii a nie w narodowo socjalistycznych Niemczech szaleje dziś mord i pożoga!

Skneblowana prasa katolicka nie mogła oczywiście odpierać perfidnych zarzutów. Nie wolno jej było przypomnieć genezy rewolucji hiszpańskiej, ni wskazać na religijno-narodowe momenty hiszpańskiego odrodzenia. Nie wolno było wspomnieć o poszanowaniu religii katolickiej przez dyktatora Włoch i oparciu narodowego wychowania na zasadach wiary. Nie można było przypomnieć niesłychanych trudności z jakimi musiał walczyć don Sturzo i *partito popolare*, wobec przemożnych wpływów włoskiej masonerii...

Przemilczając wszystkie niewygodne fakty, upraszczając sobie niesłuchanie całą polemikę z rządami Brüninga — gwałtowna propaganda rasizmu wpajała w umysły dwa wnioski. Jeden z dziedziny faktów: mianowicie ścisły rzekomo związek historyczny między katolicyzmem a zalewem bolszewickim. Drugi wniosek doktrynalny, iż jedynie rasizm z swej istoty może zdusić bolszewizm siłą swej doktryny; iż jedynie socjalizm narodowy może zaatakować skutecznie i zwycięsko międzynarodowy marksizm; iż tylko czystość aryjskiej krwi może oczyścić Europę z żydowskiego trądu, który jest w istocie trądem bolszewizmu.

Tak więc rozgorzała walka na terenie idei, wychodząc poza ramy pragmatyzmu chwili. Narodowy socjalizm tworzył swój dogmatyzm, by zająć miejsce ostoji duchowej, jednoczącej naród, zwalczającej ideologię komuny. Kościół wypierano zwycięsko z ostatnich okopów ducha. Hitleryzm nie zadowalał się pięścią sięgał po laury duchowego przewodnika.

Schwarze Korps na pół oficjalny organ reżimu, o olbrzymim nakładzie, przy przymusowej prenumeracie przez wszystkich urzędników *Reichu*, szydził otwarcie z katolicyzmu, religii słabych, gloryfikującej żydostwo, potępiającej środki mające zapewnić czystość krwi i rasy, piętnował „rzymski front ludowy“, który pod wodzą jezuitów tworzy czarną centralę, używającą tej samej taktyki co centrala moskiewska. Trzecia Rzesza nie potrzebuje wskazówek, pouczeń ani pomocy od tej czarnej międzynarodówki, nie liczy na pobożne wzdychania, bo wie, że pożaru nie zagasi się „Ojczenaszami“... Dlatego wzywa wszystkich katolików o niemieckim sercu, by zerwali z wskazówkami nadsyłanymi im z Watykanu a przepisy i prawa państwa przyjęli za wyłączne dyrektywy ich narodowego sumienia.

Wodzowie hitleryzmu oferując apostazję od wiary, motywują jej konieczność suwerennym dobrem, jakim powinna być „jedność Rzeszy“. W imię tej jedności zwalczają na-

miętnie religijną wyznaniowość", która rozsadza narodową spójnię. W „wyznaniowości” widzi *Gauleiter* Grohe, uwiecznienie niezgody wewnętrznej i śmierć niemieckiego narodu. Miłość narodu powinna wyrównać między różnic, dyktowanych z zewnątrz. Premier Goering nie zawahał się zawołać z entuzjazmem, iż „narodowy socjalizm przywrócił wiarę narodowi, który przestał wierzyć”. Wyznania straciły rację bytu, nie przemawiają one do duszy prawdziwego Niemca, nie dają mu nic pożytecznego, bo prawdziwą jego ojczyzną duchową (*seelische Heimat*) jest po prostu jego Ojczyzna. Narodowy kościół niemiecki (*deutsche Nationalkirche*) zastąpić ma wszelkie skłócone ze sobą wyznania.

Ale walcząc z katolicyzmem, jako wyznaniem, zastrzegają się stanowczo wodzowie rasizmu przed zarzutem bezbożnictwa. Hitlerowiec prawdziwy odrzuca wprawdzie skostniałe dogmaty, odrzuca Pismo św., związane nierozzerwalnie z żydostwem, odrzuca wyznaniowość jako kryjówkę przewrotnej polityki klerykalnej, ale pragnie zachować religię wcieloną w ideę narodu, a religijne przeżycie ma się dla niego wyrażać w mistycznej ofierze totalnej jednostki dla dobra narodowego państwa.

Istotne zatem niebezpieczeństwo rasizmu tkwi nie tyle w neopoganizmie, w sztucznym wskrzeszeniu starogermańskiego kultu, który ma swoje aspekty raczej komiczne, ile raczej w tej wypaczonej mistyce, która mobilizuje wszystkie siły i wszystkie składa ofiary przed nowym bożyszczem.

Dla tego bożka stworzono nowy rytuał. Ma on swoich „szesnastu męczenników”, bohaterów hitlerowskiego puczu z listopada 1923 r., ma swoje święto „zmarłychwstania zmarłych”, ma swoje „pielgrzymki do wiecznej straży”, swe modlitwy do narodowego sztandaru, swą „ziemię świętą”, którą jest ziemia niemiecka, a nie żadna Palestyna, ma swój Stary Testament, którym jest prehistoria Germanów i germańskiej ziemi, ma wreszcie swego arcykapłana w osobie ministra Rosenberga, twórcy zsumowanych tutaj haseł. Wizję tej nowej religii odtwarzał on 18 października ub. r. w entuzjastycznej mowie, skierowanej do 10.000 wychowanków seminariów nauczycielskich. — Baldur von Schirach zsyntetyzuje te nowe poglądy wołając z emfazą: „Nie ma prawdziwej społeczności bez religijnego poczucia, ale religijne poczucie obejdzie się bez religijnego wyznania”.

Nic więc dziwnego, iż hitlerowska młodzież poczęła wnet wyciągać praktyczne wnioski z tej nowej zasady. Poczęły się mnożyć masowe odstępstwa od wiary.

Oficjalny organ niemieckiej młodzieży akademickiej: *Die Bewegung* wzywa, by studenci wypisywali w urzędowych rubrykach śmiało i otwarcie jedno słowo: *konfessionslos!*

„Niebo nie zapadnie się z tego powodu“. Niech wyznaniowi filistrzy przypinają uczciwym a odważnym ludziom etykietę ateuszów. Niech bezzębne staruchy syczą z nienawiścią na te „dzieci pogan“, których jedyną wadą jest fakt, iż w ich żyłach płynie czysta germańska krew! „Miliony Niemców, wierzących w Boga, znajdują się dziś poza ramami jakichkolwiek wyznań...“ „Każdy sprawuje swe zbawienie na swój sposób...“ „Bóg nie jest tak ciasny niemały, jak to usiłują przedstawić Go klechy...“

Walka z wyznaniem, na pierwszym miejscu z katolicyzmem, stała się więc naczelnym hasłem dnia. Himmler, naczelnny dyrektor organu *Schwarze Korps* a równocześnie szef policji Rzeszy, zerwał ostantacyjnie z Kościołem. Przy tej okazji pisał w swym czołowym artykule:

Wychowanie młodzieży należy do niemieckiego państwa. Żaden naród ni żadne państwo nie może pozwolić, by jego młodzież wychowywano w zasadach skierowanych przeciw jedności duchowej i politycznej narodu. Usiłuje się rzekomo stworzyć „katolika“, który kiedyś ma być podporą katolickiego państwa... Otóż my twierdzimy, iż zrealizowanie tego zamiaru może się dokonać jedynie na ruinach jedności Rzeszy. Elementem istotnym i pierwotnym jest krew niemiecka a nie religijne wyznanie, katolickie czy protestanckie...

To hasło szefa policji Rzeszy, dla którego wszystkim jest rasa i krew (*das deutsche Blut ist das primäre*) poczęło się już realizować w gwałtownej laicyzacji niemieckiej szkoły. Walka z wyznaniową szkołą wypełnia po brzegi wewnętrzną politykę Rzeszy w ostatnich miesiącach. Teror szaleje zwłaszcza w katolickiej Bawarii, gdzie metodycznie usuwa się zakonnice ze szkół oraz patronatów, zastępując je nauczycielkami, wychowanymi w duchu narodowego socjalizmu. Ale niebawem przyjdzie kolej na wszystkie katolickie szkoły na terenie Rzeszy. Wszak minister Oświecenia Publicznego Rust zapowiedział wyraźnie pod koniec ub. r., iż szkoła niemiecka zostanie oparta na „nowych podstawach, na podstawach wyłączności państwa i światopoglądu narodowego socjalizmu“. Jak ta szkoła ma wyglądać precyzuje świeżo prof. A. Bäumler.¹⁾ Ma to być „narodowo-socjalistyczna szkoła wyznaniowa“ (*nationalsozialistische Bekenntnisschule*), która naukę wszystkich przedmiotów prowadzić będzie w duchu narodowego socjalizmu, by młodzież wychować na „wyznawców idei Adolfa Hitlera“. W tym tylko znaczeniu

¹⁾ Cfr. *Weltanschauung und Schule*, marzec 1937, art.: „Deutsche Volksschule oder römische Kirchenschule?“ Bäumler zajmuje wysokie stanowisko jako „Hauptstellenleiter beim Beauftragten des Führers für die gesamte geistige und weltanschauliche Erziehung der NSDAP.“

nowa szkoła będzie mieć wspólną nazwę z dawną szkołą wyznaniową, swoją zaś treścią i istotą stanie w całkowitej sprzeczności ze „szkołą kościelną”. Dopóki państwo nie zerwie ostatecznie z wyznaniem w szkołach nowego typu można będzie uczyć religii, lecz tylko prywatnie.

Moloch totalizmu sięga więc po dusze młodzieży, by od najmłodszych lat wychować je w kulcie dla nowego bożyszcza, by wyrzeć z nich wiarę w Boga, wytepić wszelką wyznaniowość, jako niepotrzebną spuściznę starotestamentarnego judaizmu.

Min. Rust nie bawi się w kurtuazyjne niedomówienia:

Dotychczas pozostawiono Kościołowi teren sił duchowych, moralnych i religijnych, całość władz duchowego odczucia. Ale te siły duchowe stanowią dziś światopogląd rasizmu, który je w sobie zawiera. Państwo zatem narodowo-socjalistyczne posiada wszystkie potrzebne po temu walory, by powierzyć samemu sobie mandat podjęcia tych wszystkich prac i zadań do których spełnienia nie było zdolne państwo czysto polityczne. Jest to stwierdzenie o kapitalnej doniosłości w epoce, kiedy kościoły straciły swe władztwo nad duszami.

Aby je zaś istotnie straciły, nad tym właśnie pracuje niezmordowanie p. Rust i cały sztab hitlerowski. Marzeniem ich to Niemcy oczyszczone z wyznaniowych sporów, złane w jedną narodową społeczność, Niemcy bez Chrystusa, którego ducha ma zastąpić duch rasy i krwi. Ma to być „chryścianizm zgermanizowany”, jak wołał bluźnierczo Rosenberg. Miejsce katolików czy protestantów mają zająć *Deutsche Christen*, do których apostata *Reichsvikar* D. Engelke¹⁾ przemawia w tych słowach:

Chrystus nie jest Synem Bożym w grubym biblijnym sensie. Bóg objawił mu się w podobny sposób jak A. Hitlerowi... Wyrzekłem się radykalnie wszystkiego; wszelkiej teologii, wszelkiego wyznania, wszelkiego kościoła, wszelkiej biblii, by stanąć przed Bogiem z potężną wiarą, iż On może wszystko odnowić!

W tym duchu ma być wychowana młodzież niemiecka, jako podwalina nowego państwa. I by ten dzień narodowego zjednoczenia przyspieszyć nie tylko zamyka się szkoły wyznaniowe, ale nadto używa się wszelkich środków presji moralnej, by katolicką młodzież zmusić do wstępowania w szeregi organizacji *Hitler Jugend*. W tych kadrach ma się ona wychować fizycznie, duchowo i moralnie (*körperlich, geistig und sittlich*), jak ogłasza urzędowy dekret. Opornym

¹⁾ Współpracownik najbliższy ośławionego „biskupa Rzeszy” L. Müllera. cfr. *Das evangelische Kirchenblatt für Württemberg*. März 1937.

grozi nędza, „nie znajdziecie żadnej posady na terenie Rzeszy”. Grozi im nawet śmierć, bo i takich hasel nie brak:

Schlagt sie tot! Die schwarzen Hunde,
Die die Seele unseres Volkes schänden —
Schlagt sie tot! Die Seelenmörder,
Die das Erbbild unseres Volkes töten.
Hütet euch vor dem, der da spricht:
„Wer mir will nachfolgen, der verleugne sich selbst”,
Denn was der Nazarener will, ist unser Untergang,
Unser Verderben...

Jest rzeczą zrozumiałą, że tu czai się największe niebezpieczeństwo, jakie zawisło nad katolicyzmem w Niemczech. Zagarnięcie młodzieży, wcielenie jej w neopogańskie szeregi młodych rasistów oznaczałoby powolne konanie katolicyzmu w perspektywach nieuchronnej śmierci. Wodzowie Trzeciej Rzeszy nie mają odwagi zamknąć kościołów, pragną je tylko powoli ale skutecznie opróżnić.

Po tym sumarycznym naszkicowaniu tragicznego położenia, w jakim się znajduje dziś Kościół katolicki w Niemczech, można dopiero zrozumieć i ocenić olbrzymią doniosłość ostatniej encykliki. Papież czekał długo, usiłował wierzyć w resztki czy pozory dobrej woli rządu Trzeciej Rzeszy. Ale kiedy pruska przewrotność przebrała już wszelkie miary przemówił jako suweren, który upomina się o zachowanie zawartych i podpisanych traktatów!

Wszak cała ta bezprzykładna „walka kulturalna” odbywa się w Niemczech w ramach zawartego konkordatu! Cóż z niego dziś jeszcze zostało, poza papierem, opatrzonym w podpisy politycznych wiarołomców!

Ten właśnie punkt podkreśla Papież w swej encyklice na naczelnym miejscu:

Jeżeli zaszczipione przez nas, w czystych zamiarach, na niemieckiej ziemi drzewo pokoju nie wydało swych owoców, których pragnęliśmy dla dobra waszego ludu, to nikt na szerokim świecie, kto ma tylko oczy do patrzenia, uszy do słyszenia, nie będzie mógł dziś jeszcze twierdzić, że wina leży po stronie Kościoła oraz jego głowy... W brzoźdy, w które usiłowaliśmy zasiać ziarno prawdziwego pokoju wsypali inni... posiew chwastów nieufności, niepokoju, nienawiści, oszczerstw jawnych i ukrytych — płynących z tysiącznych źródeł żywionej, wszelkimi środkami pracującej wrogiej nienawiści do Chrystusa i Jego Kościoła...

Uczyniliśmy wszystko, by świętość danego uroczystości słowa i nienaruszalność dobrowolnie podjętych zobowiązań obronić

przed teoriami i praktykami, które — o ile raz zostaną urzędowo potwierdzone — zabijają wszelkie zaufanie i wszelkie w przyszłości dane słowo wyzują z wszelkiej wartości.

Tymczasem z najwyższym ubolewaniem stwierdza Ojciec święty, iż jakkolwiek konkordat nie został dotychczas oficjalnie zerwany, to jednak pozbawiono go praktycznej wartości przez dowolną, perfidną interpretację a nawet mniej lub więcej jawne pogwałcenie i złamanie. Walka przeciw przyznanej przez konkordat szkole wyznaniowej, nie mniej jak udaremniona wolność głosowania rodziców w tej sprawie — są najoczywistszym dowodem jawnego gwałtu oraz podeptania zawartych układów.

To autorytatywne stwierdzenie Papieża usłyszy cały świat, by dowiedzieć się, czy można liczyć na zawarte z Trzecią Rzeszą pakt i traktaty! Wojując z bolszewizmem hitleryzm idzie wiernie jego śladami. Łamanie traktatów dowolne a osłonięte perfidnymi pozorami było dotychczas w powojennej Europie smutnym przywilejem Sowietów, dziś obok nich stają hitlerowskie Niemcy.

A stają nie z innych ostatecznie pobudek jak sowiecka Rosja. U podstaw bowiem obecnego reżimu rasistowskiego tai się to samo wojujące bezbożnictwo co i w bolszewii.

Wykazuje to dowodnie encyklika, przechodząc punkt po punkcie zasadnicze artykuły wiary Kościoła i zestawiając je z artykułami rasistowskiego *Credo*.

Nie wierzy w Boga ten, kto retorycznie szermuje słowem Bóg, ale z wzniosłym tym słowem nie łączy prawdziwego i godnego Boga pojęcia. Nie należy do wierzących w Boga ten, kto w panteistycznej mglistości Boga równa ze wszechświatem... kto według rzekomo starogermańskich przedchrześcijańskich pojęć, posępny i nieosobowy los stawia na miejsce Boga osobowego... kto rasę albo naród albo państwo, albo formę rządów czy dzierżących państwową władzę... wyłącza ze skali ziemskich wartości i czyni z nich najwyższą normę wszelkich nawet religijnych wartości, czyniąc z nich bożyszcza, otoczone religijnym kultem...

Tylko płytkie umysły mogą popaść w obłądną naukę o Bogu narodowym, mogą mówić o narodowej religii, mogą podejmować się szaleńczych pomysłów, by Boga, stwórcę wszechświatów, króla i prawodawcę narodów... uwieźć w granicach jednego narodu i w ciasnym strumieniu krwi jednej rasy...

Jeżeli niemiecki rasizm zerwał z pojęciem prawdziwego Boga to nikogo nie zdziwi autorytatywne oskarżenie encykliki, która wykazuje bezapelacyjnie, iż w ideologii tej nie ma wiary w Chrystusa, w Kościół, w chrześcijańską moral-

ność, której zasady się depce, uwłaczając nawet elementarnym prawom natury.

Z mocą więc i bezwzględną szczerością demaskuje Papież całą obłudę i bezbożność hitleryzmu, cynizm jego metod, bezwzględność jego antykatolickiej kampanii.

Po ogłoszeniu tej encykliki zniknęły w Niemczech resztki złudzeń co do moralnej wartości istniejącego tam reżimu. Te wszystkie hasła, którymi narodowo-socjalistyczna prasa i jej wodzowie przepajają od lat umysły i serca obywateli niemieckich znalazły należyta, bezstronną a suwerenną ocenę. Jest rzeczą w tej chwili wprost oczywistą, iż o ile rząd Trzeciej Rzeszy nie zawróci z raz obranej drogi, dla wszystkich katolików pozostaje do wyboru dylemat: z Bogiem i Chrystusem albo z germańskim rasizmem!

A wypadki posunęły się już tak daleko, iż wybór ten jest nakazem chwili. Obrona wiary, obrona dusz katolickiej młodzieży musi być dla katolików w Niemczech najwyższym dobrem.

Kościół katolicki — woła Papież — nie może dopiero wtedy zacząć smucić się i biadać, gdy ołtarze zostaną zniszczone i gdy świętokradzkie ręce zamieniają kościoły w dym i płomień. Jeśli się usiłuje tabernakulum duszy dziecięcej... zbzczyć przez wrogie Chrystusowi wychowanie, jeżeli z tej żywej świątyni Bożej wyrzuci się wieczną lampę Chrystusowej wiary, by na jej miejscu zapalić błędne ogniki namiastki wiary... to bliskim już jest duchowe sprofanowanie świątyni...

W takim momencie bezwzględnym obowiązkiem sumienia chrześcijan jest nie tylko odgrodzić się od wszelkiego współdziałania w tej zgubnej robocie, ale stanąć na straży wiary, choćby za cenę najwyższych i najdroższych ofiar.

A perspektywy tych ofiar roztacza Ojciec św. z rozdartym bólem sercem, aż do lochów więziennych, udręki koncentracyjnych obozów, prześladowań i największych cierpień. Obok kapłanów ma stanąć solidnie wierzący lud, a w pierwszych szeregach rodzice, na ich bowiem sumieniu ciąży odpowiedzialność za dzieci i przyszłość Kościoła i wiary.

Alarm i sygnał do zdecydowanej walki z hitlerowskim reżimem, niosącym ruinę wiary nie w mniejszym stopniu jak niesie ją sowiecki komunizm, rozszedł się z Watykanu na cały świat.

Nie pomogą polemiki niemieckiej prasy, nie pomogą groźby zerwania konkordatu, z którego i tak pozostały strzępy. Cały świat nie tylko katolicki ale chrześcijański staje w tej chwili przy boku sędziwego Ojca chrześcijaństwa, by braterską sympatią i gorącymi modłami wesprzeć niemieckich katolików, wstępujących na krzyżową drogę walki

w obronie swej wiary. Tragedią ich jest fakt, iż o tę wiarę muszą walczyć z własnymi ziomkami.

Dla nas jest bezwzględnie pewnym, iż nowy *Kulturkampf* skończy się przegraną bezbożnych jego reżyserów. Minie Rosenberg, von Schirach, minie i sam Führer Hitler, jak minął Nero, Julian odstępca, Bismarck, Lenin... a msza św. odprawiać się będzie. Bramy piekielne nie zwyciężą Chrystusowego Kościoła!

A my katolicy wolnej Polski, którzyśmy przeżywali niegdyś bismarkowski *Kulturkampf* możemy poprzez kordony bliskiej granicy zakrzyknąć do naszych niemieckich braci: „Wytrwajcie, choćby na krwawej arenie, niech tradycja Windhorstów i Ledóchowskich nie zginie; podnieście okrzyk pierwszych chrześcijan: *Christus vincit, Christus regnat, Christus imperat!*”

Ks. Edward Kosibowicz T. J.

Sprawy Państwa.

Blum i Roosevelt. — Rozkład kapitalizmu na Zachodzie. — Łuski na oczach. — Budowa kapitalizmu w Polsce. — Styl polityki polskiej.

We Francji znów wybuchnął alarm. Kraj jakoś żadną miarą nie może ustalić swej równowagi gospodarczej, a co za tym idzie także finansowej, społecznej i politycznej. Przed dwoma laty Laval usiłował opanować deficyt w budżecie, deficyt w bilansie handlu z zagranicą, drożyznę i zagrożenie kursu franka — metodą deflacji. Powodzą dekretów skurczył wydatki państwowe, zwłaszcza pensje, emerytury, zapomogi, oraz podniósł podatki, dla równowagi zaś zreglamentował ceny w kierunku ich kompresji, wzmocnienia zdolności konkurencyjnej z zagranicą, zniżki kosztów utrzymania i produkcji. Chciał osiągnąć równowagę przez „równanie w dół”, dostarczając zarazem natchnień płk. Matuszewskiemu w Polsce. Nie pomogło. Chwilowo nastąpiło wprawdzie uspokojenie oczekiwania na rezultaty, przerywane gorącymi protestami obywateli, którym „zaciśnięto pasa”. Ale na wiosnę ub. r. deficyt budżetowy wynurzył się ponownie. Szeroki ogół miał więc tego eksperymentu dość. W wyborach powołał większość „frontu ludowego” i na czele rządu postawił tow. Bluma.

Blum zabrał się do rzeczy naodwrot. Ponieważ krajem wstrząsała fala strejków okupacyjnych dochodząca do półtora miliona głów, paraliżująca do reszty i tak już dotkniętą zastójem i półmilionowym bezrobociem produkcję, przeto nowy premier zdecydował się „postawić na konsumenta”. Wypełnił skrupulatnie żądania robotnicze, uspokoił więc strejki. Ustawowo skrócił czas pracy do 40 godzin tygodniowo, podniósł zarobki do 25⁰/₁₀, pod-

niósł obciążenia socjalne, upaństwowił ciężki przemysł zbrojeniowy. Musiał tym samym podnieść koszty produkcji i ceny, ale zmniejszył bezrobocie o 90 tysięcy głów, rozszerzył zdolność spożywczą rynku, dążył do równowagi drogą „równania w górę”. Niebezpieczeństwo wzrostu cen w stosunku do zagranicy próbował zażegnać dewaluacją franka. Nie pomogło. Z początkiem roku bieżącego ceny podniosły się do 40% *eo ipso* pochłaniając z nadwyżką wzrost zarobków robotniczych, a nawet rozszerzenie konsumpcji przez spadek bezrobocia. Dewaluacja nie zapobiegła 5 miliardowemu deficytowi w handlu zagranicznym. Dziura w budżecie państwowym zwyczajnym sięgnęła znów 7 miliardów. Ponadto zbrojenia i roboty inwestycyjne wypiętrzyły budżet nadzwyczajny do 35 miliardów, co najmniej w połowie pozostających bez pokrycia. Pomruk niezadowolenia począł się szerzyć pośród mas robotniczych, groziły znów strejki. Popłoch ogarnął grubszych, średnich i drobnych kapitalistów. Złoto znów jednomiliardowym co tydzień potokiem odpływało z Banku Francji. Kapitały ruszyły na wóaż za granicę w wysokości do 100 miliardów, przybierając postać sterlingową lub dolarową, ku ponownej opresji, niedawno o 25% zdewaluowanego franka.

Blum stanął na rozdrożu. Coś należało przedsięwziąć. Na lewo, czy na prawo? Socjaliści i komuniści z frontu ludowego doradzali konsekwencję w dalszych reformach w stosunku do dotychczasowego, tak dla nich miłego kursu rządowego. Doradzali etatyzację nie tylko fabryk uzbrojenia, już przeprowadzoną przez parlament, lecz ponadto jeszcze etatyzację banków i towarzystw asekuracyjnych, czyli zbiorników kapitału, a także ciężkiego przemysłu, kolei oraz lasów. A więc etatyzm i kapitalizm państwowy *modo sovietico*. Precedens rosyjski wprawdzie nie wypadł zachęcająco, ale tam właściwie nie było kapitałów do upaństwowienia, we Francji zaś są. Tylko położyć na nich ciężką dłoń państwa i zaangażować na służbę ludowi.

Blum się do tego skłaniał i wypuścił nawet odpowiedni „balon próbny”. Ten „balon” został podarty w strzępy przez „rodzonych” Bluma współideowców z frontu ludowego, przez radykałów, wprawdzie socjalizujących (*radicaux socialistes*), ale nie tak znów „na całego”. Rzesze drobno-mieszczańskich ciułaczy, z których się przeważnie składa stronnictwo radykalne, ani słyszeć nie chciały o etatyzacji kapitału, a nawet wielkich przedsięwzięciach akcyjnych. Instynktownie odczuwały, że to pachnie ubezprzedmiotowaniem ciułactwa, jego przeobrażeniem w sport ekonomiczny, likwidacją rentierskich „ideałów” na rzecz wysokiego budżetu robót publicznych, wysokich podatków, drogiej robocizny, wysokich kosztów produkcji i cen.

Więc radykałowie stanęli dęba nie tylko wobec Bluma, lecz i całego „frontu ludowego”. Zagrozili wystąpieniem z gabinetu i rozłamem formacji „frontowej”. Oznaczało by to koniec rzą-

dów lewicy, o ile by socjaliści i komuniści nie czuli się na siłach do natychmiastowej proklamacji „dyktatury proletariatu”.

Blum się ugiął. Przyjął doraźny plan wyjścia z matni, wysunięty przez radykałów. Wykonał doraźny zwrot na prawo, do gospodarczego liberalizmu. Swoboda obrotu złotem, kapitałami, żadnych ograniczeń dewizowych handlu z zagranicą, protekcja kredytowa banków angielskiego i amerykańskich federalnych dla kursu franka, a za to wszystko — wielka pożyczka wewnętrzna 15 miliardów na pokrycie budżetu zbrojeń. Dziurę w budżecie zwyczajnym ma zrównoważyć redukcja zapomóg dla bezrobotnych, wobec spadku ich liczby. Kapitalistyczna Francja odetchnęła z ulgą. Entuzjastycznie subskrybowała pożyczkę. Liberalny ustrój gospodarczy został ocalony.

Niestety tylko narazie. Tak grubych bowiem nieporozumień jakie ma Francja ze swoim gospodarstwem narodowym nie usunie się tak prostym środkiem jak duża pożyczka zaciągnięta na zasobnym rynku wewnętrznym.

Pożyczka załata dziury budżetowe zwyczajne i nadzwyczajne na rok, ale po roku otworzą się one na nowo. Otworzą się szerzej niż dotąd, po części z powodu przyrostu nowych oprocentowań i amortyzacji, jeszcze bardziej skutkiem drożyzny i dalszego rozwarcia „nożyc” między wzrastającymi wydatkami oraz nie mogącymi doścignąć ich wpływami skarbu. Tragedia gospodarcza francuska jest wyrazem głębokiego wewnętrznego kryzysu społecznej struktury wielko-kapitalistycznej, oraz odbiciem niemniej głębokiego zewnętrznego kryzysu struktury gospodarstwa światowego. Tragedia ta zbliżona w swoim typie do przesilenia anglosaskich występuje jednak ostrzej i trudniejsza jest do opanowania, ponieważ gospodarstwo francuskie nie dorównywa anglosaskim zasobnością w surowce i kapitał, a przy tym nie rozporządza tak kolosalnym rynkiem wewnętrznym jak Stany, ani międzynarodowym jak W. Brytania. Ten właśnie ogrom gospodarstw narodowych anglo-saskich umożliwił im, po stosunkowo łagodnym „nakręceniu koniunktury” przez niżkę walut i inne zabiegi, wykorzystać nieurodząj światowy, zbrojenia i płynącą stąd światową wyżkę cen, by utrzymać się w dostatecznym natężeniu produkcji. Dla Francji to już nie wystarczyło, tym bardziej, że miejsce na nie dość pojemnym rynku światowym zajęli potężniejsi ekonomicznie anglo-sasi. Dlatego we Francji z coraz wzrastającą wyrazistością występuje ten sam zasadniczy społeczno-strukturalny kryzys wewnętrzny, co przed paru laty w Ameryce.

Roosevelt wyruszył przeciwko niemu z arsenałem środków radykalnych, które wiodły niechybnie nie tylko do „nowego podziału” dochodu społecznego, ale również do przebudowy ustroju społecznego. Zawiesił tę kampanię bo na to pozwoliła dobroczynna koniunktura i rozmiar amerykańskiego gospodarstwa, oraz nakała to wola społeczeństwa. We Francji wynurzyły się teraz pro-

blematy pokrewne, lecz w warunkach francuskich nie dające się opanować nawet czasowo takim stosunkowo umiarkowanym wysiłkiem reformatorskim a przy pomocy koniunktury, jak to miało miejsce w Ameryce.

Wśród problemów tych najbardziej zasadniczy wpływa stąd, że aparat wytwórczy gospodarstwa wielko-kapitalistycznego przewyższa swą wydajnością zdolność spożywczą krajową. Nie znajdując zaś zbytu na swój nadmiar dóbr także za granicą musi ograniczać produkcję, obniżać rentowność i wytwarzać bezrobocie. Stąd wyłania się zadanie takiej reorganizacji życia gospodarczego, która by pozwoliła utrzymać produkcję w rozmiarze przystosowanym do konsumpcji, a zarazem nie ograniczała tej konsumpcji bezrobociem, lecz utrzymywała ją w pełnym przyrodoznym nasileniu. Stąd z kolei powstaje konieczność kontyngentowania pracy, oraz reglamentacji płac i cen. Sformułowano to w konkretnym haśle Roosevelta i robotników francuskich: krótszy czas pracy, wyższe zarobki, ewentualnie także wyższe podatki na roboty publiczne i dla pokrycia wyższych cen.

Wszystkie te zabiegi mają to do siebie, że godzą w kapitał. Dotąd bowiem produkcja służyła bezpośrednio kumulacji kapitału. Odtąd zaś ta zdolność produkcji do wytwarzania kapitału musiała by zostać ograniczona na rzecz pokrycia znacznie podwyższonych kosztów samej produkcji, oraz obrotu przy wysokich cenach. Opierając się na bogactwie kapitalistycznym Ameryki, Roosevelt rozwinął więc inflację kredytową, ażeby umożliwić produkcji przejście na obrót przy wysokich kosztach, płacach i cenach. Koniunktura przyszła mu w pomoc, więc to „równanie w górę” zostało zahamowane. Ale gdyby je Roosevelt był doprowadził aż do zamierzonego celu, to równowagę osiągnął by z pewnością dopiero na tak znacznie podniesionym poziomie kosztów obrotu, że siła nabywcza pieniądza a tym samym i zasobność kraju w kapitał pieniężny znakomicie by stopniała. Oznaczało by to zarazem „nowy podział” dochodu społecznego między warstwami producentów i konsumentów, kapitalistów i pracowników, na wybitną niekorzyść obecnych stanów posiadania burżuazji. Kto wie czy nawet w bogatych Stanach starczyło by na ten proces istniejących mas kapitału zaoszczędzonego i czy nie musiały by one otrzymać uzupełnień w kapitale antycypowanym, w emisjach państwowych środka obrotowego dla produkcji... W każdym razie jest zrozumiałe, że sfery posiadające w Ameryce nie entuzjazmowały się zbytnio tą perspektywą, i skwapliwie skorzystały ażeby ją utracić, gdy tylko dało się, choćby częściowo przełamać zastój z pomocą „fali koniunkturalnej”.

Dotychczasowe zarządzenia polityki ekonomicznej Bluma we Francji rozwijały się tym samym szlakiem co amerykańskie z przed dwóch lat, ale w znacznie gorszych warunkach, szczegól-

nie politycznych i psychologicznych. Roosevelt radykalnymi środkami wdrożył czysto praktyczną, społecznie obiektywną walkę z kryzysem, miał więc za sobą całą niemal opinię krajową, także kapitalistyczną, dopóty przynajmniej, dopóki nie osiągnięto wystarczającego odprężenia. We Francji to odprężenie będzie trudniejsze i może wymagać głębszych przeobrażeń niżli te, którymi zdołały się doraźnie od kryzysu wykręcić Stany Zjednoczone. Co najzłośliwsze, to że we Francji akcja Bluma wdrożona została pod jątrzącą społecznie etykietą walki klas i przewagi frontu ludowego. Skojarzył się z nią automatycznie lęk przed krwiożerczą „dyktaturą proletariatu”. Obciążyło ją socjalistyczne doktrynerstwo etatystyczne, nie tylko nie mające wspólnego z racjonalną przebudową społeczną, lecz dla niej wręcz szkodliwe, bo grożące biurokratycznym paraliżem życia gospodarczego. Dlatego Roosevelt mógł z całą swobodą znaleźć w kraju kapitał powolny dla inflacji kredytowej, przed Blumem zaś kapitały w dzikim popłochu rzuciły się do ucieczki za granicę. Blum więc nie tylko nie mógł konsekwentnie rozwijać dalej „równania w górę” lecz pod grozą załamania się budżetu państwowego i całego narodowego gospodarstwa musiał wykonać zwrot reakcyjny w kierunku liberalizmu gospodarczego. Że na tej drodze daleko nie zajdzie to pewna.

Radykałowie, którzy go na nią popchnęli liczą wprawdzie na pomoc z zewnątrz. W postaci ewentualnych kredytów angielskich i amerykańskich dla podtrzymania franka jest ona przypuszczalnie zapewniona, ale ażeby podtrzymać na drodze liberalizmu choćby czas jakiś gospodarstwo Francji, należało by silnie spotęgować handel międzynarodowy. I tego również życzą sobie mocarstwa anglo-saskie, lecz jak dalece jest to trudne i w paliatywnych granicach tylko możliwe, o tym pisałem już w tej rubryce w zeszycie marcowym. To też w jednym z ostatnich swych przemówień Roosevelt przypomina swą walkę społeczną o „nowy podział” dochodu społecznego za pomocą krótszej pracy i wyższej płacy, gromi sędowników amerykańskich, że mu ją zahamowali, zapowiada reformę sądownictwa i wzmocnienie władzy państwowej. Zapewne więc liczy się z tym, iż pauza koniunkturalna, może niedługo wygasnąć i wypadnie podjąć przebudowę na nowo. Przebudowa zaś ustroju gospodarczego i społecznego tak w Ameryce, jak we Francji i innych twierdzach wielkiego kapitalizmu, wymaga nieubłaganej zmiany funkcji społecznej kapitału. Wymaga zużycia go nie na szkodliwą hyperprodukcję, lecz na pokrycie nim kosztów „nowego podziału”. Jest to przewrót równoznaczny z ogólną i zasadniczą likwidacją ustroju kapitalistycznego, przewrót, który z natury rzeczy musi odbić się także na międzynarodowym ruchu kapitałów czyli kredycie. Pod tym kątem ostatnia burza we Francji, może też niemniej niż czysto polityczna strona sytuacji międzynarodowej, denerwo-

wać te sfery polskie, które z pożyczki francuskiej pragnęły by uczynić punkt wyjścia dla budowy kapitalizmu polskiego.

Ostatnie lata zachodnich perturbacyj gospodarczych, społecznych i politycznych przyniosły ze sobą szereg bardzo cennych doświadczeń. Przyniosły z jednej strony falę „dobrej koniunktury“, która pozwoliła w najkorzystniejszej sytuacji krajach anglo-saskich zahamować wszczęte już procesy przeobrażeń struktury ekonomicznej i socjalnej. Tym bardziej jednak uderzająco wynurzyły się, na przekór tej fali, groźne przeszkody rozwoju gospodarczego w strukturze innych, mniej niżli anglo-saskie uprzywilejowanych gospodarstw narodowych. Wskazują one wyraźnie, iż nie masz dla nich rozwiązań pozytywnych w ramach ustroju kapitalistycznego. Od strony międzynarodowej, gospodarczo-światowej wskazuje na to przykład Niemiec, który omówiliśmy w tej rubryce w zeszycie marcowym. Od strony wewnętrznej wskazuje na to przykład Francji. Doświadczenie amerykańskie Roosevelta oraz najświeższe francuskie, wskazują przy tym, że rozwiązanie pozytywne zarysowuje się, poza obrębem liberalizmu gospodarczego, na linii rozwojowej zupełnie nowej i oryginalnej, silnie odrębnej od tego rewolucyjnego szablonu, który skonstruowało doktrynerstwo marksizmu. Kapitalizm wszedł w stadium rozkładu, ale i komunizm nie ma żadnej przed sobą przyszłości. Przyszłość należy do korporacjonizmu społecznie obiektywnego, opartego o przedstawienie funkcji społecznej kapitału i pieniądza z dotychczasowej ich służby produkcyjnej na służbę planowej regulacji życia gospodarczego.

Niestety świadomość tej jedynie dostępnej drogi rozwojowej jest jeszcze słaba i napotyka na opór z dwóch stron: zachowawczo liberalnej, kurczowo podtrzymującej przeżyte formy, oraz przewrotowo-kolektywistycznej, która jak słoń w skład porcelany włamuje się w nowe konieczności rozwojowe życia z despotią, nienawiścią, biurokracją i etatyzmem. Dlatego pozytywne rozwiązanie każe na siebie tak niepokojąco czekać, a tymczasem naprężenia społeczne i międzynarodowe jątrzą się coraz groźniej. Niezdolny skierować nadmiaru swoich sił żywotnych w nowe łóżyisko, ku zaspokojeniu nowych potrzeb, zachodni świat kapitalistyczny lokuje je w oszalałym tempie niebotycznych zbrojeń i szybko posuwa się ku odchłani katastrof wojennych, międzynarodowych i domowych.

Gdy zaś tak rzeczy stoją na Zachodzie w jakim położeniu znajdujemy się my w Polsce? Zachód nie umie zwrócić mas kapitału, których nadmiar go przytłacza z kierunku produkcyjnego na regulacyjno-podziałowy, więc nadmiar ten zużywa w zbrojeniach. Przynosi tym sobie doraźną ulgę gospodarczą i wzmacnia zabezpieczenie polityczne od zewnątrz. My przytłoczeni jesteśmy nie nadmiarem kapitału w stosunku do ludności,

jak Zachód i nie nadmiarem ludności w stosunku do obszaru państwowego, jak Europa środkowa, lecz nadmiarem ludności w stosunku do zaoszczędzonego kapitału. Mogło się tak stać dzięki temu, że przez 150 lat rozwijaliśmy się populacyjnie i ekonomicznie w oparciu o potężne gospodarstwa narodowe zaborców, jako ich podrzędne i jednostronne aneksy. Pozostawieni teraz własnym siłom i chcąc gospodarstwo nasze zmontować tak, by ono mogło utrzymać przy życiu naszą ludność i nasze państwo, musimy je zdynamizować kapitalistycznie i technicznie w tempie w dziejach kapitalizmu niebywałym a w ramach ustroju kapitalistycznego nieosiągalnym. I nasze przeto lokalne polskie zagadnienie bytu lub niebytu, podobnie jak na Zachodzie pozytywnie rozwiązać się nie da inaczej jak takimi środkami, które są z duchem kapitalizmu sprzeczne i wyprowadziły by nasz ustrój gospodarczy poza jego obręb.

Podobnie jednak jak na Zachodzie i my nosimy na naszych oczach grube łuski, które nam nie pozwalają dostrzec, że droga pozytywnej przyszłości nie prowadzi ani przez kapitalizm ani przez komunizm, lecz w trzecim, samoistnym kierunku. Dostrzec ten kierunek jest nam tym trudniej, że nie moglibyśmy go wydedukować wprost z tendencyj rozwojowych ery przekwitowej kapitalizmu zachodniego. Musielibyśmy tę samą tendencję antykapitalistyczną podjąć od innego jej końca, który jedynie się nadaje, by poruszyć z posad gospodarkę zacofaną w pierwotnym stadium kapitalizmu niedorozwiniętego. Długą drogę rozwojową, którą między tymi stadiami przebył kapitalizm zachodni musielibyśmy przesadzić śmiałym skokiem zasadniczej reformy funkcji naprzód pieniądza, a dopiero potem ewentualnie kapitału, i to jedynie mogło by nas ocalić.

Niestety jednak wzywani jesteśmy na drogę inną, na drogę budowy naszego kapitalizmu od fundamentów pomimo, że rozrost liczebny społeczeństwa sięgnął stopnia, który to wręcz uniemożliwia i pomimo, że między tym rozrostem a zadaniem budowy od podstaw widoczną jest śmiertelność otchłani.

Jakże znamienne była w tym względzie ostatnia dyskusja parlamentarna między referentem generalnym budżetu senatorem Ewertem, a wice-premierem Kwiatkowskim. Sen. Ewert czarno na białym udowodnił jak groźna przepaść dzieli stan i siły gospodarcze Polski od poziomu jej konieczności życiowych, oraz stanu i sił innych państw. Wyraził wątpliwość, czy przepaść tę zdolni będziemy wyrównać w prawidłowym rozwoju naszego kapitalizmu. Ale zarazem oświadczył, że nie ma však wyboru jak tylko między kapitalizmem a komunizmem... Wicepremier najzupełniej się z tym poglądem zgodził, udowodnił jednak również czarno na białym, że teraz jest w Polsce lepiej niż było przed rokiem lub dwoma laty, że nie cofamy się lecz posuwamy naprzód „podciągamy wzwyż” — dzięki dobrej koniunkturze.

Jakaż to smutna pociecha... Tak „podciągamy się“, ale w tempie żółwia, gdy inni finiszują raid samochodowy. Tak, wzywamy do entuzjazmu, by rozpoczynać od fundamentów budowę kapitalizmu polskiego, gdy inni pasują się właśnie z rozbiórką jego dachów, by z gruntu przeobrazić cały jego gmach. Tak „odbiliśmy od dna“ kryzysu dzięki światowej „fali“ o całe powiedzmy 3 metry, a mamy widoki, że się podciągniemy jeszcze może i do 10 nawet metrów. Tylko, że powódź naszej nędzy zalewa nam uszy. Tylko, że nadciąga nawałnica jakiejś świat dotąd nie widział. Ażeby zaś wydobyć się z powodzi i stawić czoło burzy należało by jednym susem odbić od dna o 50 lub 100 metrów.

Taki jednak niestety jest „poważny“ unikający „eksperymentów“ — bo panie dobrodzieju niebezpieczne — styl polityki polskiej. Styl ślepej rutyny, samobójczego zacofania, przeraźliwego w swej grozie anachronizmu w stosunku do ducha i konieczności czasu. Nie inny więc musi być również styl polityki zagranicznej polskiej. Styl sztywnych barier, biernego oporu, kopiowany z potęg zachodniego liberalizmu oszańcowanych pasami fortec, sypiących miliardami na zbrojenia.

A tymczasem wrogowie naszego państwa i nowej niepodległości z trzech stron, pod trzy węgły naszego domu — karpacki, pomorski i wileński — usiłują już zakładać miny. Zaiste bardziej niż we Francji jest o co wołać w Polsce na alarm.

Andrzej Prawdziec.

Bilans protestantyzmu.

Katolicki miesięcznik *Hochland* zamieścił w lutowym tegorocznym numerze znamienny artykuł Ottona Urbacha pt. „Bilans protestantyzmu“. Autor po ojcu i matce pochodzi z rodziny od pokoleń protestanckiej i, jak sam zaznacza, dalekim jest od myśli wyznaniowych sporów i dogmatycznych roztrząsań, choć wyrósł z ewangelickiej teologii. Punktem wyjścia były dlań dwa świeżo wydane dzieła teologów ewangelickich, mianowicie Henryka Adolfa: *Odmieszczanie protestantyzmu*¹⁾, które raczej należałoby nazwać odindywidualizowaniem, względnie odarciem z pierwiastka bezwzględego indywidualizmu, na jaki choruje protestantyzm, oraz Ernesta Steinbacha: *Rozkład protestantyzmu*.²⁾ Prace te, zarówno jak rozważania Urbacha, stoją w związku z pytaniem „co dalej?“, jakie się siłą faktu narzuca protestantom teologom wobec prób hitlerowskiej III. Rzeszy, zlania

¹⁾ H. Adolf: *Entbürgerlichung d. Protestantismus*. Gotha 1936.

²⁾ E. Steinbach: *Die Auflösung d. Protestantismus*. München 1936.

wszystkich chrześcijańskich wyznań i przetworzenia ich w jedną „germańską religię”. Chodzi więc o utworzenie wspólnego frontu przeciw bezbożnictwu, którym jest zagrożona nie tylko wszelka wiara w Boga, ale cały wielowiekowy dorobek kulturalny narodów.

Urbacha też to zagadnienie interesuje. Tylko, że rozwiązanie jego nie szuka w tworzeniu jakiegoś nowego wyznania, mającego być syntezą wszystkich wyznań chrześcijańskich, ale w zbliżeniu się do katolicyzmu. „Posiadanie wspólne niesfałszowanych dóbr wiary — pisze — przerasta zarówno w ewangelickim chrześcijaństwie jak w katolicyzmie nieskończenie wszystko co dzieli oba wyznania”. Potrzeba tylko wzajemnego porozumienia i wzajemnych ustępstw. Urbach nie wyobraża sobie, by ta rzecz przyszła łatwo i uwieńczona była zlaniem się w jedność w ten sposób, by ewangelicki kościół złączył się z katolickim. „Przed wszystkim wśród ewangelików panuje zbyt silne przeciwrzymskie uczuciowe nastawienie a nadto prawdziwi ewangelicy są nierozłącznie związani z biblią Lutra, jako ze swym religijnym skarbem i ze swym śpiewem liturgicznym. Z drugiej strony katolicy pewnie ideologie w katolicyzmie „przypadkowe”, ale związane często — mocno silnie z katolicyzmem, uważają za tak istotne, że im głębiej one leżą na sercu aniżeli nawet religijny i właściwy rdzeń katolicyzmu”. Autor nie określa ich bliżej, jak tylko wymieniając np. ideologie natury politycznej władzy jak również nie mówi, co, wedle niego stanowi ten właściwy rdzeń katolicyzmu. Nie chcemy snuć przypuszczeń na temat co on nazywa przypadkowymi ideologiami, a co określone wyraźnie okazałoby się najprawdopodobniej albo dogmatem wiary albo czymś tak związanym z jej objawionym depozytem, że naprawdę stanowi istotną część katolickiej nauki, co do której jakichkolwiek ustępstw być nie może. Tym samym może i „rdzeń katolicyzmu” okazał by się dużo szerszym aniżeli mniema ewangelicki autor.

Niewątpliwie i w Kościele katolickim wiele jest kwestii, co do których możliwie są odchylenia. Poruszył to zagadnienie poddania rewizji pewnych zakorzenionych poglądów profesor Uniwersytetu Wiedeńskiego, dr Ehrhardt w swym: *Der Katholizismus u. d. 20 Jahrhundert*, by usunąć a przynajmniej ograniczyć konflikt między nowoczesnym światem a katolickim Kościołem. A i wszystkie, od wieków idące unie z rozmaitymi obrządkami wschodnimi, wszystkie konkordaty zawarte od XIX w. z państwami, tak nieraz daleko posuwające ustępstwa ze strony Kościoła, świadczą potężnym głosem historycznych faktów o pojedynowości Rzymu, byle nikogo nie odsuwać od jedności wiary, kto tylko chce do niej szczerze wrócić i by jak najszerzej otworzyć źródła Chrystusowych łask, złożone w Kościele. Rozmowy mechlńskie z udziałem śp. kardynała Mercier, które nie były ani oficjalnym porozumiewaniem się z Rzymem, ani tym mniej układami, odbywały się jednakże za wiedzą papieża w 1922 i 1923 r. jako

nieobowiązująca prywatna wymiana zdań z przedstawicielami chrześcijańskich wyznań a przede wszystkim wyznania anglikańskiego i były gorąco popierane przez lorda Halifaxa i anglikańskiego prymasa z Canterbury dra Dawidsona oraz liczne stowarzyszenia w Anglii dla pojednania innowierców z Kościołem:¹⁾ mówią, że po stronie katolickiej nad wyrównaniem bezdennej przepaści, dzielącej wyznania, do czego zachęca Urbach, nie brak ani gotowości, ani pozytywnej pracy. Wszelako musimy powiedzieć, że, choćby obustronnie była ona jak największą, zawsze zatrzyma się u granic Objawionej Prawdy. „Protestantyzm nie będzie nigdy dla Kościoła kat., jak to zaznacza Syllabus, tylko różną formą jednej i tej samej prawdziwej chrześcijańskiej religii, w której można się Bogu równie podobać jak w katolickim Kościele” (Danziger 1718), ani też nie znajdzie uznania twierdzenie, już w 1857 r. wysunięte przez londyńskie stowarzyszenie dla popierania chrześcijańskiej jedności, że „trzy zespoły chrześcijańskie, mianowicie rzymsko-katolicki, grecko-schizmatycki i anglikański, choć między sobą rozdzielone i poróżnione roszczą sobie równie słuszne prawo do miana katolickich”. Orzekł to niedwuznacznie Pius IX. w encyklice do biskupów Anglii 1864 r. (Denz. 1685). Sama osoba Chrystusa, nawet z uznaniem Jego Bóstwa, nie wystarczy bez przyjęcia całej objawionej przez tegoż Chrystusa prawdy. Kościół, gdyby się choć jednej wyrzekł i zgodził się, jak podnosi Pius IX, na zaniechanie we wzajemnych spotkaniach i wspólnej działalności chrześcijańskiego frontu na nieporuszanie spornych kwestii z pozostawieniem każdemu w spokojnym sumieniu wyznawania nauk własnej religii, zeszedł by na pochyłość, która wiedzie do ruiny protestantyzm właśnie dzięki panującemu w nim indywidualizmowi religijnemu. Kościół, przy całym szerokim wyrozumieniu dla ludzi, jakie tryska z jego nauki o przynależności do duszy Kościoła, nawet tych, którzy bez swej winy nie stanowią mistycznego ciała Chrystusowego — musi jednak stać na straży czystego i nieskażonego ludzkimi błędami depozytu Wiary. Musi też pozostawić raczej zbawienie innowierców miłosierdziu Bożemu i drogom Opatrzności, która łaską nadzwyczajną uratować może dusze innowierców zostających w dobrej wierze, niż; dążyć do ich pojednania drogą dogmatycznych ustępstw czy kompromisów.

Bylibyśmy jednak niesprawiedliwi, gdybyśmy pracę nad zniwelowaniem przepaści widzieli tylko po stronie katolickiej. Znane są usiłowania od czasów Piusa IX do ostatnich lat wśród anglikanów, zdążające do zbliżenia się do katolicyzmu. Ale i protestanci w Niemczech coraz częściej orientują się w tym właśnie kierunku pojednawczym, zwłaszcza od wielkiej wojny. Urbach nie

¹⁾ Siwek T. J.: „Problem jedności z Rzymem w Anglii”. *Przegląd Pow.* 1924.

stanowi w tym względzie wyjątku. W 1917 r. rozwijał w tej myśli działalność pastor Hensen. W tych samych czasach Wesenberg chciał, by kościół protestancki był także rozdawcą sakramentów i wyznawał, że „kapłan katolicki jest mu bliższy, aniżeli protestant, zaprzeczający bóstwu Chrystusa”. König żąda wznowienia w protestantyzmie hierarchii kościelnej, biskupów, którzyby byli związani sukcesją apostołów i w nią wcieleni. Można powiedzieć, że płynie w protestantyzmie jakiś nurek tęsknoty za religią pozytywną i sakramentalnym uświęcaniem dusz.¹⁾ Niemniej wszakże, interesujące są żądania, jakie stawia Urbach uczonym teologom protestanckim w pracy nad pojednaniem z Kościołem. Żądania może nawet tym bardziej ciekawe, iż, jak widzieliśmy, nie są odosobnionym głosem wołającego na puszczy.

Otóż Urbach przede wszystkim wysuwa żądanie, które zdaje się powinno być zbyteczne, tak samo przez się wynika z poczucia sprawiedliwości i autorskiej uczciwości, by „zaniechać powtarzania bezkrytycznego zarzutów, czynionych Kościołowi katolickiemu, które cokolwiek by było przed 400 laty, dziś są od dawna przebrzmiały”. Żaden uczony katolicki istotnie nie odważyłby się wydawać sądu o nauce i ustroju protestantyzmu na podstawie pism polemicznych, nieraz paszkwilem zaprawnych w dawnych wiekach walki, nie zajrzawszy do autentycznych źródeł. Tymczasem Urbach stwierdza, że „większość ewangelickich teologów zna katolicyzm wyłącznie z pism reformatorów”. Jako przykład podaje właśnie Steinbacha, u którego obraz katolickiej nauki wypada tak „groteskowo”, że „zdumienie ogarnia na widok tej okropnej ignorancji”. Zakony np. przedstawiają mu się jako zbiór „pochwytnych i przetworzonych herezji”. Kult świętych jako „chrześcijańska forma politeizmu”. Tymczasem zaznajomienie się z rzeczywistą nauką Kościoła uświadomiłoby raczej ewangelickich uczonych, że „Kościół katolicki jest konsekwentniej ewangelicki aniżeli nawet dzisiejszy ewangelizm”. Jako dowód przytacza podstawowe zasady ewangelickiego wyznania. Nauka, którą „stoi i upada wyznanie ewangelickie”, że Bóg sam przez łaskę Chrystusa usprawiedliwia grzesznika znajduje się u Denziguera n. 799/801 jako „nauka bez reszty stwierdzona w katolickim Kościele”, podczas gdy „nie zawsze spotkać ją można u ewangelików, u których teologowie i kaznodzieje i całe gminy przeinaczały albo nawet zaprzeczały pojęciu Boga, Chrystusa, grzechu, łaski i usprawiedliwienia”. Podobnie ma się sprawa z twierdzeniem, że ewangelickie chrześcijaństwo jest „religią sumienia zakotwiczonego w Boga”. I znowu naukę o sumieniu jako o jedynej wewnętrznej normie, która rozstrzyga o wartości czynów człowieka, widzi Urbach i u św. Tomasza z Akwinu i u współczesnego teologa ks. Pribilli. Wreszcie wskazuje jak nawet ewangelicki teolog

¹⁾ D'Ales: „Dictionnaire apologetique”. *Reforme*. Paris 1922.

Schmidt sprostował błędne mniemania protestantów o katolickim posłuszeństwie.

„Ewangelickie chrześcijaństwo powinno się zatem zdobyć na heroiczną odwagę poważnego zbadania czy protest przeciw katolicyzmowi ma jeszcze obecnie jakiś sens i usprawiedliwienie. „Wynik może jak bądź wypaść, ale badanie winno być przeprowadzone“.

Urbach nie poprzestaje jednak na stanowisku uczciwego tylko człowieka, wobec przeciwnika. Idzie głębiej. Czuć w nim naukowca, którego razi brak genetycznego spojrzenia w badaniach i rozpoczynanie wszystkiego od początku, bez liczenia się z dotychczasowym dorobkiem. „Fatalnie zaciążyła — powiada — na ewangelickim wyznaniu w poreformacyjnych czasach coraz głębsza zatrała wszelkiego związku z całą pracą myśli i zmagani duchowych od poapostolskich czasów aż do rozkwitu i późnej scholastyki“. „Pozostała mu tylko biblia, niektóre starochrześcijańskie składy apostolskie, nieliczne pisma ojców a jako świeże źródła Reformatorzy i ich wyznania wiary. „Cały dorobek teologii i rozwój Kościoła od poapostolskich czasów aż do reformacji przedstawiał się ewangelickim pisarzom nie jako rozwój lecz jako zwyrodnienie. Wskutek tego na uboczu pozostała dla ewangelików monumentalna praca chrześcijańskiej teologii od prachrześcijańskich czasów aż do Soboru Trydenckiego nad syntezami i symbiozami niesłychanych antytez“. Spłotyły się w niej one „w syntezie nieba i ziemi, porządku przyrodzonego i nadprzyrodzonego, woli i łaski, historii i Objawienia, świata widzialnego i niewidzialnego, Kościoła i państwa, pierwiastka ludzkiego i boskiego“, tworząc jedną całość tak jak „Jezus Chrystus był Bogiem i człowiekiem. W katedrze ducha, którą zbudował Tomasz z Akwinu zlały się niebo i ziemia w jeden świat“.

„Z chwilą, kiedy protestantyzm zamknął sobie rozmyślnie czy nieświadomie drogę do syntezy tych wielkich przeciwieństw,... rozpadł się na naturalną filozofię i nadnaturalną (dialektyczną) teologię, wrogo do siebie nastawione a przecie szukające się wzajemnie i, co najparadoksalniejsze, przekonane, że każda stoi na gruncie prawdziwego chrześcijaństwa... zarówno Renan ze swym Jezusem człowiekiem, jak przedstawiciele dialektycznej teologii, dla których „niedowiedzione istnienie“ Jezusa człowieka, było sprawą uboczną, bo im chodziło jedynie o duchowego Chrystusa, który niczym innym nie jest jak pseudonimem samego Boga. Między tymi skrajnościami rozwija się ewangelicka teologia. Każde zbliżenie się do jednego z obu ekstremów jest wykołajaniem z prawdziwej drogi“. „Jeżeli np. Asmussen, przytacza dalej Urbach, odrzuca troskę o cały porządek naturalny, utrudnia pogodzenie porządku naturalnego z porządkiem nadprzyrodzonym. Trzeba przyjąć ze św. Tomaszem doniosłą zasadę katolickiej teologii, że łaska nie burzy natury, ale na niej buduje, leczy jej

rany, podnosi i udoskonala". Również należy na nowo przepracować ideę prawa naturalnego w oparciu o Tomasza, Moline i Suareza. Prawo naturalne wchodzi bowiem jako składnik stworzenia a rozdział kantowski prawa od porządku moralnego jest brzemienny w zgubne następstwa. „Należy też na nowo ująć stosunek woli do łaski. Bóg sam usprawiedliwia człowieka przez łaskę Chrystusa, ale tę łaskę daje temu kto czyni, co leży w jego własnej mocy". Słowem „twórcza teologia nie może zwracać się nieufnie do natury nie ateizując równocześnie związku między człowiekiem i Bogiem i wszelkich ludzkich uzdolnień. Kant zaprzeczył rozumowi zdolności naturalnego poznania Boga, Schleiermacher zdolności woli determinowania się do Boga, Barth zdolności uczucia do umiłowania Boga i ewangelicka teologia widzi tylko między Bogiem a człowiekiem przepaść bez żadnego pomostu. Z jednej strony stworzenie opuszczone przez Boga, z drugiej Bóg bez stworzeń".

Podobnie w antytezie historii i Objawienia zatracili ewangelicy „najśmielszą syntezę, jaką daje katolicka nauka o Kościele". „Jest prawdziwą tragedią i winą, że ewangelicki chrystianizm odrzucił Ojców i świętych średniowiecznego Kościoła a natomiast wyniósł jako półbóstwa duchy małe, jak np. przecenionego Schleiermachera. Ci sami ludzie wydrwili kult relikwii, których wzruszenie ogarnia na widok autografu Hegla".

Jeżeli się więc chce uratować ewangelickie wyznanie od rozkładu, wżerającego się coraz głębiej, należy z tej drogi zawrócić i „odnaleźć się znowu wbrew protestantyzmowi i indywidualizmowi we wspólnej pracy i genetycznym myśleniu, idącym przez pokolenia. A jeżeli to wnikięcie teologiczne w prawdy miałoby przyczynić się do coraz bardziej wzmagającego się zbliżenia ewangelickiej i katolickiej nauki — tym lepiej. Prawda chrześcijańska powinna być najwyższym sprawdzianem a nie troska o utrzymywanie przeciwieństw ewangelickości i katolicyzmu... Nie chodzi o zachowywanie indywidualnych właściwości, ale o to, że Chrystus sam jest panem".

Staraliśmy się ująć cały wywód wierzącego teologa ewangelickiego możliwie jego własnymi słowami.

Istotnie droga, którą Urbach wytycza swoim współwyznawcom w pracy nad zbliżeniem do katolicyzmu jest głęboko przemyślana i trafnie ujęta. Nic tak nie utrudnia zbliżenia jak uprzedzenie, zwłaszcza na nienawiści wyrosłe. Skoro się je usunie, można powiedzieć, że są przełamane najcięższe zapory. Z drugiej strony wnikięcie nie tylko w kwestie sporne, ale w całokształt katolickiej wiary i nawiązanie do przerwanej tradycji i jest związane ze znacznym ograniczeniem pola tarć i ułatwia wzajemne zbliżenie. Wszak nie inną była droga, która do jedności kościelnej tyłu zawsze sprowadzała konwertystów. Kto szuka Chrystusa, tego Chrystus nie pozostawi bez światła. Na tej wła-

śnie też drodze, w tym poważnym, genetycznym studium niejednen z teologów ewangelickich zrozumie, czemu Kościół katolicki tak swych prawd wiary broni i od nich za żadną cenę odstąpić nie chce i nie może... bo się znajdują w depozycie wiary objawionej i nie są zależne od ludzkiego rozumu i woli. Są przekazane a nie zdobyte. Jednakże zbliżenie i zmniejszenie pola tarć dalekim jeszcze będzie od jedności Chrystusowej owczarni i od możliwości stworzenia naprawdę wspólnego jednolitego frontu. Wiara nie jest rozumowaniem ani przekonaniem czysto rozumowym; jest przede wszystkim łaską Bożą, której przy najsilniejszym rozumowym przeświadczeniu, może braknąć, jeżeli braknie woli pójścia za głosem Bożym bez zastrzeżeń. „Bóg nie odmawia łaski czyniącemu wszystko, co jest w jego mocy”. I właśnie tą przeszkodą może być wola, która chce tylko zbliżenia a nie chce się zdecydować na łączność w jedno tak, „aby jak Ty Ojczyźnie mynie a ja w Tobie i oni w nas jedno byli” (Jan 17. 21). Czy ewangelicy będą mieć tę wolę zjednoczenia a nie tylko pewnych doraźnych ustępstw dla wspólnej obrony i powstrzymania wewnętrznego rozkładu?

Sam Urbach zdaje się nie mieć co do tego złudzeń. „Jeżeli do tego dojdzie, to ... „tym lepiej”. Ale to wszystko pozostaje w zawieszeniu. Kropki nad „i” Urbach nie stawia. Może i od siebie tę myśl odsuwa, albo sam jeszcze nie doszedł do ostatecznego koniecznego wniosku. Na razie wytycza sobie cel bliższy: uchrześcijanienie ewangelickiego wyznania przez odprotestantyzowanie go.

„Ewangelicki kościół, o ile chce pozostać ewangelickim, winien się w ramach protestanckiej formy życia jasno i z pełną świadomością oddzielić od wszelkiego niechrześcijańskiego protestantyzmu. Winien o ile nie chce skostnieć w roli sekty, zaniechać wspólnego frontu wszystkich protestantów na rzecz wspólnego frontu wszystkich chrześcijan, czyli wszystkich wierzących w Chrystusa.”

Odprotestantyzowanie ewangelickiego wyznania stanowi właściwie dla Urbacha punkt wyjścia.

Do zatamowania rozkładu dąży też Steinbach i Adolph. Ten ostatni, wita wykluwającą się ideę totalnego kościoła na wzór totalnego państwa, ale bez wiary w możliwość jej urzeczywistnienia. Steinbach pragnie zappełnić „próżnię, jaką zostawił religijny protestantyzm” półśrodkami, które mają tchnąć weń pierwiastek wewnętrznego życia, jak rozmyślanie, formami kultu, sakramentem (Ołtarza), oraz utworzeniem ewangelickiego zakonu.

Odpowiada im słusznie Urbach, że „ani bieg dziejów, ani życie nie kieruje się takimi, zresztą zrozumiałymi życzeniami... Wola stworzenia w protestantyzmie kościoła i jedności nie wystarcza... bo brak zasadniczo i faktycznie autorytetu, władzy podobnej do władzy państwowej, która mogłaby zobowiązać do przyjęcia religijnych przekonań. „A w środkach, którymi Steinbach

chce dźwignąć protestantyzm, widzi Urbach brak właściwej podstawy. Przedmiotem rozmyślenia ma być wżywanie się w Chrystusa. Ale u Steinbacha nie jest On ani prawdziwym Bogiem, od wieków zrodzonym przez Ojca, ani prawdziwym człowiekiem, zrodzonym z Marii Dziewicy. Śmierć krzyżowa i Odkupienie zawisają w próżni, skoro Steinbach odrzucił „wielkie dogmatyczne sformułowania wraz z całą teologią krwi i ran”. O zmartwychwstaniu ciał ani nie wspomina. Mówi, że „protestantyzm z pychy zatracił sakrament Ołtarza, ale za Lutrem Mszę uważa za bałwochwalstwo”. Sakrament wedle niego stanowi najgłębsze przeżycie z Jezusem, jednak równocześnie ostrzega, by tego „nie przecenić, bo to nie jest sam Jezus. Należy być ironicznym wobec własnych przeżyć”. A już najparadniejszym jest to co Steinbach zarzuca petystom. „Poczytuje im jako zbrodnię forsowanie idei, jakoby głównym zamiarem Bożym było prowadzenie poszczególnych ludzi i troska o dobro ich duszy i pisze, że w chrześcijaństwie zupełnie nie chodzi o zbawienie wieczne.”

W ogóle trzeba przyznać, że Urbach umie trafnie ocenić słabe strony ewangelickich teologów i dosadnie wykazuje braki w ich projektach ratowania protestantyzmu. Wedle niego główne źródło zła leży w protestantyzmie i utożsamieniu ze stanowiskiem protestantyzmu ewangelickiego wyznania. „Doprowadziło to po stronie protestanckiej do wspólnego frontu wszystkich przeciwników Rzymu. Ramię przy ramieniu stanęli jako protestanci: bezbożnicy, panteiści, deiści, teiści, ortodoksi i członkowie Wysokiego Zboru *Hochkirche*, podczas gdy czasy obecne wymagają jasnych wyraźnych pojęć i frontów a co za tym idzie oprzytomnienia i zbadania podstaw”.

„Protestantyzm z natury swojej jest genetycznie i ideowo tak zespolony z bezwzględny indywidualizmem, że ich się rozdzielić nie da”. „Nie jest ani religią, ani wyznaniem, ani światopoglądem lub jego próbą, ale co powiedział cytowany przez Urbacha Macaulay o anglikanizmie, mógł teolog ewangelicki przenieść na protestantyzm, że jest on wiązką najsprzeczniejszych z sobą religii, wyznań, zapatrywań, światopoglądów i monomanii tak, że może wszystko pomieścić od katolicyzmu do nihilizmu. Protestantyzm jest indywidualizmem przeniesionym na teren duchowy, moralny i religijny”. Jest to „ja”, które w człowieku rozstrzyga o losach własnego istnienia wedle wyrażenia Adolpha. Na tym podłożu może się tylko rozwijać autonomiczna, nieoparta na żadnych przesłankach i pozbawiona wszelkiego określonego kierunku wiedza z bezgraniczną wolnością badania, nauczania i tworzenia sobie sądów. Nawet w zakresie religijnym w kościele, jak zaznacza Urbach, protestant słuchający opowieści cudów z Ewangelii, jeżeli jest wolnomyślicielem może wszystko odrzucić jako oszustwo kleru albo dowód głupoty przodków; jeżeli jest naukowo wyszkolony, może usunąć element cudowności a zachować naukę mo-

ralną; jeżeli jest filozofem, może wszystko rozumieć jako alegoryczne symbole; a jeśli jest ortodoksem albo naiwnie wiernym może wywodzić wszystko z mitologicznych zapożyczeń. Przy tym może się uważać i być protestantem. Nie ma istotnie jak stwierdza Urbach ani jednej pozytywnej idei, którą by podzielali wszyscy protestanci.

Nie chcemy poruszać zagadnienia, gdzie kryje się najgłębsze podłoże tego indywidualizmu. Adolph a za nim Urbach upatrują je w mieszczańskiej kulturze, z którą indywidualizm jest nierozdzielnie związany jako jej naturalny wynik. Zdaje się, że prawdziwiej i głębiej ujął to zagadnienie z góra pół wieku temu Szujski w swym szkicu „Odrodzenie i Reformacja“, łącząc indywidualizm religijny z buntem człowieka przeciw Bogu i wysunięciem siebie na plan główny w humanizmie. Jakkolwiek jest, zaprzeczyć się nie da, że indywidualizmu od protestantyzmu odłączyć nie można. „Nie da się protestantyzmu odindywidualizować, dowcipnie pisze Urbach — jak się nie da oddrzewić statuy w drzewie rzeźbionej“. I dlatego „rozkładu protestantyzmu nie da się powstrzymać, jak znowu powiada Urbach, tak samo, jak nie można zapobiec, by ramiona tworzące kąt, nie tworzyły kąta“.

Nazywa to Urbach „tragedią człowieka opartego na samym sobie“. *Die Tragödie des in sich selbst ruhenden Menschen.*

Czy jednak odprotestantyzowanie ewangelickiego wyznania, jakie wysuwa Urbach, wyzwoli je od rozkładowego indywidualizmu na polu religijnym? Czy ono da się przeprowadzić? Czy nie zostanie w dziedzinie pobożnych pragnień?

Ewangelicy usiłują indywidualizm zatrzymać u granic „czystego słowa Bożego“. Ale przecież — jak słusznie podnosi Urbach — Steinbach, który też dąży, by rozkład protestantyzmu uleczyć nawrotem do ewangelii i chrześcijaństwa ewangelicznego, domaga się najpierw, jak jego przeciwnicy, których zwalcza, wydzielenia z ewangelii wszystkiego, co traci bajeczka, np. opowieść o chodzeniu po morzu, przekleństwie figowego drzewa, zaślubinach w Kanie itd. Indywidualizm chce więc leczyć indywidualizmem.

I trudno się temu dziwić. Indywidualizm bowiem jest tak głęboko zrosły z istotą człowieka, daną mu przez Stwórcę, tak płynie jako konieczna emanacja duchowej jego osobowości, jego rozumu i wolnej woli, że żadna władza, czy to wytworzona siłą dziejów, czy powołana przez ludzi nie jest władna, by go ograniczyć w życiu wewnętrznym, w jego sądach, zapatrywaniach i przekonaniach. Władze ludzkie mogą kierować skutecznie czynami zewnętrznymi, zatrzymać się jednak muszą u granic ducha. — Indywidualizm człowieka, wszczepiony mu jako najwyższy dar Stwórcy, zatrzymać się tylko musi jedynie w spotkaniu z Bogiem tam, gdzie Jego rozum objawia stworzeniu, choćby najbardziej niedościgłą dla rozumu ludzkiego prawdę lub swoją najświętszą

wolę. Człowiek musi być przy tym bez zastrzeżeń pewny, że prawda jakaś jest istotnie objawiona i że jej treść tak a nie inaczej rozumieć należy.

To też w Kościele katolickim znajduje człowiek hamulec własnego indywidualizmu i potrzebną pewność w zapewnionej słowami Chrystusa nieomyślności papieża i całego nauczającego kolegium poapostolskiego biskupów w rzeczach wiary i moralności. W tej dziedzinie winien on posłuszeństwo wiary, które jest posłuszeństwem Bogu. Poza tym posłuszeństwem, obowiązuje go posłuszeństwo władzy organizacyjnej w kościele. Ale ono indywidualizmu nie usuwa. Dlatego w sprawach stosunków ziemskich, w sprawach politycznych, społecznych, ekonomicznych, naukowych i innych, o ile nie naruszają objawionego depozytu wiary i dadzą się z nią i zasadami moralności przez Boga wymaganej pogodzić, może katolik mieć swoje zapatrywania. Owszem nawet w dziedzinie zagadnień religijnych pozostaje nietkniętym jego indywidualizm, przynajmniej w życiu wewnętrznym, o ile nie wchodzi w grę prawdy objawione. Dlatego poza dogmatami i ich dogmatycznym, jasno określonym znaczeniem, albo prawdami tak wyraźnie zawartymi w źródłach Objawienia, że co do nich nie może być żadnej wątpliwości, nie ma zagadnienia, co do którego teologowie nie rozchodziliby się w różnych tłumaczeniach i ujęciach. Otóż w protestantyzmie, jakiegokolwiek odłamu, nawet ewangelickim, brak zawsze tej suwerennej władzy, dającej pełną gwarancję nieomyślnej prawdy. Pozostanie zawsze człowiek ze swym rozumem jako jej miernik i gwarant. Zawsze pozostanie mu możność odrzucania kryteriami ludzkimi tego co mu się nie podoba, albo tłumaczenia alegorycznego, czy symbolicznego, według własnych upodobań, choćby się je nazwało oddziaływaniem i inspiracją Ducha Św.

Uczony teolog ewangelicki, chociażby czytał się w Ojców Kościoła i poznał całą katolicką teologię z jej największymi pisarzami choćby poznał wszystkie Sobory, pozostanie zawsze w tym materiale ze swoim rozumem i wolnością sądu, jak długo jest oddzielony od źródła nieomyślności. Będzie zawsze uznawał dane prawdy tylko na mocy swego przekonania, bez niezachwianej pewności, że za nim stoi powaga mówiącego Boga.

Stąd i odprotestantyzowanie ewangelickiego wyznania i uwolnienie go od indywidualizmu w religijnych sprawach pozostanie zawsze w rzędzie utopii.

Urbach kończy swą bez kwestii piękną rozprawę wezwaniem, by ewangeliccy teologowie zbadali „czy Kościół katolicki nie ma zasadniczo słuszności w swej nauce o Ofierze Mszy św.". Przemawia mu za nią cała wiekowa tradycja, nawet u tych, co się oderwali od jedności kościelnej, wyjąwszy tylko protestantów. Tęsknią za nią i inni głębiej myślący ewangeliccy uczeni. Istotnie jest ona największym skarbem chrześcijaństwa, a dla Urbacha

widać, że jest też największą świętością. Tomaszowe: *Adoro te devote latens deitas, quae sub his figuris vere latitas* wywołuje w nim dreszcz uwielbienia i adoracji.

Mimo woli jednak rodzi się pytanie: Jak to możliwe? Czy ziszczenie tego pragnienia da się urzeczywistnić?

Wszak do przemiany istoty chleba i wina w prawdziwe ciało i krew Pana naszego tak, by pod postaciami chleba i wina kryło się rzeczywiście Bóstwo, nie wystarczy wymówienie wyrazów konsekracji, nawet najwierniejsze odtworzenie całej Mszy św., ale konieczna jest władza potęgi twórczej Boga, która spływa na człowieka tylko w ważnych święceniach kapłańskich, a święcenia iść muszą znowu z rąk biskupa, będącego w linii apostoelskiej sukcesji. Człowiek świecki, bez święceń kapłańskich, nie sprowadzi do świątyni tego cudu miłości Bożej a przecież Ewangelicy odrzucili sakrament kapłaństwa i ze sukcesją zerwali!

Oto prawdziwa bolesna tragedia nie tylko protestantyzmu ale i ewangelików, tym boleśnieszka, że i wśród nich wyczuwa się tęsknotę za środkami, jakie Chrystus zostawił na uświęcenie dusz. Dzieje „Wysokiego Kościoła” w Anglii są tej tęsknoty najoczywistszym dowodem. Wprowadzili u siebie mszę, adorację, spowiedź, zakony... wprowadzić tylko nie mogą apostoelskiej sukcesji i ważności święceń kapłańskich. Tym tragiczniejszym jest to szarpanie się jednostek w poszukiwaniu za odnalezieniem drogi i do Boga i do jednej prawdziwej Bożej owczarni.

Ks. Władysław Rejowicz T. I.

NACZELNY REDAKTOR: *KS. EDWARD KOSIBOWICZ T. J.*

Druk ukończono dnia 1 kwietnia 1937 r.

Dynamizm katolicki młodego pokolenia.

*„A jednak nie upadnę wierszem na kolana,
Szepcząc: droga moja — matko miłowana!
Nie położę się w twojej czulej dłoni jak nagle pi-
Nie zasnę w twoich ramionach [skłęta,
Nie zaśpiewasz mnie do snu
Twoim latem, jesienią i wiosną
Jak niemowlęta!*

*Wierszem twardym i niepoetycznym
Zamie śpiew twój czuły i liryczny,
Wykradziony jeziorom i trzcinom,
Wyzebrany topolom i sosnom —
Wołam: wyżej!*

*O, nie matko, przed którą musiałbym uklę-
Ale synu, [nać,
Który musisz wysoko nade mnie wyrosnąć.*

„Ojczyzna-syn“ — Wojciecha Bąka.

Katolicyzm młodego pokolenia polskiego jest rzeczą dziś już bezsporną. Wśród katolików starszego pokolenia budzi on jednak tyleż niemal niepokoju, co i radości. Jest jakaś inna: jednym wydaje się prymitywna, nawet powierzchowna, innym głęboka ale niezupełnie ortodoksyjna, jedni widzą w niej elementy czysto osobistej wiary i brak konsekwencji społecznych, inni przeciwnie uważają ją za objaw politycznych dążeń.

Przedstawiciele młodego pokolenia nie rozumieją znowu tych wątpliwości. Ich pojmowanie religii wydaje się im tak naturalne, że nie tłumaczą źródeł odrębności swego stosunku do spraw wiecznych.

Toteż zdaje mi się, że próba oświecenia źródeł renesansu katolicyzmu w młodym pokoleniu jest potrzebna i pożyteczna. Próba taka z konieczności nie może być całkowita ani wyczerpująca. Aby spełniła swe zadanie, musi posiadać jedną cechę — musi być zupełnie szczerą. Dlatego uwagi poniższe nie będą ani apologią młodego pokolenia

ani jego krytyką, będą raczej próbą przekroju psychologicznego.

Prawidła rozumowania ludzkiego, prawidła logiki są w każdym pokoleniu te same. Natomiast zupełnie różne mogą być podstawy wyobraźni. Wyobraźnia przesądza o programach a kształtuje się na podstawie elementów widzianych. Toteż wielkość różnic psychicznych między pokoleniami polega na różnicach elementów wyobraźni, na różnicach obrazów najwcześniejszych i najtrwalszych. Jeżeli te pierwsze, kształtujące wyobraźnię obrazy są zupełnie różne, wówczas następuje zjawisko „braku wspólnego języka“.

Czy między pokoleniem starszym a młodszym w Polsce różnice te są wielkie? Jaki one mają wpływ na wyobraźnię? Zamiast długich wywodów pozwolę sobie sięgnąć do pewnego, drobnego, dziecinnego wspomnienia:

Bawiłem się mając może ze sześć lat na wsi w ogrodzie. Matka zawołała mię na obiad. Zostawiłem w ogrodzie zabawki, ale odchodząc przeżegnałem je krzyżem w powietrzu. Matka była zdziwiona, a ja wyjaśniłem — „...Żeby podczas obiadu nie przyszli Niemcy albo Moskałe i nie zabrali ich“. Później matka mówiła mi, że nie tyle uderzyła ją moja pobożność, ile motywacja potrzeby opieki Boskiej nad zabawkami.

I istotnie, kiedy moja matka była dzieckiem, wystarczyło sprawdzić, czy furtka zamknięta i płot cały, czy się złodziej nie dostanie i można było zabawki zostawić spokojnie. Za jej czasów zabawka latami kosztowała tyle samo rubli i kopiejek, a rodzice mogli z góry układać ile za rok wydadzą na prezenty dla dzieci. Największą świętością dziecka była wówczas pokazywana mu rzadko książeczka oszczędnościowa w Banku Państwa, na jego imię.

Za naszego dzieciństwa do ogródka z zabawkami mógł wejść w każdej godzinie oddział rosyjski, niemiecki, węgierski, syberyjski, legionowy, bawarski, bolszewicki i potrzeba było aż opieki Opatrzności, aby ochronić zabawki napewno. Ta sama zabawka dziś kosztowała rubla, jutro pół miliona marek, dziesięć koron, sto czerwoniców, a pojutrze nie można było jej w ogóle dostać. Książeczka oszczędnościowa straciła wszelki sens, a niewiadomo było nawet, czy jutro będzie chleb.

Słowa Modlitwy Pańskiej były dla nas bliskie i zrozumiałe.

Poprzednie pokolenia kształtowały swą wyobraźnię w świecie pewników materialistycznych. Świat ich dzieciństwa był odgrodzony od rzeczy nieprzewidzianych i niezmysłowych mocnym rusztowaniem ustroju myślenia i gospodarowania. Zdawało się, że rusztowanie to jest ze stali — kiedy powiał wiew wielkich przemian, okazało się, że była to tylko pajęczyna. Poprzez to rusztowanie głos wieczności odzywał się rzadko, chyba tylko w chwilach śmierci. Kościół był także instytucją znormalizowaną — budynkiem, gdzie zawierano uroczyscie akta stanu cywilnego, księża byli jakby notariuszami wieczności. Ludziom ówczesnym wydawał się świat czymś bardzo automatycznym, wymiernym i pewnie utrzymanym przez umysł ludzki w garści.

Nasz świat był zgoła inny. Nasz — nie znaczy tylko mego bezpośredniego pokolenia ale i tych wszystkich, które zaczynają rozumować aż po dziś dzień. Nasz świat był zupełnie nie automatyczny. Chodziły po nim wielkie masy deptając indywidualne istnienia. Nie było w nim rzeczy niemożliwych. Stałość państw okazała się złudzeniem. Tak samo stałość stosunków gospodarczych, społecznych, politycznych. Czyż może wierzyć w automatyzm gospodarczy pokolenie, które dziecinnymi oczyma oglądało powstanie eksperymentu komunistycznego, gospodarki wojennej, dewaluacji? Czyż może nie wierzyć w potęgę woli przekształcającej świat, jeżeli było świadkiem powstania Polski, roku 1920, przewrotu bolszewickiego, marszu czarnych koszul na Rzym? Czym może wierzyć w trwałość materialnych warunków, gdy kryzys gospodarczy jest dla niego stanem normalnym?

W naszych czasach, jak może nigdy, zostało naocześnie okazane, że świat jest przemijający. I przez kontrast tym potężniej ukazały się oczom ludzi współczesnych Słowa, które nie przemina.

Dla naszego pokolenia rzeczą naturalną jest, że małą wartość mają wszelkie dobra doczesne, nawet życie ludzkie, że natomiast wielką wartość ma to, za co ludzie umierają milionami: idea, sprawiedliwość, naród, prawda.

Z tego wynikają cechy wspólne młodemu pokoleniu wszystkich niemal narodów europejskich: woluntaryzm (wiara w możliwość przekształcenia świata drogą zorganizowanego wysiłku ludzkiego), idealizm (wiara w trwałość i wyższość rzeczy niezmysłowych nad materialnymi, dążenie do oparcia życia o prawdy bezwzględne) i irrewerencja (brak szacunku dla instytucji tradycyjnych, dla doświadczenia, wieku, dorobku cywilizacyjnego). Te cechy są wspólne młodszemu pokoleniu europejskim, w Polsce występują może szczególnie silnie. One sprawiają, że nie mogliśmy zostać ewolucjonistami, ani konserwatystami, ani też konsekwentnymi materialistami. Ale nie przesądzały one wcale o tym, żebyśmy musieli zostać katolikami.

Z tych samych przecież cech wywodzi się ateistyczna religia rosyjskich komsomolców — religia dialektycznego pseudo-materializmu. Ich idealizmem jest wiara w abstrakcyjną i wszechmocną, uspołecznioną materię, ich woluntaryzmem jest „socjalistyczna budowa“, ich irrewerencją jest „światowy paździenik“. Z tych samych cech wywodzi się niemiecki kult *Rassenseele*. Idealizmem nacjonal-socjalistów jest mīt ducha rasy, woluntaryzmem budowa Trzeciej Rzeszy, irrewerencją zerwanie z całym dorobkiem cywilizacji chrześcijańskiej.

Moglibyśmy bezwzględnej prawdy szukać w komunizmie, czy rasizmie, a jednak stało się inaczej.

Wielu ludzi sądzi, że sprawiła to tradycja domowa, wychowanie katolickie. Jest to sąd, moim zdaniem, niesłuszny. Pokolenie nasze jest pokoleniem konwertytów. Powiedzieć, że otrzymaliśmy wychowanie katolickie, jest co najmniej przesadą. Katolickość panowała w poprzednim pokoleniu tylko w rodzinach chłopskich i częściowo drobnomieszczańskich. A jednak właśnie młode pokolenie chłopskie jest najmniej religijną częścią młodego pokolenia, a jeżeli powraca do wiary to pod wpływem inteligencji, nie domu rodzinnego. W warstwie inteligenckiej, a tu zaczęło się odrodzenie religijne, nie było religii w większości rodzin. Owszem poszczono w piątki (bo to higieniczne), uczono dzieci pacierza, pozwalano, że szkoła prowadziła je do kościoła i przygotowywała do Sakramentów. Natomiast wychowaw-

cam i tego pokolenia konwertytów nie byli ani wierzący i praktykujący rodzice, ani wierzący i praktykujący nauczyciele.¹⁾ Rodzice i nauczyciele przeważnie nie uważali za złe, że się dzieci uczą katechizmu i pacierza, ale uważali, że naturalne, że te dzieci po tym tracą wiarę i niewielu było takich, którzy by usiłowali im tę wiarę przywrócić. Przeciwnie w młodszym pokoleniu stało się rzeczą pospolitą, że dzieci, nie tracąc wiary jeszcze nawracały niewierzących rodziców. Słowem w pokoleniu poprzednim niewielu było bojowego ateizmu, ale jeszcze mniej prawdziwej wiary.

Czy głównym źródłem odrodzenia religijnego młodego pokolenia był jego nacjonalizm?

Pytanie to bardzo trudne. Nacjonalizm, jaki przenikał po wojnie do młodego pokolenia, nacjonalizm starszych, był niechrześcijański. Kiedy wstąpiłem na uniwersytet, najsilniejszą w gruncie rzeczy i najbardziej zwartą organizacją akademicką był związek korporacji. Jego deklaracja ideowa zaczynała się od słów: „Dobro narodu i państwa jest najwyższym celem korporanta, miarą wartości moralnych i drogowskazem postępowania”. To był wyraz ówczesnej ideologii narodowej. Do tej ideologii nasze pokolenie wniosło zmiany, zburzyło jej „najwyższy cel” i jej „miarę wartości moralnych”. Katolicyzm mieliśmy już wtedy w sobie.

Bo odrodzenie religijne nie zaczęło się w młodym pokoleniu od polityki. Programowe deklaracje niechrześcijańskie trwały jeszcze długo, wtedy nawet, gdy ich zwolennicy przystępowali masowo do Sakramentów świętych. Tłumy wypełniały kościół akademicki w Warszawie na rekolekcjach ks. Szwejnica, a te same tłumy należały do O. W. P., którego deklaracja głosiła „religia katolicka, jako religia większości narodu...”. Odrodzenie religijne młodego pokolenia objawiło się najpóźniej w dziedzinie poglądów społecznych i to właśnie dowodzi, że nie jest to odrodzenie powierzchowne ani koniunkturalne. Szło ono z dołu do góry, nie naodwrot. Że nie miało cech politycznych, tego

¹⁾ Roli nawracających nie odgrywali także w szerszej mierze prefekci. Niesłyszane formalistyczne postawienie w szkole nauki religii, jako jednego z „przedmiotów”, a także często niestety brak ducha apostołskiego wśród prefektów, sprawiły, że rola ich była raczej nijaka.

dowodzi nieprzypadkowy zbieg faktów: odrodzenie religijności, masowe rekolekcje, powstanie „Juventus Christiana“, „Pomocy Bliźniemu“, chórów akademickich, rozwój sodalicyj, zbiega się pod względem czasu z zupełnym upadkiem wpływów dwóch politycznie i społecznie katolickich organizacji akademickich — „Odrodzenia“ i „Katolickiej Młodzieży Narodowej“. Oczywiście nacjonalizm mimo wszystko zbliżył nas do religii — raz przez swoje antymaterialistyczne stanowisko, a powtórę przez swoją życzliwość do Kościoła, która nas skłaniała do dalej idących wniosków.

Wylczyłem tu powyżej różne czynniki, które sprzyjały odrodzeniu katolicyzmu w młodym pokoleniu — nie wskazałem żadnego, który by je musiał spowodować.

Po głębszym zastanowieniu, dochodzę do przekonania, że nie umiem takiego czynnika wskazać. I nie wiem, czy ktokolwiek potrafi znaleźć taki czynnik doczesny.

Společne skutki wiary nie przyszły dla myślącej części młodego pokolenia narodowego ani łatwo ani szybko. Kosztowały je wiele konfliktów i wątpliwości. Początkowo byliśmy jednocześnie i niezależnie katolikami i nacjonalistami. To instynktowe ale nieprzemyślane połączenie kryło w sobie nieunikniony fałsz. Ujawniał on się w pytaniu: Co jest najwyższym celem człowieka? Zbawienie czy dobro narodu?

Próby rozwiązania tego zagadnienia były różne. Nie brakło i bardzo karkołomnych. Usiłowano dokonać czegoś w rodzaju rozdziału religii od narodu, ustalając, że najwyższym celem ziemskim jest naród, a wiecznym Bóg. Dusza człowieka jednak nie da się, jak to próbowali moderniści, podzielić na części. Nie ma *homo catholicus* i *homo civilis*, jest tylko *homo*. Nie można mieć dwóch etyk. Dziewiętnastowieczna formuła, że religia jest sprawą prywatną człowieka, nie wystarcza ludziom nowoczesnym, którzy dążą do oparcia życia na prawdzie bezwzględnej, pełnej i jednej. Chrześcijaństwo jest totalne. Każda sprawa społeczna nadaje się do oceny moralnej, a zatem w każdej ma coś do powiedzenia religia, jeśli nie bezpośrednio, to pośrednio. Toteż takie rozwiązanie utrzymać się nie mogło. W pewnym momencie w pewnych kołach narodowych pojawiła się jeszcze inna

próba syntezy. Znajdując inspirację w pismach kard. Newmana, twierdzono, że naród jest duchem, jakby rodzajem anioła. Doktryna ta, która na szczęście nie znalazła zwolenników, w konsekwencji doprowadzićby musiała do „kościół narodowego”. Koncepcja kościoła narodowego nie miała jednakże nigdy powodzenia w młodym pokoleniu — zbyt silne w nim było poczucie, że prawda jest jedna, niezależna od epoki i środowiska.

Wszystkie te wątpliwości i konflikty zakończyły się wyraźnym zwycięstwem chrześcijaństwa. Zasada, że Bóg, a nie naród jest najwyższym celem człowieka i miarą wartości moralnych, sformułowana w tak wyraźnej postaci po raz pierwszy w książce B. Piaseckiego *Duch czasów nowych a ruch młodych*, zwyciężyła w całym młodym pokoleniu narodowym. (Rzecz charakterystyczna, że w tym samym czasie, gdy koncepcję narodu jako celu najwyższego odrzucili narodowcy, znalazła się grupa ludzi, która ją podjęła — prawnica „Legionu Młodych”).

A czym jest naród? Naród jest — odpowiedziała myśl programowa młodych — środkiem do tego celu najwyższego, jedną z dróg wiodących człowieka współczesnego do Boga. Naród jest wspólnotą duchową, żyje tylko w ludziach, nie poza ludźmi. Sensem istnienia narodu jest odrębność psychiczna jego członków, im tylko właściwy typ życia duchowego. Każdy naród jest potrzebny w planie świata i obowiązkiem człowieka jest żyć życiem narodu i pracować dla jego dobra. Państwo z kolei jest narzędziem dążeń dziejowych narodu, jemu zaś podporządkowane być muszą cele materialne jednostek — życie gospodarcze.

Takie postawienie sprawy odpowiada podstawowemu dążeniu współczesnego człowieka — dążeniu do oparcia życia na jednej bezwzględnej zasadzie. Daje ono poglądom katolickim młodego pokolenia ogromną dynamikę — wewnętrzną w sprawach społecznych i zewnętrzną w chęci szerzenia prawd katolickich poprzez naród i jego państwo na inne narody.

Dynamika ta w skutkach może być ogromna, ale stawia wielkie zadania przed duchowieństwem katolickim w Polsce.

Byłoby krótkowzrocznością twierdzić, że w tak monistycznym i dynamicznym stanowisku, w ruchu złożonym z elementów i społecznie i pod względem wieku świeżych, nie kryje się żadna możliwość zboczeń ani, używając mocnego słowa, herezji. Człowiek współczesny nie może przechodzić w swojej działalności społecznej obojętnie obok problemów religijnych, bo obchodzą go one zbyt bezpośrednio. Każdemu człowiekowi myślącemu o sprawach teologicznych (w szerokim tego słowa znaczeniu) grozi popadnięcie w błąd.

Jeden tylko gatunek ludzi daje gwarancję, że nigdy nie popadnie w herezję — to ci, których sprawy metafizyczne nic nie obchodzą, ci paszportowi katolicy, którzy nie wierząc w Boga „uznają społeczne walory” Kościoła, którzy „szanują religię jako tradycję przodków”, a którym jest zupełnie obojętna prawda; ci którzy wczoraj byli liberałami, dziś są katolikami, jutro mogą być rasistami czy marksistami — zależnie od „racji stanu”; ci którzy nie są ani zimni ani gorący. Ludziom wierzącym zawsze grozi błędzenie i dlatego jest ustanowiona misja nauczycielska Kościoła.

Młode pokolenie stając na gruncie katolickim, tym samym uznało autorytet Kościoła w rzeczach wiary. Przed Kościołem w Polsce nie stają już ruchy umysłowe wymagające potępienia lub tolerancji — stają ruchy umysłowe wymagające kontroli i współtwórczości. Przynoszą ze sobą nowe zagadnienia, jak choćby zagadnienie narodu, nie mieszczące się w pojęciu tomaszowej *civitas*. Przed Kościołem w Polsce staje okres wielkich intelektualnych zadań i wielkiej odpowiedzialności za życie duchowe narodu.

Dr Wojciech Wasiutyński.

Postawa duchowa Szczuckiej w „Krzyżowcach“¹⁾

Do zamierzchłej już dzisiaj przeszłości należą w humanistyce te czasy, kiedy to wieki średnie nazywano epoką ciemnoty i barbarzyństwa. Rozwój wspaniały neo-scholastyki na Zachodzie, wzmożone zainteresowanie królem poetów średniowiecznych Dantem, wysunięcie na czołowe miejsce w rozwoju ludzkości nie tylko architektury, ale nawet i niedocenianej dotąd rzeźby średniowiecznej — jak to bogato unaocznia chociażby monumentalna historia sztuki Hamanna — oto przynajmniej niektóre objawy tego renesansu średniowiecza, który musiał znaleźć odbicie nie tylko w historiografii, ale i w powieści historycznej osiągając swój najpełniejszy wyraz w dziełach Sygrydy Undset. Moda ta, acz nieco spóźniona nie ominęła i Polski znajdując podatny teren na polu beletrystyki powojennej — dość wymienić *Ducisę Kunegundis* Wasylewskiego znamienną jeszcze raczej snobistycznym zainteresowaniem mediowistycznym tematem aniżeli odczuciem epoki, ujętej w ironiczno-anegdociarskim tonie, czy też *Nad jeziorem* Powalskiego, najlepsze może dzięki historycznej gruntowności powieściowe studium, lub wspaniałą, stylizowaną wizję przełamującego się w humanizm średniowiecza w *Żywych kamieniach* Berenta, *Legnickie pole* Szczuckiej i *Czerwone farcze* Iwaszkiewicza. Ostatnio wreszcie

¹⁾ W ostatnim numerze *Przeglądu P.* podaliśmy pracę p. T. Parnickiego o „Krzyżowcach“. Z kolei zamieszczamy inny głos historyka, który nowe porusza problemy i z innego punktu widzenia ocenia to tak dziś głośne i dyskutowane dzieło. *Redakcja.*

przybyła najobszerniejsza, bo 4-tomowa powieść Szczuckiej: *Krzyżowcy* oraz będący w pewnej mierze ich kontynuacją *Król trędowaty*.

Każdy kult przeszłości kryje w sobie niebezpieczeństwo pewnej idealizującej egzaltacji, dążenie do wywyższenia minionej formy, jako utraconego raju, ponad inną, późniejszą, stąd też nie brak było głosów, które w nawrocie do nowego średniowiecza upatrywały ratunek dla przechodzącej wielki kryzys, nie tylko gospodarczy, ale i kulturalny Europy. Głosy te zresztą nie były tak całkiem nieuzasadnione; wszak średniowiecze przywykliśmy uważać za okres najpełniejszej realizacji, zarówno w życiu jednostkowym, jak i społecznym ideologii chrześcijańskiej, epokę w której omal, że już nie zatriumfowała, raz zresztą jak dotąd jedyny w dziejach, *Civitas Christiana*. Średniowiecze przecież zdobyło się na tego rodzaju bohaterskie wysiłki, jak trwające prawie 3 wieki wyprawy krzyżowe, będące cudownym pomnikiem chrześcijańskiej wspólnoty i w pewnej przynajmniej mierze zrealizowało na darmo dzisiaj w postaci rozmaitych Pan-Europ tłące się marzenia o jedności duchowej Zachodniej Europy.

Powyższy pogląd krył w sobie doniosłe historiozoficzne konsekwencje, które skoro zostały uświadomione, musiały wywołać pewne zastrzeżenia. Konstrukcja, która uważała średniowiecze za szczyt, a następne czasy za spadek, za dekadencję, zadawała cios idei postępu i nie wolną była od pewnego pesymistycznego posmaku. Nic dziwnego więc, że i ze strony katolickiej zaczęto odnosić się do średniowiecza w sposób bardziej realistyczny, wykazując, że mimo swoich wielu cennych i zgola nieprzedawnionych wartości, nie było ono jednak tym okresem, który by można w zupełności identyfikować z wcieleniem chrystianizmu najdoskonalszym, że jego młodszość cywilizacyjna nawet i w dziedzinie religijno-moralnej wycisnęła na nim swoiste a niezawsze dodatnie znamiona, że w tej epoce ogromnych kontrastów nie brakowało obok światła też i ponurych cieni, że na koniec średnie wieki nie mogą być uważane za okres wyodrębniony, tworzący zamkniętą całość, gdyż w głębi ich zdawna czaiły się prądy, które, acz podziemne w początkach, wy-

tworzyły potem nowy, zgola odmienny typ życia, mający w czasach nowożytnych zapanować. Niezmiernie znamienne było pod tym względem wystąpienie jednego z najwybitniejszych niewątpliwie katolickich filozofów Maritain'a, który w swojej rozprawie: „O nową cywilizację chrześcijańską“ nie tylko przestrzegał przed wiązaniem chrześcijaństwa z jakąś jedną określoną formą dziejową, ale także usiłował wykazać, jakie nowe a nieuwzględnione przez średniowiecze zadania stoją przed dzisiejszym człowiekiem w dziedzinie twórczości katolickiej. Na kilka zaś lat przed tym — o czym się jeszcze szerzej powie — uczony teolog dominikański Stratmann, przypuścił w imię pacyfistycznej dialektyki atak na tak organicznie z duchem wieków średnich związane zjawisko — jak krucjaty.

II.

Już w *Legnickich polach* potrafiła Szczucka o motyw krucjatyeczny kreślić śliczną postać księcia Henryka pierwszego polskiego krzyżowca. Chociaż walka z Tatarami nosi tutaj charakter defensywny nie stanowi to jednak istotnej między kampanią lignicką a krucjatami różnicy. Tu i tam to samo gorące rozmiłowanie w obronie krzyża, pojmowanie rycerstwa jako misji najszczytniejszej. Ale ukazawszy nam te perspektywy autorka nie roztoczyła ich bliżej przed naszymi oczyma i zarysowana niespodzianie pod koniec akcja rychło się urywa, śmiercią Henryka Pobożnego. O krucjaty potrafił nieco później w swoich *Czerwonych tarczach* również Iwaszkiewicz, potrafił niechętnie, ujmując je raczej pod kątem widzenia tego rozkładu, jakiemu ulegało na Wschodzie feudalne rycerstwo i nie szczędząc w opisie tych ujemnych objawów, jakie ówczesne wojny musiały obudzać w duszach, ale samą problematyką wojen krzyżowych się nie zajął, pozostawiając ją jak gdyby na marginesie. Zagadnienie to podjęła dopiero, i to na wielką skalę, Szczucka w swojej ostatniej powieści.

Przed autorką stawała do rozpatrzenia zawiła i subtelna dialektyka krucjat. Czy wojny krzyżowe były dziełem nie tylko ludzkim, ale i Bożym, bo przecież nie ulega wą-

pliwości, że te przeolbrzymie masy popłynęły nade wszystko na głos Chrystusowego Namiestnika — a jeśli tak to jak wytłumaczyć ten cały ogrom bezceństw, do którego odmalowania nie szczędziła pisarka jak najciemniejszych kolorów — bezceństw, które się w nierozzerwany sposób sprzęgły z losami krucjaty, towarzysząc im jakby jakaś przekłeta konieczność? A skoro odrzucilibyśmy założenie, że tu z głosem Bożym mieliśmy do czynienia i popatrzylibyśmy na ten dziejowy ruch jako na polityczne dzieło Kościoła — Kościoła występującego w doczesnej jeno formie, w swojej historycznej, czasowej postaci, Kościoła, który podjął tylko wtórną i zastępczą, nie wynikającą bezpośrednio ze swego nadprzyrodzonego posłannictwa funkcję wychowawcy i kierownika zachodnio-europejskiego społeczeństwa, to wtedy powstałoby przed nami zapytanie, w jaki sposób mamy te jego wysiłki zwartościować, i czy my ludzie dzisiejsi mamy dostateczną skalę ocen, która by nas mogła uprawnić do wydawania sądu o tym tak dziwnym, tak ogromnym i tak jedynym w swoim rodzaju dziejowym procesie.

Wszyscy się na to zgadzają, że krucjaty miały swój cel pierwszorzędny nawskroś religijny, jakim była obrona chrześcijaństwa przed zakusami niewiernych i odzyskanie sprofanowanej świętości: Grobu Zbawicielowego. Kościół wzywając wiernych do ich podjęcia wypełniał sobie właściwą, najistotniejszą misję. I chociaż sprawa ta nie podpadała bezpośrednio pod jego najwyższe uprawnienia, jako nieomylnego tłumacza norm wiary i moralności, gdyż ani pierwszego ani drugiego zagadnienia nie dotyczyła, to jednak w pewnym sensie należała ona do tych dzieł, które Kościół wykonywał pod kierownictwem Ducha Świętego. Czy jednak wszystkie środki i sposoby, jakie podejmowali kierownicy Kościoła — kierując się w tym względzie ludzką roztropnością — były najwłaściwsze, to sprawa inna, podlegająca w ostatecznej instancji wyrokowi historii. Samo organizowanie i przeprowadzanie krucjat nie leżało z pewnością w zakresie bezpośrednich zadań Kościoła, który o ile pracę powyższą podejmował, wykonywał ją jako władca doczesnego państwa i jako dobrowolnie uznany w danym czasie przez społeczeństwa chrześcijańskie autorytet polityczny. Stąd też

różnorodne są o tej działalności Kościoła sądy, w zależności od tego, czy się tę wtórną, zastępczą niejako robotę Kościoła, uważa za pożądaną, czy też nie. Zresztą rola Kościoła polegała głównie na tym, że Kościół wskazywał kierunek, praktyczna zaś przedsięwzięcia realizacja zależała — z natury rzeczy — już od samego świeckiego społeczeństwa, miała być próbą nie tyle ówczesnego Kościoła ile raczej ówczesnego katolicyzmu. Od niego zależało, czy ten egzamin dojrzałości duchowej wypadnie lepiej, czy gorzej. Żeby tu posłużyć się pewną analogią, możemy wskazać, że i teraz Kościół stawia wiernym zasady nowego sprawiedliwego ustroju społecznego przed oczyma, lecz ich konkretyzację stosownie do potrzeb, miejsca i czasu pozostawia do urzeczywistnienia poszczególnym społeczeństwom. Ale chociaż realizacja wypraw krzyżowych pozostawała w ścisłej zależności od poziomu moralnego ludów europejskich i ulegała nadto niebezpiecznemu oddziaływaniu nowych czynników (rozkładowy wpływ Wschodu, atmosfera wojennej pożogi itp.), to jednak osądzając z całym krytycyzmem jej braki i niedomagania, winniśmy przecież zgodnie z naszym zmysłem katolickim przypuścić, że ostateczny ich wynik musiał być niewątpliwie dodatni, i że dotychczasowa gloryfikująca tendencja, która się utrzymywała od średniowiecza po *Jerozolimę wyzwoloną* Tassa była wprawdzie nie ze wszystkim zgodna z historyczną rzeczywistością, ale niemniej odpowiadała ona dobrze zasadniczej postawie katolickiej duszy, która w krucjatach widziała swoje jasne a nie ciemne karty.

III.

Te uwagi wydawały nam się koniecznymi, z chwilą, kiedy mamy przystąpić do najważniejszego naszego problemu: rozważenia *Krzyżowców* jako powieści katolickiej. Krytyka z małymi wyjątkami takim właśnie epitetem obdarzyła to dzieło, aczkolwiek przedstawienie krucjat przez Szczucką mogło i powinno było nasunąć rozliczne wątpliwości. „Autorka — jak to kapitalnie określił Julian Krzyżanowski — zgodnie z tendencjami panującymi w powieści historycznej zwłaszcza niemieckiej i rosyjskiej, zdecydo-

wała się dać historię w szlafroku, odbarwioną z blasku legendy „prawdę“ kronikarską¹⁾. I nie o to nam idzie, że w powieści Szczucka starała się uniknąć jednostronnej idealizacji, w jaką dotychczas wpadali piewcy krucjat, czy apologetci, ale o to, że sugerując czytelnikowi, iż stara się tylko odtworzyć zgodnie ze źródłami obraz wojen krzyżowych, zajęła przy tym stanowisko, które właśnie z punktu widzenia powieści, i to powieści katolickiej, budzić musi poważne zastrzeżenia.

Z pewną pasją zastosowała Szczucka w swej powieści odbronzowującą metodę, doszukując się nawet w najbardziej górnych wzlotach, towarzyszących im objawów wtórnych, wypływających z nizin cielesności, śledząc rozkładanie się ducha pod wpływem nowych warunków, akcentując dobitnie narowy mentalności feudalnej, która jak ciężka zmora zawisła nad rycerstwem.

Szczucka w *Krzyżowcach* odbiega od tej postawy duchowej, która się zwyczajnie zaznacza u twórców epopei. Ten świat który autorka opisuje nie jest dla niej utraconą wartością czy drogim wspomnieniem, lub choćby tylko głębokim przeżyciem — ona co więcej naprawdę nie solidaryzuje się ze stworzonym przez siebie obrazem, ale zajmuje wobec niego ustawicznie pozycję historyka krytyka. I tu już w zarodku kryje się przyczyna tego dysonansu, który takie ujęcie musi rodzić w duszy czytelnika nastawionego na powieść epicką w pełnym tego słowa znaczeniu. Nie sposób się oprzeć wrażeniu, że autorka zamiast tłumaczyć nam ludzi i uprzystępniać ich dusze²⁾ dokonywała jakby sądu nad przeszłością i to sądu z punktu widzenia teraźniejszości, odsłaniając z premedytacją te właśnie ukryte słabości, które

¹⁾ *Pion*, 6. VI. 1936.

²⁾ Zestawiając *Krystynę córkę Lawranca* z powieścią Szczuckiej zauważa p. Morstin-Górska, że w *Krzyżowcach* „poszczególne postacie nie posiadają równej głębi psychologicznej, są mniej złożone bardziej schematyczne. Nie wnikamy we wszystkie tajniki ich duszy, ale jedynie w te, które mają znaczenie dla sprawy“. (*Verbum* 1936. III). Bardzo słusznie, z wyjątkiem ostatniej uwagi. Czy naprawdę przeżycia występujących bohaterów są dla krucjat reprezentatywne? Zdaje nam się, że nie bardzo dałaby się ta teza uzasadnić.

przesłonięte oparami średniowiecznej obyczajowości uchodzący oczom ówczesnego widza, by teraz zostać „nakrytymi” przez wnikliwy krytycyzm badacza. Wydaje się jakby cały szereg scen był dobierany a nawet komponowany pod tym kątem widzenia, jako ilustracja do podjętego w ten sposób założenia, tak, że w rezultacie, te ciągłe usiłowania techniki, już to na gwałt inscenizującej historię, już to dramatyzującej jakieś szczegóły obyczajowe, lub układającej *ad hoc* sceny zbiorowe, zaczynają nas nużyć.

Nawet tam, gdzie autorka wyswabadza się z niewolniczej zależności od źródeł i przekształca rzeczywistość, czyni to właśnie w myśl odbronzowujących założeń jakby powieść służyć miała do uplastycznienia rewizjonistycznej tezy, zamiast postarać się o stworzenie własnej wizji, dostępnej jedynie intuicji artystycznej. * Otóż rewizjonizm ma swoją dobrą rację bytu zarówno w historii jak i w literaturze, ale razi nas w powieści, o ile pretenduje ona do tego, aby była czymś więcej niż uobrazowaną historią, razi jako zbyt łatwa próba spopularyzowania i zaktualizowania historio-graficznych nowości. Przecież celem powieści jest dawać nie zewnętrzną prawdę historii, ale inną głębszą prawdę sztuki. I gdybyż to widzenie autorki otwarło nowe perspektywy dziejowe, tak jak to możemy zaobserwować u wielkich twórców powieści! Tutaj rzecz się ma zupełnie przeciwnie; pewien kierunek historyczny narzuca swój punkt widzenia artystce, rezultatem czego jest brak dostatecznego szarmonizowania konstrukcji, w której kłóci się wewnętrzne poczucie autorki z narzuconą wbrew niemu sugestią źródeł.

Nie bez przyczyny wspominamy tutaj o sugestii źródeł. Trzymanie się dokładne dokumentów nie jest jeszcze równoznaczne ze ścisłością historyczną. I nie oto tylko chodzi, że źródła z epoki krucjat musiały ze szczególną wrażliwością notować ujemne przejawy jako, że te zgrzytliwym rodźwieniem odbijały od pierwszych, idealistycznych zapędów, lecz o to, że dokumenty podają tylko fakty. Ustalanie ich należy wprowadzić do podstawowych, choć wcale nie najwyższych i nie najważniejszych, funkcji dziejopisa, ale to co się poprzez nie widzi, jest już zagadnieniem zupełnie innego rzędu i w tym

sensie mówi się o historii, że jest nie tylko nauką (w pozytywistycznym znaczeniu tego słowa), ale i sztuką. Tymczasem Szczucka nie tylko nie zmierza do wzniesienia się ponad źródła, ale troskliwie zaznacza swoją z nimi zgodność, podejmując zaś śmiały zamiar wydania sądu o istocie i wartości krucjat, chwyta się najprostszej, ale bynajmniej nie najskuteczniejszej drogi, jaką jest pójście za chronologicznym wątkiem historii i skoncentrowanie swoich zainteresowań na wątpliwej wartości elicie, jaką stanowili feudalni przywódcy krucjaty.¹⁾

Czujemy się w obowiązku wyjaśnić nieco dokładniej, dlaczego zaczepiamy to nastawienie, które nazwaliśmy dokonaniem sądu nad przeszłością. Znowu, rzecz jasna nie dlatego, aby autor miał w stosunku do przedstawionej rzeczywistości zachowywać jakiś mityczny obiektywizm i powstrzymywać się od wszelakich prób wartościowania. Tego rodzaju złudzenia pozostawiamy doktrynerom z okresu pozytywistycznego.

Ale są różne sposoby sądzenia i gatunek uprawiany w *Krzyżowcach* nie należy do najsympatyczniejszych. Szczucka nie szczędząc najciemniejszych barw dla odmalowania swoich nie tylko ludzkich, ale i arcyłudzkich bohaterów, nie rzuca na nich kamieniem potępienia — wręcz przeciwnie — zdobywa się na jakąś zdumiewającą pobłażliwość, na jakieś wszystko darowujące przebaczenie. Lecz ten kto przebacza jeszcze tym samym nie stanął na płaszczyźnie najwyższej; o tym decyduje zagadnienie jak przebacza i dlaczego przebacza. Są takie rodzaje przebaczenia, które poniżają, które zachwiewają w nas ustaloną hierarchię wartości. Jest w *Krzyżowcach* przebaczenie aktem wyższości nad młodością i barbarzyństwem tamtego — tak dalekiego dziś nam świata, jest przebaczeniem nie tyle dlatego, że w duszy ludzkiej tak dziwnie są poplątane światła i cienie, ale że więcej od tak nędznego tworu jakim jest człowiek niepodobna wy-

¹⁾ Julian Krzyżanowski pisze w swojej recenzji: „Zadanie swe autorka bardzo sobie upraszcza, obierając niesłychanie prymitywną formę powieściową, tę formę, którą w epice znamy z *Iliady*, a więc opowiadanie o strukturze otwartej, złożonej z kronikarskiego łańcucha wydarzeń“.

magać. Ufajone tu są dwie przesłanki, dwa stanowiska. Raz występuje autorka jakoby w roli Najwyższego Sędziego, bo tylko ten ma prawo do takiego stanowiska, po wtóre przesądza tutaj z góry zagadnienie rozwoju ludzkości w sensie ideologii postępu, uważając, że ten ciemny obraz zacołanie dziejowe w dużej mierze tłumaczy. Ale co nas najboleśniej razi, to ten fakt, że autorka swoje odczucie podaje za głos historii, że wierzy w to, że rzeczywiście przejrzała to ogromne zjawisko dziejowe na wylot, daleka od przyznania, że jest w tym świecie coś niepojętego, coś nieznanego „mędrca oku i szkiełku“, jakieś *irreductibile quid*, którego tajemnicy żadne wertowanie źródeł najpracowitszemu nawet archiwście nie zdradzi. Rozpatrując problematykę powieści historycznej pod tym kątem widzenia, warto przypomnieć tę osobliwą stylizację wprowadzoną w kilku miejscach do *Krzyżaków* przez Sienkiewicza, (pogrzeb Danuśki, śmierć Zygryda), stylizację pozornie kontrastującą z realistyczną ekspresją dzieła, a jednak genialnie zastosowaną, bo wyrażającą pewien dystans, świadomość jakiejś głębszej rzeczywistości, która w samym tylko opisie faktów nie może być wyczerpaną. Skoro więc mamy przystąpić do bliższego zanalizowania powieści Szczuckiej, to punkt ciężkości oczywiście nie na tym będzie polegał, czy autorka była w zgodzie ze źródłami, względnie z ujęciem fachowych historyków, (choć i co do tego można by mieć pewne wątpliwości),¹⁾ ale na tym, czy autorka zdobyła się na pewne głębsze widzenie i uzasadnienie, wyobrażonej przed oczyma duszy rzeczywistości, czy intuicją artysty umiała sięgnąć poza powierzchnię wypadków. Inaczej mówiąc najciekawsze i najistotniejsze w powieści historycznej jest zawsze to co sięga poza historię i co na drodze czysto logicznej konfrontacji źródeł nie może być dowiedzione, bo wymaga uprzedniego ujęcia całości, oglądu tego, co byśmy mogli nazwać stylem danej epoki.

¹⁾ Wystarczy przeglądnąć chociażby, spokojnie i krytycznie napisaną książkę Fuck-Brentano: *Les Croisades*, Flammarion 1934, by z niewielkim zdziwieniem stwierdzić, że ta zgoła niekatolicka historia krucjat daje jednak, mimo negatywnego osądu, obraz o wiele od *Krzyżowców* Szczuckiej sympatyczniejszy!

IV.

Nie potrzebujemy zdaje się uzasadniać tej powszechnie przyjętej i tak bardzo widocznej tezy, że krucjaty zostały przedstawione przez Szczucką w szczególnie ponurym naświetleniu. Dwa środkowe tomy są poświęcone w przeważnej części odmalowywaniu ich jak najbardziej jaskrawych rysów, tak, że twierdzenie postawione przez autorkę iż były one „taranem krwawiącym cierpieniem, bluzgającym ropą grzechu“, zostało bardzo namacalnie czytelnikowi unaocznione i pozostaje wrażeniem dominującym, którego podejmowane próby rehabilitacji krucjaty i wycofywania się ze zajętego stanowiska w tomie czwartym nie są w stanie osłabić. I nie jest to tylko wierność źródłom, ale konsekwencja pewnej szczególnej postawy zajętej przez autorkę, którą nieco później postaramy się określić i wytłumaczyć. Nie dziwi nas bowiem to, że masy w swoich porywach działają zgodnie z psychologią tłumu, że puszczają wodze swoim najniższym, rozpasanym instynktom, że psychoza wojny oddziałuje na nie w kierunku rozpetania namiętności straszliwie podniecająco, nie wspominając już o niebezpieczeństwie, jakim grozi jednolitości duchowej zetknięcie się prostych, prymitywnych niemal organizacji z przerafinowaną i przejrzałą kulturą Wschodu.

Rozumiemy tak samo, że naiwna natura ludzi średniowiecznych ze swą dążnością do uproszczenia życia nie widziała różnicy między zamysłem a wykonaniem i mierzyła siły na zamiary, czego rezultatem musiały być koniecznie tragiczne załamania, opadanie z wysokiego lotu, że brak wczucia się w złożoną strukturę duszy ludzkiej, w jej psychologiczne skomplikowanie sprawił, iż postęпки tych ludzi były aż nazbyt często srogie i twarde a nawet — gdybyśmy je dzisiejszą mieli sądzić miarą — nieludzkie. To wszystko prawda i popadłaby autorka w konflikt z historyczną prawdą, gdyby na te wszystkie przejawy w zupełności zamknęła oczy. Ale w powieści spotykamy się aż z nazbyt licznymi stronami, które dowodzą, że mamy tu do czynienia z pewnym *à priori*, że tragiczny pogląd na człowieka wybijający takie piętno na utworze Szczuckiej, nie jest wcale koniecznością wynikającą z gruntownego przestudiowania

krucjat, ale że raczej przeciwnie Szczucka, przez pryzmat takiego właśnie ujęcia popatrzyła na ten wielki proces dziejowy. Przecież te ujemne objawy nie tylko, że nie wyczerpywały całej treści krucjat, ale były tylko ich smutną przypadłością, która nie zdołała przyćmić tego zdumiewającego ciągu bohaterskich wysiłków i poświęceń, jakie się składały na krucjaty. Trzeba się jednak było jasno zdecydować, na rozróżnienie co było istotą krucjat a co objawem wtórnym. Niestety zagadnienie to zostało potraktowane tak niekonsekwentnie i w zamazany sposób, że wrażenie czytelnika kłóci się tu z intencją autorki. Gdybyśmy nawet stanęli na pesymistycznym newmanowskim stanowisku, które podkreśla, że zwycięski wpływ chrześcijaństwa manifestuje się nade wszystko w postaciach świętych a nie w masach, nie wiele tylko odbiegających od pogańskiej natury,¹⁾ to i tak musielibyśmy żądać, aby nie tylko nastroje, nie tylko porywy, ale i czyny stanowiły dla nich moralną legitymację katolicyzmu w myśl zasady ewangelicznej: „z uczynków ich poznać je” i to tym bardziej, że oglądamy je nie przy codziennych małosłownych zabiegach ale w chwilach największego religijnego nasilenia. Otóż tego wszystkiego zgoła u Szczuckiej nie spotykamy, poza bladymi i nieprzekonywującymi wzmiankami, a nieliczne postacie reprezentantów dobra, czy wyjątkowe świetlane fragmenty nie mogą być zadośćuczynieniem za te mnogie zbrodnie i nieprawości, jakie się tam ustawicznie przewijają.

I to jest właśnie szczególną książkę fatalnością, że jeżeli zło ma w niej swoją bogato rozbudowaną akcję, rozlewa się szerokimi falami, idzie za wyprawą krok w krok, to dobro ogranicza się na ogół tylko do ornamentów, do krótkich stwierdzeń zapалу, egzaltacji, pokuty, albo — w najlepszym wypadku — rycerskiego gestu, (który nie zawsze może być z cnotą utożsamiany), natomiast nie widzimy go w jego skutkach, w jego konkretnych przejawach. Dla przykładu wystarczy wskazać na niektóre obrazy. Kiedy pod Antiochią zasiedziały i zgnuśniały rycerstwo zostaje wstrząs-

¹⁾ Por. na ten temat uwagi w artykule ks. Pastuszki: „Chrześcijaństwo a kultura”. *Prąd*, X. 1936.

śnięte trzęsieniem ziemi „najgłębsza skrucha wchodzi w serca zalewa je łzami, wstrętem do samych siebie. Nigdy już! Ze szlochem ślubują wyrzec się obrzydłych grzechów, puścić w niepamięć urazy, nigdy do starych błędów nie powrócić, jeno ty zlituj się Boże”.¹⁾ Oto jakim ogólnikiem zostaje zbyta tak doniosła scena przemiany duchowej, a w tym stylu są — poza nielicznymi wycieniowanymi fragmentami, ujęte i inne sceny mówiące nam o wewnętrznych przeobrażeniach wiernych rzesz. Innym razem słuchające legendy o św. Graalu drużyny dają się unieść wzruszeniu, wojownicy „przeżywali — jak pisze autorka — jedną z tych chwil które są usprawiedliwieniem ludzkości” (II. 177). Niestety, tego rodzaju próby skonfrontowane z nadzwyczaj plastycznym przedstawieniem ciemnych stron chybiają najzupełniej celu i wydają się być pewnym naciąganiem, które artystycznie zgółta nie przekonywuje a ideologicznie wydaje się zupełnie niewystarczającym, gdyż trudno na serio zadowolić się objawami religijnej uczuciowości, która może być wprawdzie bliska naszemu — zwłaszcza kobiecemu — sercu, ale która bez uczynków jest martwa.

Nie mówimy, rzecz jasna, że tych uczynków w *Krzyżowcach* nie ma; wszak roi się w nich od nadzwyczajnych, aż wręcz nieprawdopodobnych wyczynów rycerskich, ale nie sądzimy, aby były one dostatecznym, tej brudnej i ciemnej strony życia przeciwstawieniem. Naprzód z punktu widzenia psychologicznego a nawet z punktu widzenia prawdopodobieństwa historycznego są one nazbyt widocznie robione, zbyt mało uzasadnione. To nie nasza tylko wątpliwość; wyraził ją bardzo silnie we wzmiankowanej już recenzji prof. Julian Krzyżanowski:

„Krzyżowcy” według logiki, opisu muszą wyginać na pustyni czy w wąwozach Antitauru, a choćby trudności pokonali zagłada czyha dalej na szkielety ludzkie pozbawione sił i broni, tymczasem okazuje się co innego, po dotarciu bowiem do pasa roślinności i osad ludzkich, następuje cudowna regeneracja, ludzie odżywają, w jakiś tajemniczy sposób zdobywają broń i ekwipunek, i ruszają na dalsze zwycięstwo. Tych upadków i odrodzeń jest

¹⁾ Nicco dalej stwierdza z całym spokojem autorka, że pomimo ogniściego cudu nic się nie zmieniło.

w romansie cośkolwiek za wiele, w skutek czego ich nadmiar budzi sporo uzasadnionego sceptycyzmu“.

Wydaje się jakby artystka ilością chciała zastąpić tutaj jakość. — A jeśli ta zdolność odradzania została w pewnym stopniu celowo przesadzona, to w wyższej jeszcze mierze należy to odnieść do tych gwałtownych a olbrzymich skoków duszy ludzkiej, jakie zachodzą przy przerzucaniu się — i to nie jednostek ale całych mas — od wyuzdanego skrajnie trybu życia do modlitewnych uniesień i zapałów.

Zemściło się tu na autorce niezbyt fortunne założenie, mianowicie przystępując do charakterystyki „Krzyżowców“ Szczucka uczyniła bohaterami krucjat przede wszystkim feudalną kierowniczą oligarchię, która — jak to wiemy z historii — wcale pod względem ducha i nastroju nie dorównywała ciągnącym pod jej dowództwem tłumom. Tak więc kiedy z jednej strony narzucają nam się troskliwie odmalowane postacie średniowiecznych wielmożów, to z drugiej strony nie widzimy równie wyraziście odtworzonego nieznanego bohatera, szarego żołnierza krzyżowych wypraw. Najsilniej rysuje się nam spośród biedniejszego rycerstwa nieliczna polska gromadka, ale opóźniona w cywilizacyjnym pochodzie o kilka pokoleń, z duszą nasiąkniętą pogańskimi przesadami, zwierzechu tylko chrześcijaństwem obmytą nie może reprezentować typu zachodniego rycerstwa. A i to zachodnie rycerstwo ujęła autorka w oderwaniu od swego środowiska, jakby bez związku z tą średniowieczną kulturą, która przecież już wtedy zaczęła wypuszczać swoje najpiękniejsze pędy, owiana wzmożonym, od czasu reform gregoriańskich, prądem religijnego ducha. Otóż zupełnie nie jesteśmy w stanie wyczuć, że krucjaty są nie tyle przyczyną, ile już raczej skutkiem wielkiego duchowego przeobrażenia; nie możemy powiązać wszystkich wspaniałych przejawów średniowiecznej sztuki z tymi właściwościami, które cechują krzyżowców, tak im dalekich i obcych, jakby słuchali o cudzym objawieniu a nie o śnie i marzeniu własnej duszy. I w sercu czytelnika rodzi się wątpliwość czy między złotą legendą rozsnutą w pieśniach i poematach rycerskich a rzeczywistością ziała wówczas naprawdę taka przepaść i czy przez nią żadne nie prowadziły mosty?

V.

Niepodobna się oprzeć wrażeniu, że Szczucka zastosowała przy charakterystyce rycerstwa pewne chwyt, które już praktykowała przy dawniejszych poczynaniach. Myślimy tu o manierze, polegającej na stylizacji na wiejską prostotę a raczej prostactwo, do której nieco automatycznie jest dołączona konwencjonalna frazeologia rycerska. I znowu zarzuca się tu porównanie z *Krzyżakami*, Sienkiewicz podejmując analogiczną metodę rozumiał jednak lepiej, że te elementy zachodniości rycerstwa nie wyczerpują, że ten świeży, pierwotny świat to niewątpliwie rustykalny prymityw, ale, że to określenie ze wszystkim jego treści duchowej nie wypełnia,¹⁾ podobnie jak sztuka średniowieczna jest nawrotem do pierwotnych źródeł, ale jest zarazem, a nawet przede wszystkim, czymś o wiele więcej. Jest nawrotem do początków twórczości, zdawałoby się mogło, że dziecięcym jeszcze stąpaniem, ale jest zarazem i sobą, to znaczy, na wskroś oryginalną i bogatą twórczością, słowem nową formą artyzmu, nową formą życia, która do uproszczonego typu bytowania nie dałaby się zredukować. I dlatego to Zbyszko nie jest tylko mocarnym osiłkiem, ale i romantycznym kochankiem; w jednej osobie mamy tu połączone dwa różne światy. W jednej powtarzamy, bo w *Krzyżowcach* spotykamy się wprawdzie z epizodycznymi przejawami średniowiecznej romantyki (piękna powieść o Florynie i Swenonie), ale nie spotykamy tego wzajemnego przenikania się dwóch postaw duchowych: pierwotnej i subtelnej, niemal że rafinowanej, które jest tak charakterystyczne dla średniowiecznej rzeźby, oraz dla rycerskich opowieści średniowiecznych i musiało mieć z pewnością jakiś odpowiednik w życiu.

Sądźmy, że nie będziemy dalecy od przesady, jeśli wyrazimy przypuszczenie, że geneza tego niedomagania tkwi w tym, iż autorka, znakomita znawczyni polskiego baroku, (będącego jak twierdzi nie bez słuszności Chlebowski nawrotem do średniowiecza), zaparzyła się tak mocno

¹⁾ Jeśli taka technika mogła znaleźć pewne uzasadnienie przy kreśleniu średniowiecza polskiego, to zastosowanie jej do narodów zachodnich, gdzie uprawa kulturalna od czasów rzymskich na dobre nie została przerwana wydaje się co najmniej zbytnią dowolnością.

na ten wyrazisty i nieskomplikowany okres, że nie może się uwolnić z pod jego wpływu i spogląda na krucjaty oczyma polskich zawadiaków i awanturników, którzy przecież w XVII wieku bardzo podobne wykazywali cechy i bardzo podobne, może niemniej heroiczne, przeżywali epopeje. Jesteśmy przekonani, że kto zna już nie tylko pamiętnik Paska, ale i kapitalne pamiętniki Marchockiego, Maszkiewiczza, czy innych drobniejszych pamiętnikarzy z okresu Samozwańców, ten będzie uderzony nadzwyczajnym podobieństwem do obrazu wylaniającego się z *Krzyżowców*. Ale mimo zdumiewających analogij, które narzucał sam wątek dziejowy (tu i tam wylanie się najbujniejszych żywiołów na niezmierzone przestrzenie, tu i tam zadanie zdawaćby się mogło nie tylko nadmiernie zuchwałe, ale zgoła do wykonania niepodobne, uwieńczone przecież chwilowym co prawda, ale świetnym powodzeniem) można z całą słusznością zastosować tutaj przysłowie: *Si duo faciunt idem non est idem*. I tego właśnie co *non est idem* nie spotykamy w dostatecznym stopniu u Szczuckiej.

Przez usta jednego z bizantyjskich dworzan tak znamienne charakteryzuje Szczucka krzyżowców: „Z opowiadania przypominają mi typy Homera. Toż samo prostactwo, odwaga, pragnienie, niezależność... A przy tym ten pęd do realizowania w życiu jakiegoś ideału”. (II. 67) Temu home-ryckiemu założeniu pozostała wierna autorka przy charakterystyce postaci, nie bacząc na to, że stąd wypłynąć mogą ważne ideologiczne konsekwencje, które możnaby wyrazić w pytajniku, na czym polega wyższość rycerzy chrześcijańskich nad ich pogańskimi poprzednikami? Bo i jakżeż wyglądają te bohaterskie czyny, które mają być zadośćuczynieniem za wiele grzechów, te „momenty ocknienia”, które są „usprawiedliwieniem ludzkości”? Są to cnoty najzupełniej wojenne, cnoty rycerstwa z wykształconym poczuciem honoru, zdolnego do porywu męstwa lub chwilowej egzaltacji religijnej, wytrwałości i cierpliwości w podejmowaniu raz podjętego celu — cnoty, które nie tylko mieć mogli poganie, ale i w samej rzeczy, jak autorka przyświadcza, posiadali, cnoty, które w pewnej mierze były samą wojenną sytuacją narzucone. Trwają krzyżowcy mimo pragnienia i znużenia

w nieustrudzonym marszu na pustyni — ale cóż im w przeciwnym razie prócz śmierci pozostawało? Staczają mimo okropnego z głodu wycieńczenia, ostatkiem sił walkę z po-
 hańcem, ale czyż w przeciwnym razie nie groziła im stokroć od śmierci straszniejsza niewola? Również modlitewny zapał prosto po zrobieniu strasznych ludzkich jatek, bez względu na płeć i wiek, nie bardzo nas przekonuje. Jakby czując niedostateczność tych wywodów autorka, a wraz z nią i niektórzy recenzenci, usiłują wmówić w czytelnika, że samo zdobycie Jerozolimy było tą oczyszczającą drogą krzyżowców, gdyż krzyżowcy mimo słabości i grzechów zdobyli się ostatecznie na ten nadludzki trud. „Jest ich niewielu — mówi opisując stojące pod Jerozolimą wojska autorka — lecz samych najlepszych. Są przetrawieni, dojrzali do tego, żeby dojść. W czyścju trzyletniej wędrówki wypaliły się żądze, wygasły namiętności przeżyły się osobiste bóle. Kto był słaby — odpadł. Kto poszedł dla własnych korzyści porzucił już krucjatę... Kto myślał więcej o własnych sprawach niż o Bogu, tego już te sprawy zeżarły“ (IV. 174). Niestety jest to twierdzenie nie tylko, że niczym nieuzasadnione, ale dalsze wywody pisarki zadają mu kłam. Bije jakieś rozpaczliwe poczucie beznadziejności z tej książki, które wcale nie zanika wraz ze zdobyciem Jerozolimy. Czyż może być bowiem boleśniejszy i rozpaczliwszy epilog niż ten, którym Szczucka zamyka swoją książkę?! Zdobyta Jerozolima stanie się dla podłego karierowicza w sufannie odskoczną do odegrania dominującej roli — ta scena bogato podbudowana, o takiej antyklerykalnej wymowie, że mogłaby z powodzeniem być przedrukowaną w wolnomyślicielskim organie, a zarazem najostrzejsza jaka być może krucjat dyskwalifikacja.¹⁾

Odpowiednikiem jej w akcji indywidualnej jest — artystycznie zresztą bardzo piękny — ale jakżeż smutny powrót Imbrama do domu, urastający przez swe staranne

¹⁾ Wprawdzie w posłowiei zaznacza autorka, że Rzym usunął potem ambitnego patriarchę, czyni to jednak w sposób bardzo znamieny, bo poza akcją i w krótkim referującym zdaniu. Rzecz jasna, że takie przedstawienie nie jest w stanie osłabić w czytelniku wytworzonego uprzednio dysonansowego poczucia.

wykończenie i umieszczenie na końcu powieści, do wymiarów symbolu. I znowu pozostajemy dzięki temu obrazowi — Imbram jest przecież najdokładniej wymodelowanym typem przeciętnego rycerza krucjat — pod wrażeniem okropnego fiaska duchowego, że ten najpiękniejszy jakby się zdawać mogło w dziejach poryw nie pozostawił nic krom ruin i duchowego cmentarzyska. Nie widzimy żadnego rycerza — z wyjątkiem Rajmunda de Saint Gilles — dla którego by przypomnienie krucjat było krzepiącym serce i ubogacającym wspomnieniem. Gorzej, nie widzimy poza bardzo nielicznymi (słabo zresztą psychologicznie uzasadnionymi wyjątkami), żeby wyprawy krzyżowe stanowiły punkt zwrotny w czyimś życiu, były wstrząsem skierującym je na nowe tory. Samo zdobycie Grobu św. nie możemy uważać za drogę oczyszczającą; rozumowanie takie jest tym bardziej niedostateczne im bardziej brakuje danych, które by nam uzasadniły, że wywołało ono u krzyżowców odrodzenie duchowe, utworzenie w sobie nowego człowieka. Przecież dycydującym dla oceny wartościującej w danym wypadku nie może być ani odzyskanie świętości, ani odpór czy pokonanie wroga, ale wytworzenie wewnętrznej siły, oraz spotęgowanie pewnych niewątpliwych wartości i te tylko walory są w stanie uzasadnić zbrojny czyn. Nie sama dobra intencja, ale dopiero dobre skutki płynące z wykonania dzieła są w stanie je uświęcić, czy usprawiedliwić.

W *Krzyżowcach* nie tylko że nie świta jakaś choćby blada nadzieja na *vita nuova*, ale przeciwnie raz po raz się przewija motyw ginącego świata. A przecież autorka wciąż zasadniczo ustosunkowuje się do krucjat pozytywnie i podkreśla, że winny one być podług zamierzeń papieża tym dobroczynnym wstrząsem spróchniałej budowli, który miał odrodzić ludzkość, tymczasem wstrząs ten budzi nowe, nieobliczalne zło. Takie samo gorzkie przeświadczenie powstaje w duszy jednej z naczelnych postaci, późniejszego króla Jerozolimskiego Goffryda de Bouillon, któremu życie układa się jako tragiczna pomyłka, kiedy patrząc na nie pod koniec wyprawy, z perspektywy lat uświadamia sobie, że „cokolwiek by już teraz robił, zła już nie odrobi“: „Nie umiałem żyć. Chciałem dobrze a wynikało zło“ (IV. 306, 286). I jest

ta postać jakby uosobieniem tragicznego załamania ideologii krucjat, nie on jeden bowiem przeżyje bankructwo swego idealizmu. W powieści oglądamy mnóstwo złamanych skrzydeł a najgórniejsze zapędy kończą się z reguły katastrofą. Katastrofą zakończy się szczytny, idealistyczny zamiar młodych małżonków zachowania czystości na chwałę Chrystusową i żarty przejętym od nałożnicy syfilisem Swenon, będzie wołał widząc tragiczny pogrom swoich aspiracji: „Przysięgam, żeśwa z czystej miłości ku Bogu złożyli to ślubowanie... I ot co się z nas stało... Dlaczego?! Dlaczego! (IV. 115). Katastrofą, bo zupełnym zwichnięciem życia zakończy się krzyżowa wędrówka Imbrama. Ślub czystości Gotfryda zaciąży tragicznie nad umiłowaną przezeń kobietą, która umierając rzuci mu w twarz: „Czy Bogu miło, żeś moją duszę zatracił? Byłam dobra stałam się zła... Zła jak diabeł... Będę potępiona na wieki“. A kiedy Gotfryd pocieszać ją usiłuje, że się „grzechu ustrzegli“ słyszy druzgocącą odpowiedź: „Ty się ustrzegł mnie pograżając“ (II. 337). Niewiara w człowieka szarpie duszę umierającego przywódcy krucjat Ademara, jednej z najpiękniejszych postaci w *Krzyżowcach*, puka do serca konającego inicjatora krucjat, papieża Urbana II. I na darmo usiłuje autorka stępić jej ostrze, gdy każe Adamarowi krzepić serce wspominaniem najlepszych, najgodniejszych: „Cieplą kojącą falą ogarnęła go miłość do ludzi, szczególnie tych maluczkich prostaczków, wydziedziczonych przez życie, pokrzywdzonych przez możnych, w poniżeniu i nędzy żyjących wśród których tak często zakwita najdoskonalsze, cudowne człowieczeństwo“. Niestety ta pocieszająca wizja to tylko pobożne życzenie autorki; nie znajduje ona wcale uzasadnienia w przytoczonych faktach. Nasuwające biskupowi przed oczy a szerzej przez autorkę przedstawione postacie Piotra z Amiens, Waltera Bez Mienia i kleryka Bartłomieja nie są stanowczo dostatecznym równoważnikiem ogólnie panującej, rozkładowej atmosfery. I mniej-
sza już o to, że to wcale nie nadludzie, ale nawróceni grzesznicy, rzecz ważniejsza, że w przeciwieństwie do wszystko obejmującego potoku nieprawości mamy tu do czynienia

z osobami, które aż nazbyt wyraźnie noszą znamiona wyjątkowości.¹⁾

W *Krzyżowcach* nie znajdujemy zgola świętych. I nie o to już nam chodzi, że nie widać ich w gronie przywódców krucjaty. Dzisiaj jesteśmy chyba dość dalecy od twierdzenia, że każda rządząca elita jest rzeczywistą elitą ducha; nie mamy pretensji nawet o to, że Gotfryd wypadł jako hamletyczny marzyciel, Piotr z Amiens jako fanatyczny półgłówek (obaj pono sportretowani niezbyt zgodnie z historią) — jeden tylko biskup Ademar stoi na wysokości zadania. Ale w całej powieści poza konwencjonalną postacią Tankreda nie spotykamy żadnej osoby, która by mogła służyć za zapowiedź, że na przyszłej niwie krucjat ukażą się tak cudne kwiaty świętości jak Bernard, czy Ludwik.

Ostateczne wrażenie jakie wynosi czytelnik jest tak przygnębiające, że mimowoli ciśnie się na usta zapytanie, jakie to ukryte pobudki wpłynęły na zajęcie przez autorkę opisanego stanowiska, bo samą tylko tendencją realistyczną niepodobna je wytłumaczyć. W najbliższym zeszycie przystąpimy do rozwiązania tej zagadki.

¹⁾ Z wyjątkiem plastycznie odmalowanej i psychologicznie pogłębionej kreacji Piotra z Amiens, może najlepszej w powieści, oraz bogato uplastycznionej postaci morskiego rozbójnika Guynemer'a, inne analogiczne postacie są potraktowane całkiem pobieżnie, szkicowo, nie wyłączając dwóch wyżej cytowanych osób odgrywających w powieści ważną rolę: Bartłomieja i Waltera Bez Mienia.

Dr J. M. Świącicki.

Szkoła przyszłości.

Po raz trzeci z rzędu w okresie Odrodzonej Polski przystępujemy do zasadniczej reformy szkoły polskiej. Rezultatem pierwszej było utworzenie szkoły międzywyznaniowej i jednolitej dla wszystkich, powiedzmy od razu szkoły „bezwyznaniowej“, równającej wyznania, narodowości, płci, wbrew wszelkim tradycjom narodowym, co gorsza z pominięciem praw Boskich, kościelnych, częściowo nawet i praw natury. Tę pierwszą reformę zawdzięczamy tendencjom socjalistycznym, które oświadczyły przede wszystkim masami nauczycielstwa szkół powszechnych, zorganizowanego w Związku Nauczycielstwa Polskiego.

Rezultatem drugiej reformy było narzucenie z góry przez czynniki administracji szkolnej formuły politycznej wychowania obywatelsko-państwowego z zabarwieniem totalistycznym, wszystkim szkołom w Polsce, zarówno państwowym, jak i prywatnym. Wychowanie obywatelsko-państwowe w tej swoistej koncepcji totalistycznej, dziedzicząc dawne grzechy, przekreśliło nadto w wysokim stopniu prawa rodziny i środowiska zewnętrznego do pozytywnego i współtwórczego oddziaływania na duszę młodzieży, pozbawiło również jednostkę jej indywidualnej treści, a mówię to zarówno o młodzieży, jak przede wszystkim o nauczycielstwie, na rzecz utopijnie pojętego mechanizmu państwowego. Obie powyższe reformy dały nam szkołę religijnie i narodowo indyferentną. Następstwem takiej szkoły są dwa niepokojące zjawiska: bunt i załamanie moralne młodzieży.

Młodzież moralnie zdrowsza i odporniejsza buntuje się, a wyraz tego buntu przejawia się po ukończeniu szkoły średniej w chwili, kiedy młodzież uczuwa się wolną od skrępowań szkoły którą przebyła. Bunt młodzieży zaznaczył się w dwóch kierunkach: w narodowym i religijnym. Kierunek narodowy znajduje ujście w jaskrawo wyrażonym antysemityzmie. Kierunek religijny zaznaczył się w rozwoju stowarzyszeń katolickich młodzieży, w nasileniu religijnych praktyk, kulminując w zbiorowej manifestacji i złożeniu ślubów na Jasnej Górze. Chociaż pomysł ślubowania wyszedł z szeregów socjalicyjnych, to jednak należy stwierdzić, że młodzież socjalicyjna stanowiła zaledwie drobną część młodzieży ślubującej. Znaczna większość ślubowała dlatego, że miała okazję do zareagowania na indyferentyzm czynników szkolnych i ich systemu.

Drugim zjawiskiem wpływającym z dotychczasowych reform szkolnych jest załamanie moralne młodzieży szkolnej, o czym dziś głośno w całej Polsce. Ta część młodzieży, która nie posiadała duchowej odporności i tężyzny, a biernie poddawała się systemowi szkolnemu, nie odbierając ze szkoły prawie nic, co by ją mogło podciągnąć wzwyż, gdyż ideał państwa narodowościowego i międzywyznaniowego nie przemawiał do jej wyobraźni, stała się igraszką własnych instynktów niższych, przedwcześnie rozbudzanych przez prądy współczesnej cywilizacji. Oba te zjawiska: buntu młodzieży, nawet wówczas gdy był najszlachetniej pojmowany, i demoralizacji, niszczącej ciała i dusze — wywołały głębokie zaniepokojenie we wszystkich sferach katolickich oraz narodowych. To też z tych właśnie kół wychodzi dziś dążność do reformy szkolnictwa naszego w kierunku katolicko-narodowym. Nie są to sfery rządzące administracją szkolną, ani też sfery zawodowe, i w tym tkwi pomyślna zapowiedź. Historia bowiem ruchów pedagogicznych dowodzi, że twórcze prądy wychowawcze nie wychodziły nigdy ani od administracji szkolnej, ani od kół fachowych. Sfery katolicko-narodowe zdają sobie sprawę z tego, że ich postulaty nie dadzą się zbyt szybko urzeczywistnić. To też w chwili obecnej nie idzie wcale o wyszukanie nowej, uproszczonej formuły wychowania, która by tak szybko zesłiznęła się po

duszach młodzieży, jak formuły poprzednie. Idzie o budowę Polski nie na najbliższy okres, ale o budowę trwałą i wieczystą. A takiej nie stwarza się za pomocą pisanych programów. Musi ona być odbiciem potężnego prądu ideowego, który się zaczyna w naszym społeczeństwie budzić. Ruch katolicki i narodowy ogarniający coraz potężniej całe społeczeństwo polskie jest prądem o wielkiej rozpiętości historycznej, opartym o najświetniejszą tradycję dziejów polskiego narodu oraz jego kultury, posiada też wszystkie cechy twórcze i głębokie naszej rasy. Dlatego też jako Polacy katolicy oświadczamy wprost, że szkoła musi być naszą i będzie naszą! Jesteśmy pewni zwycięstwa, bo istotą naszej religii jest optymizm. Żadna tajemnicza siła i żaden materialistyczny prąd nie może się ostać wobec duchowej potęgi naszego odrodzenia religijnego i narodowego. Musimy jednak sobie wprzód uświadomić i plastycznie przedstawić zarówno ideał odrodzonego wychowania, jak też określić ostateczny cel, zasadę wychowania, oraz środki prowadzące do realizacji tak doniosłego zadania.

Ideał wychowania katolickiego i narodowego.

Przeżywamy czasy najostrzejszego konfliktu kultury zachodu z kulturą wschodniego ghetta, chrześcijaństwa z bezbożnictwem we wszystkich jego odmianach: liberalizmu, laicyzmu, poganizmu i komunizmu. Polska znalazła się w środku między dwoma potęgami bezbożnictwa, to jest pomiędzy niemieckim neopoganizmem i rosyjskim bolszewizmem. Samo stwierdzenie i uświadomienie sobie tego położenia prowadzi nas do przekonania, że tylko bezwzględna walka zarówno duchowa jak i fizyczna z tymi dwoma niebezpieczeństwami może uratować i utrwalić naszą niepodległość.

Walka ta wymaga charakterów nieustraszonych i nieugiętych, karnych i zdolnych do poświęceń. Będzie prowadzona przede wszystkim na terenie duchowym, choć nie jest wykluczone starcie i na terenie fizycznym i dlatego potrzebną się okaże nie tylko tężyzna duchowa, ale i fizyczna. Rozstrzygać w niej będzie postawa czynna. Ideałem zatem naszym będzie typ obrońcy wiary i narodu. Naj-

głębszą podstawą naszą będzie jedność sumień wyrażająca się w jedności wiary. Przez wiarę dążyć będziemy do zjednoczenia wspólnej krwi, a więc i narodu. Naród będzie dla nas świętością prawie religijną, gdyż płynącą z najgłębszych praw stworzonej przez Boga natury ale nie najwyższą, bo podporządkowaną temuż właśnie Bogu i jego ewangelicznym wskazaniom. Naród polski i państwo polskie muszą być uświęcone jako organ myśli Bożej spoczywającej na Polsce i realizujący ją na ziemi. Taka jest podstawa naszej mistyki narodowej, z której wyprowadzać będziemy wszystkie konsekwencje, bez obawy przesady lub błędu. Ideał nasz, choć wywołany potrzebami chwili i naszego położenia dziejowego wiąże nas najściślej z całą naszą wielką przeszłością dziejową katolicką i narodową, ze wszystkimi duchami Polski dawnej i wczorajszej, które z myślą o Bogu szły drogą bezgranicznych ofiar i poświęceń dla Ojczyzny, dążąc ku Polsce wielkiej, szczęśliwej i wiecznej. Z tej świetlanej przeszłości nie wolno nam niczego, co bohaterskie i wielkie, uronić. Ku niej będziemy się kierować w poszukiwaniu wzorów i przykładów dla młodych pokoleń.

Ideał nasz będzie się zwracać z całą bezwzględnością przeciw naturom samolubnym, które niezdolne do żadnych ofiar, łamią porządek moralny świata, ustanowiony przez Boga. Będzie wypalać ogniem pochlebstwo i chytrość, które są glebą serwilizmu i obłudy. Będzie piętnować wżgardą zniewieściałość, skłonność do życiowej wygody i tchórzostwa. Nie cofnie się przed użyciem bata wobec gnuśnych ospalców, wegetujących na ziemi na kształt przyziemnych płazów. Wypowiemy stanowczą walkę warcholstwu, zrodzonemu z zawiści, chciwości i samolubnej ambicji.

Hasłem naszym jest: Wiara i Naród. Wiara jako naczelny, wszystko uświęcający ideał, Naród jako organ realizacji naszego posłannictwa dziejowego.

Hasło to proste, ale realizacja jego wymaga twardej dyscypliny wychowawczej. Musimy więc pokazać wszystkim i wszystkich przekonać, że katolicyzm nie ma nic wspólnego z biernością, miękkością, czy słabą ustepliwością i potrafi rozumnie w chwili potrzeby stosować nawet zasadę siły i przymusu.

Naszym przeznaczeniem jest być narodem rycerskim, narodem żołnierskim, a nie motłochem obozowych ciurów. Wszelkie pasożytnictwo trzeba tępić jak zarazę, a piętnem hańby największej trzeba znaczyć ideowych tchórzów.

Cel i zasada wychowania.

Wychowanie młodzieży jest przede wszystkim zagadnieniem moralnym, które o wolę indywidualną zahacza i na niej się wspiera. Cała praca wychowawcza zdąża do wyrobienia w wychowankach silnej i odpornej na zło woli, by mogła zatriumfować we wszelkich starciach z popędami egoizmu czy wyuzdanej swobody. By cel ten osiągnąć musi wychowawca dać młodzieży suwerenny motyw, który by skłaniał zawsze i skutecznie wolę do podporządkowania się dyscyplinie i podjęcia twardych obowiązków. I dlatego właśnie wychowanie musi zwrócić młode pokolenie do Boga jako ostatecznego celu wszystkiego i wszystkich. Sprawę tę trzeba postawić jasno w programach szkolnych, bez względu na to, czy to się komu będzie podobało, czy nie. I nie w tym leży największa trudność dla nas Polaków. Naszą słabą stroną jest brak nie uznania, ale realizacji zasad religijno-moralnych. Dajemy się łatwo porwać szlachetnym, pięknym hasłom. Ale gdy idzie o realizację, zatrzymujemy się przed pierwszą przeszkodą. Stąd ten wielki krzyk i jęk, jaki się rozlega w naszej literaturze. Stąd to ustawiczne nawoływanie o dopełnienie, o realizację zasad religijno-moralnych. Od Ostroroga i Modrzewskiego przez Kochanowskiego, Skargę, Konarskiego, Staszica, Mickiewicza, Krasińskiego, Norwida aż po Szczepanowskiego i Brzozowskiego słyszymy głos: Spełnić, dopełnić! Oto jest wołanie wieków!

Dlatego w naszym programie wychowawczym musimy wysunąć jako cel wychowania: Uzdolnienie młodzieży do realizacji zasad religijno-moralnych w życiu codziennym. A to życie codzienne ma u każdego dwie strony: prywatną oraz publiczną. Pod wpływem ogólnych prądów, górujących dziś w Europie, pod wpływem pozostających w związku z tymi prądami ostatnich przeobrażeń naszego państwa coraz więcej kurczy się zakres naszego życia prywatnego, a coraz bardziej rozszerza się zakres życia publicznego. Typ człowieka

który stosował zasady religijno-moralne tylko w życiu prywatnym jest więc dziś nie do pomyślenia. Nasza indywidualna moralność zależy faktycznie coraz więcej od systemu politycznego kierującego państwem. Dlatego wszelkie przeobrażenia religijno-moralne muszą się zacząć od góry, jeżeli mają osiągnąć skutek i szybko i w całej pełni. Dlatego też o tyle tylko możemy liczyć na prawdziwą skuteczność naszych zasad religijno-moralnych w życiu jednostek, o ile one zostaną przyjęte i zrealizowane przez tych, którzy państwem rządzą. Droga to wprawdzie nie jedyna, ale w dzisiejszej konstelacji społecznych stosunków prawie najpewniejsza. Dlatego dziś należy odwrócić hasło Mickiewicza i wołać: „O ile powiększycie i rozszerzycie dusze kierowników państwa, o tyle możecie się spodziewać, że polepszycie i rozszerzycie duszę szarego człowieka“. Młodzież naszą musimy zawczasu uświadomić o tej prawdzie i wdrożyć ją w to rozumowanie, że moralność życia prywatnego jest dziś w wysokim stopniu zależna od moralnego stanu naszego życia publicznego, że zmarnuje się wiele naszych wysiłków i trudów w walce o podniesienie życia prywatnego, jeśli życie publiczne będzie tonęło w bagnie egoizmu i prawie jawnej korupcji.

Określenie więc głównego celu wychowania naszej młodzieży winno dziś opiewać w ten sposób na pozór paradoksalny: „Dążymy do realizacji zasad religijno-moralnych w życiu publicznym, a także prywatnym“.

Ruch katolicki jest ruchem anty-materialistycznym. Zgodnie z Objawieniem i wynikami prawdziwej wiedzy Bóg jest najwyższą inteligencją, kierującą wszechświatem do jego celów ostatecznych. Nie wynika bynajmniej z tego założenia żebyśmy mieli pogardzać materią. Przeciwnie. Materia jest czynnikiem koniecznym, za pomocą którego mamy przekształcać ziemię, budować kulturę, rozwijać prawdziwy humanizm. Do tego potrzebna jest praca. Ale praca nie może być celem sama w sobie, ani też środkiem służącym wyłącznie do naszego materialnego dobrobytu. Dobrobyt i szczęście doczesne mają być tylko środkami. Dlatego praca musi być podjęta w najwyższych duchowych intencjach

i zwracać się ostatecznie ku Bogu i zbawieniu duszy. Otóż na terenie szkoły dzisiejszej spotykamy się z dziwnym zjawiskiem, że młodzież nie wychowuje się bynajmniej w przekonaniu, że praca jest jej najwyższym powołaniem. Nadmiar rozrywek, imprez i sportów odzwyczaja młodzież szkolną od pracy, oszałamia ją i bałamuci, stwarzając złudny pogląd, że życie późniejsze będzie tak samo wyglądać jak szkolne. To też coś się dzieje z młodzieżą, która ukończywszy szkoły staje do pracy, uzyskującej w dzisiejszych warunkach prawie z reguły tak nędzne wynagrodzenie, że prawie nie wystarcza do normalnej egzystencji życia? Czy ta młodzież nie rozgorycza się, czy umie i chce pracować z zapałem, czy nie zrywa zbyt łatwo z uczciwością, aby jakimkolwiek sposobem zdobyć środki na przyjemności, których nie odmawiano jej w szkole? Wychodzi więc z tej szkoły pokolenie ludzi gnuśnych i ospałych, albo zgryźliwych nierobów albo wreszcie karierowiczów i niebieskich ptaków. To wszystko musi się zmienić w szkole, którą najwyższy czas stworzyć. Rozrywka i zabawa może być tylko nagrodą za spełniony wysiłek i trud, a nie obowiązkiem i stałym prawie zajęciem młodzieży w szkole. Ostateczną bowiem zasadą, na której prawdziwie skuteczne wychowanie opierać się musi, opiewa: iż wszystko istnieje dla Boga i przez Boga, iż On suwerennym celem i nagrodą życia oraz pracy tak indywidualnej jak zbiorowej, tak prywatnej jak i publicznej. Wszystko inne jest tylko środkiem i drogą. Takie postawienie życiowego hasła budzi dopiero prawdziwy heroizm służby i poświęcenia dla drugich, bo streszcza się w dewizie wiary: *Non omnis moriar.*

Nauczyciele.

Szkola to nauczyciel. Tak brzmi nieprzedawniona prawda, głoszona przez wszystkie pedagogie świata. Nie same programy, ani podręczniki, ani rozporządzenia władz, stanowią o wyglądzie i duchowym obliczu szkoły. Istotą szkoły jest żywy człowiek, który formuje duszę dzieci. Tego porządku nie jest w stanie nikt zmienić. Ten żywy człowiek czyli nauczyciel rozwija młodzież nie tylko przez to, co mówi i robi w szkole, ale przede wszystkim przez to, co czuje i myśli

o ludziach, świecie i Bogu w swym własnym sumieniu. Dlatego nauczyciel, który nie ma żadnego głębszego poglądu na świat i zadania życia, żadnej wiary w Boga i zaświaty, nie może niczego skutecznie nauczyć, ani nikogo naprawdę wychować. Wychowuje bowiem i naucza głównie przez to, co w nim samym jest wartościowego, co z niego podświadomie promieniuje. Nie można sobie wyobrazić skutecznego oddziaływania na młodzież ze strony nauczyciela, który prowadzi podwójną buchalterię życia: inną dla siebie, inną dla młodzieży.

Wobec wieloosobowego personelu wychowawczego w każdej szkole skuteczność wysiłków wychowawczych zależy od jednolitego postępowania wszystkich nauczycieli w każdej szkole. A zatem dobór nauczycieli jest rzeczą najważniejszą dla przyszłej szkoły. Aby przeniknąć wychowanie zasadami chrześcijańskimi muszą wszyscy nauczyciele praktykować je w życiu własnym. Czy tak było dotąd? Już od czasów pierwszej reformy szkolnej weszła w szeregi wychowawców młodzieży masa nauczycielstwa o poglądach socjalistycznych, niekiedy wprost bezbożniczych. Nie tylko nikt im nie bronił przystępu do naszej młodzieży, ale przeciwnie pod wpływem panujących kierunków ułatwiono im dostęp do szkoły, a nawet dość jawnie darzono ich w niej przywilejem. Uprzywilejowanie to wzrosło jeszcze do zastraszających rozmiarów w okresie drugiej reformy szkolnej o charakterze państwowo totalistycznym, za którą właśnie te skrajne żywioły oświadczyły się bez żadnych zastrzeżeń. Nimi więc w ślepym doktrynerstwie obsadzano administrację szkolną, im powierzano zazwyczaj kierownictwo zakładów wychowawczych. A obok tych suwerenów szkolnych wyrosła druga grupa nauczycieli, ludzi bez stosu pacierzowego, bez żadnych przekonań ideowych, pochlebców i serwilistów, nadśluchujących tylko, skąd wiatr wieje. Ci właśnie ludzie, zdobywszy często czołowe stanowiska w szkolnictwie, używają swojej przewagi, związanej z ich urzędem, aby w sposób przykry i dotkliwy zatruwać życie podlegającym im ludziom pracy. Cały ten okres szkolnictwa polskiego jest okresem prawdziwej martyrologii nauczycielstwa katolickiego i narodowego. Zwłaszcza

w ostatnim dziesięcioleciu szykany stosowane wobec nauczycielstwa katolickiego wzrosły do niebywających rozmiarów.

Czynni katolicy nauczyciele odsuwani systematycznie od administracji szkolnej i od kierownictwa zakładów wychowawczych, przenoszeni pod pozorem dobra szkoły z posad lepszych na gorsze, albo też usuwani w stan spoczynku, odrywani od żon i dzieci, gnębieni moralnie i materialnie, nie wspomagani przez nikogo wobec obojętności i zahukania społeczeństwa, ani przez prasę, ani przez żywą opinię publiczną, stanowią już dziś tylko mniejszość olbrzymich rzesz nauczycielskich. Trzeba będzie przynajmniej dziesięciu lat, aby ten stan rzeczy z gruntu zmienić. Cóż zatem znaczą najidealniejsze programy, jeśli do ich wykonania brak jest odpowiednich ludzi? Dlatego równocześnie z dążeniem do zmiany programów musimy postawić zasadniczy postulat. Chcąc, aby duch chrześcijański przeniknął nasze szkolnictwo, aby młodzież nasza była wychowywana w zasadach zdrowych i zgodnych z potrzebami naszego narodu i państwa, należy domagać się, aby przede wszystkim stanowiska kierownicze naszej administracji szkolnej, jako też kierownictwa zakładów wychowawczych były wyłącznie powierzane wypróbowanym katolikom, ludziom rzetelnej i uczciwej pracy.

Podręczniki.

Pierwszą realizacją programów są podręczniki. Związane są one bezpośrednio z programem dydaktycznym. Trzymają się ściśle wskazań tamże zamieszczonych. Trzeba na tym miejscu stwierdzić, że niestety programy dydaktyczne szkoły dzisiejszej nie uwzględniają czynnika wychowawczego w sposobie ujmowania materiału dydaktycznego. Jest to bolesne niedociągnięcie i luka programów dydaktycznych. Przez ten brak cały program wychowawczy, ułożony przez władze szkolne jako naczelny cel szkoły polskiej, zawisł dosłownie w powietrzu. Autorowie podręczników szkolnych mogą go, jak wykazuje praktyka, swobodnie ignorować. To też postępują sobie w tym względzie zupełnie dowolnie. Nie może być zresztą inaczej, jak długo władze szkolne nie zdołają się na wysiłek jasnego określenia zasad wychow-

wania. A i pod tym względem programy ministerialne dotąd nie miało szwankują. Naszym dążeniem zatem powinno być takie skonstruowanie programów dydaktycznych, które by zostawało w ścisłej łączności z programem wychowawczym. Dotyczy to przede wszystkim przedmiotów humanistycznych wykładanych w szkole. To byłby nasz pierwszy postulat dotyczący programów dydaktycznych, a tym samym także podręczników.

Szkola dzisiejsza, chcąc zapewnić zewnętrzną jedność nauczania, zaleca korelację przedmiotów nauczania. Nie chcąc uznać religii za podstawowy przedmiot, z którym należałoby uzgadniać naukę innych przedmiotów, wprowadza historię jako podstawowy, do którego winny się inne stosować. Jest to o tyle wygodne, że historia nie opiera się na żadnych stałych zasadach moralnych. Każde dziejowe zdarzenie można ideowo nakreślić i naświetlić jak się komu podoba. To też mnożą się fakty tendencyjnego nadużywania historii do podrywania autorytetu wiary. W katolickiej szkole przyszłości, nauka religii musi się stać przedmiotem podstawowym, z którym inne będą szukać uzgodnienia. Ale nawet tak pojęta korelacja może się stać fikcją, jeżeli nie będzie korelacji w tematyce. Korelacja staje się wówczas celową, jeżeli to samo zagadnienie religijno-moralne jest aktualne równocześnie przy nauczaniu religii, historii, geografii, języka ojczystego i języków obcych. W przeciwnym razie korelacja staje się tylko przypadkową i bezwartościową zbieżnością wypadków, umieszczonych w tym samym czasie. Nie ma więc korelacji bez ustalenia i uzgodnienia tematyki na terenie różnych przedmiotów. Postulatem szkoły katolickiej i narodowej winno więc być ustalenie i uzgodnienie tych zagadnień religijnych i narodowych, które dla naszej chrześcijańskiej kultury są najwięcej wymowne. Na tej podstawie ułożone podręczniki nie będą już budzić żadnych zastrzeżeń, a przeciwnie spełnią swoją właściwą rolę wychowawczą.

Oto są dwa postulaty dotyczące podręczników: wychowawczy charakter programów dydaktycznych i korelacja z zasadami religijno-moralnymi. Podręczniki nasze muszą niecić w młodych umysłach i sercach wiarę w Boga i miłość narodu.

Program finałny.

Ostateczną formą naszych dążeń, która byłaby realizacją pełną wszystkich naszych postulatów, zdążających do religijno-moralnego odrodzenia społeczeństwa, jest wprowadzenie szkoły wyznaniowej w Polsce. Wszystkie żywioły w Polsce szczerze katolickie i narodowe muszą ten postulat przyjąć, jeżeli będą chcieli żyć i współpracować z Kościołem katolickim. Przeciwnikami tego postulatu mogą być tylko Żydzi, drobna część inowierców polskich i oddane Żydom grupy społeczeństwa polskiego. Są to równocześnie żywioły przeważnie obce nam duchowo, a nawet państwowo wrogie. Zanim jednak oczyścimy drogę z przesądów, które nam w tej chwili utrudniają spełnienie katolickich i narodowych zadań, winniśmy już dziś starać się o to, aby szkoła polska była siłą faktu katolicką i polską. W tym celu należy wyzyskać wszystkie możliwości, jakie posiadamy, wszystkie uprawnienia, jakie już obecnie zdobyliśmy jako katolicy w państwie polskim. Zasadniczym uprawnieniem naszym jest naczelna teza programu ministerialnego, że wychowanie w Polsce ma być religijno-moralne. W imię tego właśnie prawa, które wypływa z założeń Konstytucji, możemy i musimy żądać:

- a) Usunięcia wszystkich bezbożników i Żydów od wpływu na nauczanie i wychowanie młodzieży katolickiej; a dalej
- b) uzgodnienia na sesjach pedagogicznych nauki religii z nauką innych przedmiotów;
- c) powołania na stanowiska odpowiedzialne w administracji szkolnej i powierzania kierownictwa zakładów wychowawczych wypróbowanym katolikom;
- d) wycofania obecnych podręczników, a zastąpienia ich nowymi, przenikniętymi ideologią katolicką i narodową;
- e) jasnego określenia zasad wychowania religijno-moralnego w duchu zasad etyki katolickiej;
- f) wezwania wszystkich szczerych katolików nauczycieli, aby starali się stanąć na czele wszystkich organizacji młodzieży szkolnej dla przeniknięcia ich duchem katolickim i narodowym.

Ludwik Skoczylas.

Zagadnienie ludu w twórczości A. Dygasińskiego.¹⁾

A. Dygasiński przypomina spośród pisarzy swojego pokolenia literackiego szerokością horyzontów i zainteresowań umysłowych, chociaż mniej typem ustroju twórczego St. Witkiewicza, od którego był starszy o lat kilkanaście. Tylko że Witkiewicz stał się z biegiem czasu jedną z powag swojej epoki, jednym z jej moralnych oraz intelektualnych suwerenów, Dygasiński natomiast tworzył raczej w cieniu, nieuznany w swojej jakości hierarchicznej a nawet pomniejszany przez swoich współczesników. Był podobnie, jak Witkiewicz, chociaż w innej skali, raczej artystycznej, niż myślicielskiej, pisarzem - pionierem. Niepospolity pedagog, w swoich pomysłach dydaktycznych wybitnie postępowy i nowoczesny, aż do granic nowatorskiej wynalazczości, przyrodnik - popularyzator, teoretyk - ludoznawca, tłumacz²⁾ (przeważnie dzieł naukowych), nowelista, powieściopisarz, wreszcie publicysta obejmował swoją twórczością niemal wszystkie dziedziny życia polskiego dwóch epok tj. schyłku pozytywizmu oraz doby naturalistycznej, od nizin chłopskich i „lumpen-proletariatu“ do ziemiaństwa i wielmożów rodowych. Nie zdobył się wprowadzić nigdy na syntezę życia polskiego, jak Prus i Orzeszkowa, zato pod niejednym względem wyprzedzał swoją współczesność.

¹⁾ Odczyt wygłoszony na posiedzeniu naukowym Komisji Literackiej Polskiej Akademii Umiejętności w Krakowie.

²⁾ Dygasiński tłumaczył Maksa Müllera, Milla, Lewesa, Berta i. i.

Pionierem-odkrywcą był przede wszystkim, jako pierwszy w literaturze polskiej i jeden z pierwszych w zachodniej również, psycholog świata zwierzęcego, wcześniej przed R. Kiplingiem. Świat ten stanowi w jego nowelach zwierzęcych organizm samoistny o własnej kulturze obyczajowej, własnej ciekawej etyce, a nawet swoistej socjologii, słowem o odrębnej fizjognomii ustrojowej, której prawa pokazywał Dygasiński na losach swoich bohaterów zwierzęcych. Akcentował u nich inteligencję, solidarność gatunku, głos atawizmu, instynkty osobnicze i społeczne, uchylając się jednak od metody moralnego wartościowania swoich postaci zwierzęcych, opartej na ludzkich normach moralnych.¹⁾ Jego opowiadania zwierzęce, produkt fachowej wiedzy przyrodniczej, niezwyklej spostrzegawczości i znakomitego talentu, w sposób nieznany przedtem zaznajamiały z tajemnicami duszy zwierzęcej, mówiąc pośrednio o zdolności zwierząt do wyższych typów organizacji społecznych, doskonałych w swojej mądrej celowości.

Rewelator swoistego psychologizmu zwierzęcego, niezrozumiałego jeszcze i niedocenianego w swej epoce, wysoko natomiast ceniony przez jej elitę umysłową i twórczą, jak St. Witkiewicza, Bohusza a zwłaszcza Bronisława Chlebowskiego, który powiększał a posteriori, wbrew prawdzie jego rzekomo reprezentatywną rolę w ówczesnym pokoleniu, nazywając go (obok Sienkiewicza, Prusa i Orzeszkowej) jednym z głównych wychowawców i przewodników „społeczeństwa w najcięższym okresie jego doniosłej ewolucji“²⁾ — okazał się Dygasiński również rewelatorem duszy ludowej i najwybitniejszym przed Reymontem epikiem ludowej rzeczywistości. Mniej jednolity od Witkiewicza, bardziej rozproszkowany w swoich zamięlowaniach twórczych, nieumiejący, jak Witkiewicz podporządkować ich kompasowi syntezyzującej myśli społeczno-filozoficznej, przechodził ciekawą ewolucję również w stosunku do zagadnień ludowych, której następstwem była rozbieżność między jego początkowym

¹⁾ Por.: P. Chmielowski: A. Dygasiński. *Wielka Encyklopedia Powszechna Ilustrowana*. T. 17 i 18. R. 1896. Str. 475—477.

²⁾ Br. Chlebowski: *Literatura polska*. 1795—1905. str. 380.

stanowiskiem teoretycznym a charakterystyką życia ludowego w jego twórczości literackiej. Wyznawca filozofii pozytywnej a następnie estetyki naturalistycznej, nie zawsze konsekwentnie przez niego przestrzeganej, wreszcie u schyłku życia mistyczny kontemplator piękna przyrody (w swoim arcydziele *Gody życia*) — w okresie współpracownictwa w warszawskim *Głosie*, snuł rozważania na tematy kultury obyczajowej ludu pod kątem ludofilskiego idealizmu społecznego. W dwóch artykułach pt. „Precz z szynkiem”¹⁾ i „Jeszcze o szynku”²⁾ błyskotliwych dialektycznie, lecz spornych rzeczowo, niewątpliwie jednak niezmiernie oryginalnych, jako próba nowego oświecenia ludowej obyczajowości zastanawiał się Dygasiński nad społecznym znaczeniem szynków. Dochodził do przekonania, że ich pełne prawo obywatelstwa ma swoją przyczynę w głęboko zakorzenionym w duszy chłopu instynkcie kolektywizmu. Bynajmniej nie nałóg pijaństwa prowadzi chłopą do karczmy, lecz wysoko rozwinięty w nim zmysł uspołecznienia. W szynku, który jest według Dygasińskiego dla chłopą „odpowiednikiem klubu” i w którym chłop zaspakaja swój głód towarzyskiego obcowania, wyżywa się on równocześnie społecznie. Dygasiński dostrzegał w szynkach rodzaj nieoficjalnej instytucji, świadczącej o socjologicznej potrzebie zbiorowego współżycia, wymiany poglądów, a nawet kształtowania się chłopskiej opinii publicznej. Przecistawiając się dotychczasowym zapastrywaniom o ujemnym wpływie karczmy na duszę chłopą nie waha się Dygasiński zaopiniować, że szynk tak bardzo osławiony, jako rozsądnik pijaństwa i zepsucia, jest naprawdę jednym z walnych środków społecznego wychowania chłopą.³⁾

W miarę jednak oddalania się Dygasińskiego od ludowych sugestyj *Głosu*, w miarę nasiąkania głośnymi wtedy teoriami, jak ewolucjonizmem przyrodniczym Darwina, teorią dziedziczności, doktrynami estetycznymi naturalizmu, za-

¹⁾ *Głos* nr 2, rok 1886.

²⁾ *Głos* nr 6, rok 1886.

³⁾ Karczma i szynk są u Dygasińskiego terminami jednoznacznymi, nie odróżnia on znaczeniowych odchyłeń w tych wyrazach, zresztą treściowo sobie blisko pokrewnych.

czyna on spoglądać na kwestię ludową bez idealizującego pryzmatu społecznego. Karczma i jej miejski równoważnik szynk, postawione przez Dygasińskiego - teoretyka na piedestale wysokiej misji wychowawczo-społecznej, częściowo nawet opiniotwórczej (w stosunku do ludu) tracą w jego powieściach i nowelach chłopskich, jak również w utworach o innej tematyce swój poprzedni nimb. Dygasiński zajmując się częściej zagadnieniem alkoholizmu w jego różnych postaciach i przejawach, psychologię chłopca-alkoholika przedstawiał z prawdziwą maestrią. Wentylując to zagadnienie uświadamiał sobie międzyklasowość zjawiska alkoholizmu o podwójnym, przeciwstawnym charakterze tj. gospodarczym i moralno-społecznym; zaciekała go jednak siła działania tego zjawiska na ludzi z różnych środowisk społecznych, a głównie jakość duchowych reakcji u chłopca-alkoholika. W 4-tomowej powieści pt. *Gorzałka* usiłuje na Balzakovską miarę (bez Balzakovskich niestety wyników) skonfrontować ekonomiczną stronę problemu alkoholizmu z jego tragicznymi następstwami moralno-społecznymi. W powieści tej zobrazował na materiale ludzkim demoniczną rolę niszczyielską alkoholu. Występuje w niej również chłopska rodzina nałogowych pijaków, Kociubów, stałych niemal lokatorów karczmy, oraz pozornie wyleczony z nałogu pijaństwa, chłop Maruda, okazujący się ostatecznie alkoholikiem recydywistą. Ten ostatni, chłop bezrolny, pracujący w gorzelnii, gdzie wybija się na odpowiedzialne stanowisko dzięki wrodzonym wybitnym zdolnościom, chłop o dumnym karku i przeczulonej godności osobistej, z przeblaskami świadomości klasowej, postać epizodyczna wprawdzie, lecz zarysowana, jak wszystkie kreacje chłopskie Dygasińskiego z mocną plastyką, demonstruje swoimi losami proces przetrwania się bezrolnego proletariatu chłopskiego w nową formację społeczną tj. proletariat fabryczny, robotniczy.

Typy chłopów-alkoholików pojawiają się dalej u Dygasińskiego w jego dłuższym opowiadaniu pt. *Kuba Gąsior* oraz w powieści publicystyczno-społecznej *Na złamanie karku*. W *Kubie Gąsiorze* widzimy następstwa alkoholizmu, który doprowadza dwóch dobrze sytuowanych chłopów, zięciów najbogatszego gospodarza wsi, Siarę i Maślocha do anty-

społecznego pasorzytnictwa społecznego. Obydwaj staczają się wskutek tego na dno nędzy wraz ze swoimi rodzinami. W rezultacie mordują swojego teścia, Kubę Gąsiora. W powieści o emigracji brazylijskiej *Na złamanie karku* zamożny gospodarz Głodzikowski, jeden z najlepiej sportretowanych przez Dygasińskiego typów chłopca-alkoholika marnuje się również z powodu swojego nałogu. Zanim ulegnie wypadkowi w stanie nietrzeźwości, wskutek którego ginie na dnie brazylijskiej przepaści, jest tylko męczącym balastem dla polskiej grupy emigracyjnej, do której otrzymał przydział. Dygasiński, dla którego pozorna racja gospodarcza alkoholizmu nie przeciwwaga krańcowego szkodnictwa moralnego samego zjawiska, społecznie zabójczego, maluje w barwach naogół czarnych atmosferę karczmy oraz szynku. Atmosfera ta, fatalnie działająca na duszę chłopca, nie ma w sobie nic z nastrojów „klubu“, którego ludowym korelatem miała być rzekomo karczma, rehabilitowana poprzednio na łamach *Głosu* przez autora *Dramatów lubądzkich*.

Widzenie życia ludowego cechuje w twórczości Dygasińskiego wybitny pesymizm. Pesymizm, zabarwiony ironicznym humorem, nietuszujący prawdy, ale wystrzegający się równocześnie łatwego generalizowania. Przyrodniczy kąt widzenia w połączeniu z doktryną naturalizmu, która wymagała od pisarza, by pejzaże życia transponował literacko z fotograficzną tożsamością, wyłącznie pod znakiem prawdy, przyczynił się zapewne, że Dygasiński odtwarzał psychologię ludu w wymiarach najbardziej autentycznych. Pisarz-społecznik, w którym publicysta rywalizował częściej z artystą, a obserwator-diagnosta przejawów życiowych, raczej niezłożonych, bliskich fizjologicznej zewnętrżności przeważał nad psychologiem wnętrza i głębin, chłopca polskiego i jego rzeczywistość, zarówno gromadzką, jak i osobniczą kreślił z nieomylną spostrzegawczością. Z jego licznych postaci chłopskich bije prawda nieomal dokumentu. Amoralna zachłanność i drapieżna wola posiadania, nie licząca się ani z kodeksem moralnym ani z nakazami religijnymi prowadzą niejedną z jego postaci chłopskich do brutalnych zatargów z prawem społecznym i etycznym. Kuba Gąsior dochodzi do dużego majątku za pomocą bratobójstwa; Dziura (z *Wła-*

ścicieli) worywa się w ziemię obszarnika-sąsiada, na którym wymusza częściowo kłamaną pokorą, częściowo zaś groźbami zaaprobowanie aktu dokonanego; nad Pieczonką (z *Dramatów lubadzkich*), chłopskim Łazarzem o głębokim umyśle i kryształowej nieskazitelności charakteru pastwi się rodzina Młoszów, patrycjuszów chłopskich, doprowadzając go do samobójstwa; Margielę najmitkę — komornicę o gołęmbim sercu i nadzwyczajnej wrażliwości, etycznie prawą, bezbronną i niewinną kobietę zaszczuwa wprost jej otoczenie z zimnym okrucieństwem; zagrodę spokojnego, oświeconego chłopą Łasa puszcza z dymem wyrostek chłopski, syn jednego z Młoszów z milczącą zgodą nie tylko całej rodziny, lecz całej wsi, zato, że Łas ośmielił się wydzierać u ziemianina Szepietyńskiego „kliny“ wraz z groblą, do których rościli sobie bezprawnie pretensje Młoszowie; Maruda, chłop budzący zresztą pewną sympatię i współczucie dla swojej niezawisłości duchowej podpała gorzelnię swojego byłego chlebowodawcy, Strumskiego pod wpływem żądzy zemsty. — Oto w niedokładnym tylko wyborze podane momenty wymienionych wyżej chłopskich zatargów z kodeksem moralnym i społecznym, zarejestrowanych w twórczości Dygasińskiego. Kuba Gąsior, Siara, Maśloch, Dziura, Majcher Młosz, patriarcha rodziny — to odmiany tego samego gatunku psychologicznego — chłopą, wybitnie ujemnego. Spory gromady wsiowej, przeważnie o wątpliwym uprawnieniu, na tle regulowania dawnego przywileju serwitutowego np. w *Dramatach lubadzkich* z życzliwym dla ludu ziemianinem demokratą, Szepietyńskim, lub we *Właścicielach* z trzema mniejszymi obszarnikami, wynikają również z niezaspokojonego głodu chłopskiego własności i ziemi, który jest jednym z podstawowych składników psychologii ludowej.

Dygasiński, który podobnie, jak St. Witkiewicz wypowiada swoje własne sądy w dygresjach daje ciekawy komentarz do psychologii chłopą: „chłop jest mrówką, która na małej przestrzeni rękami własnymi wykonywa dzieła udoskonalonych machin. Chłop jest tą pszczołą, która gromadzi bogactwa w swoim ulu a całym jej obrotowym kapitałem jest życiowa energia. Nie potrzeba do tego żadnej

przymieszki romantyzmu, apoteozującego cnoty chłopskie. Chłop jest takim, jakim jest: chciwym, przesadnym, ograniczonym. Ale wszyscy przodkowie cywilizowanych narodów byli tacy sami. Można sobie poetyzować, ale lepiej trzymać z rzeczywistością.¹⁾

Stosunek chłopca w epoce popańszczyźnianej, w której wieś zaczyna się różniczkować i ustalać w granicach nowej konfiguracji klasowo-gospodarczej do dawnego stanu historycznego, to jest szlacheckiego ziemiaństwa pojmuje Dygasiński, jako zagadnienie nasyconego ekonomicznie idealizmu dziejowego i chłopskiego nienasycenia, kryjącego w sobie perspektywę twórczych zacznów społecznych. „...Występowały tu dwa dziejowe pierwiastki: pan i chłop — słowa Dygasińskiego — a każdy z nich posiadał oddzielną, ogólnoludzką właściwość. Krajpolski wyobrażał zasadę idealizmu, Dziura — realizm. Hrabia pokochał ziemię w imię świetnej przeszłości, jako pamiątkę rodowej tradycji i na ten cel gotów był ponosić znaczne ofiary. Dziura dobijał się do tego, co hrabia już posiadał; on chciał mieć dużo ziemi. Nie odmierzajmy rzeczy korzystnych miarką szlachetności, bo dobra przyszłość społeczna niekoniecznie od szlachetnych uczuć zależy” (*Właściciele* str. 166). „Rycerzem bohaterskim ziemi, choć bez pancerza”²⁾ nazywał Dygasiński chłopca, opisując w *Margieli i Margielce*, szczegółowo jego pracę. Ziemia i praca jest zdaniem Dygasińskiego — żywiołem chłopca. Praca to nie tylko jego organiczna konieczność, lecz również jego misja społeczna, równoważąca swoją płodną wartością cienie natury i duszy chłopskiej.

¹⁾ *Właściciele* str. 190 wydanie zbiorowe dzieł w opr. Wł. Wolerta z przedmową Al. Brücknera.

²⁾ K. Czachowski w „Obrazie współczesnej literatury polskiej” mówiąc o apoteozie pracy chłopskiej u Dygasińskiego na podstawie *Margieli i Margielki* posuwa się do ryzykownego twierdzenia: „Rysuje się tu już filozofia pracy, która sformułowana przez Brzozowskiego w Polsce odrodzonej stanie się myślą przewodnią nowej literatury polskiej” (tom I. str. 43). Naprawdę prekursorem filozofii pracy był w literaturze polskiej C. K. Norwid. U Dygasińskiego opisy pracy stanowią tylko niezbędny składnik w epickim obrazie życia ludowego. Sformułowań filozoficznych na temat pracy, które możnaby uważać za załączek późnej teorii pracy nie ma u Dygasińskiego.

Przeobrażenia życia ludowego umiejscowia Dygasiński na tle realiów folklorystycznych, obyczajowości regionalnej, najczęściej dobrze podmalowanej i krajobrazów przyrody. Ale przede wszystkim uwagę jego pochłania człowiek. Twórczość jego odzwierciadla życie polskiej wsi na wszystkich niemal poziomach jej moralnej i społecznej hierarchii, od jej bezdomnych nizin, świata najmitów i komorników (Pieczonka, Margiela), wegetujących w najokropniejszych warunkach — do gospodarzy — torysów wiejskich (Majcher Młosz, K. Gąsior, Sz. Biernat, Łas). Naturalista, u którego wraca niekiedy tendencyjność z doby pozytywistycznej, (*Żywot Beldonka*, część II) nie miał jednak skłonności do tworzenia mitów ludowych, których hodowli sprzyjała ówczesna atmosfera *Głosu*. Jego lud jest ludem rzeczywistym ze wszystkimi wadami, budzącymi często grozę, płynącymi zaś głównie z wielowiekowej ciemnoty i niedostatecznego przygotowania do klasowego równouprawnienia, a stawiającego go na stopniu, niedalekim od moralnej antropofagii i mimo to wielkimi zaletami, które predystynowały tę bezdziejową dotąd klasę, pulsującą potężną energią do zadań społecznie pionierskich. Dlatego utwory chłopskie Dygasińskiego, w których przemiany rzeczywistości ludowej rysują się z sejsmograficzną niezawodnością robią wrażenie artystycznych monografii o rozwojowych fazach psychologii ludowej.¹⁾ „Wyobraźnia jego lubuje się — mówi o Dygasińskim jego krytyk dawniejszy, J. Nowiński — szczególnie w takich typach, które mogą służyć za dowód oczywisty teorii Darwina. Chłop, najczęstszy i najdoskonalszy przedstawiciel rodzaju ludzkiego w dziełach Dygasińskiego — to troglodyta, szkicowany przeważnie w swej ciemnocie śmiesznej, niekiedy

¹⁾ A. Potocki w swojej *Polskiej literaturze współczesnej* (tom I. str. 247) charakteryzuje wybornie Dygasińskiego, jako psychologa wsi i ludu: „Nikt bezpośredniej i całkowitej nie odczuł prawa wsi, jak Dygasiński. Całe życie snuje się ten pisarz w literalnym i przenośnym znaczeniu po wszystkich zakątkach polskiej wsi. Z nad radosnych błot nad krakowskim Prądnikiem przenosi się na Poniemie, całe w przebogatych łęgach, to znów na błonie, wodą podlane puszcze nadnarwiańskie, to odbywa wędrówkę ku Częstochowie i wałęsa się z dziadem-żebrakiem, to się rozraduje bogactwem pszennych Kujaw. Taki to zakres, jak cała Polska. Na tej dopiero solidnej podstawie naturalistycznej, szczegółowej i pogładowej przy-

nawet i potwornej".¹⁾ Tę ogólnikową a poza tym jednostronną uwagę trzeba uzupełnić, że Dygasiński rozumiał jednak dobrze i w obfitej kolekcji swoich postaci chłopskich zaznaczał dualizm duszy ludowej oraz jej dwuwarstwowość moralną. Obok bowiem kreacji ludowych, odpychających swoim sobkostwem, pieniacstwem (w stosunku do dworów szlacheckich), pijaństwem, nieprawdopodobną wprost ciemnotą, sadystyczną drapieżnością (w stosunku do słabych), słowem moralną brzydotą i zupełnym brakiem kultury duchowej — występują w jego twórczości rzadsze niestety typy chłopskie o zadziwiającej delikatności uczuciowej, oświecone lub ciężące ku oświacie, i moralnie wartościowe. Do tych ostatnich wypada zaliczyć Sz. Biernata (z *Żywota Beldonka*), Łasa, (z *Dramatów lubądzkich*) a przede wszystkim Beldonka, chłopca wiejskiego, zdradzającego nie tylko potężny pęd do wiedzy, lecz również najniezwyklejsze, wielokierunkowe uzdolnienia, zmarnowane jednak wskutek ciemnoty chłopskiego środowiska. W *Żywocie Beldonka* odnawiają się ludofilskie sugestie z poprzedniej epoki *Głosu*, a razem z nimi wraca żywioł dydaktyczny. W jednej ze swoich dygresji mówi Dygasiński o potrzebie wiedzy i oświaty dla ludu i jej błogosławieństwach. „Każdy bowiem człowiek ciemny — słowa Dygasińskiego — jest samolubem, sobkiem, który żyje tylko dla siebie a nie zważa na szkodę, krzywdę, cierpienie bliźnich. Ciemnota nie tylko upośledza i zamyka człowiekowi drogę cnoty, ona jest dla niego w najwyższym stopniu szkodziwa. Rządy nad innymi stworzeniami, panowanie na ziemi, mogą sprawować ludzie jedynie przez rozum — i to jest

chodzi jego znawstwo przyrody. On przyrodę zna przez Polskę, Polskę zaś zna przez byt jej wioskowych mieszkańców we wszystkich ziemiach od krakowskiej do mazurskiej. To jeden żywy organizm, dyszący życiem pod szarym niebem, nad szarą Wisłą. Chłopak wiejski, dziad-włóczęga, rybak-wodnik, bartnik, rolnik — całe obywatelstwo pól, rzek i lasów a już wraz ze współpracownikami, towarzyszami doli i niedoli z dobytkiem, kundlem z podwórza, zającem z pod miedzy, szarym wilkiem, skowronkiem i jastrzębiem, aż hen z leśną, tajemniczą głębią Bonboru, gdzie się rodzą myty — taki to świat objęło pojęcie wsi. Ale troskliwa, chłopska zabożliwość koło potrzeb życia — to jedna wspólna oś tego świata”.

¹⁾ Nowiński: „Dygasiński, jako beletrysta”. *Ateneum* r. 1897, tom 2 zes. 3.

jasne.“¹⁾ W rozmowie dwóch chłopów, przedstawicielei biegunowo przeciwległych światów ludowych tj. oświeconego i tradycyjnego uwyrażnia Dygasiński swoje stanowisko dydaktyczno-społeczne, sugerując je Sz. Biernatowi, wyznawcy nowych prądów.

Dziwota mnie zbiera — powiada Matus — przez co tacy surdutowi okrutnie lgną do nauki. Ciągłe w kółko jedno ci powtarzają: „nauka, nauka, nauka!“ Toć mi łeb na nic rozklekotali. Jaki oni pożytek z takiego gadania mają. •

Przecie z gadania pożytku nie ma, jeno z nauki. Mędrsi muszą głupszych oświecać, mówić im, o co chodzi; a kto ma głowę na karku ten i pożytek znajdzie.

— Z cudzego rozumu człowiek nie zmańdrzeje!

— Przypomnijcie sobie, żeście na żaden sposób nie chcieli siać łubinu, a teraz siejecie, i zamiast dwóch korcy żyta z morgi, zbieracie po osiem.

— Jakem zmiarkował, to sieję. Cóż nie mam siać, kiej dobrze czyni?...

— No, przecie nie ze swego palca wyssaliście tę mądrość, tylko z cudzego rozumu, i inni też tak robią: uczą się jedni od drugich.

— Eee, ja tam nie o takiej nauce mówię. Nie miałbym nic przeciw temu, żeby Beldonka nauczyli siać, orać, kosić, włożyli go do sikiery. — Ale tym profesorom chodzi przecie głównie o książkę, o pismo i różne takie rzeczy, co chłopakowi w głowie przewrócić; będzie myślał, że się we dworze urodził.

— Skądże wy to zaś wiecie, co on będzie myślał?

— Bo lada pismak pomiata chłopskim stanem, ma się za coś lepszego. Czy ja to nie znam w Stopnicy, w Chmielniku tych grýmołów, co skargi do sądu pisują? Zapłacisz mu rzetelnie, a on cię obełże i za oczy wydrwi, powie: — „głupi cham“.

— Święta prawda, są tacy, jeno nie nauka temu winna, bo jej tacy nie mają, a nasza głupota, że im się za nos wodzić dajemy.²⁾

Beldonek, bohater tytułowy, w którym drzemie nieziszczony geniusz klasy ludowej wyobraża idealny pierwiastek dualizmu ludowej duszy a zarazem twórcze możliwości kulturalno-społeczne ludu. W obu opowiadaniach tj. *Beldonku* i *Żywocie Beldonka* pesymizm graniczy z kapitalnym, iście Dickensowskim humorem, a rzeczywistość ludowa, oglądana z podwójnego aspektu uwypukla się w doskonale uziemionej

¹⁾ *Żywot Beldonka* str. 49 i 50.

²⁾ Tamże str. 89—90.

konkretności psychologicznej. Spośród mnóstwa kreacyi chłopskich niezapomniane wrażenie pozostawia przepyszna sylwetka chłopskiego Zagłoby, tylko mniejszego i lichszego moralnie formatu, żebraka Florka, arcyłgarza, obieżyświata, bigota, szarlatana i złodzieja w jednej osobie. *Beldonek* i *Żywot Beldonka*, to jakby ludowa parafraza, naturalnie przypadkowa, niezamierzona, a poza tym w rozmiarach pomniejszych *Przypadków imię pana M. Doświadczyńskiego*, nawet dydaktycznie pokrewna powieści Krasickiego, głosząca bowiem kult oświaty i wiedzy, a piętnująca zgubne następstwa ciemnoty.

W stosunku do zagadnień etyki ludowej i religijności ludu ujawnia Dygasiński pewną zbieżność z Witkiewiczem. Jest rzeczą niezmiernie charakterystyczną, że najwyższą moralność reprezentują w jego twórczości nie rodowe tuzy chłopskie, stojące na wysokim szczeblu społecznym, chociaż nie brak i wśród nich wyjątków, (Łas, Sz. Biernat) lecz ludzie z chłopskiego dna społecznego jak np. Margiela i Pieczonka, spowinowacony duchowo z *Głupim Frankiem* Konopnickiej i *Gandarą* Witkiewicza. Na życiowych dziejach takich kreacji chłopskich, jak Margiela lub Pieczonka wykazywał Dygasiński inwersję tj. zupełne odwrócenie stosunku między pozycją społeczną a moralną wartością. Chłopska opinia publiczna w jego powieściach i nowelach ludowych nie spełnia czynności istotnego autorytetu moralnego, organu sumienia zbiorowości. W życiu ludowym odnajdywał Dygasiński te same typowo-ludzkie, zoologiczne instynkty psychologii tłumu, które przybliżały duszę tej zbiorowości do historii naturalnej. W *Dramatach lubądzkich* oraz w *Margieli* i *Margielce* działa chłopska opinia publiczna z bezmyślną furją, jako narzędzie torturowania słabych i niewinnych. Niewątpliwie Dygasiński podpisałby się pod poglądem A. Schopenhauera, dla którego opinia publiczna była w ogóle bez względu na jej klasowy przydział dyktaturą zorganizowanej głupoty oraz tragiczną komedią idei sprawiedliwości i rzeczywistej moralności.¹⁾

¹⁾ W podobny sposób tropił w imię swojego maksymalizmu moralnego kłamstwa społeczne opinii publicznej H. Ibsen w swoich dramatach pt. *Wróg ludu* i *Podpory społeczeństwa*.

W religijności chłopca stwierdza Dygasiński nieobecność metafizycznego stosunku do Boga. Jak w chłopskim kulcie ziemi nie ma cech bezinteresowności, tak w jego wierze, najczęściej czysto animistycznej, przeważa obrzędowość. Realizm chłopca uziemia jego wiarę, niezbyt daleko odbiegającą — w oczach Dygasińskiego — od wierzeń totemicznych. Dlatego religijność tak nieznacznie oddziałuje na duszę chłopca, nie jest jeszcze czynnikiem jej uszlachetnienia. Za aktami wiary u kreacyj chłopskich Dygasińskiego kryje się nieraz maska utylitaryzmu. W powieści pt. *Właściciele* znajduje się znamienita ilustracja jednego z typowo chłopskich objawów religijności a zarazem analiza jej pobudek, dosyć groteskowych w swoim charakterze utylitarным. Pakowanie z Bogiem o wymiar dobrodziejstw materialnych, za które chłop Dziura przyrzeka Panu Jezusowi i Najświętszej Pannie „ochfiarę“, ale jej jakoś uzależnia od świadczeń czy dobrodziejstw Bożych, unaocznia antymetafizyczny stosunek chłopca do Boga.

— Dzisiaj ty, to może i przyjdzie szczęście: ...nie ślubowałeś ty sobie jakiej ochfiary, jakby cię Pan Jezus obdarzył?

— Toć dycht ślubowałem. Niech ino dobrze będzie, a wiem, co zrobić.

— Powiedz że mi to, byśmy we dwoje pamiętali, jakbyś ty zabaczył, ja ci wspomnę.

— Nie wiesz to? Cóżbym miał zrobić innego, jak na chwałę Boską postawić we wsi co takiego?...

— Cóżbyś ty chciał postawić?

— Wiem ja to, co mnie spotka? Jeśli będzie nieduża szczęśliwość, to postawię świątko ze sosnowego drzewa, co go podoba ociosać kto niebądź.

— Jak posiedziesz ten kęs ziemi, co go targujesz u Tatarczanego, to się musisz lepiej postawić przed Panem Jezusem i Jego Najświętszą Panią... — powiedziała Zośka.

— Ma się wie — odparł Szymek — każę wyręczyć figurę z kamienia a ty ją rok rocznie pobielisz wapnem, nikiej chałupę, żeby bieluszka czystość zawdy bywała.

— A już ci ...zielem też wszelakim malowałbym onego świątko...

Jakby mi lepszy los jeszcze trafił, to bym przed figurą kazał zrobić zmyślny płótek, i powiesić latarnię z czerwonego szkła... Niechby ta gorzała po odwiecznym.

— Śliczności ofiara taka. — zawołała Zośka z zachwytem. — Byłaby świętym Pańskim miłuszka i jużby nam się coraz lepiej wieść musiało.

— Masz to rozum, kobieto, że jakby mi Pan Jezus i Przenajświętsza Panna sypnęli bogactwa... — Przy tych słowach Dziura obnażył głowę. — Wyrzwałbym ci, w Noskowicach taką galantą kaplicę, jakiej nikt z gospodarzy na okolicę potąd nie stawiał.

— Kiej Pan Jezus zna twe myśli, to się może zlituje.¹⁾

Obraz życia ludowego na tle jego gospodarczej i społecznej ewolucji w latach popańszczyźnianych w Polsce porzobiorowej a zarazem duchowych przemian ludu wypadł w twórczości Dygasińskiego na ogół dosyć ponuro, bardziej pesymistycznie, niż u Sienkiewicza i Orzeszkowej, nie mówiąc już o Prusie. Ale trzeba tu zauważyć, że jakkolwiek bije z tego obrazu surowy krytycyzm pisarza, nigdzie nie naruszył on kanonicznej poniekąd zasady naturalistycznej „dokumentarnej” niemal ustosunkowania twórcy do tworzywa, nie wypaczył realistycznej prawdy. Jeżeli jednak czasem wbrew estetyce naturalizmu, która narzucała twórcy między innymi obowiązek faktograficznego „protokołowania” rzeczywistości, jak się wyrażał Emil Zola, wartościował Dygasiński, przeważnie w dygresjach — ludową rzeczywistość oraz psychologię ludu, znowu nigdy nie fałszując prawdy, to czynił to, jako czujący społecznik. Społecznik, który walczył w Dygasińskim z chłodnym spostrzegaczem, wyznawcą przyrodniczego determinizmu, przewyciężał w nim nierzadko naturalistę. Badacz przejawów życiowych, „etnolog i psycholog”, jak go nazywa Br. Chlebowski kapitulował wtedy przed wyklętym przez naturalizm — dekalogiem serca. Rodził się w Dygasińskim humanitarysta społeczny. W dygresjach, rozrzuconych w jego utworach ludowych z pełną celowością, rzadko psującą ich architektonikę kompozycyjną, które są najcenniejszym kluczem do poznania filozofii społecznej Dygasińskiego a po części jego osobowości w ogóle, wysuwał on swoje postulaty przebudowy życia ludowego. Podawał nawet, jak widzieliśmy gotową receptę, według której należało skutecznie to niezmiernie ważne zadanie. Lud był w jego oczach, mimo braków cywilizacyjnych i moralnych — rezerwą polskiej przyszłości.

¹⁾ *Właściciele* str. 170 — I.

Dygasiński doceniał jego wspaniałą energię społeczną i biologiczną, nieuświadomioną w masach ludowych, marnującą się bezpłodnie. Pragnął tę energię przetopić, jak Prus i Orzeszkowa, na zorganizowaną siłę narodową.

Dlatego wystąpił, jako publicysta w popularnej broszurze informacyjnej *Czy jechać do Brazylii?* (wydanej nakładem *Kuriera Warszawskiego*) oraz w *Listach z Brazylii*, a następnie, jako powieściopisarz w publicystyczno-społecznej powieści *Na złamanie karku* przeciw ruchowi emigracyjnemu, który — jego zdaniem — zaprzepaszczał tylko wielotysięczny materiał ludzki z kół ludowych. Dygasiński uważał w ogóle chaotyczną gospodarkę kolonizacyjną na ziemiach polskich, przesiedlającą całe skupienia chłopskie lekkomyślnie bez odpowiedzialnego kierownictwa, a nawet bez żadnego przygotowania za klęskę narodową. Brazylijska kwestia emigracyjna, dyskutowana obszernie w ówczesnej publicystyce polskiej ujawniła dwa sprzeczne stanowiska, rozważana mianowicie, jako zagadnienie populacyjno-gospodarcze (S. Kłobukowski i St. Szczepanowski) oraz zagadnienie polskiej ekspansji narodowej na obcych terenach kolonizacyjnych (J. L. Popławski).¹⁾ Dygasiński, który zwiedził Brazylię i zbadał na miejscu życie na koloniach oraz na stacjach

¹⁾ Brazylijska kwestia emigracyjna wywołała w owym czasie całą literaturę przedmiotu. Prócz kilku publikacyj, z których najważniejsze są S. Kłobukowskiego *Roczna emigracja ludności polskiej i środki przeciw niej zaradcze*, głośna broszura St. Szczepanowskiego pt. *Nędza w Galicji*, ks. Chełmińskiego: *w Brazylii* dwa tomy (książka recenzowana obszernie przez J. L. Popławskiego w Jego „Szkicach literacko-naukowych”), Dygasińskiego *Listy z Brazylii*, obejmuje wymieniona literatura przedmiotu cały szereg artykułów, drukowanych przeważnie na łamach *Głosu*, gdzie toczyła się dłuższa dyskusja na temat zagadnień emigracyjnych. Wymieniam główne pozycje publicystyczne, które obrazują w przybliżeniu przebieg tej dyskusji, pochłaniającej uwagę ówczesnego społeczeństwa polskiego. Oto one: A. Kmiecic: *Ze wsi* (artykuł o emigracji) *Głos* nr 7. r. 1886, — Art. wstępny pt. „Emigracja polska”, podpisany inicjałem P. (Popławski?) *Głos* nr 4, 5, 6, rok 1890. — Art. Wł. Studnickiego pt. „Kilka słów o emigracji” *Głos* nr 14 i 15 rok 1890. — Art. J. L. Popławskiego pt. „Błędne wnioski” (na marginesie broszury Szczepanowskiego *Nędza w Galicji*, *Głos* nr 38 i 39 rok 1890. — Art. wstępny Popławskiego pt. „Jeszcze o emigracji” *Głos* nr 44 rok 1890. — Art. Popławskiego pt. „Brazylia i emigracja” *Głos* nr 2 rok 1890) 1.

kwaterunkowych przed rozmieszczeniem polskich emigrantów w miejscach przeznaczenia, sygnalizował z przesadnym pesymizmem, jednostronnie tylko udokumentowanym niebezpieczeństwa, wynikające z ruchu emigracyjnego dla mas ludowych, rzuconych na łup oszukańczych agentów, nadużyć ze strony brazylijskich czynników administracyjnych, niejednokrotnie trudnych warunków klimatycznych, wreszcie niezmiernie ciężkich terenów pracy. Powieść Dygasińskiego *Na złamanie karku*, już w tytule zaznaczająca negatywne stanowisko autora przede wszystkim do katastrofalnej w następstwach bezplanowości ruchu emigracyjnego, skierowana poza tym przeciw samej emigracji, której tragiczne bezdroża miały unaoczniać losy powieściowych krecyj, była przestrogą i protestem. W rozdziale pt. „Zagadkowy człowiek” występuje sobowtór autora, Kołomiński, również beletrysta, zbierający materiały do powieści, który po swojej podróży brazylijskiej mobilizuje przeciw ruchowi emigracyjnemu polską opinię publiczną. Własne obserwacje i własne refleksje o emigracji wypowiada Dygasiński przez usta Kołomińskiego. Podobne refleksje, zresztą niemniej jednostronne, jak wykazały dalsze etapy rozwojowe ruchu emigracyjnego przemycił autor *Na złamanie karku* w rozmowie dwojga przedstawicieli brazylijskiego higrif'u znajdujących się na statku pasażerskim „Planecie”, który to statek przewoził również polskich chłopów do Brazylii.

— Rzecz szczególna. Byłam przecie w Lizbonie, Rzymie, Madrycie, Paryżu, a nigdzie nie widziałam takich ludzi. My uważamy Europę za najbardziej cywilizowaną część świata a jej mieszkańców mamy za najszczęśliwszych. Tymczasem ci oto ludzie wyglądają, jakby półdżicy i mają takie smutne fizjognomie. I co ich też mogło skłonić do opuszczenia kraju rodzinnego?

— Złe warunki bytu a przy tym nadzieja, że im w Brazylii będzie lepiej.

— Nieprawdaż że się biedacy ciężko zawiedli?

— O tak, tutaj doznają zupełnego zawodu. Synowie północy wrosli w swoją glebę, wychowani przez surowy klimat, nie zniosą ognistego podniebia Brazylii, nie wyżyją na naszych płodach. Patrz pani, ci wszyscy ludzie tęsknią, widać to w ich fizjognomiach, w ich ruchach ciała; widocznie cywilizacja nie przygotowała tego ludu do kosmopolityzmu kolonizacyjnego — lub jeśli kto woli — do przeszczepienia własnej, rodzimej cywilizacji na

grunt obcy. Nasz rząd źle robi, że takich właśnie sprowadza. Brazylia bowiem nie będzie miała obywateli z tego materiału a ojczyzna i ludzkość straciły ich już na zawsze.

— To bardzo smutne, gdy tyle rodzin ginie bezowocnie. Ale powiedz mi pan, dlaczego to nie przepadają jednak w Brazylii Włosi, Hiszpanie, Niemcy?

Włosi i Hiszpanie żyją w przyrodniczych warunkach, zbliżonych do naszych a na Niemców znowu przysłała ta cywilizacyjna pora, w której częściowa ich emigracja jest konieczna. Zresztą Włochów, Hiszpanów, Niemców nikt nie wywabia z kraju nadzwyczajnymi obietnicami. Oni emigrują naturalnie, dobrowolnie, nie spodziewają się niczego i wszystko, co znajdują w Brazylii jest dla nich dobre. Natomiast Polaków sprowadzają agenci do nas sztucznie, przybiecując im złote góry; więc nie dziw, iż ci ludzie spotykają się z zawodem, z rozczarowaniem; tym gorzej, że jest to ludność bardzo biedna, bez najmniejszych środków.¹⁾

Kompetentny krytyk i publicysta J. L. Popławski, znawca problemów emigracyjnych stwierdził, że Dygasiński mylił się w swoich wnioskach, nazbyt powierzchownych, opartych tylko na wąskim pokłosiu obserwacyjno-poznawczym, nieuprawniającym zatem do ryczałtowych uogólnień negatywnych. „Siemiradzki, Hempel, Łazniewski — słowa Popławskiego — zwiedzili stare i nowe kolonie a opisy ich znacznie się różnią od opisów Dygasińskiego. I oni widzieli nędzę, wyzysk, głód, niesumienność urzędników kolonizacyjnych, rozpacz emigrantów, ale widzieli stare kolonie zamieszane, kwitnące, dobrze zagospodarowane, ładne domy, ludność zdrową i rosnącą. I w nowych koloniach dostrzegali objawy pocieszające, zawziętą energię chłopą, karczującego las, zaprowadzającego gospodarstwo na nowiznie. Nie ma jeszcze trzech lat od podróży Dygasińskiego, a ci koloniści, których przedstawia włóczących się po lasach i szukających śmierci sprowadzają już sobie księży i nauczycieli nie szczerząc znacznych kosztów”.²⁾

Powieść Dygasińskiego, napisana z szerokim oddechem epickim, wytrzymanym prawie do samego końca nie posiada postaci centralnej. Uwaga powieściopisarza skupia się prze-

¹⁾ Na złamanie karku str. 157—158.

²⁾ J. L. Popławski: *Szkice literackie i naukowe*. Rozdział: „Emigracja brazylijska w rzeczywistości i w poezji”.

ważnie na zespołach grupowych, ale każda z sylwetek chłopskich w powieści emigracyjnej Dygasińskiego, zarówno kobiecych, jak i męskich odśłania mocny w swojej przejrzystej wypukłości rysunek charakterologiczny. Bohaterem *Na złamanie karku* jest ludowa zbiorowość emigracyjna. Jej martyrologia, umiejętnie stopniowana — w opisach Dygasińskiego osiąga miejscami, zwłaszcza w jej szczytowych punktach¹⁾ efekty wstrząsające. Autor umiał stopić dobrze materiał publicystyczny, zebrany w czasie swojej podróży brazylijskiej, z rzeczywistością psychologiczną powieściowych kreacji. W traktowaniu przez niego stosunków brazylijskich i miejscowych ludzi-autochtonów widać metodę karykatury ze szkodą dla realistycznej barwy powieści. Naogół jednak, z drobnymi tylko odchyleniami, żywioł satyryczny, dosyć skąpy w powieści, wymierzony przeciw groteskom brazylijskiego życia a mianowicie przeciw arcyśmiesznej głupocie miejscowych oficerów, tak brzemiennej w złowrogię następstwa i łajdactwom urzędników administracyjnych rzadko rozmija się z kulturą umiaru. Pasja inwektyw obcą była ustrojowi twórczemu Dygasińskiego. Jego humor tym razem nie tylko nie równoważy pesymizmu, przeciwnie pogłębia go w marginesowych migawkach ironicznych, głębokich w refleksyjnej diagnostyce, tropiących zaś nonsensy brazylijskiej rzeczywistości. Mimo, że pejzaż tej rzeczywistości nie zadawała, oświetlony przez Dygasińskiego wyłącznie z jednostronnego aspektu ludowego męczeństwa emigracyjnego, mimo że sam problemat emigracji, osadzony na ciasnej osi ujemnego a priori stosunku autorskiego domaga się zasadniczej korektury, powieść *Na złamanie karku*, pełna opisowego czaru brazylijskich krajobrazów, stanowiących tło rozległej perspektywy epickiej życia ludowego jest najlepszym utworem polskim o emigracji chłopskiej.

Dygasińskiego, twórcę arcydzieła *Godów życia* odkryła „Młoda Polska“, ale Dygasiński niezrównany psycholog bytu zwierzęcego i ludowego czeka właściwie dotąd jeszcze na swojego monografistę. Renesans Dygasińskiego, wielkiego

¹⁾ Np. w scenie błakania się steroryzowanej przez karny oddział żołnierzy brazylijskich gromady chłopów-emigrantów po brazylijskiej puszczy.

poety przyrody należałoby jednak rozszerzyć i uzupełnić nowym spojrzeniem wartościującym na Dygasińskiego, znakomitego problematyka ludu, autora zapomnianych najnieśluszniej teoretycznych artykułów ludoznawczych¹⁾ oraz epika ludowego życia w latach przełomowych jego ewolucji. Tę wyjątkowość stanowiska autora *Właścicieli* nie tylko w literaturze polskiej, lecz nawet powszechnej, jego najrzadszą samorodność na obszarze całej literatury światowej, nie czerpiąca z żadnych źródeł i wzorów literackich zaznacza wielbiciel Dygasińskiego, St. Żeromski.²⁾ „Nieprzebrane zaś bogactwo języka i sposobów wyrażania się A. Dygasińskiego, który miał w uchu jedną z najczystszych gwar — słowa Żeromskiego — na południowych stokach i rozłogach

1) Drukowanych w *Głosie, Wędrowcu, Przeglądzie Tygodniowym, Kurierze Warszawskim* itd.

2) Historia sądów krytyczno-literackich o Dygasińskim jest pochodem zapewne niezakończonym jeszcze procesu odkrywco-rehabilitacyjnego, którego najnowszy etap postawił autora *Godów życia* w rzędzie klasyków prozy polskiej o znaczeniu równie przełomowym w dziejach polskiej kultury, jakie mają w niej Prus, Sienkiewicz, Orzeszkowa lub St. Witkiewicz. Dla zobrazowania w najogólniejszym zarysie tylko przebiegu tego procesu wymieniam ważniejsze sądy krytyczno-literackie o Dygasińskim. St. Tarnowski w swojej „Literaturze polskiej” (tom ostatni) pomija Dygasińskiego całkowitym milczeniem. Piotr Chmielowski poświęca mu tylko drobną wzmiankę, („Historia literatury polskiej” t. 6 z przedmową Br. Chlebowskiego), natomiast w „Wielkiej Encyklopedii Powszechnej Ilustrowanej” w artykule o Dygasińskim wyróżnia głównie jego opowiadania zwierzęce oraz utwory ludowe, uznając ich wysoki poziom. O całej reszcie jego twórczości wyraża się z powściągliwym chłodem. J. Nowiński w studium o „Dygasińskim, jako o beletryście” (*Ateneum* rok 1897) ocenia lekceważąco jego utwory o tematyce szlacheckiej oraz mieszczańskiej; podobnie, jak Chmielowski widzi w Dygasińskim rasowego malarza bytu zwierzęcego i chłopskiego. A. Brückner („Literatura polska” tom 2) nie docenia należycie jego dzieł ludowych, wyżej stawia opowiadania zwierzęce Dygasińskiego, które w Polsce szczególnie były zjawiskiem nowym i olśniewającym. *Gody życia* nazywa „Hymnem wyśpiewanym dla przyrody, słońca i miłości”, hymnem, w którym Dygasiński „wrócił już nie do personifikacji, lecz apoteozy przyrody”. Br. Chlebowski („Literatura Polska” 1795—1905) dostrzega u niego pewną „niejednorodność i powierzchowność w wizerunkach ludzi” głównie o skomplikowanej psychice; nie waha się go jednak mimo pewnych niedociągnięć artystycznych zaliczyć do największych pisarzy swojej epoki. Przypisuje mu cel „rozwinęcia i umocnienia pierwiastków ogólnoludzkich w duszy polskiej”

gór świętokrzyskich, okolic Wiślicy, Rytwan, Staszowa, Zborowa, Kurozwęk, Oleśnicy, Stopnicy, dziedziny Oleśnickich i Zborowskich a prapopieliska Wiślan, który rozumiał i czuł, jak nikt inny istotę tamecznego życia, byt tamecznych ludzi, zwierząt, ptaków, roślin i kwiatów, lasów i pól — streściło się w dziejach jedynych w swoim rodzaju, nie naśladowanych przezeń i nie dających się naśladować, znikąd nie wziętych, arcywłasnych tego pisarza, jak własną była jego dusza, jego rozum, pamięć, wyobraźnia, współczucie i wynikająca stąd forma jego dzieła¹⁾. Dla Żeromskiego jest Dygasiński „zapomnianym władcą pewnego obszaru mowy naszej, języka nizin i dalekości słowiańskiej, lasów i pól,

(obok Sienkiewicza, Orzeszkowej i Prusa). Portrety ludzi prostych oraz zwierzęce u Dygasińskiego uznaje za artystycznie doskonałe, pełne głębokiego realizmu. Arcydziełem Dygasińskiego są — zdaniem Chlebowskiego *Gody życia*, „hymn miłości i uwielbienia dla przyrody polskiej“. W. Feldman „Współczesna literatura polska“, mimo kilku drobnych znaków zapytania pisze o Dygasińskim z pełnym pietyzmem. W *Godach życia* widzi arcydzieło na wszechświatową miarę o najgłębszej symbolice. A. Potocki („Współczesna literatura polska“ t. I) w świetnej charakterystyce Dygasińskiego podkreśla, jako naczelną rytm jego twórczości ludowość, kongenialnie oddaną. St. Brzozowski („Współczesna powieść polska“). Rozdział: („Powieść mieszczańska i jej fazy u nas“) określa twórczość Dygasińskiego, jako „pewien rodzaj dziejowego zmęczenia, sceptycyzmu“. Jest ona przesiąknięta — zdaniem Brzozowskiego — najskrajniejszym pesymizmem. Zarówno nowy rytm polskiej rzeczywistości społecznej, na którą patrzył Dygasiński oczami sceptyka - intelektualisty, jak również próchnienie dawnych postaci życia budzi w nim „taedium vitae“ (słowa Brzozowskiego). „Przyroda, świat bez człowieka, musiał się stać dla niego ucieczką. *Gody życia*, które są momentem narodzin poety w Dygasińskim, stają się równocześnie — zdaniem Brzozowskiego — artystycznym środkiem jego duchowego samoocalenia“. Brzozowski uwzględniał w podanej wyżej charakterystyce raczej przeobrażenia jego twórczej osobowości, pomijał zaś istotną przedmiotową problematykę pisarza. Manf. Kridl, który opracował i przygotował do druku „Literaturę polską“ Chlebowskiego w swojej popularnej, podręcznikowej literaturze w ocenie twórczości Dygasińskiego zbliża się do rewizjonistycznego stanowiska Chlebowskiego. K. Czachowski („Obraz współczesnej literatury polskiej“. Naturalizm i neoromantyzm tom. I) na tle antologicznego wyboru sądów krytyczno-literackich o Dygasińskim daje wnikliwy portret duchowy tego pisarza. Widzi w nim przedstawiciela wyżyn twórczych, twórcę-prekursora, którego wpływ oddziaływał na następne pokolenie polskich pisarzy.

¹⁾ St. Żeromski: *Snobizm i postęp*. Str. 115 i 116.

pracy w polach i chałupach“, który „bardziej nas zbliżył do pierwo-źródła mowy słowiańskiej, niż wszyscy pisarze lat kilkudziesięciu razem wzięci“.

Niemniej wysoką pozycję w literaturze polskiej wyznacza Dygasińskiemu Miriam - Przesmycki, głównie jednak, jako autorowi *Godów życia*. „Ale gdy różni Kiplingowie — słowa Przesmyckiego — pozostali w miejscu, nie zdołali wyjść z granic jakiejś aposteriorycznej, ku zewnętrżności raczej zwróconej psychologii życia, on rozrósł się, niby dąb krzepki, spotężniał, wyogromniał, ramiona wyciągnął aż ku słońcu, korzenie zapuścił aż ku dnom, aż ku prażródłom życia, aż ku jego istocie; gdy oni zatrzymali się w pewnej bądź co bądź anegdotycznej opowiadawczości, w sferze zmiennych i przemijających faktów on odsłaniając przez cudownie intuicyjną, eliminującą wszystkie zbyteczne szczegóły syntezę, wiekuisty, jedyny, niezmienny prąd życia, w eposowy — co mówię — w bojanowski uderzył ton, w którym prostota największa z największą wiąże się głębią“. ¹⁾ Aktualność Dygasińskiego, zapoczątkowana przez „Młodą Polskę“ oraz nowszą krytykę polską ma mnóstwo warunków promieniowania na współczesną rzeczywistość polską. Nie ulega jednak wątpliwości, że jednym z ważniejszych warunków idącego zmartwychwstania Dygasińskiego, w świadomości obecnego pokolenia u nas jest również jego rewelatorstwo ludu, którego zagadnienia tak szczególnie zaciążyły nad obliczem powojennej literatury polskiej oraz współczesnego życia polskiego.

¹⁾ Z. Przesmycki (Miriam): *Pro arte*. Str. 190—193.

J. E. Płomiński.

Etyka katolicka a eugenika i medycyna.

W połowie ubiegłego roku, na łamach czasop. *Zagadnienia Rasy* (nr. 2, str. 103), organu Polskiego Towarzystwa Eugenicznego, zamieścił mgr M. Lucjus dłuższy artykuł pt. „Eugenika i katolicyzm”. Temat niezawodnie interesujący i aktualny, zwłaszcza że autor postanowił omówić go „bez uprzedzeń” i oświecić całe to, w publicystyce różnie oceniane, zagadnienie „wszechstronnie, tak ze stanowiska etyki katolickiej, jak i faktów”.

Wyniki, do jakich doszedł, można w najogólniejszym zarysie streścić następująco: Kościół katolicki nie potępia samej „ideologii eugenicznej”, tylko ma zastrzeżenia co do metod tu stosowanych. W szczególności: eugenika pozytywna spotkała się z jego strony z uznaniem, natomiast „eugenika negatywna i zapobiegawcza została wyraźnie potępiona”, a cały ruch eugeniczny z niej się wywodzący „obłożony anatema”.

Najwzględniej jeszcze traktuje Kościół zagadnienie przedślubnych świadectw lekarskich. Przyjmuje je w charakterze informacyjnym, potępia jednak wszelkie zakazy państwowe, zabraniające lub utrudniające zawarcie małżeństwa osobom dziedzicznie obciążonym i niedorozwiniętym.

Co do metod, jakimi posługuje się w praktyce eugenika negatywna — jak zapobieganie poczęciu sztucznymi środkami, obojędzenie (sterylizacja) i przerywanie ciąży „ze względów lekarskich, eugenicznych, a nawet moralnych” — Kościół zajmuje stanowisko negatywne.

Mgr Lucjus jest z tego stanu rzeczy mocno niezadowolony, zwłaszcza że przyjmowany przez katolików program

eugeniki chrześcijańskiej uważa za niedostateczny. Pociesza się więc, że niezgodność tych poglądów z życiem zmusi Kościół do ustępstwa i do szukania wyjścia choćby drogą formuł kompromisowych. Jeden tego przykład widzi już nawet w milczącym uznaniu teorii Knaus-Ogino (niepłodność okresowa, fizjologiczna). Moralność katolicka nie pozwala bowiem na używanie sztucznych środków zapobiegawczych i dlatego do niedawna pozostawiała jedynie alternatywę: albo zupełna wstrzemięźliwość albo dzieci. Kiedy jednak stanowisko to okazało się niezyciowym, w pomoc przyszło Kościołowi odkrycie Knaus-Ogino i sprawa została uratowana; Kościół utrzymał swój *prestige* i mógł z honorem wybrnąć z „doktrynerskich tez”, a postulaty życia zostały uwzględnione. „Kościół zrozumiał... że nie podobna bronić zasady, stojącej w sprzeczności z prawami życia i... mimo lokalnego konserwatyzmu wśród naszego duchowieństwa, mimo podjazdowej walki, jaką toczy się w imię przeżytych już i zbankrutowanych haseł, Kościół poszedł na kompromis, w imię konieczności życiowej”.

Wypadek powyższy pozwala autorowi żywić nadzieję, że i na dwóch pozostałych odcinkach — przerywania ciąży i obezpłodnienia — na których etyka katolicka zajmuje na razie nieustępliwe stanowisko, znajdzie się inny jakiś szczęśliwy kompromis, który wyratuje Kościół z trudnego położenia.

W sprawie przerywania ciąży nie powinno to zresztą przedstawiać zasadniczych trudności. Badając bowiem historycznie rozwój tego zagadnienia, dochodzi mgr Lucjus do przekonania, że obecne stanowisko Kościoła kat. nie opiera się na jednolitych w swej konstrukcji podstawach etycznych i dlatego właśnie zostało ujęte tak dogmatycznie, w sposób „nie liczący się zupełnie z potrzebami dnia dzisiejszego”. Odnosnie zaś do obezpłodnienia, pisze autor, „chcemy wierzyć, że w niedalekiej przyszłości pojawi się znów jakiś zbawczy dr Ogino, który rozproszy mroki przesądów, jakie panują na tym odcinku eugeniki i pozwoli z honorem wyjść Kościołowi z jego impasu; tak, jak to miało miejsce w dziedzinie świadomego macierzyństwa”.

Mgr Lucjus nie traci więc nadziei, że w całym nastawieniu Kościoła kat. do zagadnień eugenicznych nastąpi

z czasem ewolucja. Choć bowiem dziś Kościół twierdzi kategorycznie, że „nie pójdzie na żadne kompromisy w sprawach dotyczących sterylizacji, przerywania ciąży i praktyk neomaltuzjańskich, i że nie uznaje żadnego kumania się z duchem czasu, to jednak fakty mówią co innego”.

Ewolucja ta, sądzi autor, jest zaś konieczna. Dziś bowiem Kościół kat. rzuca swój autorytet na szalę abstrakcyjnych, nie liczących się z potrzebami ludzkości i duchem czasu norm moralnych i narzuca je — wbrew wymaganiom nauki i życia. Taką tyranię trudno jednak znosić i dlatego mgr Lucjus, kończąc swój artykuł, woła **z** Bertrand'em Russel'em: „Jeżeli już ma istnieć tyrania — to niechże to będzie tyrania nauki”.

Wyrażona powyżej opinia nie jest bynajmniej faktem odosobnionym, owszem odzwierciedla zdanie dużej liczby lekarzy i eugenistów. Toteż nie reagowaliśmy na nią z początku. Do zmiany stanowiska skłoniła nas jednak okoliczność, że artykuł ten został wydany przez P. Towarzystwo Eugeniczne jako osobna broszura, dzięki czemu będzie mógł szerzyć błędne, zawarte w nim poglądy.¹⁾ Rozprawiając się z nim poniżej, pragniemy skorzystać z okazji i wyjaśnić stanowisko etyki katolickiej wobec poruszonych tu zagadnień eugenicznych. Zwracamy się przy tym głównie do przedstawicieli świata lekarskiego, oni bowiem zabierają przede wszystkim głos w sprawach eugeniki, oni biorą prawie wyłącznie czynny udział w praktycznym ich przeprowadzaniu, ich zdanie brane jest zawsze pod rozwagę przy ustawodawstwie eugenicznym.

Niestety — powiedzmy to jasno — okoliczność, że lekarze mają tu najważniejszy może głos, przynosi wprawdzie nieocenione usługi, ale równocześnie zaciążyła bardzo ujemnie nad całą dziedziną eugeniki i ruchu eugenicznego. Drob-

¹⁾ Już np. w jednym z ostatnich zeszłorocznych numerów *Polskiej Gazety Lekarskiej* (r. 1936 nr 51 str. 999) dr med. Bieliński (Lwów) zamieścił krótkie streszczenie artykułu i pogratulowawszy mgr. Lucjus'owi „interesującej i źródłowej pracy”, przyłączył się z zapałem do jego wezwania, że jeśli już ma być tyrania, to niech to będzie tyrania nauki a nie Kościoła.

nym tego przykładem, jeśli chodzi o nasz kraj, jest projekt ustawy eugenicznej, w którym P. T-stwo Eugeniczne — pracujące przeciw z wybitnym udziałem lekarzy — potrafiło nie tylko dogonić, ale prześcignąć Niemcy i Rosję sowiecką.¹⁾

Dlaczego tak jest? — Główną przyczyną złego jest duch medycyny nowoczesnej, oraz atmosfera, w jakiej kształci się i wychowuje przyszły lekarz i w jaką wchodzi po ukończeniu studiów. Cenimy wysoko lekarzy, jako dobroczyńców ludzkości, jako ludzi zarówno poświęcenia jak nauki, do której zmusza ich nieustannie sam zawód. Ale nie możemy zamknąć oczu na to, że bezduszny materializm, jaki przed kilkadziesiąt laty wtargnął zwłaszcza do nauk przyrodniczych i medycyny, pokutuje w niej do dziś dnia, wprowadzie nie w formie bezwzględego materializmu filozoficznego, ale w dalszych jego konsekwencjach, przede wszystkim w ustosunkowaniu do człowieka.

Pozostałością owego materialistycznego pojmowania człowieka jest bez wątpienia ten dziwny, a napotykaný tak często w świecie lekarskim fakt, że chorego traktuje się jak istotę nie mającą duszy nieśmiertelnej, ani nie związaną żadnymi innymi prawami moralnymi, poza tymi, które uznaje lekarz. Tego zaś obchodzi tylko ciało; dusza nie, o ile w ogóle uznaje chrześcijańskie jej pojęcie. To więc, że dany zabieg może krzyżować się z wymaganiami porządku moralnego, z przekonaniami religijnymi chorego i jego nadprzyrodzonym przeznaczeniem, to lekarza takiego nie obchodzi. Jemu wiedza lekarska dyktuje „wskazanie“, jego zadaniem jest tylko troska o zdrowie ciała i tu robi wszystko, choćby się porządek moralny miał przewrócić do góry nogami. Gdyby postępował inaczej, gdyby nie zrobił, zakazanej wprowadzie przez etykę (przyrodzoną nawet!), ale poleconej przez aktualną medycynę operacji, zaniedbałby spełnić „obowiązek“, byłby „złym lekarzem“.

Takim rozbitkiem duchowym i chodzącą sprzecznością z własnymi nieraz przekonaniami i sumieniem, robi medy-

¹⁾ Tekst (pierwotny) tego Projektu podało czasopismo *Zagadnienia Rasy*, r. 1934, nr 2, str. 236, a omówienie go *Przegląd Powszechny*, r. 1934 grudzień str. 387.

cyna, dziś jeszcze, lekarza. Najlepszym tego dowodem jest wysoka liczba zabiegów, będących ciężkim naruszeniem porządku moralnego, a dokonywanych w imię „wskazań lekarskich”. Na szczęście nie wszyscy lekarze zapominają, że są ludźmi, podlegającymi również prawom Bożym i obowiązani do poszanowania tychże obowiązków ze strony chorych. Rosną dziś, zwłaszcza za granicą, organizacje lekarzy katolików, którzy w imię zasad moralnych i nauki prostują spaczony pojęcia i wnoszą nowego ducha w świat lekarski.¹⁾

Zanim ten nowy duch przeniknie szersze zastępy lekarzy i zostanie uwzględniony w teorii i w praktyce medycyny, upłynie prawdopodobnie sporo czasu. Na razie jesteśmy świadkami, że o zagadnieniach natury duchowej i o ścisłym ich związku z medycyną lekarze mówić i nie umieją i nie lubią. W stosunku do olbrzymich rozmiarów piśmiennictwa lekarskiego, do rzadkości należą publikacje, które by zagadnienia powyższe chciały poruszyć. W polskich, dość licznych przecież, czasopismach lekarskich można czasem rok i dłużej czekać, zanim się znajdzie jaką rozprawę na ten temat, lub wzmiankę, że omawiano go na jakimś posiedzeniu lekarskim.

Czy może tematy te nie zajmują lekarzy? — Przeciwnie, bardzo ich interesują. Wyczuwa się to zarówno w rozmowach prywatnych, jak w tej skąpej literaturze, która spod pióra lekarzy wyszła i w uwagach, jakie na jej marginesie robią. Lecz od zabierania głosu w tej sprawie powstrzymują lekarza zazwyczaj dwie przyczyny: nieumiejętność przystąpienia do tematu, pominiętego zupełnie podczas studiów i obawa spotkania z prawdami porządku moralnego, które rzuciłyby odmienne światło na jego dotychczasowe poglądy oraz praktykę, z jaką trudno mu się rozstać, ze względów częstokroć niestety materialnych.

W wyniku tych sprzecznych prądów w sobie samym, lekarz obiera najchętniej taktykę, którą określilibyśmy mianem „strusiej polityki” — zamyka oczy i przechodzi koło

¹⁾ Obszerniej poruszyliśmy te zagadnienia w atykułce pt. „Lekarz katolik. Na marginesie kryzysu medycyny”. *Przegląd Powszechny*, czerwiec 1934 r., str. 367.

drażliwszych zwłaszcza zagadnień tak, jakby ich nie widział. Zewsząd wprowadzie dochodzą go głosy o konieczności poszanowania zasad moralnych, własne sumienie niepokoi go również, lecz w tym panicznym strachu, że mógłby odkryć coś, co kazałoby zmienić pewne dotychczasowe poglądy i praktyki, woli udać, że nie widzi, nie słyszy, nie czuje, nie wie o niczym. Typowe chowanie głowy w piasek, jakże jednak niewłaściwe u człowieka nauki!

Etyka katolicka nie zna takiej połowiczności w myśleniu i tchórzliwego uchylania się przed odpowiedzialnością w sprawach porządku moralnego. Jest rozumna, konsekwentna i śmiała, w rzeczach niedozwolonych nie idzie na żadne kompromisy. O ile chodzi o linie zasadnicze, jest również niezmienna, gdyż opiera się na porządku ustalonym przez Stwórcę i dostosowanym do natury ludzkiej, która, jak daleko sięga świadectwo historii, pozostaje zawsze ta sama w swych istotnych częściach składowych; ewolucji może więc ulegać etyka tylko w dalszych zastosowaniach podstawowych norm moralnych.

Niekiedy ewolucja jest zresztą pozorna. Jeżeli np. postępy nauk biologicznych i lekarskich zmieniły pogląd na istotę i rolę pewnych organów czy procesów w człowieku, to wówczas mogła albo musiała zajść także rewizja dotychczasowej oceny moralnej. Rewizja taka nie jest jednak zmianą zasad moralnych; zasady pozostały te same, zmienił się jedynie punkt widzenia i dlatego w danym wypadku zastosowano inne zasady niż poprzednio. Ewolucja taka jest więc czymś zupełnie innym niż kompromis, o jaki mgr Lucjus posądzał etykę katolicką.

Co więcej, rys powyższy świadczy właśnie, że etyka katolicka idzie z życiem i z postępem wiedzy. Liczy się ona też z człowiekiem, jego naturą i godnością; stąd dopuszcza to jedynie, co jego naturze rozumnej odpowiada, uwzględnia uzasadnione interesy zarówno jednostki, jak zbiorowości. W ramach jej muszą więc zagadnienia eugeniki negatywnej znaleźć inne rozwiązanie, niż w jednostronnym i uchylającym się od uwzględnienia wyższej, duchowej strony człowieka systemie dzisiejszych eugenistów i sympatyzujących z nimi lekarzy.

Weźmy dla przykładu sprawę przerywania ciąży. Z chwilą, gdy raz przyjęło się, że nowa istota w łonie matki jest istotą ludzką i najoczywiściej niewinną i bezbronną, nie ma nikt prawa pozbawić jej życia. Lekarz, który dopuszcza się tego czynu, przekracza swą kompetencję; wolno mu bowiem tylko ratować, ale nigdy zabijać jednego życia dla ratowania drugiego. Dlatego przerwanie ciąży zostało przez lekarzy niektórych nazwane zbrodnią, której nie usprawiedliwia wcale uciekanie się do tłumaczenia, że życie matki jest cenniejszym od życia płodu; byłoby to bowiem prymitywnym stosowaniem pseudo-zasady, że cel uświęca środki. Uznanie takiej zasady w powyższym wypadku byłoby równoznaczne z legalizacją jej w innych podobnych sytuacjach, co otworzyłoby bramę najokropniejszej samowoli.

Nie mówiąc o nadużyciach, o których sami lekarze mogliby najwięcej opowiedzieć, ileż niekonsekwencji i ujemnych następstw wiąże się z uznaniem przez medycynę przerywania ciąży. Jakim tragicznym, by nie powiedzieć potwornym nieporozumieniem, staje się wtedy ta, przez świat lekarski za naczelną uważana zasada: *nemini nocere* (przede wszystkim nikomu nie szkodzić)! Przecież lekarz, przerywający ciążę, robi coś wręcz przeciwnego. Szkodzi niewinnej istocie ludzkiej, którą pozbawia życia — dodajmy, jeśli się to dzieje w ostatnich miesiącach, w sposób wprost barbarzyński. Wyrządza niepowetowaną szkodę matce, którą czyni morderczynią własnego dziecka, lub w każdym razie ułatwia jej ten niegodziwy zamiar. Szkodzi wreszcie lekarz sobie i swemu stanowi, jako moralny sprawca, względnie wykonawca tego, niezgodnego z etyką czynu; dlatego sumienni lekarze bronią się zawsze przed przyjmowaniem na siebie urzędu „kata”.

Ze stanowiska czysto lekarskiego podnieść można nadto jedną jeszcze doniosłą okoliczność, przez lekarzy zbyt często przemilczaną. Zabicie płodu ma, ich zdaniem, ratować zdrowie albo życie matki. Tym czasem doświadczenie wykazuje, że ten okrutny środek: 1) sam zawsze przynosi szkodę matce i nie zawsze „mniejszą”; niejedna matka zeszła z tego świata tylko dzięki niemu, niejedna została kaleką lub chorą na całe życie. 2) Środek ten stosowany jest

nieraz niepotrzebnie, czego dowodzą: a) świadectwa tych lekarzy, którzy obeszli się bez niego mimo dużej liczby trudniejszych wypadków; b) co pewien czas sprawdzany fakt, że gdy matka nie zgodziła się na orzeczenie lekarza, grożącego jej w przeciwnym razie ciężkimi powikłaniami lub śmiercią, nie tylko nic nie ucierpiała, ale poród odbył się nieraz samymi siłami natury. — Z całą naukową ścisłością można dlatego postawić i postawiono już pytanie: czy niemniej trupów, dzieci i matek, pozostałoby na polu, gdyby medycyna zaprzestała tego niegodziwego sposobu „ratowania“?

Etyka katolicka nie zna takich „kompromisów“ i dlatego w żadnym wypadku nie dopuszcza do zbrodni i naruszenia porządku moralnego w tak ważnej rzeczy. Przy niej lekarz pozostanie „człowiekiem“, nie sprzeniewierzy się wzniosłemu powołaniu swemu, którym jest tylko leczyć i ratować; niewinna istota ludzka nie padnie ofiarą wymuszonego „poświęcenia się“ dla matki i „troskliwości“ lekarza; matka nie splami swej duszy krwawym piętnem, a jeśli nawet wskutek tego zginie, co zdarzy się wyjątkowo i co zdarza się niemniej wskutek czy mimo zabiegów lekarskich — to padnie jak żołnierz na posterunku, okryta chwałą, pozostawi po sobie szczyry ból u wszystkich, wielka przed Bogiem i ludźmi!

A jak przedstawia się, ze strony zarówno etycznej, jak biologicznej, sprawa obezpłodnienia (sterylizacji)? — Że to jest gwałtowne wkroczenie w najbardziej osobiste prawa człowieka, które dotyka go boleśnie, a nadto rzuca na niego cień, jako na osobnika biologicznie mało wartościowego i społecznie szkodliwego, to rozumie każdy. Tym tłumaczy się w niemieckiej ustawie sterylizacyjnej obowiązek zachowania ścisłej tajemnicy o pacjencie i pocieszanie go, że przez swą ofiarę spełnia czyn wielki, społeczny i narodowy.

Czy jednak ta ofiara była konieczna i przyniosła rzeczywście spodziewaną korzyść? Wiadomo przecież, że nawet ze stanowiska czysto biologicznego wyniki obezpłodnienia stoją pod znakiem zapytania. Ujemnych cech dziedzicznych tą drogą się nie wytępi, powstawaniu nowych nie przeszkodzi, a choćby się nawet przyznało, że po dokona-

niu setek tysięcy zabiegów (jak proponowano w Niemczech) zmniejszy się nieco liczbę bardziej dziedzicznie obciążonych, to czy zysk, stąd osiągnięty, zrównoważy szkody moralne, jakie pociągnie za sobą olbrzymia armia ludzi duchowo wykolejonych, uważających się za wyrzuconych poza nawias życia i stąd zdolnych do najgorszych rzeczy?

Etyka katolicka na takie poniżenie człowieka i wkroczenie gwałtem w jego przyrodzone prawa, a tym samym wyrządzanie społeczeństwu trudnych do obliczenia szkód moralnych, się nie godzi. Ona stoi na straży godności i całości człowieka, i wie, że broniąc naturalnych praw jednostki, służy zarazem najlepiej społeczności. Znaczenie zdrowia rozumie ona doskonale, ale żąda, by troska w tym kierunku była rozwijana z poszanowaniem wyższych wartości człowieka i dlatego nie pozwala na stosowanie do niego metod hodowlanych.

Co wypadnie w końcu powiedzieć o sztucznym zapobieganiu poczęciu? Wszak nawet ci, którzy gotowi są uznać niedozwoloność przerywania ciąży i obezplodnienia, nie chcą się zgodzić ze stanowiskiem etyki katolickiej w tej sprawie. Rzecz przecież, powiadają, tak prosta, a pożyteczna z różnych względów, zdrowotnych, eugenicznych, społecznych, ludnościowych.

Stanowisko, zajmowane przez obrońców tych praktyk, jest charakterystycznym przykładem krótkowzroczności. Myślą o wszystkim, o wszelkich okolicznościach towarzyszących i o celach, którym zapobieganie może służyć, tylko nie chcą wglądać w jego istotę, a nawet w całokształt jego bliższych i dalszych następstw. Nie mamy tu miejsca na rozwijanie tych założeń, jakimi kieruje się etyka katolicka. W dziedzinie płciowej widzi ona jedno z najważniejszych urządzeń natury — które poza interesami jednostek służy dobru całej ludzkości i wciąga samego Stwórcę w sferę swego działania — i dlatego nie zgodzi się nigdy na zepchnięcie jej do wysługiwanianiu się wyłącznie egoizmowi i zmysłowości.

Niezależnie od tego możemy wskazać inną jeszcze rację, jaka niestety uchodzi uwagi tych, którzy powinni mieć najwięcej zrozumienia dla cudownej celowości urządzeń natury. Tym czasem oni właśnie — biologowie, lekarze, euge-

niści — chcą naprawiać naturę przez działanie przeciw naturze! Wszak sztuczne zapobieganie poczęciu nie inną drogą osiąga swój skutek, jak tylko przez udaremnianie tego, co natura zamierzyła. Jest to więc typowe „działanie wbrew naturze“, burzenie i niszczenie jej porządku na jednym z najważniejszych odcinków, a tym samym ma coś w sobie ujemnego, a u człowieka moralnie złego.

Natura nie czeka zresztą, aż biologowie i lekarze wybiorą szczegółowo powyższą, tak prostą w sobie rację i związane z nią zagadnienia moralne, ale sama mści się za to pogwałcenie jej porządku i karze zarówno jednostki jak społeczeństwa, w których praktyki te się zagnieżdżą. Już dziś lekarze przyznają, na podstawie poczynionych doświadczeń, że nie ma nieszkodliwych sztucznych środków i sposobów zapobiegania. Socjologowie i ekonomiści dochodzą też stopniowo do zrozumienia, że z rozszerzaniem praktyk zapobiegawczych idzie w parze obniżenie poziomu moralnego, oraz ujemne następstwa populacyjne i ekonomiczne. Zaczynają się zastanawiać nawet niektórzy eugeniści, bo widzą, jak życie przekreśla krok za krokiem ich rachuby, jak bezradni stoją wobec faktu, że wbrew ich planom ci właśnie głównie używają środków zapobiegawczych, którzy powinni się najwięcej rozradzać.

Nawiasem zaś nadmienić możemy, że modne i pospolite dziś odwoływanie się do „miłości“ powinno raczej rumieńcem wstydu okryć tych, którzy to czynią. Miłość przez działanie przeciw naturze — już samo to zestawienie pokazuje, że głosić je może tylko ten, kto i miłość pojmuje niezupełnie podług prawd natury.

Etyka katolicka nie tylko nie lęka się więc — wynika to chyba dość jasno z powyższych rozważań — „tyranii nauki“, ale raczej liczy na jej pomoc przeciw tym spośród eugenistów i lekarzy, którzy dziś popierają wymienione postulaty eugeniki negatywnej. A może się powołać na nie byle jaki przykład. Pamiętamy, jaką swobodę wprowadziło ustawodawstwo Rosji sowieckiej w zakresie przerywania ciąży, jakich ułatwień i czynnej pomocy dostarczały tam kliniki i Opieka społeczna. Tym czasem już kongres ginekologów w Kijowie w r. 1927 stwierdził poważne ujemne

następstwa tego kroku, a niedawno temu nastąpił odwrót także na polu ustawodawczym. A stało się to nie pod wpływem Kościoła kat.; zmusiło do tego — życie i nauka, te dwa czynniki, w których mgr Lucjus pokłada nadzieję, że zwałą stanowisko etyki katolickiej, rzekomo niezgodne — z życiem i nauką.

Przykład Rosji powinien otworzyć mu oczy. „Ewolucja” odbyła się tu rzeczywiście, tylko w odwrotnym kierunku — zwyciężył kierunek nie eugeniki, lecz etyki katolickiej. I taki los, miejmy nadzieję, spotka z czasem i pozostałe metody eugeniki negatywnej. I tu nauka i życie pokażą, że katolicyzm miał słuszość i że, gdyby słuchano go od początku, nie potrzebaby do tej samej mety dochodzić drogą daleko dłuższą i znaczoną krwią.

Mgr Lucjus myli się również, jeśli przychylnie (z należnymi zastrzeżeniami!) ustosunkowanie się przedstawicieli obozu katolickiego do teorii Ogino-Knaus uważa za cichą kapitulację i oznakę zmiany frontu. Jak wyjaśniliśmy powyżej, etyka katolicka zabrania praktyk „wbrew naturze”, a teoria okresowej niepłodności głosi właśnie korzystanie z urządzeń natury, nie podpada więc pod zakaz. Nie ma tu więc żadnej zmiany frontu, ani tym bardziej „rewelacyjnego zwrotu” w poglądach Kościoła kat. na rzecz „świadomego macierzyństwa”. Etyka katolicka uznaje w ogóle tylko czyny świadome, a więc i macierzyństwo świadome, tylko bierze je w znaczeniu godnym człowieka, a nie niewłaściwym i nietetycznym, w jakim głosi się je dziś.

Naszukiwaliśmy, o ile to w ramach krótkiego artykułu jest możliwe, te ważniejsze punkty styeczne, w których rozwiązania etyki katolickiej i eugeniki dzisiejszej idą odmiennymi drogami.¹⁾

¹⁾ Obszerniej zostały one omówione gdzie indziej. O przerywaniu ciąży: St. Podoleński: *O życie nienarodzonych* (Kraków 1935, str. 128) i *Przegląd Powszechny* kwiecień 1934, str. 25; o obojętności: *Przegląd Powszechny* styczeń 1934, str. 46; o świadectwach lekarskich przedślubnych: *Przegląd Powszechny* październik 1934, str. 45; o eugenice i ruchu eugenicznym: *Przegląd Powszechny* marzec 1932, str. 319 i maj str. 166; r. 1933 październik str. 48; o zapobieganiu poczęciu *Przegląd Powszechny* styczeń 1935, str. 3.

Mgr Lucjus chciał uczynić to samo i, przyznajemy mu to, starał się być przedmiotowym. Przeczytał szereg rozpraw autorów katolickich o zagadnieniach eugenicznych, zestawia z nich cytaty, niektóre bardzo trafnie dobrane. Ale brak mu jednej rzeczy — zrozumienia katolickiego poglądu na świat i katolickiej etyki. Nie znając ich, bierze poszczególne cytaty w bezpośrednim brzmieniu, bez uwzględnienia ich założeń i właściwego znaczenia, i dlatego dochodzi do wniosków błędnych. Nie wnika w ducha nauki Kościoła katolickiego, już nie tylko jako instytucji o charakterze nadprzyrodzonym, ale nawet czysto ludzkiej, w której najgłębsze umysły stworzyły w ciągu wieków ścisły i z żelazną konsekwencją zbudowany system myślowy, oparty równocześnie na najrealniejszej rzeczywistości i dlatego nawiązujący wszędzie do życia. Zapomina, że w „katolicyzmie” istotną rzeczą jest światopogląd teistyczny, że nie można mówić o etyce katolickiej bez uwzględnienia duszy nieśmiertelnej i Boga osobowego, oraz Jego nadrzędnego stanowiska w całej dziedzinie porządku moralnego; wskutek tego rozprawia się nie z katolicyzmem, lecz z jakimś bezdusznym jego cieniem.

Tylko brak znajomości światopoglądu katolickiego mógł wywołać u autora wizję Kościoła, jako instytucji, której rzeczywistość usuwa się spod nóg i która, ratując się, resztkami dawnego autorytetu narzuca wiernym swe „dogmaty”, a równocześnie szuka jakiegoś kompromisowego wyjścia, by ocalić swój *prestige* przed ostateczną klęską. Obraz taki jest parodią Kościoła, który przez Boga założony i kierowany, nie może wchodzić i nie wchodzi w żadne kompromisy tam, gdzie prawo Boże i prawo natury ściśle wytyczają linię postępowania. Dlatego artykuł mgr. Lucjus’a, mimo szczerých zamierzeń autora, nie jest wiernym oddaniem stosunku katolicyzmu do eugeniki i jej pochodnych zagadnień, tłumaczy mylnie jego założenia, jednym słowem: informuje błędnie.¹⁾

¹⁾ Zobaczymy, czy Polskie T-stwo Eugeniczne wyciągnie stąd konsekwencje co do wydanej przez nie broszury, będącej przedrukiem artykułu mgr. Lucjus’a.

Wobec eugeniki w ogóle, zarówno teoretycznej, czyli nauki o podniesieniu tężyzny rasy ludzkiej (biologicznej), jak praktycznej, tj. akcji nad osiągnięciem tego celu, zajmuje Kościół katolicki stanowisko najzupełniej przychylne. Potępia jednak propagowane i stosowane dziś metody eugeniki negatywnej, jako sprzeczne z prawem Bożym, z prawem natury, a tym samym niezgodne z dobrem i z godnością człowieka. Taka jest myśl Encykliki *Casti connubii* (o małżeństwie chrześcijańskim) z r. 1930 i Dekretu Kongregacji św. Officium *De educatione sexuali et de eugenica* (o wychowaniu seksualnym i o eugenicie) z dn. 21 marca 1931 r.¹⁾

Na zakończenie jeszcze słowo o „tyraniu nauki”. Niezależnie od tego, że samo to zestawienie jest już pewnym nieporozumieniem, nikt tyranii sobie nie życzy i także B. Russell w przytoczonym miejscu zgadza się na nią tylko jako na ostateczność. W każdym razie zagadnienie to nie istnieje w stosunku do etyki katolickiej, która, licząc się zawsze ze stwierdzonymi wynikami badań naukowych, stara się uwzględnić wszystkie, indywidualne i zbiorowe, interesy człowieka, w ich hierarchicznym porządku i zgodnie z najwyższymi jego celami. Że jednak w wielu innych wypadkach dzieje się inaczej, przyznajemy najzupełniej. A ponieważ mgr Lucjus, przedstawiciel P. T-stwa Eugenicznego, i jego recenzent w *Polskiej Gazecie Lekarskiej*, reprezentant świata lekarskiego, z takim naciskiem domagają się „tyraniu nauki” tam, gdzie postępuje się niezgodnie z jej wynikami, pragniemy przyłączyć się do ich inicjatywy i wskazać im pole, na jakim mogliby tę działalność rozwinąć.

Na razie drobny przykład. W ostatnich latach ukazały się m. in. dwie, popularne i obliczone na najszerze sfery ludności, broszurki o zapobieganiu ciąży. Obie napisali lekarze, jedną w r. 1931 znana socjalistyczna działaczka, dr med. J. Budzyńska-Tylicka (Warszawa), wraz z czołowym niegdyś pisarzem działu „świadomego macierzyństwa” w *Wiadomościach Literackich*, dr med. H. Rubinraut'em (Warszawa), drugą napisała dr med. Z. Ślączkowska (Kraków).

¹⁾ Bliższe wyjaśnienie tego p. *Przegląd Powszechny* r. 1932 marzec, str. 329—31 i maj str. 175—77.

W pierwszej dr Budzyńska-Tylicka oświadcza, że istnieją „pewne i nieszkodliwe środki ochronne” zapobiegające ciąży, a dr Rubinraut jeszcze mocniej podkreśla, że można „z całą pewnością” zapobiec ciąży przy pomocy środków „nieszkodliwych”. Podobnie „pewne i nieszkodliwe” środki ochronne podaje również dr Ślączkowa i zapewnia, że „nie szkodzą w niczym zdrowiu kobiety”.

Jak wiadomo, najpoważniejsi lekarze, u nas i za granicą, są jednak innego zdania i podkreślają silnie, że nie ma środków zapobiegających poczęciu, które byłyby nieszkodliwe lub zupełnie pewne; im dalej zaś posuwa się nauka lekarska i doświadczenia na tym polu, tym więcej dochodzą do przekonania, że praktyki te są szkodliwe.

Jak wobec tego wytłumaczyć wymienione powyżej osoby z świata lekarskiego? Czy niezajomością tych rzeczy, którymi się zajmują? A jeśli o tym wiedziały, to jak ocenić ich postępowanie, zwłaszcza, że zwracają się do tych biednych kobiet ze sfer pracowniczych, które nie znają się bliżej na tych rzeczach i ślepo wierzą swym „obrońcom” oraz poradnikom „świadomego macierzyństwa”? ¹⁾ — Jakby to było dobrze, gdyby mgr Lucjus i inni lekarze zwrócili się w stronę tamtych kolegów i zawołali, że jeśli już ma być w ogóle tyrania nad biednymi ludźmi, „to niech to będzie tyrania nauki”!

Tu wezwanie takie będzie zupełnie na miejscu. Do Kościoła było zastosowane niewłaściwie. Wiara katolicka i wiedza idą razem. Sprzeczność między nimi widzi ten tylko, kto wiary tej nie zna.

¹⁾ Dodajmy, że używanie tych „pewnych” środków prowadzi co pewien czas do sztucznych poronień. Dr Ślączkowa przewiduje to najwidoczniej i pociesza, że jeśli wykona je lekarz, wówczas „wszystko odbywa się gładko”. — Biedne czytelniczki zrozumieją naturalnie, że „gładko” znaczy tyle, co: łatwo i bez żadnych ujemnych następstw — i znowu będą myślały, że to prawda!

Ks. Stanisław Podoleński T. J.

Aleksander Puszkina.

(W 100-lecie śmierci)

I.

Niewielu jest w literaturze europejskiej — szczególnie nowożytnej — reprezentacyjnych genialnych twórców, których całą konstrukcję artystyczną i psychiczną zarazem, cały charakter twórczości i całą ich rolę historyczną w swojej epoce i w swoim narodzie — dałoby się trafnie, a niemal bez reszty zdefiniować w jednym słowie. Otóż do tych „niewielu” w pierwszym rzędzie należy największy poeta rosyjski i zarazem jeden z najświetniejszych poetów Europy nowożytnej — Aleksander Puszkina, który cały — człowiek, twórca, pozycja historyczna i artystyczna, symbol, niemal mit — mieści się w jednym słowie, jednym przymiotniku: renesansowy.

Krótkie to określenie natychmiast traci cechy uproszczenia i banału, gdy tylko uświadomimy sobie, że odniesione zostało do poety XIX-towiecznego — do twórcy, cieszącego się opinią pierwszego prawdziwego i najwybitniejszego reprezentanta romantyzmu w literaturze swego narodu! A więc romantyczny czy renesansowy? i o ile renesansowy? i właściwie dlaczego renesansowy?! — oto pytania, w odpowiedzi na które tkwić powinno bez reszty całkowite wytłumaczenie dziejowej roli i artystycznej wartości Puszkina i jego dzieła.

Renesansowość Aleksandra Puszkina ma charakter różnostronny: kulturalno-historyczny, psychologiczny, formalno-estetyczny. Wiemy, że kultura i sztuka rosyjska do-

piero w drugiej połowie XVIII-go wieku wkroczyła na szlak, którym szły ku wciąż nowym i nowym formom rozwoju (a czasem zastoju lub wręcz upadku) kultury zachodnio-europejskie, a między nimi — choć i w ogonku, bo z dużym opóźnieniem — i kultura polska. Szlak ten wiódł poprzez wszystkie odmiany kultury średniowiecznej, poprzez renesans, klasycyzm i pseudo-klasycyzm, romantyzm... W pochodzie tym kultura Odrodzenia cieszyła się opinią etapu najważniejszego, jedynie i bezwzględnie warunkującego prawo i organiczną zdolność do kroczenia ku dalszym formom rozwoju kultury i sztuki. Narody zachodnio-europejskie minęły ten etap, minęła go i Polska — Rosja przezeń nie przeszła. Jeżeli zaś, mimo to, znalazła się na początku wieku XIX na tej drodze, którą posuwały się w swym kulturalnym pochodzie społeczeństwa zachodnie — to dlatego tylko, że wszystkie zaległości i luki kulturalne, powstałe na skutek nie przepuszczenia duszy, myśli i sztuki rosyjskiej przez filtr renesansu, odrobione i wypełnione zostały przez jednego człowieka, człowieka-epokę, człowieka-Odrodzenia! Człowiekiem tym — wedle opinii Mereżkowskiego, Bierdiejewa i znakomitego polskiego puszkinologa, Wacława Lednickiego — był Aleksander Puszkina.

Renesansowość przecież Puszkina nie ogranicza się jedynie do jego doniosłej roli w dziejach kultury rosyjskiej: do roli człowieka-epoki. Uwydatnia się ona nadto w całym jego charakterze, jako człowieka i twórcy; w jego zasadniczej postawie duchowej wobec życia, świata i siebie samego, jak niemniej i wobec sztuki — jej celów i dróg. Wielka bujność żywotna i temperament, zmysłowe upajanie się wszystkimi urokami życia i świata, niesłychana a wszechstronna wrażliwość na każdą podniecie, każdy przejaw piękna zewnętrznego, a ogromnie małe, względnie płytkie zainteresowanie sprawami życia wewnętrznego, duchowego — oto, co znakomicie zbliża Puszkina do typu psychicznego człowieka Odrodzenia. Nawet wybujały egotyzm, tak dobitnie manifestowany przez puszkinowską lirykę a tak bardzo, zdawałoby się, romantyczny — bliższy jest renesansowym echem klasycznego, antycznego, horacjańskiego *odi prophanum*, niż hamletycznemu i bajronicznemu indywiduali-

zmowi romantyków. I tu dochodzimy do zagadnienia, czy i o ile może uchodzić twórczość Puszkina — za czołową reprezentantkę romantyzmu rosyjskiego, tak jak romantyzm polski najpotężniej reprezentowany jest przez twórcę *Dziadów*.

Z paralełą Puszkina-Mickiewicza często się spotykamy; trafna jednak i zupełnie uzasadniona, gdy chodzi o podkreślenie identycznie czołowej i prawdziwie opatrnościowej roli twórczości każdego z tych poetów w dziejach rozwoju literatury jego narodu — zawodzi przecież całkowicie, gdy tylko wkracza na ciasniejszy teren przewodzenia rodzimemu romantyzmowi. Wówczas bowiem nie może być już mowy o żadnej istotnej analogii, choć na pozór tradycyjna formuła „Mickiewicz i Puszkina — dwaj najwięksi poeci romantyczni swoich literatur narodowych“ opiera się na całym szeregu dowodowych analogii mniejszego kalibru. Najbardziej zewnętrzną wprawdzie wśród nich, ale też i najbardziej efektowną stanowi fakt, że obaj tytani poezji mieli za swych poprzedników, torujących romantyzmowi pierwsze drogi w poezji swego narodu — artystów słabych, o ileż słabszych, niż ci, którzy przyjdą po nich, i raczej teoretyków, niż oryginalnych twórców! Rolę tę w stosunku do Mickiewicza spełniał Brodziński; w stosunku do Puszkina, Żukowski.

W istocie zaś Mickiewicz to jeden z najgłębiej, najorganiczniej romantycznych poetów w całej literaturze europejskiej; Puszkiniowi natomiast romantyczna postawa wobec świata była najzupełniej obca, równie jak wszystkie nieomal stworzone przez romantyzm kanony i kryteria artystyczne. Niemieckich romantyków nie znał, francuskich nie cierpiał. Uległ wprawdzie — jak wszyscy poeci ówczesnej epoki — wpływowi Byrona, ale i to raczej powodowany względami mody, niż istotną potrzebą ducha czy instynktu twórczego. Cała jego postawa wobec poezji była świadomie i typowo klasycystyczna. Puszkina naprawdę, szczerze, organicznie najsilniejszymi węzłami smaku i wykształcenia poetyckiego związany był z literaturą antyczną, rzymską, głównie z Anakreontem i Horacym, oraz z XVIII-towieczną literaturą francuską. Jeżeli przecież, mimo to, zasłynął, jako wielki mistrz form poetyckich, stworzonych i propagowanych przez

romantyzm — jeżeli zostawił po sobie arcydzieła fantastycznego eposu ludowego, powieści poetyckiej typu bajronicznego lub na Szekspirze wzrorującej się monumentalnej poezji dramatycznej o podkładzie historyczno-narodowym — należy to przypisać dwu przyczynom. Pierwszą jest kulturalna młodość, a więc i cechująca wszelką młodość wrażliwość, świeżość i chłonność, a dodajmy — i zachłanność w zakresie przeszczepiania na rodzimy grunt wszelkich wzorów obcych, jakie cechowały całą ówczesną literaturę rosyjską, czyniąc ją ogromnie podatną na wszelkie wpływy obce, bez względu na ich postawę wewnętrzną; Drugą przyczyną była fenomenalna, typowo, klasycznie renesansowa wielostronność talentu Puszkina, pozwalająca mu nie tylko uprawiać wszelakie rodzaje literackie, ale na terenie każdego z tych rodzajów tworzyć prawdziwe arcydzieła! Nic innego, jak właśnie ta upodabniająca rosyjskiego poetę do Leonarda da Vinci wielostronność sprawia, że dajemy się zwieść pozorom, powstałym na gruncie znakomitego opanowania przez Puszkina wszystkich zewnętrznych form romantyzmu a ulegając tej sugestii form, uważamy go za poetę romantycznego, ba, nieraz: głęboko romantycznego... Sądząc tak, popełniamy błąd oczywisty, ale dający się łatwo wytłumaczyć fenomenem wszechstronności talentu i kunsztu puszkiniowskiego, uprawiającego z ogromnym powodzeniem wszelakie rodzaje literackie.

Wśród tych rodzajów znajdujemy przede wszystkim *li-r y k ę*, w której Puszkini, jako artysta słowa i nastroju, wznosił się chyba najwyżej, najdoskonalej opanowując ducha i technikę wszystkich jej odmian, głównie klasycznych, czy klasycystycznych, ale też i romantycznych — od frywolnej, nieraz rubasznej i świadomie ordynarnej „literatury niecenzuralnej“ poprzez figlarny lub zjadliwy epigramat, melodyjną piosenkę na nutę ludową, nastrojowy erotyk, melancholijną elegię, kunsztowny sonet — aż do patetycznej ody, która raz jest panegirykiem lub hołdem kiedy indziej spowiedzią, kiedy indziej znów modlitwą, to znowu nieraz porachunkiem, aktem oskarżenia lub nawet wręcz paszkwilem!

Najwięcej jednak rozgłosu zdobyła Puszkiniowi *ep i k a*, dzięki żartobliwie-fantastycznemu poematowi-baśni *Ru-*

ślan i Ludmiła, bajronicznym poematom o egzotycznym tle: *Jeniec kaukaski* i *Cyganie*, historyczno-patriotycznej powieści poetyckiej *Połtawa*, oraz głośnemu nawpół fantastycznemu utworowi *Jeździec miedziany*.

Najsłynniejszy zaś utwór poety *Eugeniusz Oniegin* łączy w sobie elementy liryczne i epickie. Utwór w części satyryczno-obyczajowy, w części autobiograficzny — dzięki znakomitej a bezlitosnej, mimo że wciąż z uśmiechem dokonywanej, analizie psychologicznej postaci tytułowej — zdobył sobie niezaprzeczone prawo do znalezienia się w towarzystwie tych słynnych tworców epoki romantycznej, które się unieśmiertelniły dzięki temu, iż przekazały potomności klasyczny typ mężczyzny-bohatera romantycznego, łączącego w sobie *Weltschmerz* i mizantropię, wybujały egotyzm, romantyczną ironię i zabójczą autoironię, wolę czynu i niezdolność do czynu — w sprawach zaś miłości stale doznającego zawodu lub rozczarowania... W wielkiej tej rodzinie Oniegin zajmuje miejsce obok wszystkich nieomal bohaterów Byrona, obok Werthera, obok René Chateaubrianda, mickiewiczowskiego Gustawa, nim stał się Konradem, obok hrabiego Henryka i bohaterów *Spowiedzi dziecięcia wieku* Musset'a i wreszcie obok *Bohatera naszych czasów* Lermontowa...

Ale Puszkina nie zaniedbał również i poezji dramatycznej. Jego chlubą jest pierwsza i naprawdę wybitnie nieprzeciętna próba zaszczepienie literaturze rosyjskiej monumentalnego narodowego historycznego dramatu-kroniki w stylu szekspirowskich *Henryków*. Był to *Borys Godunow*, poza którym stworzył Puszkina szereg świetnych drobniejszych obrazków lub fragmentów dramatycznych jak *Mozart i Salieri*, *Kamienny gość*, *Skąpy rycerz*, *Rusałka*, i *Faust*.

Renesansowa przecież wielostronność talentu puszkina nie ograniczyła się do samej poezji, a Autor „Oniegina” okazał się nadto pierwszorzędym beletrystą i mistrzem, właściwym twórcą rosyjskiej prozy artystycznej. Píše więc: Powieści i to zarówno tak lubiane przez epokę romantyczną sentymentalno-awanturnicze (*Dubrowskij* — o szlachetnym bandycie-mścicielu), jak i historyczne, stwa-

rzając w tej ostatniej dziedzinie długo nieprzewyższony wzór walter-scottyizmu rosyjskiego w powieści *Córka kapitana* i w zaczętym zaledwie, ale już wykazującym wszystkie cechy świetnego — w typie wymagań ówczesnego smaku — romansu historycznego: *Murzynie Piotra Wielkiego*. Dalej w spuściznie literackiej Puszkina znajdujemy liczne nowele, które zebrane w cyklu *Opowieści Biełkina* przez wielu puszkinologów uważane są za prażródło wszystkich tych elementów treściowych (etycznych, obyczajowych, psychologicznych) i czysto artystycznych, które — rozwinięte w twórczości Turgieniewa, Gonczarowa, Dostojewskiego i Tołstoja — zdobędą dla powieści rosyjskiej zainteresowanie, uznanie i podziw całej Europy. W każdym razie ów wysoce uartystyczniony realizm, który będzie charakterystyczną cechą późniejszej wielkiej powieści rosyjskiej daje się już w *Opowieściach Biełkina* i w całej prozie beletrystycznej Puszkina zauważyć w całej pełni.

Także i historia pociągała twórcę *Córki kapitana*, który przedstawione w tej powieści w formie beletrystycznej dzieje słynnego buntu Pułaczowa zapragnął nadto opracować w formie pracy naukowej, zupełnie tak samo, jak Fryderyk Schiller, uwieczniwszy historię wojny 30-letniej w trylogii dramatycznej *Wallenstein*, zabrał się do naukowego jej opracowania!

II.

Renesansowa ta wielostronność, bujność i niewątpliwa potęga talentu Puszkina zostały należycie ocenione zarówno przez współczesnych, jak i — w stopniu, może nawet jeszcze większym, szczególnie poza Rosją — dziś, w setną rocznicę śmierci poety, uroczyste obchodzoną przez świat literacki całej nieomal Europy. Od obchodu tej rocznicy nie uchyliły się także i wszystkie środowiska i placówki literackie, czy nawet ogólnokulturalne polskie: cała nasza prasa pełna była artykułów czy choćby tylko wzmianek o Puszkinie. O czym to świadczy?

Tak postawione pytanie w odniesieniu do stosunków polskich nabiera zupełnie innego znaczenia, niż gdzie indziej.

We Francji, w Anglii, w Szwecji czy Holandii — obchodząc stulecie Puszkina — myśli się o nim, jako o wybitnym poecie obcego narodu o europejskiej sławie, o ponadczasowym znaczeniu i nic ponadto! Dla nas natomiast Puszkina to nie tylko najwybitniejszy twórca i najpotężniejszy symbol kulturalno-duchowy narodu zaborczego, który przez długie dziesięciolecia dążył do pozbawienia Polaków samoistnego oblicza kulturalnego i robił wszystko, co mógł, by swoje bożyszcza — między innymi i Puszkina — uczynić naszymi; ale co więcej, Puszkina to indywidualnie niewątpliwy wróg Polaków i jeśli może nie kultury polskiej, jako takiej, to w każdym razie na pewno zacięty wróg polskiej idei samodzielności politycznej, a cóż dopiero mocarstwowości! Czy więc obchodzenie przez polskie środowiska literackie, czy instytucje kulturalne rocznicy puszkiniowskiej nie świadczy — jak to interpretują niektórzy — o uleganiu obcej akcji propagandowej, względnie o zaniku godności narodowej?!.. Czy też — przeciwnie — nie świadczy raczej o wspaniałomyślności, a zarazem o ogromnej dojrzałości kulturalnej społeczeństwa polskiego, które dziś, mając własne niepodległe państwo, nie zmuszane do tego przez zaborcę, a więc i nie potrzebując już w tej sprawie kierować się instynktem samozachowawczym — z prawdziwie wielkopańskim gestem może pozwolić sobie na uczczenie 100-lecia Puszkina, na uczczenie w nim nie symbolu zaborczej Rosji, ale indywidualności jednego z najwybitniejszych poetów europejskich — przy czym robi to z takim samym spokojem i takim samym obiektywizmem jakby był to poeta nie rosyjski, ale francuski, skandynawski, belgijski, włoski?!

Stuszniejsze jest chyba to drugie stanowisko, tym bardziej, że z jednej strony nawiązuje ono do tradycji wieszczów, którzy — (Mickiewicz w wykładach paryskich, Słowacki w *Beniowskim*) w okresie najcięższej, najczarniejszej nocy i niedoli narodowej, w okresie własnych tyfanicznych bojów duchem i słowem z Rosją — zdobywali się na beznamietną obiektywną ocenę literatury rosyjskiej, Puszkina w szczególności. Z drugiej zaś strony stanowisko to świadczy o szczęśliwym uniknięciu możliwości wytworzenia się w psychice narodu niebezpiecznego a niezaszczytnego k o m -

pleksu wyzwolenca. Natomiast właśnie beznamiętna i obiektywna postawa ludzi wolnych, mających prawo, a może już i obowiązek patrzenia na literaturę rosyjską, jak na każdą literaturę obcą, nakazuje nam obiektywnie stwierdzić i podkreślić niewątpliwy fakt wrogiej postawy rosyjskiego poety wobec Polaków i sprawy polskiej. I naprawdę nie wiemy, *cui bono* niektórzy krytycy — w związku z uroczystościami puszkiniowskimi — usiłowali przeinaczyć prawdę, przedstawiając twórcę *Borysa Godunowa* i słynnego wiersza *Oszczercom Rosji*, nieomal jako przyjaciela Polaków, ba, nawet jako niewątpliwego (choć ukrytego) sympatyka sprawy polskiej w dobie powstania?! Bo albo widzimy w Puszkynie wielkiego europejskiego artystę, i wówczas nam wielkości tej nie przysłoni fakt, iż jako szowinista rosyjski, był dla Polski fanatycznie niesprawiedliwy; albo też wciąż traktujemy go jedynie, jako symbol wrogiej kultury, jako duchowego wodza narodu — zaborcy — a w takim razie nawet największa, w każdym zaś razie ukryta bo w żadnym z dzieł nie uwidocznioma, rzekoma sympatia Puszkina dla Polaków nie byłaby zdolna skłonić nas do oddawania mu hołdów!

Otóż prace i wypowiedzi puszkinologów i w ogóle rusycystów polskich — od Spasowicza i Tretiaka do Lednickiego i Zdziechowskiego — wyświeiliły już tę sprawę definitywnie; zresztą, nie sięgając nawet po autorytatywne stwierdzenie uczonych fachowców, wystarczy przeczytać tzw. „przeciwpolską trylogię liryczną“, by zorientować się w całkiem niedwuznacznie wrogim i to bojowo wrogim stosunku Puszkina wobec Polski. I gdy w wierszu *Mickiewicz* ujmie może na chwilę czytelnika-Polaka kult rosyjskiego poety dla naszego wieszczu i szczerze przyjazny stosunek do niego, jako do człowieka — czyż zaraz potem nie będziemy musieli śmiać się serdecznie, a sarkastycznie i pobłażliwie zarazem, uświadomiwszy sobie, iż dla zrealizowania wspomnianych w tym utworze wspólnych marzeń rosyjskiego i polskiego poety „o przyszłych czasach, gdy narody zapomną waśni — i w rodzinę wielką połączą się“¹⁾ —

¹⁾ Wszystkie cytaty podaję w przekładzie Juliana Tuwina.

nie miał Puszkina żadnej innej recepty, prócz tej, którą unieśmiertelnił w swej patetycznej antypolskiej odzie *Oszczercom Rosji*, mianowicie: niech „się słowiańskie rzeki w rosyjskie wleją morze“! Bojowy antypolski duch tej zresztą bardzo efektownej ody powtórzy się i w wierszach: *U grobu wodza* i *Rocznica Borodina*, poza tym przeciwpolskie akcenty — nie wiążące się jednakże z aktualnymi dla poety zagadnieniami — znajdziemy także w *Borysie Godunowie*.

Spróbujmy zbadać, jakie jest właściwe źródło owej antypolskiej postawy Puszkina. Z jednej strony należy go szukać w charakterystycznej dla mentalności rosyjskiej w ogóle, a dla literatury w szczególności — idiosynkrazji do polskiego typu psychicznego, tak dobitnie wyrażonej w utworach Gogoła: *Taras Bulba*, Turgieniewa: *Zacisze*, *Pierwsza miłość*, Dostojewskiego: *Bracia Karamazowy* i u wielu innych. Nie mogąc wdawać się na tym miejscu w szczegółową analizę tej idiosynkrazji i dochodzenie jej źródeł, oraz dróg, jakimi się rozwijała — stwierdzić przecież musimy, że i u Puszkina istniała ona niewątpliwie i to w stopniu bardzo silnym.

Jeszcze większą przecież rolę od zasadniczo wrogiej postawy wobec polskości, jako pewnej sumy cech kulturalnych i psychicznych, odegrać musiał w ukształtowaniu się antypolskiej poezji puszkinowskiej czynnik aktualno-polityczny, wywodzący się z podłoża patriotycznego. Jako wielki a szczerzy patriota rosyjski, Puszkina widział we wszelkich polskich ruchach wolnościowych niebezpieczeństwo i to może nie tylko dla mocarstwowości rosyjskiej, ale i dla jej państwowego bytu... Korespondencja Puszkina z lat 1830/31 w jeszcze silniejszym stopniu, niż jego twórczość, odzwierciedla paniczne nieomal nastroje, w jakich pograżyło go powstanie polskie. Rzecz to ogromnie ciekawa: gdy w Polsce, nie wyłączając wodzów, nikt właściwie naprawdę nie miał wiary w powstanie i jego siły — w Rosji wojna polska budziła nastroje jaknajbardziej pesymistyczne, i widmo polskiego niebezpieczeństwa spędzało przez długi, długi czas sen z powiek co gorętszym, a głębiej myślącym patriotom rosyjskim, do których należał bezwątpienia Puszkina, poeta najorganiczniej rosyjski, poeta narodowy,

wychowawca całych pokoleń w duchu patriotycznym, nierzadko szowinistycznym — jednym słowem poeta klasyczny — że użyjemy modnego wyrażenia — państwowotwórczy.

III.

Jak wszyscy przecież wielcy artyści, był także i Puszkina konstrukcją duchową bardzo skomplikowaną, jednoczącą w sobie nierzadko całkowicie sprzeczne elementy. Toteż, określając go, jako wychowawcę narodowego w duchu patriotycznym, jako poetę dydaktycznego, jako poetę państwowego — powiedzieliśmy prawdę, ale nie całą prawdę. Poezja bowiem jego, która w szeregu najwybitniejszych swych utworów, jak w *Poławie*, *Borysie Godunowie*, *Córce kapitana*, *Jeźdźcu miedzianym*, w słynnych epilogach *Jeńca kaukaskiego* i *Cyganów*, i wielu, wielu innych utworach — stanowiła najidealniejszy elementarz mocarstwowo rosyjskiego wychowania państwowego — była zarazem pełna najbardziej wybujałego, jakże często zupełnie aspołecznego indywidualizmu (w utworach *Poeta*, *Do poety*, szczególnie *Czerń*). Co prawda, indywidualizm ten zasadniczo wiązany był przez Puszkina z apoteozą szczytnej roli poety, który wyniesiony duchem wysoko ponad tłum, odgradza się od wszystkich przyziemnych spraw i całej codzienności zbiorowości ludzkiej. Indywidualizm ten, ta rozgrzeszona przez Puszkina aspołeczna postawa poety, który nie gnie czoła przed chwilowym bożyszczem — wodzem ludu i wyraźnie podkreśla, że „nie dla powszednich trosk brzemienia, nie dla kramarstwa, nie dla bitwy” został stworzony, tylko „dla natchnienia, dla dźwięków słodkich i modlitwy” — indywidualizm przecież poety-hierofanta, poety-nadczłowieka nie wyczerpuje całkowicie problemu konfliktu między dobrem jednostkowym, a zbiorowym — między jednostką, a władzą... Problem ten, najsugestywniej wcielony w *Jeźdźcu miedzianym*, ukaże się nam od innej jeszcze strony, pozostawiającej zupełnie na boku zagadnienie stosunku artysty do tłumu czy do bożyszcza-wodza tegoż tłumu... Chodzi mianowicie o stronę społeczną. Wprawdzie w poemacie *Jeździec miedziany* racja stanu przeciwstawiona będzie racji szczęścia indywidualnego

bohatera — zarówno jednak łączący się ściśle z tym poematem wiersz „Rodowód mego bohatera“, jak i nawiązujący doń „Mój rodowód“ dowodzą, iż przeciwstawienie to pojmuje poeta szerzej, rozszerzając ramy konfliktu między władcą a jednostką do rozmiarów konfliktu społecznego.

Stając przecież na gruncie socjologicznej interpretacji poezji Puszkiniowskiej, nie możemy nie wyrazić zdumienia, iż tego rodzaju interpretacja mogła być posuniętą w Z S S R tak dalece, by uczynić z Puszkina piewce walki klas: poetę proletariackiego, jak to wielokrotnie pisano i mówiono w Rosji z okazji jego 100-lecia. Owszem, w pewnym sensie poezja Puszkina służy idei walki klasy — ale jakiej klasy?! Oto starej bojarskiej arystokracji, do której poeta należał po mieczu (po kądzieli pochodził od słynnego Ibrahima-Hannibala, „murzyna Piotra Wielkiego! stąd duża domieszka afrykańskiego typu i „afrykański“ temperament!). Stara ta, zazdrośnie strzegąca swych tradycji i uprawnień szlachta bojarska w okresie po-piotrowym ulegała coraz to silniejszemu zdeklasowaniu, ustępując swego miejsca „nowym ludziom“, nowej arystokracji urzędniczej, popieranej przez dynastię. W okresie Aleksandra I i Mikołaja konflikt ów między monarchą oraz protegowaną przezeń nową szlachtą, a szlachtą dawną — zaostriżył się najsilniej. Jak chcą niektórzy puszkiniści-socjologowie, nawet pod hasłem wolnościowo-konstytucyjnym wzniecone grudniowe powstanie dekabrystów, do którego młody Puszkini zagrzewał swą rewolucyjną poezją, ale w którym sam udziału jak wiadomo nie wziął — otóż nawet to powstanie miało rzekomo naprawdę reprezentować nie co innego, jak tylko zbrojny czyn owej opozycji starszszlacheckiej! Otóż Puszkini — zarówno w twórczości swej, jak i w życiu — mimo że ukorzył się przed carem, oddał się pod jego opiekę i przyjął dworski urząd — aż do końca dni swoich nie przestawał, choć sam piewca cara, dynastii i monarchii — reprezentować owej opozycji zubożałej, zdeklasowanej i pozbawionej znaczenia starej szlachty bojarskiej. W swym świetnym wstępie do polskiego przekładu *Jeźdźca miedzianego* przytacza Lednicki fakt następujący: na jakimś balu wywiązał się — z błahego zre-

szą powodu — mały konflikt między Mikołajem, a Puszkinem. M. in. car, ironizując, pyta: „Ktoś jest? Nie znam ciebie“. I otrzymuje odpowiedź: „Szlachcic Puszkina“. Nie poeta Puszkina!

IV.

Oprócz podłoża społecznego, konflikt między artystą a władzą — między Mikołajem a Puszkinem miał swój podkład czysto prywatny — intymny, i na nim to właśnie konflikt ów zaostrił się tak dalece, że doprowadził do katastrofy.

Po dziś dzień nie wiemy dobrze, kto był właściwym sprawcą tragicznej, przedwczesnej a tak straszliwej śmierci poety: czy ten, który 8 lutego (27 stycznia) 1837 roku wpakował Puszkiniowi kulę w dolną część brzucha, przyprawiając go o straszliwe dwudniowe męczarnie, po których skon był już tylko prawdziwą ulgą, czy też raczej ów, który oddawcę fatalnego strzału wypędził potem z Rosji?! Porucznik gwardji, d'Antes, czy car Mikołaj I? Kto z nich naprawdę ubiegał się o względy pięknej Natalji z Gonczarowów Puszkina, a bodaj że względy te już zdobył? Nowsze badania — w przeciwieństwie do całowiekowej tradycji — skłonne są coraz bardziej widzieć w d'Antesie jedynie figuranta, kreaturę podstawioną. Światło zaś, rzucane przez nie na cały ten ponury dramat sprzed stu równo lat, czyni tę tajemniczą historię jeszcze bardziej ponurą, stokroć bardziej tragiczną, niż przedstawiała się dotychczas.

Renesansowość Puszkina miała też swą „drugą stronę medalu“. W życiu, inaczej, niż w twórczości, opierał swą postawę wobec spraw erotycznych na bardzo nikłych, prawie żadnych fundamentach etycznych. Do końca dni swych był podobno niestrudzonym don Juanem i mało przykładnym mężem; zarazem przecież zazdrosny był niesłychanie o swą żonę i honor swego domu i imienia. I oto honorowi temu zagroziło niebezpieczeństwo — od kogo? Od tego, na czyjej łasce Puszkina znajdował się całkowicie: jako poeta, jako urzędnik, jako poddany! Zależność ta ustokrotniała hańbę; sytuacja stawała się okropna, beznadziejna. I oto

jedyne znalazło się wyjście: istotnego sprawcę dramatu przysłonił, a tym samym przysłonił i haniebną dla poety prawdę figurant d'Antes, którego strzał pozbawił Rosję największego twórcę, ale zarazem na całe stulecie pozornie zagłuszył plotkę dworską hańbiącą imię tego twórcy! Czy tak było naprawdę? Raczej właśnie tak, niż nie.

Teodor Parnicki.

Loża przy pracy.

Na marginesie książki K. M. Morawskiego: „Źródło rozbioru Polski“

Chodzi o dzieło historyka polskiego, który nosi imię o światowej niemal sławie. Jeden z Morawskich był zasłużonym prezesem P. A. U. i głębokim znawcą literatury rzymskiej, drugi bronił olśniewającą wprost formą w swoich dziełach filozoficznych światopoglądu katolickiego, trzeci, na równi z bardziej za granicą znanym Chłędowskim, wzbożcił zasięg naszych zdobyczy w dziedzinie renesansu i humanizmu, inny dał Polsce najlepszy swego czasu całokształt dziejów polskich, a inny jeszcze zasłynął talentem poety klasycznego. — Ostatnie dzieło K. M. Morawskiego, znanego również jako publicysta katolicki, zasługuje pod każdym względem na pochwałę oraz polecenie. Przede wszystkim dlatego, że jest bodźcem i zaczątkiem dalszych i dogłębnych badań i wnioskowań. Poruszyło bowiem, podobnie jak rewelacyjne dzieła A. Cochina we Francji, niemal całkiem zaniedbany odcinek z dziedziny nauk i badań historycznych, poruszyło i porusza problemy które się tyczą każdego z nas i które dzisiaj jak i dawniej wywierają decydujący wpływ na całokształt dziejów ludzkości, a które mimo to zbyt często są przemilczane, omawiane lęklawie i trwożnie albo też partyjnymi ekcesami jednostronnie przejawskrawiane lub zamazywane.

Pytanie, które sobie Morawski ogólnie stawia, brzmi: jaką rolę grają w dziejach świata stowarzyszenia tajne, z których najbardziej znana jest masoneria. I pytanie to rozwija na przykładzie Polski. Cochina a po nim inni pierwszorzędni

francuscy uczeni, jak D. Fay, wykazali niezbicie, na podstawie olbrzymiego materiału źródłowego, że rewolucja francuska nie była, jak dotychczas uważano, dziełem i wynikiem koniecznym ówczesnego stanu społeczno-politycznego, którego już nie można było żadną miarą trzymać, tylko że przewrót polityczny we Francji dokonany przez rewolucję, był dziełem świadomie i systematycznie przygotowanym i przeprowadzonym przez tzw. *Sociétés de Pensée*, które działały jako narządy wykonawcze masonerii. Tyle wykazały dociekania naukowe. Tyle udowodnili niezbicie francuscy historycy. Pytaniem jeszcze zostało, i to najważniejszym, jaki jest początek masonerii i kto jest duszą, wiecznym łącznikiem tego tajnego związku?

Mimo bogactwa i obfitości literatury na temat stowarzyszeń tajnych, tak za i przeciw nim, nie wykazano dotychczas i nie wyjaśniono bez reszty związku pierwszych łóż, zawiązujących się z początkiem 18 stulecia w Anglii, ze średniowiecznymi „Związkami mularzy” ani z zakonem templariuszy. Nie wykazano też dotychczas ani nie wyjaśniono w całej pełni stosunku masonerii do polityki angielskiej. Tematy te i zagadnienie już poruszane, tak przecież zawsze aktualne, a tak emocjonujące każdego naprawdę wielkiego historyka, są niestety zdane i dziś jeszcze pismakom partyjnej polityki, dyletantom lub maniakom, którzy się oczywiście przyczynić mogą tylko do ośmieszenia tego z natury swojej arcyważnego problemu. Partacka robota tych ludzi i śmieszność wyników ich rzekomych badań bywają niestety w następstwie wyzyskiwane przez czynniki, którym tak bardzo zależy na tajemnicy i na nietykalności sakralnej zasłony wspomnianych zagadnień.

A przecież problem ten narzuca się w całej pełni swej powagi. Każdy historyk, który się wglębia w dostępne dzisiaj niemal wszędzie źródła do historii 18 i 19 wieku, staje w obliczu jakiejś zagadkowej, tajnej a przemożnej i przemożnie działającej organizacji, wykazującej uderzającą zgodność z celami polityki brytyjskiej. Badania dziejów rewolucji francuskiej wykazały tylko i ujawniły narzędzia przewrotów. Właściwego sprawcy nie zdemaskowano. Znamy tylko dziwną nadwyras misję w tej sprawie nadwornego

bankiera pruskiego, który był równocześnie mężem zaufania łoż. I znamy sumy, którymi przekupywano ojców rewolucji z Mirabeau na czele. I jeszcze to wiemy, że powstanie przewrotu i równoczesna rewolucja w austrijackich Niderlandach (dzisiejszej Belgii) zostały zaaranżowane przez gabinet angielski w porozumieniu z Prusami, idącymi wówczas ręką w rękę z Anglią. Rewolucję tę zorganizowano właśnie w tej chwili, kiedy się miała zawiązać ostatecznie liga państw katolickich, jak Francja, Austria, Hiszpania i Neapol łącznie też i z Rosją. — Liga ta byłaby niewątpliwie przechyliła szalę równowagi Europy na korzyść państw nią objętych. I to nam mówi dużo. Przez długie bowiem dziesiątki lat usiłowały Anglia i Prusy udaremnić podobną koalicję, która w takiej np. wojnie siedmioletniej o mało że nie stała się trwałą rzeczywistością. „Partia filozofów“ z Voltaire'm na czele uczyniła naonczas wszystko co leżało w jej mocy, by udaremnić alians Francji z dworem cesarskim. A związki encyklopedystów z Anglią i Fryderykiem Wielkim są przecież dobrze znane. Nie tak trudno przypomnieć sobie, że kiedy w Rosji wszystkie środki okazały się bezskuteczne, mord polityczny i sprzedajność zrobiły swoje, by austro-filską politykę Elżbiety udaremnić. A kiedy w roku 1787 bezpośrednio przed rewolucją francuską, po podróży krymskiej Katarzyny i Józefa II plan ponownego zbliżenia Francji-Austrii-Rosji był bliskim realizacji, podpalono znowu lonty, by wywołać pożogę we Francji i Austrii — tam wyzyskując stosunki społeczne, tu zaś niezadowolenia nacjonalistyczne — byle tylko rywali Anglii i Prus osłabić i zgniebić.

W tej koalicji państw katolickich, która masonerii i jej duchowym synom wydawała się największym złem, miała i Polska swoje miejsce. I o ten historyczny moment zaczyna właśnie dzieło K. M. Morawskiego, niestety bez dostatecznego nacisku. Pierwszym punktem programu: *écrasez l'infame*, dążącym do zniweczenia katolicyzmu przez zniweczenie katolickich państw, były właśnie zgubą Polski, najsłabszego naówczas partnera wśród państw katolickich.

Treść tej świetnie napisanej, a czerpiącej z pełni głębokiej znajomości źródeł historycznych książki możnaby tak ująć: systematyczne usiłowania zmierzające najpierw do roz-

bioru Polski, a następnie realizujące swój plan przewrotny przez zabór ziem polskich są działaniem jednego ośrodka, który nie spoczął póki nie osiągnął swego celu. Tę tezę Autor rozprowadza na szeroko zakrojonym i dobrze podmalowanym tle historycznym. Przedstawia prądy masońskie XVII stulecia — ich tajną a faryzajską działalność, maskującą się na zewnątrz udawaną pobożnością. Pokazuje następnie jak w stuleciu Oświecenia pozycje te się zmieniają. Kreśli mistrzowsko przygotowanie przewrotu uwieńczone triumfem pod koniec tego stulecia. Demaskuje masonów, iluminatów i różokrzyżowców jako inkarnacje tego samego ducha, który w Anglii i Holandii stworzył swe pierwsze osiedla, by potem w Szwecji, Prusiech i innych dworach niemieckich zapanować już na stałe.

I na takim tle jawi się dziwne pozornie zjawisko. Karol Gustaw, August Mocny i Fryderyk Wielki najgorętsi zwolennicy nowego prądu i krzewiciele nowego ducha stali się równocześnie głównymi sprawcami i ideowymi rzecznikami rozbioru Polski!

Morawski cytuje przebogate mnóstwo planów i dokumentów, które dowodzą niezbicie, kto i jakimi środkami pracował na zgubę Polski. Szereg tych dokumentów jest ogólnie znany, ale o wielu z nich wie tylko zamknięte koło historyków. Zestawienie wszelako w całości tych dokumentów wywiera głębokie wrażenie. Nie można się oprzeć prawdziwości tej tezy, że mamy do czynienia z ogniwami jakiegoś jednolitego i wielkiego łańcucha celowo współdziałających przyczyn.

Wszystkie osobistości, które w jakikolwiek sposób przyczyniły się do rozbioru Polski są równocześnie wybitnymi, wysoko zaawansowanymi masonami i zwolennikami polityki antykatolickiej, prowadzonej przez trójkąt Anglia-Prusy-Szwecja. Dokumenty z epoki samych rozbiorów zbyt są oczywiste. Sprzeczano się długo o doniosły szczegół, kto był sprężyną tego łańcucha pociągnąć dyplomatycznych, które w r. 1772 doprowadziły do pierwszego rozbioru. Niedawno temu zdołałem jednak odkryć zlecenie Fryderyka Wielkiego, dane mężowi zaufania a nakazujące mu, by tajną drogą umożliwił zaproszenie księcia Henryka, brata króla

pruskiego do Petersburga, celem porozumienia się w sprawie ewentualnego rozbioru Polski. Okazuje się więc, że misja księcia Henryka, która dotychczas uchodziła za dowód, jakoby Katarzyna I podsunęła plany rozbioru Polski, była dotychczas źle interpretowana. Rozmowa bowiem Katarzyny była już zainspirowana poprzednio z zewnątrz i to przez Prusy. A doradcami księcia Henryka byli dzisiaj zapomniani, wówczas jednak dzięki swemu stanowisku w masonerii wpływowi, dyplomaci hr. Lynar i genueński awanturnik Bollo.

Szereg tych poniewolnych i dobrowolnych narzędzi działających na zgubę Polski możnaby ciągnąć w nieskończoność: są to figury, w rodzaju Cagliostro i Casanowy, taki Ghigiotti, Piattoli, Thomatis, Aloe, Glayre, Toux de Salvert i najbardziej osławiony z nich Lucchesini, poseł króla pruskiego, zły duch ciężący fatalnie nad wszystkimi poczynaniami odrodzenia wewnętrznego Polaków. I niestety, sam król Stanisław August Poniatowski, i on był narzędziem w ich dłoni, chociaż stał na niskim stopniu wtajemniczenia i chociaż usiłował wyzwolić się i chronić Ojczyznę.

Przeprowadzenie historyczne tezy udało się Morawskiemu znakomicie. Dostarczyć jej w szczegółach nowego materiału, oto wdzięczna praca przyszłych badań. Nie utracą jej ani nie przestraszą ci, którym w odrodzonej Polsce zależy na tym, by nie zdemaskowano właściwych grabarzy Polski i którzy protestem oburzenia albo też jadowitych drwin starają się wszystko w śmiech obrócić. Nie uniemożliwią tej pracy, chociaż ją utrudniają, także ci niedowarzeńcy, którzy z jasnego faktu historycznego zgótować sobie chcą wygodne narzędzie dla partyjnej polityki i prywatnych rozpraw. *Alia iacta est* i potoczy się aż do ostatniego wątku.

Prof. Dr. Otto Forst Battaglia.

Przegląd piśmiennictwa.

Gertruda von le Fort: *Papież z Ghetta*, tłum. Jana Sztaudyngera, wyd. św. Wojciecha. — Michał Rusinek: *Pluton z dzikiej łąki*, wyd. Gebethnera. — Helena Zakrzewska: *Płomień na śniegu*, wyd. św. Wojciecha. — Juliusz Kędziora: *Marcyna*, wyd. Roju. — Tadeusz Kudliński: *Rumieńce wolności*, wyd. Roju. — Alia Rachmanowa: *Fabryka nowych ludzi*, wyd. św. Wojciecha. — J. Surynowa-Wyczółkowska: *Jego kobiety*, wyd. św. Wojciecha. — Franciszek Mauriac: *Pielgrzymi*, tłum. Jan Dobraczyński, wyd. św. Wojciecha. — Jan Strzembosz: *Pożyczka zagraniczna*, wyd. św. Wojciecha. — Wacław Berent: *Diogenes w kontuszu*, wyd. Gebethnera. — Bernanos: *Pamiętnik wiejskiego proboszcza*, tłum. Wacław Rogowicz, wyd. Roju.

Jedną z wielkich zasług kulturalnych firmy św. Wojciecha w obecnym sezonie jest niewątpliwie wydanie w pięknej, jak zwykle, szacie i w doskonałym przekładzie Jana Sztaudyngera sławnej książki niemieckiej autorki Gertrudy von le Fort: *Papież z Ghetta*. Książka to bardzo piękna, bardzo dziwna i... bardzo niemiecka. Jest to powieść historyczna z lat od 1049 do 1130, oddająca ówczesną historię Kościoła, historię szeregu papieży, walki o inwestyturę i historię (jak powiada podtytuł książki „legendę”) rodu żydowskiego Pierleonich, z którego pochodził antypapa Anaklet II. Trudno mi jako niefachowej historyczce osądzić, co w tej „legendzie” jest naprawdę legendą, co faktem historycznym. W każdym razie zgrab historii jest historycznie bardzo ściśle. Ściśle historyczne są charakterystyki papieży, historia koronacji cesarzy, konkordatu Wormackiego. Także i żydowskie pochodzenie z rodu Pierleonich Anakleta jest historyczne. Charakterystyka w kilku słowach Anakleta podana w pomnikowym dziele Seppelta i Löfflera *Dzieje papieży*, jest jakby skrótem charakterystyki powieściowej. Z tego też dzieła dowiadujemy się, że rodzina Frangipanich i jej walki z rodem Pierleonich, są historyczne. Tak że to, co laik zgłębić może o historii tych czasów, zgadza się bardzo ściśle z treścią powieści i zdaje się wskazywać, że autorka z sumiennością historyka i pedanterią

Niemca nie zmieniła w swej powieści ani jednego rysu charakterystycznego historii. Faktura książki jest bardzo oryginalna: W krótkich ustępach zatytułowanych „Żydzi Romy opowiadają“, „Z kronik niepisanych“, „Niewiasty judzkie opowiadają“ itd. kreśli nam autorka surowe a potężne obrazy życia ówczesnego. Ukazuje nam szereg wspaniałych postaci papieskich (cudowna postać Paschalisa II) postaci kardynałów, rzymskich „kapitanów“, ukazuje nam obu Henryków, rzymski lud, a przede wszystkim tajemniczy i groźny lud żydowski, obcy, daleki i groźny pośród ludów chrześcijańskich. Ma się wrażenie, że te biblijne obrazy i postacie są specjalnie bliskie artystycznemu sercu autorki. Małuje je z predylekcją i przedziwną maestrią. A ponieważ to, co jest bliskie artystycznej koncepcji autora, rzadko jest dalekie jego sercu ludzkiemu, wyczuwa się u Gertrudy von le Fort dużą litość, jeżeli nie sympatię, dla tego ludu tragicznego, ludu modlącego się do tego samego co my Boga, ludu wybranego na naród Chrystusa. „Ojciec św. Paschalis przechodził męcząco do porządku nad mową niechrześcijańską, że z żydowskiego pnia nic dobrego rozkwitnąć nie może“. Dla autorki taka mowa wydaje się także niechrześcijańska. Wierzy także bardzo nie po hitlerowski, że „nie krew lecz duch jest szansem warownym“. Ale z bezstronnością historyczki widzi i odwrotną stronę medalu: widzi odrębność i nieprzejednaność krwi żydowskiej i z bardzo niemiecką skłonnością do historiozofii a raczej do historiozofii mistycznej, widzi tajemniczy cel narodowych i rasowych odrębności: „Zadania ludów nie są dziełem przypadku, jeno jak na ziemi mają narody swoich książąt tako i w niebiesiach, którzy się zowią Państwa albo Trony... a ich diademów nie można wymienić“. Z tej wrogości, podstępności i nienawiści żydowskiej na tym odcinku dziejów, z tej wężej chytrłości rodu Pierleonich, działającego świadomie na zło znienawidzonego Edomu, wyniknie zło tylko pozorne, w konsekwencjach ostatecznych wyniknie także dobro, dobro duchowe. Bo to co po ludzku dobrem i zwycięstwem nazywamy nie zawsze jest nim w istocie, nie zawsze w porządku nadprzyrodzonym, Bożym, mistycznym. Bo siłą człowieka i siłą Kościoła nie są miecze i korzyści i zwycięstwa, lecz cnota, świętość, ofiara, a przede wszystkim krzyż. „Nie przywiązujemy wagi — mówi znowu św. papież Paschalis II — do oszczerstw miotanych przeciw Pierleone, ale przywiązujemy wagę do tego, jak on te oszczerstwa przyjmuje“. To jest miara człowieka i to jest zapytanie łaski, stawiane przez Boga ludziom. Wielu odpowiada na nie; Pierleone, Anaklet, nie odpowiedział, jak nie odpowiada po dziś dzień wielu... Według tego prawodawstwa wewnętrznego rządzi się Kościół na ziemi. Metodami Chrystusowymi walczy Paschalis II, walczy przebaczeniem, błogosławieństwem, pozorną kapitulacją. Z tej kapitulacji zrodzi się zwycięstwo, z wielkiej zachodniej schyzmy wywołanej przez

Anakleta zrodzi się także wielka reforma, wielkie wewnętrzne odrodzenie Kościoła... „świat jednak zbawion będzie nie przez tych, którzy walczą w obronie niewinnych (aczkolwiek powinniśmy walczyć o niewinnych) ale będzie zbawion przez gorzkie męki niewinnych“. To jest istotny sens powieści; jego głównym bohaterem jest krzyż, bo przez krzyż świat został zbawiony i przez krzyż do dziś dnia zbawiony i ratowany bywa; to jest jej sens bardzo chrześcijański, przeciwstawiający się wyraźnie i otwarcie, tak modnemu dziś humanitaryzmowi pogańskiemu. Z tej chrześcijańskiej mistyki wypływa także mistyczne spojrzenie autorki na sens dziejów Kościoła. Kościół jest dla niej, nie w przenośni, ale w prawdzie ciągle i nieprzerwanie mistycznym, bolejącym żywym Chrystusowym ciałem. Mądry a światobliwy kardynał, biskup Petrus z Portus tak pisze: „Wiemy dobrze, że na naszym Kościele świętym, a Jego Oblubienicy zawsze i w każdym szczególe powtarzać się musi los jej Oblubienca na ziemi, aby pokolenie za pokoleniem dowiadywało się, wierzyło i poznawało: wydana w ręce ludzkie i przez nie wplątana w grę ludzkich zabiegów (oni przecież i Chrystusa chcieli uczynić królem z tego świata) w istocie jest matka nasza, Kościół święty uczestniczką męki swego Pana i oblubienca; wraz z nim Jego opuszczeniem opuszczona, Jego zelżeniem zelżona, Jego uciskiem uciśniona, aby kiedyś wraz z Nim w Jego zwyciężyć chwalebnym zwycięstwie“. I gdzie indziej mówi tak: „Kościół święty nie obawia się utrapień, lecz obawia się, by nie pokrzyżowano woli Chrystusowej“. To jest mistyczna historiozofia dziejów Kościoła na ziemi zawarta w *Papieżu z Gheffa*.

Ten sens mistyczny ukryty w historycznej kronice jest, jak to często w dziełach niemieckich bywa, ukryty głęboko i dość zawile. Wydobywa się na wierzch jakby z trudem i opornie. Nawet język nagina się, a raczej formuje na tej właśnie trudnej dosyć do zgłębienia myśli mistycznej, bo przysłowie, że to co się dobrze rozumie, wyraża się jasno, jest jednym z tych przysłów z gruntu fałszywych. Trudna zawikłana myśl walczy z opornym materiałem słowa. Z resztą i ten hieratyczny język (doskonale przez Sztaudyngera oddany) jak każda rzecz w sztuce celowa i konieczna, dodaje wiele piękności tej niezwyklej książce. Jest on doskonale dostosowany do oddania surowych majestatycznych obrazów. „I stało się, że w mgnieniu oka wszystkie nagie i oporne domy w naszym śródmieściu poczerwieniały, jakby od wstydu. Tak wiele purpury zarzucono z okien na ich nagie ciała, że stały się jakby jednym, wielkim purpurowym tronem. A u ich stóp z marmuru nie było ani jednego starożytnego słupa, któryby nie zakwitł na podobieństwo młodego krzewu róży“. Ten piękny obraz jest jakby próbką artystycznej strony książki, książki która zda się raczej kuta w granicie, niż z słowa tkana. Cała robi wrażenie potężnego monumentu. Ma w sobie coś z powagi i har-

monii średniowiecznych groźnych a pięknych budowli, jak one wznosi ku niebu w огоłoceniu szarych murów i groźnych blanków najbardziej mistyczną myśl i najbardziej tkliwą modlitwę.

Pluton z dzikiej łąki Michała Rusinka to znowu jedna książka więcej o austriackiej szkole, o przeżyciach uczniowskich, o obudzeniu się erotyzmu u podrastających chłopców. Bardzo znamienne dla naszej epoki jest to wracanie pisarzy na ławę szkolną. Zawsze mieli ludzie pociąg do wskrzeszania własnej młodości i dzieciństwa, ale podczas gdy dawniej, były to wycieczki w jakąś krainę „sielsko-anielską”, w krainę wspomnień promiennych, rzewnych i czystych, dzisiaj są to przeważnie wycieczki w krainy upiorne, złe, przedziwnie brudne i ponure. I albo trzeba by postawić pod znakiem zapytania autentyczność literackich zeznań, albo wykluczyć myśl o wszelkim możliwym wpływie szkoły i młodości na życie, albo zgodzić się z myślą, że całe to pokolenie, nasze pokolenie, to sami jacyś ludzie ciemni, niedouczeni, niewykształceni, zdeprawowani i zepsuci do szpiku kości. Na szczęście wiemy, że tak źle nie jest. To też źródło tego faktu, że dziś książki o młodości są książkami najbardziej ponurymi, cynicznymi i najbardziej brudnymi, należy się doszukiwać raczej gdzie indziej. Naprzód może, w pewnej reakcji przeciw dawnej zbyt wielkiej „sielskości”, zbyt wielkiemu sublimowaniu wspomnień dziecińczych i dziecka w ogóle, dalej niewątpliwie we freudowskiej nauce o kompleksach dziecka, w końcu w tej literackiej modzie, którą tak świetnie określił pisarz francuski Jean Schlumberger, nieprzetłumaczalnym słowem *Misérabilisme*. W świetnym swoim artykule na ten temat (*Nouvelle Revue Française*, luty 1937) stwierdza Schlumberger, że literatura dzisiejsza jest wprost rozmiłowana w opisach brzydkich i ordynarnych stron życia, w opisach jego funkcji prostych, lecz mało pociągających, że jak powiada, „kraina literatury pięknej jest dziś gęsto usiana miejscami ustronnymi”, a czytelnik często dusi się wśród azotowych wyziewów! Równoległe z tą „depoetyzacją świata”, szło w literaturze i odbronzowienie człowieka. Znowu jako reakcja przeciw zbytnej anielskości typów literatury romantycznej, książki nasze zaroiliły się od samych zbrodniarzy, zbrojców, kryminalistów, sadystów, kołtunów i durniów. „Prawda człowieka” to dziś prawda jedynie jego instynktów najniższych. Takie spojrzenie na świat, powiedzmy od schodów kuchennych, musiało z konieczności prowadzić do skrajnego pesymizmu, do rozmiłowania się jedynie w nieszczęściu, cierpieniu i ich beznadziejności. Schlumberger twierdzi, że i skrajny realizm i nawet skrajny naturalizm mogą wnieść w literaturę zdobycze cenne, ale że wnoszą je tylko wtedy, gdy są niesione „na prądzie twórczej poezji” tak jak to miało miejsce u Flauberta, a nawet w pewnym sensie u Zoli. Gdy są tego elementu pozbawione,

sprowadzają się jedynie do mody, która — ufa autor francuski — minie szybko bo „nie pachnie“, i nikomu wielkiej przyjemności nie sprawia.

Jeżeli tym rozważaniom o „Miserabilizmie“, o ponurości i brudzie książek dzisiejszych, a specjalnie książek o młodzieży, oddaję się omawiając książkę Rusinka, to nie dlatego, żeby była ona tej mody najjaskrawszym czy najtypowszym objawem, lecz przeciwnie dlatego, że tkwiąc w niej bezsprzecznie korzeniami, zdradza pewien wysiłek ku przezwyciężeniu jej. Naprzód, jeżeli *Pluton z dzikiej łaki* porównamy z poprzednimi książkami Rusinka, przyznać będziemy musieli, że „miazmatów azotowych“ jest w nim znacznie mniej, niż w dziełach poprzednich. Dalej, jeśli chodzi o stronę erotyczną przeżyć młodzieży, to choć autor mało czego oszczędził na tym polu (p. Emil Breiter martwi się bardzo, że autor narzuca sobie za wiele skrępowań i że braknie mu odwagi, a ma pierwszorzędne dane „na erotystę“...) to jednak w porównaniu z wieloma innymi autorami, Rusinek zajmuje tu stanowisko własne, wobec rzekomo imperatywnych nakazów freudowskich odważne i sympatyczne. Każę swoim bohaterom z zalewającą ich falą zmysłowości walczyć, przeciwstawiać się jej, odrzucać jako zwyczajną pokusę i w tym zwycięstwie, nie w poddaniu się, widzi siłę i wartość młodzieży. A dalej: oprócz najgorszych instynktów w ludzkich duszach dostrzega jednak i dobre. Epizod denuncjatora Trupiołgówki, okupującego winę przez wyratowanie klasy i profesora podczas wizytacji jest wzruszający i jakżeż ludzki! Autor razem z Korabikiem wierzy, że mimo wszystko, ten podły Kozik „ist doch ein Gentleman“. I to motto odnoszące się prawie do wszystkich jest tym, tak niemoдным dziś, aktem wiary w dobroć ludzkiej duszy. Rusinek obok obowiązujących karykaturalnych typów profesorskich namalował jednak śliczną postać germanisty Korabika, jedyny, zdaje mi się spośród wszystkich swych „kolegów po temacie“ wspomniał o katechecie jako o człowieku sympatycznym i inteligentnym, a nie jako o płaskim i dewociarskim ogłupicielu młodzieży a przede wszystkim jego młodzież, oprócz zainteresowań seksualnych, ma jednak zainteresowania literackie, kulturalne, naukowe, ideowe. Ma odwagę Rusinek złożenia publicznego, a też jakżesz niemoдного i prawie deklasującego hołdu, wielkiemu czarodziejowi i pedagogowi naszego dzieciństwa, Sienkiewiczowi, a tak niepodobające się panu Breiterowi zakończenie wymarszem legionów do Miechowa jest ładne, nie jest jak twierdzą *Wiadomości Literackie* sztucznie doszyte, przeciwnie jest naturalne, jest naturalnym i zrozumiałym ujęciem tęsknot, zainteresowań i zapałów młodych gimnazjalistów.

Ale najwyraźniej przezwycięża Rusinek obowiązującą modę ponurości i cynizmu książek młodzieżowych rzewnym, szczerym i niemaskowanym sentymentem. Sentyment ten odnosi się w pierw-

szym rzędzie do rodziców, rodziny, najbliższego otoczenia bohatera (czytaj w przenośni autora). Postać ojca węglarza, surowego pracownika, człowieka prawego, o prostej wierze i gorącym patriotyzmie jest śliczna, żywa plastyczna. I znowu w odróżnieniu od „kolegów”, w tym swoim biednym dzieciństwie, w tym otoczeniu węglarzy, krawców i stolarzy nie widzi autor jedynie nędzy, brudu, krzywdy, zgnilizny ale widzi też uśmiechy, proste radości, proste szczere przywiązania i przyjaźnie. Twarz Jędrzeja, robotnika „odkąd ją znał Ignac, nie widziała smutku”. To dostrzeżenie uśmiechu nawet u biednych i głodnych, jest realizmem Rusinka, realizmem *à rebours*, a łączy się z jego naturalnie, a tak przez wielu krytyków potępianym, optymizmem życiowym. Optymizm taki, wiara w człowieka, wiara w skuteczność jego pracy i wysiłku uważana jest powszechnie za brak „głębokości” spojrzenia w rzeczywistość, za grzech przeciwko „prawdzie życia”. Ale mnie się wydaje, że jeżeli Rusinek pójdzie za swoim zdrowym instynktem, a wbrew radom pana Breitera — może zająć w naszej literaturze stanowisko może odosobnione, ale tym bardziej zaszczytne. Jeżeli chodzi o stronę zewnętrzną książki, o jej formę literacką, mówiąc po prostu o styl, to też podoba mi się co innego jak p. Breiterowi. Styl Rusinka świetny i żywy w dialogu, razi mnie miejscami zbytnim „metaforyzmem”: „belt szczęścia zaschnięty dotychczas w mały pączek”, „Dziś widzę, jak ta rozdziawiona paszczyka szynku, podparta kamienną brodą z siedmiu schodów...”. „Cały rynek był jednym napuchniętym z czujności uchem”. „Sękata tchawica piwnicy wydychała z czarnych płuc, z wszystkich komór, z wszystkich ksiąg murowanego żołądka...”. Tych i podobnych metafor jest za wiele, są one zbyt „wytrzymałe” i nie zawsze dostatecznie się tłumaczące i sugestywne (jak np. ucho rynku). Ale i tu uderza zjawisko ciekawe: w miarę posuwania się książki, jest tych metafor coraz mniej. Autor, jakby porwany ciepłem i ludzkością swego opowiadania zapomina niejako o metaforze i widzi raczej rzeczy a nie ich sztuczne obrazy. Mniej widzi „ludzkich kęp”, „kamiennych bród”, „korzeni kamienie”, więcej ludzi, domów, łąk i życia. I całości książki wychodzi to na dobre.

Trudno jest na świecie utrzymać słuszną miarę. Jeżeli książki o młodzięzy grzeszą zbytnim i przesadnym pesymizmem w spojrzeniu na człowieka, człowieka-dziecko, to znowu książki dla młodzięzy, grzeszą może czasem stanowiskiem odwrotnym: zbytnim, wprost nieprawdopodobnym idealizowaniem dziecka-bohatera. Ten właśnie błąd — zresztą błąd jedyny — ma śliczna książka Heleny Zakrzewskiej *Plomien na śniegu*. Mały Michaś jest rzeczywiście aniołem w ludzkim ciele, jest mędrce, geniuszem, bohaterem, filantropem w ogóle między 10 a 15 rokiem życia przebudował uszlachetnił, uszczęśliwił, oświecił, pod-

niósł kulturalnie, moralnie i umysłowo całe swoje otoczenie! To jest mało prawdopodobne, ale przyznaję śliczne, wzruszające i biorące. Te refleksje o „nieprawdopodobieństwach” przychodzą *a posteriori*, może zresztą są skutkiem „zawodowej deprawacji” krytyka, którego obowiązkiem jest wyszukiwanie dziury na całym. W trakcie czytania wierzy się potulnie we wszystko, nawet w Michasia! We wszystko się wierzy i wszystkim przejmuje. A to znowu jest skutkiem „profesjonalnej maestrii” autorki. To zaś jest najważniejsze. Bo ostatecznie w książce dla dorosłych, czy dla dzieci, nie chodzi o to, czy autor opowiada historię prawdopodobną, ale o to, czy zmusza czytelnika do wiary w prawdopodobieństwo. A p. Zakrzewska zmusza do tej wiary bezwzględnie. Jej opowiadanie jest tak żywe, tak przejmujące, tak „biorące”, że nawet dorosły sugestii tej oprzeć się nie może, gorączkowo przerzuca karty, żeby się dowiedzieć co będzie dalej, płonie nienawiścią do wrogów Michasia, życząc im najgorzej, a jemu i jego stronnikom życząc najlepiej! Ale nawet to roznamiętnienie nie przesłania czytelnikowi dorosłemu pedagogicznych walorów książki, jej szlachetności, patriotyzmu, pierwiastków kulturalnych i społecznych. I gdy się przeczyta choć jedną książkę Heleny Zakrzewskiej rozumie się dobrze olbrzymi sukces, jaki odniosła jej książka *Zaklęty dwór* we Francji; rozumie się, że sukces ten ma do zawdzięczenia nie tylko świetnemu przekładowi (jak to podniosła zazdrosna krytyka francuska) ale przede wszystkim wielkim darom i wielkiemu talentowi doskonałej autorki dla młodzieży, jaką jest Helena Zakrzewska.

W dyskusjach o książce Juliusza Kędziory *Marcyna*, powieści nagrodzonej pierwszą nagrodą na wielkim konkursie powieściowym *Ilustrowanego Kurjera Codziennego*, na plan pierwszy wysuwa się kwestia języka a raczej gwary ludowej, jaką jest pisana. Dla jednych gwarą tą jest do czytania męcząca, często słyzy się dowcip, że książka byłaby dobra gdyby ją... na polskie przetłumaczyć. Inni właśnie w tej gwarze upatrują wielkie wartości językowe i artystyczne. Dla przeciętnego czytelnika, tego, który nie szuka w książce zagadnień lingwistycznych gwarą Kędziory jest niewątpliwie męcząca, i czytanie książki utrudnia. Choć z tą trudnością nie należy przesadzać. Po kilku kartkach każdy w język Marcyny się wczytuje i osobliwości jego przestają go razić. Mówię osobliwości, bo gwarą ta jest wierna i niewierna zarazem, a robi stanowczo wrażenie szarży, nie dlatego, żeby tak właśnie lud nie mówił, tylko dlatego, że na wierne i ściśle oddanie ludowej gwary nie ma odpowiednich znaków pisarskich. Ludowe „o” z przydechem, ludowe „o” skłaniające się ku „u”, ludowe przekształcenie dźwięku „ch” w „f” nie mają odpowiednich znaków alfabetycznych. Ludowe „on” z przydechem, pisane z konieczności przez ł „lon”, brzmi tak samo jak np. „łom”

a wiemy że fonetycznie jest tu jednak różnica istotna. „Łumira“ „untarz“ nie są wiernymi odpowiednikami przez lud wymawianych słów „umiera“ i „ołtarz“. Na tym momencie zdaje mi się polega „przesada“. Ale ponieważ innych, jak używane znaki alfabetyczne nie ma, cóż miał autor robić? Prawdziwie złą stroną tej gwary jest, że ona właśnie uniemożliwi czytanie Marcyny przez chłopów. Chłop którego uczono w szkole czytać normalnie, nie zrozumie tych słów wykoszlawionych, na to trzeba jednak pewnej wprawy w czytaniu i pewnego wykształcenia. Nie mówię już o tym, że chłop taką gwarę czytałby niechętnie i z poczuciem obrazy. Jeżeli mówię że szkoda, iż *Marcyna* nie zabłądzi pod strzechy, to dlatego że uważam ją za książkę bardzo dobrą. Autor zna na wylot chłopą i jego życie. Postacie, sceny, sytuacje są frapująco wierne i prawdziwe. Kędziora zna nie tylko obyczaj chłopski zna co najważniejsze i najrzadsze jego duszę. Postać Marcyny w pomieszanu jej dobroci i zawiści jest doskonałą; świetna i prawdziwa mimo swej ślicznej prostolinijności jest postać jej ojca. Prawdziwa i głęboko wzruszająca jest jego religijność prosta a sięgająca wysokiej świętości. Jeżeli czegoś brak tej książce to może szerszego tła, szerszego oddechu, ukazanie chłopą w jego stosunku do spraw pozalokalnych. Ale może stawiając ten zarzut ulegam manii, którą sama nieraz potępiam, żądania „społecznictwa“ od każdej książki. Właściwie należy się kontentować tem co autor dać zamierzał i dał: fragmentem wiejskiego życia pulsującego krwią i prawdą.

Teodor Parnicki w ciekawym studium „Historia przed sądem współczesnej literatury“ (*Przegląd Powszechny* marzec 1937) zauważył słusznie, że po zupełnym jakby zaniedbaniu tego literackiego rodzaju w czasach bezpośrednio powojennych przeżywamy jego zmartwychwstanie. Publikacje dni ostatnich tezę tę potwierdzają, udowadniając że „literackie mody“ to po prostu jakaś potrzeba danej epoki sięgania po natchnienie, po artystyczne tworzywo, do jednego wspólnego źródła, do źródła, które w jakiś specyficzny a tajemniczy sposób pociąga i zapładnia pisarzy jednej epoki. Ostatnia książka Tadeusza Kudlińskiego *Rumieńce wolności* wskazuje, że jednym z tych bogatych źródeł jest dziś dla nas historia i to szczególnie historia doby rozbiorowej. Temat bowiem tej książki jest ten sam, co temat wielkiej Berentowej trylogii. Jeśli się mówi o pokrewieństwie natchnienia, nie znaczy to bynajmniej, że się mówi o „wptywologii“. Obie książki i Berenta i Kudlińskiego powstały od siebie niezależnie, *Rumieńce wolności* były ukończone dawno przed ukazaniem się pierwszego tomu *Nurta* (ukazanie się ich na półkach księgarskich zostało opóźnione przez konkurs *Ilustr. Kurjera Codziennego*, gdzie w rękopisie przeleżały długie miesiące, zdobywając sobie chlubne odznaczenie). Zresztą oprócz tematu nie ma książka Kudlińskiego

nie wspólnego z książką Berenta. Berent powiada wyraźnie, że chodzi mu nie o historię lecz o literaturę, a to jest „wręcz przeciwnie”. Kudliński stoi jakby na biegunie przeciwnym: jemu chodzi właśnie o historię. I właściwie historia jako taka jest bohaterem jego książki.

Książka Kudlińskiego pisana jest fakturą, którą znamy już z jego powieści *Wynajęci Ewy*. Składa się z krótkich ustępów, malujących pewien fragment historycznych wypadków, kreślących scenę z życia jakiegoś człowieka, pewien historyczny epizod, a potem porzuca zaczęty wątek, aby w ustępie następnym dać fragment, czy sylwetkę inną. Niektórzy krytycy zarzucali autorowi tę fakturę. Mnie wydaje się ona bardzo dobra i szczęśliwa, wydaje mi się co więcej doskonale celowa i prawie że konieczna. Kudlińskiemu nie chodzi o narysowanie kilku ludzkich sylwetek, nie chodzi mu nawet w ścisłym tego słowa znaczeniu o obraz epoki, czy jej charakterystykę, chodzi mu o pokazanie złożoności i różnorodności równocześnie się dziejących wypadków, równocześnie a jakżeż różnie działających ludzi. Chodzi mu o ujęcie „toku dziejów” na pewnym odcinku czasu, o ogarnięcie perspektywy historycznej w jej złożoności, o ujęcie tego wszystkiego, co się na historię składało i co ją rodziło. Dlatego musi równocześnie mówić o szeregu spraw i mnóstwie ludzi, nie może ich, ich własną chronologią z epoki wyodrębniać, kazać im na własnej fali czasu w przyszłość podążać.

Każdy z ustępów składających się na całość książki jest opatrzony mottem. Te motto to po prostu ustępy z dzieł historycznych, z historycznych źródeł, z korespondencji owych czasów (szkoda że bez podania źródeł). Taki krótki ustęp historii bierze autor jako temat rozmyślenia, tak samo jak pisarze książek duchownych biorą do rozmyślenia poszczególne zdania ewangelii. Bierze je jak muzyk prostą melodię, aby rozwinąć ją w bogatą frazę muzyczną. Tylko praca Kudlińskiego nie polega tyle na rozwijaniu, komentowaniu, czy tłumaczeniu danego faktu, notowanego w kronice historii, lecz polega po prostu na strzepnięciu z niej pyłu, a przywróceniu rumieńców życia. Ze swoich artystycznych zamierzeń zdaje się autor spowiadać ustami jednego z licznych bohaterów książki, ustami ks. Adama Czartoryskiego: „gdy ten rozmyśla o obliczu kamiennej historii” i o okrutnej zagadce istnienia i o myśli człowieka, która dumnie wystrzela „jak nowa gwiazda w noc ciemną i zagadkową”. Tak właśnie ożywia się kamienne oblicze historii w jakżeż żywym obliczu ks. Józefa, Kilińskiego, Kościuszki, ks. Adama i wielu, wielu innych, tak właśnie strzela ich myśl w nieznana im przyszłość. Jak bardzo udało się autorowi rzeczywiście nałożyć ten rumieniec na kamienne oblicze dowodzi fakt prosty, ale dość ważny jeśli chodzi o szczęśliwą lub nie realizację artystycznych zamierzeń pisarza: książkę jego, tę książkę opowiadającą nam w słowach

prosty i oszczędny rzeczy i wypadki znane i nie nowe, czyta się z zapartym oddechem od początku do końca, czyta się jak rzecz nową, nieznana i ciągle zadziwiającą. Czyta się ją z przejęciem i wzruszeniem. *Rumieniec wolności* są pierwszą częścią dłuższej całości. Będziemy z niecierpliwością czekać na dalsze tomy, tego tak szlachetnego w tonie i tak rdzennie w kulturze polskiej i polskim duchu tkwiącego dzieła.

Alla Rachmanowa opowiedziała nam niedawno swoje życie i swoje przeżycia w Rosji Sowieckiej w znanej trylogii: *Studenci, miłość, przezwyyczajka i śmierć, Małżeństwo w czerwonym piekle*, i *Mleczarka z przedmieścia*. Przeżycia w bolszewickim piekle i stosunki rosyjskie były tłem i osnową tych zajmujących książek. Teraz to samo tło, Rosja Sowiecka, służy jej za temat i treść powieści *Fabryka nowych ludzi*. Tym razem zajmuje się autorka prawie wyłącznie kwestią małżeństwa, obyczajów, miłości, dziecka i sytuacją kobiety, usuwając na plan drugi sprawy ekonomiczne, społeczne, warunki życia itd. Obraz, który przed nami roztacza jest przerażający. Przedstawia nam zupełne zdziczenie obyczajów, zepsucie młodzieży, opuszczenie i nędzę dziecka, porzuconego w „dłdomach“, przedstawia nam prostytutkę, grasującą zwycięsko choć pod inną nazwą, a przede wszystkim przedstawia krzywdę i poniewierkę kobiety, takie jej poniżenie i wyzysk, o jakim pojęcia nie mają najbardziej pod względem emancypacji kobiet zacofane narody. Bardzo dobrze uwypukla autorka, jak na tym punkcie daleko jest praktyka od szumnych teorii o „wyzwoleniu kobiety“ z kapitalistycznej niewoli. — Na tle tych stosunków sowieckiej „rodziny“ ukazuje nam Rachmanowa kwestię drugą, z tą ściśle zresztą związaną, kwestię religijną: przedstawia wyklucanie się religijnych tęsknot i niepokojów wśród mas robotniczych, przedstawia jak te tęsknoty przechodzą w mistyczne sekciarstwo, do którego tak podatny jest lud rosyjski, przedstawia, jak zagadnienia sumienia, moralnej odpowiedzialności, norm etycznych, zaczynają niepokoić nawet umysły najbardziej prawowiernych wyznawców Marksa i Lenina, jak dla wielu staje się nagle niewystarczająca ewangelia Herzena! Te wszystkie problemy i zagadnienia demonstruje autorka na scenach i obrazach najoczywistej rysowanych z „natury“. I te obrazy z natury, o niewątpliwiej autentyczności, stanowią najciekawszą i najbardziej udaną stronę jej książki. To wszystko co widziała i przeżyła umie Rachmanowa wiernie i barwnie piórem odtwarzać, ma dar opowiadania, dar plastycznego, realistycznego obrazowania. Słabszą częścią jej książki jest jej element ściśle powieściowy, konstrukcyjny, a najslabszą jest zbyt widoczne dla czytelnika porządkowanie i układanie faktów i obrazów według klucza ideowego, tendencyjnego. Gdy czytelnik widzi z góry, że fakty, choćby autentyczne, są dobierane i szeregowane wedle z góry powziętej chęci wykazania

czegoś, traci zaufanie nawet do tego, co jest niewątpliwie prawdziwe. A ta chęć jest w *Fabryce żywych ludzi* zbyt widoczna, wszystko zbyt zgodnie i porządnie dąży do jednego celu, i taż chęć dydaktyczna odbiera tej książce żywość, jaką ma trylogia. Mimo tych niedociągnięć książka Alii Rachmanowej jest ciekawa, i wady wynagradza sownie dużymi zaletami. Do sympatii z jaką musi się do niej odnieść czytelnik przyczynia się niewątpliwie dobre tłumaczenie i — jak zawsze w Wydawnictwach św. Wojciecha — pociągająca szata zewnętrzna. Ładny papier i druk uprzyjemniają niewątpliwie czytanie tej ciekawej książki.

Te zewnętrzne zalety książek, wydawanych przez św. Wojciecha, podnoszące w tak miły sposób zalety książek „dobrych“, (których ostatnio św. Wojciech wydał sporo) nie wystarczają jednakowoż, aby zakryć i osłonić wewnętrzną nicość książek niektórych. Nie ratują powieści J. Surynowej-Wyczółkowskiej *Jego kobiety*. Jest to jedna z tych książek banalnych, nic nie mówiących, przeciętnych, w jakie niestety obfituje nasza literatura. Nie ratuje tej bezbarwnej książki nawet pewna żywość narracji i pewna zgrabność w zaplataniu powieściowej fabuły, nie ratuje jej zacność intencji i słuszność tezy: potępienie manii rozwodowej. Słuszna teza nie wystarcza, aby stworzyć dobrą powieść: trzeba jeszcze do tego mnóstwa innych rzeczy, trzeba przede wszystkim talentu i pewnej literackiej kultury. A tych zalet jest powieść p. Surynowej-Wyczółkowskiej pozbawiona.

Pielgrzymi Franciszka Mauriaca to w formę dialogów i wewnętrznych monologów ujęte wrażenia z Lourdes, i w ogóle refleksje na tematy różnych miejsc świętych, pątniczych potrzeb i tęsknot dusz chrześcijańskich. Dialog jak i monologi prowadzone są między wierzącym Augustynem a niewierzącym Hugonotem Sergiuszem. Jak każda książka Mauriaca, tak i ta, zawiera wiele ciekawych i głębokich refleksyj religijnych. Zwłaszcza ciekawe jest to, co mówi Augustyn o wewnętrznych trudnościach, zniechęceniach i pokusach świeżego konwertyty, jakim jest sam. Piękne są też opisy samego Lourdes. Autor widząc całą artystyczną brzydotę świętego miejsca widzi w nim także miejsce wzmoczonej wiary, rozplamienionej modlitwy, widzi źródło łask, spływających na pielgrzymie tłumy. Książeczka Mauriaca ma charakter raczej popularny, po części polemiczny. Luźno powieściowa forma w jaką ubrał autor swoje rozmyślenia nie wychodzi książce na dobre. Niemniej choć *Pielgrzymów* nie można zaliczyć do najświetniejszych dzieł Mauriaca, dobrze się stało, że i tę książeczkę wydano po polsku, zwłaszcza że wydanie ładne a tłumaczenie Jana Dobraczyńskiego staranne. Każda książka pisarza tak doskonałego jak Mauriac, choć nawet nie jest „najlepszą“,

(a trudno żeby najlepsza była każda) zawiera zawsze wiele piękności i wiele głębokich myśli, a z tymi warto się zapoznać.

Powieść Jana Strzembosza *Pożyczka zagraniczna* utkana jest z dwóch równoległych motywów: pierwszym jest motyw polityczny, krytyka a raczej satyra na deprawację, przekupstwo, beznadziejność naszych stosunków w dobie przedmajowej. Autor ukazuje typy mętnych aferzystów, paktujących z symbolicznymi kapitalistami Moussac-Moussac. Ukazuje dość mętnie zresztą stosunki w kraju, a przede wszystkim w polskiej ambasadzie paryskiej. Wskazuje także zgodnie ze swymi wyraźnymi sympatiami na wszystkie korzyści sojuszu politycznego, duchowego, kulturalnego z Francją i na wszystkie analogiczne niekorzyści podobnych stosunków z Niemcami. Drugim motywem jest kwestia dziedziczności. Każdy z bohaterów obciążony jest całym przytłaczającym go ciężarem wszystkich swoich przodków. Bohater książki Jacek rozczytuje się w pamiętnikach swoich dziadów i tam znajduje rozwiązania wszystkich własnych zagadek psychologicznych. Psychologia jego i psychologia jego antenatów dopełniają się jak precyzyjnie wykonany Puzzle. Fakturą powieści są długie niekończące się dysputy między bardzo licznymi postaciami powieściowymi. Już dawno spostrzegłam się, że zainteresowania polityczne i społeczne nie są szczęśliwym motorem powieściowej twórczości. Zainteresowania psychologiczno-dziecinne nie okazały się w tym wypadku o wiele lepsze.

Ukazała się niedawno na półkach księgarskich książka Wacława Berenta *Diogenes w kontuszu*. Jest to i ideowo i artystycznie ciąg dalszy, a raczej zakończenie dwutomowego *Nurtu*. *Nurt* był historią głównie Dąbrowskiego i legionów, *Diogenes w kontuszu* opisuje „narodziny literatów polskich, kreśli przede wszystkim oprócz wielu innych, sylwetkę kanonika Jezierskiego, pisarza „anonimowej ręki“, współpracownika Hugona Kołłątaja i jego „Kuźnicy“. Omawiałam swego czasu na łamach *Przeglądu* bardzo szeroko dwa pierwsze tomy *Nurtu*. Starałam się wykazać i jego artystyczne piękności, jego wielką doniosłość i wagę ideową, wagę rewizji naszego stosunku państwa wolnego, do jego momentów tragicznych, starałam się wykazać nici wiążące naszą współczesność z tą przeszłością. Nie ma więc celu powtarzać dzisiaj tych samych wywodów, a wystarczy zwrócić uwagę czytelników *Przeglądu* na tę książkę, na jej wielką piękność, szlachetność i głęboką szczerą polskość, na to, że czytając ją trzeba w niej szukać źródeł i tradycji naszego dzisiejszego życia kulturalnego i duchowego, że zgodnie z autorem trzeba w tych dziejach widzieć dzieje narodzin dzisiejszej „inteligencji polskiej“.

Wśród mnóstwa tłumaczeń dzieł ciekawych i wartościowych jakie ostatnio ukazały się u nas, na jedno z miejsc naczelnych wysuwa się świeżo po polsku wydana książka Bernanosa *Pamiętnik wiejskiego proboszcza*. Jest to niewątpliwie jedna z najświetniejszych pozycji katolickiej powieści współczesnej. Nie będę jej tu omawiać szerzej, gdyż uczynił to już w *Przeglądzie* O. Jan Rostworowski (zeszyt z października, ub. r.), zaraz po ukazaniu się książki w oryginale. Dodam tylko, że tłumaczenie Wacława Rogowicza, jak wszystkie jego tłumaczenia, jest dobre i poprawne, choć nie oddaje jednak świetności i blasku oryginału. Gdyby ktoś z czytelników *Przeglądu* chciał zapoznać się z moim skromnym o tej książce zdaniem rzeczywiście, choć może niesłusznie od zdania O. Rostworowskiego bardziej entuzjastycznym, pozwól sobie wskazać mu mój obszerny na ten temat artykuł w *Kulturze* z dnia 13 września 1936 r. pt. „Dwie powieści Bernanosa”.

Zofia Morstinowa.

Zofia Kossak: *Król trędowaty*. Powieść. Księgarnia św. Wojciecha. Str. 356.

Jest to książka smutna, którą odkłada się pod wrażeniem klęski, jaką poniosła najwznioślejsza może w dziejach ludzkości idea zbiorowego czynu podjętego w imię Boga. Królestwo jerozolimskie, spuścizna po Gotfrydzie de Bouillon upada, czar Grobu Pańskiego przestaje działać na krzyżowców, gdy ci z Królestwa Chrystusowego uczynili królestwo swoje, królestwo ludzkie. Te chwile powolnego odstępstwa krzyżowców od Chrystusa, a co za tym idzie utraty Jerozolimy, której stali się niegodnymi stróżami, opisuje autorka. Czytelnik widzi od razu, że nie chodzi tutaj o losy Guy de Lusignan'a ostatniego króla jerozolimskiego, zawdzięczającego tron ambicji matki, intrygom, kaprysowi Sybilli i swej piękności. Nie chodzi też tylko o przeżycia Baldwina IV, trędowatego króla. Poprzez jego postać, czytelnik ujrzy całe rycerstwo okryte trędą nieuleczalnym, trędą niewiary, intryg, gorączkowego szukania rozkoszy i zaszczytów. I gdy pielgrzymi z dalekiej Europy wracają od Grobu Zbawiciela do swych krajów pokrzepieni na duchu i umocnieni w wierze widokiem cudów, zdziałanych wśród nich mocą Chrystusa — krzyżowcy stają się Chrystusowi coraz bardziej obcy, odchodzą odeń. Odchodzą daleko. — Od okrzyku: „Bóg tak chce”, rozbrzmiewającego na polach pod Clermont, do słów zwycięskiego sułtana na wzgórzu Hattin: „A może... może to zdradzili Boga chrześcijanie?” droga jest długa i bolesna. Krzyżowcy złamali słowo rycerskie dane Bogu; On więc odbiera im swoją własność. Tak skończyła się ta pierwsza oficjalna pielgrzymka świata chrześcijańskiego do swojej kolebki, do miasta uświęconego śmiercią Zbawiciela.

Tyle więc trudów pierwszych krzyżowców poszłooby na marne, gdyby sama wielka idea zginęła razem z ich niegodnym potomstwem. Nie, ona przechodzi do obozu mahometan — czytelnik jest świadkiem dziwnej wymiany wartości jaka się dokonuje między światem ginącego chrześcijaństwa a światem zwycięskiego półksiężycą. Krzyżowcy wzięli od swych wrogów wady, które przyczynią się do ich zguby, a mahometanie zaczynają patrzeć oczami chrześcijan na krzyż. Ten krzyż, zdradzony przez swych rycerzy, rzuca teraz długi cień na wyznawców Mahometa. Cień krzyża padł na duszę starego sultana — idą więc rozkazy do wodzów, by nie niszczyli kościołów w zdobytej Jerozolimie, by pozwolili modlić się w nich wyznawcom Chrystusa. Odtąd nie wolno napastować pielgrzymów spieszących do Grobu Jezusa. Krzyż i półksiężyc błyszczeć będą nad Jerozolimą.

Mimo tych paru jasnych stron książka tchnie pesymizmem, wątpliwością; czy w ogóle ludzie zdolni są zbiorowo współżyć z Bogiem, czy możliwe jest społeczeństwo urzeczywistniające w całości naukę Chrystusa. Do spotęgowania tego wrażenia przyczyniła się zwaarta kompozycja utworu pozwalająca skupić uwagę na myśli przewodniej bez rozrywania jej epizodami. Dzięki temu widzi się wyraźnie wysychające źródło wiary i słyszy się prawie kroki rycerstwa odchodzącego od Boga.

Czy jednak, by udowodnić swą tezę, że każde odstępstwo od wiary mści się nie tylko na jednostkach lecz i na całym społeczeństwie musiała autorka naginać do tego celu historię? Nie jest to zaletą książki i nie będzie korzyścią dla katolicyzmu. Chodzi tutaj o głośną sprawę templariuszów. Gdy autorka opisuje intrygi zakonów rycerskich, podejrzenia na jakie są narażone, a wreszcie tę sławną scenę zebrania Tajemnego Bractwa w ruinach świątyni na Górze Zgorszenia, czytelnikowi się zdaje, że słucha strasznych oskarżeń skierowanych przeciw templariuszom przez Wilhelma de Nogaret. Ale to było z początkiem wieku czternastego i na rozkaz Filipa Pięknego, który prawdopodobnie pragnął zagarnąć dobra templariuszów, by zapełnić pusty skarbiec. Procesy przeprowadzone poza sferą wpływów Filipa Pięknego nie udowodniły istnienia żadnej zbrodni zarzucanej templariuszom — ani rozpusty, ani bałwochwalstwa i stosunków z demonami, ani lżenia krzyża. Zresztą trzeba pamiętać, że akcja powieści rozgrywa się pod koniec wieku dwunastego, zakon istnieje dopiero kilkadziesiąt lat i te lata są właśnie najowocniejsze w czyny wojenne (obrona Gazy 1171, kampania tyberiadzka 1187 itd.). Czy nie jest zbyt ryzykownym twierdzenie, że już w pięćdziesiąt lat po założeniu zakonu każdorazowy wielki mistrz stoi na czele tajemnego Bractwa, rzekomego prototypu masonerii? Powołanie się na kwiat akacji nie wystarczy. Może być, że autorka ma obecnie jakieś rewelacyjne dokumenty, którymi można wykazać nie tylko słuszność zarzutów z czasów Filipa Pięknego, ale i pochodzenie

w prostej linii masonerii od templariuszów z końca dwunastego wieku. Jeżeli tak jest, trzeba te dokumenty opublikować, by wreszcie tę tajemniczą sprawę rozstrzygnąć. Dotychczas bowiem zbyt wielkim poważaniem cieszy się Finka *Papsttum und Untergang des Templerordens*, żeby wracać znowu do niejasnych domysłów. Nie można też jednego wypadku z Walterem de Mesnel (1172 r.) uogólniać, taka metoda zaprowadziłaby zbyt daleko.

Od pisarza katolickiego trzeba wymagać nawet gorzkiej katolikom prawdy, lepiej bowiem, że ją wypowie człowiek wiary, aniżeli ten kto z tej prawdy robi argument przeciwko wierze. Ale musi to być prawda absolutna a nie przypuszczenie tylko, bo wtedy złą przysługę oddaje się wierze. Czy p. Zofia Kossak jest w posiadaniu absolutnej prawdy w sprawie templariuszów?

Ks. Br. Wójcik T. J.

Dr theol. Joseph Iwanicki: *Morin et les demonstrations mathematiques de l'existence de Dieu*. Paris 1936. Librairie Philosophique J. Vrin. Str. 143.

Morin i jego metoda matematyczna w udowadnianiu istnienia Boga przez długi czas pozostawali w zapomnieniu. Całkiem zresztą niesłusznie. Morin bowiem pierwszy, a przynajmniej jako jeden z pierwszych filozofów siedemnastego wieku w swoim dziele *Quod Deus sit* i w późniejszym jego wydaniu pt. *De vera cognitione Dei* zastosował metodę matematyczną w teodycei. Za nim dopiero idą: Descartes, Spinoza, Leibniz i inni. Do zrozumienia więc powyższych filozofów nie mało się przyczynia analiza poglądów Morin'a.

Analizę tę podejmuje dr Iwanicki w pierwszej części swej pracy. Zestawia cały szereg określeń, pewników i twierdzeń, za pomocą których drogą rozkładania pojęć na coraz bardziej niezłożone czynniki dochodzi Morin do ostatecznego wniosku. Jest to zastosowanie matematyki w dziedzinie czysto metafizycznej. U Morin'a proces ten przypomina rodzaj mechaniki metafizycznej, gdzie przyjęty jeden pewnik i jego funkcje taką a nie inną wywoła konstrukcję myślową. To nawet leżało w jego planie — zmusić niedowiarka, który uznaje ścisłą metodę matematyczną, do przyjęcia istnienia Boga. Trzonem tego rozumowania jest analiza pojęcia bytu nieskończonego, niezależnego, niezłożonego, jedynego, od którego pochodzą wszystkie byty skończone, obecnie istniejące lub zamierzone. Dużo jest w tym Arystotelesa i jego *anankę stenaj*, jeżeli chodzi o niemożliwość postępu w nieskończoność całej serii przyczyn zależnych. Jest też w tym i dorobek filozofii scholastycznej. Morin usiłuje stworzyć nowy dowód ze starych argumentów, posługując się nimi, jak formułkami matematycznymi.

O przyjęciu tej metody ze strony współczesnych pisze dr Iwanicki w drugiej części swej rozprawy. Z polemiki, jaka się wywiązała między Descartes'em i Bernierem a Morin'em, metoda matematyczna, stosowana w metafizyce, wyszła nieco osłabiona. Przede wszystkim samo pojęcie bytu nieskończonego nie da się zawrzeć w formule matematycznej, która byłaby wynikiem tej metody. Trudno też oznaczyć funkcje nieskończoności i nieokreślności, a to jest ważne, bo prowadzi do pojęcia granicy, która jest źródłem i początkiem bytu w porządku ontologicznym.

W trzeciej części przeprowadza Autor porównanie między dziełami Morin'a a dziełami Bauduin'a de Lefevre'a i de Lulle'a, do których miał nawiązywać Morin w budowaniu swojej metody.

Pracę dra Iwanickiego przeczytają wszyscy, którzy interesują się dowodem metafizycznym w teodycei, z wielkim pożytkiem. Dla studiujących Leibniza będzie ona nieodzownym przyczynkiem w zrozumieniu jego systemu.

Ks. Bronisław Wójcik T. J.

J. Mirski: *Wychowanie i wychowawca*. Warszawa, „Nasza Księgarnia” 1936, str. 341, zł. 6.

J. Mirski, tłumacz kilku dzieł Foerstera na język polski, jest solidnym, samodzielnym oraz w znacznej mierze twórczym myślicielem i pisarzem na polu ogólnie-teoretycznych zagadnień dzisiejszej pedagogiki. Ze światową myślą pedagogiczną wiąże go nie tylko znajomość różnorodnej literatury; należy ponad to do międzynarodowych organizacji pedagogicznych, a i sam występuje z prelekcjami w ramach ich zjazdów.

Dobrze się stało, że nie pozwolił kryć się po czasopiśmie swoim rozprawom z lat 1929—1935, lecz że je zebrał w całość, i pt. „Wychowanie i wychowawca” — jeszcze raz przedłożył czytającej publiczności, a w pierwszym rzędzie wychowawcom teoretykom i praktykom. Książka naprawdę wprowadza w najogólniejsze sprawy wychowawcze, widziane poprzez istotę samej funkcji wychowania oraz osobowość wychowawcy. Informuje o tym, co zrobiono, co się robi, a co zrobić należy. Zajmuje się sprawą polskiej terminologii, metodą i systematyką nauk, poświęconych wychowaniu i wychowawcy.

Zbiór monograficznych rozpraw na pokrewne choćby tematy, lecz pisanych w pewnych odstępach czasu i dla różnych bliższych celów — nie może oczywiście dać w sumie doskonałej jedności tematyczno-porządkowej. W „Wychowaniu i wychowawcy” jest przecież jedność metody pisania i podstaw myślenia.

Jedenaście rozpraw uporządkował autor w cztery grupy treściowe: I. Istota wychowania (O istocie wychowania, Zagadnienie sztuki wychowawczej, W sprawie terminologii pedagogicznej); II. Wychowawca (Nauczyciel-wychowawca, jego dobór i kształ-

cenie, O postawie wychowawczej rodziców, Projekt nauki o nauczycielu); III. Myśli o wychowaniu współczesnym (Pedagogizm współczesny i jego przejawy, Szkoła u rozstajów, Postulaty szkoły współczesnej); IV. Z aktualnych zagadnień wychowawczych (Samowychowanie, jego istota i rola w wychowaniu moralnym, Wychowanie a zawód).

W wyniku bardzo obiektywnych i ścisłych dociekań autor dochodzi między innymi do wniosków, że rodzice są pierwszymi i naturalnymi wychowawcami dziecka, a wychowawca obcy jest wychowawcą wtórnym. Nie wszystkie istniejące i możliwe postawy wychowawcze wychowawców pierwotnych i wtórnych są najlepsze. Za taką uważać należy postawę złożoną z pierwiastka miłości dla dziecka oraz woli i zdolności pedagogicznego kierownika. Wychowanie domowo-szkolne jest według autora najlepszą na dziś formą organizacyjną akcji pedagogicznej.

Z poczuciem słuszności czyta się wywody książki o roli nauczyciela-wychowawcy w przebiegu skutecznego procesu wychowania. Oto wychowujący człowiek poczyną pomalu zajmować miejsce przed metodą pedagogiczną (por. str. 131), a więc technika wychowawcza ustępuje zwolna przed żywą sztuką wychowania. Takie wychowanie, korzystając z osiągniętej znajomości dziecka i z opracowanych metod oddziaływań wychowawczych, oznacza znakomity w swej dziedzinie postęp, ale jednocześnie pozwala ożyć starym prawdom pedagogicznym „z zakresu tych działów wychowawczych, w których osobowość dziecka i wychowawcy, bezpośredni ich kontakt zawsze odgrywały rolę pierwszorzędną, w których mówi się wiele o przykładzie nauczyciela, jego charakterze, jego wpływie na wychowanika itd., to jest z zakresu wychowania religijnego i moralnego” (str. 130). Notujemy te słowa autora z zadowoleniem!

Nie zgodzimy się jednak z autorem w tym, że dla ratowania chrześcijańskich ideałów religijno-moralnych przed niebezpieczeństwem „skrajnej zaziemskości” — „wychowanie religijne musimy w pewnej mierze przetopić na wartości obywatelskie” (str. 329—330). Twierdzimy zaś, że wychowanie religijne, żeby nie zginęło w natłoku doczesności, musi wyraźnie odnosić się do Boga, jako istoty zaziemskiej. Dopiero zdrowy, pełny i świadomy stosunek do Stwórcy — urealni i ubezpieczy nasz stosunek do państwa.

W traktacie św. Tomasza z Akw. o państwie i prawie (S. theol. 1,2 q. 90—108) nie znaleźliśmy ani razu twierdzenia o bezspołecznym stanie człowieka, z którego wyrwać go miała umowa społeczna (str. 35). Przeciwnie — wobec stałej nauki św. Tomasza o silnym wrodzonym instynkcie społecznym człowieka, na fakt takiej umowy nie ma miejsca.

Na str. 26 spotykamy poplątany tekst. Wina to korektora. Piszemy o tym, aby mieć sposobność dodać, że i omówiony

w grudniowym Przeglądzie I tom Encyklopedii Wychowania, zawiera wiele błędów zecerskich, powikłań i opuszczeń tekstu przy łamaniu stron i kolumn. Niechże „Nasza Księgarnia” postara się o lepszą korektę w dalszych zeszytach Encyklopedii.

Ks. Z. Goliński.

Ks. Dr Wincenty Kwiatkowski, prof. U. J. P.: *U kolebki chrystianizmu*. Warszawa 1936. Uniwersytet — Theologicum. Apologetyczne Seminarium, t. 5, str. VI + 121.

Ziemia święta jako miejsce pobytu Zbawiciela zawsze budziła w całym świecie chrześcijańskim żywe zainteresowanie i była celem pobożnych pielgrzymek. W ostatnich czasach zainteresowanie to bynajmniej nie zmalało, a do tradycyjnych pielgrzymek przyłączyły się jeszcze wyprawy naukowe archeologów i egzegetów, badających na miejscu tło zdarzeń, opowiedzianych w księgach świętych. Sprawozdanie z jednej takiej wyprawy daje nam właśnie ks. prof. Kwiatkowski. W szeregu lekko i barwnie ujętych wrażeń z podróży przewija się przed oczyma czytelnika 12.000 km przebytych samochodem, trasą, wiodącą przez Czechosłowację, Węgry, Jugosławię, Grecję, Egipt, Palestynę, Turcję i Rumunię.

Żywość chwytanych na gorąco wrażeń potęgują jeszcze liczne oryginalne zdjęcia, ilustrujące wszystkie niemal zwiedzane zabytki, a załączone mapki pozwalają się zorientować w topograficznym rozmieszczeniu etapów podróży. Szkoda tylko, że zbyt wielkie pomniejszenie naturalnej wielkości mapek uniemożliwia odczytanie napisów. Tę drobną niedogodność wynagradza poniekąd Autor, podając dokładnie zarówno odległości ważniejsze jak nazwy miejscowości czy też wysokość poszczególnych wzniesień. Ta sama akrybia cechuje wszelkie odnośniki do Pisma św., ilekroć jest mowa o miejscowościach biblijnych. Dzięki tym odsyłaczom do ksiąg św. i do literatury naukowej, wplecionym w nurt żywego opowiadania czytelnik niespostrzeżenie i jakby mimochodem pomiędzy salonickim garażem a dźwigami portu Pireus zapoznaje się z wynikami archeologicznych badań Dorpfelda, z lokalnym tłem mowy św. Pawła w aeropagu, a wśród ruin mnóstwa świątyń na Akropolu lepiej zrozumie, dlaczego Apostoł narodów mógł wówczas nazwać Ateńczyków — bigotami.

Reminiscencje z literatury naukowej towarzyszą też dalszym wrażeniom w podróży, czy to będzie pierwsze zetknięcie się z karawanami synów pustyni w Kairze, czy z tamtejszym ośrodkiem intelektualnym islamizmu w liczącym 12.000 studentów uniwersytecie El-Azhar, czy charakterystycznym sposobem żęcia i młócenia zboża u Arabów — wszędzie znajdzie się jakaś uwaga, nawiązująca do dotychczasowych badań historycznych i egzegetycznych. Przebywając drogę z Egiptu do Palestyny, zastanawiamy

się nad możliwym szlakiem ucieczki do Egiptu, w Jerozolimie dyskutujemy nad autentycznością miejsc świętych: Golgoty, Grobu św., wieczernika, Piłatowego pretorium etc. Z góry Oliwnej oglądamy widok, który stał się bezpośrednią przyczyną znanej wizji eschatologicznej o zburzeniu miasta i o końcu świata, Betanię, Jerycho, przypuszczalne miejsce chrztu Chrystusowego, Nazaret, studnię Jakubową... W sferę aktualnej rzeczywistości przenosi nas co chwila to słynny mur placzu, to kamienie, gwiżdżące koło głowy z ręki arabskich wyrostków, to wreszcie nowoczesny kolektyw komunistyczny żydowskich chaluców w dolinie Esdrelonu, oparty ściśle na ideologii marksowskiej... Wśród mniej lub więcej przyjemnych przygód przebywamy Syrię i całą Małą Azję w po-przek pod przewodnictwem Autora, który umie wyzyskać nawet przymusową zwłokę nad granicą libańską, by opowiedzieć o interesujących zabytkach w okolicy dawnej Cezarei Filipowej, następnie zwiedza Beirut, Damaszek, znany z cudownego nawrócenia św. Pawła, Baalbek, państwowy rezerwat lasów cedrowych na Libanie, skąd brano ongiś budulec na budowę świątyni jerozolimskiej. Jeszcze w przejeździe przez Turcję zdążamy się dowiedzieć, że pod rządami Kemala zakony katolickie są traktowane jako przedsiębiorstwa hotelowe i jako takie są zobowiązane płacić podatki, opierające się na założeniu, iż każda osoba zakonna zarabia miesięcznie około 80 zł.

Ogólne wrażenie z odbytej wycieczki do ziemi św. ujmuje ks. prof. Kwiatkowski jako uczucie pewnego rozczarowania, powstałego wskutek znanej rozbieżności między potocznymi wyobrażeniami religijnymi a rzeczywistością biblijną. Tym niemniej jednak zetknięcie się z tą rzeczywistością uważa za pożądane, jako prostujące cały szereg mylnych pojęć, a naszym wierzeniom nie tylko nie przynoszące osłabienia, lecz raczej pożądane prawdziwe ich pogłębienie. Takie jest też znaczenie ziemi św. jako „piątej ewangelii“, której poznanie dla każdego wiernego jest pożyteczne a dla teologii naukowej wprost niezbędne.

Ks. W. Zajączkowski T. J.

O. Marian Pirożyński: Zakony męskie w Polsce. Wyd. Tow. Wiedzy Chrześcijańskiej. Lublin, Uniwersytet, 1937, str. 340.

Autor bardzo pożytecznie pracuje w dziedzinie statystyki kościelnej. Po książkach: *Statystyka Kościoła w Polsce* (1935 r.) i *Zakony żeńskie w Polsce* (1935 r.) opracował ostatnio *Zakony męskie w Polsce*, uwzględniając ich stan w dniu 1 stycznia 1936 r. Praca jest bardzo sumienna. Po części ogólnej, dającej obraz liczebnego stanu zakonników Polaków, charakterystykę różnych zakonów i omawiającej ich wszechstronną działalność, w części szczegółowej przechodzi wszystkie zgromadzenia zakonne męskie,

kreśląc ich historię, zasługi w przeszłości, osiedlenie się w Polsce, wymieniacz placówki i rodzaj pracy. Książka uwzględnia, oprócz zakonów łacińskich, także zakony obrządku wschodniego. Niepostrzebnie jednak, zdaniem naszym, rozróżnia między obrządkiem „grecko-katolickim” a „bizantyjsko-słowiańskim”, gdyż liturgicznie i prawnie jest to jeden obrządek tylko w dwóch akcydentalnych odmianach i na różnych terytoriach Polski należących do różnych jurysdykcji.

J. U.

Janina Miedzińska: Na niemieckim froncie pracy. Warszawa, 1937. Biblioteka Polska, str. 203, ilustr.

Autorka, inspektor pracy, zadała sobie trud zbadania na miejscu w Niemczech organizacji pracy i prawodawstwa niemieckiego o pracy, i porównania ich z warunkami i prawodawstwem w Polsce. Książka przynosi niezmiernie interesujące szczegóły z badanej dziedziny, wykazując niższość pod niektórymi względami stosunków w III Rzeszy w porównaniu z polskimi, przynajmniej ze stanowiska interesów klasy pracującej, jak np. w zakresie ochrony pracy, możliwości zrzeszenia się; nie ma kontraktów zbiorowych itd. Za to ustrój hitlerowski wprowadził rozmaite urządzenia zdrowotne, zabawowe i całemu światu pracy usiłuje nadać jedną jedyną ideologię narodowo-socjalistyczną. Bardzo interesującą częścią książki są rozdziały poświęcone pracującej młodzieży.

J. B.

Kalendarz Ilustrowanego Kurjera Codziennego na Rok 1937. Rocznik X. Nakł. Wyd. IKC. Kraków, szpalt 239.

Ze wszystkich polskich Kalendarzy najobszerniejszy i najpoważniejszy jest *Kalendarz IKC*. Gdy inne kalendarze w dużej mierze mają cele rozrywkowe obok oświatowych, to *Kalendarz IKC* chce być wyłącznie poważnym informatorem. Redaktor nie szczędzi trudów i czasu, by zebrać obfity materiał informacyjno-kalendarzowy z szerokim uwzględnieniem astronomii, dać przegląd najważniejszych wypadków świata i Polski ze wszystkich dziedzin życia. Z pośród artykułów naukowych warto zwrócić uwagę przede wszystkim na syntetyczny artykuł prof. St. Kota: „Dorobek Polski w kulturze powszechnej”. Nie mniej cenne i wartościowe są liczne przeglądy statystyczne, dotyczące życia gospodarczego, ruchu ludnościowego, wykazy biur, urzędów itd. *Kalendarz IKC* jest rzeczywiście nieodstępnym — towarzyszem informatorem obywatela.

S. B.

Ks. Mgr Maksymilian Rode: *Kazania społeczne*. Nakładem autora. Poznań 1937, str. 187.

Dotychczas duchowieństwo nasze nie miało żadnych zbiorów kazań społecznych. Obecne są pod tym względem nowością. Są w nich poruszone najżywotniejsze problemy społeczne, jak kwestia bezrobocia, robotnicza, sprawiedliwa płaca, komunizm, kwestia wiejska, obowiązki pracodawcy i pracobiorcy według zasad etyki katolickiej itp. A poruszone umiejętnie, wyczerpująco i jasno. Widać, że współczesna katolicka myśl społeczna, tak żywotna dzisiaj, rozbudowana na wiekopomnych encyklikach *Rerum novarum* i *Quadragesimo anno*, przenika do oficjalnego nauczania kościelnego, że jej zasady z wielką korzyścią dla czasów dzisiejszych głoszone są z ambon naszych kościołów. Autor ma wielką zasługę, że wydał ten zbiorek kazań, przychodząc tym samym duchowieństwu z wydatną pomocą. Sądzymy, że nie odłoży pióra i tematy z konieczności nieraz bardzo ogólnikowo w tym zbioru opracowane rozszerzy jeszcze w osobnych zbiorach.

H. M.

Oprócz tego nadesłano do Redakcji:

Nakładem Polskiej Akademii Umiejętności:

Sprawozdania z czynności i posiedzeń P. A. U., t. XLI, nr 8, 9, 10: paźdz., list., grudz. 1936; t. XLII, nr 1, 2, stycz., luty 1937.

Edward Stamm: *Miary powierzchni w dawnej Polsce*. Kraków 1936, str. 76.

Zofia Kozłowska-Budkowa: *Repertorium polskich dokumentów doby piastowskiej*. Kraków 1937, str. 168.

Stanisław Kutrzeba: *Polskie ustawy i artykuły wojskowe od XV do XVIII wieku*. Kraków 1937, str. 372.

Zenon Klemensiewicz: *Składnia opisowa współczesnej polszczyzny kulturalnej*. Kraków 1937, str. 304.

Stefan Makowiecki: *Słownik botaniczny łacińsko-małopolski*. Kraków 1936, str. 408.

Stanisław Pięko: *Listy Seweryna Goszczyńskiego. (1823—1875)*. Kraków 1937, str. 544.

Marian Kukiel: *Wojna 1812 roku. Tom 1*. Kraków 1937, str. 444.

Archivum neophilologicum. II. Kraków 1937, str. 334.

Bulletin international de l'Académie Polonaise des Sciences et des Lettres. Classe de philologie, classe d'histoire et de philosophie. Nr 4—10, 1936, str. 100, 196.

Nakładem Towarzystwa Naukowego Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego.

Ks. Antoni Szymański: *Ekonomika a etyka*. Lublin 1936, str. 84.

Witold Rubczyński: *Etyka*. Wyd. 2 „Zarysu etyki”, poprawione i rozszerzone. Tom 1, 2, 3. Lublin 1936, str. 212, 128, 168.

O. Marian Pirożyński CSSR: *Zakony męskie w Polsce*. Lublin 1937, str. 342.

O. Franciszek Świątek CSSR: *Z dziejów polskiego żywotopisarstwa świętych*. Lublin 1937, str. 175.

Ks. Wacław Staniszewski: *Kościół jako mistyczne ciało Chrystusa, według św. Augustyna*. Lublin 1936, str. 148.

- Ks. Teodor Bensch: Wpływ chorób umysłowych na ważność umowy małżeńskiej w prawie kanonicznym. Lublin 1936, str. 311.
- Ks. Franciszek Olszewski: Głoszenie zapowiedzi małżeńskich w prawie kanonicznym. Lublin 1936, str. 136.
- Ks. Leon Pawlina: Dymisorie w rozwoju historycznym. Lublin 1936, str. 147.
- Ks. Paweł Pałka: Uzupelnienie jurysdykcji w prawie kanonicznym. Lublin 1936, str. 171.
- Ks. Marian-Alfons Myrcha: Dowód ze świadków w procesie kanonicznym. Lublin 1936, str. 163.
- Ks. Piotr Bober: Pojęcie tajnej przeszkody małżeńskie w prawie kanonicznym. Lublin 1935, str. 284.
- Paweł Skwarczyński: Z badań nad przywilejami ziemskimi budzińskim i koszyckim. Lublin 1936, str. 60.
- Dr Henryk Dembiński: Wojna jako narzędzie prawa i przewrotu. Lublin 1936, str. 200.
- Wiktor Hahn: Bibliografia Horacego w Polsce. Lublin 1936, str. 66.

Nakładem Wydawnictwa Kasy im. Mianowskiego — Instytutu Popierania Nauk:

- August Comte: Rozprawa o duchu filozofii pozytywnej. Przekład J. K. Warszawa 1936, str. 129.
- Janina Rosnowska: „Żywe kamienie” Wacława Berenta. Warszawa 1937, str. 76.
- Rafał Leszczyński: Judith. (1620); opracowała Maria Sipayłówna. Warszawa 1936, str. 48.
- J. D. Solikowskiego: Lukrecya oraz Anonima: Historia o Lukrecyje; opracował Julian Krzyżanowski. Warszawa 1936, str. 21.

Nakładem Instytutu Wydawniczego „Biblioteka Polska”:

- Szymon Askenazy: Szkice i portrety. (Wydanie pośmiertne). Warszawa 1937, str. XVIII + 402.
- Ignacy Matuszewski: Próby syntez. Warszawa 1937, str. 366.

Nakładem Felicjana Raucha, Innsbruck:

- J. Donat S. I.: Critica. Ed. 8. Oeniponte 1937, str. 278.
- Tenże: Cosmologia. Ed. 9 et 10. Oeniponte 1936, str. 413.
- Tenże: Psychologia. Ed. 8. Oeniponte 1936, str. 520.
- Tenże: Vocabularium philosophicum. Oeniponte 1937, str. 66.
- Probst Dr Josef Weingartner: Der Christ im Ailtag. Innsbruck 1936, str. 214.
- P. Karl Egger S. I.: Seele im Sturm. Kriegserleben eines Feldgeistlichen. Innsbruck 1936, str. 233.
- Maria Schlenz: So heilt man unheilbar scheinende Krankheiten. 3 Auf. Innsbruck, str. 212.
- Wilhelm Sieber: Das frühgermanische Christentum. Innsbruck, str. 384.

Nakładem Gebethnera i Wolffa:

- Gen. Tadeusz Kutrzeba: Wyprawa kijowska 1920 roku. Warszawa 1937, str. 359.
- Juliusz Kaden Bandrowski: Droga wolności. Warszawa, str. 67.
- Ferdynand Goetel: Patnik Karapeta. — Cyprian Czyż. Warszawa 1937, str. 101.
- Bolesław Prus: Sieroca dola. Warszawa 1937, str. 134.
- Tadeusz Wieroński: Testament ideowo wychowawczy Józefa Piłsudskiego. Warszawa 1937, str. 170.

Nakładem różnych:

- Ks. Dr Stefan Biskupski: *Obróńca węzła w kanonicznym procesie małżeńskim*. Łódź 1937. Skład gł.: Św. Wojciech, Poznań, str. 208.
- Paul Siwek S. I.: *Spinoza et le panthéisme religieux. Préface de Jacques Maritain. Desclée de Brouwer. Paris 1937, str. XXXI + 293.*
- Ks. Dr Michał Klepacz: *Kierunki organizacyjne oraz ideały wychowawcze we współczesnym szkolnictwie polskim*. Księgarnia Katolicka, Katowice 1937, str. 371.
- Olga Tarnawska: *„Wielkanoc nad Adriatykiem“*. W blaskach słońca południowego. Nakł. Sem. Zagr. Potulice 1937, str. 151.
- Inż. Roman Brelewski: *Krótką bibliografią religijną*. Nakładem Koła Warsz. ZPIK. Warszawa 1937, str. 40.
- O. Leon Pyżalski, redemptorysta: *Matka Dzieci Bożych. Czytania majowe*. Nakł. OO. Redemptorystów. Kraków 1937, str. 116.
- Jerzy Drobnik: *Przed startem*. Nakł. Wyd. „Awangardy Państwa Polskiego“. Skład główny Dom Książki Polskiej. — Poznań 1937, str. 163.
- Stanisław Piolun-Noyszewski: *Zarys myśli polityczno-społecznej Stefana Żeromskiego*. Inst. Wyd.: „Biblioteka Polska“. Warszawa 1937, str. 93.
- Ks. Dr Aleksander Plater-Zyberk: *Nauka o charakterze sakramentalnym, według św. Tomasza z Akwinu*. Warszawa 1937, str. 132.
- Augustyn Steffen: *Zbiór polskich pieśni ludowych z Warmii. Tom III. Nakł. Tow. Pom. dzieciom i młodz. polskiej w Niemczech*. Kraków 1937, str. 136.
- Abbé Charles Grimaud: *Lui et nous: un seul Christ. P. Tequi. Paris, str. 324.*
- Dr August Vallet: *Mes conférences sur les guérisons miraculeuses de Lourdes. P. Tequi. Paris, str. 266.*
- Encyklopedia Nauk Politycznych. Tom II, zeszyt 1 — od Ecuador do Europa środkowa. Luty 1937. Wyd. Inst. Społ. i Inst. Wyd. „Biblioteka Polska“. Warszawa, str. 128.*
- Ks. Zdzisław Goliński: *Nauka Jana Kasjana o kłamstwie użytecznym*. Odbitka z „Collectanea Theologica“ XVII (1936) f. 4. Lwów 1936, str. 15.
- Mgr Janina Sobkowiakówna: *Poradnik prawny dla katolickich Stowarzyszeń Kobiet i ich oddziałów*. „Ostoja“. Poznań 1937, str. 38.
- Chrystus i dzieci nasze*. „Ostoja“. Poznań 1937, str. 27.

Sprawozdanie z ruchu religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Tragizm uniwersyteckiego problemu. — Szkodliwe precedensy. — Widoki i postulaty.

Przed rokiem zamieściliśmy na łamach naszego pisma gorące słowa uznania dla polskiej młodzieży akademickiej, która solidarnym czynem zmanifestowała swe religijne uczucia i przekonania u stóp Jasnogórskiej Pani. Ślubował wówczas kwiat polskiej młodzieży, iż życie swe zamieni w religijny czyn a katolicką etyką przepoi działalność prywatną jednostek oraz zbiorową narodu.

Od tego czasu zmieniło się na polskich Uczelniach wiele, a nie można bynajmniej powiedzieć, by wszystko zmieniło się na lepsze. Ostatnie przemówienia p. wicemin. Ujejskiego, w którym ostrej i szczegółowej krytyce poddał objawy moralnego i społecznego zdżyczenia pewnych grup akademickiej młodzieży, rozporządzenia p. min. Świętosławskiego rozwiązujące szereg stowarzyszeń i organizacyj akademickich, powtarzające się blokady, detonacje petard, bójki brutalne na tle chronicznego już prawie bezrobocia i zamykania niektórych zwłaszcza uczelni — wszystko to musi przejąć głębokim zatroskaniem a nawet lękiem o przyszłość tego pokolenia, które za parę lat stanąć ma przeciw przy warsztacie czynnej, przodującej akcji. Nic dziwnego, iż kwestia akademicka nie schodzi z szpałt dzienników, iż w ministerstwie WR i OP zamieniła się w cierniowe zagadnienie, iż czynnik najbardziej odpowiedzialne za stosunki panujące na Wyższych Uczelniach zastanawiają się w kolejnych naradach nad obecną sytuacją, szukając środków i metod pacyfikacji uniwersytetów. Jak dotąd środki zawodzą, sytuacja nie ulega odprężeniu, rozgoryczenie wśród młodzieży rośnie,

o normalnej owocnej pracy w tych warunkach nie może być mowy.

Nie bez racji przypuszcza się, iż jakieś ukryte, partyjne i pozauniwersyteckie czynniki stanowią główną sprężynę akademickich zaburzeń. Niekiedy w przystępie gniewu lub szczerości mówi się jawnie, iż cała wina i odpowiedzialność spada na wodzów narodowego obozu, który zapalił lekkomyślność młodzieży wyzyskują niecnie dla swych partyjnych rozgrywek. Czy jednak takie sformułowanie diagnozy odsłania istotnie etiologię istniejącej i niewątpliwej choroby? A jeśli diagnoza zła, czy stosowane lekarstwa nie spowodują tym głębszego zaognienia chorobowych ognisk?

Warto przypomnieć, iż przed paru laty podjęto właśnie na akademickim terenie bardzo ożywioną akcję, która miała na celu zdobycie młodzieży dla lansowanej z rozmachem, uporem i nakładem finansowych środków „ideologii państwowej”. Z tą polityką młodzieżową p. J. Jędrzejewicza i jego adherentów łączył wówczas rządzący obóz ogromne nadzieje. Środkami radykalizmu społecznego i antyklerykalnej hecy, to znowu przynętą kariery czy pogrózkami niesprawiedliwych sankcyj — usiłowano zmontować wielki obóz młodzieży prorządowej, „upaństwowionej”, która miała się stać podporą trzęszącego w swoich podstawach systemu. Artur Górski nazwał całą tę akcję poczynaniem „po mahometańsku z przynętą w jednej a z kondemnata w drugiej ręce”. Prof. Kołaczkowski napiętnował mocno i odważnie to tworzenie ideologii na komendę, zapowiadając jej nicość oraz bezwzględne fiasko. Znaczny odłam profesorów, wśród których nie brakło i najwybitniejszych, wystąpił w zbiorowym proteście przeciw pogwałceniu akademickiego ustroju, zapowiadając, iż z reformy tej wynikną opłakane skutki. Śmiały obywatelski czyn profesorów wywołał jednak nie opamiętanie ale gniew i lichy maskowaną zemstę ministerialnego wielmoży. Na łamach naszego miesięcznika sygnalizowaliśmy pierwsi w Polsce, iż „Legion Młodych” użyty za narzędzie rozgrywki, wprowadzi zamęt w szeregi młodzieży, wypaczy charakter, stanie się posiewem bezbożniczego radykalizmu — a owoców państwowotwórczych wcale nie przyniesie.

Wszystkie te przewidywania spełniły się niestety aż nazbyt szybko. Legion Mł. rozpadł się i zwyrodniał a jego były komendant śp. Z. Zapasiewicz, przeszedłszy z garścią towarzyszy pod sztandar PPS, wystąpił z oskarżeniem o deprawację charakterów młodzieży, z biczowaniem publicznym możnych twórców i protektorów tej poronionej roboty.

Główny reżyser chybionej imprezy akademickiej ustąpił. Jego zaś zwolennicy zrezygnowali z dalszej walki na „niewdzięcznym” terenie, spoglądając odtąd na uniwersytety

okiem raczej nienawistnym. Miało się wrażenie, iż po wstydlwym wycofaniu się wpływowych protektorów, niejednen z gorących zwolenników p. Jędrzejewicza, od czasu szpetnej przegranej, stracił w ogóle serce do akademickiej młodzieży, której sprawę uważał poprzednio za naczelny problem państwa. Wszak jeszcze przed rokiem wyraził się w *Gazecie Polskiej* p. Ign. Matuszewski, iż sprawa młodzieży to problem „trzeciorzędny”. I nie wysuwając już żadnych projektów napominał jedynie rektorów do surowego przestrzegania przepisów i stosowania sankcyj wobec tych, którzy je łamią.

Chybione imprezy państwowotwórcze minęły, ale niestety pozostały zatrute ich skutki. W obozie młodzieży „prorządowej” spaczono cały szereg młodych charakterów, przyzwyczajono je do obłudnego serwilizmu i naginania zasad do chwilowej koniunktury, rzucono posiew radykalizmu społecznego i bezbożniczego cynizmu, przyzwyczajono część młodzieży do „dyktowania” i rozgrywek z uniwersyteckimi władzami w oparciu o wyższych patronów, osłabiono autorytet rektorów przez ciągłą z jednej strony ingerencję władz ministerialnych z drugiej zaś przez interwencję policji w murach Wyższych Uczelni.

Czy temu wszystkiemu winien kierunek narodowy, który nawet w dniach największego panoszenia się jędrzejewszczyzny zyskiwał na sympatii wśród młodzieży, nie tylko dla swej narodowej ideologii ale także wskutek szykan, które budziły jedynie odruch sprzeciwu i zaciętości? Oficjalne forytowanie jednych, zapewnianie im posad, przy równoczesnym szykanowaniu innych musiało siłą psychologicznej reakcji zalać opozycję i przejmować ją duchem bojowym w odniesieniu do wrogich sobie, prawdziwie czy rzekomo, władz.

Ponieważ zaś jawna działalność stronnictw narodowych, czy opozycyjnych w ogóle, natrafiła na trudności przeto w znacznej mierze przeszła na tory konspiracji. A konspiracja wywiera zawsze wpływ ujemny, przygotowuje teren pod posunięcia gwałtowne i nielegalne w nadziei, iż ujdą bezkarnie właśnie pod osłoną anonimu. Niebezpieczeństwo to rośnie gdy chodzi o młodzież; wśród której konspiracyjne metody wpływają zawsze na wypaczenie zwłaszcza słabszych charakterów. Tajność organizacji narodowych w okresie niewoli miała swój sens i swoją konieczność, która mogła choć w części usprawiedliwiać i rozgrzeszać ujemne skutki konspiracyjnej roboty; natomiast konspiracja narodowych dążeń w wolnej Polsce jest groteskowym absurdem, z którego wyniknąć muszą fatalne skutki zwłaszcza wśród młodzieży. Warto przemyśleć ten problem do głębi,

gdyż w nim w niemałym stopniu tkwi wyjaśnienie wielu smutnych zjawisk na uniwersyteckim terenie. Konspiracja przygotowuje, naszym zdaniem, najskuteczniej do wybryków, gwałtów i niepoczytalnych posunięć. I znowu jawi się pytanie: kto był moralnym sprawcą tych konspiracyjnych metod, kto spychał ruch narodowy w podziemia?

A dalej, kto go rozszczępił, kto liczył na pozyskanie pewnych odłamów narodowej młodzieży na drodze politycznego przetargu. Przy próbach targowych załamało się znowu wiele młodych charakterów. A rezultat żaden, całkowite fiasko akcji O Z N na uniwersyteckim terenie.

A dalej czy szczęśliwym był pomysł oficjalnego tolerowania przez kilka lat, jeśli nie popierania, antykatolickich zapędów młodzieży, która afiszowała się swą rzekomo „państwowo-twórczą pracą”, przy równoczesnym szykanowaniu inicjatywy religijnych wystąpień młodzieży katolickiej? Czy warto było w kwestii wieszania krzyżów w Uczelniach dopatrywać się rozgrywki czysto politycznej i ustępować znowu dopiero przed zorganizowanym naciskiem młodzieży? Jest rzeczą nawskroś zrozumiałą, iż takie postępowanie władz nie podniosło w oczach młodzieży autorytetu rektorów, że musiało napełnić goryczą tych, którzy widzieli, iż sektaryzm antykatolicki więcej znalazł poparcia, niż objawy katolickiej myśli i katolickich przekonań.

I to było wielkie *minus* z punktu widzenia zdrowej pedagogii i rozumnego podchodzenia do młodzieży. Takim samym minusem było lansowanie przez część prorządowej prasy insynuacji, iż zorganizowana przez uniwersytecką młodzież pielgrzymka do Częstochowy jest przede wszystkim posunięciem partyjnej polityki. Oskarżenie to było bezwzględnie fałszywe, wysoce krzywdzące, ale w rezultacie znowu siłą psychologicznej reakcji stworzyło możliwość względnie ją zaakcentowało, iż do religijnego aktu dołączyła się i manifestacja narodowa, którą mogły pewne czynniki wyzyskać dla celów ubocznych. I znowu zwyciężyła młodzież a równocześnie pogłębiła się niechęć do władz, które nie dość okazały zrozumienia i życzliwości dla szlachetnej i dobrej inicjatywy.

Nie inny miała przebieg sprawa zniżki opłat uniwersyteckich. Nie ulega żadnej wątpliwości, iż finansowe położenie znacznej części polskiej młodzieży jest często katastrofalne. I znowu zamiast uregulować tę kwestię palącą w duchu możliwie życzliwym, pozwolono na długotrwałe wrzenia i zamieszki, by w końcu częściowo ustąpić dopiero pod presją młodzieży.

Wreszcie kwestia żydowska, ujęta w symboliczne ramy oddzielnych ławek dla żydów. Wszyscy praworządni obywa-

tele naszego państwa rozumieją doskonale, iż pozytywne uregulowanie tego postulatów jakimś ministerialnym dekretem było w obecnej sytuacji prawie niemożliwym. Ale zato trudno zrozumieć czemu nie zgodzono się na rozumny projekt „rozdziału faktycznego”, wysunięty przez b. rektora USB, który byłby niezawodnie utracił całkowicie wszelkie postronne wicherzenia i agitacje? Byłoby się oszczędziło blokad, petard, bójek, interwencji policji, poniżenia honoru akademickiego, zniewag rektorów i profesorów, które należy potępić z jak największym oburzeniem. Ale oburzenie to nie naprawi zła i nie stanie się bynajmniej zaradczym a skutecznym środkiem.

Wszyscy zdają sobie doskonale sprawę z faktu, iż fala antysemityzmu, czy asemityzmu wzbiera. Dowody na to są oczywiste, że wspomnimy choćby o deklaracji płk. Koca czy najnowszej a sensacyjnej egzegezie tejże deklaracji, o której z uznaniem dowiedziała się cała Polska z ust płk. Kowalewskiego. Asemityzm ogarnia szerokie warstwy ludu wiejskiego, zdobywa coraz to liczniejszych zwolenników wśród inteligencji; ostatnia deklaracja Stronnictwa Narodowego stawia nawet postulat „cywilnej” śmierci dla żydów; Rząd na serio rozważa problem emigracji żydowskiej — i czyż w tej atmosferze zasługuje istotnie na bezwzględne potępienie żądanie młodzieży rozdziału ław uniwersyteckich, kiedy w tym samym czasie Akcja Katolicka występuje z postulatami rozdziału nie ław tylko ale całych szkół!

Czy winę za wrzenia uniwersyteckie na tym właśnie tle ponosi wyłącznie młodzież, jej krnąbrność, lenistwo, zamiłowanie w awanturach? Napiętnować trzeba bezwzględnie niegodne akademickiego i chrześcijańskiego honoru krwawe ekscesy i znęcania się nad bezbronnymi, które świadczą nie o odwadze ale raczej o tchórzostwie, lecz nie można młodzieży zamknąć oczu na sam problem i jego realne podstawy, na zalew uniwersytetów przez żydostwo, na opanowanie przez nich w olbrzymim procencie wolnych zawodów, handlu i finansów.

Oto w szkicowym skrócie splót zagadnień, metod i precedensów, z którego wytworzyło się zaognienie stosunków na naszych Wyższych Uczelniach. Zaognienie to nie może być obojętne dla katolicyzmu w Polsce, który stoi na straży moralnego wychowania narodu i dla którego ukształtowanie się ideowe polskiej młodzieży nie jest bynajmniej zagadnieniem „trzeciorzędnym”.

Ze smutkiem musimy stwierdzić, iż prąd odrodzenia religijnego, który parę lat temu tak silnie zaznaczył się wśród akademickiej młodzieży, obecnie znacznie osłabł, ustępując pierwszeństwo roznamietnieniu i rozagitowaniu politycznemu.

Agitację tę podtrzymują świadomie nie tylko polityczne stronnictwa, ale ułatwia ją również okaleczały po reformach ustrój akademicki. Autorytetu rektorów i profesorów, ich pełni władzy i skuteczności ich sankcyj nie zastąpi ani policja ani rozwiązanie akademickich organizacji, tym mniej popieranie z góry jednych organizacji i stowarzyszeń przeciw drugim. Zepchnięcie życia organizacyjnego w ramy konspiracji uważamy za fatalne.

Z drugiej strony z punktu widzenia religijnych zasad potępić musimy zdecydowanie niegodne katolików uwłaczanie prawowitej władzy. Fakty takie jak czynne znieważenie rektora lub profesorów, szyderstwa z zarządzeń uniwersyteckiej władzy, grubiańskie występy wobec profesorów, świadczą o załamaniu się moralnych zasad wśród pewnej liczby akademickiej młodzieży. Deptanie autorytetu prawowitej władzy niemniej jak krwawe bójkі nie dadzą się żadną miarą uzgodnić z zasadami katolicyzmu. I w tym przede wszystkim kierunku powinna się zwrócić na Uniwersytetach wyteżona praca wszystkich katolickich organizacji, by wśród kolegów przywrócić zachwianą równowagę moralnych wartości.

Trzeba wskrzesić czy ożywić wielkie i twórcze hasła religijnego i narodowego odrodzenia oraz zjednoczenia nie na platformie bicia żydów ale na płaszczyźnie sumiennej, twórczej pracy naukowej, dla której ruiną stałyby się trwałe zamieszki oraz lekkomyślne burdy. Ten spokój i powaga naukowej pracy nie wykluczają oczywiście żadną miarą realizowania słuszych postulatów w dziedzinie poprawy finansowej sytuacji młodzieży czy samoobrony przed zalewem obcego żywiołu.

Tę właśnie akcję katolickiej młodzieży, która musi dążyć do umoralnienia polskich uczelni i usuwania z nich bezideowych warcholów czy niemoralnych agitatorów — powinny ułatwić i poprzeć w całej pełni uniwersyteckie władze.

Bezwzględne zwalczanie drogą represyj słuszych postulatów młodzieży pracy tej nie ułatwi, ale spowoduje jedynie tym silniejszą reakcję w odwrotnym kierunku. A jesteśmy najgłębiej przekonani, iż ogół polskiej młodzieży akademickiej nie jest bynajmniej zanarchizowany, że umie być karny, uległy, zdolny do poświęcenia i najszlachetniejszych porywów.

Nie wierzymy, by młodzieżą tą i jej organizacjami nie można pokierować przez kuratorów a w najwyższej instancji rektorów, ale pod warunkiem, zresztą słusznym, iż młodzież u tych ludzi wyczuje prawdziwie życziwe, przyjacielskie serce. Niestety tego porozumienia między korpusem profe-

sorskim a młodzieżą brak w niejednym ośrodku a przyznać trzeba, iż winą tego na wskrós ujemnego zjawiska nie leży wyłącznie po stronie młodzieży. Autorytet nie powinien rugować życzliwości a wiekową mądrością nacechowane przysłowie *suaviter in modo, fortiter in re* powinno i w naszych Uczelniach znaleźć głębsze zrozumienie. Z młodzieżą można dyskutować, można i trzeba rozpatrzyć jej postulaty ale można i trzeba ukrócić jej skłonność do samowoli przez żądanie zobowiązań od kierowników organizacji młodzieżowych, iż nie dopuszczą do awantur, a na winnych zaburzeń sami zażądają sankcyj. Ale takie kierowanie młodzieżą wymaga, podkreślamy to jeszcze raz, zaufania do ludzi z grona profesorów, przed którymi młodzież może się szczerze wypowiedzieć i program działania uzgodnić. Trzeba sobie raz zdać sprawę z faktu, iż światoburczy prąd istnieje, iż prądu tego nie wstrzymają zakazy ani rygory, zlikwiduje go a przy najmniej ograniczy jedynie pełnia zaufania. Młodzież musi odczuć, iż jest kierowana, iż nie dyktuje i nie wywalcza ale przy równoczesnym zrozumieniu i przekonaniu, iż władze zrobiły dla niej *maximum* tego, co istotnie zrobić mogły.

Trzeba iść z młodzieżą, trzeba się na niej oprzeć i zdobyć jej zaufanie; nie można dopuścić, by postulaty słuszne musiała dopiero „wywalczać”. Do tego zaś celu należy podążać drogą perswazji, z godnością, bez gróźb, zadrażnień i nieprzemyślanych do końca sankcyj ale i bez ustępstw, zdobywanych terrorem czy presją.

Zamknięcie uniwersytetów na dłuższą metę jest fikcją i nonsensem, rozwiązanie kół naukowych wielkim nieporozumieniem, zawieszenie działalności legalnej „bratniaków” daje tylko atut do rozgrywek przeciwrządowych. W rezultacie zamęt rośnie, senaty stają bezradne, bo wobec rozwiązań i zawiesznień nie mają już z kim legalnie rozmawiać. Nie tędy wiedzie droga do rozwiązania zaognionego problemu!

Katolickie społeczeństwo dotknięte w losie swych dzieci, zatroskane w obawie o charakter i moralną postawę młodego pokolenia ma prawo spodziewać się, iż miarodajne czynniki jeszcze raz rozpatrzą do głębi ten bolesny problem i znajdą prawdziwe a definitywne wyjście z tragicznej sytuacji.

Ks. Edward Kosibowicz T. J.

Sprawy Państwa.

Depresja totalizmu. — Orzeźwienie liberalizmu. — Pakt o rozległych reperkusjach. — Stan sprawy rapallitańskiej. — Kroki polskie. — Walka z drożyzną a zagadnienie ustrojowe.

Od jesieni Europa szamotała się w istnym wirze daleko sięgających inicjatyw podejmowanych przez dyplomację mocarstw totalistycznych. Sukcesy jednak nie okazały się tak łatwo dostępne jak na to liczono w Berlinie i Rzymie. Dynamizm gorączkowych poczynañ wyszastał się przeto i przybrał tempo spokojniejsze. Po części spowodowała to również konieczność odczekania, jak się dalej rozwiną te lub owe wypadki pozostające poza obrębem wpływu, lub wyłamane spod wpływu „osi Berlin-Rzym”.

Ta „oś” dzieliła ostatnimi czasy inicjatywę działań dyplomatycznych z Moskwą. Chwiała się to w tę to w ową stronę pomiędzy Kremlen a Zachodem, między Rapallo a paktem czterech. Chwiała się dlatego ponieważ porozumienie, mocą którego Włochy przyznawały Niemcom przewagę wpływu nad Dunajem wzamian za taką przewagę dla siebie w Hiszpanii — spełzło doraźnie na niczym. Opór Austrii i Węgier dowiódł Niemcom, że austro-węgierskie „winogrona są jeszcze zbyt kwaśne”. Gdy zaś Niemcy spróbowały udostępnić je sobie propozycją paktu czterech z Zachodem, dwuznacznego również dla Rosji, ta ostatnia reagowała wzmacniając odpór czerwonych w Hiszpanii, oraz wzmagając zamęt we Francji rozruchami z ramienia Kominternu. Tym samym również Hiszpania okazała się dla Włoch jeszcze „niedojrzałą”.

Rozluźniła się skutkiem tego „oś Berlin-Rzym” u samej swej podstawy. Znalazło to swój wyraz w zmianie kierunków działań obu mocarstw centralnych. Włochy *stante pede* zawarły pakt nieagresji z Jugosławią. Układ ten po mistrzowsku z góry przygotowany, wrażeniem sukcesu zatart w opinii wrażenie hiszpańskiej porażki i umocnił zachwianą pozycję Italii w międzynarodowym układzie sił. Rozgłośnym echem odbił się wszędzie, bo istotnie rozległy posiada zasięg oddziaływań. Gruntownie wzmacnia on politykę Włoch w dorzeczu Dunaju i na Bałkanie, a zarazem modyfikuje ich stosunek do Niemiec, Francji i Anglii. Lokalnie biorąc, przez układ ten Włochy wycofują się z dawniejszej swej, długoletniej polityki rozbiorowej w stosunku do Jugosławii, którą to politykę opierały na współdziałaniu z Bułgarią, Węgrami i Austrią. Wycofywać się z tej polityki poczęły już podczas wojny z Abisynią, teraz ten proces wykańczają. Zmieniając skutkiem tego kierunki dążeń ekspansyjnych naprzód na samym półwyspie bałkańskim. Korytarz macedoński Jugosławii do Salonik został zabezpieczony od strony Bułgarii przez niedawno, za protekcją Włoch, zawarty bułgarsko-jugosłowiański „pakt wiecznego pokoju”, obecnie zaś, od strony włosko-albań-

skiej, przez pakt najnowszy z Rzymem. Na sztych zostaje teraz wystawiona Grecja do której Bułgaria rości pretensję o wybrzeże Morza Egejskiego, Jugosławia zapewne chętnie objęłaby Saloniki; same zaś Włochy zdawna aspirują do rozszerzenia na pozostałe ziemie greckie swego albańskiego protektoratu. Grecja jest pierwszorzędną strategiczną pozycją na Morzu Śródziemnym i jako taka tradycyjnie protegowana przez Wielką Brytanię. Przejęcie tego protektoratu przez Italię godziłoby zatem dotkliwie w interesy Anglii, wzmacniając Włochy w stosunku do niej. Tym więcej że i samo porozumienie Włoch z Jugosławią zabezpiecza tyły włoskie, niweczy zaś zagrożenie, które przeciwko Włochom usiłował poprzedniego lata skonstruować Edward VIII, odwiedzając Białogród i nawiązując z nim przyjazny kontakt polityczny. Układ włosko-jugosłowiański może więc być słusznie uważany za zwrócony przeciwko Anglii.

Na północy układ ten działa dwuznacznie w stosunku do Niemiec. Nie narusza wprawdzie ich swobody ruchów wobec Czechosłowacji, owszem może ją nawet rozszerzyć ponieważ rozluźnia Małą Ententę. Ale z projektowaną przewagą wpływu niemieckiego w Austrii i na Węgrzech może być rozmaicie, sojusz bowiem włosko-jugosłowiański nadaje się dla tych państw jako oparcie. Bardzo poważnie sojusz ten barykaduje Niemcom drogą z nad środkowego Dunaju drogę ekspansji na Bałkan, a może ją zabarykadować absolutnie jeśli zostanie rozszerzony na Rumunię. Na to się zanosí, ale z tym Mussolini jeszcze zwleka zapewne do czasu ostatecznego wyjaśnienia swego stosunku do Niemiec. W tym zakresie musi być ustalone czy Niemcy mogą Włochom coś jeszcze dopomóc w Hiszpanii lub nie. Zdaje się że raczej nie, ponieważ dalszy dowóz posiłków został zakwestionowany przez blokadę anglo-francuską z ramienia komitetu nieinterwencji. Jeżeli zaś Italia utraci widoki hiszpańskie, to „oś Berlin-Rzym” jeszcze bardziej się rozluźni a tym samym osłabną szanse niemieckie nad Dunajem. Dla omówienia tych spraw projektowana jest podobno nowa podróż premiera Goeringa do Rzymu, czy nawet Mussoliniego do Niemiec.

Jest więc zrozumiałe, iż układ włosko-jugosłowiański przyjęto w Berlinie dość kwaśno. Podobało się tam jedynie to, że osłabia on Małą Ententę, nawet w jej pierwotnej koncepcji przeciw-węgierskiej. Tym bardziej w tych warunkach nie mogła odnieść skutku propozycja prezydenta Czechosłowacji zgłoszona na zjeździe Małej Ententy w Białogrodzie, by związek ten rozszerzyć, wzorem Ententy Bałkańskiej, w pakt wzajemnej pomocy także przeciwko agresjom, włoskiej lub niemieckiej. W sojuszu z Włochami Jugosławia i Rumunia mniej mogą dbać o bezpieczeństwo Czechosłowacji wobec Niemiec, niż poprzednio.

Francja żywo została zaniepokojona układem włosko-jugosłowiańskim, formalnie biorąc dlatego, że jej własny sojusz z Ju-

goślawią wygasa za parę miesięcy. Faktycznie układ włosko-jugosłowiański rozbija wschodni system sojusznicy francuski, wypierając wpływ francuski z dorzecza Dunaju na korzyść Włoch i Niemiec; a zarazem wzmacnia bezpośrednio wojskową pozycję Italii na granicy alpejskiej z Francją.

Być może, iż o tym właśnie była mowa na poufnych konferencjach w Cannes pomiędzy p. min. Beckiem a min. Delbos, zmiany bowiem nad Dunajem żywo również interesują Polskę. Prawdopodobnie w związku z nimi zaprojektowany został wyjazd polskiego ministra do Bukaresztu, a nawet Rzymu. Tymczasem jednak punkt ciężkości w tej grze sił koncentruje się raczej na północy. Ażeby Polska mogła poprzeć przeciw Niemcom te państwa naddunajskie, które pozostały poza nawiasem układu włosko-jugosłowiańskiego, a więc Austrię, Węgry i Czechosłowację, musi przede wszystkim umocnić własną pozycję zwłaszcza wobec widma nowego Rapallo. Zdaje się, że w tym kierunku zamierzone są jakieś próby wobec państw nadbałtyckich, którym to próbom ma służyć podobno podróż p. min. Becka do Gdańska. Może chodzi tu o stosunek do Litwy, której ministra niedawno zaszczylił towarzyskim na jego cześć przyjęciem w Paryżu min. Delbos.

Stosunek Polski do Litwy zależny jest jednak w pierwszym rzędzie od stosunku Polski i Francji do Moskwy. Z drugiej strony niemieckie widoki na Czechosłowację również pośrednio zależą od Moskwy, mianowicie od stopnia skrepowania nas przez litewsko-moskiewskie kleszcze wokół Wileńszczyzny, oraz ewentualnie przez jeszcze silniejsze kleszcze wznowionego Rapallo. Dlatego też Niemcy, przekonawszy się o doraźnej dla nich niedostępności dorzecza Dunaju przy tym zagrożeniu włosko-jugosłowiańsko-rumuńską barykadą dalszej w tym kierunku ekspansji, ze wszystkich sił zabiegają obecnie o względy Moskwy. Najznamienniejszy wyraz tych zabiegów stanowią ataki prasy niemieckiej przeciwko Polsce, tym bardziej prowokujące im beczelniej wywracają kota ogonem w sprawie wzajemnego traktowania mniejszości narodowych polskiej w Niemczech i niemieckiej w Polsce. Tą demonstracją próbują Niemcy dobrze usposobić wobec siebie Moskwę. Wroga postawa Niemiec wobec katolicyzmu, zgoda Hitlera z neopoganinem Ludendorffem, ma również oddziaływać w tym kierunku.

Czy się te starania okażą skuteczne trudno przesądzać. Dojście lub nie dojście do skutku nowego Rapallo zależy od szeregu momentów bardzo realnych. Przede wszystkim od wyniku walk w Hiszpanii, gdzie czerwoni, poprzednio już silnie zdeprymowani, przeszli do gwałtownej kontrofensywy. Gdyby zwyciężyli to czerwony pożar mógłby objąć także Francję, gdzie wewnętrzne naprężenie polityczne między marksistami, a demokracją kapitalistyczną się wzmacnia. Wtedy Rapallo byłoby dla

Moskwy zbędne, bo do paktu czterech i tak by nie dopuściła, przeciwnie zaś zagwarantowałyaby sobie istniejący francusko-sowiecki pakt wzajemnej pomocy. Samo Rapallo zaś jest dla Moskwy raczej śliskie, gdyż dąży do wspólnej granicy niemieckorosyjskiej na ziemiach polskich.

Ze względu na Hiszpanię i Francję, ze względu na skłonność generalicji sowieckiej ku Rapallo, oraz ewentualne uzależnienie od niej Stalina, nie spieszy się on zbyt z dekomunizacją i nacjonalizacją ustroju. Nie chcąc przedwcześnie wypuszczać z rąk czerwonego atutu i rozbrajać czerwonego mocarstwa z Kominternu, Stalin rozkłada procesy eksterminacyjne elity komunistycznej na raty, rozdziela ciosy równomiernie między lewicą i prawicą kompartii, kładzie szczególny nacisk przede wszystkim na mord personalny grubych ryb *regime'u* jak Jagoda, Rykow, Bucharin. Robi minę jakby chciał zachować swój własny, rzekomo jedynie ortodoksyjny w bolszewizmie kurs polityczny i ustrojowy. Położenie wewnętrzne Rosji Sowieckiej jest z tym wszystkim bardzo ciężkie, naprężone i niebezpieczne. Doły czerwonego korpusu oficerskiego burzą się podobno przeciwko Stalinowi i marszałkom. Nad całym zaś krajem zawisła groza sabotażu zasiewu przez wieś, której potrzeb miasta nie mają czym zaspokoić bo wszystkie środki pochłonięły zbrojenia.

Ktoby więc chciał w obecnej chwili pozyskać Moskwę, mógłby to osiągnąć najłatwiej przez gruby kredyt zagraniczny. Zachód mógłby go ofiarować, ale przed tym musiałby go przygotować politycznie pacyfikując Europę już to za pomocą polsko-rosyjskiego zbliżenia przeciw Niemcom, już przez poważne kredyty wojskowe i gospodarcze dla państw tworzących „barierę” między Niemcami a Moskwą. Obie te myśli dość blisko zresztą ze sobą kontaktują. Rozwijają się one logicznie dalej w zalecany przez Zachód system zbiorowego bezpieczeństwa i zbiorowej regeneracji światowego gospodarstwa, w którym w zasadzie powinnyby znaleźć swe miejsce także interesy Niemiec i Włoch. Z tego zapewne założenia wychodząc wszczął się na Zachodzie pewien ruch w kierunku sondowania odnośnych możliwości politycznych i gospodarczych. Wdrożył go Roosevelt przysyłając do Londynu na „słodką konferencję” światową cukrownictwa samego prezesa Federal Reserve Board znanego dobrze w Europie p. Normana Davisa. Wyruszył na jego spotkanie nad Tamizę francuski minister skarbu i z tego cukrowego *tête à tête* odrodziła się myśl oryginalnością nie grzesząca zwołania ponownie światowej konferencji gospodarczej, a potem oczywiście także i rozbrojeniowej. Oba te typy konferencji oraz „przyświecające” im idee libero-pacyfistycznie znane są aż nadto dobrze z katastrofalnych precedensów jakimi „poszczycić” się mogły w przeszłości. Ponieważ jednak prężność agresywna mocarstw totalistycznych obecnie nieco osłabła, a działalność przybrała charakter raczej defen-

sywny, przeto zachodni liberalizm podnosi ciężko potłuczoną głowę i ze swej strony próbuje się odegrać.

Jakie zasadnicze trudności stają na przeszkodzie temu, ażeby ta odgrywka mogła rozwiązać przełom dziejowy oraz uratować ginący świat liberalnego i totalnego materializmu, o tym już nieraz w naszym miesięczniku była mowa. Niejakie widoki posiadać może jedynie paliatywne oklejanie plastrami najniebezpieczniejszych doraźnie bolączek, i o to też w gruncie rzeczy wszystkim głównie chodzi. W doskonałym zrozumieniu takiej właśnie natury położenia mocarstwa faszystowskie odrzuciły balon próbny zwiastujący nowe konferencje w duchu liberalizmu gospodarczego i politycznego. Natomiast Niemcy nie omieszkaly delegować do Brukseli i Londynu min. Schachta na zwiady, czy nie dałoby się uzyskać dla Niemiec „na osobności“ wielkiej pożyczki międzynarodowej w surowcach i złocie, (którego Bank Rzeszy wyżył się prawie całkowicie) wzamian za polityczne zawieszenie broni ze strony Niemiec w stosunku do państw naddunajskich i Polski.

Powyzsze nastroje i usiłowania zdają się także sprzyjać pożyczce wojskowej przyznanej nam w zasadzie przez Francję, z tym jednak zastrzeżeniem, że duży głos w tej sprawie muszą mieć nie tylko Niemcy, lecz obecnie przede wszystkim Moskwa, ściślej Komintern: przez postawę komunistów we Francji, oraz ich wpływ na rząd Bluma. Tamtejsza ich pozycja okazała się wszak na tyle mocna, że maluczko a byli by udaremniłi nawet drugą transzę wielkiej francuskiej, narodowej pożyczki wewnętrznej na obronę kraju. W obawie przed komunistyczną opozycją pozostała też dotąd w zawieszeniu transza trzecia.

Ogólnie biorąc sytuacja międzynarodowa znajduje się pod znakiem nieśmiałych prób reakcji liberalnej przeciwko nadszarpiętem przez długotrwały dynamiczny rozmach totalizmowi. Ten stan rzeczy odzwierciedla się także w polityce polskiej, nawet gospodarczej. Z dużym impetem ruszyliśmy do kontrataku w obrocie zagrożonego przez drożyznę państwowego planu zakładania fundamentów pod kapitalizm polski. Zły polski los, pierwotność naszego kapitalistycznego stadium rozwojowego, albo też jeszcze wyraźniej mówiąc groźna dysproporcja pomiędzy naszymi kapitalistycznymi zasobami a potrzebami i koniecznościami, sprawiły iż dla naszego państwowego planu największym niebezpieczeństwem stał się właśnie najznamienniejszy objaw kapitalizmu w jego wysoko-koniunkturalnej ofensywie — ruch cen w górę. Ten objaw wciska się do nas żywiołowo ze wszystkich stron kuniunktury światowej i miejscowej. Światowy wzrost cen faworyzuje nasz eksport, towaru więc zwłaszcza rolniczego w kraju ubyłoby, to jeden bodziec drożyzny. Import stał się znacznie droższy, również przeto ciśnie zwyżkowo na ceny krajowe. Wzmógł się obrót z zagranicą wzmagając tempo produkcji, rozszerza stan zatrudnienia i konsumpcję, przy czym wzrost popytu z natury rzeczy wyprzedza podążającą

dopiero w ślad za nim podaż, i to także działa na wyżkę cen. Popiera ją najbardziej żywiołowy spośród czynników dodatniej koniunktury — grożący częściowo krajowi nieurodzaj.

Reakcja drożyzniana rozwija się na takim tle według najklasyczniejszych reguł liberalnego automatyzmu gospodarczego. Ma ona swoją marną podstawę psychiczną i swoją logikę gospodarczą. Podstawą psychiczną kapitalizmu, jego naczelnym impulsem jest produkcja dla zysku osobistego. Gdy więc przewaga popytu nad podażą stwarza możliwość powiększenia zysku przez wyżkę cen, skłonność w tym kierunku występuje z całą potęgą żywiołowej namiętności. Jej zaś sens gospodarczy polega na tym, że chęć zysku naciska dalej do rozszerzenia produkcji i podaży. Ale by rozszerzyć produkcję trzeba w nią włożyć większy kapitał, ażeby go włożyć trzeba go naprzód zgromadzić, a to się dokonywa automatycznie właśnie przez zwiększony zysk przy podniesionych cenach. Drożyzna zatem jest automatycznym narzędziem kapitalizacji. Jeśli istnieje w kraju dostateczna rezerwa kapitału zaoszczędzonego, to można ją antycypacyjnie zakredytować w rozszerzenie produkcji do rozmiarów popytu; ale i wtedy kredyt ten musi się amortyzować w cenie towaru, tylko jego wyżka może być wtedy łagodniejsza, obliczona na powolniejszy przyrost zysku, a nawet zniwelowana zniżką kosztów wytwórczych przy wielkim obrocie. Dlatego na Zachodzie zasobnym w kapitały, urządzenia techniczne i surowce, wzrost cen wykazuje stosunkowo powolniejszą tendencję rozwojową niż w Polsce, gdzie kapitału brak a jego zapotrzebowanie tym jest większe im bardziej rozszerzenie produkcji wymaga inwestycyjnego odnawiania urządzeń technicznych. Z drugiej strony wzrost cen potęguje kapitalizację, działa więc prawidłowo jedynie tam gdzie kapitału wystarcza na to ażeby wzrost cen pokryć, wkalkulowując weń nieuniknione, równoległy wzrost kosztów utrzymania, płac zarobkowych i kosztów wytwórczych...

W Polsce tego wszystkiego czym rozporządzają społeczeństwa wielko-kapitalistyczne nie ma. Dlatego rozgorzała taka namiętna walka o ceny pomiędzy konsumentencką większością a producencką mniejszością społeczeństwa. Równoległe z kartelową inicjatywą posła prezesa „Lewiatana“ Andrzeja Wierzbickiego domagającą się wyżki cen, lub kredytów na inwestycje, rozwija się fala strejkowa. Powoduje ją wyżka kosztów utrzymania, lub chęć wyrwania się z nędzy, ze stanu głodowej niedokonsumpcji, w jaką rzesze spożywców robotniczych wtrącone zostały w długotrwałym deflacyjnym okresie niskich cen, oraz proporcjonalnie jeszcze niższych płac. Ta niedokonsumpcja jest zresztą objawem logicznie dopełniającym przemysłową z tegoż okresu niedoinwestycję.

Tragedia polega na tym, że jeden i drugi objaw płynie z właściwej Polsce przepastnej niedostateczności zaoszczędzonych

zasobów kapitału w stosunku do potrzeb rozwojowych obrotu. Jedyny na to środek zasadniczy, o którym mówiliśmy już nieraz to antycypacja kredytu i kapitału obrotowego. Ale to jest środek, który godzi w psychikę i mechanikę kapitalizmu. Jeżeli się od niej oderwać nie chce i nie umie, to pozostaje tylko śmiertelna walka konsumenta z producentem w ślepym zaułku bez wyjścia.

Tę właśnie walkę podejmujemy obecnie z rozmachem autorytatywnym państwa. Towarzyszy mu wyjątkowy, jak na nasze stosunki, zapal społeczeństwa spożywającego a posłuszna na razie powolność społeczeństwa produkującego. Życzyć należy, by akcja ta dała wynik, do którego doraźnie zmierza: zwolnienie tempa wzrostu drożyzny. Jakie jednak mogą być perspektywy na dalszą metę, co do tego nie należy się łudzić. Ostre nawet zarządzenia projektowane przez władze np. zwiększony import towaru, który w kraju drożeje wyżej ceny światowej, ograniczone są w swych możliwościach i mogą oddać tylko krótkotrwałe usługi, bowiem jak uczy nasze własne z lat dawniejszych doświadczenie, godzą w równowagę bilansu handlowego. Przy tym wystawiają ubogi w kapitał przemysł krajowy na nierówną walkę konkurencyjną z zasobnym w kapitał przemysłem obcym. Proponowany przez stronę przeciwną, odwrotny w swym charakterze, antideflacyjny środek dewaluacji złotego, wzorem franka, jest również tylko półśrodkiem najzupełniej niezdolnym sprostać ogromnemu zadaniu. Świeżo okazał się bezskutecznym we Francji.

Pretensje konsumenckiej większości społeczeństwa do karteli, oraz nadzieje łączone z ich rozwiązaniem są także wysoce subiektywne. Kartel podczas kryzysu bywa z reguły organizacją obronną danej branży przeciwko brakowi zbytu, oraz dzikiej walce konkurencyjnej, zmuszającej do niżki cen poniżej kosztów wytwórczych. Ograniczając produkcję do rozmiarów zbytu jaki się da osiągnąć przy cenach opłacalnych, kartel pozwala zachować równowagę kalkulacyjną, ograniczając zaś zatrudnienie nie zniża jednak nadmiernie robocizny, do czego silną tendencję wykazują podczas kryzysu przemysły nieskartelizowane. Ale przy wysokich cenach, a szczupłym obrocie, wcale niekoniecznie musi dawać większy zysk ogólny, niżli przy niskich cenach ale wielkim obrocie. Tę sytuację szerokie koła spożywców odczuwają subiektywnie jako wyzysk. Mimo to jednak retoryczne pytanie jednego z dzienników pod adresem karteli: „coście zrobili z ogromnym haraczem ściągniętym w wysokich cenach ze społeczeństwa w okresie kryzysu? Dlaczego teraz brak wam kapitału na inwestycje i rozszerzenie produkcji?” stawia kwestię zbyt prostolinijnie; tak prostolinijnie jak tego wymagają reguły łatwej demagogii. Pewne jest tylko, że kartelowa kalkulacja i polityka cen powinna być staranniejsza niż dotąd kontrolowana przez państwową władzę nadzorczą, a skłonności do przerostów zysku powściągane. Tylko taki nadzór może ustalić dla każdej poszczegółnej organizacji od-

powieź na pytanie „coście zrobili z haraczem itd.” Stąd bowiem, że ten lub ów kartel mógł „obłowić się” w latach deflacji jakąś nawet paromilionową nadwyżką, to po pierwsze ze stanowiska dążeń do wzrostu kapitalizacji bynajmniej nie jest tak naganne jak ze stanowiska interesów konsumenckich. Po wtóre zaś to wcale jeszcze nie dowodzi, ażeby np. takie węglarstwo rozporządzało 300–400 milionami złotych, jakich teraz potrzebuje na inwestycje. Toż samo stosuje się do przemysłu krajowego w ogóle.

Te sprawy nie mogą być racjonalnie wysświetlane w nastroju właściwej kapitalizmowi walki ekonomicznej oraz pod kątem jednostronnych interesów grup społecznych, które w niej przyjmują udział. Te sprawy mogą być właściwie oceniane i regulowane jedynie ze stanowiska całokształtu gospodarstwa narodowego, oraz stanu w jakim się ono znajduje. Tylko z tego stanowiska i biorąc pod uwagę ten stan, można się zorientować czy np. zupełne skasowanie karteli i powrót do nieograniczonego liberalizmu gospodarczego potrafiłby zaspokoić potrzeby spożywcze społeczeństwa przy istniejących zasobach kapitału? Sądzę, że takiego cudu oczekiwać nie należy, i że nie sprawiłaby go nawet systematyczna hiperdeflacja w stylu płk. Matuszewskiego.

Prawda, że posiadamy jakiś miliard czy nawet więcej kapitału zaoszczędzonego, a nie przyjmującego udziału w produkcji. Kapitał ten spoczywa w kraju sterauryzowany w złotych lub dolarach, albo też „uciekł” do banków zagranicznych. Jakim cudem jednak można te środki uniezależnić w atmosferze psychicznej kapitalizmu, postawionej wobec takich zagadnień z jakimi boryka się dziś Polska, lub nawet o ileż od niej bogatsza Francja? My w Polsce stoimy wobec naszej rodzimej zastrzonej odmiany tego samego problemu, którego ani bogaty Zachód ani tym bardziej my nie rozwiążemy półśrodkami dostępnymi w ramach istniejącego ustroju. Potrzeba tu czynu zgoła innej natury i miary.

Tymczasem jednak i na Zachodzie i u nas kapitalizm szuka jeszcze dróg ratunku. Że wchodzi przy tym w kolizję sam z sobą, że nieraz musi zwalczać najistotniejsze swoje popędy, że poszukuje ratunku wyłącznie pod naciskiem zagrożeń, które nań spadają, nie rozumiejąc ich natury i nie dbając o szerszą perspektywę następstw, lub projektując ją ułudnie — to odpowiada naturze położenia oraz umysłowości mieszczańskiej. Ostatecznie jeśli kapitalizm na Zachodzie zdoła wynaleźć jakieś paliatywy, które by się okazały zdolne podciągnąć go na tyle, by pociągnął jeszcze z parę lat, to może powieź się to i nam. Trop w trop, ślad w ślad, krok w krok za... mędrszymi na Zachodzie stara się podciągnąć i Druga Polska.

Andrzej Prawdzie.

Srebrny jubileusz polskiej misji w Rodezji.

Wiek XX wniósł na arenę dziejów nowe życie. Pod hasłem „europeizacji świata” ustawiczny proces kulturalnego rozwoju znajduje inne, nieznane sobie szlaki. Pod wpływem doktryn starzejącej się Europy oraz budzących się stąd swoistych narodowościowych potrzeb, pozaeuropejskie kraje i ludy wstępują na drogę najrozmaitszych i daleko idących przeobrażeń. Cywilizacja Starego Świata, jego zdobycze techniczne i umysłowe znajdują grunt wśród egzotycznych krain, a wspomagane gigantycznym postępem wszechświatowej gospodarki, która wiąże je w wielką całość i nadaje im wspólne знамя, wypierają szereg swoistych zewnętrznych różnic i kulturalnych odrębności, wyrosłych na rozmaitym geograficzno-rasowym podłożu.

Ale tych różnic i przeciwieństw nie pogodzą wspólne, zewnętrzne li tylko formy cywilizacyjne; nie stworzą one wewnętrznej ideowej łączności. Tu trzeba dotknąć istoty ludzkiego ducha, trzeba stworzyć wspólne ideologiczne podstawy pod uniwersalistyczne hasła humanitaryzmu i zdrowego pacyfizmu, pod dalekosiężne programy społecznej odbudowy i przebudowy, pod szeroko pojęte plany ekonomicznych urządzeń i warunków na całej kuli ziemskiej. Ludzkość dąży do jedności, pragnie zrównania i emancypacji, tęskni za wspólnotą i porozumieniem. Wszelako nie zimna forma europejskiej cywilizacji zapewni jej ideowe podstawy prawdziwego światopoglądu, ale religia, jako naistotniejszy wyraz kultury ducha. Religia położy podwaliny pod przyszłą jedność i braterstwo. Ona rozwiąże zagmatwane kulturalne stosunki, ona zespoli cały glob ziemski...

Ale nasuwa się problem: jaka religia i ideologia obejmie hegemonię nad odbudową świata? — Zależać to będzie od tego, czy ludzkość padnie u stóp Chrystusowego Krzyża czy też się spęta w kajdany błędu. Od nas Europejczyków to zależy. Nie wiadomo bowiem, czy ognisko wielkich poczynań kulturalnych nie przeniesie się w niedalekiej przyszłości w egzotyczne kraje, czy nie nastąpi przesunięcie żywotnych sił na zacofane poprzednio... pozaeuropejskie ludy. Nowe potęgi budzą się tam, dochodzą do głosu, a może zwyciężą... i chwycą w swe dłonie kierownictwo losów ludzkości. I Europa ma zadecydować, kto zwycięży — Chrystus i prawdziwa kultura, czy Antychryst oraz jego poplecznicy!..

Zrozumiało ogromną doniosłość tego problemu heretyckie sekciarstwo. Finansowane przez najbogatsze mocarstwa świata stara się dla zachowania swych pozycji poruszyć wszelkie sprężyny, usiłuje przede wszystkim zdobyć dla siebie tubylczą inteligencję. Szerząc europejską kulturę, nie szczędzi grosza na apostołskie dzieło i może się poszczycić wspaniałym plonem... A Kościół Chrystusowy miałby stać w tyle? Wszak jemu z woli Bożej przynależy prymat w nawracaniu świata. Posłuszny zleceniu Bo-

skiego Mistrza wysyła wszędzie dla zbawienia dusz swe najlepsze dzieci. Wszystkie katolickie społeczeństwa zaprasza do współpracy. I katolicka Polska nie może się od tej dziejowej misji uchylić.

Na tle tych rozważań warto zaglądnąć w jeden niewielki, choć przewyższający obszarem Polskę, zakątek świata, gdzie grono Bożych pracowników-rodaków sieje ziarno Zbawicielowej Prawdy i polskości. Dwadzieścia pięć lat mija od chwili, kiedy polska dłoń wzniosła się ku sypaniu ziarna Dobrej Nowiny na kamienistym afrykańskim ugorze, który Opatrzność Niebios naznażyła polskim żniwiarzom dla apostolskiej pracy... Popatrzmy, jaki plon wydało i rodzi owo nikłe gorczyczne ziarenko, ile trudów i zabiegów kosztowało bohaterskich siewców to Boże dzieło. 25-letnia perspektywa rodezyjskiej misjonarki oświectli nam również wielką wartość duchowo-kulturalnych zdobyczy dla ukochanej Polski. A są one ogromne; może nie zbyt głośne i zdumiewające, niemniej przeto wspaniałe i niespożyte.

Dziwnie naprawdę splatały się dzieje ¹⁾ Misji rodezyjskiej. Geneza jej łączy się najściślej z historią misji nad dolną Zambezą. Zaciekłość portugalskich liberałów zniweczyła świetnie prosperujące ośrodki dominikanów, franciszkanów i jezuitów, założone tam jeszcze w 18 w. Pozostałe ruiny i gdzieś tam okazalsze kościoły świadczyły o kwitnącej tu niegdyś zachodniej kulturze. Po stu z górą latach pozwolono wreszcie wszczać na nowo apostolską pracę na tych terenach. Wśród misjonarzy nad Zambezą widzimy już polskich jezuitów (OO. Gabryela, Hillera, Bulsiewicza, Lazarewicza, Mohla i kilku doświadczonych Braci zakonnych). W związku z wybuchem rewolucji w Portugalii w 1910 r. planowany przez „Wyższą Masonerię” zamach na misję zambeską nie udał się, dzięki stanowczej interwencji Austrii i Niemiec; spowodował natomiast przeniesienie się misjonarzy na terytorium angielskie, do Rodezji półn., gdzie założyli nową placówkę misyjną.

Piękny i bogaty płaskowzgórz rodezyjski dostał się w ręce Imperium Brytyjskiego dzięki geniuszowi i zaborczości Cecila Rhodes'a. Ten wyjątkowy pionier brytyjskiego imperializmu potrafił ocenić naturalne bogactwa rodezyjskiej ziemi. Przypatrzmy się jej z bliska. Cała półn.-zach. Rodezja leży w pasie zwrotnikowym. Jest to falista wyżyna, wznosząca się od 1300 do 1500 m ponad poziom morza, pokryta w większej części lasem wysokopienym oraz trawiastym podszyciem. Gdy się z pewnej wyniosłości rzuci okiem na szeroki płaskowzgórz, nic innego prawie nie widać, jeno drzewa i krzaki... Skaliste wzgórza ubrane są w koronę z mirurusów, matsanij (drzewo żelazne), mulombe, baobabów itd. Uroczne i żyzne doliny ozdabiają drzewa pomarańczowe, banany,

¹⁾ Por. Ks. J. Krzyszkowski T. J. — Ks. S. Hankiewicz T. J.: *Polska Misja w Afryce*. Wyd. Księży Jezuitów, 1927, str. 106.

ananas, ślicznie pachnące palmy liliowe, poplątane lianami i przeróżnymi pasożytniczymi krzewami, które na modłę gigantycznych węzów oplatają i ściskają drzewa-sąsiady. Cała ta kraina robi wrażenie jednej olbrzymiej puszczy, tętniącej bujnym, żywiołowym życiem. Przecina ją potężna Zambeza z dopływami: Kafue, Roangwa, Lunsenfwa, Lukasashi, Mkushi, Chingombe i in., w których kryją się hipopotamy, mnóstwo ryb i krokodyli. Lwy, lamparty, szakale, pumpi (wilki afrykańskie), żyrafy, zebry, nosorożce, słonie, bawoły, antylopy, przeróżne gady, jak boa dusiciel, kameleony etc. mają w tej puszczy swoje stolice. Po lasach i nad rzekami unosi się ogłuszający rozgwar i świergot rozmaitego ptactwa — papug, pelikanów, kolibrów, dzikich gołębi, wron z białymi kołnierzami, a nawet polskich bocianów i jaskółek, odwiedzających corocznie tę piękną krainę. Wysoko, w przestworzach bujają orły, jastrzębie, orliki, w nocy zaś wylatują na polowanie rozmaitego gatunku sowy, nietoperze, psy latające itd. I do mieszkań ludzkich często zaglądają nieproszeni goście w postaci jaszczurek, myszy, szczurów, skorpionów, a przede wszystkim węży.

Rodezja posiada dwa różne klimaty — jeden na wyżynach, zbliżony do włoskiego: bardzo zdrowy, drugi — tropikalny w kotlinach rzek, zazwyczaj ogromnie zabójczy dla Europejczyków. Ma też dwie pory roku: porę deszczową — w okresie naszej zimy i suchą, trwającą przez resztę miesięcy. Oczywiście stosownie do tych pór zmienia się ogólny wygląd kraju...

Mieszkańcy Rodezji, to oliwkowi Bantowie. Dzielią się na liczne szczepy: Batonga, Barotse, Alala, Ansenga, Barendze, Asoli, Aswala, Alamba, Acikunda itd., osiedlające się najczęściej na brzegami niewysychających rzek. Każde plemię ma swego *mfumu* (króla), każda zaś wioska swego wójta, którzy mają obowiązek rządzić po „ojcowsku” i sprawiedliwie oraz często urządzać dla swych poddanych „królewskie” zabawy i uczty. Oznaką plemiennej przynależności jest swoisty tatuaż lub też wybijanie czy ostrzenie sobie zębów-siekaczy. Bantowie trudnią się przeważnie rolnictwem, hodowlą zwierząt domowych, nadto myślistwem i rybołówstwem. Z produktów rolnych udają się w Rodezji: kukurudza, *mapira* (proso afryk.), maniok, pszenica, jęczmień, ryż, ziemniaki, kawa, herbata, trzcina cukrowa, wszelkie warzywa krajowe i europejskie... Owoców naprawdę pod dostatkiem. Kwitnie tam również przemysł ceramiczny i koszykarski; dawniej jeszcze zajmowano się tkactwem. Ogólnie życie po wioskach toczy się, rzec można, w rytmicznym tempie, nużąc jednostajnie; wszyscy wykonują te same niemal czynności — o tym samym prawie czasie i w ten sam zwykle sposób pracują, bawią się, jedzą wstają rano i kładą się spać... Oprócz tubylców skupia się przeważnie po miasteczkach nieliczna ludność biała; najczęściej są to farme-rzy i kupcy. Rodezja od niedawna ma swój samorząd i parla-

ment w Livingstone, jest podzielona na kilka okręgów, te zaś na powiaty, w których administrują *Native Commissioners*. Wzdłuż Rodezji biegnie jedna linia kolejowa i automobilowa, zresztą drogami są pierwotne ścieżki. Podróżuje się najczęściej pieszo, w *maczyli* (rodzaj płóciennej lektyki) lub rowerem, rzadziej wozem, zaprzężonym w woły ze względu na muchę „tse-tse”. Bagaze, towary, pocztę itp. transportuje się zwyczajnie na barkach najmowanych czarnych fragarzy.

Przedewszystkiem bogate złoża cynku, ołowiu; złota, węgla, żelaza, wapna, miki, grafitu, białego marmuru itp. kopalin nęciły już dawno zachłanne oko europejskich władców czarnego lądu. Przeciwnie — misjonarzy nie pociągały tam wyżej wymienione dary natury, ale zwałił ich smutny los duchowy pogrążonych w pogaństwie tuziemców... I poszli polscy pracownicy na Bożą siejbę do tych biednych ludów. Nad nimi zaś rozpostarł swe opiekuńcze skrzydła polski duch, którego biało-czerwony symbol po dziś dzień tam powiewa, podtrzymywany krzepką dłonią synów polskiej macierzy.

W uroczym miesiącu maju 1912 r. powierzyła Stolica Apost. olbrzymi (235.000 km²) szmat półn.-zach. Rodezji jezuitom galicyjskiej prowincji, przyłączając go do prefektury apost. Zambazy. Z polską pieśnią lub kolendą na ustach, według polskich metod i zwyczajów, z polską tęsknicą za niepodległością Ojczyzny zabrali się misjonarze do pracy. A praca ta była naprawdę ciężka, żmudna, ale i owocna...

Wielki nasz Autor „trylogii” tak charakteryzuje działalność katolickich misjonarzy w Afryce: „Ci ludzie pracują w owych śmiertelnych krainach nie tylko jako przewodnicy duchowi, ale po prostu jak chłopci, to jest tak, jak nie przywykli pracować nawet w naszych klimatach. Rozszerzają nie tylko chrześcijaństwo — ale zmieniają postać kraju; nie tylko murzynów chrzczą, ale uczą ich karmić się, mieszkać i odziewać się po ludzku — słowem z dziczy zupełnej tworzą ucywilizowane społeczeństwo”.¹⁾

Kiedy na czele garstki polskich bojowników stanął ich własny przełożony, O. Apoloniusz Kráupa T. J., apostolska żarliwość i praca zaczęła rósć i potęgnićć w wielokrotność... Od tej chwili datuje się nowy okres Misji rodezyjskiej, nacechowany jedną długą listą ogromnych, heroicznych wprost zmagających z przeróżnymi trudnościami misjonarki w Afryce, ale też znaczonej wspaniałymi pomnikami nieśmiertelnych czynów dla Boga, dusz i Polski.

O. Kraupa dociera (w r. 1913) ze swymi towarzyszami nad rzekę Katondwe, gdzie zastaje pożałowania godny wygląd misyjnej placówki. Ojcowie wychudzeni, „odarci, gorzej wyglądają od

¹⁾ H. Sienkiewicz: *Listy z Afryki*, Nak. „Słowa”, Warszawa 1893, tom I, str. 233 i nast.

naszych odpustowych dziadów". Dom a raczej szopa mieszkalna, szkołka, kaplica — istne rudery, nadniszczone przez termity. I inne stacje nie inaczej wyglądały. Zabiera się zaraz do budowy mieszkania dla misjonarzy, oddając wpierw całą Misję w opiekę B. Serca Jezusa. Zapewniwszy sobie pomoc Najwyższego Misjonarza rzucają się Ojcowie i Bracia w wir nieustannej i wytężonej pracy. W międzyczasie zjawiają się nowi pomocnicy z dalekiej Polski.

I jakże wówczas wspaniale zabłysnęła polska niezmogłość i potęga sarmackiego ducha. Choć utrudzeni, ale niestrudzeni żniwiarze uwijają się koło zbiórki bielejących plonów. Całymi tygodniami i miesiącami, o głodzie i chłodzie, wśród okropnych niebezpieczeństw terenowych i trudności finansowych idą wszędzie z radosnym obliczem, niosąc światło Prawdy wiekuistej i prawdziwej kultury. Więzieni i wstrzymywani przez masoński antagonizm, pozbawieni wszelkiego niemal materialnego poparcia od zubożałych przez wojnę europejskich dobroczyńców, nie ustają w robocie, ale z większym jeszcze zapałem chrzczą, nawracają, zakładają nowe ośrodki misyjne, wznoszą szkoły, kaplice i kościoły, budują domy mieszkalne i internaty, prowadzą warsztaty rzemieślnicze, uprawiają wzorową gospodarkę rolną i ogrodową, zaprowadzają wydajniejszą hodowlę bydła, drobiu itd., piszą książki w murzyńskich dialektach, leczą najrozmaitsze niemoce, słowem europeizują, a można i trzeba powiedzieć ku naszej radości: polonizują...

Nic więc dziwnego, że ks. pref. apost. Mons. Parry, wizytator polskich placówek misyjnych z ramienia Najprz. O. Generala, zaznaczył z naciskiem w swej pożegnalnej mowie, iż będąc w wielu misjach, w żadnej nie znalazł „takiego ducha, ożywiającego misjonarzy, jak tu". Chlubne zaiste świadectwo dla synów Polski...

Owocem prac i znojów polskich misjonarzy są świetnie rozwijające się dotychczas stacje misyjne (miasteczko Brokenhill, Czikuni, Kasisi, Kapocze, Katondwe, Mpima, Pyamasi i uroczisko położone Czingombe), wraz z licznymi szkołami,¹⁾ stanowiącymi żrenicę oka Misji. Stacje te, jako ośrodki europejskiej cywilizacji i prawdziwej religii, promieniują na całą Rodezję Półn., stają się zaczątkiem wielkich *gesta Dei per Polonos* w niedalekiej może

¹⁾ Podług najnowszej (1935/36 r.) statystyki Misja rodezyjska posiada: szkół powszechnych 77, średnich 3, zawodowych 5, katechizmowych 23, katechistycznych 4, internatów 7, kościołów 6, kaplic 7 i 7 poradni lekarskich, w których udzielono ponad 33.000 pomocy. Prócz misjonarzy (kapłanów jest 14, braci zak. 17) i misjonarek (50) utrzymuje Misja 26 nauczycieli, 71 katechistów, ok. 126 chrzcicieli i chrzcicielok. Obok 300.000 pogan znajduje się na terenie misyjnym 13.000 katolików i z górą 2.000 katechumenów; protestantów liczy się na 9.000, mahometan na 100, żydów na 500.

przyszłości. Co za radość dla polskiego serca, gdy wśród afryk. dżungli rozbrzmiewa polskie imię, gdy po wzgórzach, dolinach płynie polska melodia, gdy przy drogach widnieją małe kapliczki z obrazami Częstochowskiej czy Ostrobramskiej Madonny. Istotnie — szlachetna duma winna rozpierać polską pierś na widok dzieł tych Bożych krzyżowców.

Czytając liczne listy owych pionierów z tego okresu, w których staje żywo przed oczyma ich dola i niedola, dochodzimy do identycznego niemal wniosku, do jakiego doszedł podróżujący po Afryce H. Sienkiewicz:

Misje, poza swą działalnością duchową, są potężnym czynnikiem cywilizacyjnym, podnoszą wytwórczość kraju. Co do duchowego wpływu ich na Czarnych powiem tylko to: murzyna-zwierzę zmieniają w murzyn-człowieka, posiadającego czasem bardzo wysokie przymioty społeczne... Gdzie jest misja, tam kraj wygląda inaczej: chaty są obszerniejsze, murzyn karmi się lepiej, odziewa lepiej, kultura jest wyższa, produkcja znaczniejsza. W okolicach odległych od misyj rozmaite szczepy prowadzą życie płonne, z dnia na dzień, niemal jak żerujące zwierzęta...

Ale wśród świetnych pomników religijno-cywilizacyjnej działalności sterczą też ciche, skromne mogiły. Tak wyieżająca i namiętna praca nie obejdzie się bez ofiar, i to znacznych... Niedrowy, malaryczny klimat, zwłaszcza na nizinach, częste dokuczliwe upały, chorobonośne owady i gady, a przede wszystkim złośliwa i niebezpieczna febra (*Black water fever*) oraz „zła mąka“ (*ci-ufa*), od której gniją wnętrzości — podkopują ogromnie zdrowie i zwiększają śmiertelność mieszkańców. Straszliwa *ci-ufa* powaliła prawie nagle (9 grudnia 1919 r.) O. Kraupe, a w tydzień po tym O. Bulsiewicz. Jeszcze nie oschły lica po świeżej stracie gorliwych i doświadczonych pracowników, gdy w niespełna dwa lata dowiadujemy się ze łzami o bohaterskiej śmierci i samotnym grobie pod olbrzymim baobabem zamożnego ongiś ziemianina na Pomorzu O. Felicjana Czarlińskiego T. J. (W roku 1924 przeniesiono jego szczątki do wspólnego grobowca w Katondwe.)

Zarząd osieroconej przez O. Czarlińskiego misji polskiej objął niestrudzony, o stalowym wprost zdrowiu, O. J. Spendel, którego czarni, lubujący się w nadawaniu przydomków, nazwali *Sapandula* tzn. „on się nie łamie“. Z ustaniem wojennej zawieruchy w Europie nastąpiło również wzmoczenie apostolskiej roboty na rodezyjskiej glebie. Pod dowództwem niezmordowanego O. Spendla zabrali się gorliwi misjonarze do rozszerzania i udoskonalania zaczętego i tyłu wysiłkami okupionego dzieła. Ojcowie krzątają się koło rozbudowy i reorganizacji szkół, oraz katechizacji wiernych, usiłują uporać się z trudnościami administracyjno-finansowymi, które doskonale rozwiązuje O. Karol Bert T. J., wizytator kanoniczny polskiej Misji. Bracia natomiast doprowadzają do porządku nadniszczony inwentarz misyjny, przerabiają stare a budują nowe kaplice, kościołki, domy mieszkalne, słowem zaopatrują wszelkie doczesne potrzeby Misji.

Dzieje się to w znacznym stopniu dzięki ofiarności synów nowozmartwychwstałej Polski. Odzyskanie Ojczyzny dodaje umęczonym pracownikom nowego bodźca do dalszych wysiłków; wiedzą oni bowiem, że za nimi stoi i stać będzie cała Polska, że o nich nie zapomną szczodre polskie serca.

Ale najwyższy Boski Misjonarz dla wypróbowania swych pracowników i dla większej jeszcze ich chwały i nagrody zyskał w tym przygotowawczym okresie (1920—1927) do wielkiego wydarzenia w dziejach Misji Rodezyjskiej bardzo częste i ciężkie krzyże i troski. Przeróżne klęski elementarne jak szarańcza, posucha, huragany i wichury, groźne choroby, a co za tym idzie, głód, nędza śmiertelność czarnych stanowiły dla misjonarzy istny czyściec. Mężni bohaterowie, ufni w pomoc nieba, zbierali wtenczas obfite plony Bożego posiewu. Wielokrotnieli po prostu, by nieszczęśliwym biedakom przyjść w każdej chwili z pomocą i pociechą. Ile wtedy cichych, ale heroicznych ofiar popłynęło przed tron Najwyższego z serc misjonarzy, ile też otarły, ile ran uleczyły dobrośliwe dłonie Bożych wysłanników, ile dusz nieśmiertelnych zdobyły dla nieba te płomienne wysiłki garści misjonarzy-Polaków! Oczywiście, że i środków materialnych wkrótce nie starczyło i biedni misjonarze spotkali się oko w oko z wielką naprawdę nędzą. Dopiero niezrównana energia i sprężystość wyżej wspomnianego O. Berta uwolniła znękaną Misję z licznych podatkowych i finansowych kłopotów, stawiając ją na silnych podstawach.

Nadszedł wreszcie długo oczekiwany i radosny dzień 14 lipca 1927 r., kiedy Stolica św. w nagrodę za zasługi i apostołską gorliwość usamodzielniała polską Misję. „Papież misji” wydał dekret: „odłączamy od misji zambezyjskiej terytorium Rodezji północnej i z tegoż terytorium w ten sposób wydzielonego czy poczonkowanego tworzymy nową prefekturę apostołską z nazwą *Brokenhill* i powierzamy ją polskim Ojcom Towarzystwa Jezusowego”. Pierwszym prefektem apost. zamianował Ojciec św. O. Brunona Wolnika T. J. b. rektora jezuickiego kolegium w Krakowie.

Tak — wspaniały to triumf nie tylko dla polskich jezuitów, ale także dla całego naszego narodu. Przez utworzenie tej pierwszej niezależnej misji staje się Polska krajem misjonarskim; ale musi też wziąć na siebie pewne zobowiązania moralne, musi pamiętać o tej pierworodnej placówce praktycznie i rzetelnie.

Usamodzielnienie misji nie zmieniło jednakże zasadniczego kierunku dotychczasowej działalności; należało ją tylko rozszerzyć, wzmocnić sukcesy i zabrać się do usuwania właściwych przeszkód ogólniejszej natury, które najwięcej utrudniały ewangelizację i cywilizację kraju.

Warto na tym miejscu uzmysłowić sobie w cyfrach duży misyjny dorobek polskich pracowników w Rodezji w chwili usa-

modzielnienia misji: 9 księży i 10 braci zakonnych, przy pomocy 3 zakonnic, i 61 katechistów obsługiwało 5 stacyj misyjnych, 83 szkoły ludowe, 2 szkoły katechistów, 9 kościołów i kaplic i 5 poradni lekarskich. Na 360.000 ludności katolików było wówczas 4.577, katechumenów 551 i heretyków 1.335. A więc stan zadowalający, gdy się uwzględni wśród jakich trudności znajdowała się misja od pierwszej chwili swego bytowania...

Jeszcze bardziej podziwiać trzeba te znakomite plony, gdy się zwróci uwagę na przeszkody, związane z psychą tubylców. Główną zaporę w uchrześcijanieniu Czarnych stanowi zatwardziały konserwatyzm pogański i łącząca się z tym ogromna nieufność względem Białego. Do tego zaś przyczynia się bardzo niekorzystne usposobienie naturalne murzyna, ociężałość, bierność, lenistwo, brak zamięlowania porządku i czystości, przerażający wprost materializm i zmysłowość. Co prawda, w znacznej mierze wpływa na murzyńską psychę sam klimat (gorąco, malaria) i ze wszechmiar wadliwe wychowanie oraz wielożeństwo. Dzieci — to prawdziwe dzikusy. Syn 16-letni więcej znaczy niż sama matka. Niewolnictwo kobiety jest przerażające. Córki należą wyłącznie do matek, które dowoli kojarzą „sezonowe“ małżeństwa, nawet z obcymi przechodniami. Stąd najwstrętniejsze choroby. Wyuzdane tańce, huczne pijatyki i biesiady wspólnie z sąsiednimi wioskami koronują dzieło strasznego moralnego rozpasania. Naturalnym tego wszystkiego skutkiem, to brak prawie wszelkich umysłowych zdolności. Zwłaszcza dziewczęta odznaczają się niezwykłą tępotą umysłową, bojaźliwością i zamknięciem w sobie. Poza tym jednak Bantowie — to lud łagodny, wesoły, towarzyski, muzykalny i wielce naiwny.

Ileż tu żmudnej roboty! Jakiż rozległy łan do pracy dla misjonarzy, a zwłaszcza dla misjonek, gdy chodzi o kobietę... Długo Misja Rodezyjska czekała na pomoc bohaterskich Sióstr polskich. W roku 1928 zawitały do Rodezji pierwsze cztery ss. słuźebniczki N. M. P. ze Starejwsi pod Brzozowem. Wnet po nich przybyły inne i już stale odtąd napływać będą... A ile one dotychczas zdziałały, niepodobna ująć w krótkich słowach. Pomoc ich naprawdę nieoceniona i nie do zastąpienia. Sam Bóg okaże kiedyś przed całym światem przeobfity plon zdobyczy i zasług tych wielkich Polek.

Duchowej strony murzyna nie można zrozumieć bez jego swoistej religii i zabobonów. Wierzy on wprawdzie w jednego tylko Boga, Stwórcę wszechrzeczy, w nieśmiertelność duszy, karę i nagrodę po śmierci, w istocie jednak chodzi mu raczej o cześć przodków i duchów; zwłaszcza z duchami złymi pragnie żyć w zgodzie. Moment ten wykorzystują do swych niecznych celów przeróżni czarownicy, istna plaga ogłupiałych plemion, a stąd nieraz przeszkoda nie do przebycia dla misjonarzy. Spryt tych ostatnich przyczynia się jednak skutecznie do wytępienia owych

diabelskich wysłańców. Chociaż ustrój rodowy jest patriarchalny, jednak w dużym stopniu zabarwiony jest matriarchatem. Stare kobiety mają ogromny wpływ po wioskach. Misjonarze przed rozpoczęciem pertraktacyj z wójtem wsi co do założenia szkoły muszą sobie zyskać ich przychylność. Wrodzona cześć dla matki pcha czarnego do katolicyzmu, bo tu podoba mu się kult „wielkiej Matki wielkiego Boga-Króla Chrystusa”. Drogocenny to atut dla propagandy Wiary św., którego brak bardzo odczuwają najróżnorodniejsze protestanckie sekty.

One to właśnie stanowią największy szkopuł w ewangelizacji Rodezji. Na obszarze misji 14 sekt rozwija swoją działalność. Ponieważ w nawracaniu Czarnych pierwszorzędną rolę odgrywają szkoły, a owe sekty mają ich około 500 i roztaczają nadto pieczę nad doczesną, religijną i kulturalną stroną tubylców, przeto nasi pracownicy muszą się dwoić i troić, by ich ubiec i odpowiednio osaczyć... Ałoli współczesny kryzys ekonomiczny walenie pomaga gorliwym misjonarzom do wypłenicenia i zagłady tych wilków w owczych skórach. Mamy silną nadzieję, że wkrótce wyniosą się wszyscy, gdy tylko hojne polskie serca pospieszą z wydatną pomocą. Nasi misjonarze pragną rozwinąć szkolnictwo i postawić na możliwie wysokim poziomie, zwłaszcza szkoły kształcące katechistów i nauczycieli ludowych. Przez szkoły przede wszystkim dają też upust polskości. Uczą historii i geografii polskiej, opowiadają legendy i stare nasze baśnie, starają się nawet zaszcześcić niektóre polskie zwyczaje; uczą w pierwszym rzędzie kochać dobroczynną Polskę, modlić się za nią. Piękne głosiki murzynątek roznoszą po rodezyjskich wzgórzach cudne polskie melodie...

Obok sekciarstwa rozmaitego kalibru także i komunizm wysuwa swoje macki po afrykańskie dzieci, znajdując podatny grunt w pewnego rodzaju komunalnym ustroju murzyńskiej ekonomii.

Inną niezmiernie ważną i narazie nie dającą się łatwo usunąć przeszkodą jest wielka obfitość językowych narzecz. Wynikająca stąd niemożliwość opanowania tych różnych dialektów zmusiła misjonarzy do ustanowienia jednego urzędowego języka dla całej misji (niandzia) obok kilku pobocznych (rendze, tonga, ciwemba). W tych też narzeczach z rąk misjonarzy wyszły dość liczne wartościowe publikacje.

Ale czego najwięcej potrzeba Misji rodezyjskiej oprócz pieniędzy, to nowych i gorliwych pracowników oraz ustawicznej modlitwy. Bo — jak powiada św. Paweł — *ani ten, który sieje jest czymś, ani ten, który podlewa, ale Bóg, który pomnożenie dawa* (I. Kor. 3, 7). Nie każde polskie serce zdobyć się może, zwłaszcza obecnie, na pieniężną ofiarę dla polskiej Misji w Rodezji, ale każde powinno zrobić dla niej miejsce w swym codziennym pacierzu, każde musi pamiętać o tym pierworodnym dziele Bożym, dokonywanym przez Polaków.

Wszelako nie sam czysto ideowy i bezinteresowny charakter udziału Polski w akcji misyjnej na rzecz misji rodezyjskiej stanowi zasadniczy motyw naszych dla niej ofiar i modlitw, ale cała ta akcja posiada również dla nas pewne praktyczne, doniosłe znaczenie w związku z chroniczną bolączką przeludnienia, a więc i przymusową kiedyś emigracją.

„Stoimy w przededniu wielkich ruchów ludzkości — pisze p. Jerzy Smoleński, prof. U. J.,¹⁾ które ogarną i naszą rasę. Któż może przewidzieć, dokąd się skieruje w przyszłości polska fala wychodźcza, wobec dzisiaj już stopniowo w różnych krajach wprowadzonych utrudnień emigracyjnych (Stany Zjednoczone, Kanada, Australia etc). Może będą to niewykorzystane dotychczas a sposobne dla europejskiego osadnictwa egzotyczne obszary, w których dalekie misje dzisiaj pracując, przygotowują niejako teren dla naszych potomków... Kiedyś ci może zbierać będą owoce z posiewu kultury, rzuconego przez polskich misjonarzy w daleką i obcą ziemię. Zresztą i obecnie dla osadnika polskiego lub kupca, zapędzonego na krańce cywilizacji, nieobojętną jest możliwość korzystania z kapitału zaufania, który misjonarze nasi zdobyli dla swego narodu u tubylców, z ich doświadczenia i znajomości miejscowych warunków życia i pracy... A może nasz „przemiły naród wybrany“ znalazłby tam „swój własny“ kącik?!. „Polskie misje“ (a więc i Rodezyjska), odegrać mogą rolę ognisk badawczych i nie tylko przyczynić się do wzbogacenia geografii, etnografii etc. różnych obszarów ziemi, lecz, utrzymując kontakt z instytucjami naukowymi w kraju, stać się placówkami polskiej nauki, umożliwiającymi jej objęcie nowych dziedzin pracy.

Chodzi tylko o to, by wybierających się na zagraniczne placówki misjonarzy należycie, fachowo i naukowo przygotować, ułatwić im zdobycie odpowiednich funduszy i przyborów do naukowych badań i doświadczeń... Obowiązek ten spada na całe społeczeństwo, a szczególnie na wpływowe instytucje naukowe...

Zamykając bilans srebrnego jubileuszu polskiej misji w Rodezji możemy wyrazić pełną nadzieję, iż misja ta przy poparciu naszego społeczeństwa rozwine się wspaniale ku pożytkowi dusz, chlubie Kościoła i Polski.

Ks. St. Nawrocki T. J.

Masońska filantropia.

Masoneria francuska przechodzi obecnie ciężki kryzys. Afera Stawiskiego, zobójstwo Prince'a, rozbięcie zjednoczenia narodowego, rządy Bluma i dewaluacja franka to niewygodne passywa, którymi opinia publiczna obciążyła księgi bilansowe łóż. Zwłaszcza dewaluacja franka odwróciła sympatię średnich ciułaczy od „braci sprzysiężonych“. Przeciętny bowiem Francuz względnie spokojnie będzie patrzył na politykę antypaństwową, na pogwałcenie wolności sumienia, na powolne zmniejszanie się wpływów Francji na

¹⁾ Por. *Misje Kaf.*, maj 1928, str. 207 i 208.

zewnątrz, boleśnie jednak odczuje każde uderzenie go po kieszeni i wtedy podnosi protest. A trzeba przyznać, że masonskie rządy, zwłaszcza w ostatnich czasach, trzymały bezustannie rękę w kieszeni obywatela.

Stąd też odwrócenie się społeczeństwa i protesty. Nie chodzi tutaj o metody postępowania loży, jak to było w okresie spraw Dreyfusa lub generała André; stawia się teraz pytanie, czy masoneria ma rację bytu we Francji. A więc nie neutralizacja szkodliwych wpływów ale po prostu likwidacja.

Ten nastrój społeczeństwa najbardziej zaniepokoił lożę W. Wschodu, która ma charakter wybitnie polityczny — wystawiona więc jest na wszystkie ataki z zewnątrz. To jeszcze nie jedyne jej zmartwienie — wewnętrzne stosunki przedstawiają się o wiele gorzej. Cały szereg wybitnych jednostek z Savoie'm i Lebey'em na czele odpadł i utworzył nowe ognisko o wręcz przeciwnym duchu. Kamil Savoie przed odejściem oskarżył W. Wschód o zaprzepaszczenie ideałów masonskich: idealnej wolności sumienia i przekonań, braterstwa, szeroko pojętej filantropii. Charakter wybitnie polityczny dał W. Wschodowi potęgę ale on też będzie przyczyną jego upadku. Dlatego od kilku lat konwent coroczny zastanawia się nad sprawą odzyskania popularności wśród mas. Roztrząsano już kwestię równouprawnienia kobiet i wychowania młodzieży w duchu świeckim, w tym celu by zapewnić sobie wpływ na młodsze pokolenia.

Na ostatnim (21—26 wrzesień 1936 r.) konwencie loży W. Wschodu zwrócono baczną uwagę na stosunek masonerii do filantropii.¹⁾ Dyskusje i ostra wymiana zdań po raporcie Woronowa rzucają dość dziwne światło na instytucję, która publicznie, przy każdej okazji podkreśla swój charakter filantropijny. Dr Woronow zażądał bowiem wzmocnienia akcji dobroczynnej, akcji bezinteresownej w środowiskach o różnych poglądach i przekonaniach. Ma to być powrót do pierwszej idei loż masonskich: nieść ulgę cierpiącym. Akcja ta musi być prowadzona wspólnym wysiłkiem i planowo. Woronow nakreślił więc cały program działania. Na pierwszym miejscu pomoc dla młodzieży szkolnej i poza szkolnej: stworzenie burs i nagród za najlepsze prace z dziedziny filozofii, medycyny i prawa, urządzenie kolonii wakacyjnych lub przynajmniej umożliwienie korzystania z istniejących, zakładanie świetlic, pomaganie związkom zawodowym na terenie prawnym, zaopatrzenie w lekarstwa przychodni lekarskich dla bezrobotnych itd. Jest to plan bardzo szeroki, obejmujący cały świat pracy i wszystkie jego potrzeby, chociaż nie jest on żadną nowością we Francji, gdzie związki katolickie już dawno wprowadzają go w życie. Taki program powinienby podobać się człon-

¹⁾ Cfr. J. Berteloot: *La Franc-Maçonnerie et la Philanthropie. Etudes* 20 Mars 1937.

kom instytucji rzekomo nawskróś i wyłącznie „filantropijnej“, za jaką podaje się loża. Trudność, tkwiła tylko w tym, że członkowie musieliby ponieść koszty realizacji programu. Woronow obciążył każdego członka podatkiem na cele dobroczynne w sumie 10 franków rocznie, każdy wstępujący do loży przy ceremonii wtajemniczenia na ten sam cel składałby 30 fr., podwyżka pensji członka pociągałaby za sobą podwyżkę składki rocznej z 10 fr. na 15 lub nawet 20 fr. W ten sposób całość zebranej sumy wynosiłaby 5000.000 franków rocznie. W tym miejscu zaczęły padać słowa protestu. Przede wszystkim masoni z prowincji nie mają wcale ochoty utrzymywać za swe pieniądze instytucji działającej tylko na terenie paryskiego okręgu. Tak daleko ofiarność ich sięgać nie może. Z drugiej strony — co znaczy pół miliona franków na urzeczywistnienie programu wymagającego setki milionów! Zresztą i ta suma (500.000 fr.) jest niemożliwa do zdobycia, przecież członkowie loży nie chcą nawet podtrzymywać dzieł miłosierdzia już istniejących. W roku sprawozdawczym ogół masonów francuskich wydał na cele dobroczynne oficjalne 160.000 franków. W porównaniu z 30.000.000 franków wypłaconymi na te same cele w tym samym roku przez masonerię angielską, miłosierdzie loż francuskich przedstawia się nader skromnie. Występuje więc tu w całej pełni brak ofiarności; przecież zbiórka na bezrobotnych masonów urządzona wśród wszystkich loż dała tylko 3000 franków. Wobec takiego nastroju projekt Woronowa musiał upaść. Ale też padły gorzkie słowa projektodawcy: „W zasadzie wy wszyscy jesteście filantropami, wspaniałomyślnymi ludźmi szerokiego serca, ale, gdy was się prosi o 10 franków, by prowadzić wspólnie dzieło filantropii, wtedy nie ma z was nikogo“.

Projekt oczywiście upadł. Postanowiono za to zwrócić uwagę na istniejące już dzieła miłosierdzia o charakterze masońskim. Zacząć najpierw od swoich, a tych jest tylu, że każdy członek loży może znaleźć dosyć sposobności, by okazać całą pełnię dobrego serca cierpiącym. Każdy mason niech prowadzi indywidualną akcję miłosierdzia w swoim otoczeniu, będzie to najlepszą reklamą dla loży. Akcja więc osobista, bo na zbiorową nie ma środków. „Jeżeli chodzi o środki pieniężne, to na tym polu z klerykałami walczyć nie możemy“ (Sprawozd. str. 195). Zapomniano dodać w sprawozdaniu, że ofiarność klerykałów jest większa, że ich dzieła powstają naprawdę z wdowiego grosza, że składki członkowskie nie idą na zdobywanie wpływów politycznych.

Pracować indywidualnie to jeszcze nie dosyć, członek loży powinien wejść do wszystkich publicznych dzieł miłosierdzia oczywiście w roli nadrzędnej. Dlatego loże poszczególne powinny przestudiować kwestie socjalne odnośnie do swego terenu działania, i na tym terenie przez akcję miłosierdzia szerzyć swe zasady. O jakie zasady i o jaką działalność tutaj chodzi, katolicy francuscy dobrze wiedzą.

W ten sposób, idealistycznie pojęty projekt Woronowa o niesieniu wszystkim pomocy bez różnicy przekonań przekształcił się w toku dyskusji w nowe metody rozszerzania masonskich wpływów i naprawienia mocno nadszarpniętej reputacji. Bo właściwie stało na tym, by tanim kosztem, dysponując funduszem publicznym uprawiać filantropię, mającą za cel zjednanie mas, związanie ich z politykami W. Wschodu. Będzie to więc filantropia — reklama; reklama dość krzykliwa jak na instytucję działającą zwykle dyskretnie. By tę reklamę usprawiedliwić wobec niechętnych wszelkim występowaniom na zewnątrz, wskazano na wielkie niebezpieczeństwo ze strony Kościoła katolickiego, który rozwija olbrzymią i owocną działalność wśród ludzi pozostających jeszcze niedawno pod wpływem łoży.

W. Wschód nie skorzystał więc z bolesnej lekcji ostatnich lat. Błędy w dziedzinie polityki chce naprawić dość łatwą filantropią, a zaniedbanie na polu dobroczynności polityką.

Ks. Bronisław Wójcik T. J.

Rola policji kobiecej w Polsce.

Stany Zjednoczone wpadły pierwsze na ideę uformowania oddziałów policji kobiecej. W roku 1880 powierzono tam kilku kobietom - policjantkom dział opieki nad dziećmi i młodzieżą. Z biegiem lat praca ich okazała się tak pożyteczną, wprost niezbędną w akcji sanitarnej, obyczajowej, antyalkoholowej itp., że kadry policji kobiecej rosły w iście amerykańskim tempie. Dziś istnieją one w stu kilkudziesięciu miastach USA i posiadają bodaj najlepszą organizację na świecie.

Śladem Ameryki poszła Anglia, gdzie podczas wielkiej wojny policjantki umundurowane pilnowały obyczajności na ulicach Londynu i sprawowały opiekę nad dziećmi objawiającymi skłonności zbrodnicze.

Zapoczątkowana przez konwencje genewskie z lat 1904 i 1910 praca w kierunku międzynarodowego zwalczania znakomicie zakonspirowanego i szeroko rozgałęzionego handlu kobietami i dziećmi, ustalała w czasie wojny światowej zupełnie. Dopiero po wojnie, a to w r. 1921 szereg państw należących do Ligi Narodów zawarło nową umowę międzynarodową, w wyniku której państwa te formowały policje kobiece. U nas powstał „Polski Komitet walki z handlem kobietami i dziećmi“, złożony z przedstawicieli organizacji społecznych, interesujących się tą sprawą. Komitet ten działający jako ekspozytura Komitetu Międzynarodowego zwalczania handlu kobietami i dziećmi, zorganizował w większych miastach Polski szereg misyj dworcowych, których zada-

niem jest opieka nad młodą kobietą podróżującą koleją, a więc na terenie, gdzie najchętniej grasują stręczyciele do nierządu.

Jak wiadomo, kraj nasz o dużej sfośunkowo emigracji — i to emigracji stałej oraz sezonowej, wyniszczony kilkuletnimi działaniami wojennymi, stał się po wojnie szczególnie podatny i wygodny dla machinacji handlarzy żywym towarem i ich agentów. Osobnicy ci są tym bardziej niebezpieczni, gdyż przy sposobności uprawiania swego obydneĝo procederu, zajmują się kontrabandą, szpiegostwem, paserstwem, fałszerstwem pieniędzy itp. W tym stanie rzeczy Rząd Polski szukając skutecznych środków w kierunku zwalczania tych bolączek społecznych, zarządził na wniosek Komitetu organizację oddziałów kobiecej policji obyczajowej. Pierwszy kurs dla wyszkolenia 29 policjantek zorganizowany został dnia 15 kwietnia 1925 r., a po ukończeniu kursu wyszkolone policjantki zaczęły pełnić normalną służbę policyjną w różnych miastach kraju.

Ofiarna ich i owocna praca wywołała uznanie i sympatie społeczeństwa, które zrozumiało doniosłość roli, jaką odgrywa policjantka polska, strażniczka dobrych obyczajów i moralności, obrończyni przed wszelką krzywdą moralną i złem. Wobec tego Komenda Główna P. P. zarządziła powiększenie szczupłej kadry policji kobiecej. Następne kursy przygotowały do służby cały zastęp szermierek chroniących kobietę przed niebezpieczeństwem moralnym i prowadzących walkę nieubłaganą z handlarzami żywym towarem i sutenierami, tymi wrzodami społeczeństwa. Wykształcenie policjantek jest przeważnie średnie. Na kursach policyjnych, trwających przeciętnie trzy i pół miesiąca, studiują cały szereg przedmiotów, jak np. prawo karne, prawo państwowe i administracyjne, higienę i ratownictwo, walkę z alkoholizmem, prawodawstwo w zakresie przestępców nieletnich, opiekę nad więźniami, opiekę społeczną, ochronę pracy kobiet oraz małoletnich. Po ukończeniu kursów odbywają adeptki jednomiesięczną praktykę w Urzędzie śledczym miasta Warszawy, po czym dopiero otrzymują właściwe przydziały w większych miastach. Czas służby jest ośmiogodzinny, jak i w policji męskiej, z tym jednak, że w razie potrzeby służba trwać może całą dobę. W chwili obecnej posiadamy na terenie Rzeczypospolitej 148 policjantek-kobiet.

Policjantki dzielą się na nieumundurowane i umundurowane. Pierwsze wchodzą w skład tzw. „brygad kryminalnych” i spełniają czynności w zakresie obyczajowym. W szczególności należy do nich walka z handlem kobietami i dziećmi, stręczycielstwem do nierządu i w ogóle z przestępstwami na podłożu obyczajowym. Uprawnione są do sprawdzania podejrzanych lokali, mieszkań i ośrodków dużych skupień ludzkich, gdzie należy przewidywać możliwość istnienia warunków demoralizacji. Mają prawo zatrzymywać tylko dzieci, młodzież i kobiety, o ile zaś charakter sprawy wymagałby również zatrzymania mężczyzny,

czy kobiety zostającej pod opieką mężczyzny, zwraca się policjantka o pomoc do najbliższego posterunku policji mundurowej lub śledczej. Policjantek nieumundurowanych jest w chwili obecnej 92 i pracują one w 10 większych miastach Rzeczypospolitej: w Warszawie, Łodzi, Wilnie, Poznaniu, Krakowie, Gdyni, Lwowie, Stanisławowie, Lublinie i w Włocławku.

Do obowiązków policji kobiecej mundurowej należy oprócz zadań powyższych również interwencja w stosunku do nieletnich z tytułu ich przestępczości, następnie praca zapobiegawcza i opieka nad dziećmi zaniedbanymi. Patrolują tedy policjantki umundurowane i obserwują miasto i przedmieścia szczególnie w tych punktach, gdzie kronika policyjna wykazuje niebezpieczeństwo destrukcyjnego działania otoczenia na stan moralny dzieci, młodzieży i kobiet. Spotkać tedy można owe opiekunki nad dzieckiem ulicy w parkach, ogrodach publicznych, na dworcach kolejowych, autobusowych, na terenach w pobliżu szkół i zakładów naukowych, na miejscach zabaw i widowisk publicznych, odbywających się pod gołym niebem. Dzieci zatrzymane za żebranie, dzieci porzucone i zagubione, oraz małoletnich złodzieiów doprowadzają nie do komisariatów, gdzie stykaliby się z wytrawnymi przestępcami, lecz do tzw. „izb zatrzymań” przeznaczonych wyłącznie dla nieletnich. Opiekę nad dziećmi sprawują tutaj policjantki i fachowe wychowawczynie. Są tu osobne sale dla dziewcząt i chłopców, którzy słuchają specjalnie dobranych pogadanek i zostają wciągnięci w akcję pedagogiczną i umoralniającą. Z „izby zatrzymań” kieruje się dzieci do sądów dla nieletnich, do zakładów poprawczych, do rodzin, opiekunów lub organizacji opieki społecznej. Teren izby stał się wdzięcznym polem pracy polskich policjantek ku pożytkowi kraju i społeczeństwa. „Izby zatrzymań” zorganizowano dotychczas tylko w czterech miastach, mianowicie w Warszawie, Łodzi, Wilnie i Lwowie, dlatego też tylko w tych miastach pracuje mundurowa policja kobieca w składzie 56 osób.

Polski Komitet walki z handlem kobietami i dziećmi podkreśla w swym rocznym sprawozdaniu z wielkim uznaniem rolę policji kobiecej w akcji zwalczania w Polsce handlu żywym towarem. Hasło walki z powyższym handlem oraz nierzędem utraciło u nas w znacznym stopniu swój charakter „spraw drażliwych”. Dowodzą tego coraz częściej ukazujące się odpowiednie artykuły w prasie. Zwiększa się nieustannie liczba organizacji, które zgłosiły swój akces do Komitetu, wzrosło zainteresowanie dla zagadnień Komitetu wśród kół prawniczych, lekarskich i duchowieństwa, którego przedstawiciele nie wahają się obecnie poruszać na odczytach publicznych kwestyj dotąd unikanych. Coraz częstszym staje się również dodatnie a tak doniosłe zjawisko: zgłaszania przez osoby prywatne spraw, które, jak podejrzewają, mogą mieć związek ze stręceniem do nierzędu lub handlu dziewczętami. —

Zwiększył się wreszcie zakres działania misyj dworcowych, które obecnie nie ograniczają się do opieki i pomocy, udzielanej młodym podróżującym kobietom, ale starają się wyszukiwać jeszcze doraźniejsze sposoby zapobiegania krzewienia się nierzędu przez zakładanie świetlic, urządzenie pogadek i odczytów, otwieranie własnych biur pośrednictwa pracy i organizowanie schronisk-zakładów wychowawczo-poprawczych dla moralnie zaniedbanych. Współpraca społeczeństwa z Komitetem, a Komitetu z ofiarną służbą kobiecej policji wydawać będzie bez wątpienia jak najbardziej dodatnie wyniki.

Jan Wierzbówka.

NACZELNY REDAKTOR: *KS. EDWARD KOSIBOWICZ T. J.*

Druk ukończono dnia 30 kwietnia 1937 r.

Moralność seksualna dzisiejszej młodzieży szkolnej.

Sygnalizowanie niebezpieczeństwa grożącego społeczeństwu wskutek niskiego poziomu etycznego współczesnej młodzieży, szczególnie na punkcie seksualnym, jest zjawiskiem tak charakterystycznym, że już sama liczba tych sygnałów, i to pochodząca od ludzi spokojnych i zrównoważonych, powinna zwrócić na siebie uwagę i zmusić do szukania przyczyn i środków zaradczych. Nie myślimy o wielu procesach fizjologicznych w naszym organizmie, jak długo odbywają się normalnie; ból jednak i niedyspozycje zmuszają do zastanowienia się i uwagi. Czyż nie jest znakiem czasu i procesu nienormalnego ta już rzecz można powódź literatury seksuologicznej we wszystkich prawie językach? Owo gorączkowe poszukiwanie środków zaradczych jest znakiem, że życie na tym odcinku szwankuje. Literatury Zachodu rozporządzają w odniesieniu do smutnych zjawisk nadużyć seksualnych wśród młodzieży szkolnej wielkim i dokładnym materiałem statystycznym, tak że już nie same ogólnikowe obserwacje, które możnaby tłumaczyć ujemnie czy dodatnio zależnie od tego, czy ktoś patrzy na życie bardziej czarno czy różowo, są materiałem dowodowym, ale ściśle dane prowadzone z roku na rok, notowane skrupulatnie i drobiazgowo. Nie można się też dziwić, że wobec braku dokładnych wykazów, służących jako punkt wyjścia do porównania, czy dawniej było pod tym względem lepiej czy tak samo jak dziś, mógł jeden z wychowawców zakwestionować pesymistyczne narzekanie na dzisiejszą młodzież szkolną i rzucić pytanie, czy „naprawdę młodzież dzisiejsza jest gorsza od

dawniejszej".¹⁾ Na pewne dane z życia dzisiejszego odpowiedział innymi z ubiegłej przeszłości, ale niestety tych kilka przykładów i historycznych dokumentów nie są przekonującym dowodem, albowiem brak jest dla wyciągnięcia ostatecznych wniosków dokładnych cyfr z szeregu lat i dat nie wyrwanych urywkowo, lecz dających obraz dokładny. Dlatego to właśnie możliwe są głosy dość skrajnie optymistyczne i przesadnie pesymistyczne, zależnie od osobistych spostrzeżeń.

Pytanie jednak nie brzmi, czy dzisiejsza młodzież jest lepszą od dawniejszej, i na razie, póki brak jest dokładnych danych statystycznych, szkoda się nim zajmować. Nam chodzi o pytanie inne, życiowo ważniejsze, czy mianowicie obecny stan etyczny na punkcie seksualnym jest czy nie zadowalający, czy nie ma powodów do obaw i sygnalizowania poważnego niebezpieczeństwa. Porównać tedy należy nie stan obecny z uprzednim lecz stan obecny, z tym co powinno być, czego wymaga od młodego pokolenia przyszłość narodu i państwa, a nasze uwagi i zastanawianie się nad tym zagadnieniem nie mogą przybrać w żadnym wypadku charakteru starczego krakania, lecz winny być wyrazem serdecznej troski i tej świadomości, że wychowawcy młodego pokolenia są w najwyższym stopniu odpowiedzialni za najbliższą przyszłość Polski. A jak ta rzeczywistość obecna wygląda oglądana trzeźwo i spokojnie? Podsumujmy najpierw fakty wszystkim znane.

Komendant główny policji państwowej gen. Kordian Zamorski, wychodząc z założenia, że wybitna troska o zdrowie moralne i fizyczne młodzieży jest naczelnym obowiązkiem nie tylko władz szkolnych lecz całego społeczeństwa, a tym więcej organów powołanych przez przepisy prawne na stróżów moralności publicznej, nakazał otoczenie młodzieży szczególniejszą opieką. Ustalono bowiem, że młodzież wążająca się na ulicach, w parkach i w ogrodach publicznych zaczepia często publiczność, a zwłaszcza młode dziewczęta, wystaje przed budynkami wieczorowych szkół żeńskich i zaczepia wychodzące z nich uczennice, skupia się pod publicz-

¹⁾ Czas 21 lutego 1937 artykuł prof. Dra J. Reissa.

nymi lokalami rozrywkowymi, do których wstęp młodzieży jest wzbroniony. Nierzadko spotyka się młodzież szkolną męską w mundurkach szkolnych w towarzystwie kobiet lekkich obyczajów i w lokalach publicznych i to w czasie nauki szkolnej. Wskutek tego — jak wiadomo — poleciła Główna Komenda Policji Państwowej organom policyjnym nadzór nad tymi lokalami, w szczególności nad kioskami, które trudnią się bardzo często dostarczaniem młodzieży szkolnej filmówek pornograficznych, różnych broszurek i ulotek treści niemoralnej.¹⁾ Gdybyż przynajmniej chciano przeprowadzić ustawę o pornografii i uniemożliwić żerowanie na najniższych instynktach przez tych, którzy dla zarobku nie chcą widzieć wszystkich tragicznych następstw brudnego interesu!

W dzienniku urzędowym (31. X. 1936) Kuratorium Okręgu szkolnego krakowskiego, w dziale nieurzędowym, ukazał się znamienity artykuł wizytatora Włodzimierza Gałęckiego pt. „Młodzież w niebezpieczeństwie“, który rzucił światło na moralność dzisiejszej młodzieży szkolnej i to na podstawie danych ścisłych, jakie w swym ręku posiada Kuratorium. Dowiadujemy się z tego artykułu nie tylko o kradzieżach, niekulturalnym zachowaniu się młodzieży, ale też o tym, że zarówno chłopcy jak dziewczęta żyją pełnią życia płciowego przedwcześnie, ponosząc smutne konsekwencje tego zjawiska. Okazuje się, że w Województwie Krakowskim (bez miasta Krakowa) stwierdzono 90 wypadków przerwania ciąży u uczennic szkół powszechnych i średnich w wieku 14—18 lat, 200 wypadków chorób wenerycznych. A należałoby liczby te pomnożyć przez dziesięć dla uzyskania stanu faktycznego, gdyż zaledwie dziesiąta część podobnych wykroczeń dochodzi do wiadomości władz szkolnych. A jak wyglądałyby te cyfry, gdyby statystyką młodocianych przestępców chciało się objąć także i Kraków; trudno zaś przypuścić, że właśnie Kraków a nie inne miasta i okręgi szkolne Polski wykazuje tak ponure cyfry.

Dla uzupełnienia tych danych wartoby spróbować niepostrzeżenie jechać pociągami podmiejskimi razem z wraca-

¹⁾ *Gazeta Polska* nr 357, 23 XII. 1936.

jącą do domów młodzieżą szkolną po ukończeniu nauki. Często odnosi się wrażenie, że to jedzie nie młodzież kształcąca się w szkołach, ale zepsuci ulicznicy, takie słowa ordynarne i wprost nieobyczajne padają z młodych ust. Znane mi są liczne bardzo listy chłopców 12—13 letnich czy to skierowane do dziewcząt w równym wieku czy wymieniane między sobą, których bez prawdziwego obrzydzenia czytać nie można. Nierzadkie też są wypadki, zwłaszcza na przedmieściach, prostytutki uprawianej przez dziewczęta w dość wczesnym okresie szkolnym, z czego korzystają bynajmniej nie tylko starsi, ale także młodzież szkolna. Nierząd zamknięty dawniej w specjalnych lokalach miał bądź co bądź utrudnione zadanie; trzeba było albo uwiedzenia przez kolegów zepsutych albo stanu nietrzeźwości, by młody człowiek zechciał korzystać z tych miejsc. Obecnie nie ma ulicy, by nie było otwartych zaczepek, których ofiarą padają zazwyczaj naiwni młodzi ludzie.

Jeśli onanizm oceniałem jeszcze w roku 1920 w wysokości circa 30% w klasach starszych, obecnie cyfra ta co najmniej się podwoiła; nie mówię już o zboczeniach, których wypadki dawniej były bardzo sporadyczne, obecnie zaś wzrastają z roku na rok z zastraszającą szybkością. Wystarczy także przysłuchać się i przypatrzeć, jak się odnosi młodzież, jasna rzecz nie wszystka, ale znaczna jej część do kobiet w ogóle. To już nie koleżeński, pełen szacunku i rycerskości stosunek; wypadki brutalności, ordynarnych zaczepek, wyrazów nie dających się powtórzyć, rozmów cynicznych w zakamarkach ulic, czy zaułkach parków mnożą się tak, że jednak myślący człowiek musi się nad tymi faktami zastanowić i poszukać ich właściwej przyczyny.

Obraz tak czarno namalowany byłby z pewnością nieprawdziwy, gdybyśmy nie chcieli widzieć, czy pominęli zdrowe objawy życia czystego i pełnego młodzieńczego zapału i idealizmu u wielkiej bardzo części naszej młodzieży. Słusznie mówi Mickiewicz w „Księgach pielgrzymstwa polskiego“, że mądry człowiek widzi w obrazie mistrza przede wszystkim wartości dodatnie a po tym plamy, głupi natomiast dostrzeże najpierw plamę jako rzucającą się w oczy. Chodzi nam tylko o to, by proces zapsucia zatrzymać i by

procent ginących wydatnie zmniejszyć, albowiem dla nas każdy człowiek to nie tylko pewien numer w masie ale osobowość o wielkiej wartości i wysokim przeznaczeniu.

Nie ulega jednak wątpliwości, że zwłaszcza w miastach dość znaczny odłam młodzieży szkolnej bierze aktywny udział w życiu seksualnym a w postawie zasadniczej tej młodzieży przebija się jaskrawie przedwczesna dojrzałość, zmysłowość, żądza sensacji i brak szacunku.

Za drem Ninckiem¹⁾ możemy podzielić z punktu widzenia seksualnego dzisiejszą młodzież na trzy grupy: pierwsza grupa popędowców, którzy bez żadnych zresztą głębszych refleksyj, bronią nieograniczonej swobody wyżywiania się, które uważają za tak naturalne jak funkcję odżywiania się. Tacy nie bardzo wierzą w wstrzemięźliwość płciową i uważają ją za obłudę. Skutki takiego wyżywiania się przyjmowane bywają całkiem bezceremonialnie. Czternastoletki zabierają na spacer środki antykoncepcyjne, a gdy, jak się wyrażają, stanie się nieszczęście, nie cofają się przed odpowiednim zabiegiem. Choroby weneryczne traktuje się w tych kołach jako zło konieczne.

Rozumowanie takie jest oczywiście prostym następstwem materializmu i jego konieczną konsekwencją, którą na szczęście nie wszyscy wyciągają. Jeśli jest bowiem prawdą, że człowiek składa się tylko z materii, wtedy prymat ciała i jego popędów jest czymś samym przez się zrozumiałym i uzasadnionym. Wtedy prawa ciała tak głośno proklamowane i rachunkowe, ekonomiczne kalkulacje w sprawach seksualnych też są koniecznym tej zasady wnioskiem. Jeśli człowiek, jak głosi atomistyczna filozofia, jest wiązką nici, które nie mają spójni ducha nieśmiertelnego, wtedy można każdą z tych nici osobno traktować, a nie zajmować się całością organiczną, w tym wypadku stosunkiem celowym instynktu seksualnego do całości w człowieku i w ludzkości. A jeśli wszystko jest względne i zależne od czasu i okoliczności, wtedy nie ma ponadczasowych, absolutnych norm i nie można się dziwić, że filozofia kultury podana przez takich uczonych, jak Th. Litt, Ed. Spranger i J. Kerschen-

¹⁾ *Schweizer Erziehung-Rundschau* 1935, zeszyt październikowy.

steiner nie posiada ani wartości ani norm ostatecznych. Etyka będzie czymś doraźnym, zmiennym, bez dostatecznej sankcji i bez niewzruszonego oparcia. Na polu seksualnym będziemy mówić tylko o higienie seksualnej ale nie o etyce. Każde zaspokojenie instynktu będzie uważane za potrzebę naturalną, a tylko prawne dobro innych może być pewnym hamulcem. Ten też punkt widzenia obrało ustawodawstwo sowieckie konsekwentnie do założeń materialistycznych. Dodajmy do tego kanon Rousseau'a, że natura ludzka jest całkowicie dobra i niczym nieskażona, a wtedy nauka św. Pawła, że nosimy nasze skarby duchowe w naczyniach glinianych i kruchych, i że wskutek tego nakazana jest pewna ostrożność, wyda się głupstwem i śmiesznością. Wiele ze zjawisk obserwowanych u naszej dzisiejszej młodzieży, która nie chce znać żadnych ograniczeń i ostrożności, jest tylko konsekwentną realizacją zasad Rousseau'a.

Druga grupa — to kompromisowcy, którzy dążą do syntezy popędu z duchem i nie aprobują ani abstynencji ani zupełnego wyżywiania się. Odrzucając stałe stosunki seksualne wśród młodzieży, a uznając istnienie ludzi absolutnie czystych, sądzą, że są to albo idealisci, którzy poświęcają swe siły dla swego ideału, albo tchórze, którzy zostali czystymi z obawy przed konsekwencjami.

Wreszcie trzecia grupa, to abstynenci, którzy zgodnie z założeniami religijnymi uważają, że czynne życie płciowe jest rezerwatem rodziny i małżeństwa, nosi na sobie charakter społeczny i jest funkcją gatunkową przede wszystkim, związaną istotnie z przekazywaniem życia, a nie funkcją indywidualną tylko i że wskutek słabej postawy ducha wobec popędów, w czym się objawiają skutki upadku pierwotnego, należy zachować ostrożność, walczyć o prymat ducha i nałożyć sobie pewne hamulce.

Ideowo można podzielić już nie młodzież ale głównie zasady na których opiera się jej wychowanie na trzy główne grupy.

Pierwszą stanowi optymizm pedagogiczny, idący od pelagianizmu w czasach św. Augustyna, przez Rousseau'a aż do Ellen Key, Tołstoja, Russela z całą tzw. negatywną teorią wychowania. Głosi ona wolność seksualną a uznaje je-

dynie ograniczenia higieniczne, społeczne i utylitarne. Ale owa „dobra wola“, na której buduje pedagogiczny optymizm, została mocno podważona przez argumenty Sergiusza Hessena, Kerschensteinera i Foerstera. Niewątpliwie utopie przesadnego uświadamiania płciowego, konsekwentnej koedukacji, kultu nagości tu mają swe ideowe źródła. Pod słowem naturalizm, którym te kierunki starają się swe tezy uzasadnić, kryje się właściwie w tej czy innej formie materializm, ponieważ identyfikuje zazwyczaj naturę ludzką z ciałem człowieka i jego funkcjami, z czego płynie konsekwentny wniosek, że co pochodzi z tego ciała jako jego popęd, jest dla całości człowieka naturalne a więc i dobre.

Drugi ekstrem stanowią protestantyzm i jansenizm. Pedagogia ich opiera się na tezie, iż wskutek grzechu pierworodnego nastąpiło całkowite zniszczenie i zepsucie ludzkiej natury. Następstwem tej nauki jest pesymizm odnośnie do człowieka, identyfikowanie grzechu pierworodnego ze złymi popędami zwłaszcza w dziedzinie seksualnej, tak że wielu wyznawców tego pesymizmu skłania się do utożsamiania grzechu w ogóle z grzechami nieczystymi. Z pesymizmu płynie dalej rygoryzm, a co za tym idzie obłuda i pruderia, która sprawy naturalne i przez się moralnie obojętne pokrywa płaszczem niewiedomości a nawet wzdargy. Najfałszywiej w niektórych kołach usiłuje się ten kierunek podsuwać etyce i pedagogice stojącej na gruncie zasad katolickich.

Katolicki trzeźwy uniwersalizm, jako trzecia możliwość, nie jest bynajmniej tych ekstremów wypadkową czy kompromisem, ponieważ nie może zrodzić się prawda ze złożenia dwóch błędów. Grzech pierworodny nie jest identyczny z seksualizmem, ponieważ jest sprawą czysto duchową i do tego nadprzyrodzoną w swej istocie. Natura ludzka przez grzech pierworodny nie została bynajmniej zmieniona w swojej istocie, straciła tylko podpory nadprzyrodzone, które tę naturę wynosiły ponad jej przyrodzone prawa oraz właściwości. Nie ma więc żadnych moralnie nieczystych części ciała, a nadużycia płyną jedynie wskutek dobrowolnego nieprzytrzymania się reguł rozumu i ducha, wskutek podporządkowania duszy instynktom czy zachciankom ciała. Hamulce seksualne podyktowane są celowością popędu płciowego

i słabością ducha wobec potęg cielesnych, co nakazuje pewną ostrożność w formie rozumnie utrzymanego wstydu seksualnego. Osobowość moralna nie jest więc czymś danym przez naturę, ale zamierzonym celem oddziaływań pedagogicznych i wysiłków samowychowawczych.

Na rozwój liberalizmu płciowego wpłynął też w nie-małym stopniu determinizm w swych następstwach praktycznych. Wszak po porażce, po czynie moralnie złym tak łatwo jest o usprawiedliwienie samego siebie paralogizmem, że się inaczej nie mogło postąpić, gdyż czyn był następstwem naturalnych sił i instynktów, wobec których człowiek jest właściwie nie kierownikiem lecz wykonawcą ich żądań. Zaś przed czynem złym, gdy pokusy uderzają silnie, jawi się tak łatwa wymówka, by nie podjąć walki z popędami, albowiem, cokolwiek się stanie i tak stać się musi, a nasza osobista odpowiedzialność będzie tylko nazwą bez istotnej treści.

Słusznie powiedział słynny konwertyta duński Joergensen („Prawda życia i kłamstwo życia”), że podstawą moralności jest prawda, czyli dobra teoria moralności. Prawda nie jest martwą jakąś teorią, którą tak albo inaczej wytłumaczyć można, ale faktem żywym. Jest bowiem rezultatem zgodności naszego ducha z rzeczywistością. Jeżeli na dnie ukrywała się fałszywa norma, to sam fakt istnienia rzeczy przekona nas o jej fałszywości. Wyobraź sobie — mówi dalej — że ogień nie pali, że stąpasz po wodzie jak po ziemi stałej. Odrazu musisz poznać, że się nie stosujesz do rzeczywistości. Wnet fakty cię oświecą, że nie ty prawdę, ale prawda ma ciebie w ręku. Jeżeli tak możemy twierdzić o prawdzie w dziedzinie fizyki, to jeszcze słuszniej można podtrzymać to twierdzenie w dziedzinie prawdy moralnej. Prawda ta bowiem jest miarą, wedle której człowiek żyje, jest teorią dobrej praktyki. Odwróciwszy to twierdzenie, przekonamy się, że moralne kłamstwo jest teorią złej praktyki, która zamiast ożywiać, zabija. Stąd też wchodzi się w zaczarowane koło złudnego moralnie subiektywizmu, który jest wyrażony tak wspaniale u Makbeta: *fair is foul and foul is fair*, dobre jest niegodziwością a niegodziwość jest dobra, czyli kompletny sceptycyzm. Dlatego też cnota wy-

daje się sceptykowi brzydką i „jak liście jesienne zwiedłą i gnijącą, a zło najpiękniejszym kwiatem wiecznie zielonego drzewa”.

Centralna myśl chrześcijańska w sprawie seksualnej o absolutnej abstynencji pozamałżeńskiej wychodzi z zasady, że prawa są w naturze rzeczy i my nie możemy ich zmieniać. Można np. budować dom dowoli, ale w każdym planie punkt równowagi ściany musi być na swoim miejscu. W czynnościach ludzkich wrażenie przyjemne czy nieprzyjemne jest tylko sygnałem ostrzegawczym lub pobudką, natomiast moralność zależy od porządku i udoskonalenia całego człowieka. Także i w sferze seksualnej jest człowiek odbiciem Bożej mądrości i twórczości. Mężczyzna i kobieta są nimi nie tylko dla siebie ale i dla całej ludzkości a osobista przyjemność jest zjawiskiem wtórnym; bo i po co przyroda tworzyłaby cały tak skomplikowany aparat biologiczny? Czyżby po to, by jednostce przysporzyć trochę przyjemności, a drugorzędnym dopiero skutkiem miałyby być dziecko noszone w bólach przez szereg miesięcy? Jest rzeczą oczywistą, iż czynności wspólne ludziom ze zwierzętami mają być wykonywane w sposób wyższy, w którym wartości duchowe mają pierwszeństwo. Wszak sam Stwórca wprzągnął w popędy ludzkiego ciała te niezgłębione siły duchowe, wskutek których popędy te nabierają tak potężnej dynamiki, której nie posiadałyby same z siebie. To też z chwilą gdy człowiek w popędzie płciowym widzi jedynie czysto zwierzęcy proces biologiczny, obliczony na indywidualną przyjemność — burzy tym samym porządek natury i cierpi na ten tragiczny niedosyt nie obserwowany zupełnie w świecie zwierzęcym. Popędu płciowego u człowieka nie można wyjaławiać z jego wartości duchowych. Dlatego też etyka chrześcijańska domaga się stanowczej wstrzemięźliwości przed i poza małżeńskiej, bo najwewnętrzniejszym celem seksualizmu jest przekazywanie życia, którego nie wolno wyłączać przez pozytywne przeciwdziałanie prawom natury. Stąd głoszona musi być zasada prawdziwego szacunku przed tajemnicą życia, wobec własnego i cudzego ciała. Nie ciało i jego funkcje są czymś nieczystym, lecz tylko i wyłącznie nadużywanie popędu w słowie, myśli i czynie.

Niesłusznie wyraził się Nietzsche, że chrześcijaństwo dało Erosowi truciznę za napój i Eros prawdzie nie umarł z niej, ale się wyrodził na zbrodniarza (Werke 8. s. 168). Nietzsche przypisuje chrześcijaństwu to, co raczej należy przypisać dualistycznym sektom starochrześcijańskiego okresu, głoszącym, jak wiadomo, pogardę ciała i płci. Chrześcijaństwo nie buduje też na kategoriycznym imperatywie Kanta: „możesz, więc powinieś”, gdyż owe powinieś jest częstokroć dla wielu moralną niemożebnością, ale buduje na dobrze pojętej naturze, nad którą góruje dewiza: „możesz przez łaskę, więc powinieś”.

Miejmy tedy odwagę postawić cały i nieokaleczony nakaz moralności przed duszą młodzieży, albowiem dziełnie i kompromisy nic tu nie pomogą i nie zdołają obudzić zdrowego i pełnego idealizmu! Strona seksualna w człowieku nie jest jakąś wyodrębnioną sferą, którą można traktować całkiem odrębnie, jak w ogóle takiej izolacji w żywym organizmie nie ma. Stąd wychowanie seksualne jest wychowaniem całego człowieka a nie tylko sfery samej rozumowej przez uświadamianie; na tym też stanowisku stanął kongres wiedzy seksualnej z roku 1926, złożony z psychologów, pedagogów i lekarzy całego świata. Zdaniem ogólnym, wychowanie w tej dziedzinie nie powinno zmierzać do pouczenia jedynie intelektualnego, ale także i przede wszystkim do kształtowania woli oraz zmysłu społecznego. Wspomniany dr Ninck powiedział też, że nie chodzi tu i nie może chodzić o wskazówki anatomiczne, lecz o moralny światopogląd, oparty na poczuciu odpowiedzialności, posłuszeństwa i szacunku, co jest możliwe tylko przez religijne wychowanie (l. c.).

Zerwać więc należy z zakorzenionym przesądem, jakoby czystość ujemnie wpływała na zdrowie i gromadziła kompleksy psychopatyczne, a natomiast popęd seksualny był spotęgowaną wolą życia, wedle wyrażenia Bebla.¹⁾ Nawet Forel twierdzi, że przesadzono w sposób śmieszny ujemne strony wstrzemięźliwości, albowiem „w normalnych warunkach jest ona, jakkolwiek nie bez trudu, osiągalną dla oby-

¹⁾ *Die Frau und der Sozialismus*. Stuttgart 1891, str. 72.

dwu płci i, jak wyraził się medyczny fakultet z Chrystianii (dziś Oslo), zauważono choroby wskutek ekscesów seksualnych, ale wcale nie stwierdzono chorób, wynikłych ze wstrzemięźliwości płciowej¹⁾ Słynny psychiatra Krafft-Ebbing powiada: „ludzie przeważnie mogą poskromić swe namiętności, a konieczną jest rzeczą, by człowiek inteligentny formował w sobie zasady idące w kierunku powściągnięcia podnieć seksualnych”.²⁾ Dr Fonsegrives twierdzi słusznie, że łatwo jest zachować czystość nienaruszoną, o wiele zaś trudniej odzyskaną. „Głosi się niepokonalność instynktu płciowego w imię psychologii zwierząt, a nie w imię cywilizowanego człowieka”, powiedział inny lekarz dr Feré.³⁾ Znany muzyk Mozart mógł o sobie napisać w 25 roku życia: „natura mówi tak samo donośnym głosem we mnie, jak i w każdym innym, a może we mnie silniej niż w człowieku prostym i nieokrzesanym. Niemniej jednak nie mogę dostosować mego sposobu postępowania do postępowania innych młodzieńców mego wieku. Z jednej bowiem strony mam szczerą i żywą zmysł religijny i zbyt wielką uczciwość i miłość bliźniego, by się odważyć na uwiedzenie osoby niewinnej, a z drugiej zbyt mi jest drogie zbawienie duszy, bym je miał narażać przez nieczysty stosunek. Dlatego mogę wobec Boga przysięgać, że nie mam sobie aż do dnia dzisiejszego żadnego pod tym względem upadku do wyrzucenia”.⁴⁾ Słusznie też stwierdzamy, że wymagania etyki religijnej na punkcie seksualnym nakrywają się z wymaganiami higieny i nie może być inaczej, wszak czerpią one z tego samego źródła wiekuistej prawdy.

Należy jednak dodać, że wobec wielkiej siły popędu płciowego wbrew najoczywistszym racjom, nie wystarczą same naturalne środki profilaktyczne, czy terapeutyczne. Nie wystarczy też samo pouczenie i uświadomienie choćby były podane w sposób poważny i powiedzmy naukowy, albowiem zaspokojenie ciekawości u młodego wobec zamkniętej szafy a wobec tajemnic seksualnych różni się zasadniczo.

1) *Die sexuelle Frage* str. 456

2) U Gemell'ego *Non moechaberis* str. 101.

3) Gemelli l. c. str. 104.

4) Gemelli l. c. str. 103.

Jeśli ponęta ciekawości i zakazanego owocu idzie przy pomocy żywej wyobraźni u dorosłego daleko przed rozumem, to cóż będzie u młodego, którego zasoby intelektualne są jeszcze stosunkowo małe, a siła wyobraźni niesłychanie bujna? Dlatego regułą jest nie samo pouczenie i uświadamianie ale wychowanie seksualne, a te dwie rzeczy nie są bynajmniej identyczne.

Jest też jeszcze jedno uprzedzenie a zarazem złudzenie, jakoby przez samo zaspokojenie ciekawości i przyzwyczajenie do widoku rzeczy drażniących osłabiało się popęd seksualny. Wniosek tej utopii brzmi następująco: „powinniśmy się przyzwyczaić patrzeć na nagie ciała ze spokojem, wykluczającym myśli erotyczne”. Dryjski, który zresztą ma w swym dobrym dziele¹⁾ dużo myśli trafnych i naukowo uzasadnionych, jest na tym punkcie zanadto chwiejny i jak wielu dorosłych pedagogów popełnia błąd przenoszenia psychiki rozwoju i przygotowania człowieka dorosłego na dziecko i młodzież. Niestety ankiety i wypowiedzi nawet samej młodzieży na tym punkcie są, jak mogłem stwierdzić, tak bałamutne i tak niestety nieszczerze, że nie stanowią one materiału naukowego do wyciągania rzetelnych i prawdziwych wniosków. Spowiednicy, wobec których ustają powody do krycia się i niedomówień, są świadkami, ile smutnych tragedii i smutnej nagiej prawdy, kryjącej się dopiero poza odpowiedziami ankietowymi, jest w duszach tej samej młodzieży, która przed chwilą jeszcze złożyła optymistyczne zeznania co do wpływu moralnego różnych środków i sposobów przy tym gwałtownym uodpornianiu i hartowaniu seksualnym. Ale spowiednicy mają usta raz na zawsze zamknięte i niestety nie mogą służyć danymi i stwierdzonymi faktami w celu poparcia oczywistej tezy. Wiele z tak zwanych reform seksualnych jest wymyślonych i podanych przez niechrześcijan dla niechrześcijan, a argumenty chrześcijańskie wobec tych zdecydowanych niechrześcijan przeważnie nie odnoszą najmniejszego skutku. Najczęściej opierają się te fałszywe próby na założeniu niepewnym o istniejącej

¹⁾ *Zagadnienia seksualizmu dziecka i młodzieży szkolnej.* Warszawa 1934.

harmonii ducha i ciała w człowieku, co wedle nauki katolickiej jest dopiero celem i kresem wychowania a nie punktem wyjścia. Dalszym błędem jest mechanistyczne pojmowanie organizmu kobiety i mężczyzny i faz rozwojowych u młodzieży obydwu płci tak od siebie różnych. Dało się Norze Ibsena prawo do wykształcenia i zarobków równych mężczyźnie. Dziś daje się Ewie-Norze przymus wykształcenia i pracy, ale jak może zamężna ponosić 50% ciężarów ekonomicznych a 90% erotycznych (stan macierzyński i poród), co jest drugą stroną mechanistycznego i matematycznego a nie organicznego zrównania? Zamiast seksualnej biedy otrzymaliśmy w darze duchową pustkę: Wielka, świat utrzymująca namiętność miłości zmieniła się w namiętnostki, zamiast wielkiego płonącego stosu miłości spreparowano małe stosiki, które nie dają więcej ognia jak palące się pudełko zapalek. Miłość stała się miłostką, ale czy przy tym nie zginęło i co innego? Mamy przykłady, że człowiek po zawiedzionej miłości oddał się wielkim czynom politycznym; taki Cecil Rhodes zdobył w ten sposób całe królestwa. A nie brak takich, którzy w ten sposób sublimowali swe zbywające siły miłosne. Ale nie musi się z Freudem sądzić, że nauka, sztuka nawet religia i inne duchowe dobra są tylko przetransponowanymi siłami erotycznymi. To jest tylko pewne, że kto chce ukuć wielką broń ducha, ten musi posiadać silny ogień, a że ten ogień dany jest przez Erosa, na to nie trzeba Freuda, bo już to powiedział lepiej i głębiej Platon. Ale ten Eros zmienił się u Freuda i jego świadomych czy nieświadomych adherentów w Sex i tu jest wielkie nieporozumienie i postawienie po prostu znaku równości między miłością a popędem seksualnym. Eros nie jest jeszcze koniecznie erotyką. Jeśli w tym wszystkim najczęstsze będzie pytanie, które zadaje nie Eros ale erotyka: „jaką będę miał korzyść i przyjemność” w tym interesie, zamiast chrześcijańskiego starego pytania: „co ja dam”, wtedy nic dziwnego, że ów zmaterializowany Eros, przyzwyczajony do cyfr i businessu, nie zechce ponieść żadnych ofiar, którymi syci się prawdziwy i człowieka godny Eros. Gdyby psychoanalityczna terapia pozostała przy leczeniu neuroz i urazów psychicznych, oddałaby wielką przysługę ludzkości,

od kiedy jednak stała się światopoglądem, przemieniła się częstokroć w prawdziwą siłę niszczycielską.

Jeśli tedy wychowawstwo ma skutecznie przeciwdziałać obniżeniu się moralności seksualnej u młodzieży, to przede wszystkim musi zdać sobie sprawę z pytania jakie czynniki spowodowały obecny stan, bo leczenie doraźne i objawowe nie może być skuteczne.

Naszkieciliśmy pewne fałszywe założenia ideowe, których następstwem jest fałszywy kierunek wychowawczy. Należy jeszcze bardziej skonkretyzować czynniki wpływające na obecny stan.

Nauka o dziedziczności przynosi ściśle dowody na proste zdanie Ewangelii, że dobre drzewo nie może rodzić złych owoców a złe dobrych. Do czynników, które drogą dziedziczenia wywierają zgubny wpływ na potomstwo należy przede wszystkim alkoholizm i to występujący nie tylko w ostrej formie nadużycia ale jako stałe używanie alkoholu, co ma być fizjologicznie nawet gorsze niż upijanie się od czasu do czasu. Temat ten omawia olbrzymia już dzisiaj literatura. To jest pewne, że sądy nad przestępcami młodocianymi konstatują stałe alkoholizm rodziców lub dziadków. Działanie alkoholu wpływa zarówno tak na uszkodzenie jak i osłabienie zarodczych komórek, czego najmniej jeszcze szkodliwym skutkiem będzie mała odporność moralna potomstwa wobec pokus. Zboczenia umysłowe stanowią także w postaci nerwowości, neurastenii, hysterii, epilepsji, schizofrenii podłoże prawie 75% wszystkich przestępstw seksualnych młodzieży. Wpływ syfilisu jest tu także ważny, albowiem 10—15% umysłowego niedorozwoju młodzieży należy przypisać działaniu dziedzicznemu tej choroby.

Drugą grupę przyczyn niemniej ważną stanowi środowisko rodzinne. Rosnące z roku na rok w naszym społeczeństwie rozwody i rozbiecie rodziny odbijają się najpierw na dzieciach. Raz po raz spotyka się tak bardzo wstrząsające tragedie dzieci, które wskutek rozejścia się rodziców straciły naturalne środowisko wychowawcze. Jest też znanym zjawisko, że na polu seksualnym mają później trudności te właśnie dzieci, które przez przesadne rozpieszczenie zostały zepsute, a rozpieszczenie to rośnie w miarę ograniczania

potomstwa, co jest rzeczą wprost naocznie stwierdzoną. Ale także i te dzieci, które w dzieciństwie i młodości nie zaznały rzetelnej miłości matczynej i ojcowskiej są narażone na silne pokusy i niebezpieczeństwa upadków. Dodajmy do tego te mnożące się dziś nagminnie fakty: nagromadzenia w niewielkim mieszkanku całej rodziny albo co nie jest wcale rzadkością w jednej ubikacji albo licznej rodziny albo nawet kilku rodzin, a zrozumiemy, że taka atmosfera musi się fatalnie odbić przede wszystkim na życiu seksualnym młodzieży.

Dalszy czynnik to ogólny upadek i niewrażliwość moralna społeczeństwa, co jest prawdziwym i gorszym kryzysem niż kryzys gospodarczy. Zasady etyczne stały się płynne i często zastąpiono je maksymami utylitaryzmu lub praktycznego epikureizmu, który, jak już niegdyś zaznaczył św. Augustyn, jest jedynie logicznym rozwiązaniem życia, jeśli się nie przyjmuje Boga i wieczności.

Dlatego w przeważnej części muszą dorośli ponieść pełną odpowiedzialność za stan obecny młodzieży, na której przeprowadza się straszliwe w skutkach eksperymenty i to nie tylko dydaktyczne, co jest w pewnej mierze zrozumiałe, ale zasadnicze i etyczne. Dorośli ponoszą winę albo przez fałszywe teorie etyki seksualnej albo przez własne praktyczne przewinienia na tym polu. A młodzież jest z urodzenia konsekwentna i bezkompromisowa, wyprowadzając jak najdalej idące wnioski ze wszystkich fałszywych przesłanek, które się jej głosi. Stąd za granicą coraz mocniejsze są głosy, że uświadomienia seksualnego, pouczenia należytego potrzebują przede wszystkim nie dzieci, ale ci, którzy ich mają w tym kterunku wychować i otoczyć należyłą opieką. Gdyby tedy plan wyłożony przez p. wizytatora Gałęckiego w sprawie Towarzystwa Opieki nad młodzieżą został należycie zmontowany i zaczął sprawnie działać nie jako organ policyjny ale ojcowsko nadzorczy, gdyby temu towarzystwu udało się jeśli nie usunąć to przynajmniej sparaliżować rozlaną na ulicach akcję uwodzicielską i korupcyjną młodzieży szkolnej przez pornografię w najróżnorodniejszych jej objawach i sposobach, byłby to krok wielki naprzód.

Ponieważ jednak wszelka poprawa i nawrócenie rzetelne człowieka idzie nie od zewnątrz ale z jego własnej

duszy, dlatego wpływ czynników religijno-moralnych i możliwości oddziaływania Boga na serca nie powinien być tamowany ale przeciwnie winno się temu najistotniejszemu sprawcy przemiany serc ułatwić a nie utrudniać zadanie. Nie należy pojmować chrześcijaństwa jako zbioru ceremonii i pewnych praktyk ale należy zrozumieć, że wszystkie środki nadprzyrodzone idą, jeśli się ich nie paczy i nie przeszkadza im, zawsze w kierunku coraz większego umoralnienia człowieka.

Jeśli założenia religii katolickiej o wartości duszy, o stosunku obu płci, wstydlivosti rozumnej i dalekiej od wszelkiej pruderii, o miłości, celowości życia płciowego będą tak systematycznie zanikały, jeśli na ich miejsce wejdzie czysto pogańskie patrzanie się na życie, to rozwiązanie kwestii upadku seksualnego młodzieży będzie usiłowaniem rozwiązania kwadratury koła. A owo systematyczne odsuwanie wpływu czynników religijno-moralnych idzie na wszystkich polach naprzód. Religia ma być rzeczą prywatną, nie wolno jej głośno mówić, domagać się, prostować, wskazywać drogi; taka zaś obcięta i oktrojowana religia to już nie religia Chrystusowa, ale twór fantazji i uczucia czysto ludzkiego.

Mimo całej profilaktyki i immunizowania młodzieży wobec niebezpieczeństw jej grożących, nie obejdzie się jednak bez walki wewnętrznej, staczanej zwłaszcza od okresu dojrzewania. To też jak nie wolno wystawiać delikatnych łatorośli na silny mróz ani młodzieży jeszcze fizycznie nie dorosłej stawiać w powietrzu pełnym bakcyli chorobotwórczych i liczyć na jej odporność, tak też źleby się jej przysłużył ten, ktoby ją chciał chować pod kloszem i w moralnej cieplarni. Wychowanie w poczuciu obowiązku bezapelacyjnego a nie w ustawicznym psychologizowaniu, stworzenie takich warunków, by dobre, szczerne i idealne strony duszy młodzieży mogły rozwinąć skrzydła i by jej wysiłki były koronowane powodzeniem i owocami, da ten silny charakter, który w burzach walki jedynie się ośoi.

Wielka jednak ilość przyczyn, które atakują centrum cielesne, leży w fałszywym sposobie życia: jeśli młodzież nie ma czasu ani sposobności do odpowiedniego ruchu, nie może nadmiaru sił cielesnych wyładować, przychodzi łatwo do złogów, które pójda w kierunku seksualnym; dlatego instynkt

kieruje młodzież na łono natury. Dobrze pojęty sport i ćwiczenia cielesne, jak pływanie: gimnastyka, wycieczki, ale idące nie w kierunku zawodnictwa lecz zostające ćwiczeniami, oddadzą tu wielkie usługi. Hipertrofia i przeładowanie intelektualne w okresie dojrzewania staje się, jak stwierdzono, dobrym pomocnikiem silnej introwersji, do której i tak, młodzież w tych latach ma skłonność. Ponieważ pierwsze seksualne przeżycia przynoszą w 50%, jak wykazały badania Neissera i Meirowskiego, z uwiedzenia czy przez złych kolegów czy przez starszych, zwłaszcza przez kluby homoseksualistów, należy ochronić młodzież niezeepsutą przed tymi uwodzicielami nie tylko przez surowe i zasłużone kary na uwodzicieli, ale i przez wyeliminowanie ich od wpływu na młodzież szkolną, na co powinny znaleźć się odpowiednie prawne sposoby.

Mimo tej ochrony przed podnietami zewnętrznymi znajdują się jednak sposoby do wywołania podniet seksualnych niepożądanych od wewnątrz: mają one silnych zwolenników i sprzymierzeńców w wyobraźni i uczuciowości młodzieży. Dziewczęta zdają się być więcej nieodporne na te dwa niebezpieczeństwa podsycane przez nieodpowiednią lekturę, obrazki i przedstawienia. Fałszywe uczuciowe kompleksy, miękkie marzycielstwo, przesadne trwogi stają się, jak słusznie stwierdza psychoanaliza, łatwo powodem procesów niejako podziemnych prowadzących do nagłych wybuchów. Atmosfera szczerości wobec życzliwych i dobrych wychowawców uchroni młodzież od tych wrogów.

Należy sobie uświadomić, że narody i grupy społeczne nie składają się z aniołów, ani z mędrców szlachetnych. Kto chce wielkie masy ludzkie utrzymać na pewnym poziomie etycznym, ale tak, aby to w życiu codziennym dawało praktyczne wyniki, musi odwołać się do prawa i sprawiedliwości szanowanej przez wszystkich. Moralność zwłaszcza publiczna, nie mając bezpośredniej egzekutywy, musi znaleźć podporę w szanowanym ustawodawstwie państwowym. Posiadamy ustawy dotyczące pornografii, uwodzicielstwa nieletnich, nadużyć seksualnych, choć jeszcze bardzo niedokładne i zbyt ogólnikowe. Ale egzekutywa nawet tych ustaw w życiu codziennym egzekutywa planowa i konsekwentna bardzo

utyka. Na razie jest dużo papieru, wykresów i rozpraw, wykonanie idzie za tym wszystkim bardzo żółtym krokiem. Kto winien rozzuchwaleniu się chamstwa, wyszydzaniu w przebojach kabaretowych nie tylko uczciwości, wierności małżeńskiej, ale nawet poszanowania dla rodziców? Kto winien, że nasi piosenkarze pozwalają sobie na to, na co nie pozwoli sobie piosenkarz francuski, niemiecki czy włoski? Teksty bowiem, które za granicą są jeszcze na ogół przyzwoite, a pewna pikanteria jest subtelna, u nas nabiera cechy moralnego brudu, który znieprawia dusze, zwłaszcza młode i dopiero dojrzewające. Winę za to ponosi też starsze społeczeństwo, które rzadko na te rzeczy reaguje oburzeniem, jak być powinno.

Reasumując podane uwagi, podkreślimy to, co jest w nowoczesnej atmosferze moralnej dla prawidłowego rozwoju seksualizmu u młodzieży korzystne a co grozi niebezpieczeństwami.

Korzystne jest czystsze, naturalniejsze, prostsze podchodzenie do tych spraw niż dawniej, mniej jest obłudy i maskowania się. Przesadzanie strony seksualnej prowadzące do czegoś niezdrowego, demonicznego, wężącego wszędzie erotykę i sprawy seksualne w wielkiej mierze zniknęło. Pozaseksualne stosunki towarzyskie między obu płciami, co jest przecież kardynalnym postulatem chrześcijańskiej nauki społecznej, stały się powszedniejsze. Ufarty szablon: „panie i panowie”, owo nienaturalne i przesadne podkreślanie przy każdej sposobności różnic seksualnych stało się słabsze. Podwójna moralność, inna dla mężczyzn, inna dla kobiet także mocno przycichła. Często oglądamy dziś czystą sympatię tam, gdzie dawniej panowała ukryta jeśli nie rozpusta, to zamaskowana erotyka. Szlachetne węzły przyjaźni, wzajemnego szacunku, równych zamiarów i ideałów przebiły się przez opary podkreślanego dawniej na każdym kroku seksualizmu.

Niekorzystne jednak strony dzisiejszego życia istnieją też w wyższym stopniu niż dawniej. Słabszą jest orientacja w odniesieniu do dobra i zła; osłabły ideały czystości płciowej; podkreślono za silnie prawa i kulturę ciała w przeciwieństwie do kultury duchowej, co za sobą pociąga kult

ciała. Doraźne, na materialnych podstawach oparte radości i uciechy, wyeliminowanie szczęścia zasadniczego musiały sprowadzić wyżywanie się też doraźne przede wszystkim na polu seksualnym. Zerwano też dotychczasowe hamulce między obydwu płciami a na to miejsce nie dano nic innego. Podkopano uczucie naturalne wstydu, identyfikując je fałszywie z nienaturalnością i obłudą; narażono młodzież na zbyt silne wrażenia seksualne bez możliwości nawet samoobrony przed zbyt gwałtowną kuracją immunizacji.

Byłoby to iluzją i utopią, gdyby ktoś od samych reform społecznych spodziewał się rozwiązania kwestii seksualnej. Wprawdzie istnieją wzajemne punkty styczne i zależności, ale urządzenie sobie życia seksualnego jest, tak jak kształtowanie charakteru, przede wszystkim sprawą osobistej decyzji i osobistego nastawienia. Społeczne warunki dają tylko pod tę decyzję niejako grunt. Życie seksualne nie jest też w tym sensie sprawą historii jak polityczne urządzenia i fazy cywilizacyjne. Seksualno-etyczna problematyka nie jest bez reszty zawarta w problematyce konkretnej historycznej całości, tak jak indywidualny człowiek jest tylko w pewnym kierunku częścią społeczeństwa a w innym wybiega poza jego ramy.

Dlatego nie ma kolektywnego rozwiązania kwestii seksualnej, a wydaje się nam, że najważniejszym założeniem etyki życia miłości i seksualnego jest oczyszczające naturę ludzką i kulturalno-twórcze orientowanie się prawdami religijnymi zbawienia duszy. Uchrześcijanienie społeczeństwa jest tym czynnikiem, który relatywnie najszybciej i najsukcesyjniej wyprowadzi z seksualnego chaosu tak jednostkę jak i społeczeństwa. Słusznie konkluduje Foerster: „Stawiać więc Erosa (raczej Płeć) na miejsce religii, wskazać człowiekowi zaspokojenie, którego osiągnięcie jest tym trudniejsze i bardziej wątpliwe, im dusza jest głębszą i indywidualniejszą — to bolesne drwiny z doli ludzkiej. Kto trzeźwo patrzy na życie i ludzi, ten wie, iż nie może być mowy o istotnym rozwiązaniu tych zagadnień w rozumieniu ziemskim. W dwoistości natury ludzkiej, w dwoistości płci tkwi trudność zagadki życiowej; zupełna zaś niemożność jej rozwiązania na podstawie filozofii doczesności, dowodzi istnienia

życia wyższego. Stanowisko religijne wynosi nas ponad życie popędów, odejmuje znikomości władzę nad duszą naszą, daje zbroję, którą okryci, możemy bez trwogi żyć pod prawami natury, nie wydając duszy na zatracenie".¹⁾

¹⁾ Seksualna etyka i pedagogika, s. 204.

Ks. dr Władysław Wicher.

Prof. U. J.

LITERATURA:

- Aurel Kolnai: *Sexualethik*. Paderborn, Schöningh 1930.
- Dr Rudolf Allers: *Sexualpädagogik*. Grundlagen und Grundlinien. Salzburg-Leipzig Pustet, 1934.
- W. F. Foerster: *Seksualna etyka i pedagogika*. Warszawa 1911.
- Die geschlechtliche Erziehung*, Düsseldorf. Pädagogischer Verlag, 1929.
- Albert Dryjski: *Zagadnienia seksualizmu dziecka i młodzieży szkolnej*. Warszawa. Nasza księgarnia 1934.
- Dr J. Ries: *Kirche und Keuschheit*, Kath. Lebenswerte. VII Bd. Paderborn. Bonifatius-Druckerei 1922.
- Ks. Dr. Jan Fondaliński: *Koedukacja*. Poznań 1936.
- Rudolf Geis: *Katholische Sexualethik*. Paderborn 1927.
- Kaplan Fahsel: *Ehe, Liebe und Sexualproblem*, Freiburg, Herder 1928.
- St. v. Dunin Borkowski: *Schöpferische Liebe*. Berlin-Bonn, Dümmler, 1923.
- Sylwan Stall i Mary Wood-Allen: *Biblioteka Cnota i prawdę*. Tow. Wyd. Kompas.
- Hans Frankenheim: *Die Entwicklung des sittlichen Bewusstseins beim Kinde*, Freiburg, Herder 1933.
- Fr. Zimmermann: *Die beiden Geschlechter in der Absicht Gottes*. Wiesbaden, Grünewald 1936.
- Czesław Lechicki: *W walce z demoralizacją*. Miejsce Piastowe 1932.
- Fr. Walter: *Der Leib und sein Recht im Christentum*. Donauwörth 1910.
- Um Sitte und Sittlichkeit*, Düsseldorf 1929.
- Lady Caprice: *Ludzie pod szyfry*. Lwów, Leopolia 1936.
- Dr. Alb. Niedermeyer: *Sexualethik und Medizin*, Wissenschaft und Weltanschauung. Hildesheim.
- Hardy Schilgen: *O czystość młodzieży*. Kraków, Wyd. Ks. Jezuitów. 1929.
- Ks. Wład. Wicher: Kilka uwag o nowoczesnej etyce seksualnej. *Przegląd Współczesny* styczeń 1933.
- P. Bureau: *Rozprężenie obyczajów*. Kraków, Wyd. Księży Jezuitów, 1929.
- Ks. Goliński Zdzisław: *Cnota czystości według św. Tomasza z Akwinu, z uwzględnieniem współczesnej pedagogiki płciowej*. Lublin 1936.

Przemiany narodowe.

I.

Stoimy w obecności szeregu metamorfoz narodowych. Na wschodzie powstało wielkie Imperium komunistyczne, zwące się międzynarodowym i mające pretensję do ponadnarodowości czy beznarodowości. Komunizm rosyjski, jeżeli nawet nie będziemy brali pod uwagę najświeższej doby, w której się „unaradawia“ pod panowaniem stalinowskiego bonapartyzmu, zawsze miał w swym wnętrzu za czasów Lenina i wpływów Trockiego, pomimo zaprzeczeń urzędowych, nutę duszy rosyjskiej, bez której, nie byłby pociągnął za sobą mas w pierwszej fazie powstawania.

Po nim wyłonił się na południu Europy, w kolebce starego imperium rzymskiego faszyzm, a dalej, w centrum Europy zorganizował się narodowy-socjalizm, pod przewodnictwem człowieka południa, który potrafił pogodzić w uczuciach północnego Prusaka z południowcem niemieckim i zestrzelić ich wole do działania w jednym kierunku.

Cytuję tylko te trzy zaczątki do gruntownych metamorfoz narodowych, chociaż w stadiach mniej kompletnych, lub jeszcze nie rozwiniętych, jest ich o wiele więcej na świecie.

Istniał w przeszłości stary Rzym, stara Grecja i Egipt, a chociaż potomkowie obywateli tych państw, często wprawdzie zmieszani z ludnością innych narodów, mieszkają na tych samych terenach, Grecja, Włochy i Egipt na początku XX wieku były zupełnie czymś innym od państw, które ich na tym samym miejscu poprzedziły. Zerwane zostały nici

z przeszłością, zmieniała się umysłowość ludności i nowy duch zapanował.

I tu jesteśmy u sedna rzeczy. Wprawdzie ludzie dziedczą cechy charakteru, upodobań, impulsów i zdolności po swych przodkach, tym niemniej jednak istnieją inne czynniki stosowane przez retortę historii dla formowania narodów i właśnie one tworzą nowe narody.

Żyjemy w dwudziestym stuleciu, wieku motoru, radia i elektryczności, którego cechą zasadniczą jest błyskawiczne tempo życia, w porównaniu do stuleci poprzednich. Historia przez długi szereg wieków przekształciła starożytny Rzym na nowożytną Włochy, starożytną Grecję na nowożytną i po długim okresie czasu spostrzegamy zasadnicze różnice umysłowości, charakteru, jaźni i ducha jakie zaistniały między Rzymianinem, a Włochem, dawnym Grekiem, a nowożytnym, między Koptem egipskim, a Egipcjaninem.

Współcześnie historia działa szybko, w tempie wielokroć przyspieszonym, nikną „stare” już dziś narody, a „nowe” się rodzą. Kilkadzieści lat historii to niewiele, a jednak już po kilkudziesięciu latach, od chwili dat odnośnych przełomów, „nowy” Rosjanin, Włoch i Niemiec będą na tyle różnymi pod względem przekonań, psychiki, charakteru i światopoglądu od „dawnych” Rosjan, Włochów i Niemców, co tak zwani nowożytni Grecy i Włosi od starożytnych Greków i Rzymian. Zmienione zostaną fundamentalnie typy ludzi, a typ człowieka stwarza typ narodowy. Podobne zapatrywanie wyda się może zbyt śmiałym, a jednak po zgłębieniu tematu czym jest naród, jakie są elementy które go tworzą, na czym polega istota narodowości — okaże się, iż nie ma w nim przesady.

Za dni naszych następuje w błyskawicznym, jak na historię tempie, przemiana narodów, ich charakterów, umysłowości, dążeń i upodobań. Wprawdzie to „nowe”, wbrew szumnym zapowiedziom, będzie historycznie biorąc, względnie krótkotrwałym, lecz już bez powrotu do ostatniej, minionej przeszłości. Co wyrośnie po tym? — czasy to już zbyt mimo wszystko odległe, aby o nich mówić.

Przyszłość wynika z przeszłości, odgrywającej rolę „dziedzictwa historycznego”, z której zawsze coś pozostaje,

lecz równocześnie jest tworzoną przez przewodnią myśl historyczną, odrębną od myśli celowej ludzkiej, którą się pierwsza jednakowoż posługuje.

Celowość, w płaszczyźnie ludzkiego rozumienia, bardzo często zawodzi. Wilhelm II, wypowiadając wojnę, nie miał celowo na widoku ani Doorn, ani też wskrzeszenia Polski. Wprawdzie działał „celowo“, to znaczy dla osiągnięcia określonych celów, które ani dla niego, ani dla Niemiec nie zostały osiągnięte, tym niemniej jednak wojna była celową, chociażby ze względu na wskrzeszenie Polski. Historia posiada własną celowość, działający zaś ludzie swoją. Celowości te, aż nazbyt często się mijają.

Rozpatrując bieżące zjawisko metamorfoz narodowych, oddzielić wypadnie czynniki trwałe, które im towarzyszą, od przemijających. W gruncie rzeczy elementów historycznie czysto „sezonowych“ pojawia się współcześnie więcej od trwałych, stąd też wyciągnąć można wniosek, że to tworzące się „nowe“, utkane z tyłu pierwiastków przemijających, będzie historycznie rzecz biorąc dość krótkotrwałe, gdyż im bardziej konstrukcje społeczne są wadliwe, tym prędzej się zawalają. Dom z usterkami budowy, stać może długo, z wadami zasadniczymi krótko.

Świat cywilizowany przedwojenny duchowo i umysłowo żył ideami głoszonymi przez Rewolucję francuską. Wielka Rewolucja była matką pojęć, władających w znacznej mierze tłumami „cywilizowanymi“ w ciągu XIX i początku XX w. Okres pojęciowy Rewolucji francuskiej przetrwał z górą wiek, wątpliwym jest aby „epoka przejściowa“ tak długi miała żywot, co nie przeszkadza wróżyć jej dobrych kilku dziesiątków lat życia.

Okres metamorfoz narodowych obraca się pojęciowo przeciwko Rewolucji francuskiej, intronizując nowe bogi, pod postacią doktryn i podając szerokim tłumom do wierzenia cały szereg nowych dogmatów. Rewolucja francuska o tyle góruje dogmatycznie i potencjalnie nad dynamiką dogmatyki „epoki przejściowej“, że była jedną i bezkonkurencyjną w swoim czasie, i *last not least* miała Napoleona, który grubsze błędy jej odrzucił, utrwalając bardziej rzeczową jej stronę, podczas gdy powstające dzisiaj „dogmaty“

są bardzo różnorodne i ze sobą sprzeczne, a co gorsza pod względem rzeczowości *summa summarum* stoją o kilka stopni niżej od swoich poprzedników z czasów Rewolucji francuskiej, która sama zbytnią rzeczowością nie grzeszyła, a swe dogmaty „wolności i równości” ludzkiej tak nieudolnie określiła, że stały się one przyczyną rozsądnego systemu rządzenia i światopoglądu, które stworzyła.

Współcześnie nie ma tej bezkonkurencyjności, którą się cieszyły „nowinki” Rewolucji francuskiej. „Bezboski dogmat” rosyjski wraz z ideą komunizmu i najsłabszego materializmu, kłóci się z narodowo-socjalistycznymi dogmatami „honoru, krwi i ziemi” oraz doktrynami „przewodnictwa” i „rasowości”, a pokrewny hitleryzmowi korporacjonizm faszystowski, który w religijno-metafizycznej swej stronie ostał się przy katolicyzmie, nie uznaje ani dogmatu rasowości na sposób hitlerowski, ani ogromnej większości dogmatów bolszewickich, wprowadza natomiast w masy swego narodu szereg pojęć kłócących się z doktrynami swoich konkurentów.

Rewolucja francuska i jej wpływy rozpląnęłyby się szybko w morzu nicości, gdyby nie geniusz Napoleona, który nadał pewną formę i ustabilizował część jej pojęć, odrzucając inne. I tak w pewnej fazie była ona doktrynalnie „bezboską”, Napoleon nad tą „bezboskością” przeszedł do porządku dziennego i bynajmniej jej nie utrwał, mając zupełnie inne przekonania. „Jeżeli — rzekł do Bertranda na wyspie św. Heleny — nie pojmujesz, że Jezus Chrystus jest Bogiem, żałuję, żem cię zamianował generałem”.

Obecna „epoka przejściowa” góruje jednym nad epoką Rewolucji francuskiej, a mianowicie intensywnością przemian, które wprowadza. Wyrażenie bolszewickie, że to co się w Rosji dokonywa, dzieje się w „planetarnej skali”, zawiera w sobie coś z prawdy. Okres nasz przeoruje dusze i umysły ludzkie o wiele głębiej, (tam gdzie jego siły psychiczne działają już w pełni) aniżeli uczyniła to Rewolucja francuska.

Świat w dłuższych okresach historycznych ma tendencję do przybierania pewnych form pojęciowych i organizacyjnych zbieżnych, o cechach jednostajnych, pomimo przeróżnych wariantów oryginalnych. Starożytny Rzym wprowadzał

wszędzie jednostajne formy pojęć i rządzenia; Średniowiecze było również pojęciowo i co do form egzystencji dosyć jednostajne. Czasy bezpośrednio przedwojenne, prześląknięte były ideami w znacznej mierze poczętymi przez Rewolucję francuską, ustroje zaś rządzenia były „demokratyczno-parlamentarnymi“, nawet Rosja, twierdza despotyzmu umiarkowanego w porównaniu do współczesnych, zainscenizowała coś w rodzaju parlamentu, „dumę“.

O ile dłuższe epoki historyczne posiadają idee zbieżne, o tyle na obecny okres składa się cały szereg „rozbieżności“, wróżących przede wszystkim wzajemne starcia między nimi. Wprawdzie wszystkie nowe prądy posiadają niektóre cechy wspólne, lecz wspólnota ta dotyczy przede wszystkim metod rządzenia, przy różnych treściach doktrynalnych.

II.

Jedną z zasadniczych i zbieżnych cech nowych prądów dynamiczno-światopoglądowych, jest uznanie materialnej, a poza bolszewikami i duchowej wspólnoty masy ludzkiej i jej losów. Ginie jednostka jako jednostka, stając się atomem teoretycznej całości. Całość ta jest ubóstwiana.

Rewolucja francuska emancypowała człowieka, nowe prądy ją neutralizują. Tam gdzie zasada narodowa jest jawna, naród jako całość jest teoretycznym ośrodkiem wokoło którego wszystko się obraca. W Rosji pojęcie narodu, zastępuje słowo komuna. Taką jest jedna strona medalu, istnieje jednakowoż i druga wprost paradoksalna.

O woli komuny, albo narodu, decyduje właśnie jednostka, i to prawie bez żadnej kontroli. Naród czy komuna, ta „istota“ ubóstwiana, z entuzjazmem czy bez entuzjazmu, lub nawet pod okrutnym przymusem, wszystko aprobeuje. Istnieją wprawdzie wyjątki; do nich przede wszystkim zaliczyć należy postawę ludności katolickiej, a częściowo też i ewangelickiej w Niemczech, w sprawach religijnych.

Wspólną cechą nowych, wyklutych już ustrojów, jest więc despotyczna metoda rządzenia. Nakaz jednostki w imię teoretycznej całości i na rzecz jej potrzeb i dobra, jest bezapelacyjny. Każdy sprzeciw, nawet myślowy, jest uznawany

za karygodny. Władcy regulują i kierują myślami podwładnych. Żadne odchylenia myślowo-pojęciowe nie są tolerowane.

Pierwiastek despotyzmu jest w każdym z omawianych ustrojów różny co do nasilenia, nie mówiąc już o tym, że odmienną jest treść do której dąży. Największe jego natężenie istnieje w Rosji, najslabsze w Italii.

Zarzucić można i poniekąd słusznie, że używamy pojęć, które nie zostały ściśle określone. Czym jest despotyzm, czym zaś metoda wolnościowa rządzenia? Zagadnienie rządów despotycznych i wolnościowych jest zagadnieniem samym w sobie, którego rozwinięcie, o ile ma być ściśle, nie może być omówionym ani jednym, ani nawet dziesięciu zdaniami.

Wprawdzie można by dać definicje obu metod rządzenia: wolnościowej i despotycznej, lecz określenie samo nie wystarczy, jeśli się ściśle nie oznaczy treści każdego słowa, jak znaku w skomplikowanej formule matematycznej.

Sprawę utrudniają jeszcze inne okoliczności. Prądy, wprowadzające nowe ustroje, mają cały szereg faz przez które przechodzą; otóż początkowe fazy nowych ustrojów zawsze związane są z pewnym odcieniem pierwiastka wolności, który następnie dość szybko zanika. Lenin, nie piastujący żadnego urzędu w dawnej Rosji i znajdujący się u samego spodu jej hierarchii, nie siłą narzucił adeptom swoim nowe koncepcje. Ci uwierzyli w niego i poszli za nim, z dobrej nie przymuszonej woli. To, że w następnym etapie Lenin wraz ze swymi uczniami siłą materialną zaczął narzucać własną wolę innym, jest już inną kwestią.

Istnieje cały szereg warunków, zaciemniających horyzont zagadnienia rządów, czy to despotycznych, czy też wolnościowych, a mianowicie: treść ich dążeń. Bo, jakkolwiek prawdziwie rozwojową jest metoda rządzenia wolnościowa, to jednak można nią sprowadzać rzesze ludzkie na manowce, a szkodliwą w zasadzie metodą despotyczną, wprowadzać wykolejone tłumy na właściwą drogę, lecz równocześnie nadmienić wypadnie, że despotyzm tylko wówczas odegrać może pozytywną rolę, gdy potrafi zdobyć się na zmierzanie z punktu wyjścia w kierunku rządów wolnościowych.

wych, opacznym zaś jest kierunek, wychodzący z wolności, a zmierzający do despotyzmu.

Jeżeli problem dynamik rządzenia: wolnościowej i despotycznej i skutków które przynoszą, ma być traktowanym rzeczowo, należy go abstrahować od innych zagadnień z nim związanych, które winny być jednakowoż uprzednio rozpatrzone. Rezygnując z tego, ograniczymy się do wskazania pobieżnie skutków jakie przynoszą nowe reżimy, i to niezależnie od treści doktrynalnej, której służą.

Ponieważ długotrwały despotyzm zabija godność człowieka i paczy jego charakter i psychikę, przeto walory duchowe, psychiczne i umysłowe mas ludzkich, narażone są na ciężką próbę, która, przy zbyt wielkim nasileniu i długotrwałości działania despotyzmu, skończyć się może katastrofą. Z drugiej strony obecne ustroje, bardzo między sobą różnorodne co do treści dążeń, powołują do życia nowe potęgi i dzięki nim wiele słusznych i pożytecznych posunięć może być zrealizowanych. (Zdanie to dotyczy przede wszystkim ideo-kierunków zachodnich, nie zaś wschodniego).

Despotyzm współczesny, organicznie złączony ze zjawiskiem metamorfoz narodowych, odgrywa rolę środka pobudzającego, dodającego doraźnie sił społeczeństwom, którym jest zastrzykiwany, lecz kryje równocześnie w sobie elementy niezdrowe i niszczące na dłuższą metę, wprowadzając gorączkę w masy i odbierając im potrzebny spokój, czynnik zaś lęku, odgrywający zwłaszcza w Rosji tak przemożną rolę, stwarza taką atmosferę trucizny duchowej, że żaden prawdziwy postęp nie może w niej osiągnąć realizacji.

Początkiem zmian treści psychiczno-myślowej narodów, które wstąpiły na drogę metamorfozy, są nowe światopoglądy narzucone masom przez „wodzów“. Znaczne odłamy mas przyjęły nowe koncepcje dobrowolnie, jakkolwiek pod presją myślowo-psychiczną wchodzących na ekran historii prądów polityczno-społecznych. Siła materialna dopomogła do objęcia reszty, oraz do następnego gnania społeczeństw po drodze na którą weszły w początkach częściowo dobrowolnie.

Chłop rosyjski, gdy z entuzjazmem być może „grał zagrabione“ w myśl wskazań Lenina i zabierał ziemię, nie

miał wówczas na widoku przyszłych „sow” i „kołchozów”. Wsparł on wówczas nową władzę, która go następnie oszukała. Dziś nie można mówić o entuzjazmie chłopów do ustroju sowieckiego, a jednak chłop ten, trzymany krótko w łańcuchach reżimu, zmienia swą umysłowość, charakter, ustosunkowanie względem bliźnich, lecz tym razem wyłącznie pod przymusem z powodu okrażenia go ze wszystkich stron przez panującą nad nim władzę, która przemawia doń z jednej strony terorem, z drugiej zaś, przez usta swej licznej biurokracji, przez radio, gazetę, książkę, zebrania itd.

Wyrastają nowe pokolenia, nie znające innego od bolszewickiego ustroju i sposobu rządzenia, którym obce są dodatnie strony „starego świata”. W sztucznej i jakże zakłamaney atmosferze, przepełnionej miazmatami panicznego lęku o swój los, zależny od okoliczności nie dających się przewidzieć, tworzy się „nowy Rosjanin”. Metamorfoza ta odbywa się pod auspicjami władzy na wskroś despotycznej, bez której oddziaływania sam proces metamorfozy uległ by nie tylko zahamowaniu, ale być może zmieniłby nawet całkowicie swój kierunek.

Badając metamorfozy narodowe, siłą rzeczy, umysł zwraca się w kierunku Rosji. Dlaczego? Rosja komunistyczna obchodzić będzie w tym roku 20-lecie swego istnienia, a tak długim okresem żywota nie może się poszczycić ani faszyzm, ani tym bardziej narodowy-socjalizm; tam więc dzieło metamorfozy, z tytułu chociażby upływu czasu, posunęło się najdalej. Istnieje jeszcze i druga przyczyna. Faszyzm, jako drugi z kolei po bolszewizmie kierunek co do okresu trwania, nie sięgnął w duszę mas tak głęboko, jak ideo-kierunek Lenina, stąd też „przebudowa” narodu włoskiego odbywa się w skali znacznie mniejszej.

Nowożytny Włoch wierzył w Boga i wyznawał katolicyzm. W tym punkcie nic się dla Włocha „jutra” nie zmieni, jakkolwiek państwo faszystowskie ograniczyło rolę Kościoła w wychowaniu młodych pokoleń. Rosjanin był prawosławnym, dziś przestał dlań istnieć Bóg, dlatego, albo „obywa się bez pojęcia Boga”, albo też, pozbawiony światła, stacza się w coraz przepastniejsze mroki zabobonu. Pojęcia rodziny i własności prywatnej zostały na półwyspie apeniń-

skim w głównych zarysach utrzymane, stąd też jakkolwiek wielkie zmiany psychiczne, intelektualne i charakteru zająć mogą pomiędzy Włochem „wczorajszym” i „jutrzejszym”, w tych trzech dziedzinach zawsze znajdują się punkty styczne. W Rosji wszystkie pojęcia zostały przeinaczone, z tego powodu zasięg zmian jest tu wielokrotnie większym.

W Italii pojęcie ojczyzny nabrało nowych kształtów i kolorów, nie było tam wszakże zerwania z przeszłością i tradycją, lecz silniejsze nawiązanie do dawno minionego okresu. Bolszewizm zerwał początkowo kompletnie z wszelką tradycją ojczyzny i przeszłością, a jeżeli w kilkanaście lat później, nieśmiało lecz konsekwentnie zaczyna tolerować niektóre części składowe pojęcia dawnej ojczyzny oraz przeszłości, łącząc je z własnymi, to jednakże i przemiany na tym polu są bez porównania głębsze w Rosji aniżeli na półwyspie apenińskim.

III.

Metamorfozy narodowe dokonywujące się współcześnie nie są zjawiskiem przejściowym, bez znaczenia, maskaradą, po której ukończeniu i „zmianie kostiumów”, wszystko powróci do dawniejszego łożyska. „Przebudowy narodowe”, na które patrzymy, są treścią historii naszych czasów, są one tak samo realne i „bez powrotu” do przeszłości, jak realną i wprowadzającą bardzo istotne przemiany była wojna światowa, która przyspieszyła tempo historii i stała się podwaliną zmian współcześnie przeżywanych.

Rewolucja rosyjska przyniosła gruntowne przeinaczenia nie tylko w domenę ekonomiczną, a jeżeli jej system otrzymał miano komunistycznego, merytorycznie nie jest to zupełnie słusznym, gdyż nie komunizm jest główną cechą charakterystyczną ustroju sowieckiego. Samo rozwinięcie i rozprzestrzenienie dawnego „miru” rosyjskiego i zrobienia go bardziej powszechnym na wsi i w mieście nie stworzyło by tego, co dziś jest w Rosji.

Dla zrozumienia zagadnienia, trzeba by się cofnąć do pierwszych dni rewolucji. Lenin głosił, że stary świat musi być przede wszystkim zburzony i w tym celu zalecał „gra-

bienie zagrabionego". Nienawiść do przeszłości jako całości i dążność do przekreślenia jej, były motorem działania rewolucyjnego. Ta nienawiść dotyczyła nie tylko systemu ekonomicznego, lecz wszystkiego tego co uprzednio istniało, a więc i panujących pojęć. Chodziło o stworzenie *tabula rasa*. Budowa na nowych zasadach, miała przyjść po tym.

Substratem ideologiczno-duchowym do budowy nowego ustroju i życia była ekonomiczna teoria Marksa, w której zdaniem Lenina, (nie wiadomo czy Marks zgodził by się na podobną interpretację swej doktryny) sercem jest żołądek. I istotnie, w ustroju sowieckim serce znikło i zapanował żołądek. Czy panowanie żołądka zaprowadzone zostało przez sam ustrój ekonomiczny zwący się komuną? Klasztory rządzą się ustrojem, któremu również miano komuna. Czy światopogląd panujący wśród uczestników komun klasztornych jest podobnym do światopoglądu żyjących w „kołchozach”? Czy ośrodkiem zabiegów członków komun klasztornych jest „żołądek”?

Nie należy dać się zwieść i sądzić, że komunizm jest rdzeniem, samą istotą obecnego ustroju rosyjskiego. By ściśle określić kość pacierzową, esencję ustroju, który dla niepoznaki przybrał miano komunistycznego, trzeba by przede wszystkim zapoznać się z warunkami bytu sowieckiego.

Gdyby z dnia na dzień, zniesiono w Rosji „sow” i „kołchozy” i w tej czy innej formie, nadano ziemię obecnym jej pracownikom, oraz uwłaszczono robotników w stosunku do warsztatów pracy, w których są zajęci, znikł by komunizm, lecz czy zaszłaby w związku z tym, zasadnicza zmiana w Rosji? Czy proces metamorfozy narodu rosyjskiego w określonym kierunku tym samym uległ by zahamowaniu? Czy tchnienie rządu i tych wszystkich okoliczności, współdziałających w kierowaniu Rosją, automatycznie uległy by zmianie?

Doktrynerzy komuny są już mocno przetrzebieni, a obecni władcy proletariatu dążą do ustabilizowania ustroju i nadania mu większej spoistości, nie komunizm jednak jako taki jest *spiritus movens* ustroju, lecz szereg sił i wartości psychicznych, trzymających w okowach setki milionów

ludzi, którzy żyją tylko tym, co hierarchia rządząca podaje im do wierzenia i wykonania. Istnieje cała więź okoliczności pierwszorzędного znaczenia, o ile chodzi o znaczenie w „przebudowie” psyche rosyjskiej, które nie mają wiele wspólnego z samą doktryną ekonomiczną komunizmu.

Jaką jest zatem zasadnicza cecha charakteru ustroju komunistycznego? Poddani ustroju są płatnymi urzędnikami teoretycznej komuny, o stałych poborach, płacach i pensjach, nie mając nic wspólnego „z zyskiem od kapitału”. Stany urzędnicze i niższych funkcjonariuszy państwowych we wszystkich krajach mają również płace stałe, co nie przeszkadza, że światopogląd mają różny od sowieckiego. Nie stałość więc płac i oderwanie milionów ludzi od „zysku i wyzysku” prywatnego kapitału stwarza mentalność sowiecką i jej światopogląd.

O wiele większe znaczenie wychowawcze dla tłumu w kierunku przemiany jego światopoglądu ma uczucie stałego lęku i świadomość zmienności wszystkiego, uniemożliwiająca jednostce świadome współdziałanie z przyszłością i wykuwanie w spokoju swoich losów. W kraju Sowietów nie ma nic stałego. Pojęcia i ludzie władzy zmieniają się z zawrotną szybkością.

Pojęcia i jednostki kierownicze ulegają ewolucji, względnie zmieniają się wszędzie, lecz pomiędzy ewolucją, a zmianą pojęcia o 180 stopni, między zastąpieniem jednego dyktarza przez drugiego, a uczynieniem z pana życia i śmierci milionów ludzi, decydującego bezapelacyjnie w kwestiach dobra i zła — nagle zbója, zdrajcy całej społeczności komunistycznej, jest wielka różnica.

W każdym społeczeństwie ustabilizowanym, oprócz pojęć podlegających ewolucji, istnieją pewne zasady niezienne; prawne, moralne czy obyczajowe, pewne stałe podstawy, które, jeżeli się je szanuje dają szansę dojścia do pewnych określonych wyników, a przynajmniej uniknięcia katastrof. W państwie proletariackim jedyną chyba stałą zasadą, jest konieczność ślepego posłuszeństwa wobec władzy rozkazującej, która żadną zasadą, żadnym stałym pojęciem nie jest związana, a ponieważ opinie jej i pojęcia są bardzo zmienne, poddany sowiecki nigdy naprzód nie może

wiedzieć co dobrze będzie widzianym, a co źle, i nie stara się nawet o rozwiązywanie tej zagadki.

Poddany sowiecki boi się, drży, lęka, aby czego nie uczynić co mogłoby być poczytywanym przez władzę za zło. Ten strach o siebie jest tak wielki, że nie starcza go już dla bliźnich. Poddany sowiecki staje się zupełnie obojętnym na losy otoczenia. Człowieka, który popadł w niełaszkę władzy, opuszczają w ogóle wszyscy, pojęcia przyjaźni, uczucia rodzinne przestały tam w znacznej mierze istnieć.

Badając zjawiska metamorfoz narodowych trzeba się umieć posługiwać analizą myśli i uczuć ludzkich. Myśli jednostki, ani też masy ludzkiej nie są zupełnie dowolne. Wiele czynników składa się na ich formowanie. Sam ustrój, a przede wszystkim czynnik władzy politycznej, wywiera bardzo potężny wpływ na rządzonych, zwłaszcza w czasach kiedy tyle środków znajduje się w dyspozycji rządu.

W ustrojach totalnych (a wszystkie omawiane trzy ustroje należą do tego typu) prasa, radio, całkowicie lub częściowo literatura, nie mówiąc już o całej machinie biurokratycznej, są nastawione na myśli i pojęcia podawane z góry. Podwładny jest opłątany całą siecią myśli, której chcąc nie chcąc ulega. Rządzący staje się w tych warunkach, więcej aniżeli kiedykolwiek w przeszłości, producentem myśli i uczuć rządzonych.

O ile chodzi o Rosję „idące z góry” pojęcia są bardzo zmienne; w tej ciągłej zmienności kształtuje się myśl, światopogląd i charakter poddanych państwa proletariackiego. Co z tego z czasem wyniknie? Zapewne że nic innego jak wielka katastrofa i to nie tylko polityczna, ale sięgająca korzeniami dna jaźni ludzkiej.

Nie każda jednak przemiana narodowa współczesna dążyć musi do katastrofy, jakkolwiek epoka nasza pełna harców i niesamowitych wstrząsów, nie będzie elementu tego pozbawioną. Zrozumieć należy jedno: metamorfozy współczesne na których drogę weszła już część narodów, a druga do nich się przygotowuje, są zjawiskiem, któremu oprzeć się nie można, ponieważ zależnym jest ono od zmienionych warunków życia ludzkiego po wojnie i co ważniejsze od historycznej myśli przeżywanego okresu. W związku z tym

zjawiają się różne doktryny, pędzone „celowością ludzką”, tą, co się tak często mija z przewodnią myślą historii.

Jeśli ujmemy tę myśl mocno i odważnie; wówczas polska nasza metamorfoza dokona się zupełnie świadomie, celowo, bez wstrząsów, bo oparta będzie nie na problematycznych przesłankach doktrynalnych, lecz na rządzącym ludźmi Prawie, syntetyzując w sobie to, co ma być osiągnięte jako dodatni rezultat przeżyć, cierpień i zmagañ całej naszej „epoki przejściowej”.

H. J. Korybut-Woroniecki.

Kolonizacyjny i polityczny eksperyment Italii w Libii.

I.

Sprawy basenu śródziemnomorskiego, ześrodkowującego od paru już lat międzynarodowe zadrażnienia Europy, przy każdym najbardziej normalnym posunięciu rządowym któregoś z państw tego basenu, wywołują szereg najrozmaitszych alarmujących komentarzy w żyjącej z sensacją prasie europejskiej. Alarmy te stają się oczywiście bardziej naglące w razie zaistnienia w tych rejonach faktów znamionujących istotne zmiany kierunków i nastawień polityki któregoś z większych państw tego morza. Stąd też ostatnia podróż Mussoliniego do Libii zmobilizowała słuszną do pewnego stopnia uwagę, aczkolwiek nie zawsze trafne wywołała komentarze w prasie światowej. Można nawet sądzić, że o rozległość tych komentarzy chodziło samymże organizatorom libijskich uroczystości. Wszak oficjalnie zaproszono na nie międzynarodowy zespół dziennikarzy złożony z stu pięćdziesięciu osób, oraz goszczono go z całym przepychem na tej odbudowanej przez nowy Rzym, zasypanej piaskami pustyni, kwitnącej ongiś ziemi dawnego Rzymu cesarów. Niewątpliwym jest bowiem, że podróż ta nie była zwykłą tylko, przeprowadzoną przez głowę rządu inspekcją dokonanych organizacyjnych osiągnięć w Libii, lub zapowiedzią intensywniejszej ich rozbudowy, lecz znamionowała zarazem nowe nastawienia, tak ściślej polityki kolonizacyjnej i tubylczej, jak i poszukiwania nowego oparcia dla włoskiej polityki śródziemnomorskiej.

Usiłując wyzyskać walory kolonialne Libii i przystosować ją w możliwie najwyższym stopniu do zaspakajania potrzeb metropolii, polityka kolonialna Italii zmuszoną jest do liczenia się z niewielkimi naturalnymi możliwościami tego kraju. Kompletny natomiast brak zasobów surowcowych na terytoriach metropolitalnych, oraz równoczesne nadzwyczajne ich ciśnienie populacyjne natężają potrzeby Italii do wymiarów nieznanych u dwóch jej śródziemnomorskich rywali. Ilościowa i jakościowa rozległość tych potrzeb, niemniej jak coraz bardziej uszczuplające się możliwości międzynarodowego ich zaspakajania domagają się od tej polityki większego niż u dwóch pozostałych mocarstw wysiłku i poświęcenia. One również imperatywnie nakazują zamianę dotychczasowych tradycyjnych metod kolonizacyjnych na metody bardziej przystosowane do narodowych możliwości metropolii i nowych międzynarodowych warunków bytowania.

Terytoria Libii, które dzięki zainicjowanej nowej polityce kolonialnej mają ułatwiać zaspokajanie metropolitalnych potrzeb surowcowych i dawać ujście jej koniecznościom demograficznym, posiadają ponadto dla Italii bardzo poważne międzynarodowe znaczenie polityczne. Zamykając bowiem łącznie z Sycylią drogę śródziemnomorską w jednym z wązszych jej przejść, a wysuwając swe bazy daleko na wschód ku Suezowi, szachują one ruchy pozostałych państw na tym morzu. Zwarta masa muzułmanów Libii, dzieląca dwa inne światy muzułmanów Francji i Brytanii, pozwala jej na ewentualne wygrywanie duchowej ich jedności, przeciwstawiając ją politycznym posunięciom tych dwu „muzułmańskich” potęg Europy.

Warunki demograficzne i gospodarcze Italii, zmuszając ją do zainicjowania polityki kolonizacyjnej, której nie mogą już stosować demograficznie wyczerpane inne mocarstwa kolonialne, nadaje specjalnej wartości italskim próbom w Libii. Geopolityczna natomiast sytuacja Italii, zamkniętej w basenie Morza Śródziemnego, zaosttrajac walkę o dostęp do jej posiadłości imperialnych, położonych poza jego obrębem, zmusza ją do niebezpiecznych być może prób specjalnej polityki muzułmańskiej. Stąd też oba aspekty, kolonialny i polityczny libijskiego eksperymentu Italii w dużej mierze uspra-

wiedliwiają, jeżeli nie alarmy, to przynajmniej zainteresowanie się tymi zagadnieniami prasy i opinii publicznej Europy.

II.

Oceniając kolonizacyjny wysiłek Włoch w Libii, oraz jego osiągnięcia i dalsze perspektywy, nie można pominąć warunków naturalnych kraju, w których rozwija się ta działalność. A trzeba stwierdzić, że warunki te nie są zbyt sprzyjające europejskim poczynaniom. Brak wszelkich bogactw kolonialnych zacieśnia możliwości do rolniczego tylko i pasterskiego zagospodarowania. Jednak nawet i te rolnicze możliwości, napotykają na mnóstwo różnorodnych przeszkód, które pozwalają na zagospodarowanie nieznacznej tylko przestrzeni tej rozległej kolonii.

Stale rywalizujące i wzajemnie przeciwstawiające się wpływy Śródziemnomorza i Sachary oddziałują specjalnie ujemnie na klimat tego kraju, nadając mu wybitnie nieregularne cechy, o ciągłych i gwałtownych zmianach temperatury. One też koncentrują nieznaczne jego atmosferyczne opady w paru miesiącach zimowych, z całkowitym ich pozbawieniem reszty roku. Gorące wiatry pustyni, osuszając nadmiernie glebę i atmosferę, grzebią pod zwalami drobnego piasku najpracowiwsze osiągnięcia rolnika, a słone wiewy wiatrów od morza nie przyczyniają się również do ułatwienia jego trudu. Tak ciężkie dla rolnictwa warunki klimatyczne kraju znacznie zwiężają rodzaje kultur i utrudniają ich uprawę.

Mnóstwo przeszkód, napotykanych przez rolnika w tej kolonii, nie wyklucza jednak rolniczego jej zagospodarowania i dodatnich rezultatów. Rozległe wykopaliska Leptis Magna, Cirene i inne, powszechne bogactwo ich budowli, rozległość i przepych gmachów publicznych i liczne ślady rolniczego przemysłu przetwórczego, świadczą wyraźnie o potężnym tętnie życia tych miast, oraz o wysokiej kulturze i zamożności tego, dawno już pogrzebanego pod piaskami, greckiego i rzymskiego świata Afryki. Żywa zieleń sadów oliwnych i winnic, ciągnących się obok jałowych przestrzeni stepu i usypisk ruchomego piasku, świadczą nie

tylko o uporze i pracowitości włoskiego kolonisty, lecz również i o obecnych możliwościach rolniczej waloryzacji kraju.

Waloryzacja jednak ta, zacieśniona do rolniczych tylko poczynąń, wymaga ponadto specjalnych i kosztownych przygotowań i wielkiej pieczołowitości. Żeby bowiem praca rolnika mogła wydawać dobre rezultaty w tych, tak odrębnych od europejskich, naturalnych warunkach Libii, winna ją poprzedzić praca badacza, poszukującego na polach doświadczalnych i w laboratoriach właściwych kultur roślinnych, najłatwiej przeciwstawiających się tej masie przeszkód, oraz najodpowiedniejszych metod ich uprawy, umożliwiających maksymalne wyniki. Otóż ta praca badawcza utrudniona jest w Libii ogromną różnorodnością jej specjalnych lokalnych warunków, zmuszających do rozpraszania wysiłku i uwielokrotnienia doświadczeń.

O ile rezultaty osiągnięte w tych metodycznie prowadzonych badaniach stwierdzają możliwości oparcia rolniczej waloryzacji Libii na solidnych podstawach gospodarczych, społeczne konieczności metropolii, zmuszające ją do poszukiwań ujęć dla nadmiaru jej ludności, tym bardziej uzasadniają potrzebę przystąpienia do tego dzieła. Do intensywnego też skolonizowania tego kraju zmuszają również czynniki polityczne. Dla odegrania bowiem w nadchodzących rozgrywkach międzynarodowych należnej jej z tytułu geograficznego położenia roli, winna Libia znacznie zwiększyć swe europejskie zaludnienie i stać się bardziej samowystarczającą bazą strategiczną, dobrze zagospodarowaną i lojalnie nastrojoną.

III.

Rozpoczynając swą działalność kolonizacyjną w Libii, Italia stosowała obce wzory, a tworząc obszerne plantacje, żądała od ich właścicieli zagospodarowania określonych ich przestrzeni i rozbudowy potrzebnych do tego urządzeń gospodarczych. Niezadawalniające wyniki tej fabrycznej niejako produkcji kolonialnej, pogarszające się międzynarodowe stosunki migracyjne, oraz wzrastające konieczności surowco-

węgo zaopatrywania się we własnych granicach politycznych, powodują decydujący zwrot w polityce kolonialnej Italii. Dlatego ustawodawstwo kolonialne z lat 1928/1929, nie tylko usiłuje rozmaitymi środkami natężyć kolonizacyjne poczynania, lecz ponadto wprowadza do nich nowy czynnik demograficzny. Sankcjonując poza tym twierdzenie, że ziemie nieuprawiane stanowią własność państwa, za wyjątkiem dowodu przeciwnego, ustawy te zaopatrzyły władze kolonialne w duży zapas ziem, mniej lub więcej odpowiadających celom kolonizacyjnym, oraz zwiększyły ich możliwości ingerencyjne w działania prywatnych kolonizatorów.

Poczynając też od tego okresu kolonizacja Libii, rozwijając się konsekwentnie, opierała się na trzech podstawowych czynnikach: nieustannej i wszechstronnej ingerencji państwa, możliwie szeroko zorganizowanym kredycie, oraz różnorodnej pomocy technicznej.

Ingerencja państwowa nie ogranicza się tylko do zarządzeń ustawodawczych lub rozdawnictwa terenów, lecz sięgając w dziedzinę pomocy bezpośredniej zwraca części kosztów, dochodzących niekiedy do 50%, wydatkowanych na nawodnienie, na gospodarcze zabudowania, na zadrzewienie przeciwwiatrowe, na urządzenia studienne (przeciętnie od 30 do 400 m głębokie), na zrationalizowanie gospodarstw, na budowę dróg dojazdowych, na zalesienie wydym ruchomych, lub wreszcie na zakup określonych maszyn rolniczych.

Kredyt rolniczy, oparty na kapitałach państwowych, udzielany jest w formie długoletnich pożyczek, tak dla uskutecznienia przeniesień tytułów własności rolnej, jak również na gruntowne przetworzenie gospodarki plantacyjnej, lub nawet na jej normalne prowadzenie. Poza kredytem, udzielanym w walorach wymiennych, szereg kooperatyw wydaje pożyczki w naturze. Do końca 1936 r. sama tylko Libijska Kasa Oszczędności udzieliła obywatelom metropolitalnym około 140 milionów lirów rozmaitych pożyczek rolnych.

Pomoc techniczna, oparta na doświadczeniach sieci stacyj oraz laboratoriów rolniczych i zootechnicznych, jest specjalnie cenną, ponieważ organizuje ona, na koszt państwa i pod fachowym kierownictwem, uprawy pokazowe na

terenach prywatnych, gęsto je rozrzucając po całym kraju i umożliwiając najszerze doświadczenia w rozmaitych warunkach kolonii i z różnymi kulturami roślin. Rozdając miliony sadzonek, lub samo je plantując, zalesiło państwo prawie dziesięć tysięcy hektarów wydym piaszczystych. Uważając, że nawodnienie kraju urentowni gospodarkę libijską, zwiększy jej produkcję, umożliwi wyżywienie większej ilości mieszkańców, a przede wszystkim przyczyni się do zagęszczenia ludności metropolitalnej, rozpoczęły władze kolonialne intensywne poszukiwania wód podskórnych, nabywając w tym celu nowoczesny sprzęt wiertniczy i przystępując do budowy głębokich studzien artezyjskich.

W rezultacie tej kolonizacyjnej działalności, europejskie gospodarstwa zwaloryzowały w Libii przeszło 167.500 hektarów dawniejszych nieużytków oddając z tej liczby prawie 65 tysięcy hekt. pod sadownictwo drzew, przeważnie oliwnych i migdałowych, oraz nawadniając ponad 2.500 hekt.

IV.

Ustawodawstwo kolonialne 1928/1929 stało się momentem zwrotnym w libijskich kolonizacyjnych poczynaniach Italii. Postanowienia jego nie były jednak ostatnim wyrazem dokonywującej się ewolucji, lecz tylko stwarzały podstawy dla dalszego rozwoju idei kolonizacji demograficznej.

Ustanawiając, że tereny państwowe Libii przeznacza się przede wszystkim dla waloryzacji rolniczej i osiedlenia na nich emigrantów z Italii, tylko w tych wypadkach, w których osiągnięcie tego zasadniczego celu jest niemożliwe, ustawy te pozwalają na użytkowanie obszarów do rolniczego, przemysłowego lub pasterskiego zagospodarowania. Nie zamierzając jednak narazie prowadzić kolonizacji osiedleńczej we własnym państwowym zakresie, państwo włoskie przez ustawy te zobowiązuje koncesjonariuszy nie tylko do zagospodarowania ich koncesyj, ale także i do zatrudnienia na nich określonej ilości pracowników metropolitalnych. Chcąc jeszcze bardziej ich do tego zachęcić, ustanawia innym dekretem cały szereg pomocy finansowych, które mają być udzielane koncesjonariuszom, w wyraźnym jednak uzależ-

nieniu od ilości rodzin kolonistów, przyjętych do gospodarstwa, od charakteru umów (o pracę lub współudział), zawartych z nimi, oraz dalszych demograficznych możliwości tego gospodarstwa, jak i jego rejonu.

Stwarzając ustawami z 1928/1929 podjętą dla działalności osiedleńczej, państwo samo nie podejmuje się jeszcze czynnego działania w tej dziedzinie. Nowym etapem ewolucji w tym kierunku był rok 1933. W tym roku bowiem powołano do życia instytucję, grupującą kapitały państwowe i społeczne, oraz powierzono jej tworzenie małych, nie przekraczających 50 hektarów, własności rolnych. Nie mając na widoku celów spekulacyjnych, instytucja ta jest uprawnioną nie tylko do rewindykowania kosztów początkowego zagospodarowania takiej działki, lecz również i do nieznacznego oprocentowania włożonego w to kapitału. Koszty te natomiast obciążają hipotekę nowej własności ziemskiej i są spłacane w długoletnich ratach. Dążąc do stworzenia małego, a w miarę i samowystarczającego gospodarstwa rolnego, oraz usiłując odpowiednio przygotować tych nowych kolonistów do ich dalszych poczynąń, zobowiązuje się każdego z nich do pracy w ciągu początkowych 2 do 5 lat, na rachunek i pod kierunkiem tej instytucji, w charakterze jej pracownika-współudziałowca.

Nowe ustawodawstwo i specjalna opieka władz dodały bodźca działalności osiedleńczej, umożliwiając osadzenie na własnej roli około 1.500 kolonistów, oraz ich zaopatrzenie w prawie 5.500 rozmaitych murowanych budowli gospodarczych. W całej też masie istotnych gospodarczych i społecznych osiągnięć kolonizacji włoskiej w Libii, które w czasie podróży wzdłuż tej kolonii mogłem w zespole dziennikarzy oglądać i zbadać, te właśnie małe gospodarstwa europejskie, używające jałowy step i wrogie piaski tego kraju fizyczną pracą swych właścicieli, wydawały się mi największą kolonialną zdobyczą Italii.

Opieka władz kolonialnych w tej osiedleńczej dziedzinie wyraża się specjalnie skuteczną pomocą, w myśl bowiem jednego z dekretów, całość kosztów, związanych z wykonaniem robót publicznych w nowozakładanych ośrodkach rolniczych pokrywa z własnych środków państwo.

V.

Władanie krajem kolonialnym, wkłada na metropolię obowiązki gospodarczego albo populacyjnego skolonizowania nabytych obszarów, wywołując konieczności określonej polityki kolonizacyjnej, oraz zmusza ją ponadto do pewnego ustosunkowania się do ludności miejscowej, a więc i do wyboru właściwych metod polityki tubylczej. Zwarta masa tubylczej ludności Libii, oraz jej zakorzenione tradycje własnego społecznego i politycznego ustroju, ożywione religijnym fanatyzmem sekty senussitów, dążącej do ścisłego izolowania się od reszty świata, postawiły przed Italią trudniejsze do przewyciężenia przeszkody, niż miało to miejsce w innych koloniach.

Wychodząc z założeń, że zagadnienia religijne są głównym podłożem jedności społecznej, a nawet i politycznej świata muzułmańskiego i specjalnej zwartości poszczególnych jego ugrupowań, nowa polityka Italii zwróciła przede wszystkim uwagę na te właśnie sprawy. Dlatego to prawdopodobnie rząd kolonii nie szczędził wydatków na odbudowę starych, lub na fundację nowych meczetów, a Mussolini nie ominął żadnego z nich w czasie swej ostatniej podróży libijskiej. Dlatego też również urzędowy informator, rozdany towarzyszącym Mussoliniemu dziennikarzom, specjalny kładzie nacisk na poszanowanie przez kolonialny rząd tradycji i religijnych zwyczajów wyznawców proroka, oraz pomocy udzielanej przez niego trybunałom koranicznym i ich wyrokom, sankcjonującym odrębności statutu personalnego i prawa spadkowego muzułmanów. Starając się zapewnić sobie na tej drodze sympatie i lojalność tubylczej ludności, zmierza niewątpliwie Italia do uzyskania pomocy całego świata muzułmańskiego w jej międzynarodowych politycznych poczynaniach.

Polityka sanitarna władz kolonii, dążąca do podniesienia zdrowotności kraju, a tym samym i do urentownienia jego zagospodarowania, niemniej staje się korzystną także i dla całości jego tubylczych mieszkańców. Korzyści te odnoszą oni przede wszystkim z energicznie i konsekwentnie prowadzonej walki z powszechną w Libii plagą trachomy, czyniącą ogromne spustoszenia wśród mało obznajomionej

z higieną arabskiej i żydowskiej ludności. Zagęszcza się więc sieć, rozrzuconych po kraju szpitali, ambulatoriów i poradni sanitarnych, mających służyć pomocą całej ludności w tej walce, a w celu wyplenienia tej choroby wśród młodego pokolenia specjalną uwagę zwraca się na szkolnictwo. W tejsze trosce o przyszłe pokolenia, rozszerza się także i na ludność tubylczą działanie komitetów opieki nad macierzyństwem i dzieckiem, ustanowionych początkowo wyłącznie dla obywateli metropolitalnych. Opieka ta przyczynia się niewątpliwie do znacznego zmniejszenia śmiertelności wśród najmłodszego pokolenia. Świadczenia coraz częstszego korzystania ludności tubylczej z urzędów leczniczych kraju dostarczają statystyki z r. 1936. Wynika z nich, że około połowy 145.000 szpitalnych dni kuracyjnych było poświęconych właśnie ludności tubylczej, jak również i to, że w masie 240.000 udzielonych pomocy ambulatoryjnych, na nią przypadło przeszło 165.000.

W dziedzinie ogólnej organizacji sanitarnej kraju, stawiającej za cel podniesienie jego zdrowotności i zmniejszenie znacznego jeszcze procentu śmiertelności, władze kolonialne rozwijają intensywną działalność w polepszaniu higieny miejsc zamieszkałych i publicznych rynków sprzedaży, oraz w urządzaniu higieniczniejszych warunków wodnych. Rezultaty tych poczynań uwidaczniają się nie tylko w takich europejskich miastach, jak Tripoli i Bengazi, lecz i w małych miścinach, jak Derna, Cirene, lub Apolonia.

VI.

Zmierzając w swej muzułmańskiej polityce społecznej do ścisłego związania ludności libijskiej z metropolią, usiłuje Italia osiągnąć także same cele i w dziedzinie gospodarczej. W tej dziedzinie poszukuje ona ponadto możliwości rozbudowy ekonomiki imperialnej, zwiększając walory i ilości eksportowe tubylczej produkcji, oraz potęgując chłoność rynku kolonialnego dla wyrobów metropolii.

Ponieważ osiadła ludność tubylcza Libii zajmuje się rolnictwem, a raczej sadownictwem, a największe jej bogactwo stanowi palma daktylowa, dlatego od dawna zwrócono

uwagę na jej należyte wyzyskanie gospodarcze. To też usiłuje się wyprodukować gatunki bardziej nadające się do eksportu, oraz zmierza się do jego technicznej i handlowej organizacji. Biorąc pod uwagę tubylczy prymitywny sposób gospodarowania, jak również i nadzwyczaj urozmaiconą jego skalę, władze kolonialne ustanowiły we wszystkich większych ośrodkach specjalne urzędy rolnicze, dysponujące fachowcami najrozmaitszych szczebli, powierzając im udzielanie wszelkich porad i pomocy w dziedzinie uprawy, sadzenia i szczepienia rozmaitych roślin użytkowych, niemniej jak w dziedzinie techniki zbiorów, ich konserwacji i ekspedycji. Wśród tych zadań sporo wydatków pochłaniają również zaopatrywania tychże tubylców w najlepsze gatunki sadzonek lub nasion, oraz w najważniejsze narzędzia uprawy.

W dziedzinie opieki nad pasterstwem, wysiłki te nie są mniejsze chociaż rozległość terytoriów kolonii, oraz niestanna ruchliwość tubylców-pasterzy znacznie je utrudniają. Wysiłki władzy zmierzają w pierwszym rzędzie do zapewnienia możliwych warunków wyżywienia stad. W tym celu buduje się mnóstwo obiektów betonowych, ułatwiających oszczędne gospodarowanie istniejącymi zasobami wodnymi, wierci się w miarę możliwości liczne studnie, oraz zakłada tamy na suchych zazwyczaj łożyskach, zamieniających się we wzburzone potoki w krótkich okresach deszczów. Drugim celem, stawianym hodowlanej polityce kolonialnej, jest ulepszenie ras bydła, oraz ujednostajnienie całości takiej hodowli w określonym rejonie, co stwarza bardziej jednolity i handlowo bardziej kalkulujący się produkt. Dla osiągnięcia tych wyników, utrzymuje się we wszystkich ważniejszych ośrodkach hodowli najbardziej odpowiednich reproduktorów, dostarcza się ich bezpłatnie tubylcom, a nawet ofiarowuje się odpowiednie jednostki biedniejszym kabilom pasterskim.

Rzemiosłu libijskiemu, mającemu za sobą długą historyczną tradycję i do dziś zachowującemu swe oryginalne artystyczne cechy, poświęca administracja kolonialna poważną dozę swej działalności. Zmierza ona z jednej strony do zawodowego wykształcenia rzemieślników, oraz unowocześnienia ich środków produkcji przy pomocy ustawowej

i gospodarczej ich organizacji, z drugiej natomiast usiłuje się stworzyć prawną ochronę dla lokalnej oryginalności tego rzemiosła. Urządza się w tym celu częste i rozmaite pokazy konkursowe rzemieślników i terminatorów, połączone zazwyczaj z możliwościami zdobycia pieniężnych nagród, prócz oczywistych ułatwień sprzedaży, oraz starannie obsyła się libijskimi eksponatami rzemieślniczymi wszelkie targi i wystawy metropolii a nawet sięga się nimi również i za granicę.

VII.

W szkolnictwie tubylczym i organizacji młodzieży nowatorstwo italskiej polityki tubylczej było bodaj najbardziej odważnym a nawet być może i ryzykownym. Ryzyko to wypływa oczywiście nie z samego tylko faktu szerzenia oświaty wśród tubylców, lecz z jej rozsiewania wśród rzesz młodzieży, organizowanej w założeniach przyszłej podpory reżimu i italskiego władztwa w Afryce, bez równoczesnego udostępnienia tych samych uprawnień i możliwości co i obywatelom metropolitalnym.

Organizacja szkolnictwa Libii, obliczona przede wszystkim na danie ogólnego i zawodowego wykształcenia młodzieży metropolitalnej, znajdująca swój wyraz, tak w większej ilości szkół metropolitalnych, jak i w liczbie uczęszczających doń uczniów, nie jest na ogół zdecydowanie ekskluzywną. Specjalnie jest to prawdziwym w szkolnictwie średnim, do którego dopuszcza się i tubylców, w skromnym wprowadzie narazie udziale, wynoszącym w roku 1936 zaledwie 5%, bowiem na 2.400 uczniów szkół średnich, obywateli libijskich było tylko 120.

Jeżeli więc szkolnictwo średnie jest wspólne dla tubylców i Włochów, to w szkolnictwie elementarnym wyraźniej występuje podział narodowościowy, jednak i tutaj, zależnie od warunków lokalnych, bądź tubylcy uczęszczają do szkół metropolitalnych, bądź też odwrotnie Włosi nabywają swą wiedzę w szkołach tubylczych. Szkolnictwo tubylcze, udzielając swym uczniom ogólnych wiadomości, bądź w języku arabskim, bądź włoskim, oraz zapoznając ich z określonymi sprawami arabskimi i muzułmańskimi, specjalną uwagę

zwraca na szerzenie wśród nich najszerszych wiadomości o kulturze i historii Italii. Elementarne szkolnictwo obejmowało w roku 1936 około 11.700 uczniów szkół metropolitalnych, oraz 10.500 uczniów szkół tubylczych. Tę ostatnią liczbę należy jednak powiększyć jeszcze o 12.000 uczniów szkół koranicznych. Władze kolonialne udzielając i tym szkołom sanitarnej i technicznej opieki, pragną doprowadzić ich poziom do wymagań pierwszych klas elementarnych szkół państwowych.

Specjalną kategorię stanowi szkolnictwo zawodowe, kształcące rzemieślników, tak wśród osiadłych tubylców, jak i Włochów. Należy podkreślić, że na rzemieślnicze przysposobienie uczniów zwraca się szczególną uwagę we wszystkich szkołach. Mieliśmy sposobność oglądać bardzo zasobnie urządzone warsztaty tkackie i pracownie wyrobów skórzanых w szeregu zwiedzanych przez nas szkół. Do tejże kategorii należy zaliczyć, założoną ostatnio żeńską szkołę pielęgniarek, kształcąca miejscowe obywatelki w podstawowych zasadach higieny i za ich pośrednictwem szerzącej je wśród społeczności arabskiej, która z nieufnością odnosi się do obcych.

Zmierzając do poddania swym wpływom całości wykształcenia młodzieży tubylczej, oraz uniknięcia jej wyjazdów po naukę za granicę — założono w Tripoli Wyższą Szkołę Islamiczną, mającą przygotowywać nauczycielstwo dla elementarnych szkół tubylczych i dla muzułmańskich zakładów duchownych.

Dążenie do opanowania młodego pokolenia arabów nie kończy się jednak poza murami szkolnymi. Niedawno powołano w tym celu organizację młodzieży, którą pod nazwą *Gioventu Araba del Littorio*, oddano do dyspozycji i wychowania milicji faszystowskiej. Założenia ideologiczne tej organizacji, o charakterze przysposobienia wojskowego, stawiają sobie wyraźne zadania kształcenia mentalności tej młodzieży zgodnie z fizycznymi i duchowymi wymogami faszystowskiego życia społecznego, oraz przygotowania jej od najmłodszej już młodości do służenia temu reżimowi. Wyraźnie polityczny cel tej organizacji, obliczony na wywołanie głośnego echa w całym świecie muzułmańskim, nie

jest bynajmniej ukrywany, a wspominany już informator rozdany dziennikarzom, wyraźnie to nawet podkreśla. Stan obecny tej organizacji liczy już 4 legiony, z których pierwszy dysponuje 5 batalionami, dobrze i jednolicie umundurowanej i wyćwiczonej młodzieży arabskiej.

VIII.

Geograficzna sytuacja Libii imperatywnie narzuca Italii określoną w stosunku do niej, tak międzynarodową, jak i imperialną politykę. Polityka ta winna oczywiście zmierzać do wzmocnienia naturalnych walorów Libii, jako atutu w przyszłych rozgrywkach międzynarodowych. Jest bowiem rzeczą niewątpliwą, że wartość użytkowa Libii będzie wzrastała proporcjonalnie do natężenia jej zagospodarowania, ściślejszego zespolenia mas tubylczych z metropolią, oraz co najważniejsza zagęszczenia ludności metropolitalnej na tych terenach. Wyjątkowość sytuacji geograficznej Libii, wysuwającej daleko na wschód wspaniałą naturalną bazę morską Tobruku, a na zachodzie zamykającej przepływ Sycylijski, oraz wbijającej się klinem w brytyjskie i francuskie bazy ich śródziemnomorskiego oporu, oddaje w ręce Italii szerokie możliwości wszelkiego rodzaju działań wojennych.

Skoncentrowanie bezpośrednio po wielkiej wojnie włoskich obaw i zamierzeń w zachodnim basenie Morza Śródziemnego usuwało w cień militarne walory Libii. Uzyskują jednak one ponownie całe swe znaczenie, gdy antagonizmy te przeniosły się na wschód ku Suezowi, a raczej rozlały się po całym Śródziemnomorzu. Całość też włoskich posunięć libijskich, łącznie z ostatnią podróżą Mussoliniego, a specjalnie z najnowszymi zarządzeniami, wydanymi już po jego powrocie, jest tego najwymowniejszym dowodem.

Nowe te zarządzenia, potwierdzając wzrost znaczenia Libii w polityce włoskiej, kryją w sobie tak motywy ściśle defensywne, jak i pewne nastawienia ofensywne. Ustanowienie specjalnego dowództwa morskiego i lądowego w Libii wypływa prawdopodobnie z motywów obronnych, powtarza bowiem tylko fakty, istniejące w innych koloniach tegoż morza, a po części jest przypuszczalną odpowiedzią na przyspieszone zbrojeniowe zarządzenia innych. Zrównanie

dawnych komisariatów kolonialnych z prefekturami metropolii, daje wskazówkę, że zamierza się odtąd traktować Libię, jako część składową metropolii, dodając bodźca osadnictwu włoskiemu. Nowe dekrety wyznaczają ostatnio znaczne kwoty na spotęgowanie tegoż osadnictwa. Również do dziedziny normalnej troski o dobrą organizację kraju, należy zaliczyć ofiarowanie gminom muzułmańskim dóbr o milionowej wartości, skonfiskowanych ongiś buntownikom, oraz zapowiedź szerszego dopuszczenia tubylców do samorządu i roztoczenia nad nimi dalszej jeszcze społecznej i gospodarczej opieki.

Powtarzając, stwierdzoną już niejednokrotnie prawdę, że charakter obronny lub zaczepny środków, nie jest specjalnie przywiązany do ich właściwości wewnętrznych, lecz zawsze zależny od ducha, którego nadaje się ich użytkowaniu, będziemy mogli, jak się zdaje, stwierdzić, że niektóre objawy ostatnich włoskich poczynań wskazują także i na pewne zaczepne intencje. Można by je potraktować oczywiście, jako odpowiedź na groźne przygotowania innych mocarstw i pewną chęć wskazania, że Italia również rozporządza bogato zaopatrzoną własnym arsenałem środków. Specjalne ustosunkowanie się do przedstawicieli prasy muzułmańskiej, stanowiących najliczniejszą grupę w międzynarodowym zespole, towarzyszącym Mussoliniemu w jego podróży libijskiej, przemówienia niektórych arabskich przedstawicieli, zaofiarowanie przez nich „miecza Islamu”, jak i ukryta symbolika (choćaby przedstawienia w teatrze arabskim Derna), mogą stanowić pewne, oczywiście bardzo problematyczne, oznaki tych ofensywnych nastawień.

IX.

Ewentualne powodzenie italskiego eksperymentu, stosowanego obecnie w dziedzinie kolonizacyjnej i tubylczej polityki libijskiej, wywoła niewątpliwie poważny przewrót w dotychczasowych pojęciach kolonizacyjnych, jak również i we wzajemnym ustosunkowaniu się nie tylko mocarstw śródziemnomorskich. Pozytywne gospodarcze i społeczne osiągnięcia italskiej polityki osiedleńczej na ziemiach Libii,

mogą decydująco przyczynić się do pogrzebania twierdzeń o całkowitej nieużyteczności terytoriów Afryki dla masowych osiedleńczych poczynąń Europy. Twierdzenia te rozsiewały dotychczas najgorliwiej mocarstwa, dzierżące całość ziem kolonialnych a nie dysponujące już żadnym potencjałem emigracyjnym, zwłaszcza rolniczym. Kolonialne osiągnięcia Italii, wzmagając śródziemnomorską i światową pozycję nowego imperium, ułatwią też międzynarodową sytuację państw przeludnionych i poszukujących dotychczas bezskutecznie ujęć dla swej emigracji. Podniosą też ich walory jako czynnika konstruktywnego w dyskutowanym obecnie nowym zorganizowaniu eksploatacji kolonialnej. Powodzenie włoskiej polityki tubylczej, wnosząc do śródziemnomorskiego świata muzułmańskiego, będącego od okresu wojny w stanie nieustannego wrzenia, pewien czynnik zjednoczenia, nie tylko mu dostarczy określonego oparcia w jego rozgrywkach z własnymi europejskimi władcami, lecz zarazem może radykalnie zmienić równowagę sił na morzu Śródziemnym.

O ile w ścisłej dziedzinie kolonizacyjnej, krótki okres próby uniemożliwia stawianie horoskopów, to jednak nie można zgodzić się z twierdzeniem, że obecna kosztowność osiedleńczego eksperymentu libijskiego, całkowicie wyklucza możliwości stosowania go na szerszą skalę. Osiedleńcze bowiem poczynania Italii, płynąc z przesłanek społecznych i politycznych w równej mierze co i gospodarczych, wymagają zdecydowanie szerszych kryteriów szacunkowych. Nie należy ponadto zapominać i o tym, że potężne przedsięwzięcia, o ścisłych nawet założeniach gospodarczych, wymagając ogromnych nakładów, zaczynają się opłacać po długich dopiero latach. Obecna kosztowna rozbudowa podłoża osiedleńczego Libii umożliwi progresywne zmniejszanie kosztów instalacyjnych każdego nowego kolonisty. Dziś już szczegółowo prowadzone doświadczenia stwierdzają, że największe koszty kolonizacji tego kraju, jego irygacja, udzieliłokratnia jego plony, ponieważ hektar ziemi, uprawiany w warunkach naturalnych wydaje przeciętnie od 25 do 35 kwintala zbóż, natomiast tenże hektar zirygowany przynosi średnio od 20 do 40.

Nowe poczynania włoskiej polityki tutejszej, dając krajowi stosowniejszą gospodarczą i społeczną konstrukcję, mogą wydać dodatnie niewątpliwie rezultaty, o ile zasady przezorności nie ustąpią w nich miejsca chęciom utrudnienia sytuacji śródziemnomorskich rywali w ich własnym świecie muzułmańskim. Podsycanie bowiem fermentu w tym świecie i tak dostatecznie wzburzonym, może nie wyjść na dobre dla całości interesów europejskich, nie dlatego nawet, że świat muzułmański mógłby obejść się bez pomocy Europy, na co jest on za bardzo rozproszkowany, lecz dlatego, że jego nieustanne sfermentowanie uniemożliwia normalną pracę Europejczyków. Niebezpieczeństwo wkroczenia na tę drogę jest natomiast tym większe, że koniunkturalne interesy polityczne niektórych mocarstw Europy chętnie by widziały maksymalne naprężenie stosunków śródziemnomorskich. Charakterystyczne pod tym względem były prasowe odgłosy ostatniej libijskiej podróży Mussoliniego. Jeżeli bowiem poważne dzienniki Italii mówiły tylko o opiece nad muzułmanami imperium, pisma pewnego wielkiego mocarstwa centralnej Europy specjalnie podkreślały światowe zadania nowego opiekuna Islamu. W świetle też tych informacji, zupełnie naturalne poczynania polityki włoskiej, usiłującej zapewnić rozwój własnego imperium, stawały się odskocznią do wielkoświatowych przewrotów.

Roman Piotrowicz.

Pesymizm Szczuckiej w „Krzyżowcach“.

I.

Omawiając i analizując w ostatnim zeszycie *Przeglądu Powszechnego* duchową postawę Szczuckiej w *Krzyżowcach*, zarzuciliśmy Autorce nadmierny pesymizm, który czytelnika przygnębia, przytłaczając go dominującym w powieści motywem ginącego świata.

Z kolei nasuwa się pytanie: w czym tkwią źródła tego pesymizmu, do którego Szczucka sama przed sobą przyznać się nie chce i który daremnie zwalczyć usiłuje?

Nie ulega wątpliwości, że mocno tu zaważyły dzisiejsze tendencje pacyfistyczne, wyolbrzymiające grozę wojny jako największego zła, które nie tylko, że zadaje rany i śmierć, ale także druzgoce dusze. I tkwi w tym właśnie pewna wewnętrzna sprzeczność, że rozmiłowana w batalistyce i apoteozująca cnoty żołnierskie autorka ulega przecież w ostatecznym osądzie remarqu'owskim wpływom, co choćby w powrocie do domu Imbrama, (jakże przypominającym podobne przeżycia wracającego na urlop do domu bohatera z książki *Im Westen nichts neues*), znalazło swój wyraz.

Może nie bez pewnego znaczenia był i katolicki pacyfistyczny rewizjonizm, który wypowiadając wojnę wojnie nie ominął i wypraw krzyżowych. Czołowy reprezentant tego obozu, dominikanin T. M. Stratmann w swojej niegdyś głośnej — dziś już zresztą przebrzmiałej — książce *Weltkirche und Weltfrieden*¹⁾ ustosunkował się do krucjat wysoce kry-

¹⁾ T. M. Stratmann O. P.: *Weltkirche und Weltfrieden*. Augsburg 1924.

tycznie i po prostu niechętnie. Trzeba jednak dobrze rozważyć naczelne założenia Stratmanna, aby zrozumieć, dlaczego wbrew powszechnemu na ogół przekonaniu, teolog dominikański zajął tak odosobnione stanowisko i wyraził pogląd, który z pewnością nie można uważać za *communis consensus* Kościoła. Przekraczałoby ramy tego artykułu, gdybyśmy chcieli wchodzić w szczegółowe przesłanki pacyfistycznej problematyki, dość będzie zaznaczyć, że Stratmann stawia wojnie sprawiedliwej cały szereg warunków i badając historię dochodzi do przekonania, że dotąd nie było kampanii, która by tym postulatom całkowicie czyniła zadość.

Nie odpowiadały im w pełni nawet krucjaty, aczkolwiek autor przyznaje, że nie było w dziejach wyprawy, która by z szlachetniejszych wypływała pobudek i stwierdza, że jeżeli chodziło o subiektywne poczucie jej twórców, to były one najzupełniej usprawiedliwione. Inaczej jednak przedstawiała się sprawa rozważania pod obiektywnym kątem widzenia i tutaj Stratmann wysuwa przeciw krucjatom następujące zarzuty. Najpierw, że wyprawa nie była konieczna, gdyż w ówczesnej sytuacji dziejowej nie zagrażało bezpośrednio niebezpieczeństwo Europie, a co zatem idzie kampania nie nosiła czysto defensywnego charakteru, czego się Stratmann, jako warunku pełnej godziwości wojny, koniecznie domaga. Następnie inicjatorzy krucjat nie rozważyli dostatecznie celowości swoich zamierzeń, czy plany ich naprawdę mogą być uwieńczone pomyślnym skutkiem, czego wynikiem były bezmyślne wyprawy ludu a nawet dzieci, nieroztropnie i naiwnie kuszące Boga swym oczekiwaniem Jego bezpośredniej pomocy, graniczącej przecież z cudem. Stąd też wyrzuca Stratmann kierownikom Kościoła, że wbrew zupełnie niedwuznacznym doświadczeniom, które dowiodły beznadziejności krucjat, przez blisko 200 lat uporczywie trzymali się idei orężnego odzyskania Ziemi Świętej i co więcej sami bezpośrednio ruchy te organizowali i przeprowadzali. Wreszcie w sposobie przeprowadzenia, w odniesieniu się do przeciwnika okazali krzyżowcy tyle srogości, że byli daleko bliżsi pojęciom starotestamentowego Izraela, w myśl których, nieprzyjaciela niechącego się poddać ni-

szczono mieczem, aniżeli nauce Chrystusowej. W konkluzji nie waha się pisarz przed postawieniem bardzo już radykalnej tezy, iż krucjaty nie poszły po linii wyznaczonej przez Opatrzność i że nie towarzyszyło im błogosławieństwo Boże, a dowodem tego miał być rzekomo nie tylko rychły, (bo już po latach 15), upadek ponownie odzyskanej Jerozolimy, ale też i liczne gwałtowne zgony wśród naczelników wypraw krzyżowych. W stosunku do pokojowych zamierzeń średnio-wiecznego Kościoła uważa Stratmann wyprawy krzyżowe za krok wsteczny.

Krytyka Stratmanna jest w pewnej mierze zanegowaniem krucjat z punktu widzenia określonego ideologicznego systematu pojęć, mianowicie z punktu widzenia doktryny pacyfistycznej. Nie tu miejsce na polemikę z tą dziś już mocno zdyskredytowaną przez ostatnie wypadki problematyką; ograniczymy się tylko do pobieżnego wykazania słabości i tendencyjności w rozumowaniu Stratmanna. Tendencyjności powtarzamy, bo autor nie waha się przed naciąganiem niektórych argumentów, byleby tylko udowodnić swoją ulubioną tezę, że nawet taka wojna jak krucjaty nie były wojną sprawiedliwą w tym stopniu, w jakim tego wymagała Chrystusowa Ewangelia i teologia kościelna.

Otóż poprzez dialektykę uczonego dominikanina prze-wija się nieustannie utajona przesłanka, że każda bezwzględnie wojna jest niewątpliwym złem. Wprawdzie wyjątkowo, w braku innych możliwości, musi być ona dopuszczana niemniej przecież niesie z sobą ogrom zła, którego nie równoważy dobro. — Istotnie tak jest w znacznej większości wojen, ale twierdzenia tego nie można bezwzględnie uogólniać; a już chyba jest kwestią bezsporną, że im szczytniejsze powody stają się genezą wojny, im większych od społeczeństwa wymagają ofiar, tym większą staje się możliwość towarzyszącego jej dobra. A pod tym względem były właśnie krucjaty — jak zresztą przyznaje sam Stratmann — w całych dziejach nieprześcignione i dzisiejsze chrześcijaństwo takiego olbrzymiego przejawu bohaterstwa już nie zna. Tylko zatem wtedy, gdyby istniała moralna pewność, że dana wyprawa obniży ogólny poziom człowieczeństwa w danym okresie, należałoby ją z pobudek moralnych zaniechać,

ale tego, mimo tylu nadużyć i nieroztropności, żadną miarą nie można powiedzieć o krucjatach i w gruncie rzeczy nie ośmiela się na taki sąd nawet sam Stratmann.

W kwestii, czy wojna ofensywna z Islamem była konieczna, trzeba podkreślić fakt, iż Islam uczynił wówczas — co zaznacza sam Stratmann — walkę z chrześcijaństwem jednym z zasadniczych punktów swego programu. Nadmienmy jeszcze, że obrońca pacyfizmu nie próbował nawet wykazać iż obok krucjat istniał jakikolwiek inny a skuteczny sposób odzyskania miejsc świętych i obrony chrześcijan na bliskim Wschodzie.

Nie przekonywuje nas również dalszy zarzut, że krzyżowcy winni byli mieć moralną pewność uzyskania zwycięstwa, lub przynajmniej przekonanie, iż wojna nie pogorszy istniejącej sytuacji. Postulat Stratmanna, by prowadzący wojnę mieli z góry jakąś gwarancję zwycięstwa nie tylko subiektywną, ale obiektywną, jest wątpliwy, a nawet wręcz podejrzany. Czyżby nie istniały sprawy, dla których obrony należy się porwać do boju nawet wówczas, gdy nadzieja wygranej jest nikła, prawie minimalna? Na gruncie polskim jest ta stratmannowska problematyka chyba już w zupełności przezwyciężona, bo przecież w podobny sposób usiłowano i u nas zwalczać ideologię powstaniową, a nie można powiedzieć, żeby te próby stańczykowskiej ideologii były dla nas szczególnie sympatyczne.... Zresztą wojna nie jest problematyką, a ta moralna pewność, o którą pacyfiście chodzi, rodzi się z wiary w słuszność sprawy, z nieugiętej woli wytrwania, z ufności w niepożyte siły — w daleko wyższym stopniu, niż z jakichkolwiek innych uchwytnych i dających się obliczyć czynników. I znowu krucjaty są tu właśnie znakomitą świadectwem, że nawet tam, gdzie zawodzi organizacja, gdzie góruje naiwny idealizm, wkraczający na strome zbocza angelizmu, przecież niezwykle napięcie duchowe może doprowadzić do nieprawdopodobnych wprost sukcesów.

A jakże przedstawia się sprawa z rzekomym cofnięciem się Kościoła, który zamiast pogłębiać propagowaną już wtedy ideologię pacyfistyczną, przerzucił się na stronę koncepcji wypraw krzyżowych? Średniowieczny Kościół nie

poszedł w kierunku zupełnego potępienia zawodu żołnierskiego, nie tylko dlatego, że wojna w pewnych wypadkach jest zarówno godziwą jak i konieczną, co zawodowi wojskowemu daje dostateczne uzasadnienie. Podejmując ideę pokoju powszechnego rozumiał to bardzo dobrze, że jedyna, realna, wiodąca do tego droga, polega nie na doktrynerskim pacyfizmie, który w stosunku do tych młodych, o typie militarystycznym społeczeństw nie miał żadnej nadziei powodzenia, ale na uszlachetnieniu samego rzemiosła wojennego, na skierowaniu tych przebogatych, pierwotnych sił ku innym wyższym celom, słowem, że użyjemy psychoanalitycznego wyrażenia, na sublimacji tych dążeń. I oto z inicjatywy i pod skrzydłami Kościoła tworzy się instytucja chrześcijańskiego rycerstwa, które za naczelne zadanie stawia sobie obronę Kościoła oraz słabych i pokrzywdzonych. A skoro i ten zakres działania nie wystarczał na wyładowanie nadmiernych energii, Kościół wzmocniony reformą pokazuje inny jeszcze wyższy cel, który ma zjednoczyć całe chrześcijaństwo, cel który w świadomości papieży przewijał się już od stulecia: odzyskanie ziem chrześcijańskich opanowanych przez pogan. Akcję tą rozpoczęły już na kilkadziesiąt lat przed pierwszą jerozolimską krucjatą, wyprawy hiszpańskie, odzyskanie zaś Ziemi św., miało być tylko jednym z etapów nierównie szerszego planu. Rozpatrywane z tego punktu widzenia były krucjaty, co nie uszło świadomości współczesnych, bardzo głęboko obmyślaną próbą zaprowadzenia pokoju powszechnego w chrześcijaństwie, zlikwidowaniem stanu nieustannych wojen domowych, a więc, w rzeczy samej, nie utopijnym, ale liczącym się z konkretnymi warunkami, dziełem pacyfistycznym.¹⁾

Tak więc z oskarżeń stratmannowskich jedno tylko posiada niedającą się zaprzeczyć historyczną podstawę: krucjaty nie były wolne od licznych występków i nadużyć. Czy te smutne i godne ubolewania przejawy unicestwiały jednak ze wszystkim ich wartość? By móc to osądzić, należałoby nie tylko zestawić ekscesy towarzyszące krucjatom,

¹⁾ Por. na ten temat artykuł „L'idée de Croisades” przez Józefa Lecler, *Études*, 5 octobre 1936.

z bezceństwami ówczesnych wojen, by mieć tutaj jakąś skalę porównawczą, ale także ustalić, ile dobra wykrzesaly one z dusz ówczesnych ludzi. Kto jest przekonany, że ostateczny bilans tych wypraw wypadł ujemnie, ten konsekwentnie winien wraz z Stratmannem uznać je za tragiczną pomyłkę. Przypominamy jednak, że ten pogląd jest łatwo zrozumiały na tle wzmiankowanej już pacyfistycznej krytyki wojny, nie znajduje natomiast oparcia u tych, którzy są skłonni przypuszczać, iż dobre czyny, jakie rozkwitają w czasie wojny są a przynajmniej mogą być wystarczającą rekompensatą za poniesione moralne straty. Wojna, o ile jest sprawiedliwa, sama przez się nie daje zwykle większych możliwości raczej złego niż dobrego lub odwrotnie; stwarza tylko taką sytuację, w której ludzie muszą rozwinąć pełnię swoich sił, ale mogą pokazać zarówno swoją spotęgowaną zwierzęcość, jak i heroicznie wyniesienie się ponad cierpienie i śmierć.

Szczucka w dwóch zasadniczych punktach zbliża się do ideologii Stratmanna, ale zdaje się nie widzieć tkwiących w takim postawieniu sprawy konsekwencji. Odczuwa — daleko silniej nawet i jaskrawiej niż Stratmann — grozę i upodlenie krucjat, ale wbrew głosowi własnej powieści posługuje się dawną terminologią, głoszącą, że krucjaty były wiekopomnym dziełem, że Bóg tak chciał... etc. Uważa ona krucjaty za poryw idealizmu, który graniczy z pokusą anielskości i jako taki musi się skończyć tragicznym upadkiem. Tezę wspomnianą akcentuje Szczucka bardzo silnie. Nie to lub owo przedsięwzięcie, ale sama wyprawa zostaje pod pewnym względem potraktowana jako przejaw angelizmu. A wiadomo, że jego wzloty muszą doprowadzić do katastrofy. „Natura ludzka — pisze autorka — tylko na mgnienie oka może stać się czystą i lotną... Sięga nieba na równi z aniołami i równocześnie opada bezskrzydłe na ziemię podlejsza niż kiedykolwiek”. Mimo to jednak autorka usprawiedliwia krucjaty, gdyż ostatecznie dopięły swego celu; odzyskały św. Grób.

Otóż jedno z dwojga; albo krucjaty były wynikiem woli Bożej, a wtedy trzeba przyjąć, że łaska uzupełniła niedostatki natury i owoce tej współpracy natury z łaską

w widoczny sposób się przejawiały, albo były szaleńczym porywem idealizmu ze wszystkimi wiadomymi takiego przedsięwzięcia skutkami. Na jedną alternatywę trzeba się było stanowczo zdecydować, bo tu nie wystarcza próba połowicznego rozwiązania, głoszącego, że wola Boża przejawiała się w samym fakcie zdobycia Jerozolimy.

Zresztą przytoczone rozumowanie autorki musi być zakwestionowane dla innych jeszcze poważnych przyczyn. Czy rzeczywiście natura ludzka „tylko na mgnienie oka może stać się czystą i lotną”? Przecież tutaj trzeba przeprowadzić zasadnicze rozróżnienie. Jeżeli chodzi o masy, to te nigdy nie wznoszą się równocześnie na taki poziom i błąd każdego angelizmu na tym polega, że prawa rządzące wyjątkową, wybraną jednostką przerzuca na ogół, że zapomina, iż z samej istoty rzeczy wynika, że uzyskanie doskonałości nie może być ani natychmiastowe, ani powszechne. Niebezpiecznym również wydaje się praktykowanie przez autorkę utożsamianie przeżyć mas z przeżyciami jednostki, co to na przemiany podnosi się i upada, gdyż w działaniu zbiorowym występuje nowy wyznacznik jakim jest psychika tłumu. Jeśli zaś weźmiemy pod rozwaagę wyjątkowe postacie, jednostki święte, to co do nich nie mamy żadnego powodu przypuszczać, że „sięgają nieba na równi z aniołami” a po tym opadają „bezskrzydłe na ziemię”...

I dlatego bliższym prawdy wydaje nam się wrogi krucjatom, protestancki historyk Maucaulay, który robi rozróżnienie pomiędzy szlachetnymi inicjatorami wypraw, a czepiającymi się ich szumowinami, które je oblepiły, skoro tylko rozluźniono dyscyplinę i dozwolono na bezkarne znęcanie się nad przeciwnikami. „Jak tylko się rozeszło że dano w ten sposób wolność nieograniczoną barbarzyństwu i rozpuście, natychmiast zleciały się stadami pod chorągiew wiary tysiące nędzników, którzy o świętą sprawę nie troszczyli się wcale, ale radzi byli wyłamać się z pod porządków spokojnych miast i z pod rygoru karnych i sfornych obozów. Ludzie, którzy ten sztandar podnieśli, bywali w dobrej wierze, bywali rzetelni, wstrzemięźliwi, o zysk nie dbali, może nawet, gdzie o ich osoby chodziło skłonni do przebaczenia; ale około ich sztandaru skupiły się zgraje

łotrów, rabusiów, gwałcicieli i dzikich zbójów, jakich trudno znaleźć pod chorągwią państw walczących o czysto świeckie sprawy”.¹⁾

II.

Nie chcemy jednak przeceniać oddziaływania ideologii pacyfistycznej na pesymistyczną historiozofię Szczuckiej; bądź co bądź ślady to drugorzędne i chcąc uchwycić jej istotne przyczyny trzeba sięgnąć jeszcze głębiej. Nie wystarczy szukać genezy tej postawy w sugestii średniowiecznych kronikarzy, mimo świadomej stylizacji w tym kierunku, gdyż pesymistyczną historiozofię kronikarzy, pisarka spotęgowała, przerzucając ośrodek win i upadków z szatana na człowieka. Jansenistycznym podźwięciem brzmią te słowa biskupa Ademara (tak bliskiego autorce): „nieraz mi się zda, że chrześcijaństwo padło na ludzką naturę, jak anielski kwiat na skałę — kwiat co się nie przyjął i przyjąć nie może” (I. 159), a nie jest to tylko przygodne powiedzenie — takim samym głosem woła i powieść Szczuckiej. Ta rewizjonistyczna dążność podpatrująca najtajniejsze zakamarki chrześcijańskiego serca i obnażająca je nielitościwie, jakżeż dziwnie przypomina stałą tendencję mauriac’owskich powieści, przedstawiających z reguły duszę katolika w jej nieuświadomionym faryzaizmie, którego możliwość tkwi w tym fakcie, że kto więcej otrzymał, ten łatwiej może się nadużyciem dobra spodlić. I krucjaty wbrew najczystszyemu zamierzeniu twórców, objawiły niespodziewanie zło: „Snać wbrew nadziejom papieża, wzięcie krzyża samo przez się nie odmieniało natury ludzkiej, tak łatwo poddającej się, łatwo idacej za podszeptem niezliczonych kohort szatana... Nie mogłeś ustrzec się od nich własną siłą nędzny człowiecze, jeżeli cię nie chroniła i nie wspomagała łaska Boża... Czemuż jej brakło ponad głowami krzyżowców?” (II. 96). Pytanie, które faktycznie pozostaje bez odpowiedzi, gdyż wątpliwą pociechą wydają się być słowa Ademara, które J. Birkenmajer uważał za zasadniczą myśl powieści: „Dla tej jedynej przyczyny, że krzyż jaśniał na początku i na końcu ich drogi,

¹⁾ T. M. Macaulay, tłum. St. Tarnowski, Kraków 1892, str. 143.

Bóg musiał okazać miłosierdzie mimo grzechów krzyżowców". Wątpliwa to pociecha; traci ona taką samą dialektykę, jaką niegdyś w koncepcji mesjanistycznej romantycy stosowali do Polski.¹⁾ Pielgrzymka do Jerozolimy i zdobycie Grodu św. są tu zidentyfikowane z pokutną oczyszczającą drogą człowieka, pochod krucjat, utożsamiony z wędrówką wszystkich ludzi co „jak poganin Syzyf cofają się o dwa kroki, uszedłszy jeden wprzód... jednakże idą” jakby tu nie o ziemskie ale o niebieskie chodziło Jeruzalem, jakby odzyskanie świętego miejsca miało samo przez się moc uświęcającą!

Jeżeli przeciwko problematyce Mauriac'a musimy wysunąć poważne zastrzeżenia, gdyż budzi w nas ona przekonanie, jakoby katolicy byli stale stroną niższą i niegodniejszą — to o ileż więcej musimy zaprotestować, kiedy takie przedstawienie dotyczy już nie jednostek, ale olbrzymich rzesz. Mauriac na swą obronę może się powołać na to, że nie jest rzeczą niemożliwą, aby taki proces nie zachodził w tej czy owej duszy, aczkolwiek ustawiczna powtarzalność wzmiankowanej postawy duchowej, rodzi przypuszczenie, iż to już jest takie moralne prawo, że łaska będzie stale zaprzepaszczana, że ustawicznie padać będzie na opoczysty grunt, że najsilniej wkorzeni się dopiero w serca dobrych łotrów, w takie serca, które się jej długo i uporczywie przeciwstawiły, by w ostatniej godzinie poddać się jej przemożnemu działaniu i usłyszeć zapewnienie raju. Ale to zjawisko, które w pewnych wypadkach byłoby możliwe, staje się absurdem, kiedy rozciągniemy je na ogół. *Unus ne desperes sed non nisi unus ne praesumas*, mówił o przykładzie dobrego łotra nie bez słuszności św. Augustyn. Przekonuje nas św. Paweł nawracający się w lśnieniu błyskawicy, chwytą za serce dobry łotr i Magdalena jawno grzesznica, ale społeczeństwo katolickie składające się z Szawłów i Magdalen byłoby nie do pomyślenia. I dlatego nie możemy się zgodzić na rozumowanie Józefa Birkenmajera, który aprobuje przedstawie-

¹⁾ Krucjaty traktuje się przy tym typie argumentacji na podobieństwo wędrówki Izraelitów do Ziemi Obiecanej. Ale pomimo pewnych analogii, różnice są tu znaczne i... istotne.

nie krucjat przez pisarkę wraz z wszystkimi ich ciemnymi stronami, usiłuje ewentualne zarzuty uprzedzić taką repliką:

Niewątpliwie też znaleźć się łatwo mogą tacy, którzy śladami faryzeuszów — podniosą kamień na tą jawnogrzesznicę, jaką była armia krzyżowców. Ale nim to uczynią, niechaj tą jawnogrzesznicę postawią w pierw przed sądem Chrystusa, tego Chrystusa pod którego krzyżem mężnie dotrwała skruszona i bolejąca jawnogrzesznica Magdalena, obdarzona przezeń tą łaską, iż jej pierwszej ukazał się u Grobu swego w dniu triumfu nad szatanem i śmiercią — w dniu zmartwychwstania i odkupienia... Wzorem wskazanym przez Chrystusa chrześcijaninowi nie jest faryzeusz szczytający się głośno swymi cnotami i zasługami, ale bijący się w piersi celnik.¹⁾

Jesteśmy zdania, że społeczeństwo chrześcijańskie usprawiedliwiają nie obłudnie modlący się faryzeusze, ani też powracający ustawicznie do swych grzechów celnicy, ale święci i jest rzeczą co najmniej osobliwą, że ich wśród tego krańcowego natężenia sił wcale nie spotykamy wśród półmilionowej rzeszy, że nie widzimy, by czyjaś dusza urastała do wyżyn doskonałości właśnie dzięki krucjatom.

Nie mogąc unaocznic istotnych zdobyczy krucjat, które by przeważały nad ich ujemnymi skutkami, nie rzuca przecież Szczucka na nie gromem potępienia i na innej drodze usiłuje je uzasadnić. Mówiliśmy już o niektórych nie bardzo szczęśliwych chwytach, jak naciąganie faktów do rehabilitacyjnej tezy przez suponowanie, że samo zdobycie Jerozolimy było wypełnieniem dzieła Bożego i usprawiedliwieniem krucjat, oczyszczeniem serc z namiętności, teraz chcemy wskazać na sugestionowanie czytelnika, że jednak mimo wszystko znaczenie wypraw było dodatnie. „Krucjata — we widzeniu papieża Urbana II — sunie jak splątany kłęb, jak pięść zaciśnięta, taran krwawiący cierpieniem, bluzgający ropą grzechu... sunie i toruje drogę. Wy-moszczony trupami, zamieciony wichrem namiętności, szlak jej *Via Dolorosa* ludzkości jest jednak drogą, stąpieniem wprzód“, „skutki jej okazały się dla Europy błogosławione i trwałe“ a „długoletni kontakt ze Wschodem... pchnął Europę wprzód o trzysta lat co najmniej“. Otóż pominąwszy

¹⁾ *Kultura*, 14 VII 1936.

już tę okoliczność, że ta teza tak istotna w niczym nie została już nie mówimy unaoczniona, ale nawet uzasadniona, skoro wyraziła ją artystka jedynie marginesowo w suchym lakonicznym posłowiu, to przecież wymienione korzyści dotyczyły postępu cywilizacyjnego i kulturalnego, który absolutnie nie może być utożsamiany z postępem moralnym! A tylko postęp moralny byłby wystarczającym okupem, za tę tak cierniową i ciemną wędrówkę.¹⁾

Nie wystarcza nam również dla usprawiedliwienia wojen krzyżowych, dowodzenie autorki, że promieniowanie krucjat na życie duchowe Europy było niezwykle dobroczynne, że przyniosło uspokojenie wewnętrznych stosunków, wzmożenie objawów pobożności chrześcijańskiej. Wprawdzie wyprawa krzyżowa przedstawiała rozpaczliwie bolesny widok, ale żyła jej wyłącana blaskiem poezji legenda, która podług Szczuckiej twórczo oddziaływała na chrześcijańskie serca. — Otóż fikcja może być ponad wszelką wątpliwość kulturalnie bardzo płodną, ale to nie znaczy, aby pod względem moralnym mogła być dodatnim czynnikiem, zwłaszcza, kiedy chodzi o dłuższy okres czasu i ogromne środowisko ludzkie. Czyż nie brzmi paradoksalnie przypuszczenie, że chrześcijaństwo wieków średnich zawdzięczało swój rozwój moralny złudzeniu i zakłamaniu? A pomijając już etyczną stronę tego zagadnienia, nie wydaje się nam ono z punktu widzenia psychologicznego dostatecznie prawdopodobnym, gdyż ciemna rzeczywistość musiałaby i tak, wcześniej czy później, odstąpić swoje ponure oblicze, a wtedy następstwa

¹⁾ Z innych niż nasza założeń rozpatrująca powieść Szczuckiej recenzja J. Krzyżanowskiego zawiera uwagi zupełnie się pokrywające z tym punktem widzenia: „Co jednak krucjata dała naprawdę, o tym powieść nie mówi. Autorka obdarzona sienkiewiczowskim darem plastycznego widzenia powierzchni życia, posiada również sienkiewiczowską nieumiejętność sięgnięcia pod ową barwną powierzchnię — stąd jej uwagi o znaczeniu krucjaty, o tym, że oczyściła ona Europę i zachęciła kupców do nawiązania stosunków ze Wschodem — są conajmniej powierzchowne. Rzecz zabawna, iż przypominają one wywody Henryka Sybela, o którym Askenazy pisał niegdyś bardzo sceptycznie (Wczasy historyczne), zarzucając mu, że jego racjonalizm protestancki nie pozwolił mu odczuć istoty problemów krucjatowych „nierozzerwalnie sprzężonych z wyobraźnią katolicką“.

tego kroku i wynikłego stąd rozczarowania musiałyby być wstrząsające... Dodajmy do tego, iż Stratzmann ma słuszość, kiedy godziwość wojny uzależnia od tego, czy bezpośrednio (a nie pośrednio) jej skutki przyniosą więcej wartości niż szkody moralnej. Nawet gdybyśmy przyjęli, że te pośrednie oddziaływania były nadzwyczaj korzystne to i tak nie moglibyśmy nic więcej powiedzieć ponad ten truizm, że nie ma złego, co by na dobre nie wyszło!

III.

W umyśle czytelnika triumfuje raczej ta tragiczna wątpliwość, którą w powieści rzuca papież Urban II jako zapytanie przed oblicze Boże: „Czy świat jest jedynym Twoim warsztatem? Jeśli masz ich więcej, czy każdemu dałeś inną zagadkę bytu do rozwiązania? Czy lubujesz się w tajemnicach?” I chociaż Szczucka wypowiada swoje *Credo*, to jednak jest to *Credo* heroiczne, wbrew jej psychologicznemu odczuciu, wbrew temu, na co patrzą oczy.

I może nie koniecznie trzeba szukać źródeł tego nstawienia w mauriac'izującej powieści, skoro na gruncie rodzimym łatwo znaleźć jego nierównie bliższy rodowód. To nie tylko snobizm literacki, ale pewna zasadnicza postawa życiowa, którą można najlepiej nazwać pesymistyczną filozofią, filozofią tragizmu. Wystarczy wziąć do ręki *Katarakty* St. Brzozowskiego, lub rozpaczliwie smutną, tragiczną książeczkę M. Zdziechowskiego: *O okrucieństwie*, by zobaczyć, że nękająca autorkę problematyka została tam w analogiczny sposób rozwinięta. Sadyzm ludzkiej natury znęcający się nad bliźnim i nad nieszczęśliwszym jeszcze — zdaniem uczonego — zwierzęciem, wywołuje w nim przekonanie, że problem cierpienia nie może być w naszym poczuciu rozwiązany, tylko może być przezwyciężony aktem wiary:

Rozmyślania nad zagadnieniem religii doprowadzały mnie zawsze i tak samo utwierdzają dziś we wniosku, że wiara jest gwałtem zadany rozumowi; zbyt głośno to co się na świecie dzieje, świadczy przeciw Bogu. Silniejszą jednak nad to wszystko jest tęsknota za Pięknem przedwiecznym, absolutnym, którego blaski pociechą są nam i otuchą w życiu; głód rzeczy wiecznych,

głód Boga, w którym tęsknota nasza ma ujście, staje się fundamentem wiary... *Quando veniam et apparebo ante faciem Domini* — w tym wołaniu psalmisty streszczają się niepokoje duszy udręczonej doczesnością; przed Jego obliczem pojmujemy sens w nonsensie bytu ukryty.¹⁾

„Wierzę w cel i sens stworzenia, choć tak głęboko, tak boleśnie dla nas ukryty... Szczęśliwym bez tej wiary“ — wyznaje biskup Ademar wypowiadając najtajniejszą myśl pisarki, która w podświadomy sposób przewija się ustawicznie poprzez karty powieści. Niekiedy już całkiem wyraźnie występuje na jaw, kiedy autorka tworzy celowo sytuacje, z których zdawać by się mogło, że nie ma wyjścia, które stwarzają piekło już tu na ziemi, czy to będzie męka pohańbionych chrześcijanek, tragedia rycerza de Hainaux, którego żona dostała się do haremu, czy męka Imbrama nie mogącego sobie darować niewierności wobec zmarłej z tęsknoty za nim żony, wreszcie rozpaczliwa historia Raoula de Beaugency i jego ukochanej Blanki. Ten pesymizm jednak nie jest pesymizmem bezwzględny — wartościowanie wiary jest tu przeciwstawione wartościowaniu uczucia. W tym duchu interpretuje *Krzyżowców* w swojej subtelnej recenzji Maria Morstin-Górska podkreślając, że:

Poza złością i grzechem widzimy jednak i w *Krzyżowcach* chwile poświęcenia, zachwyty i zapału, gdy duch jak błyskawica rozdziera naraz chmury egoizmu i zasłonę ciężkiego ciała, chwile, które jak mówi autorka: „są usprawiedliwieniem ludzkości“. Te krótkie błyski mogą w tajemniczym rachunku Opatrzności znaczyć więcej niż długie noce ciemności i zastoju...

Podobnie jak Zdziechowski mniema p. Morstin-Górska, iż:

na dnie naszego zwątpienia leży zapoznanie faktu, że to, co Bóg ma przed oczyma jako całość, my możemy oglądać tylko w fragmentach i dlatego tak trudno jest nam pochwycić cel i sens stworzenia.

Owszem nie brak było krytyk, które dalej podjęły i do ostatnich granic doprowadziły to rozumowanie, utrzymując, że szczególną zasługą Szczuckiej było „to widzialne

¹⁾ M. Zdziechowski: *O okrucieństwie*. Kraków 1928.

i dotykalne uwydatnienie sił Bożych, działających wbrew błędom ludzkim i dającym niespodziane i nieprawdopodobne zwycięstwo”, że książka jej udowadnia, iż „przypisać można jedynie cudowi namacalnej interwencji Boga” ten zdumiewający fakt, że mimo wszystkie tak niesłychane trudności „zatriumfowała wzniosła, potężna idea”. Jest jednakże ten krańcowy optymizm w gruncie rzeczy rozpaczliwą próbą apologetyki krucjat, nawet wtedy, gdyby ich dzieje były przerażająco smutne i zbyt wielka istnieje rozpiętość pomiędzy potępiającym sądem Stratmanna a cytowanymi opiniami, aby je można było odrazu zaaprobować. Byłoby rzeczą co najmniej osobliwą, aby woła Boża, manifestująca się przez taki długi okres czasu, wśród takich ogromnych tłumów, nie mogła się poszczycić oczywistymi moralnymi rezultatami, żeby się trzeba było dopiero odwoływać do nieznanых wyroków Bożych, na to, aby na przekór zewnętrznej rzeczywistości uwierzyć w utajone przed naszym wzrokiem wartości. A już żadną miarą oznaką woli Bożej nie mogło być — jak to wyjaśnialiśmy już uprzednio — samo opanowanie Grobu Zbawicielowego, dzieło przejściowe i dające się po ludzku, bez odwoływania się do cudu wytłumaczyć. Jeśli krucjaty nie mogą się wylegitymować przed trybunałem historii a choćby w poczuciu powieściopisarki wielkością moralną, to miejmy odwagę nazwać rzecz po imieniu, tak, jak miał tę odwagę dominikański pacyfista. Jeśli natomiast jesteśmy przekonani, że ogrom poświęcenia i heroizmu przewyższał z nadwyżką stos zbrodni i występków, to brońmy je nie dla innej przyczyny, ale właśnie dlatego dobra, które się w nich objawiło. Ale w żadnym wypadku nie próbujmy godzić sprzecznych stanowisk.

W ślicznym szkicu o Dickensie ogłoszonym w *Marchofcie* wzmiankuje Andrzej Tretiak, że wielki powieściopisarz pokazuje „śmiało i bez płaczliwych słów żalu tragizm każdej idei, który swym ciężarem kruszy ludzi — a ma prawo to robić, bo równocześnie pokazuje nam, że niezależnie od idei tkwią w jednostce, nawet pozornie ujemnej, wielkie możliwości wspaniałego gestu, mogącego przemienić się w czyn”. I oto właśnie mamy pretensję do autorki, że odsłaniając tragizm krucjat, tych „wielkich możliwości” nam

nie ujawniła, szukając ochrony przed zwątpieniem we wątpliwej problematyce, a niedopatrzenie wspomniane podziela z artystką i katolicka krytyka.

IV.

Chociaż stanowisko zajęte przez Szczucką odnośnie do ideologii krucjat nastrocza poważne trudności zdawałoby się jednak mogło, iż posiada mocne uzasadnienie. Wszak autorka odwołuje się w nim do Wyższej Sprawiedliwości, która sama jedna jest w stanie uchwycić te zakryte wartości zasłonięte przed okiem badacza, wartości, które zwyczajem przechylają szalę dobrego, mimo odmiennych, jakby się to nam wydawało, pozorów. A że pozory były takie a nie inne, to już nie wina powieściopisarki, która sumiennie starała się pójść za przebiegiem historii i raczej zaszczyt przynosi jej gorącej wierze ta okoliczność, iż pomimo tylu świadectw i takich świadectw, nie zwątpiła, nie uległa zgorszeniu, ale śmiało wypowiedziała swoje katolickie *Credo*.

Czy rzeczywiście historia narzucała powieściopisarce taki obraz to rzecz nadającą się co najmniej do dyskusji. W każdym razie sądzymy, że powyższe rozumowanie w pewnej mierze mogłoby wy tłumaczyć Szczucką historyczkę, ale nie Szczucką autorkę i to autorkę powieści katolickiej. Przecież powieść katolicka winna porywać i przekonywać katolickiego czytelnika o prawdzie Kościoła, i to wcale niekoniecznie zamierzoną tendencją artysty, ale samą swoją strukturą, wewnętrzną wymową swoich faktów. Otóż staraliśmy się szczegółowo wykazać, że struktura *Krzyżowców* (za wyjątkiem nielicznych podnioslejszych momentów) odbiega jednak w dziele wziętym jako całość od formalnych wyznań powieściopisarki. Choćbyśmy nawet przyjęli, że wizję nakreśloną w *Krzyżowcach* z nieodpartą koniecznością narzucały artystce źródła, to i tak nie widzimy dostatecznego powodu, aby zamykać oczy na płynące stąd konsekwencje, które z taką stanowczością wyciągnął Stratmann. Katolicyzm nie obawia się prawdy, ale właśnie dlatego musi unikać wszelkich prób wymijania niewygodnej rzeczywistości, dialektyki w stylu tertulianowskim: *credo quia absurdum*.

I gdybyż to jeszcze autorka potrafiła wszczepić w czytelnika swoje poczucie wiary, sugestywną siłą swego talentu umocnić go w przekonaniu, że takie to już jest tragiczne prawo stworzenia, iż w swym doczesnym bytowaniu nie jest ono w stanie przeniknąć tego sensu — że użyjemy raz jeszcze pięknego wyrażenia Zdziechowskiego — który jest w nonsensie bytu ukryty. Ale Szczucka ograniczyła się tylko do błędnego zarysowania swego poglądu na świat i każe nam go bez dostatecznego uzasadnienia i bez odpowiedniego przygotowania przyjąć jako jedyną deskę ratunku, dla tej jedynej przyczyny, że inaczej runąłby cały mozolnie budowany gmach, pozbawiony ideologicznej konstrukcji.

Chcemy aby nas dobrze rozumiano.

Nie przeczy my, iż wolno było znaleźć autorce indywidualne rozwiązanie w ufnym akcie wiary, czynionym na przekór bijącej jaskrawo rzeczywistości, ale takie postawienie sprawy było właśnie w dziedzinie powieści katolickiej niedopuszczalne. Niedopuszczalne dla bardzo prostej przyczyny.

Żaden powieściopisarz katolicki, nie może postawić kwestii w ten sposób, że umywa ręce za wytworzony przez siebie świat, żaden nie ma prawa powiedzieć, iż błogosławiony ten, który się ze mnie nie zgorszy. W przeciwieństwie bowiem do historyka, artysta nie jest związany oczyma ciała, ani też nie musi ograniczać się do zewnętrznej tylko rzeczywistości. Jeśli historyk wierzy w istnienie innego wyższego porządku rzeczy, to artysta, w ten swój przedmiot wiary, nie tylko wierzy, ale go i widzi; jeżeli zaś dostrzec go nie umie to znaczy, że temat taki nie dojrzał jeszcze do artystycznego oglądu, nie wszedł jeszcze w pole jego artystycznego widzenia. Nawiązując więc to nasze spostrzeżenie do problematyki *Krzyżowców* musimy stwierdzić, iż niedosyć jest zaznaczyć dla wytłumaczenia krucjat, że ich uczestnicy kiedy niekiedy przeżywali „momenty ocknienia“, chwile, które „są usprawiedliwieniem ludzkości“, nie dosyć odwołać się „do tajemniczego rachunku Opatrzności“, jeśli twórca dzieła, nie stworzy w nas poczucia, że te chwile istotnie krzyżowców usprawiedliwiały, jeśli nie przybliży, nie uczłowieczy nam sądów Bożych, nie uczłowieczy w tym rozu-

mieniu tego słowa, żeby niespokojne serce człowieka mogło odczuć poprzez widzialną rzeczywistość miłosierną i sprawiedliwą Bożą rękę.

Nie możemy na tym miejscu odbiegać zbyt daleko i pokusić się o poruszenie tak doniosłego i żywo dyskutowanego problemu odpowiedzialności katolickiego powieściopisarza. Niechcąc wchodzić na razie w tę zbyt obszerną i subtelną kwestię, zaznaczymy tylko rzecz dla naszych rozważań istotną, iż dla czytelnika nie to jest ważnem co autor osobiście myśli i czuje, tylko to, czy potrafi ten swój punkt widzenia artystycznie uzasadnić, to jest podać go z taką wymową artystycznej ekspresji, że czarem swoim potrafi podbić niechętnego nawet widza. Postulat ten nie pozostaje w żadnej sprzeczności z wymaganiami realizmu tj. wierności prawdzie, gdyż umieć patrzeć realistycznie, zgodnie z rzeczywistością, to znaczy przedstawiać (a nie tylko konstatawać), równie namacalnie dobro, jak zło. Nie jest to winą przedmiotu, ale twórcy, jeżeli dobro w utworze wychodzi papierowe, blade, nieludzkie... słowem pokrzywdzone. Trzeba umieć się wspiąć na te wyżyny, z których można oglądać nie tylko rwący potok nieprawości, szalejący w dolinie namietności, ale i wysokie szczyty dobra oraz piękny i niepokalany błękit niebios. Powieść nie jest pamiętnikiem, gdzieby czytelnik mógł śledzić perypetie duchowe autora, a raczej ściślej mówiąc nawet gdyby nim była, wtedy i tak dociekanie postawy autora będzie jedynie dla historyka literatury rzeczą bardzo interesującą, ale dla czytelnika pozostanie zawsze sprawą wtórną. Stąd też nie wystarcza nigdy w powieści rozwiązanie, które byłoby dopiero doczepione w formie dialektyki i rozgrywało się w sferze czysto pojęciowej, jeżeli sztuka artysty nie unaoczní tego procesu namacalnie, inaczej mówiąc jeżeli nie przełoży logiki rozumu na logikę uczucia. A już w żadnym wypadku te dwie logiki nie powinny się ze sobą sprzeczać... I nie wystarczy tutaj powoływać się na prawdę historyczną, na konieczność rewizjonizmu nazbyt naiwnych, idealizujących pojęć. Rewizjonizm jest tylko wtedy dopuszczalny, kiedy nie tylko zdemaskuje fałszywą legendę, ale potrafi równie przekonująco wykazać, że przezeń istotny świat wartości nie został w niczym

naruszony. Tym się on właśnie różni od osławionego odbronzowywania. I kiedy przeprowadza się tego rodzaju korekturę nie dosyć być samemu o konieczności takich światopoglądowych poprawek przekonany — trzeba również umieć stworzyć takie przeświadczenie i w drugim. A o tym się nie zawsze u nas pamięta...

Dzieło Szczuckiej jest dziełem wierzącej katoliczki i dziełem przeznaczonym dla uświadomionych i wierzących katolików. Umocnić jednak we wierze, przyciągnąć do katolicyzmu nie potrafi, co więcej, boimy się, że na nie dosyć utwierdzonych wyrzucić może wpływ zgoła przeciwny, zwłaszcza na tych, którzy nie zadawalają się samym tylko zrezygnowanym aktem wiary i szukają przyświadczeń dla swej nadziei już w obecnej rzeczywistości, w duszy zaś ludzkiej pragną widzieć nietyle stygmat szatana ile raczej obraz i podobieństwo Boże. Więc choć lojalność każe nam przyznać, że podniósł się już głos (znanego poznańskiego poety), który w *Krzyżowcach* znalazł umocnienie swojej religijności, to przecież trudno nam się pozbyć myśli, że większość ludzi posiada do dzisiejszego dnia taką psychikę, jak niewierny Tomasz, który chciał, bezpośredniego konkretnego potwierdzenia dla swej wiary. Ci wszyscy są skłonni po przeczytaniu powieści Szczuckiej, brutalnie rozwiewającej legendę krucjat, rozumować tak samo, jak rozumuje jeden z jej bohaterów Baldwin, kiedy zwątpił w prawość swego szlachetnego brata Gotfryda:

O Boże czyż na świecie nie ma ludzi złych i dobrych tylko wszyscy są źli albo dobrzy, zależnie od okoliczności? I... A raczej od stopnia wiary w coś lub w kogoś... Czy wiara jest tym pomostem utrzymującym ludzi ponad złem? On Baldwin wierzył w Gotfryda. Był wtedy dobrym. Przestał wierzyć i wszystkie jego postęпки stały się złe, jak gdyby stracił talizman, kamień probierczy wskazujący nieomylnie, choć poza świadomością człowieka, jak postępować należy.

Zapewne, że nie będziemy bronić tego stanowiska — jest ono przecież oczywiście nie cnotą, ale słabością. Lecz z tą słabością winien się powieściopisarz katolicki liczyć, tak, jak się z nią niegdyś liczył miłościwie Chrystus, który nie odrzucił Tomasza i pozwolił mu sięgnąć palcami w swoje

przebite stopy i ręce. Zresztą — jeśli mamy wyrazić nasze osobiste przekonanie — nie sądzimy, aby dzieje ludzkości przedstawiały tak smutny widok, iż trzeba dopiero rozpaczliwego wysiłku, by wbrew tej historycznej rzeczywistości wypowiedzieć swoje zrezygnowane *Credo*. I nie będzie to chyba aktem taniego optymizmu, gdy wyznamy, iż wierzymy, że stworzony i odkupiony świat Boży nosi na sobie takie odbicie ran Jezusowych, iż nawet serce szarpane zwątpieniem może, wyężywszy wzrok, ujrzeć poprzez jego mgławice rysujący się choć zdaleka cień Zbawiciela.

Dr J. M. Świącicki.

Unia trzech mórz.

Polska, Czechy i Węgry.

Trójkąt bałtycko-adriatycko-czarnomorski, o którym była mowa w kwietniowym zeszycie *Przeglądu*, w art. „Czarne orły“, rozpada się na cztery obszary ściślejsze: polski, czesko-austriacki, węgierski i bałkański. Każdy z nich posiada wyodrębnioną indywidualność geopolityczną. Obszary sąsiadujące pozostawały między sobą zawsze w szczególnie płodnym stosunku historycznym. Ponieważ Polska jest głowicą całego międzymorza, najważniejszymi wrotami najazdów, albo też ośrodkiem czynnego odporu, przeto jej stosunek do Czech i Węgier posiada wyjątkową doniosłość i w ogóle rozstrzyga o losach środkowego wschodu Europy.

Nasza rdzenna siedziba, „piastowa ziemia, skąd nasz ród“, opiera się na północy o Bałtyk, na wschodzie o Niemien i Bug, na zachodzie o Odrę, na południu o Sudety i Karpaty. Jest bardzo znacznie większa od otoczonych wieńcem gór Czech i Moraw, większa też od historycznych Węgier, łącznie ze Słowacją i Siedmiogrodem. Dzieje Polski, Czech i Węgier spletają się między sobą w dramatyczne węzły od samego ich piastowego, przemysłowego i arpadowego zarania. Chrobry ujawnia wyraźną tendencję do wcielenia w swoje królestwo Czech, Moraw i Słowaczyny. Nawzajem Czesi, instynktownie odczuwając, że ich zamknięty pośród gór kraik jest za mały by mu zapewnić samodzielny rozwój dziejowy, usiłują swą siedzibę narodową rozszerzyć naszym kosztem, choćby w przymierzu z Niemcami i choćby niszcząc wspólnie z nimi nasze państwo.

W odwet za zajęcie przez Chrobrego Pragi, zaraz po jego zgonie podejmują najazd na Gniezno, z bliższym jednak i konkretniejszym celem opanowania Śląska.

Śląsk stanowi zasadniczą kość niezgody czesko-polskiej w obronie przemysłidów i piastowiczów. Dążenia Czech w tym kierunku zostają uwieńczone powodzeniem, ale na korzyść przede wszystkim *tertii gaudentis*, którym są Niemcy. Czesi otrzymują Śląsk, ale wraz z nim tracą swą narodową niepodległość, w dziwnej, niby zaszczytnej formie, gdyż królowie ich stają na czele Niemiec, jako ich „rzymscy“ cesarze. Osaczeni od południa przez austriacką monarchię Babenbergów, a od północy przez askańską Brandenburgię, ostatni przemysłidzi czescy usiłują opanować z jednej strony Austrię z drugiej zaś Polskę. Współ z Brandenburczykami zdobywają dla Krzyżaków w XIII wieku Prusy Wschodnie, gdzie na wieczną tej wyprawy „krzyżowej“ pamiątkę i na cześć króla Przemyśla Otokara II, zwycięscy zakładają miasto Królewiec. Utworzywszy w ten sposób na północy groźną dla Polski potęgę, Czesi wchodzi z nią następnie w ścisły przeciwpolski sojusz. Gdy połączenie koron czeskiej i polskiej za Wacława nie dało się utrzymać, gdy na tron czeski wstąpili Luksemburczycy, podnosząc go do rzymsko-niemieckiej godności cesarskiej, wówczas w XIV stuleciu powstała dla Polski Łokietkowej tak groźna koniunktura rozbioru między postawionymi na czele Rzeszy Niemieckiej Czechami a Zakonem Teutońskim, że Kazimierz Wielki mógł to niebezpieczeństwo zażegnać tylko przez trwałe odstąpienie Śląska Czechom, a Pomorza Krzyżakom.

Na tej olśniewającej, rzymsko-niemieckiej karierze źle jednak wyszli Czesi bo we własnym, choć o Śląsk rozszerzonym państwie, ze wszystkich stron zagroziło im wynarodowienie na rzecz przemożnej kultury niemieckiej. Stąd w XV stuleciu budzi się potężna reakcja narodowa w opłakany sposób skojarzona z herezją husycką, ponieważ wiara rzymska wydawała się Czechom narzędziem duchowej nad nimi przewagi Niemiec. Odtąd poczynają Czesi poszukiwać oparcia przeciwko Niemcom na wschodzie. Odparta jednak przez nich i przez Niemców od Bałtyku, Odry i Sudetów Polska nie może im już tego oparcia na stałe zapewnić.

Ażeby wzmocnić swój odpór wobec czesko-pruskiego osaczenia, Polska wchodzi naprzód w unię dynastyczną z Węgry. Unia ta wkrótce zostaje zastąpiona przez polsko-litewską, jako odpowiedniejszą dla obrony przed głównym już w tym czasie niebezpieczeństwem, krzyżactwem. Cel ten zostaje osiągnięty. Niebezpieczeństwo zachodnie wygasło już od strony Czech, załamuje się również od strony Prus. Ale polska energia państwowo-twórcza zwraca się odtąd przede wszystkim ku wschodowi. Przejściowo tylko Dom Jagielloński łączy obok polskiej i litewskiej, także korony węgierską i czeską. W całokształcie procesu dziejowego intensywniej i konstruktywniej współdziała jeszcze Polska z Węgry przeciwko Turkom i Moskwie (Warneńczyk, Batory) niżli z Czechami przeciwko Niemcom. Pod Wiedniem wyzwala Węgry z pod otomańskiego jarzma i dopomaga Habsburgom w wykonaniu misji naddunajskiej, której sama zrealizować nie zdołała. Ale w obliczu Wojny Trzydziestoletniej pozostawia Czechy samym sobie. Za cesarsko-rzymskim pośrednictwem Habsburgów, przewaga Niemiec zostaje wobec Czech ugruntowana, a i Węgry wchodzi w stałą zależność od Rzeszy.

Oddźwięki tych starych dziejów wyraźnie występują także w okresie polskiej niewoli, oraz w okresie powojennej odbudowy państw środkowego wschodu Europy. W łonie Austro-Węgier Czesi odrodzili się narodowo w związku z liberalną emancypacją warstw ludowych, oraz konstytucjonalizacją państwa. Od czasu Wojny Trzydziestoletniej przywaceni przewagą państwa i kultury niemieckiej zdołali ocalić swą odrębność odrastając z chłopskiego pnia. Demokracji i liberalizmowi zawdzięczają swój byt narodowy i swą niepodległość państwową. Nie dziw że są do nich przywiązani. Jednak odrodzili się we własnym kraju jako mały kilkamilionowy naród otoczony z trzech stron przez Niemców nie tylko poza granicami lecz także przez potężną wewnętrzną mniejszość narodową niemiecką. Stąd odradza się również żywiołowe poszukiwanie oparcia zewnętrznego w państwie, przede wszystkim w „słowiańskiej” Rosji. Stąd powstaje przy odbudowie państwa myśl przyłączenia doń Słowaczyny, ażeby wzmocnić w państwie element słowiań-

ski wobec niemieckiego, oraz utworzyć „korytarz” zbliżający do „mateczki”. Najmniejszej przy tym przeszkody nie stanowił fakt, iż „mateczka” tak przed wojną, jak obecnie, znajduje się na przeciwległym liberalizmowi biegunie ideowym i ustrojowym; ani też взгляд, że gdyby „mateczka” dostała w swoje ręce Czechów to niewątpliwie rządziłaby nimi tak samo jak Polską. Stąd wreszcie rozwinął się bardzo dwuznaczny stosunek do równocześnie odrodzonej Polski, jako „zawali drogi” oddzielającej Czechy od upragnionej protekcji moskiewskiej.

Jaskrawym i właściwie nawet zupełnie niedwuznacznym wyrazem tych wschodnich tęsknot czeskich było przede wszystkim odcięcie dowozów amunicji dla Polski podczas bolszewickiego szturmu na Warszawę w 1920 r.; ponadto poparcie wschodnio-małopolskiej irredenty Ukraińców, jej pretensyj do autonomii, a nawet propozycja odstąpienia „zachodniej Ukrainie” Rusi zakarpackiej. Choć bowiem daje ona Czechosłowacji pożądaną styczność z Rumunią, ale jeszcze więcej zależało Czechom na uzyskaniu przez nie styczności z Ukrainą Sowiecką. To ciążenie ku Rosji jest najbardziej znamiennej właściwością postawy politycznej odrodzonego państwa czeskiego, właściwością analogiczną i równie dla samych Czech zgubną jak średniowieczny przeciw-polski sojusz z Rzeszą Niemiecką. Czeskie moskalofilstwo wprowadza zasadniczy rozdzźwięk w stosunek czesko-polski, a ze „słowackiego korytarza” czyni dla Polski zjawisko trudne do zniesienia. Szczególnie dotkliwie daje się ono odczuwać zawsze w okresach naprężenia naszego stosunku do Sowietów. Z przyjaźnią polityczną deklarowali się Czesi wobec Polski, bardzo znamienne, wtedy gdyśmy zawarli pakt nieagresji z Moskwą w r. 1932, gdy zaś został on zrównoważony drugostronnym paktem polsko-niemieckim w r. 1934, to wkrótce, pod błahym pretekstem wybuchły prowokacyjne prześladowania mniejszości polskiej na Śląsku czeskim.

Z drugiej strony, po wielkiej wojnie, także Węgry długo tkwiły w swej przedwojennej tradycji politycznej, szukając oparcia u drugiego z „czarnych orłów” rozbiorowych, u Niemiec. W łonie monarchii austro-węgierskiej popierały jej

sojusz z Niemcami, jako gwarancję swego panowania na jednolitym geopolitycznie, lecz niejednolitym etnicznie, zagrożonym przez rozrost nowoczesnych nacjonalizmów, obszarze swego królestwa. Pokój wersalski, ściślej triański, rozszarpał ten obszar na sztuki wyłącznie według zasady demo-narodowości, przekreślając całe tysiąclecie państwowo-twórcze dzieło Węgier. Antagonizm z Czechami z powodu słowackiego korytarza nawiązywał pewną zbieżność interesów węgierskich z polskimi, lecz wobec bierności polityki zagranicznej Polski, zaprzątniętej rozterką wewnętrzną, Węgry solidaryzowały się z rewizjonizmem niemieckim w nadziei, że on im powróci Słowaczyznę. Później dały się uwieść Włochom przeciwko Jugosławii z nadzieją na reaneksję Chorwacji.

Znamiennym rysem powojennego systemu równowagi politycznej w dorzeczu Dunaju jest bezprzykładne w dziejach skłócenie Czech i Węgier, oraz fakt, że oba poważnione państwa szukają nawzajem przeciwko sobie oparcia w potęgach ościennych, groźnych dla niepodległości całego trójkąta trzech mórz. Czechy zezują ku Moskwie, Węgry do Berlina. Na północ od nich Polska ujęta w kleszcze niemiecko-rosyjskie odczuwa obie te odśrodkowe tendencje polityczne Czech oraz Węgier, jako bezpośrednie dla siebie niebezpieczeństwo. Jest to stan doskonałego rozkładu idei unijnej wśród północnej grupy narodów wschodnio-europejskiego międzymorza; stan bałkanizacji.

Projekt rozbiorowy.

Ten stan trwał bez mała przez dwadzieścia powojennych lat nie przechodząc ani w unię, ani w rozbiór. Nie przeszkodził też skutecznemu odporowi niemieckich ataków na Pomorze i Austrię, rosyjskich na Besarabię, włoskich na Jugosławię. Mogło tak być jednak tylko dopóty, dopóki ogólną równowagę polityczną w Europie dostatecznie podtrzymywała przewaga zwycięskich mocarstw zachodnich nad Niemcami, ześrodkowana w okupacji Nadrenii. Na niej jak na kamieniu węgielnym oparła się skuteczność przeciwniemieckich obronnych sojuszków Francji z Polską i Małą Ententą; wspomagana ponadto rozbieżnością dążeń niemiec-

kich i włoskich w samym dorzeczu Dunaju, zwłaszcza w węzłowym punkcie Austrii.

Ten powojenny układ równowagi europejskiej, zarejestrowany w genewskiej Lidze Narodów pod egidą „wiecznego pokoju“, ma się wyraźnie ku końcowi. Wraz z nim ma się również ku końcowi oparta na nim możność biernej konserwacji granic wersalskich, czy triański. Niemcy oparte o ufortyfikowaną Nadrenię, Włochy o sojusz z Jugosławią rozbiły już faktycznie Małą Ententę, jako narzędzie pacyfistycznej przemocy wobec Węgier. Grożą też przymierzem wojskowym między sobą, które by zdolne było unieruchomić wszelką ze strony Francji próbę pomocy wojskowej dla jej dotychczasowych sprzymierzeńców wschodnich, zwłaszcza Polski i Czechosłowacji. Między sobą Niemcy i Włochy uzgodniły już politykę rozbiorową nad Dunajem. Wznawiając koncepcję Mitteleuropy, jednak nie jednostronnie podległej Niemcom, lecz syntetycznej, niemiecko-włoskiej. Austria, Węgry, Czechosłowacja oraz być może Polska mają wejść w sferę zależności od Niemiec, Bałkan zaś, być może wraz z Rumunią — w sferę wpływu włoskiego. Niemcy i Włochy pragną w ten sposób drogą likwidacji wersalskiego statutu terytorialnego w Europie powiększyć potęgę własną do stopnia, który by im pozwalał podjąć wielką ofensywę celem ekspansji własnych przeludnionych terytoriów — na obszary pozaeuropejskie. Nie wiadomo jeszcze w jakim kierunku.

Faszystowska Italia zwraca się wojowniczo przede wszystkim przeciwko rozległemu, bogatemu w pożytki obiekty zdobywcze, imperium Wielkiej Brytanii. Pragnęłaby w tym celu pozyskać współdziałanie komunistycznej Rosji. Niemcy od szeregu lat głosiły „krucjatę“ przeciwsowiecką biorąc na oko zwłaszcza żyzną Ukrainę. Mogłyby się jednak Niemcy do kierunku probolszewickiego przystosować gdyby Sowiety dopomogły powalić W. Brytanię w Azji i gdyby rachunek sił zbrojnych morskich Niemiec i Włoch z jednej strony, Anglii zaś i Francji z drugiej strony dawał widoki zwycięstwa. Jest to dotąd wątpliwe. Skutkiem tego nie zostało dotąd przesądzone czy proklamowany sojusz niemiecko-włoski nie mógłby swej agresji zwrócić ponownie na tradycyjny szlak niemieckiego naporu na Wschód — przeciwko

Rosji i Ukrainie. Ten szlak jest mniej wprawdzie obiecujący dla Włoch. Możliwe jest dlań pozyskać tylko za cenę poważnych ustępstw kolonialnych ze strony mocarstw zachodnich. Nie wiadomo jednak czy one się na to zdecydują. Skłonne są raczej zawrzeć „trójprzymierze demokracji” francuskiej, angielskiej i amerykańskiej i bronić bezpośrednio swych stanów posiadania, licząc na swoją przewagę sił wojskowych i ekonomicznych. Skłonność ta jest zrozumiała, wobec tego, że projektowany sojusz niemiecko-włoski istotnie może uniedostępnić dla mocarstw zachodnich wszelki wpływ na sprawy środkowo-europejskie.

W takim jednak razie, jeżeli by Niemcy i Włochy wytrwały w solidarności, wielka gra polityczna o rozbiór lub niepodległość trójkąta trzech mórz, jako też dalsze z tej podstawy plany pozaeuropejskiej ekspansji Niemiec i Włoch, ześrodkowałyby się pomiędzy tymi państwami z jednej, Rosją z drugiej, oraz zagrożonym „trójkątem” z trzeciej strony. Ponieważ taki przyrost potęgi jaki by Niemcom mogło zapewnić opanowanie Czechosłowacji, Austrii i Węgrów byłby dla Moskwy trudny do skompensowania, zwłaszcza przy unieruchomieniu mocarstw zachodnich przez sojusz włosko-niemiecki, przeto Moskwa byłaby skłonna wznowić ideę „bloku wschodniego” z r. 1933 i poprze środkowy wschód europejski przeciwko niemiecko-włoskiemu rozbirowi. Tylko że w takim razie cały trójkąt trzech mórz, a zwłaszcza sąsiadująca z Sowietami Polska i Rumunia weszłyby w niemniej realną zależność od Moskwy, jak ta, którą im grożą Niemcy i Włochy. Wznowiony bowiem w obecnych warunkach „blok wschodni” mógłby wprawdzie ze swej strony unieruchomić sojusz włosko-niemiecki, ale tylko pod warunkiem, że przybrałby postać rozszerzonego paktu francusko-sowieckiego z r. 1935, który w razie wystąpienia doń Polski i Rumunii przewidywałby czynną akcję czerwonej armii przeciwko Niemcom na ziemiach krajów z Moskwą sprzymierzonych. Ponadto wewnętrzny stan Rosji jest niepewny, a pogotowie zbrojne z pewnością ustępuje niemieckiemu i może mieć „krótki dech”. Wreszcie tego rodzaju rozwiązanie odpowiadałoby swym stylem politycznym pacyfistycznemu „zbiorowemu bezpieczeństwu”, to zna-

czy, że blokowałoby przemocą przeludnione Włochy, a zwłaszcza Niemcy na ich dotychczasowych terytoriach. Niemcy zaś właśnie potrzebują więcej „miejsca pod słońcem” i jeśli go nie otrzymają lub nie zdobędą, to żadne kuglarstwa ekonomiczne dogorywającej kapitalistycznej gospodarki światowej nie zapobiegą *à la longue* rozkładowi gospodarczemu i społecznemu Niemiec. Taki zaś rozkład, z wojną czy bez wojny, mógłby pociągnąć za sobą całą Europę.

Tej koncepcji stanowczo przeciwstawiła się Polska swoją polityką dwustronnych paktów, podtrzymujących równowagę między Niemcami a Rosją. Próbowano następnie rozszerzyć tę zasadę w „polityce bariery” obejmującej główne państwa trójkąta trzech mórz. Wobec prężności ekspansyjnej Niemiec i Włoch, wobec dynamiki poczynañ z ich strony, grożących sojuszem, któryby przepołowił Europę odcinając zachód od wschodu, nie wystarcza już jednak żadna polityka bierna. W przejściowej, nieskrystalizowanej, niewyjaśnionej, poszukującej nowych dróg sytuacji międzynarodowej zarysował się aż nadto wyraziście fakt niezmiernej wagi, że ze strony Niemiec i Włoch podjęto gwałtowniejszą od wszystkich poprzednich próbę wytrącenia polityki europejskiej z bierności, że zaprojektowano w Europie antywersalski przewrót terytorialny, jako podstawę wielkiego planu, rozbudowy imperialistycznej. Choćby się udało ten plan jeszcze raz zsabotować oporem biernym, to jednak chwila wielkich rozstrzygnięć się zbliża. Jeśli powersalska Europa środkowo-wschodnia nie chce się zniżyć do roli biernej podstawy tego obcego dla niej planu i opłacić go swą niepodległością, to cel ten może osiągnąć nie przez czyjekolwiek oparcia czy poparcia, lecz jedynie wówczas jeśli sama wystąpi na widowni jako dziejotwórcza siła czynna. Ażeby się jednak stać taką siłą musi odnaleźć i odbudować swą wewnętrzną unijną zwartość na obszarze całego trójkąta trzech mórz. Odnalazłszy tę zwartość musi wystąpić z własnym pozytywnym planem rozwiązań wielkiej tragedii zablokowanego przez imperializmy kresowe i przetłoczonego nadmiarem życia centrum Europy. Oba zadania wiążą się zresztą ze sobą i warunkują organicznie. Kluczowym jest problemat polsko-czesko-węgierski.

Kontr-projekt unijny.

Nacisk Niemiec i Włoch wywołał już w obrębie trójkąta trzech mórz pierwsze odruchy samoistnej reakcji obronnej. Jest nią zbliżenie polsko-rumuńskie skierowane tym razem nie ku obronie przed Rosją, lecz na front zachodni, jako oparcie dla zagrożonych przez Niemcy państw nad środkowym Dunajem. Po wtóre zaś chodzi o próby obronnego zbliżenia między samymi tymi państwami naddunajskimi, których dotychczasowy stosunek wzajemny, zwłaszcza czesko-węgierski, był głównym ogniskiem przewlekłego zakażenia anarchią całego „zbałkanizowanego” środkowego wschodu Europy.

Zbliżenie polityczne nie przedstawia większych trudności i zarysowuje się wyraźnie między Austrią i Węgrami z jednej, Austrią zaś i Czechosłowacją z drugiej strony. W mentalności i postawie politycznej czeskiej oraz węgierskiej dają się również zauważyć zmiany dodatnie wywołane grozą wspólnego niebezpieczeństwa. Węgrom nie uśmiecha się stała wasalizacja wobec Niemiec nawet za cenę Słowaczyny; Czesi mają przed oczyma jaskrawy dowód jak iluzoryczną okazała się dla nich obrona przed Niemcami przy pomocy paktu z Sowiecką Rosją, zawartego bez uprzedniej normalizacji stosunku Czech do Polski i Węgier. Ta zmiana nastrojów ośmieliła czeskiego premiera Hodżę oraz austriackiego ministra Schmidta do zabiegów pokoronacyjnych w Londynie i Paryżu, by mocarstwa zachodnie, wyrzekłszy się swych klauzul największego uprzywilejowania w traktatach handlowych z państwami naddunajskimi, załatwiły im realizację zdawna projektowanej tzw. naddunajskiej federacji gospodarczej. Marzy się o tym, że taka federacja gospodarcza mogłaby się z czasem przekształcić w polityczną.

Zacząć od tego oczywiście można, ale czas nagli i zachodzi obawa, że się tą drogą nie stawi czoła niebezpieczeństwu ani dość szybko, ani dość skutecznie. Można ten cel osiągnąć jedynie chwytając tura za rogi, wyprowadzając z ostępu waśni czesko-węgierską z powodu Słowaczyny, oraz utrwalając tym samym pozytywne współzycie polityczne i gospodarcze Węgier z ich zwycięzcami z wielkiej wojny. Dopiero wtedy zwarty i solidarny blok austro-czesko-węgierski oparty o „plecy” polsko-rumuńskie, przy prawdo-

podobnej neutralności rosyjskiej zdoła skupić dostateczną siłę, by przyciągnąć z powrotem do współdziałania Jugosławię. Wtedy na miejsce orientowanej na wewnątrz a bezsilnej na zewnątrz Małej Ententy mogłaby powstać potężna Unia Trzech Mórz zdolna do wystąpienia na wielkiej widowni dziejów z własnymi dążeniami.

Te dążenia musiałyby się przeciwstawić obecnym niemiecko-włoskim o tyle, o ile one usiłują zbałkanizowany zbiornik energii politycznej, środkowego wschodu skanalizować na swoją korzyść w drodze rozbiorowej parcelacji między Berlinem a Rzymem. Gdyby natomiast zbiornik ten zdołał się uporządkować sam, nie przez parcelację lecz przez komasację unijną, to i tak mógłby i musiał współdziałać w zasadniczym rozwiązaniu sprawy ekspansji całej Europy środkowej, jednak według własnego, odrębnego i samodzielnego planu. Niemcy i Włochy z wielkim dynamicznym rozmachem usiłują zlikwidować w Europie system biernej pacyfistycznej, demoliberalnej konserwacji Wersalu. Usiłują rozwiązać na jego gruzach monumentalne wizje imperialistyczne, któreby miały wskrzesić nad Renem i Dunajem Święte Cesarstwo Rzymskie Narodu Niemieckiego, Morze Śródziemne zaś objąć ponownie żelazną obręczą Imperium Romanum odrodzonej, faszystowskiej Italii. Te ich cele mają przy tym służyć nie tylko zadowoleniu ambicji narodowych, lecz przede wszystkim dostarczyć sił dla dalszej i szerszej ekspansji nadmiaru życia ludzkiego z Niemiec i Włoch na nowe nieprzeludnione terytoria pozaeuropejskie.

Wizje te są piękne, lecz subiektywne i krzywdzą narody ościenne. To też gdyby się te narody zdołały odbałkanizować i rozwinąć równorzędną z Niemcami i Włochami potęgę, winnyby poprzeć ich dążność do przestrzennego rozrostu poza Europą, ale i pod warunkiem, iż rzymskie wizje imperialistyczne na gruncie Europy musiałyby się ograniczyć na rzecz niemniej monumentalnej kontrwizji środkowego wschodu, wyrównywującej jego stare zaniedbania i nowe wykosławienia, w Unii Trzech Mórz. Nie mogłoby być tedy mowy o wdzieraniu się Italii i Hitlerii na obszar wielkiego śródziemnego trójkąta. Wręcz przeciwnie musiałyby zostać

odrabane od Niemiec odwieczne „kły i pazury” ich naporu na wschód, dwie szczęki rozwartej nad Wielkopolską drapieżnej paszczy — Śląsk i Prusy Wschodnie.

Nie dość na tym. Ekspansja Niemiec i Włoch dąży w zasadzie do uzyskania nowych nieprzeludnionych ziem, dokąd by mogła stopniowo lecz masowo przesiedlać nadmiar ludności z przetłoczonych swych ojczyzn europejskich. Wolno zauważyć, że taka operacja byłaby bodaj niemożliwa, nawet przy odpowiednich terytoriach, bez głębokich zmian ustrojowych w gospodarce kapitalistycznej, oraz przekształceń w psychice i mentalności wielkomieszczańskiej. Z chwilą zaś gdy zostaną nie tylko otwarte odpowiednie wolne obszary, ale i odkryte środki przeprowadzenia ruchów emigracyjnych w niebywałej dotąd skali, musiałyby one przybrać takie rozmiary, że w pełni zasługiwałyby na tytuł nowej „wędrówki ludów”. To by zresztą stylowo harmonizowało z zapowiadany od pewnego czasu nawrotem „nowego średnio-wiecza”. Pewne wstępne precedensy już uforowały tej idei drogę nawet we współczesnym „ginącym świecie”, co prawda na jego odległych kresach. Z Turcji do Grecji przesunięto ogromną około $1\frac{1}{2}$ milionową masę ludności greckiej, powiększając zaludnienie królestwa Hellenów o jakieś 20%. Odwrotny ruch imigracji politycznej był słabszy, jednak około $\frac{1}{2}$ miliona Turków zdołano przenieść z Grecji do państwa Kemala. W mniejszym zakresie przesuwa całe grupy ludności z jednych okolic kraju w inne Sowiecka Rosja, zgodnie zresztą z odwieczną w tym względzie tradycją i praktyką carską.

Ażeby usunąć przeludnienie Niemiec i powrócić im względną samowystarczalność gospodarczą, należałoby wyprowadzić poza obręb starego niemieckiego kraju przynajmniej z 10 milionów ludności. Ktoby tego umiał dokonać dla tego nie byłoby z pewnością niepokonalne dość znaczne jeszcze, ewentualnie bardziej rozciągnięte w czasie, podniesienie tej liczby o kilka milionów więcej. I tak zresztą do-razna emigracja z już odcieżonych ludnościowo Niemiec musiałaby stale odpowiadać ich naturalnemu przyrostowi, jeśliby nie miała nastąpić recydywa przeludnienia. W powyższej perspektywie, niewątpliwie światoburczej i szalonej

ze stanowiska mieszczańskiego, nic w zasadzie nie stałoby w poprzek ewakuacji całych prowincyj dotąd niemieckich: Prus Wschodnich, Śląska środkowego i dolnego, oraz — blisko czteromilionowej — mniejszości niemieckiej z Czech.

Jeżeli przypuścimy tę możliwość, to stwierdzić trzeba, że otworzyłaby ona szeroko wrota innej możliwości: skomasywania oplakanej, jątrzącej, politycznie rozkładowej szachownicy narodowościowej w obrębie trójkąta trzech mórz. Pozwoliłaby pozszywać monstrualną sieć enklaw i korytarzy, którymi wersalski pacyfizm poszarpał w sztuki jedność geopolityczną środkowego wschodu Europy i wydał go bezbronnym na łup zuchwałych ościennych planów rozbiorowych. W tej perspektywie przedstawia się zupełnie realnie możliwość imigracji ludnościowych także w obrębie trójkąta trzech mórz. W szczególności stawałoby się dostępnym rozszerzenie w dwójnasób zbyt szczupłego terytorium narodowego Czech za pomocą stopniowej ewakuacji ludności niemieckiej z Czech i Śląska, oraz przez ewentualne przyłączenie dotąd etnicznie niemieckiej (a więc bez Opola) części Śląska do państwa czeskiego. Wzamian za taką kompensatę mogliby Czesi zrealizować konieczne usamodzielnienie Słowaczyny, z uwzględnieniem terytorialnego powiększenia Węgier, by na tym terytorium pomieścić nie tylko 800 tysięcy madziarskiej mniejszości, żyjącej na Słowacyzynie, ale także półtora miliona madziarskich Szeklerów z Rumunii.

Nie trzeba dodawać jak zwartą, geopolitycznie i strategicznie, stałaby się wtedy budowa północnej części trójkąta trzech mórz. Z jaką ulgą mogłaby odetchnąć Warszawa gdyby nad nią przestał zwisać, z wyciągniętej dłoni Berlina, miecz damoklesowy Mazurów pruskich. Jak mocno oparłaby się Polska o Bałtyk w Gdańsku i Królewcu. Jak zabezpieczonym, stałoby się wtedy polskie Pomorze i jak pokorną by musiała wobec nas przyjąć postawę Litwa kowieńska dziś tak bezczelna, bo może przeciwko nam wygrywać nie tylko Moskwę, lecz i Berlin. Jakie, nie do ukąszenia; oparcie przeciwko Niemcom znalazłyby Czechy w swej nowej figurze zestrojonej z Polską, Słowacyzną, Węgrami i Austrią; a zarazem osłaniającej Wielkopolskę przed południowym skrzydłem ofensywy, dla której fortyfikacyjną podstawę dziś

Niemcy rozbudowują nad Odrą. Oczywiście Czechy zostałyby radykalnie odcięte od wszelkiego kontaktu z „mateczką” Moskwą. Węgry znalazłyby się w posiadaniu jednolitego narodo-
dowo, a o $\frac{1}{3}$ część większego niż obecnie terytorium, które by stanowiło zupełnie znośną dla nich formę kompromisu wobec dawnego stanu posiadania, i pozwoliloby przyjąć lojalny, trwały udział w Unii. Komasaacja geopolityczna południowej, bałkańskiej części śródziemnomorskiego trójkąta jest mniej ważna i nagląca jak części północnej, bo i stosunek do Włoch w mniejszym stopniu rozstrzyga o przyszłości całego śródziemnomorza, niżli stosunek do Niemiec. Gdyby jednak szło o wyłączenie Włoch z Bałkanu, należałoby zlikwidować enklawę albańską na rzecz Jugosławii i Grecji, wzamian za ustępstwa z ich strony na rzecz Bułgarii.

System kontynentalny.

Możliwości powyższe mają to do siebie, że ich realizacja leży w tej samej płaszczyźnie w niemiecko-włoskich dążeniach ekspansyjnych pozaeuropejskich. Mogą one stanowić postulat, nie mogą być urzeczywistnione natychmiast. To też Niemcy i Włochy na najbliższym planie stawiają przede wszystkim podział między sobą dorzecza Dunaju i Bałkanu na sfery wpływu. Związane z tym podziałem jako punktem wyjścia dalsze plany imperialistyczne stanowią na razie tylko odleglejszy cel oraz podstawę psychologiczną doraźnego współdziałania. W takim jednak charakterze są one dla tego współdziałania nieodzowne. Bez nich nie doszłoby ono do skutku.

Nie inaczej ma się rzecz po stronie państw środkowo-wschodnich, zagrożonych współdziałaniem niemiecko-włoskim. Jeśli pragną one zewrzeć się między sobą w siłę zdolną nie tylko stawić bierny opór doraźnemu niebezpieczeństwu, jeśli pragną uzdolnić się do skierowania energii przeciwników na tory dla nich korzystne, to muszą wytworzyć psychologiczną podstawę oraz określić zasadnicze cele współpracy między sobą. Perspektywa, w której Czechy mogłyby uregulować problem słowacko-węgierski, powinna się stać podstawą układu o ścisłym współdziałaniu państw

naddunajskich, przede wszystkim doraźnym, w obronie niepodległości, ale zarazem i trwałym obliczonym na dalszą przyszłość.

Gdyby się dało zmontować także współdziałanie Austrii, Czechosłowacji i Węgier z Polską i Rumunią przeciwko obecnym dążeniom „osi Berlin - Rzym” to w równowadze politycznej Europy mogłoby spowodować daleko sięgający przewrót. Wystąpiłoby bowiem na widownię nowe jakby mocarstwo, którego przedtem nie było. Sojusz tego mocarstwa z Francją miałby zapewnione widoki skutecznej obrony wobec sojuszu niemiecko - włoskiego. Tym samym mocarstwa centralne mogłyby zostać ponownie zablokowane. Mogłyby, ale nie powinny. Unia Trzech Mórz bowiem da się przemyśleć tylko w perspektywie pozytywnego rozwiązania sprawy ekspansji Europy środkowej na ziemie pozaeuropejskie. To też opanowanie niebezpieczeństwa rozbiorowego powinno posłużyć jako punkt wyjścia nowej ugody przede wszystkim pomiędzy Unią Trzech Mórz a „osią Berlin - Rzym”. Zwłaszcza faszystowski Rzym powinienby do niej być skłonny, bo naddunajski plan rozbiorowy jest dlań niewątpliwie karkołomny. Ta ugoda musiałaby określić cele, drogi i warunki solidarnej polityki ekspansyjnej całego bloku środkowej Europy. Powstałaby wtedy nowa „Mitteleuropa” na zasadach nic nie mających wspólnego ani ze znaną niemiecką koncepcją hegemonistyczną z czasu wielkiej wojny, ani z obecnymi planami rozbiorowymi „osi Berlin - Rzym”.

Byłaby to formacja tak potężna, że do nieznanego dotąd *maximum* podniosła by widoki pozytywnego rozstrzeżenia nadmiaru życia w Europie na ziemie dotąd niewyżyłskane. Leżałoby wtedy w najistotniejszym interesie Francji, ażeby i ona przyłączyła się do tej formacji. Za cenę umiarkowanych ustępstw kolonialnych mogłaby wtedy odłączyć się od Anglosasów i Rosji. Mussoliniego wizja *Imperium Romanum* przybrałaby wtedy charakter bardziej złożony, italo - ibero - galijski, w bloku trzech wielkich narodów łacińskich bliższy historycznego prototypu. Wraz z blokiem środkowo-europejskim wyłonić by się stąd mógł syntetyczny paneuropejski system kontynentalny. Miałby wówczas w swym ręku bezapelacyjną decyzję, czy ekspansję prze-

ludnionego kontynentu skierować we współdziałaniu z Moskwą, przeciwko Imperium Brytyjskiemu, lub też we współdziałaniu z Anglią przeciwko Eurazji.

Pełna dynamicznego rozmachu inicjatywa Niemiec i Włoch wytwarza wprawdzie poważne niebezpieczeństwo dla sąsiadów na środkowym wschodzie. Ale może i powinna mieć ten dobry skutek, żeby wytrącić europejską myśl polityczną z kolein pacyfistycznego kwietyzmu i pobudzić do kontrplanowania imperialistycznego. Jest to jedyna droga na której dadzą się odkryć twórcze wyjścia z matni, w którą zapędziła ginący świat polityka bezpłodnej i bezmyślnej konserwacji wielkich imperiów kolonialnych, uprawiana pod pokrowcem hasel genewskich. Jest to droga, która zarazem mogłaby przynieść wytchnienie i zysk na czasie, podtrzymując kontynent europejski w ogóle, Niemcy w szczególności w ich ciężkiej opresji gospodarczej. Solidarna, planowa, kontynentalna polityka gospodarcza, zwłaszcza skojarzona ze śmiałą eksperymentacją również wewnętrznych w tej dziedzinie możliwości i konieczności rokowałaby wyniki zbawienne.

Inna rzecz, że wszystko co powiedziano wyżej może wydać się szaloną, nierealną, utopijną fantasmagorią umysłom silnie wrośniętym w pozytywistyczny lub marksistowski widnokrąg pojęć. Tak jest istotnie. Drogi wyjścia ze ślepego zaułka dziejów w którym szamocze się beznadziejnie wielkomieszczański świat znajdują się tylko poza obrębem właściwego mu pola widzenia. Dzięki temu umysły które nim dotąd kierują, a które pragną uchodzić za trzeźwe, rozsądne i praktyczne, znalazły się w splocie całego szeregu najdramatyczniejszych powikłań, wobec których stoją zupełnie bezradne. Istny cykl „kwadratur koła“, zadań bezwzględnie nierozwiązalnych, rozwinął się przed nimi wewnątrz i zewnątrz państw, w polityce i w ekonomice. Kwadraturą koła są próby kapitalistycznego rozwiązania francuskiego zatargu pomiędzy masą drobnych ciułaczy, a masą robotników fabrycznych na tle krótkiej pracy, wysokiej płacy, walki z bezrobociem i poziomemu cen. Kwadraturą koła jest polska dążność do budowy kapitalistycznego industrializmu przy takiej dysproporcji między liczbą ludności a zasobem kapi-

tału, przy jakiej nigdy nigdzie kapitalizm się nie rozwijał. Kwadraturą koła jest wchłonięcie obrotu gospodarczego z przeludnionymi Niemcami przez chore na hyperprodukcję gospodarstwa światowe, a bez rozszerzenia podstaw terytorialnych gospodarki niemieckiej. Kwadraturą koła jest wreszcie problemat „federacji naddunajskiej” pomyślany bez jakiegokolwiek pozytywnego projektu politycznej ugody czesko-węgierskiej, a także sama ta ugoda jeśli się ją traktuje ze stanowiska demokracji narodowościowej.

Wszystkie te „kwadratury” wyrastają przed umysłowością współczesną jako straszliwe sfinksowe pytania. Brak odpowiedzi lub błędna na nie odpowiedź spycha Europę ku otchłani. To też nie ma groźniejszej utopii jak pracować nad kwadraturą tych kół dotąd praktykowanymi „trzeźwymi” metodami. Prowadzi to prostą drogą do rozszerzenia ponurej pożogi hiszpańskiej na całą Europę i do bombardowania bezbronnych wielkich miast przez nieprzeliczone baterie i roje eskadr lotniczych. W najlepszym wypadku prowadzi ta metoda do „pokojowych” zaborów i rozbiorów, jak planowany ostatnio.

Ta metoda, tak dotąd rozpowszechniona, jakże upodabnia współczesną ludzkość do korowodu zwinnych leśnych stworzeń w noweli Kiplinga; wpatrzone w zielone ślepia olbrzymiego węża zdrętwiały, rytmicznie się kołysząc, zwolna posuwają się naprzód i kolejno znikają w rozwarłej paszczy.

St. Szczufowski.

Sens i nonsens naszych dni.

Na marginesie dziełka M. Lamberty, „Le rôle social des idées”.

Z Belgii, w której w chwili bieżącej walka o idee przybrała formy i kształty o dramatycznym wprost napięciu, dochodzi nas próbka wytlumaczenia nam sensu i nonsensu naszych dni. Jest nią praca M. Lamberty'ego,¹⁾ człowieka z bliższego otoczenia Van Zeelanda. Dziełko to zasługuje na głębszą uwagę już choćby z tego tytułu, że nam odkrywa niejako kulisy, myślowe tło i uzasadnienie tej walki, jaka się niedawno odegrała między premierem a Degrellem. Jasnością zaś ujęcia, sposobem przeprowadzenia i nade wszystko swą głębią metafizyczną wybiega daleko ponad przypadkowość wszelkich zjawisk czasowych i dociera do ostatecznych wiązań historiozoficznych przesłanek.

Autor w swoich wywodach tą jedną kierował się maksymą, nigdzie co prawda niewyrażoną, że historia *magistra vitae* czerpie z rozważań przeszłości, zwłaszcza z epoki wojennej, materiał na uzasadnienie swych twierdzeń. Tezą zaś naczelną, w której wszystkie dociekania i wnioski autora kulminują, to wniosek, że nie potajemne siły jakiegokolwiek, ani też żadne zgola uwarunkowania materialne decydują o przebiegu wypadków historycznych, ale tylko i jedynie idee. Idee i ideologie są sprężyną poruszającą i przewalającą fale historii.

Pod wyrazem idee rozumie scholastycznie wyszkolony Lamberty nie *eidos* platońskie, które niezależne i niebadczne

¹⁾ Bruxelles, *La cité chrétienne*, str. 277.

na rzeczywistość unosi się w błogim prastanie ponad czasem i przestrzenią, ale tę treść, którą wytworzył sobie umysł ludzki stykając się z rzeczywistością i przenikając ją swym poznaniem. Tak pojęte idee, zaczerpnięte z życia i na nim oparte, owoce głębokiego doświadczenia, władały z dawien dawna ludzkością i jej poczynaniami. I chociaż wielkie zboczenia, w które ludzkość raz po raz się wikła, świadectwem niejednokrotnie być się zdają, że ślepy pęd albo fatum nieuniknione są jedynowładnym czynnikiem w jej dziejach, to jednak głębiej rozpatrywane też same zboczenia najlepszym stają się świadectwem mocy idei, bo i najdziksze przecież prądy w ludzkości biorą swój początek z samowolnego tłumaczenia i ujęcia myślowego rzeczywistości.

Rzeczywistość, jak wiadomo, mierzy się prawdą, pięknem i dobrem. Z tych trzech, nam wrodzonych kryteriów sądu, zdanie i sąd o piękności jakiejś idei nigdy nie odgrywały większej roli w życiu narodów. Punkt widzenia estetyczny ma swoje znaczenie tylko w małym kółku elity, przeważnie snobów, ogółowi i tłumom zawsze na tym zależy, czy dany czyn, stan, dane dzieło, czy dana jednostka prawdą są i czymś dobrym. Dobro i prawda w zespoleniu swym są prawzorem tej sprawiedliwości, którą każdy moralnie zdrowy człowiek i każda społeczność z nich się składająca uważa za swój cel. I wszelkie poczynania polityczne, przynajmniej w teorii, zamierzają uzgodnić w bliższej lub dalszej przyszłości, stan faktyczny z pewnym w jakiejkolwiek formie uznanym i przyjętym ideałem prawdy i dobra. Na tej zasadzie opiera się przekonanie o bezustannym postępie, przekonanie, które w wieku XIX urosło do roli *Leitmotiv'u* myśli politycznej.

Jeżeli teraz przyjmiemy ogólnie obowiązującą prawdę i wszystkich wiążącą moralność, to łatwo zrozumiemy, że niepodobna nam przypatrywać się politycznym przebiegom i dziejom tak, jak się np. eksperymentator patrzy na zjawiska dokonywujące się w jego próbowce. Przeciwnie, każdy z nas patrzeć będzie na dzieje — zwłaszcza na dzieje własnego narodu i państwa — tak jak lekarz patrzy na proces życiowy i żywotny, który by chciał uchronić przed uszko-

dzeniem albo zakażeniem. A przecież z chwilą, z którą przyjmujemy bezwzględne kryterium prawdy i dobra, z tą chwilą musimy przyznać, że wszelkie odchylenie od tych dwóch zasad musi być nazwane chorobą społeczną, którą należy leczyć, i którą leczyć jest obowiązkiem.

Lamberty, dociekając źródła niedomagań naszej epoki, rozpoczyna swe badanie krytyczną oceną pierwszych poznawalnych szkód. „Wyzwolenie” jednostki od tych więzów niezbędnych, które uznawano powszechnie w społecznościach średniowiecznych, doprowadza — jego zdaniem — po trzech stuleciach, do tego, że niezdrowy i prawie nieuleczalny egoizm zatriumfował nad uniwersalizmem; że jednostki zarówno jak narody całe poczęły kroczyć w partykularystycznym zaślepieniu każdy swoją drogą i swoją ścieżyną, jak gdyby tylko sami jedni i sami dla siebie żyli i żyć mogli, jak gdyby nie rozumieli, iż niepodobna rozerwać tych więzów, które prawem najwyższego nas wszystkich z wszystkimi wiąże, nie gubiąc tym samym równocześnie samych siebie. I otóż znowu źródłem tej dążności separatystycznej nie było nic innego tylko mylna w następstwach swoich idea, ideologia, ta, którą dziś określamy mianem materializmu pozytywistycznego, odmawiającego rzeczywistości i realności temu wszystkiemu, co jest niedostępne zmysłom. Tak ruchem bumeranga zwraca się błędna idea przeciwko sobie i samą siebie gubi.

Kiedy ten proces, ta zabawa bez Boga i jego woli, doszła do swego zenitu, kiedy się ludzkości zdawać poczęło, że się po zwierzęcemu ma już całkiem dobrze, nie uznając pana i nie uznając wyższego nad sobą, wtedy ze sprzeczności krańcowej egoistycznych pędów i zamierzeń zrodziła się wojna światowa. I znowu rozszalały idee przeciwko sobie. Nie armaty i nie brak żywności, nie „kartki na żywność” ani techniczne zdobycze kunsztu wojennego rzuciły w krwawy bój 1 1/2 miliarda ludzi i kazały im walczyć z sobą przez długie cztery lata. Nie. W tych zastępach spieszących na pole walki żyła ta moc woli i to przekonanie rozumu, że idą toczyć bój o prawdę i dobro, a więc o sprawiedliwość wielką i jej panowanie. Były to więc znowu idee, które tłumy te zmobilizowały i w nich działały jako tajne sprę-

żyny, które im broń wciskały do dłoni i kazały pójść na śmierć. Zwyciężyła idea silniejsza, albo dokładniej idea silniej propagowana i tym samym głębiej przenikająca mózgi i dusze. I tak długo, albo też tak krótko, utrzymała się przy władztwie swym, dopóki jej nie zepchnęła na drugi plan inna idea silniejsza od tamtej czy jeszcze silniej niż tamta propagowana.

Dla Lamberty'ego tzw. prądy mas i falowania tłumy nie są niczym innym tylko prądami z zakresu i w zakresie idei, są prądem myślowym, w którym bierze udział cały naród. I dlatego rewolucje wszystkie — według niego — nie są tym, czym się zdają być na zewnątrz i jakimi je malują „technicy przewrotu“ à la Trocki i Malaparte, jako wynik świetnie zorganizowanej przemocy, dla której obojętnym jest, za co i na co tej siły użyto. Przenigdy. Rewolucja dla ogółu, który nią zwycięstwo sobie wywalczył, zawsze oznacza triumf prawdy i dobra. W „wodzu“ swym tłum nie widzi demagogicznego mówcy partii, lecz „proroka, który prawdę głosi“. Stąd też „świętym“ obowiązkiem wszystkich „wodzów“ naszego wieku — wieku, który przecież nieprzymuszony odnalazł drogę i zawrócił z nieokielzanej i wybujałej wolności indywiduum pod autorytet i władzę — jest utrzymać się przy władzy, nie dla tejże władzy tylko, nie by moc i władanie uczynić ostatecznym celem, lecz by wiarę i oddanie tłumów wynagrodzić świętą służbą „prawdzie i dobru“.

Dla chrześcijanina, rzecz zrozumiała, służba prawdzie i dobru jest jednoznaczna ze służbą Temu, który jest dobrem najwyższym, „drogą, prawdą i żywotem“. I tak nawet w triumfie idei, które się wywiodły z podłoża materializmu i które w ostatnim etapie mądrości widziały się zmuszone apelować do autorytetu i władzy a przemocy zewnętrznej, zwycięstwo swoje święci logiczny wniosek i zobowiązanie do chrześcijańskiego ustroju społecznego, na kształt tych, które ongiś w harmonijnie myślącym średniowieczu a i później jeszcze w dziełach, pracach myślicieli i teoretyków baroku powszechnie władały.

Wniosek praktyczny z tego rzutu widzianego i ujętego okiem znawcy, w którym nam autor tłumaczy sens i zna-

czenie naszych dni, schodzi się jak gdyby samorzutnie z usprawiedliwieniem i uzasadnieniem nowego porządku społecznego, który poza Belgią dokonuje się i w Austrii i na Węgrzech i w Portugalii a ostatnio przygotowuje się powoli i w Polsce.

Skarga, którą Lamberty, wraz z J. Benda, głośnym autorem *Trahison des Clercs*, formułuje, iż: „Światu dzisiejszemu brak ufego oddania się prawdom transcendentnym i to jest jego bólem” — milknąć musi coraz bardziej wobec faktu odradzania się chrześcijańskiego społeczeństwa i chrześcijańskiego ustroju, które powoli dokonywuje się w tylu już krajach.

Gdyby tak poddać krytyce tezy belgijskiego polityka, to należałoby nasamprzód z wdzięcznością stwierdzić, że nigdzie jeszcze nie wykazano z taką jasnością i oczywistością, jak w tym właśnie dziełku, iż i najbardziej materialistyczne prądy mas uginają się wprost pod brzemieniem i treścią materiału ideowego. Jeżeli ongiś szermierzom „bezpewnikowej” nauki zarzucić można było, że ten przynajmniej pewnik, iż „nauka musi badać bez pewników”, jest im niezbędny — to wszystkim tym głowaczom, którzy utrzymują, iż dzieje historii to tylko splót i ścieranie się ślepo uderzających sił, śmiało rzucić można w twarz, że właściwie wszystkie te siły, jakimkolwiek imieniem je obdarzymy, czy rasy czy klasy, to przecież nic innego, tylko twór procesu myślowego człowieka, rozprawa ducha i ujęcie ze strony ducha tej rzeczywistości, z którą się styka, a więc ostatecznie idee.

Najznamienitsi filozofowie współczesnych prądów politycznych, którzy swą totalność wyprowadzają niby to z czynników ślepo poza nami działających, jak A. Rosenberg, w doskonałym swym odczycie na rzymskim Volta-kongresie, lub Trocki w swych samochwalczych „wyznaniach”, przyznają otwarcie, żeby nie powiedzieć cynicznie, iż wszystkie ruchy płyną z idei, a nawet gdyby te idee same w sobie były nieprawdziwe, to robi się je prawdziwymi, przez ciągłe wbijanie ich w mózgi, tak iż powoli rodzi się w tłumach wiara w te idee. W systemach totalnych nie wspartych na

żadnej objawionej metafizyce, tkwi tyle behawioryzmu, tyle Vaihingerowskiego „jak gdyby”, ile się tylko zapragnie. A przy tym tyle jest w tych systemach owej „moralności panów” — która jest w kursie także i u bolszewików — moralności gardzącej „prostaczkiem” i człowiekiem z ludu, a mniemającej, że świat chce być zwiedzionym, *mundus vult decipi*... — a więc niech zwiedzionym będzie.

W przeciwstawieniu do takiego postępowania podkreśla Lamberty konieczność dostarczania ogółowi żądającemu prawdy i czekającemu na prawdę, nie jakiejś tylko „namiaszki”, przez niego przyjętej za prawdę, ale istotnej, odwiecznej i nieskażonej prawdy i dobra. Twierdzeniu tak postawionemu żaden z nas, o ile jest prawdziwym wyznawcą Chrystusowej nauki, sprzeciwiać się nie może. W jednym wszelako punkcie autor zdaje się zbytnio zapatrzył się w ideę, za mało tkwi w życiu. Czyż naprawdę miałby mniemać, iż „cnoty można nauczyć”, iż fałszywe idee drogą dysput wypełnić się dadzą? Przejawia się tu w autorze uczeń zachodnich ideologii, sięgających zawsze w pewnej mierze czasów Rousseau’a i encyklopedystów. Szkoła ta patrzy na człowieka, jako na istotę z natury swej dobrą a zapomina, że mądrzy ojcowie kościoła uznawali co prawda duszę jako *naturaliter christianam*, a więc skłoną z natury do dobrego, lecz równocześnie nie zapominali nigdy jak łatwo słabość ludzka ulega pokusom i ułudom doczesności. Głębsze studia historyczne wykazują zawsze, że domniemany wyższy stopień etyki i moralności społeczeństw i państw minionych wieków polega na pewnym optycznym złudzeniu. Nie tak łatwo da się osądzić, czy książęta z epoki wypraw krzyżowych więcej posiadali chrześcijańskiego ducha, niż za dni naszych Salazarzy i Dollfussowie, Van Zeelandzi lub Daranyiowie czy Schuschniggowie. Argument zbudowany z hołdu, jaki występki składa cnocie gdy udaje cnotę — twierdzenie, iż w średniowieczu uczono dobra, a czyniono złe, podczas gdy dzisiaj zło i czynią i uczą, ma w sobie coś z romańskiego umiłowania do uogólniania i do abstrakcji. Przy głębszym wejrzeniu i wnikięciu w rzeczywistość minionych stuleci wszystkim nam przydarzy się to, co zdarzyło się romantycznym bohaterom z niesłu-

sznie zapomnianej *Podróży w czasy rycerstwa* Nestroya, poznamy, że teraźniejszość nie jest może taka straszna. Ale niezbędnym warunkiem do takiego wniosku jest, z jednej strony cześć dla idei jako sił przewodnich, z drugiej zaś wieczna pamięć na one słowa Pisma świętego: *My wszyscy społem grzesznicy...*

Dr Otto Forst Battaglia.

Na bezdrożach reformy szkolnictwa średniego.

Jedną z cech życia współczesnego jest wielki niepokój szukania coraz to innych form, programów, metod, chorobliwa wprost świerzbączka nowości, przechodząca nieraz prawie że w manię reformowania, przebudowywania, zmieniania. Forma rządów autorytatywnych, która obejmuje coraz liczniejsze państwa i narody, sprzyja znakomicie burzeniu i niszczeniu starych form a tworzeniu nowych, jakże często ryzykownych i kosztownych. W cieniu i pod opiekuńczymi skrzydłami dyktatorów, przychodzą jednak do głosu i władzy także ludzie mali, jakże często bardzo nawet mali umysłem i duchem dyktatorowie, którzy w przeświadczeniu o swojej wyjątkowej misji, burzą stare rzeczy, przede wszystkim dlatego, że są stare, że oni ich nie tworzyli i budują nowe, w najgłębszym przeświadczeniu, że tworzą rzeczy epokowe. Naiwne przekonanie, będące dowodem wielkiej zarozumiałości, a zarazem ograniczenia umysłowego, że wszystko co stare, że wszystko czegośmy sami nie wymyślili, jest tym samym złe i niemądre — tkwi dość głęboko w psychice nowoczesnego człowieka, a przybiera niekiedy wprost szkodliwe formy u pewnych jednostek, które zmienna fortuna dziejów wynosi za wysoko ponad ich rzeczywistą wielkość.

Te niedomagania, które spotykamy dziś w tylu dziedzinach współczesnego życia, nie oszczędziły także i dziedziny szkolnictwa i wychowania. Gdy w dawnych wiekach nowe systemy szkolne i wychowawcze tworzyły się bardzo powoli i trwały nieraz nawet za długo, zbytnio się utrwały i kostniały, to ostatnie dziesiątki lat, a zwłaszcza okres powojenny, grzeszą drugą ostatecz-

nością, nieokreślonym pościgiem za nowościami, za nowymi formami wychowania. Gdy stare systemy nauczania i wychowania liczyły swoje życie na wieki, obecne rodzą się i umierają co lat kilka. Chorobie tej ulegają nie tylko reformatory-teoretycy wychowania, ale także niestety gnębi ona niemniej ostro i groźnie nawet ministerstwa oświaty.

Nie oszczędziła ona i polskiego Ministerstwa Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego. Ileż to już reform przeprowadzono w niespełna 20 latach Polski Odrodzonej?! Ile doświadczeń dokonano *in anima vili* naszej młodzieży? Ile wydano pieniędzy na komisje przygotowujące programy, na wprowadzenie tych programów w życie, ile zmarnowano grosza przez ciągłe zmiany, wycofywanie i niszczenie starych podręczników szkolnych. Co zaś najsmutniejsze to fakt, że wyniki tych wszystkich ogromnych wysiłków i wydatków są dalekie od ideału. Wzrost analfabetyzmu pierwotnego i wtórnego, upadek czytelnictwa (70% spadek produkcji książek!), obniżenie się poziomu wiedzy, stwierdzone przez polskie uniwersytety, brak sił naukowych, upadek moralności i kultury wśród młodzieży, oto kilka tylko punktów, które można zanotować na marginesie reform polskiej szkoły.

Te nasze, pesymistyczne, ale prawdziwe i rzeczowe uwagi odnoszą się przede wszystkim do ostatniej reformy naszego szkolnictwa i wszystkich nieudanych eksperymentów, przeprowadzonych przez braci Jędrzejewiczów. Po prostu wierzyć się nie chce, jak możliwą była tak nieodpowiedzialna a tak szkodliwa gospodarka kilku jednostek. I chociaż ludzie ci na szczęście już odeszli, to jednak przez twardą konsekwencję życiową, skutki ich działalności trwają i działają dalej.

Właśnie z najbliższym rokiem szkolnym wkroczymy w ostatni okres jędrzejewiczowskiej reformy szkolnej. Pierwszy jej etap stanowiła przebudowa szkolnictwa powszechnego, nie licząca się ani z finansowymi ani z kulturalnymi warunkami Polski. Drugi etap objął tworzenie nowego czteroklasowego gimnazjum, obecnie wchodzimy w okres trzeci. Etap ten ostatni jest niesłychanie doniosły najpierw dlatego, że on zadecyduje o dalszym rozwoju nauki polskiej, od wyników bowiem pracy naukowej i wychowawczej liceów zależeć będzie poziom studiów uniwersyteckich, a od poziomu studiów uniwersyteckich zależy tak kapitalna dla państwa sprawa, jak przygotowanie kadr urzędników, fachowców

w zawodach wolnych, technicznych, oraz dola lub niedola nauki polskiej. Drugi powód ogromnej doniosłości tego trzeciego etapu leży w fakcie powstania nowych liceów pedagogicznych. Niedobitki dawnych seminariów nauczycielskich w bieżącym roku zdają powtórzone matury, w roku przyszłym zacznie się przygotowywanie nowych kadr nauczycielstwa polskiego, w nowych warunkach, na nowych programach i przez nowe metody. Roli i znaczenia nauczyciela szkoły powszechnej nie potrzeba tutaj uzasadniać. Tysiące nowych nauczycieli, którzy za parę lat wyjdą z liceów pedagogicznych będą kształtować duszę ludu polskiego. Stąd odpowiedzialność twórców nowych programów i nowej organizacji szkolnictwa polskiego jest wprost ogromna.

Prawie jednomyślne potępienie reformy Jędrzejewiczów, oraz kilkuletnie już doświadczenie, zebrane w szkolnictwie powszechnym i średnim, pozwalało spodziewać się, że nowy kierownik Ministerstwa, który wykazał w wielu ważnych punktach niemało trzeźwego rozumu, który w miarę możliwości łagodził i wyrównywał ujemne skutki działalności swych poprzedników, nie odważy się na realizację trzeciego i ostatniego etapu reformy naszego szkolnictwa, że nie przystąpi do tworzenia liceów, lub przynajmniej realizację tę odłoży na późniejsze lata. Można było przypuszczać, że pozwoli najpierw na próby w kilku wybranych zakładach. Stało się jednak inaczej, a stało się podobno dlatego, by nie dezorganizować dalej całego szkolnictwa przez nową reformę.

Mamy przed sobą programy liceów ogólnokształcących; już dziś wiemy, jakimi drogami pójdzie nauczanie w tych zakładach, dlatego możemy wydać o nich sąd, pozwolić sobie na obiektywną krytykę i przewidywania. O tę rzeczową krytykę prosił zresztą publicznie sam p. Minister W R i O P.

Zasadnicze podstawy organizacji liceów ogólnokształcących.

Ustawa z marca 1932 r. przewiduje dwuletnie liceum ogólnokształcące, zróżnicowane pod względem programu na 4 wydziały: humanistyczny, klasyczny, matematyczno-fizyczny i przyrodniczy. Zróżnicowanie to oparto na fakcie różnicowania się upodobań i uzdolnień 16-letnich absolwentów obecnego czteroletniego gim-

nazjum, a równocześnie na woli wykluczenia z liceów powierzchownego encyklopedyzmu, którego nie dałoby się uniknąć przy równomiernym uwzględnianiu w programie nauczania licealnego wiadomości ze wszystkich dziedzin wiedzy. Na wielu miejscach w programach spotykamy się z silnym zastrzeżeniem, że liceum ogólno-kształcące nie ma dawać wykształcenia encyklopedycznego, ale równocześnie nie ma wprowadzać specjalizacji, lecz powinno wyłącznie przez wyrobienie zdolności umysłowych, umiejętności posługiwania się zdobytą wiedzą, przez przyzwyczajanie do ścisłego myślenia i jasnego formułowania poglądów, przygotowywać zarówno do przyszłych studiów uniwersyteckich i do czynnego udziału w życiu zorganizowanego, w ramach państwowości, społeczeństwa. Istota podziału na wydziały polega na wyodrębnieniu dla każdego wydziału grupy przedmiotów, stanowiących tzw. podstawę dydaktyczną danego wydziału. Na wydziale humanistycznym podstawę tę stanowi język polski, historia, język łaciński i jeden język nowoczesny; na wydziale klasycznym język łaciński, grecki, polski i historia; na matematyczno-fizycznym matematyka, fizyka z astronomią, chemia z mineralogią i geologią; na przyrodniczym wreszcie biologia, geografia z mineralogią i geologią, matematyka, fizyka i chemia. Wspólne dla wszystkich wydziałów są następujące przedmioty: religia, filozofia, zagadnienia życia współczesnego, przysposobienie wojskowe i ćwiczenia gimnastyczne. Dwa pierwsze wydziały mają oprócz swych własnych przedmiotów także matematykę, fizykę z astronomią i biologię w bardzo ograniczonym zakresie, a znowu dwa drugie wydziały uczestniczą w programie pierwszych przez naukę polskiego, jednego obcego języka oraz historii. Konsekwentnie do podstawowego założenia, wykluczającego nauczanie encyklopedyczne, cały program szczegółowy oparto na zasadzie selektywności, to znaczy, że młodzież nie otrzyma całokształtu danej dziedziny wiedzy, ale tylko wybór zagadnień wedle uznania nauczyciela. Zasadę selektywności bardzo konsekwentnie zastosowano do przedmiotów humanistycznych, mniej konsekwentnie do przedmiotów matematyczno-przyrodniczych.

Tak się przedstawiają w ogólnym szkicu podstawowe założenia organizacyjne pracy dydaktycznej w liceum ogólno-kształcącym. Założenia te niestety budzą bardzo poważne wątpliwości. Postaramy się je po krótko przedstawić oraz uzasadnić.

Jeżeli liceum wyklucza programowo wykształcenie encyklopedyczne, to gdzie młodzież nasza ma to wykształcenie pobierać? Nie na uniwersytecie, ponieważ studia uniwersyteckie są wyłącznie studiami specjalnymi. Nie w szkole powszechnej i w gimnazjum 4-ro klasowym, ponieważ program tych szkół oparty jest również na daleko posuniętej zasadzie selekcyjności. W szkole powszechnej i w gimnazjum, pomijając pewne elementarne wiadomości, w żadnej dziedzinie wiedzy uczeń nie otrzymuje całokształtu, ale tylko wybrane kwestie, tematy, fragmenty, bardzo często tak od siebie odległe, że nie dają się nawet bardzo ogólnie związać. Klasycznym przykładem tych zasad dydaktycznych jest historia, jak to zobaczymy niżej. W ostatecznym wyniku obecna organizacja nauczania nie daje młodzieży skończonych całości, ale tylko fragmenty. Gdy w starym programie każdy uczeń dwa razy, raz w formie uproszczonej i łatwiejszej, drugi raz w formie pełniejszej i pogłębionej, przechodził całość dziejów powszechnych i polskich, obecnie nie będzie mógł w żadnej polskiej szkole całości tej zdobyć.

To jest jeden, bardzo naszym zdaniem, poważny brak nowych programów, który ogólną płyciznę i powierzchowność wykształcenia jeszcze powiększy i pogłębi.

Nie dające wykształcenia encyklopedycznego, liceum ogólnokształcące nie spełni jednak jednego z trzech najważniejszych swych celów, a mianowicie nie przygotowuje do studiów uniwersyteckich, a przynajmniej do studiów na wydziałach humanistycznych. Przygotowanie to obejmuje naszym zdaniem pewien poziom kultury umysłowej, a więc tak ogólne wyrobienie umysłowe jak i zasób wiadomości, co razem składa się na pojęcie inteligencji. Tę kulturę dają przede wszystkim nauki humanistyczne, a więc języki, historia nie tylko polityczna, ale pojęta jako historia kultury, przejawów myśli i działalności ludzkiej, historia literatury ojczystej i powszechnej, oraz najważniejsze wiadomości o świecie i człowieku. Sądzimy, że nikt nie odmówi słuszności tym naszym poglądom, zresztą doświadczalnie potwierdzają je przeróżne badania i ankiety, wykazujące, iż absolwenci gimnazjów humanistycznych i klasycznych dzierżyli pierwszeństwo nawet na matematycznych i technicznych wydziałach uniwersytetów.

W świetle tych uwag i doświadczeń musimy niestety program licealny uznać za bardzo niebezpieczne dla kultury umysłowej

Polski cofnięcie się wstecz. Oto dowody! Z wydziałów matematyczno-przyrodniczych usunięto zupełnie naukę języka łacińskiego. Wiadomo, że zakres nauczania tego języka w gimnazjum cztero-klasowym jest bardzo skromny, właściwie nie wychodzi się poza *rudimenta*, czyli w ostatecznym wyniku uczniowie liceów matematyczno-przyrodniczych nie będą posiadali w ogóle znajomości języka łacińskiego. Na pierwszych dwóch wydziałach mamy wprowadzić naukę języka łacińskiego (po 4 godziny w humanistycznym, 6 i 4 w klasycznym), ale i tutaj program jest niesłychanie ubogi, bo przewiduje na lekturę przerobioną w ciągu półrocza zaledwie 600 wierszy prozy i 400 wierszy poezji. Znajomość języka greckiego w Polsce w ogóle z latami zaginie, ponieważ program licealny nie wykracza poza wiadomości elementarne (cel: opanowanie języka w takim stopniu, aby móc z pomocą słownika i gramatyki przetłumaczyć zupełnie łatwy, ewentualnie uproszczony urywek z pisarzy klasycznych i N. Testamentu). Z takimi wiadomościami żaden absolwent liceum nie będzie mógł zacząć studiów wyższych filologii klasycznej. Już dzisiaj znajomość języka łacińskiego u absolwentów gimnazjum jest bardzo a bardzo ograniczona, w przyszłości sytuacja pogorszy się jeszcze znacznie.

Nie będziemy się przeto dziwić, że specjalne komisje, wyłonione przez grona profesorskie naszych uniwersytetów, wypowiedziały się bardzo surowo przeciw programom licealnym, a przedstawiciele niektórych wydziałów zapowiedzieli z góry wprowadzenie egzaminów wstępnych dla kandydatów. Studium prawa, filologii klasycznej i romańskiej, historii, medycyny będzie faktycznie niedostępne dla absolwentów wydziałów matematyczno-przyrodniczych, a bardzo utrudnione dla absolwentów dwu pierwszych wydziałów. Zapewnienie, że absolwenci wszystkich wydziałów licealnych będą mieli nieograniczony dostęp do studiów na wszystkich wydziałach uniwersyteckich nie zmieni sprawy. Będzie to prawo zupełnie iluzoryczne.

Nie wiele lepiej przedstawia się sprawa z nauką języków nowożytnych, jedynie w liceum humanistycznym nauczanie jednego języka nowożytnego (francuski, niemiecki lub angielski) zostało potraktowane możliwie rzeczowo i, dostatecznie (5 i 4 godzin tygodniowo).

Ujemne strony programu liceów występują jednak najsilniej przy nauczaniu historii, dlatego poświęcamy niżej tej sprawie osobny ustęp.

Mimo tylu zasadniczych braków w ogólnym programie i organizacji nauczania licealnego, przecież twórcy tego programu nie potrafili się ustrzec pewnej, że się tak wyrażę megalomanii i błagi, która utrudni uzyskanie pozytywnych wyników pracy szkolnej. Mimo zastrzeżenia, że program licealny wyklucza specjalizację, wprowadzono przecież wszędzie, gdzie się tylko dało, jako środek dydaktyczny samodzielną pracę badawczą czy doświadczalną ucznia, a więc jeden z podstawowych czynników naukowej metody uniwersyteckiej. Słusznie podniosła krytyka, że przez to licea stają się jakby półuniwersytetami. Na wielu miejscach z wielkim naciskiem autorzy programów poniżają, ograniczają znaczenie gotowego podręcznika. Czytamy, „że obowiązkiem nauczyciela jest realizacja programu, a nie przerabianie podręcznika”. Podręcznik winien „zostawiać uczniowi możliwość dokonania samodzielnej pracy, nie dając całkowitego opracowania poszczególnych zagadnień.” Ta możliwość samodzielnej pracy idzie tak daleko, że wprowadza w historii np. zapoznanie ze sposobami korzystania ze źródeł i pomocy naukowych, a więc po prostu proseminarium i wykład metody historycznej. Do granic absurdu i śmieszności nie liczącej się z konkretnymi warunkami i z umysłowością młodzieży dochodzą wymagania przy zagadnieniach życia współczesnego, o czym powiemy niżej. To naśladowanie w liceach metod pracy naukowej stosowanej na uniwersytetach, przy równoczesnym ograniczaniu roli podręcznika, utrudniającym młodzieży zdobycie porządnie ułożonych całości, nie tylko nie podniesie kultury umysłowej, ale ją jeszcze bardziej obniży, wprowadzając w miejsce rzetelnej pracy przyswajania, błagę samodzielności, pływaczę i nieuctwo.

Program nauczania historii.

Najlepiej i najjaskrawiej wszystkie braki programu licealnego występują w programie nauczania historii, filozofii i zagadnień życia współczesnego.

Wartości wychowawczych i dydaktycznych historii oraz wielkiego znaczenia wiedzy historycznej nie potrzebujemy tutaj

udowadniać. Można nie umieć lub zapomnieć wyciągania logarytmów, można nie znać się na równaniach drugiego stopnia, na teorii kwantów, a być człowiekiem inteligentnym, kulturalnym; nie będzie się natomiast miało prawa do tego miana bez znajomości dziejów ludzkich, dziejów własnego narodu, dziejów powszechnej i ojczystej literatury. Człowiek nie znający ojczystej historii i geografii, jest cudzoziemcem, jest obcym przybyszem na swojej rodzinnej ziemi, analogicznie będzie cudzoziemcem i na świecie. Zabytki bowiem przeszłości, które spotyka na każdym kroku, pomniki wielkich ludzi, tysiące nazwisk, tysiące faktów, to wszystko jest dla niego obce, nieznane, niezrozumiałe. Co więcej, zdarzenia i zjawiska współczesnego życia, wśród których żyje, które go dotyczą, są również dla niego jedno z dwojga albo całkiem proste albo całkiem ciemne, a to dlatego że brak mu zmysłu duchowej perspektywy, całe życie współczesne widzi on tylko jednoplanowo. Dlatego to tępienie znajomości historii stało się jednym z naczelných zasad szkolnictwa sowieckiego; bolszewickim reformatorom zależało właśnie na pozbawieniu rosyjskiego społeczeństwa owego zmysłu duchowej perspektywy, zależało im na zmuszeniu obywateli do widzenia tylko jednoplanej sowieckiej rzeczywistości. Odciać duszę od kontaktu z zagranicą w chwili współczesnej i od kontaktu z przeszłością, oto zasadnicza myśl wychowawczej metody sowieckiej. Podobnie, choć w mniejszym stopniu, inne totalne reżimy wznoszą chińskie mury między własnym państwem a sąsiadami, przykrawują i fałszują historię wedle potrzeb doktryny totalnej. Doniosłość wychowawczą i kształcącą nauczania historii rozumiał doskonale nawet J. Jędrzejewicz, twórca reformy szkolnej, ponieważ właśnie z historii ojczystej, pojętej najszerzej, jako całość dziejowego rozwoju ludzkości i narodu we wszystkich jego objawach, a przede wszystkim z kultury narodowej, uczynił główny i centralny ośrodek nauczania i zainteresowania. Z tą zupełnie słuszną zasadą staje w sprzeczności konkretne wykonanie ogólnego programu. Zasada wyboru tematów, zasada fragmentaryczności, a wykluczenie systematycznej całości podkopuje u podstaw możliwość jakichś lepszych osiągnięć.

W liceum humanistycznym przeznaczono na naukę historii wcale pokąsną liczbę 4 godzin na każdym roku, w klasycznym jest już jednak gorzej, bo drugiemu rokowi ujęto jedną godzinę,

a na wydziałach matematyczno-przyrodniczych ograniczono się tylko do 2 godzin tygodniowo. Ale niewielka liczba godzin nie jest tutaj najgroźniejsza, naprawdę groźny jest sam program nauczania. Całość dziejów Polski i dziejów powszechnych ujęto w 80 syntetycznych zagadnień, takich jak np.: Rozwój terytorialny państwa polskiego od X do XVII w.; walka o Bałtyk; przeobrażenia gospodarcze XIX i XX w. i ich wpływ na międzynarodowe zagadnienia polityczne itd. Można by dyskutować, czy takie syntetyczne ujmowanie najważniejszych okresów czy problemów historii jest odpowiednie w nauczaniu średnim, w każdym razie, gdyby uczniom liceum umożliwiono przerobienie właśnie tych 80 zagadnień, to poziom ich kultury umysłowej a konsekwentnie kultury ogólnej bardzo by się podniósł. Niestety, zasada wyboru i fragmentaryczności programowej możliwość tę niszczy, sprzyjając tylko szerzeniu się płyčizny, niedouczenia i błagi. Bo oto z tych 80 zagadnień w liceum humanistycznym może nauczyciel przerobić tylko 30, a więc zaledwie nieco więcej niż 33⁰/₁₀, w klasycznym już tylko 28, a w matematyczno-przyrodniczym 20. W praktyce będzie to wyglądać w ten sposób, że na przykład z 7 zagadnień dziejów grecko-rzymskich matematycy przerobić mogą tylko jedno jedyne. Ponieważ zaś każde z 7 zagadnień suponuje resztę, bo nie można zrozumieć np. kultury duchowej i artystycznej świata antycznego, bez znajomości form życia społeczno-gospodarczego, i na odwrót, dlatego nielada zadanie nakłada tutaj program na nauczyciela! Przypuśćmy jednak, że można od biedy przedstawić ekspansję terytorialną i polityczną Rzymu, bez włączenia innych ściśle łączących się zagadnień, to jednak wolno nam się zapytać, cò za wartość wychowawczo-umysłową będzie miała znajomość jednej tylko grupy oderwanych faktów? Sytuacja jednak nabiera posmaku skandalicznego wprost zacofania u twórcy programu nauczania historii przy dziejach nowożytnych. Oto np. uczniowi liceum matematyczno-przyrodniczego nie wolno nic wiedzieć o takich zagadnieniach jak oświecenie, światły absolutyzm, o takich kapitalnych zdarzeniach jak rewolucja francuska, o ruchach wolnościowych XIX w., o dziejach Francji, Rosji, Niemiec i Anglii XIX w., o Stanach Zjednoczonych, a może się nie dowiedzieć np. o Napoleonie i jego wojnach, jeśli np. profesor nie będzie darzył sympatiami cesarza Francuzów, albo jeśli uczniowie przegłosują jego bojkot, bo i to

jest możliwe i przewidziane przez projektodawcę. Podobnie w historii ojczystej uczeń może się nie dowiedzieć, kto był wielkim budowniczym Polski piastowskiej i jagiellońskiej, nie otrzymać żadnych bliższych wiadomości o takich ludziach jak Bolesław Chrobry, Kazimierz W., Władysław Jagiełło itd. Naprawdę *difficile est satiram non scribere!* Ale przejdźmy do dalszych pomysłów programowych!

Filozofia i zagadnienia życia współczesnego.

Na drugim roku wszystkich wydziałów licealnych przewiduje program 3 godziny tygodniowo na studium nazwane szumnie filozofią. Przeczytawszy szczegółowy program tego filozoficznego studium dostaje się po prostu zawrotu głowy. Geniuszem będzie autor, który potrafi napisać podręcznik do nauczania tej filozofii i który go tak ujmie, żeby mógł być przerobiony w jednym roku po 3 godziny tygodniowo. Bo czego tam niema w tym programie! Cała logika i teoria poznania, łącznie z psychologią poznania zmysłowego i intelektualnego, zasady podziału nauk i ich charakterystyka, psychologia i filozofia postępowania człowieka, życie intelektualne, emocjonalne, popydy, nawyki, nałogi, temperament i charakter, typy psychologiczne. Nauczeni już doświadczeniem przy analizowaniu programów innych przedmiotów, a zwłaszcza historii, jesteśmy skłonni właśnie tutaj suponować, że to także tylko pełny idealny program zagadnień, spośród których nauczyciel czy uczniowie przez głosowanie zrobią wybór. Tymczasem spotyka nas zawód. W uwagach bowiem projektodawca najwyraźniej stwierdza, że przerobienie całego tego programu nie wypełni jeszcze wszystkich godzin, że zostanie ich sporo na inne zagadnienia z dziedziny psychologii, metodologii, metafizyki (a jakże!), etyki, estetyki, oraz historii filozofii; może nauczyciel przerabiać zagadnienia idealizmu, racjonalizmu, empiryzmu, pragmatyzmu itd. O jakżeż należy serdecznie współczuć z tymi wszystkimi uczniami przyszłego liceum a jeszcze bardziej z wszystkimi nauczycielami filozofii! Jak się czuję szczęśliwy, że nie będę musiał uczyć się ani uczyć tej filozofii w jednym roku w trzech godzinach!

Do szczytów blagi, programowego werbalizmu i zakłamania dochodzimy jednak dopiero przy tak zwanych zagadnieniach

życia współczesnego. Potrzeba nauki obywatelskiej, zwanej w gimnazjach austriackich statystyką, nie ulega w ogóle dyskusji. Absolwent szkoły średniej, a nawet uczeń kończący ostatnią klasę szkoły powszechnej musi z niej wyjść z pewnym, jasnym, głęboko i silnie w jego psychice utrwalonym zasobem wiadomości i przekonań obywatelskich. Wartość nauki obywatelskiej zależeć będzie nie od liczby przerobionych zagadnień, ale przede wszystkim od ich wartości dynamicznej, od stopnia zakorzenienia się ich w duszy, a zwłaszcza w sumieniu młodego człowieka. Wszelka blaga, wszelki werbalizm, wszelka przesada jest tutaj tylko szkodliwa i uniemożliwia osiągnięcie wyrobienia w młodym człowieku czynnej postawy wobec własnego państwa.

Twórca programu niestety poszedł właśnie po linii blagi i werbalizmu, bo niepodobna inaczej nazwać i scharakteryzować tego dziwola, jaki zrobiono z nauki obywatelskiej w liceum. Po prostu przepisano program wykładów któregoś z uniwersyteckich wydziałów ekonomiczno-politycznych i zalecono go do przerobienia i wykonania w dwuletnim liceum w dwu godzinach tygodniowo. Mówimy: wykonania, ponieważ program przewiduje nie tylko studium teoretyczne, ale pracę doświadczalną w terenie, stałą i systematyczną obserwację i poznanie środowiska lokalnego. Ta praca doświadczalna ma objąć opis wyglądu zewnętrznego środowiska, poznanie składu ludności, jej ruchu i przyrostu naturalnego, emigracji, imigracji, stosunków higienicznych, długości życia, statystyki śmiertelności i chorób. A dalej poznanie pracy ludności, jej rodzajów, form wymiany dóbr, warunków pracy, płac, produktywności i opłacalności warsztatów pracy, wielkości dochodu indywidualnego, wszystkie formy życia organizacyjnego ośrodka, a więc poznanie organizacji społecznych, zawodowych, samorządowych, życia kulturalnego i obyczajowego. A to wszystko w ścisłej łączności z historycznymi podstawami stosunków ośrodka, oraz w oparciu się na podstawowych pojęciach socjologii i ekonomii.

Mamy już chyba dość, maci się nam w głowie. Tymczasem to dopiero początek, to dopiero pierwsza grupa z 10 dalszych. Druga bowiem poświęcona jest roli wsi w całokształcie życia polskiego; następna zagadnieniom przemysłowienia i urbanizacji Polski, łącznie z zagadnieniami społecznymi, obyczajowymi i kul-

turalnymi miast. Grupa czwarta obejmie ogólną charakterystykę państwa polskiego ze stanowiska geograficznego i gospodarczego. Tego wszystkiego ma się nauczyć i to ma zbadać pracą w terenie uczeń pierwszego roku. Na drugim roku zajmie się sprawami dochodu i dobrobytu społecznego Polski, cechami współczesnego ustroju społecznego w Polsce i jego tendencjami rozwojowymi, najważniejszymi zagadnieniami kulturalnymi Polski współczesnej, państwem jako najważniejszą i nadrzędną grupą społeczną, państwem jako samodzielną jednostką polityczną (polityka międzynarodowa Polski), wreszcie zagadnieniem stosunku jednostki i państwa.

Przykre i smutne robi na nas wrażenie błaga i megalomania, jaką ocieka po prostu licealny program nauki zagadnień życia współczesnego. Magik-cudotwórca z M. W. R. i O. P. ofiaruje tanio i bez trudu w dwu latach i dwu godzinach tygodniowo poznanie i rozwiązanie najkapitałniejszych i najtrudniejszych zagadnień życia współczesnego. Istna wiedza tajemna!

Prócz tych zasadniczych braków programu licealnego spotykamy oczywiście cały szereg drobniejszych ale charakterystycznych potknięć i gaf. By nie przedłużać artykułu, przytaczamy tylko jedną. W programie języka polskiego podano wykaz lektury obowiązkowej i nadobowiązkowej z polskiej i powszechnej literatury. Liberalizm autora tego wykazu przechodzi wszelkie dopuszczalne granice. Znajdujemy tam utwory zalecone, które się absolutnie nie nadają na lekturę młodzieży dorastającej, co więcej utwory imiennie potępione przez Kościół w wykazie książek zakazanych. Czy i jaki pożytek odniesie młodzież z czytania *Moralności Pani Dulskiej*, z artykułów Przybyszewskiego, Miriama z *Życia i Chimery*, ze *Ślubów* i *Złotego Runa* Przybyszewskiego, z *Kłatwy* Wyspiańskiego, można bardzo powątpiewać. Jeszcze poważniejsze zastrzeżenia wzbudzi jednak zalecenie wyboru pism szermierzy oświecenia, *Pani Bovary* Flauberta (na indeksie), *Germinal'a* Zoli (na indeksie), nowel Maupassanta, Nietzchego: *Tak rzecze Zarafustra*, Rolanda: *Jana Krzysztofa* i *Duszy zaczarowanej*. Nie znajdziemy natomiast ani jednego dzieła wybitnych katolickich pisarzy XIX i XX w. z wyjątkiem Chestertonowego *Napoleona z Nothing-Hill* i Sygrydy Undset. Ten szczegół także jest wysoce znamienny.

Tak się przedstawiają nowości programu licealnego! Że krytyka nasza wypadła surowo, nie nasza w tym wina! Nie jesteśmy zresztą odosobnieni w tej opinii, nawet prasa prorządowa milczy, a to milczenie jest bardzo wymowne. Wszystkie natomiast głosy krytyków bezstronnych, rozpatrujących sprawę wyłącznie z punktu widzenia założeń rzeczowych są zgodne.

Na zakończenie tych naszych uwag, spróbuję odkryć grzech pierworodny całego poronionego systemu. Podstawowym jego założeniem jest rozbitcie szkolnictwa niższego i średniego na trzy grupy: na 7 klasową szkołę powszechną, na 4-letnie gimnazjum i dwuletnie liceum. Tymczasem realizacja obszernego programu nauczania możliwa jest tylko w dłuższych, jednolitych organizacyjnie okresach czasu. Dawne 8-letnie gimnazjum, jako całość w sobie zamknięta, mogło realizować jeden jednolity program nauczania, mogło, mając okres 8 lat do dyspozycji, wprowadzić w realizację programu systematyczność, ciągłość. Obecna szkoła średnia straciła 2 pierwsze lata na rzecz szkoły powszechnej, mającej swoje własne cele do osiągnięcia, straciła dwa ostatnie lata na rzecz liceum, któremu twórca także własne założył zadania. Nie ma więc po prostu czasu na pełne, systematyczne, całościowe przeprowadzanie nauczania, trzeba koniecznie stosować system wyboru i fragmentów nawet tam, gdzie systematyczność i całościowość jest konieczna, a z drugiej strony przy innych, uprzywilejowanych przedmiotach musiało się dopuścić nieprawdopodobne wprost przeładowanie, które będzie wyrabiać w szkole niezmiernie szkodliwy werbalizm i blagierstwo.

Nie widzimy innego wyjścia z tej fatalnej sytuacji poza powrotem do 8-klasowego, a przynajmniej 6-klasowego gimnazjum. Straszna będzie odpowiedzialność dziejowa tych, którzy ubogą Polskę narazili na tak niebezpieczne i tak kosztowne doświadczenia! Znajdują się pieniądze na te eksperymenta, a nie ma ich na budowę szkół ludowych, na etaty dla nauczycieli, na zwalczanie analfabetyzmu. Będziemy mieli od września br. „postępowe” licea i równocześnie największy procent analfabetów w Europie. Powie może ktoś, że takie ujmowanie sprawy, że takie zestawienia to demagogia. Nie, to tylko odwaga spojrzenia prawdzie w oczy i odwaga wypowiadania tej prawdy.

Ks. St. Bednarski T. J.

Przegląd piśmiennictwa.

S. Rostworowski, płk. dypl. s. s. — S. Stablewski, rotm. dypl. s. s.:
Rolnictwo i Wojna. Skład główny: Główna Księgarnia Woj-
skowa w Warszawie 1937, str. 237.

Książka ta, zawierająca 15 wykresów i 4 tablice, jest znakomitym, wybitnie fachowym opracowaniem zagadnienia przygotowania rolniczego na wypadek wojny. Autorzy będący na równi zawodowymi rolnikami i oficerami sztabu generalnego wyjątkowo powołani są do zabierania głosu w tej materii.

Stwierdziwszy, „że mamy armię, jakiej nam zazdroszczą sąsiedzi i że mamy gospodarkę narodową, która nie dotrzymała tempa za swoją armią i która w marszu do zwycięstwa pozostała w tyle“, autorzy przechodzą do analizy danych historycznych i statystycznych i wyprowadzają z niej właściwe wnioski oparte o „ogrom „doświadczeń, drogo ongiś okupionych i przez obcych i przez nas samych“. Powołują się oni na słowa Augusta Lavilé: „Rządzić — to przewidywać, a nie można ułożyć planu polityki agrarnej, bez rozporządzania obfitym i dokładnym materiałem rzeczowym“.

Opisy rolnictwa państw biorących udział w wielkiej wojnie, są tam szczególnie niezmiernie ciekawe, pouczające, że olbrzymie szkody, jakie ono poniosło były w znacznym stopniu wynikiem błędnej polityki danych rządów. Prusy np. popełniły typowy błąd niedoceniań walorów nadwyżek produkcyjnych i eksportowych i przeceniania możliwości wytwórczości drobnego rolnictwa. W Francji zaś „rozdrobnione a mało intensywne gospodarstwa rolne... nie były w stanie zapobiec zmienionym warunkom uprawy w czasie wojny i przy braku rąk roboczych, a małym rozpowszechnieniu maszyn, wydajność roli zmalała dotkliwiej niż gdzie indziej“. W Rosji zaś zanik wielkiej własności w wyniku rewolucji, jak udowodniała praca zbiorowa fundacji Carnegie'ego, pogorszył tylko „kryzys rolny i los włościan“. Mała podaż rynkowa z gospodarstw rolnych jest zdaniem prof. Aereboe, jednego z najznakomitszych uczonych rolnych, naturalnym następstwem

powrotu chłopu do gospodarki „samowystarczальной w razie niekorzystnych warunków. Natomiast wydajność ziemi folwarcznej utrzymała się w czasie wojny na wyższym poziomie. Ona tylko była na wysokości odpowiadania wielokrotnie zwiększonym zapotrzebowaniom wszystkich produktów w razie wojny. Major Wróblewski określa to zwiększenie zapotrzebowania na co najmniej 40 %, co zbija marzenia o samowystarczalności na obecnym poziomie! W szczególności wojna powiększa zapotrzebowanie koni o co najmniej 20 %, co jest bardzo silnym argumentem za popieraniem a nie zwalczaniem prywatnej hodowli. Autorzy dowodzą, o ile lepiej te oczywiste prawdy rozumiane są u naszych sąsiadów.

Cała druga część tej ciekawej książki poświęcona jest zobrazowaniu planu pogotowia, zakończonego schematem organizacji. Autorzy żądają powierzenia ministrowi rolnictwa agend wyżywienia kraju, w celu postawienia gospodarki już w czasie pokojowym na poziomie, zapewniającym samowystarczalność w razie wojny, bez potrzeby uciekania się do ryzykownych eksperymentów. „Nie wolno nam narażać losu przyszłych kampanii zwycięsko rozegranych przez wojska nasze — z tym ich przygotowaniem materialnym“, nie wolno pozostawiać troski o przygotowanie do wojny samemu wojsku; może nadejść chwila, kiedy „zapóźno już będzie biadać nad krótkowzrocznością polityków agrarnych“. Autorzy wyczerpująco ujmują w końcu zagadnienia kierownictwa, jednolitości w organizacji wyżywienia, samowystarczalności i gospodarki przymusowej w postaci konkretnych wniosków.

Największe zalety tej wszechstronnej pracy to wielka jej obiektywność, cechujący autorów płomienny optymizm i brak narzekania mimo wytykanych błędów obecnie decydujących czynników, wiara w niezniszczalność miłości człowieka do ziemi, wiecznie żołnierska konstruktywność stawianych wniosków. Pamiętajmy, że autorzy są wielkopolanami, pracującymi na zachodniej rubieży Rzeczypospolitej, w bezpośrednim sąsiedztwie najgroźniejszego z ewentualnych naszych wrogów. Czy nie jest wstrząsającym fakt, że praca ich powstała wśród rozsadzanych dynamitem potężnych, granitowych zabudowań folwarcznych, uważanych w wojsku za zastępujące najlepsze schrony w razie wojny a skazane obecnie na zagładę na rzecz — drewnianych domków dla rolników? Autorzy bynajmniej nie dążą do podważania rozumnej reformy rolnej i wskazują oni jedynie z punktu widzenia potrzeb obrony narodowej na konieczność nie tylko utrzymania, lecz rozbudowy poziomu produkcji rolnej, a więc unikania eksperymentów, osłabiających potencjał naszego pogotowia i cofających gospodarke rolną daleko wstecz. Choć nie wynika to bezpośrednio z wywodów autorów, narzuca się wprost po przeczytaniu książki elementarny pewnik, że właśnie zagadnienie wyżywienia miast, szcze-

gólnie proletariatu, wymaga powiązania pośrednictwa pomiędzy produkcją rolną a konsumpcją z zagadnieniem unarodowienia całej gospodarki społecznej i wyeliminowanie pasożytnictwa obcego. Właśnie interes obrony wymaga tworzenia silnego polskiego stanu średniego z nadmiaru ludności wiejskiej, a nie marnowania go na eksperymenty.

A. Romer.

Ks. Władysław Kwiatkowski: *Kwestia prymasostwa polskiego pod koniec XVIII wieku.* Warszawa. Nakł. autora.

Książką tą rozpoczyna autor studia swe nad dziejami Kościoła w diecezji warszawskiej. Z zestawionych ze sobą archiwaliów warszawskiej kurii metropolitalnej i w znikomej części kapituły gnieźnieńskiej wyłania się owa kwestia prymasostwa, żywo interesująca arcybiskupów, Michała Poniatowskiego i Ignacego Krasickiego, oraz zaborczy rząd pruski.

Po drugim rozbiórze Polski stolica prymasów znalazła się pod panowaniem pruskim. Sejm grodzieński, akceptujący nowy podział kraju, w niemałym był kłopotcie, jak należałoby ze względu na państwowy charakter urzędu prymasowskiego ustosunkować doń pozostałe jeszcze w rozpadającej się Rzeczypospolitej ziemie. Obecny na sejmie nuncjusz papieski, arcybiskup Kartaginy, Ferdynand Maria de Saluzzo, w porozumieniu z biskupem inflanckim, Janem Kossakowskim, wysunął projekt, aby z części diecezji płockiej i poznańskiej utworzyć nowe w granicach Rzeczypospolitej biskupstwo i przenieść na nie ze straconego dla Polski arcybiskupstwa gnieźnieńskiego godność prymasowską.

Konferencja ambasadorów dnia 24 sierpnia 1793 r. pomimo początkowej opozycji króla pruskiego, Fryderyka Wilhelma II, przyjęła ów projekt, przedłożony jej przez biskupa Kossakowskiego, orzekając, iż nie ma żadnych przeszkód w utworzeniu nowego arcybiskupstwa w granicach Rzeczypospolitej. Sejm grodzieński, nie czekając na odpowiedź zaborczych rządów, przyjął powyższy projekt do ustaw i wydał w imieniu króla pt. „Konstytucya, urządzenie funduszów duchownych do akt podana dnia 23 novembra 1793”. Konstytucja ta normująca sprawy kościelne w Polsce, zawiera projekt przeniesienia godności i tytułu prymasa polskiego z arcybiskupstwa gnieźnieńskiego na nowe, respective warszawskie, biskupstwo. Określono tam jednocześnie dobra i fundusze nowego prymasa.

Michał Poniatowski w myśl tej konstytucji miał być ostatnim prymasem w Gnieźnie. Nic dziwnego, iż w niczym ręki swej nie przyłożył do szybszego urzeczywistnienia decyzji sejmu, do erekcji nowego biskupstwa. Przeciwnie postępowaniem swoim starał się chwilę tę odwlec, a nawet dzieło samo uniemożliwić.

Osiada bowiem na stałe w Warszawie w swym prymasowskim pałacu, biorąc jednocześnie w dzierżawę od biskupa poznańskiego archidiakoniat warszawski, nad którym rozszerza swe bezpośrednie rządy.

Po Kościuszkowskim powstaniu umiera niebawem skolatany niepowodzeniami prymas Poniatowski. Gniezno obejmuje protegowany króla pruskiego dotychczasowy biskup warmiński, Ignacy Krasicki. Ten postanawia akcją swoją w Rzymie i Berlinie uchylić zupełnie postanowienie sejmu grodzieńskiego i przywrócić dla stolicy prymasów dawne prawa i przywileje.

Akcja Krasickiego jest nader żywa, aczkolwiek nieskuteczna. Starania jego wypływały niewątpliwie z uczuć patriotycznych, tradycyjnego przywiązania do znaczenia godności prymasa w dawnej Polsce, żywego symbolu jedności narodowej wszystkich dzielnic, starania te wreszcie owiewała wiara w lepszą przyszłość Polski. W Rzymie nawiązał Krasicki żywą korespondencję z ambasadorem Prus przy Watykanie, Ciofanim, celem wyjednania u papieża restytucji praw arcybiskupstwa gnieźnieńskiego. Płatny ten przez arcybiskupa, pozorny rzecznik jego interesów, kierował sprawami nie szczerze, bo w sposób zgodny z wskazówkami i polityką swego urzędowego pana, Fryderyka Wilhelma II. Ten ostatni dał wreszcie wyraźnie Krasickiemu do zrozumienia, iż stoi silnie na gruncie ustawy grodzieńskiej w sprawie utworzenia biskupstwa warszawskiego. Trzeci rozbiór uczynił wreszcie sprawę prymasostwa dla króla pruskiego nieaktualną, a nawet zbyteczną. Nie myśli też wcale o utworzeniu takiej godności, co ze względu na jej polityczno-narodowe znaczenie w dawnej Polsce byłoby wskrzeszeniem niemiłej dla niego formy narodowej tradycji. To też w nieurzeczywistnionym projekcie utworzenia biskupstwa warszawskiego w roku 1797 mówi się nawet o jego wyjęciu z pod jurysdykcji arcybiskupa gnieźnieńskiego, a bezpośrednim uzależnieniu od Rzymu. — Krasicki przegrał, a następca jego, arcybiskup Raczyński, podobnych starań zupełnie już nie podejmuje.

W końcu swego dziełka w bardzo krótkich słowach dowodzi autor, jak to po utworzeniu Królestwa Kongresowego papież Pius VII „wskrzesił historyczny tytuł” prymasa Królestwa Polskiego, nadając tę godność arcybiskupom Warszawy. Zarazem „przypomina”, że od wieku XVI, jak wskazuje Archiwum Prymasów, znajdujące się w konsystorzu warszawskim nie ma innego tytułu, jak tylko *Primas Regni Poloniae*. Zakończenie to spowodować musi kilka zastrzeżeń i poprawek.

Jasne i wyraźne są dowody, że polscy prymasi od samego początku tytułowali się nie tylko *Primas Regni Poloniae*, lecz częściej nawet używali samego określenia *Primas*. Tak się w najważniejszej części podpisywał i Jan Łaski: *Archiepiscopus Gneznensis, Legatus Natus et Primas*. Stwierdzić to można na podstawie

przekazów źródłowych, cytowanych przez Korytkowskiego w żywocie Łaskiego (Arcybiskupi... t. 2, str. 611, 639, 657, 670, 683, 689 itd. itd.) Pamiętać należy przy tym, że Łaski właśnie otrzymał w r. 1515 od papieża Leona X bulę *Pro excellenti praeeminentia*, aprobowającą godność prymasowską arcybiskupów gnieźnieńskich. Nawiasem mówiąc, biskupie akta Łaskiego znajdują się w archiwum konsystorza warszawskiego i autor łatwo może je poddać ponownemu badaniu.

W prawdzie w powyższy sposób stosowany przez prymasów tytuł nie jest w swym brzmieniu pełny, jednakowoż tutaj *Regnum Poloniae* rozumieć należy w znaczeniu *Respublica*, jak w analogicznym sensie używano w dawnych dokumentach na określenie np. obywateli Rzeczypospolitej nazwy *regnicolae* lub *tp*.

Natomiast tytuł prymasowski, nadany arcybiskupom warszawskim po kongresie wiedeńskim bezpośrednio odnosił się do nowo utworzonego Królestwa Polskiego. Nie było to więc w istocie wskrzeszenie tradycyjnego tytułu prymasa *Pro tota Polonia*, politycznie nie istniejącej. Nie należy też nadania tej godności arcybiskupom warszawskim uzależniać, zdaniem moim, od projektu czy ustawy sejmu grodzieńskiego. Było to skutkiem dążności do unormowania spraw kościelnych w „autonomicznym” Królestwie Polskim. Wskrzeszenie wreszcie tradycyjnej godności i takiegoż tytułu prymasów *Regni Poloniae* czy *Poloniae* nie należy już do przeszłości historycznej.

Ks. Dr Henryk Rybus.

M. S. Gillet Z. K.: *Kształtowanie charakteru*. Przekład autoryzowany Jadwigi Suchodolskiej. Księgarnia św. Wojciecha. Poznań 1936. str. 160.

Zasadą, z której autor wychodzi celem naszkicowania w jaki sposób należy zdobywać charakter, określony jako „zespół nawyków moralnych, rozumnie rozłożonych wokoło osi wolicjonalnej” (str. 9) jest to powiedzenie: „Jeżeli chcemy być chrześcijanami z charakterem, stańmy się wpierw uczciwymi ludźmi”. Książka właśnie ma wskazać jak tego dokonać, jak stać się uczciwym człowiekiem, z naciskiem na słowo człowiek. Odróżnia się więc książka ta od całego szeregu dzieł ascetycznych, jakie np. figurują w naszej cennej „Bibliotece życia wewnętrznego”, wydawanej przez Ks. Jezuitów, od dzieł, które uwzględniają oprócz dziedziny natury także albo przede wszystkim dziedzinę łaski. Autor zajmuje się dziedziną ludzką, naturalną, naturą samą, abstrahując ze względów metodycznych od łaski, czynnika nadnaturalnego w kształtowaniu charakteru. Tę drugą dziedzinę odkłada do rozpatrzenia w osobnej książce. Na tym polega oryginalność książki i jej wartość. Trzeba bowiem przyznać, że tę dziedzinę zaniedbano. Znanie teologom zasady *gratia non tollit naturam*, gra-

fia supponit naturam, praktycznie były niedoceniane, nie uwzględniane, zwłaszcza w ich ważkich konsekwencjach. Nie można być dobrym chrześcijaninem, świętym, jeżeli się nie stało uprzednio dobrym człowiekiem. Na naturze ludzkiej, oczyszczonej, udoskonalonej wznosić może dopiero, jak na swej podstawie, nad natura charakter chrześcijański. Chciało by się nieraz zrobić z ludzi chrześcijan w pełnym znaczeniu słowa, nie uczyniwszy z nich najpierw prawdziwych ludzi. Bardzo dobrze więc, że ta książka się pojawiła, że ją przetłumaczono i wydano. Tym bardziej trzeba to podkreślić, że istnieje cały szereg książek, które choć kreślą sobie ten sam cel co nasz autor, ale znów zaniedbują, ignorują całkowicie, wręcz wykluczają w kształtowaniu charakteru czynnik nadprzyrodzony. Chcą uczyć człowieczeństwa, wzniosłego, doskonałego, ale tylko człowieczeństwa — powiedziałbym — człowieczeństwa materialnego, przypominając raczej jakąś tresurę aniżeli kształcenie charakteru. Są to książki pisane przez ludzi skażonych materializmem, areligijnością lub wprost ateizmem. Tym bardziej cieszymy się z ukazania tej pozytywnej książki, napisanej ręką wytrawnego znawcy życia, generała zakonu dominikanów, o. Gilleta. Jako książka zajmująca się samą naturą ludzką, nie zapominająca równocześnie o nad naturze stanowi pendant do dzieła znakomitego naszego uczonego Ks. Żychlińskiego *Życie wewnętrzne*, studium o nad naturze. Jest zarazem bardzo zgodna ze współczesnym prądem myśli katolickiej, znanym pod nazwą humanizmu katolickiego.

Naturalnie nie jest to książka pierwsza w literaturze na temat kształcenia charakteru. Jest ona przeznaczona zasadniczo dla młodzieży, młodzieży akademickiej. Przypomina nam więc zaraz świetną do dziś dnia książkę, Payota: *Kształcenie woli*. Pomijam cały szereg książek i broszur, które grzeszą wspomnianą wyżej jednostronnością, pomijam i te, które są przeznaczone raczej dla wychowawców, jak np. dzieła Foerstera. Wymienić jednak wypada tutaj pierwszorzędne dwutomowe dzieło Ks. Ciemniewskiego: *Poznanie i kształcenie charakteru*. To dzieło bezwzględnie wyżej stoi od przetłumaczonej pracy francuskiego pisarza. Jeżeli chodzi o Payota, to zdaje się, że autorowi naszemu on właśnie był natchnieniem, przynajmniej częściowo i przewodnikiem. W wielu punktach przypominała mi się podczas czytania książka Payota. Ten sam mniej więcej styl, postawa autora w odniesieniu do czytelnika, identyczne niekiedy myśli. Widocznie w intencjach autora leżało zastąpić Payota, który przecież mimo wszystko wiele błędów zawiera i stoi na gruncie zbyt naturalistycznym. Na korzyść tej ostatniej książki trzeba przyznać większą sugestywność, na korzyść zaś Gilleta większą jasność i przypomnienie czynnika nadprzyrodzonego.

Książka podzielona jest na trzy części bardzo logicznie po-myślane: Ideał a kształtowanie charakteru; Namiętności a charakter; Czynne działanie a charakter.

Autor silnie podkreśla doniosłość woli oraz namiętności w kształceniu charakteru. Wielkie namiętności, zwrócone w dobrym kierunku są ogromną siłą w kształceniu charakteru. Wielcy ludzie to wielkie namiętności. J. Stuart Mill napisał, że „Historia i doświadczenie dowodzi, że najnamiętniejsze charaktery okazują najwięcej stałości i nieugiętości w poczuciu obowiązku, gdy ich namiętność zwróci się w odpowiednim kierunku” (str. 46). Niektórzy chcieliby ludzi wyjałowić z namiętności, uważać je jako siły złe, demoniczne, zgubne. Najfałszywsze to stanowisko. Autor za nowszą psychologią dowodzi czegoś wręcz przeciwnego. Nie tłumić namiętności, ale zwracać w dobrym kierunku, oczyszczać i uszlachetniać. Dalej za zasługę autora uważam — co już wyżej nadmieniałem — tak jasne i przekonujące odróżnienie natury i łaski, to jego zdanie: „Wszystko, co się sprzeciwia naturze, jest zarazem antychrześcijańskie” (str. 59) i że łaska jest nam dana dla udoskonalenia natury. Wywody autora mają silny akcent społeczny. Pobudki podsuwane do pracy nad sobą mają na względzie dobro całego społeczeństwa.

Nie ma w książce teoretyzowania, dyskusyj, niepotrzebnej polemiki. Nie zamąca autor swych wywodów przytaczaniem sądów innych uczonych, nieraz ze sobą sprzecznych. Co sam przemyślał, przetopił w swym intelekcie i sercu, stwierdził doświadczeniem, to podaje. Nie uważajmy tego za brak, że nie znajdujemy u niego najnowszych poglądów takiego np. Lindworsky'ego. To byłoby dobre a nawet konieczne w dziele naukowym, ale nie w przeznaczonym dla młodzieży, mającym pobudzić do pracy i czynów.

Ks. Henryk Misiak.

Ks. dr E. Dąbrowski, prof. Seminarium Metrop., docent Uniw. J. P.: Święty Paweł w Atenach. (Dz. Ap. 17, 16 — 34). Odbitka z pracy zbiorowej pt. „Miscellanea Theologica”. Warszawa 1936. Nakładem Wydawnictwa Księży Pallotynów, str. 56.

Rezultaty badań archeologicznych Amerykańskiej Szkoły Studiów Klasycznych w Atenach, ogłaszane w *American Journal of Archeology* od 1932 do 1935 r. a w jeszcze wyższym stopniu dwie monumentalne monografie P. Graindora: *Athènes sous August* (Le Caire, 1927) i *Athènes de Tibère à Trajan* (Le Caire 1931) zasługiwały, zdaniem Autora, na uwzględnienie w studiach nad pobytem św. Pawła w Atenach. W tym przekonaniu podjął on temat, który od ukazania się w 1821 r. popularnego dziełka Brunnera, *Paulus im Athen*, nie doczekał się jeszcze dotąd w katolickiej literaturze egzegetycznej osobnej monografii. Pracą swą nie zamierzał autor, jak sam zaznacza, zapełniać luki, istniejącej w tym względzie, pragnął tylko nieco obszerniej omówić zagadnienia, związane z pobytem św. Pawła w Atenach. Czasy, w których

św. Paweł przybywa do Aten, stanowią okres upadku znaczenia politycznego i handlowego stolicy. Jedynym świadkiem dawnej świetności były tylko świątynie i tych około 3.000 pomników, które po trochu wywoziło się do Rzymu, po trochu dla dogodzenia próżności rzymskich senatorów poddawało się dekapitacji celem przyozdobienia ich głowami nowych mecenasów i opiekunów. Także Akademia i Liceum znajdowały się w stanie upadku, wśród zawsze zaś jeszcze — bądź co bądź — stanowiących elitę ówczesnego świata umysłowego ateńczyków wszechwładnie panował epikureizm i stoicyzm, obydwaj systemy materialistyczne, jeden gloryfikujący rozkosz fizyczną, drugi — samobójstwo. Do takich to słuchaczy wypadło przemawiać św. Pawłowi. I choć naprawdę stał się w tym wypadku „Grekiem dla Greków“, choć w swojej mowie na Aeropagu stworzył — zdaniem Harnacka — stylistyczne arcydzieło, doborem zwrotów, retorycznych figur, terminologią wybitnie filozoficzną, uwzględnieniem ówczesnych poglądów i całą kompozycją literacką przewyższającą wszystko, co można znaleźć w całej ówczesnej literaturze, to jednak celu swego nie osiągnął, ziarno padło na ziemię opoczystą, a on sam został potraktowany jako zwykły „słowosiewca“ i przygodny kompilator. W szczególności ks. dr E. Dąbrowski zajął się w swojej pracy trzema głównie problemami: przyczyną stawienia się św. Pawła przed Aeropagiem, prawdopodobnym miejscem posuchania i wzmianką św. Pawła o ołtarzu z napisem „Nieznajomemu Bogu“. W kwestii pierwszej uchyla Autor hipotezę św. Jana Chryzostoma, jako by tam chodziło o odbycie formalnego sądu nad Pawłem jako nowatorem religijnym, nie przypuszcza też by chodziło o autoryzację jego nauki, jak twierdził Ramsay, skłania się raczej do zdania, iż Paweł był rozumiany na Agorze i stawiony przed Aeropagiem czuwającym nad czystością religii jako zwiastun nowych bóstw, których się dopatrzone prawdopodobnie w Pawłowym przepowiadaniu „Jezusa i zmartwychwstania“. Skłonny do kojarzenia w parę bóstw własnych umysł Greków w ten sposób pojął pierwotnie słowo „anastasis“, upatrując w Pawle głosiiciela boga Jezusa i bogini Anastasis. W sprawie miejsca posuchania idzie Autor za zdaniem Graindóra, lokalizując je na szczycie Aeropagu wbrew opiniom Ramsay'a, Curtiusa i Steinmanna, którzy umieszczali je w portyku królewskim. Wreszcie trudność ostatnią, wynikającą stąd, iż znane dotychczas źródła nie wspominają o istnieniu ołtarza, poświęconego „nieznanemu Bogu“, rozwiązuje Autor zgodnie z hipotezą św. Hieronima, że mianowicie św. Paweł niekoniecznie musiał widzieć ołtarz z napisem w liczbie pojedynczej, lecz mógł po swojej myśli przekształcić jeden z napisów tego rodzaju, jak odkryty przez Dörfelda napis na ołtarzu w Pergamon, którego reprodukcję załącza w swojej pracy. Uwagi krytyczne dla ustalenia tekstu Dziejów Apostolskich 17, 16—34, zamykają tę cenną rozprawkę, oświetlającą postać Apostoła Na-

rodów, który — wierny swojej zasadzie — umiał w Atenach stać się nie tylko Grekiem, ale atenczykiem bez uszczuplenia treści swojej nauki.

Ks. W. Zajączkowski T. J.

Ks. Piotr Stach: *Podróż naukowa Księży do Ziemi Świętej.* Nakładem Autora. Lwów 1936 8° 494 i 87 rycin.

Dnia 3 września 1935 wyruszyła z Polski do Palestyny pielgrzymka złożona z 54 księży pod przewodnictwem głównego organizatora pielgrzymki, ks. prof. Stacha ze Lwowa. Z Konstancy na statku „Polonia” przybyli pielgrzymi do Jaffy, a stąd samochodami przez Tel Awiw do Jerozolimy. Po zwiedzeniu „świętego” Miasta i jego sanktuariów, zabytków, zakładów i instytucji naukowych, po kilku wycieczkach w bliższe i dalsze okolice (El Kubebe, Betleem, Hebron, Jerycho, Jordan i Morze Martwe) i po uczczeniu wszędzie najdroższych sercu chrześcijanina i kapłana pamiątek religijnych, wybrano się kolejną do Kairu, gdzie znów obrócono kilka dni na zwiedzenie bezcennych zabytków starego Egiptu i zapoznanie się z kulturą arabską i staro-koptyjską. Po powrocie do Jerozolimy, wycieczkowcy udają się samochodami przez Samarię (studnia Jakubowa, Sychem, Nablus) do Nazaretu; stąd zaś po wypadzie na Tabor zjeżdżają nad brzegi jeziora Tyberiadzkiego, owego „morza” Galilejskiego. W końcu zwiedzają Karmel i wsiadają w Haifę na „Polonię”, by po kilkudniowej podróży z przesiadkami w Atenach i Konstantynopolu stanąć 1 października z powrotem we Lwowie.

Opis tej pielgrzymki a zarazem naukowej podróży księży polskich wypełnia pierwszą, większą część dzieła ks. prof. Stacha. Czcigodny Autor, z zawodu biblista, przy tym świetnie obeznany z topografią i archeologią Palestyny, umie w sposób przystępny i zajmujący przedstawić miejsca i rzeczy, pozostające w szczególnym związku ze zdarzeniami biblijnymi, a zwłaszcza z osobą Zbawiciela i jego Matki. Obszernie omawia autentyczność ważniejszych miejscowości, jak grota Zwiastowania w Nazarecie, grota Narodzenia w Betleem, pretorium Piłata i Kalwaria w Jerozolimie. Nie pomija zagadnień spornych, jak np. miejsce zaślubienia Matki Bożej (Efez czy Jerozolima?), położenie domu Kaifasza, gdzie Chrystus przebywał w więzieniu w nocy z czwartku na piątek i gdzie miało miejsce zaparcie się Piotra, grób Jezusa itp. Przytoczywszy dowody wysuwane przez zwolenników różnych poglądów, Autor w niektórych wypadkach zawiesza swój sąd, gdy powody ani za, ani przeciw go nie przekonują; w innych nie waha się zająć wyraźnego stanowiska. A zawsze jego wywody cechuje gruntowna znajomość rzeczy, bezstronna przedmiotowość i wielki umiar w wypowiadaniu swego zdania.

Drugą, znacznie mniejszą, część książki poświęca Autor Palestynie współczesnej, omawiając pokrótce politykę angielską w Palestynie, przyczyny konfliktu arabsko-żydowskiego i stanowisko katolików wobec kwestii palestyńskiej.

Całość zdobi 87 rycin, wykonanych według fotografii, na papierze kredowym. Ryciny na ogół bardzo dobrze dobrane, szkoda, że przeważnie nieodpowiednio rozmieszczone; np. podobizna O. Lagrange'a (ryc. 25) zamiast przy str. 64 powinna być umieszczona gdzieś przy str. 146, a dla ryciny znajdującej się przy str. 112, przedstawiającej oddanie hołdu temu największemu bibliście doby współczesnej byłoby właściwsze, miejsce przy str. 164 itd. Nie wszystkie również pomyłki druku sprostowano na końcu: np. na str. 229 wiersz 6 od dołu ma być „usługi” zamiast „zasługi”. Mniej szczęśliwe jest powiedzenie na str. 79, że Osobę Zbawiciela „uczcić możemy bardzo dobrze nawet w nieautentycznej relikwii”. Prawda, osobę Zbawiciela uczcić możemy nawet bez żadnej relikwii, lecz jeśli czcimy go w relikwii, to oddajemy zarazem cześć samej relikwii, a gdy ta jest nieautentyczna, cześć jej oddawana jest bezpodstawna.

Za „Podróż naukową Księży do Ziemi Świętej” wdzięczni będą ks. prof. Stachowi nie tylko jej uczestnicy, w których podtrzymywać będzie owe głębokie przeżycia religijne i niezapomniane wrażenia, wyniesione z Palestyny. Także wszyscy inni tak kapłani jak świeccy znajdą w tym dziele znakomity przewodnik po Palestynie, zwłaszcza po tej Palestynie starej i tak drogiej naszemu sercu, którą nazywamy „Ziemią Świętą”.

Ks. Walenty Prokalski T. J.

Ks. Dr Stefan Biskupski: *Obronca węzła w kanonicznym procesie małżeńskim*. Łódź 1937, str. 208.

Chociaż urząd obrońcy węzła małżeńskiego, jak to słusznie Autor w przedmowie zaznacza, stanowi „jedną z najznakomitszych instytucyj prawno-kanonicznych” i od ustanowienia jego mija już blisko lat dwieście, spotyka się on dopiero po raz pierwszy z systematycznym, źródłowym i wszechstronnym opracowaniem naukowym. Z tego też względu Autorowi, który zna ten urząd nie tylko teoretycznie, ale i praktycznie, należy się wielka wdzięczność za wzbogacenie literatury kanonistycznej pięknym studium o obrońcy węzła małżeńskiego.

Książka dzieli się na trzy części, a każda część zawiera pewną ilość rozdziałów. — I tak, część pierwsza, traktująca o kanonicznym procesie małżeńskim w rozwoju historycznym, ma dwa rozdziały, poprzedzone wstępem o sądowej jurysdykcji kościelnej w sprawach małżeńskich. Rozdział pierwszy omawia proces małżeński do wieku XI, a drugi — od wieku XI do konstytucji Be-

nedykta XIV: *Dei miseratione*. Część ta podaje historyczne tło, na którym uwydatnia się wielka doniosłość konstytucji Benedykta XIV. Ideą przewodnią było wykazanie, w stosunku do spraw małżeńskich, pewnych braków i niedoskonałości w procesie kościelnym, co w rezultacie spowodowało utworzenie dla spraw o nieważność związku małżeńskiego odrębnego procesu sądowego.

Część druga o potrzebie i ustanowieniu urzędu obrońcy węzła małżeńskiego podzielona jest na trzy rozdziały. Pierwszy z nich porusza zagadnienie istotne dla charakteru małżeństwa, mianowicie, że jest ono instytucją prawa publicznego, co w konsekwencji prowadzi do konieczności obrony prawnej węzła małżeńskiego.

W rozdziale drugim na podstawie źródeł współczesnych i odośnej literatury Autor bardzo pięknie naszkicował niebezpieczeństwa, które stały się bezpośrednimi przyczynami do wprowadzenia instytucji obrońcy węzła małżeńskiego i zobrazował moralne rozprzężenie społeczeństwa polskiego w w. XVIII oraz rozbicie rodziny polskiej, co wszystko razem wyrobiło Polskę smutną sławę kraju, w którym nierozzerwalność małżeństwa jest pustym frazesem. Fakt ten był przyczyną, że Benedykt XIV znaczną część swych konstytucyj, wymierzonych przeciwko nadużyciom w dziedzinie małżeństwa, skierował specjalnie do Polski. Wreszcie podkreśla Autor nieznaną prawo, a niejednokrotnie i złą wolę sędziów, oraz ujemne strony samego procesu sądowego.

Biorąc to wszystko pod uwagę, papież Benedykt XIV ustanowił na mocy konstytucji *Dei miseratione* urząd węzła małżeńskiego, o czym jest mowa w rozdziale trzecim tejże części. Autor stwierdza związek przyczynowy pomiędzy stosunkami panującymi w dziedzinie spraw małżeńskich w Polsce a wzmiankowaną konstytucją i podaje krótką, a dokładną charakterystykę tejże konstytucji.

Część trzecia podaje przepisy o obrońcy węzła małżeńskiego we współczesnym ustawodawstwie kościelnym. Uwzględnia ona przepisy nie tylko kodeksu prawa kanonicznego, lecz także wydanej przez Kongregację o Sakramentach Instrukcji dla trybunałów diecezjalnych w sprawach o nieważność małżeństwa z dnia 15 sierpnia 1936 r. Kolejno mamy omówione tu w rozdziale pierwszym mianowanie obrońcy węzła, w drugim — jego prawa, a w trzecim — ciążące na nim obowiązki, tak ogólne jak i szczegółowe, a te ostatnie nie tylko przy procesie zwykłym, lecz także skróconym oraz w sprawie dyspensy od małżeństwa niespełnionego. Wykaz źródeł i literatury kończy dzieło.

Podział pracy jest logiczny, a wykład jasny i dokładny. Materiał źródłowy jest wyczerpany w całości, a nawet Autor sam przeprowadził niektóre badania archiwalne i doszedł do własnych ciekawych rezultatów, co w wysokim stopniu podnosi wartość pracy. Badania te posiadają tym donioślejsze znaczenie, że doty-

czą naszych stosunków polskich, a mianowicie wprowadzenia obrońcy węzła małżeńskiego w sądach kościelnych w Polsce — przesuwają one datę wprowadzenia u nas obrońcy węzła na czasy wcześniejsze, niż dotychczas przypuszczano (str. 104 i n.). W ogóle wielką zaletą pracy jest specjalne podkreślanie stosunków rodzinnych.

Autor nie unika zagadnień trudniejszych, spornych, lecz owszem dłużej nad nimi zatrzymuje się i obszerniej je bada, jak np., mówiąc o prawie mianowania obrońcy węzła gruntownie uzasadnia swoje stanowisko, że wikariusz generalny bez szczególnego upoważnienia biskupa diecezjalnego nie może zamianować obrońcy węzła małżeńskiego (str. 115—117). Więcej jeszcze miejsca poświęca kwestii udziału obrońcy węzła w sprawach małżeńskich, gdzie w świetle kanonów 1596, 1967 i 1990 łącznie z nowymi instrukcjami Stolicy Apostolskiej dokładnie ustala sprawy małżeńskie, które wymagają udziału obrońcy węzła (str. 122—130). Wypadków podobnych można przytoczyć znacznie więcej, co wszystko niepomniernie podnosi wartość omawianego dzieła.

Należy jeszcze podkreślić charakter praktyczny pracy, a mianowicie umieszczenie wzorów pytań dla stron i świadków w sprawach najczęściej spotykanych. Ma to wielkie znaczenie dla osób nieobeznanych z praktyką sądów biskupich, jak również dla tych, którzy tę praktykę już posiadają, dla skorygowania niejednej niedokładności, która mimo woli się wkradła.

Cechę dodatnią stanowi także język piękny, żywy i łatwy w czytaniu.

Dla powyższych zalet dzieło ks. dra Biskupskiego należy zaliczyć do prac gruntownych pod względem naukowym, przy czym stanowi ono znaczny dorobek w literaturze kanonistycznej.

Ks. Dr Henryk Insadowski.

Szczepan Jeleński: *Światła tajemnic — Rozmowy dogmatyczne*, str. 292. Poznań, Księg. św. Wojciecha 1937.

Powiedzmy od razu, co sądzimy po uważnym przeczytaniu całego dziełka. Jest ono znakomite, o wielkiej wartości? Nie — wyrażenia te są jeszcze za słabe. Książek dziś wychodzi dużo, aż za dużo, ale takie pojawiają się nader rzadko. Widać że autor głęboko sam kiedyś odczuwał palącą potrzebę gruntownego a zarazem pięknego przedstawienia najważniejszych prawd naszej wiary ludziom kulturalnym. W siedmiu rozdziałach omawia tajemnicę stworzenia zła, przeznaczenia, łaski, Wcielenia, Eucharystii, zbawienia. Książkę nadał formę rozmowy grupki osób w okresie wywczasów tatrzańskich. Jeśli idzie o treść, to już od początku uderzy każdego doskonała znajomość przedmiotu. Nie waham się twierdzić, że w całej Polsce niewielu jeszcze znajdzie

się ludzi świeckich, którzyby mogli wykazać się podobną wiedzą teologiczną, co więcej autor może iść śmiało w zawody z fachowymi nawet teologami. Tematy ujmuje głęboko, z wielką ścisłością i precyzją. Widać, że każde zdanie jest dokładnie obmyślane. Pytańk postawiłbym jedynie na str. 192 (o obrazie boskiej) i 230 (unicestwienie istotą ofiary?).

Drugą wielką zaletą dziełka jest forma przedstawienia, jasna i przejrzysta, zwięzła i pełna treści, język i styl o pięknie klasycznym.

Dziełko to powinno znaleźć się w rękach tych wszystkich, którzy pragną przeczytać coś gruntownego z literatury religijnej. Napewno nikt nie pożałuje tej lektury i jeszcze poleci ją swoim znajomym. Wszyscy odniosą wiele korzyści z tej pracy, poznają głębię prawdy objawionej, jej piękno i praktyczne, żywotne jej znaczenie dla człowieka. Ponieważ na pewno nieczadlugo trzeba będzie pomyśleć o drugim wydaniu, wyraziłbym jedno pragnienie: żeby czcigodny autor dodał choć jeden rozdział poświęcony całkowicie tajemnicy samego Boga.

Ks. Bronisław Bojułka T. J.

Oprócz tego nadesłano do Redakcji:

Nakładem Państwowego wydawnictwa książek szkolnych we Lwowie

Jan Biliński: Ćwiczenia słownikowe. str. 119, 1937.

Tadeusz Dybczyński: W poprzek Sybiru — powieść podróżnicza, str. 312, 1937.

Jerzy Manteufel: Książka w starożytności, str. 121, 1937.

Kazimierz Michałowski: Delfy, str. 156, 1937.

Mieczysław Rybczyński: Wisłą od źródeł do morza, — drogi wodne i porty, str. 170, 1937.

F. Śliwiński: Jaką wybrać szkołę? — Praktyczne informacje dla rodziców i młodzieży, str. 79, 1937.

Ewa Śliwińska: Historia naszych zbóż, str. 88, 1937.

Adam Schmuck: Z Pińska do Augustowa kajakiem, str. 84, 1937.

Nakładem „Wydawnictwo polskie”, R. Wegner, Poznań.

Jan Kilarski: Gdańsk, str. 252, 1937.

F. Antoni Ossendowski: Szanchaj — powieść współczesna, dwa tomy str. 346 + 356, 1937.

Nakładem księgarni katolickiej w Katowicach:

Albert Bessières: Narzeczeni z Leningradu — powieść, tłum. z franc. Z. S. str. 238, 1937.

A. G. Michel: Państwo w okowach masonerii, — przetłumaczył. wstępem i przypisami zaopatrzył dr K. M. Morawski, str. 438, 1937.

Nakładem różnych:

Ks. M. Sopoćko: Szkice kazań o abstynencji i pijaństwie, str. 32,

- Ks. M. Sopoćko: Idea miłosierdzia Bożego w liturgii, str. 32.
 Tenże: Organizacja kursów religijnych, str. 16.
 Tenże: Duszpasterz jako katecheta, str. 19.
 Tenże: Miłosierdzie Boże, studium teol. praktyczne, str. 20.
 Tenże: Fides intrepida, piętnaście lat rządów Piusa XI, str. 19.
 Tenże: Program katechetyki w seminarium duchownym, str. 13.
 Nauka polska — jej potrzeby, organizacja i rozwój, str. 434, t. XXII, wyd. kasy im. Mianowskiego, Warszawa 1937.
 Ignacy Czuma: Ustrojowe podstawy skarbowości na tle konstytucji kwietniowej, nakł. tow. naukowego Uniw. Lubelskiego, Lublin, 1937, str. 438.
 Bronislaus Biliński: De Catone Sili in Italiae descriptione (Pun. VIII 356—616) uno solo fonte, Lwów 1937, nakł. uniwers. str. 61.
 Ks. Mikołaj Biernacki: Księgi Psalmów oraz Pieśnin nad Pieśniami, str. 254 Łódź 1937, nakł. własnym.
 Stanisław Rembek: W Polu — opowieść, str. 465, nakł. „Bibl. polska” Warszawa 1937.
 Jeden dzień skupienia wewnętrznego — str. 72 nakł. Kar-melu, Kraków.
 Julia Świtalska Fularska: Wspomnienia lekarki legionowej, str. 106 nakł. księżnicy „Atlas”, Lwów—Warszawa 1937.
 Ks. dr Antoni Korcik: Teoria konwersji zdań asertorycznych u Arystotelesa w świetle teorii dedukcji — str. 35 wyd. studiów teol. Wilno 1937.
 Encyklika Piusa XI o położeniu Kościoła kat. w Rzeszy Niemieckiej, nakł. „KAP”. Warszawa 1937.
 Jerzy Braun: Kultura polska na bezdrożach, Bibl. „Zet” str. 24 Warszawa 1937.
 Józef Gołąbek: Dusza narodu bułgarskiego, str. 43 nakł. Związku słow, 1937.
 Juliusz Kaden Bandrowski: Lenora. (Czarne skrzydła). Wyd II. Gebethner i Wolff. Warszawa 1937 str. 356.
 Wacław Karczewski: Lisków. Dzieje jednej wsi polskiej. Wyd. Wystawy „Praca i Kultura Wsi”. Str. 147 Lisków 1937.
 Qu'en est l'enseignement religieux? Livres et méthodes de divers pays. Editions Casterman. Str. 499. Paris 1937.
-

Sprawozdanie z ruchu religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Na marginesie francuskiej polemiki o współpracę społeczną katolicyzmu ze socjalizmem.

Katolicka Francja przeżyła niedawno gorącą polemikę, nie pozbawioną posmaku sensacji. Oto katolicki tygodnik *Sept* opublikował pod koniec lutego br. głośny już artykuł pt. „Katolicy w państwie”.¹⁾ W artykule tym podano oryginalny wywiad jednego z redaktorów tygodnika z premierem Blumem. Redaktor postawił szefowi francuskiego rządu, żydowi i socjaliście, śmiałe pytanie: co sądzi on o społecznej nauce Kościoła i jakiej spodziewa się współpracy od katolików „w budowie nowego porządku nad którym pracuje Francja?”

Otóż p. Blum nie odmówił swej odpowiedzi na tak sformułowane pytanie i orzekł, iż współpraca ta wydaje mu się „możliwą”, a katolicy — jego zdaniem — powinni współpracę tę uważać za „pożądaną”. Motywując tę swą odpowiedź rzucił z kolei francuski premier pytanie: dlaczego by zasadnicze idee francuskiego parlamentaryzmu, a więc „wiera w wolność demokratyczną i sprawiedliwość społeczną... nie mogły współistnieć z katolicką wiarą w sumieniu tego samego człowieka?”

Rzecz zupełnie zrozumiała, iż artykułem tym zainteresowała się prasa codzienna i że głośnym echem odbił się w całej katolickiej Francji. Wszak poruszono w nim zagadnienie pierwszorzędnej doniosłości i to w naświetleniu osoby, której słowom i stanowisko obecne oraz cała przeszłość polityczna musiała nadać odpowiedni ciężar gatunkowy.

¹⁾ *Sept*. Les catholiques dans la cité. 19 Fevrier.

W ogniu polemiki podzieliły się wnet zdania, krystalizując się w dwu ideowych obozach. Najpoważniejszy organ katolicki *Etudes*, wydawany przez jezuitów, zajął stanowisko krytyczne wobec enuncjacji p. Bluma a inicjatywę tygodnika *Sept* uznał za niewczesną oraz niebezpieczną.¹⁾ Za to w obronie tegoż tygodnika wystąpili dominikanie na łamach swego organu: *La vie intellectuelle*.²⁾

Natchnieniem dla redakcji tygodnika *Sept* stały się bezwątpienia znane słowa kardynała Verdier, iż „obowiązkiem wszystkich pracodawców i robotników, mieszczan i wiejskiego ludu, moralistów, duszpasterzy i wiernych — jest pomagać zdecydowanie do rozwiązania ekonomicznego problemu, który nas przejmującą trwogą”. Hasło to jest jasne, więc — zdaniem redaktora *Sept* — katolicy powinni wziąć na siebie część odpowiedzialności i w pełni odegrać swą rolę. Muszą się stać obrońcami „prawdziwej wolności” i podtrzymać mocno żądania „prawdziwej sprawiedliwości”. By jednak ten cel osiągnąć nie mogą być ciągle emigrantami w swej własnej ojczyźnie, nie mogą trwać w marazmie i odosobnieniu ale powinni współpracować w dziele społecznej reformy przynajmniej w punktach określonych i sprecyzowanych, które dadzą się w pełni uzgodnić z postulatami katolickiej wiary. Nie wolno zatem katolikom potępiać pewnych reform, których przecież są w głębi duszy gorącymi zwolennikami a których potępienie możnaby motywować jedynie faktem, iż zrealizować je pragnie rząd, inspirowany przez socjalistów!

Twierdzenia niewątpliwie słuszne, tym bardziej, iż w obronie tej właśnie postawy można szermować, wraz z uczonym dominikaninem, O. Renard, cytatai z papieskich encyklik oraz zasadami teologii chrześcijańskiej.

A więc przede wszystkim można i trzeba odróżnić ojczyznę, jej polityczny ustrój, rząd dzierżący władzę, wreszcie partie polityczne. Ojczyzna ucieleśnia się niejako w państwie, w którym polityczny ustrój stanowi istotną strukturę w danym momencie historycznego rozwoju. Rząd jest zawiadowcą wspólnego dobra i w ramach politycznego ustroju stróżem porządku i dyscypliny. Na koniec polityczne partie są jedynie instrumentem, którego głównym zadaniem jest, w funkcji pewnych politycznych postulatów, wydzielić z ogółu obywateli prawne przedstawicielstwo narodu.

Otóż teologia katolicka uczy jasno i niezłomnie, iż ojczyźnie należy się miłość, podobna w swoich przejawach

¹⁾ H. du Passage: Les catholiques dans la cité. *Etudes*, 5 Mars.

²⁾ R. G. Renard O. P.: Les catholiques dans la cité. *Vie intellectuelle*, 25 Mars.

i obowiązkach do miłości należnej rodzicom. Ojczyzna bowiem to tylko rozszerzona rodzina, z rodziny więc bierze swą siłę i urok. Jak więc Bogu należy się cześć religijna, tak, zdaniem św. Tomasza z Akwinu, wobec rodziców oraz ojczyzny obowiązuje *pietas*, czyli przejęta czcią miłość. W odniesieniu do politycznego ustroju swej ojczyzny zobowiązani są katolicy, w myśl nauki Leona XIII, do doskonałej lojalności, a lojalność ta powinna wyrażać się w posłuszeństwie dla prawowitego rządu. „Chrześcijanie bowiem, jak mówi Leon XIII, otaczają religijną czcią pojęcie władzy, w której, nawet wówczas, gdy narzędzie jej jest niegodne, widzą odbicie i jakby obraz Bożego Majestatu! W stosunku wreszcie do politycznych partij, teologia katolicka zabrania należenia do takich tylko partij, „których program i orientacja nie dają dostatecznej gwarancji poszanowania praw Bożych“.

Na tych właśnie rozróżnieniach i zasadach usiłuje się oprzeć dominikańska apologia inicjatywy tygodnika *Sept*. Jego redaktor mógł przedłożyć podane wyżej pytania p. Blumowi „nie jako przewodcy francuskiego socjalizmu, ale jako szefowi francuskiego rządu“.

Ten szef rządu, jak twierdzi O. Renard, nie odznaczył się zresztą dotychczas aktywną polityką antyklerykalną. „A gdyby nawet tak uczynił, mimo to we wszystkim, co się nie sprzeciwia wymaganiom sumienia i katolickiej dyscypliny, katolicy winni go słuchać „jako przedstawiciela Boga, który z nadania Bożego stoi na straży wspólnego dobra ojczyzny“. Nowy porządek społeczny, o który chodziło redaktorowi *Sept*, to nie ustrój socjalistyczny, ale ustrój „nad którego stworzeniem pracuje Francja“. A przecież Francja, tak dowodzi uczony dominikanin, jest wcielona w konstytucję, „którą powinni szanować katolicy jako katolicy“. A właśnie według zasad tej konstytucji, rządu dzierży we Francji szef zwycięskiej partii socjalistycznej a zatem należy mu się posłuszeństwo. „Być zaś posłusznym znaczy współpracować. A przecież nie jest posłusznym ten, kto płaci swe długi czy podatki pod grozą sankcyj karnych; nie jest posłusznym ten, kto udaje się do koszar pod grozą żandarmów i trybunału wojennego; nie jest posłusznym ten, kto uważa za korzystniejsze poddanie się policyjnym przepisom niż opłatom karnym. Posłuszeństwo bowiem jest aktem rozumnego poddania się i do takiego rozumnego czy rozumowego poddania się jest zobowiązany każdy człowiek w stosunku do swych przełożonych“... Ta sama zasada reguluje stosunek obywatela do rządu. Ze zaś szef rządu jest równocześnie wodzem partii, której nauka jest potępiona przez papieża, to zdaniem O. Renard, nie ma nic do rzeczy. „Trzeba

brać wskazania papieża w całej ich rozciągłości", a więc łączyć poddanie się prawowitej władzy z potępieniem socjalistycznej doktryny. Że zaś nowy ustrój społeczny, nad którego stworzeniem się pracuje, może ulec pewnym wpływom socjalistycznej ideologii to możliwość ta nie powinna powstrzymać wysiłków, by właśnie w ten ustrój wprowadzić wpływy chrześcijańskie, ale by to osiągnąć „trzeba właśnie współpracy". „Nadto socjalizm, jak zresztą wszystkie błędne teorie, zawiera pewną część prawdy". To co jest potępione w socjalizmie, to „teoria struktury społecznej, która mu jest właściwa a której nie da się pogodzić z autentycznym chrystianizmem".

Wyobrażam sobie, iż p. Blum musiał przeczytać te wszystkie wywody, ferowane w imieniu „katolickiej teologii", z niemalym zadowoleniem. Być może, iż tym pełniej liczy na poparcie katolików w przeprowadzeniu reformy społecznej we Francji.

Ale zagadnienie to nawskróś aktualne i doniosłe dla katolików we Francji, jest a przynajmniej może być niemniej aktualnym dla katolików w innych krajach, nie wykluczając bynajmniej i Polski.

P. Blum zapytany co myśli o nauce społecznej Kościoła podkreślił jedynie, iż katolicy mogą i powinni przyjąć program demokratycznej wolności oraz sprawiedliwości społecznej. Nie wiemy, czy leader francuskiego socjalizmu zna dokładnie treść encyklik społecznych Kościoła. Za to wiemy doskonale, co oznaczają te hasła demokratycznej wolności i sprawiedliwości społecznej w ustach p. Bluma i wszystkich prawowiernych wyznawców socjalizmu. Wszak „wolność demokratyczna" nie od dzisiaj jest sztandarowym zawołaniem społecznego radykalizmu; pamiętajmy, iż w imię tego właśnie hasła rozpętano we Francji walkę z Kościołem, iż Gambetta, J. Ferry, P. Bert, F. Carnot, Clemenceau czy Deschanel w imię wolności demokratycznej pozbawiali elementarnych praw społecznych miliony ludzi, dlatego tylko, że byli wyznawcami katolickiej wiary. Wiemy zresztą doskonale jak zresztą i dziś wygląda wolność Kościoła we Francji, choćby tylko w dziedzinie szkolnictwa i jak olbrzymimi sumami dobrowolnych podatków muszą okupywać francuzcy katolicy wychowanie religijne swych dzieci. A tymczasem p. Blum z miną niewinnego idealisty formułuje naiwne pytanie: „dlaczego w sumieniu katolika nie mogłyby się pogodzić wiara w wolność demokratyczną oraz wiara katolicka?" W sumieniu katolika godzą się znakomicie te dwa pojęcia, owszem łączy je z sobą głęboki ideowy związek,

za to śmiemy twierdzić, iż sumienie socjalisty — radykała wyklucza z pojęcia demokratycznej wolności pełnię praw i konsekwentnej swobody katolickiej wiary, jeśli nie w teorii to w każdym razie w praktyce!

Chryścianizm nie od dzisiaj jest szampionem wolności, nie od dzisiaj podkreśla prawa jednostki i staje w ich obronie, bo dogmatyczną podstawę tej teorii i praktyki stanowi dla chrześcijan nieśmiertelność duszy ludzkiej i jej suwerenna wartość. Każdy kompromis z tą nie dającą się ocenić wartością duszy ludzkiej musi prowadzić do zachwiania i podkopania prawdziwej wolności na rzecz takich czy innych dyktatur i totalizmów, mniejsza o to czy to będzie dyktatura klasy, partii czy rasy. A właśnie konsekwentny socjalizm stoi na stanowisku materializmu i dlatego siłą logiki dziejowej nie był i nie może być prawdziwym obrońcą wolności. Wolność demokratyczna to nie suwerenność ludzkiej jednostki, nie suwerenność partii czy klasy, stworzona przez absolutne prawo liczby dodanych do siebie, suwerennych jednostek z równym prawem głosu. Suwerenność bowiem wartości duszy ludzkiej a suwerenność praw jednostki to pojęcia różne. To też widzimy doskonale w jaką parodię zmieniła się demokratyczna wolność w bolszewii, opartej właśnie na społecznej i politycznej doktrynie marksizmu. Z chwilą gdy zaprzeczy się lub nie uzna praw Boga i nieśmiertelności duszy ludzkiej, odpowiedzialnej przed Bogiem — podrywa się tym samym najgłębsze podwaliny prawdziwej wolności, która wcześniej lub później musi wyrodzić się w anarchię albo w niegodny człowieka totalizm.

Dlatego też tak doświadczony mąż stanu, jak premier Baldwin, który niejeden bój stoczył z umiarkowanym zresztą socjalizmem angielskim, mógł w swym politycznym testamencie zamieścić te głębokie słowa:

Usuńcie prawdę o wartości duszy ludzkiej z naszej religii a co otrzymacie? Swawolę, żądze panowania i krwiożerczość despotyzmu. Ogłóście religię, jako opium narodu, a wkrótce będziecie musieli uznać wolność polityczną i wolność prywatną za narkotyk.

Dzieje bolszewizmu, hiszpańskiej anarchii, czy hitlerowskiego rasizmu są aż nazbyt jaskrawą ilustracją tej prawdy. Jeśli zaś chodzi o Francję, to wiemy również, ile pod pokrywką wielkich demokratycznych haseł a pod „ministerstwem czerwonych mas“ ostało się z prawdziwej treści demokratycznej wolności.

To też uważamy za naiwną iluzję możliwość istotnej współpracy katolików z konsekwentnymi socjalistami celem obrony prawdziwej wolności, bo sprzeczność poglą-

dów obu tych obozów sięga głębin samej idei wolności oraz jej metafizycznych podstaw.

Nie inaczej patrzymy na kwestię pozytywnej współpracy z socjalizmem w dziedzinie realizacji „sprawiedliwości społecznej“.

Katolicki *Sept* pisał iż:

Jeżeli istnieje faktyczna zbieżność pewnych inicjatyw Frontu Ludowego i reform projektowanych przez katolicką szkołę społeczną, to nie widzimy żadnej przyczyny, by tym inicjatywom nie użyć lojalnego poparcia.

Tak istotnie mogłaby wyglądać sprawa w teorii, ale czy naprawdę jest możliwe przeprowadzenie tej linii granicznej i w praktyce? Czy współpraca socjalna nie zamieni się na współpracę socjalistyczną, w której zwycięzcą będzie nie katolicyzm ale „front ludowy“? Nie chcemy bynajmniej przeczyć, iż socjalizm przeprowadził w świecie cały szereg postulatów słuszných oraz sprawiedliwych, które idą po linii społecznej ideologii Kościoła. Pójdziemy nawet dalej i przyznamy lojalnie, iż socjalizm wpłynął w charakterze silnego bodźca, na rozwój i ewolucję społecznej doktryny katolicyzmu. Tym niemniej musimy stwierdzić, iż olbrzymia przepaść ideowa oddziela całokształt społecznej nauki marksizmu i katolicyzmu. Rzecz jest zbyt znana, by ją tu szerzej uzasadniać, bo każdy rozumie doskonale, jak różną treść zawiera słowo „sprawiedliwość społeczna“ w ustach socjalisty a katolickiego socjologa. Pogląd na strukturę społeczną i cel społeczeństwa, a dalej kwestia własności prywatnej, by pominąć inne zagadnienia, stawiają te dwie doktryny na biegunowo różnych pozycjach. I czy w tych warunkach może być mowa o rzetelnej współpracy, gdy w dziedzinie ideologii istnieje tak zasadnicza rozbieżność? Czy popieranie ustrojowej reformy, planowanej przez rząd frontu ludowego z premierem socjalistą na czele a przeżartymi komunizmem dolami — nie jest utopią? Czy lansowanie idei takiej współpracy, opartej na przygodnym a jakżeż w praktyce trudnym eklektycyzmie, nie otwiera perspektyw końcowej przegranej nie dla socjalizmu ale dla katolicyzmu, do którego socjalizm, po przeprowadzeniu swego programu, zastosuje niewątpliwie znaną formułkę: „murzyn zrobił swoje...“ Czy przez jawny akces do współpracy w reformie społecznej, którą kieruje opanowany przez socjalizm rząd, nie stwarza się groźnego niebezpieczeństwa pomieszania pojęć w szerokich katolickich kołach, które poza elitą są niezdolne do zrozumienia i wyuczucia subtelnych zastrzeżeń i rozróżnień, którymi tę współpracę obwarować muszą jej menerzy z tygodnika *Sept* czy jej apologety z *Vie intellectuelle*? Dla szerokich warstw jedno

będzie jasne, że przecież katolicyzm jakoś się da pogodzić z „frontem ludowym“ a nauka społeczna Kościoła z ideologią marksizmu. I w tym tkwi na dłuższą metę niemałe niebezpieczeństwo.

Pamiętajmy o słowach Piusa XI, że

...sprawy mogą dojść powoli i niepostrzeżenie do takiego punktu, iż idee takiego socjalizmu umiarkowanego nie będą się różnić od tego czego sobie życzą i czego żądają ci, którzy usiłują zreformować społeczeństwo na podstawie zasad chrześcijańskich.

Ale czy w chwili obecnej można uznać socjalizm francuski, sprzymierzony faktycznie z komunizmem a w każdym razie od niego zależny, za ten socjalizm umiarkowany, o którym mówi Ojciec chrześcijaństwa? Szermowanie więc tym właśnie cytatem przez uczonego dominikanina zakrawa na dialektykę, jak za czzą dialektykę uważamy rozróżnienie, iż katolicy wyciągają rękę do p. Bluma jako do premiera i szefa legalnego rządu a nie do lidera socjalizmu. Taka właśnie dialektyka sprowadza łatwo na bezdroża masy, niezdolne do uchwycenia subtelnych niuansów. Premier Blum jest w życiu towarzyszem Blumem i tej życiowej jedności, nie rozewie filozofia teoretycznych rozróżnień.

Ale jeszcze głębsze niebezpieczeństwo tai się, naszym zdaniem, w szermowaniu teologią w obronie tej tezy. Najśluszniej i najzgodniej z nauką Kościoła twierdzi O. Renard, iż legalnemu rządowi, choćby jego szefem był czołowy socjalista a nawet zdecydowany antyklerykał... należy się posłuszeństwo, którego granicą jest tylko prawo Boże i *vetó* katolickiego sumienia. Ale czyż ta sama teologia katolicka nie pozwala i nie zachęca do legalnych wysiłków, by ster rządów spoczywał w rękach katolików? Czy zamiast pozytywnej a jakżeż w praktyce trudnej i niebezpiecznej współpracy katolików z socjalistycznym reżimem, dla obrony „demokratycznej wolności i sprawiedliwości społecznej“, nie należałoby raczej w imię teologii katolickiej głosić krucjatę wszystkich katolickich sił, by w ojczyźnie zaprowadzić legalnie reżim katolicki?!

Mimo jednak tego zasadniczego zastrzeżenia nie możemy oczywiście wykluczać wszelkiej możliwości współpracy katolików z socjalistycznym rządem, tym bardziej, iż stworzenie katolickiego reżimu nie wydaje się być we Francji, kwestią najbliższej przyszłości. Ale trzeba jasno zdać sobie sprawę z tego faktu, iż problem takiej czasowej nawet współpracy jest niesłychanie trudny oraz delikatny i nie da się go zamknąć w symplicystycznej formule: *obéir c'est collaborer*.

Ponieważ socjalizm wkłada zupełnie inną treść w słowa i hasła wspólne mu pozornie z katolicyzmem, dlatego zasadniczym i bezwzględny postulat jakiegokolwiek współpracy musi być wykluczenie wszelkich ideowych dwuznaczników i zabezpieczenie dla katolicyzmu poszanowania religijnej jego wolności nie tylko prywatnej ale zbiorowej oraz społecznej. Towarzysz bowiem Blum czy każdy inny socjalista, przyrzekać będzie solennie katolikom wyznaniową wolność, ale, w myśl zasadniczych założeń marksizmu, myśleć będzie wyłącznie o indywidualnej wolności sumienia i kultu, którą z obłudnym tupetem głoszą przecież nawet komuniści. Tymczasem uświadomiony katolik, czując się w swej istocie człowiekiem społecznym, dla którego religia nie jest sprawą tylko prywatną ale społeczną, nie może się zadowolić oferowaną tak „wspaniałomyślnie” wolnością sumienia dla jednostek. Byłoby więc tragiczną pomyłką współpracować w jakikolwiek sposób z reżimem, który wzamian za pomoc w wypracowaniu nowego społecznego ustroju, obiecuje wolność uduszenia w milczeniu, przez pozbawienie religii wszelkich walorów społecznych. Tymczasem nie wątpimy ani na chwilę, iż żaden socjalistyczny reżim nie zgodzi się lojalnie na przyznanie religii, zwłaszcza katolickiej, znaczenia instytucji społecznej, która może publicznie wpływać na życie narodu i państwa. I jakżeż w takiej atmosferze przesyconej materializmem, można realizować program głębiej pojętej „sprawiedliwości społecznej?”

Słowa nawet najbardziej katolickie nie wystarczą, bo marksizm wkłada w nie swoją odmienną treść ideologiczną. I im ogólniejszymi będą „szlachetne idee”, które pragnie zrealizować socjalistyczny reżim, im bardziej w swym szero-kim ujęciu, wyglądać będą na całkowicie „zgodne z duchem chrześcijańskim”, tym większe jest niebezpieczeństwo końcowego oszustwa i zwycięstwa zasad autentycznego marksizmu. We wszystkich hasłach, w które drapuje się socjalizm, czy to będzie: kultura, duch, rozum, rodzina, naród, ludzkość — czy dla odmiany: chleb, praca, pokój, wolność... kryć się będą idee, które uświadomiony katolicyzm pojmuje zupełnie inaczej. To też w miarę, jak katolicy, idąc naiwnie lub nieostrożnie na lep pięknych haseł, udzielać będą poparcia swymi głosami czy czynem realizacji reform opartych na tych ideach — współpracować będą w triumfie socjalizmu.

Katolicy muszą walczyć o wyzwolenie mas z materialnej niewoli, to jasne i niewątpliwe; ale jeśli pod pozorem walki z nędzą, wojną czy faszyzmem... podadzą rękę współpracy socjalizmowi i pójdą choćby w odległości za czerwonym sztandarem, wówczas zamiast popaść w niewolę materialną wydadzą chcąc nie chcąc i siebie i masy w niewolę

materializmu, czyli, jak pokazują dzieje, w niewolę i materialną i duchową czyli całkowitą i totalną.

Dlatego sądzimy, iż możliwość owocnej, względnie przynajmniej nieszkodliwej współpracy w dziedzinie reform społecznych istnieje jedynie i wyłącznie w punktach ściśle określonych, konkretnych i bardzo szczegółowych i to pod warunkiem, iż katolicy występują jako zorganizowana grupa.¹⁾ I wtedy przeprowadzając poszczególne punkty reformy w dziedzinie czy to opieki społecznej, czy sprawiedliwej płacy czy ochrony małoletnich — zmniejszając liczbę nędzarzy i wydziedziczonych społecznie, tępiąc nadużycia wyzysku i niesprawiedliwości — przyczynią się do usunięcia samych źródeł i podstaw socjalistycznego ruchu, wprowadzając w dusze robotników zaufanie do Chrystusowej wiary.

Ale czy na współpracę opartą na takiej właśnie taktyce zgodzą się socjaliści, czy zgodzi się rząd inspirowany przez socjalizm — śmiemy mocno wątpić.

I dlatego jesteśmy zwolennikami pracy własnej, pod katolickim hasłem, przeprowadzonej środkami katolickiej organizacji, pod kierunkiem katolickich a nie socjalistycznych wodzów. I może największą potrzebą są właśnie tacy wodzowie, katolicy totalni, którzy współczesne klęski społecznej niesprawiedliwości, płynące z żądzy bogactw i okrutnego instynktu panowania, potrafią zwalczyć heroizmem, którzy wyrzekając się nawet tego, co dla ogółu jest dozwolone, potrafią wcielić w swe życie pełne zapалу i poświęcenia ideały pierwszych chrześcijańskich gmin. To będzie ten kwas ewangeliczny, który przerobi masy i wyrwie je z pod jarzma klasowej polityki nienawiści. Na tej drodze widzimy realizację nowego ustroju, którego nie urzeczywistnią żadne subtelne rozróżnienia prawników, tym mniej żadne kompromisy.²⁾

Dla katolickiej Francji mamy głęboką cześć, widzimy w niej *fille aînée de l'Eglise*, pamiętamy o wielkich dziełach Bożych dokonanych przez katolików Francji: *gesta Dei per Francos*, ale trudno obronić się pewnemu przygnębieniu, że ta matka świętych i pierworodna córka Kościoła — schodzi dziś przez swych synów na wątpliwe ścieżki i nie odgrywa czołowej roli w tym przełomowym okresie dziejów i europejskiej kultury. Nie na drogach skrajnego nacjonalizmu *de l'Action Française*, nie w filo-komunistycznych eksperymentach „chrześcijan rewolucjonistów“ p. Laudrain³⁾

¹⁾ Cfr. G. Fessard: *La main tendue...? Etudes*. 20 Mai 1937.

²⁾ Polecamy najnowszą a doskonałą książkę R. Plusa T. J.: *Ofensywa katolicka*, Wydawnictwo Księży Jezuitów. Warszawa.

³⁾ Zob. Sprawy Kościoła, *Przegląd Pow.*, grudzień 1936.

i nie w mglistej współpracy społecznej z socjalizmem Blumów — widzimy wielką, dziejową misję katolicyzmu we Francji.

Jesteśmy świadkami, jak straszną ekspiację składa dziś katolicka Hiszpania za wiekowy marazm w dziedzinie realizowania społecznych wskazań Kościoła. Widzimy jak powoli wkracza na drogę krzyżową prześladowań i potwornych oszczerstw katolicyzm w Niemczech, składając w ofierze wolność i mienie i dobre imię tysięcy swych synów w wynagrodzeniu za słabość uprzednich lat, za kompromisy z rasistowskim totalizmem. Oby katolicyzm francuski uniknął krwawych eksperymentów socjal-komuny, która rośnie i wzbiera na zachodnich rubieżach europejskiej kultury.

Ale jeśli o tych sprawach piszemy to głównie dlatego, by katolicy w Polsce umieli odnieść korzyść z bolesnych doświadczeń swych braci, by nie dali się uwieść niebezpiecznym podszeptom czy z prawa czy z lewa, ale żyjąc pełnią katolickiej wiary szli w twórczej kolumnie czołowej, zabezpieczeni ideowo przed neopogaństwem rasizmów a równocześnie gotowi na spalenie wszelkich „trojańskich koni“, włączanych do katolickiego obozu choćby pod pozorami encyklik czy teologii.

A prób godzenia komunizmu czy socjalizmu z katolicyzmem, prób włączania katolicyzmu w ramy politycznej monopartii, prób glorifikacji odżydzonej ze Starych Testamentów religii, nie brak i u nas. Próby to nieśmiałe jeszcze i zakapturzone ale tym łatwiej potrafi je zdemaskować i odeprzeć prężny, aktywny i ideowo totalny katolicyzm w Polsce. O taki też katolicyzm wołamy, jego realizacji powinniśmy poświęcić swe siły bez żadnych zastrzeżeń i bez żadnych kompromisów.

Ks. Edward Kosibowicz T. J.

Sprawy Państwa.

Trzecia faza osi Berlin—Rzym. — Polityka rozbiorowa nad Dunajem. — Nowe cele Warszawy i Bukaresztu.

Niedługo trwała kwietniowa radość zachodniej prasy liberalnej z powodu depresji totalizmów. Zachwiana „os Berlin—Rzym“ została w maju odbudowana jako podstawa nowej polityki zaczepnej. Międzynarodowa gra sił w Europie obraca się dokoła tej „osi“ już z górą od pół roku, pośród przemian i wstrząsów, które referowaliśmy na tym miejscu w miarę biegu wydarzeń. Obecnie uzyskały one pewną perspektywę rozwojową, w której należy je zreasumować. Przejrzyściej się wtedy zarysują założenia i dążności fazy najświeższej.

Zasadniczy cel współdziałania niemiecko-włoskiego stanowi wzajemna pomoc w „walce o przestrzeń”. Punktem wyjścia stała się tytulowa postawa Niemiec wobec Italii podczas wojny abisyńskiej, która sowicie zresztą opłaciła się Niemcom w Nadrenii. Kierunki wszakże dążeń ekspansyjnych niemieckich i włoskich w Europie krzyżowały się w dorzeczu Dunaju, zwłaszcza w Austrii. Ażeby więc „wzajemną pomoc” zorganizować i utrwalić należało przede wszystkim zaprojektować kompromis w płaszczyźnie nadunajskiej. To uczynił Mussolini popierając układ niemiecko-austriacki z lipca ub. roku. Prawie równocześnie wybuchła wojna domowa w Hiszpanii. Otworzyła ona nowe, cenne pole współdziałania dla Niemiec i Włoch. Porozumiano się podczas jesiennych odwiedzin min. hr. Ciano w Berlinie i w dzień Wszystkich Świętych ubiegłego roku Mussolini w mediolańskiej swej mowie ogłosił „oś Berlin—Rzym” publicznie, jako ukonstytuowaną. Wyśnął wtedy hasło walki z bolszewizmem i wezwał Europę, by się do niej skupiła dokoła nowej hitlero-faszystowskiej „osi”. Pod osłoną tego hasła niemiecko-włoski program polityczny zamierzał poprzeć zwycięstwo powstańców hiszpańskich, potem rozwinąć nacisk materialny z uzależnionej Hiszpanii, wywołać zwrot prawicowy w polityce Francji, skłonić ją do zerwania paktu z Sowietami, do zawarcia zachodniego „paktu czterech” i pozostawienia Niemcom wolnej ręki na wschodzie Europy.

Hasło antybolszewickie wskazywało, że w myśl całej dotychczasowej polityki Hitlera głównym celem dążeń ekspansyjnych Niemiec pozostaje Rosja, ściślej Ukraina Sowiecka. Dostęp do Ukrainy projektują Niemcy przez korytarz słowacki Czech oraz przez wschodnią Małopolskę. Ponieważ wojny z Rosją na tak ograniczonym terenie nie mogliby należycie rozwinąć ani tym samym wygrać, przeto nie zapominają Niemcy również o szlaku nadbałtyckim. Troska o te przeciwnosijskie linie operacyjne ujawniła się wyraźnie w ówczesnej polityce niemieckiej w postaci „zainteresowania” Czechosłowacją, w pełni aprobowanego przez Włochy; a także w postaci „spisku kozackiego” na polskim Wołyniu wytoplonego przez nasze władze w ziemie a opartego o „ideę hetmańską” Skoropadskiego z roku 1918. Na północy polityka niemiecka w tym okresie gwałtownie forsuje hitleryzację Gdańska. Czyni to nie tylko dlatego, ażeby cieszyć uciśnione nędzą gospodarczą serca niemieckie i podtrzymywać popularność reżimu, lecz nie mniej z tego powodu, że *Anschluss* Gdańska do Rzeszy i jego okupacja przez wojska niemieckie prawie by uniemożliwiły Polsce obronę Pomorza, szczególnie jego części północnej, przyległej do Bałtyku. Zajawszy zatem Gdańsk politycznie i wojskowo mieliby Niemcy doskonałe widoki, że w razie wojny z Rosją zmuszą nas do udzielenia wojskom niemieckim prawa przemarszu przez Pomorze; albo też zdobędą je łatwo orężem. Co więcej, mając nas „w rękę”, na Pomorzu, po

ewentualnym zajęciu Gdańska mogliby Niemcy wywierać na nas nacisk, byśmy im udzielili „prawa przemarszu” także przez Małopolskę i Wołyń. Zamiary Niemiec w tym ostatnim kierunku ujawnił z całą otwartością wywiad z wyższym wojskowym niemieckim w st. sp., który udało się uzyskać zimą jednemu z dzienników warszawskich.

Takie plany polityczne snuły Niemcy na północy dokoła osi Berlin—Rzym, w tym pierwszym okresie jej funkcjonowania. W dorzeczu Dunaju Czechosłowacja została „przyznana” Niemcom wyłącznie, Austria i Węgry miały stanowić *condominium* wpływów włosko-niemieckich. Jugosławia zaś wchodziła w ściślejszą sferę interesów Italii, otrzymując za włoską protekcją jako zadatek zbliżenia odciążenie macedońskiego korytarza przez „pakt wiecznego pokoju” z Bułgarią. W Hiszpanii, podobnie jak w Austrii „os Berlin—Rzym” projektowała *condominium*, czyli wspólne poparcie powstańców oraz wspólne żniwo owoców ich zwycięstwa. Stąd ówczesne zainteresowanie niemieckie dla sprawy gen. Franco, a zarazem niedość pewna siebie pozycja Włoch wobec Anglii, oraz zabiegi o uzyskanie z nią *gentleman agreement* na Morzu Śródziemnym. W każdym razie najznamienniejszą właściwością „osi Berlin—Rzym” jest fakt, że się ona opiera na dwóch funkcjonalnie ze sobą związanych podstawach, półwyspie Iberyjskim oraz obszarze naddunajskim. One stanowią grunt wzajemnej wymiany ustępstw i usług między Niemcami a Italią. Od tego, jak się im w tych krajach powodzi zależą formy, treść i w ogóle losy włosko-niemieckiej współpracy politycznej. Wykazała to dowodnie dalsza jej ewolucja.

W takiej ostro przeciwbolszewickiej postaci jaką ta współpraca z początku przybrała, prowokowała ona w wysokim stopniu Moskwę. Stąd jej czynna kontrinterwencja w Hiszpanii, która walki tamtejsze przekształciła w „próbną wojnę europejską” obojga faszystów z komuną. Ze strony Moskwy zmierzała ona do opanowania nieszczęsnego kraju iberów nie tyle „dla idei” marksistowskiej, ile dla oddziaływania z Hiszpanii na Francję w kierunku odwrotnym od zamierzonego przez „os Berlin—Rzym”. Zmierzała Moskwa przede wszystkim w kierunku wzmocnienia obozu marksistowskiego we Francji, powściągnięcia jej od przeciwożyjskich układów z Niemcami a zachowania w wierności dla francusko-sowieckiego paktu wzajemnej pomocy przeciw Niemcom. Kontrinterwencja Moskwy po stronie czerwonych w Hiszpanii zrównoważyła, głównie tam podówczas czynną interwencję niemiecką, ale przewagi nad nią odnieść nie zdołała. „Próbną wojnę” Niemiec z Moskwą na gruncie hiszpańskim poczęła się beznadziejnie przewlekać, w sposób bardzo pouczający także o szansach przyszłego ewentualnego pojedynku tych mocarstw na szerokiej arenie wschodnio-europejskiej.

Wtedy po raz pierwszy zachwiała się „oś Berlin—Rzym”. Włochy uderzyły w pokorę wobec Anglii i wyjednały od niej układ pojednawczy w sprawach Morza Śródziemnego. Niemcy przyciśnięte ciężkim położeniem gospodarczym poczęły zabiegać o współdziałanie ekonomiczne z Zachodem nie rezygnując jednak z układów politycznych. Ponieważ mocarstwa zachodnie nie uchylały się od tych propozycji przeto zaniepokoiły one znów Moskwę. Cała przeszłość powojenna, a zwłaszcza pakt czterech z roku 1933, usposobiły ją nieufnie wobec wszelkiej ugody mocarstw zachodnich z Niemcami, nawet na warunkach na polu kapitulacyjnych ze strony „osi Berlin—Rzym”. Postanowiła przeto Moskwa do takiej ugody nie dopuścić podpierając tę oś zachwianą i przywracając jej dążność agresywną wobec mocarstw zachodnich. Uczyniła to Moskwa, jak wiadomo, dopuszczając nacisk Niemiec przez Turcję na północne pogranicze francuskiej Syrii, oraz wstrzymując swą interwencję na rzecz czerwonych w Hiszpanii. Dawała Moskwa w ten sposób do zrozumienia „osi Berlin—Rzym”, że gotowa jest poprzeć ją w walce z Zachodem o zdobycze kolonialne i gospodarcze, gotowa w tym celu nawet oddać Niemcom i Włochom Hiszpanię. Ale oczekiwała wzajemnych wyrzeczenia się ze strony Niemiec najważniejszego dotąd dla nich celu ich walki z Zachodem tj. wolnej ręki na Wschodzie, zwłaszcza zaś podkopów pod pakt francusko-sowiecki.

Skłopotana „oś Berlin—Rzym” przyjęła tę ofertę z entuzjazmem, oparła na niej nowe szerokie plany, ale tego najważniejszego francusko-sowieckiego warunku nie dotrzymała. Na postawie oferty sowieckiej „oś Berlin—Rzym” zreorganizowała się i weszła w drugą fazę swego istnienia i działalności. Schowała starannie pod korzec hasło antybolszewickie. Ułożyła odmiennie niż poprzednio podział sfer wpływu i kierunków działań między Niemcami a Italią. Rozgraniczyła je od siebie wyraźniej. Usunęła *condominia* w Austrii i Hiszpanii, pierwszą przyznając całkowicie Niemcom, drugą zaś, opuszczoną na razie przez Moskwę, — Włochom. Zapowiadało się to tak pięknie, że porwany uniesieniem Mussolini wyruszył do Libii, by proklamować protektorat nowego włoskiego imperium nad całym światem muzułmańskim, co się równało jawnemu wyzwaniu Wielkiej Brytanii. Ale czyż nie usprawiedliwiała tej wspaniałej unii nadzieja wyłącznego na rzecz Włoch opanowania półwyspu Iberyjskiego, na podstawie ugody z Rosją i Niemcami; dalej nadzieja na wyłączność wpływu włoskiego na półwyspie Bałkańskim, osiągnięta zamian za wyłączność wpływu niemieckiego nad środkowym Dunajem; a wreszcie, co najważniejsza, nadzieja na nowe Rapallo z Moskwą, oraz równoległą z tymi planami sowiecko-turecką ofensywę przeciwko mocarstwom zachodnim w Azji. Przedniej, zwłaszcza na Irak angielski. Co do Francji to Moskwa byłaby zapewne skłonna ją oszczędzać jako gwarantkę lojalności

Niemiec, a Mussolini konferował w Libii z jednym z francuskich generałów kolonialnych, zapewne w duchu odosobnienia Anglii od Francji.

Moskwa skłonna była przystosować się nawet do inwazji Niemiec nad środkowy Dunaj, do poświęcenia swego paktu z Czechosłowacją, byle uratować pakt z Francją. O takiej skłonności Moskwy świadczyły jak wiadomo, kroki przez nią przedsięwzięte w celu zrekompensowania się nad Bałtykiem, nie tylko zresztą wzamian za Czechosłowację dla Niemiec, ale i ze względów bardziej lokalnie ochronnych, wobec postępów niemieckich w kierunku opanowania Gdańska.

Wszystko zatem układało się niezwykle harmonijnie w tym drugim, rapallitańskim okresie istnienia osi „Berlin—Rzym”. Mimo to runął on nagle a złaczone z nim wizje imperialistyczne zdmuchnięte zostały jak pałac z kart. Pierwsza „dmuchnęła” nań Wielka Brytania przystępując natychmiast do wzmocnienia swej floty o 25%. To mocno zdeprymowało nietyle Włochy ile Niemcy, które równoległe z planami włoskimi, w duchu nowego Rapallo, gwałtownie poczęły domagać się od mocarstw zachodnich zwrotu kolonij. Wreszcie, usiłując wedrzeć się, w myśl ugody z Italią, nad Dunaj do Austrii i Węgier, berliński Goliat został bardzo dotkliwie ugodzony dawidowym kamykiem miejscowego oporu. Ujrzał się przeto w swych ekspansyjnych dążeniach ponownie zablokowanym, tym bardziej że zły stan gospodarczy Niemiec nagli o szybkie środki zaradcze i nie pozwalała snuć planów na zbyt daleką metę. Zdenerwowany przeszkodami wpadł rząd berliński na koncept podjęcia nowych układów z Zachodem pod egidą paktu czterech i wolnej ręki na Wschodzie. Chodziło mu przede wszystkim o wolną rękę nad Dunajem, ale nie mógł jej proponować nie dotykając równocześnie paktu francusko-sowieckiego. Dopiero tok układów i postawa mocarstw zachodnich zdecydowałaby o ściślejszym kierunku tej „wolnej ręki”; przy czym należało się liczyć z bardziej polonofilską niż moskalofilską ostatnią tendencją polityki francuskiej.

Moskwa uznała to posunięcie osi berlińsko-rzymskiej za zamach na nowe Rapallo i ze swej strony zerwała je, wznawiając gwałtowną ofensywę czerwonych na półwyspie Iberyjskim. Ponieważ Niemcy już go „odstąpiły” Italii, a wobec Moskwy czuły się skrepowane przeto zachowały się wobec tej ofensywy raczej biernie. Główny ciężar obrony spadł na Włochy, które wojskowo nie sprostaly zadaniu. Zarysowało się realne niebezpieczeństwo klęski hiszpańskiego powstania na rzecz miejscowej i światowej komuny.

W ten sposób Moskwa zamknęła drugi, neo-rapallitański okres istnienia osi Berlin—Rzym. Zagrożając bezpośrednio pozycji Włoch w Hiszpanii, tym samym kwestionowała pośrednio ich ugodę z Niemcami co do Austrii i wprowadzała włosko-nie-

miecką współpracę polityczną w ponowny ciężki kryzys. Mussolini reagował natychmiast włosko-jugosłowiańskim „paktem o rozległych reperkusjach”, który dawał mu w ręce środki nacisku tak wobec Niemiec, jak Francji i Anglii. Potem zaś, w celu ratowania sytuacji hiszpańskiej, oś berlińsko-rzymska udała się o pomoc do londyńskiego „komitetu nieinterwencji”. Zawarto swego rodzaju „pakt czterech mocarstw zachodnich” dotyczący blokady dostaw i posiłków wojskowych dla stron wojujących w Hiszpanii. Ponieważ czerwoni władają mniejszym obszarem kraju, są politycznie i organizacyjnie bardziej rozbici, a i wojskowo na ogół raczej od powstańców słabsi, przeto z góry można było przewidywać, iż blokada odcinająca pomoc zagraniczną wyjdzie przede wszystkim na niekorzyść komuny. O to właśnie chodziło Włochom i Niemcom. Rachuba nie zawiodła. Ofensywa czerwonych została zahamowana, a następnie inicjatywa zaczepna znowu przeszła w ręce gen. Franco. Wywołać to musiało gniew Moskwy, który się wyraził w zamieszkach na północno-zachodnim pograniczu indyjskim, stanowiących pogroźkę pod adresem Anglii. Ale ocaliwszy blokadą swoją podstawę hiszpańską, „oś Berlin—Rzym” mogła się ponownie zrekonstruować.

Tym samym wkracza ona w trzeci z kolei okres swego zmiennego istnienia. Pragnąc ją utrwalić i umocnić, Rzym i Berlin ogłosiły zamiar przekształcenia tej tak luźnej dotąd „osi” w trwały sojusz. Jakże mają być jego warunki i cele?

Proces formacyjny nie jest jeszcze, w chwili gdy piszę, zakończony. Wiadomo jednak, że linia kompromisu na obszarze naddunajskim ma pozostać ta sama co w drugim, rapallatańskim okresie istnienia „osi” berlińsko-rzymskiej. Czechosłowacja, Austria i Węgry są więc nadal projektowane jako ściślejsza sfera interesów niemieckich. Układ ogólny otrzymuje natomiast ważne uzupełnienie w domniemanej zgodzie Niemiec na pakt włosko-rumuński, który by wraz z paktem włosko-jugosłowiańskim zamykał przed Niemcami politycznie cały Bałkan, rezerwując go jako ściślejszą sferę interesów Italii. Pakt włosko-rumuński nadaje się też dla nowej osi Berlin—Rzym jako pomost ugodowy w stosunku do Rosji, która żadną miarą nie mogłaby dopuścić wpływu Niemiec na Bałkan.

Ze strony Włoch ma zatem być zachowana, a nawet dokładniej określona, koncepcja imperialistyczna panowania nad trzema półwyspami: bałkańskim z Grecją, rodzinnym apenińskim, oraz iberyjskim. Włoska sfera wpływu objęłaby w ten sposób prawie całe północne pobrzeże dawnego rzymskiego *mare nostrum*, nie licząc afrykańskiej Libii. Za tę cenę zgodziłby się *il Duce* pozostawić Niemcom wolną rękę na północy od krajów śródziemnomorskich, a nawet dopomóc im czynnie do owładnięcia środkową częścią dorzecza Dunaju. Taka myśl zdaje się przyświecać projektowanemu sojuszowi wojskowemu Niemiec i Włoch.

Ponieważ pakt włosko-jugosłowiański rozwiązuje faktycznie, i tak już wygasające, przymierze Francji z Jugosławią, wymierzone przeciwko Włochom, przeto otrzymują one pełną swobodę koncentracji wszystkich swoich sił, zwłaszcza lądowych, na granicy włosko-francuskiej. Gdyby więc Niemcy zechcieli wyrzucić nacisk wojskowy np. na Austrię lub Czechosłowację, Francja zaś okazałaby się skłonną do wojskowej kontrademonstracji w ich obronie, to szale mogłaby przechylić na korzyść Niemiec włoska demonstracja przeciwko Francji. Tak samo rzecz by się miała w wypadku działań wojennych. Sojusz wojskowy z Włochami mógłby Niemcy uwolnić od politycznej konieczności zabiegów u mocarstw zachodnich o wolną rękę na Wschodzie, na razie w kierunku dunajskim.

Sojusz ten ma być omówiony podczas odwiedzin szefa *Reichswehry* gen. Blomberga w Rzymie. Jego dojście do skutku zależy zapewne od tego czy powstańcy zwyciężą czerwonych w Hiszpanii oraz czy Włochy zdołają tam ustalić swą przewagę polityczną, choćby z pomocą Niemiec. Wtedy dopiero Włochy mogłyby pomagać Niemcom w ekspansji nad Dunajem, lecz i tak jeszcze byłaby to polityka dla Włoch niebezpieczna, o ile by ekspansji niemieckiej nie równoważyła równoległa ekspansja wpływu rosyjskiego na północy. W tej perspektywie pożądane jest dla Włoch, a nieuniknione mogłoby się okazać nawet dla Niemiec zachowanie paktu francusko-sowieckiego oraz włączenie weń Polski, choćby z gdańską „tylko” rekompensatą dla Niemiec. Dalejsze plany zrekonstruowanej osi Berlin—Rzym, rozwijać się będą przypuszczalnie w kierunku uzgodnienia ich z Francją i Moskwą, przy eliminacji Anglii. Na to konto Włochy ostro zaznaczają swoją postawą przeciwingielską, zwłaszcza że i w Hiszpanii anarchia poczyna się szerzyć wśród czerwonych i powstańcy coraz bardziej są górami.

Takie pole działania zarysowuje się przed osią Berlin—Rzym na progu nowej, trzeciej fazy jej burzliwych półrocznych losów. Faza pierwsza brała kurs antybolszewicki, faza druga — kurs kolonialny i śródziemnomorski, zwłaszcza antyangielski. Ponieważ zarówno Moskwa w Hiszpanii, jak Anglia w zbrojeniach, wykazały wysoką zdolność odporu, przeto kurs fazy nowej, trzeciej zwraca się przede wszystkim dośrodkowo ku likwidacji głównych terytorialnych wyników wielkiej wojny na wschodzie Europy. W dalszej zaś perspektywie zmierza ten kurs nie tylko i nie tyle do odbudowy Rapallo, ile do rozszerzenia go w pewnego rodzaju paneuropejski sojusz kontynentalny wymierzony przeciwko Anglii. Ponieważ te projekty mogą napotkać jeszcze wiele przeszkód ze strony zainteresowanych, ponieważ Francja a nawet Anglia potrzebne są jeszcze do blokady Hiszpanii, Rosja może mieć wiele do powiedzenia w sprawie podziału sfer wpływu nad Dunajem, a przy tym stan gospodarczy całej Europy jest bardzo

zły, przeto na razie oś Berlin—Rzym ogłasza się przede wszystkim jako fundament pokoju i deklaruje swą gotowość do układów na dwa fronty, zarówno ze Wschodem jak Zachodem.

Nowa zatem oś Berlin—Rzym jeszcze wszechstronniej niż poprzednio zabiega o nowy rozbiór państw powersalskich położonych w „trójkącie trzech mórz”. Cóż czynią te państwa dla swej obrony? Najbierniej zachowuje się Czechosłowacja zdeorientowana niebezpieczeństwem, wobec którego stała się niepewna tradycyjna rachuba na protekcję Rosji, zawiodła Mała Ententa, nieskuteczną może się okazać pomoc Francji. Ruchliwie zachowują się Austria i Węgry, manifestując żywo chęć utrzymania swej niezawisłości. Świadczy o tym ostatnio entuzjastyczne przyjęcia prezydenta Austrii w stolicy Węgier. Jednak odpór ze strony bezpośrednio zagrożonych państw naddunajskich, aczkolwiek ważny, nie może decydować o ich losie w obliczu dążeń osi Berlin—Rzym. Muszą one mieć za sobą szersze poparcie.

W tym właśnie kierunku podjęła inicjatywę Polska. Odwiedziny p. min. spraw zagranicznych w Bukareszcie, oraz zapowiedziana wymiana wizyt pomiędzy szefami obu państw i ich wojsk wskazują zamiar ściślejszego niż dotąd zbliżenia Polski i Rumunii. Wiele za tym przemawia, że także orientacja polityczna sojuszu ulegnie zmianie. Dotąd był on skierowany głównie przeciwko Rosji. Od czasu polsko-rosyjskiego paktu nieagresji i porozumienia w tym samym duchu pomiędzy Rumunią a Rosją, sojusz obronny rumuńsko-polski utracił jednak częściowo swe znaczenie praktyczne. Obecnie staje się znów aktualny, ale już bardziej na froncie zachodnim. Jego w tym kierunku skuteczność zależy w wielkiej mierze od postawy Rosji.

Postawa Rosji wobec dążeń osi Berlin—Rzym była ostatnio opozycyjna, na ogół zaś nie jest skryształizowana. Przystąpić do nowego Rapallo i poprzeć przeciwko Anglii dążenia ekspansyjne niemieckie i włoskie Rosja by mogła, ale pod warunkiem materialnych gwarancji lojalności niemieckiej w Europie. Takiej gwarancji nie były zdolne udzielić w dostatecznym stopniu same Włochy. Konieczne by tu było współdziałanie albo całego „bloku wschodniego” z r. 1933, albo co najmniej Polski, Rumunii oraz Francji. Francja jednak zmierza obecnie raczej do trójprzymierza zachodnich demokracji z Anglią i Ameryką, niżli do restytucji paktu z Sowietami. Dopóki taka restytucja by nie nastąpiła i nie objęła również Polski i Rumunii, dopóty mało jest prawdopodobne, ażeby Moskwa poparła projekty włosko-niemieckie nad Dunajem. Dopóty też Polska i Rumunia mogą w tym kierunku działać, chociaż głównie tylko na własną rękę.

Oś Berlin—Rzym dobrze o tym wie i dlatego usiłuje do swych planów wciągnąć również Polskę i Rumunię. W wypadku gdyby one aprobowwały te plany Polska znalazłaby się w sferze wpływu niemieckiego, Rumunia zaś włoskiego. Oznaczałoby to

koncepcję pokrewną „blokowi przeciwsowieckiemu“ i mogłoby się stać dla osi Berlin-Rzym atutem w „grze na dwa fronty“. Oś Berlin-Rzym przystosowałaby się zresztą także do potrójnego podziału Europy środkowo-wschodniej, czyli przejścia Polski i Rumunii w sferę wpływu rosyjskiego. Ponieważ jednak, podobnie jak ich sąsiedzi naddunajscy, Polska i Rumunia pragną zachować niezawisłość, przeto według dotychczasowych doświadczeń mogłyby ten cel osiągnąć albo w „bloku wschodnim“ wszystkich państw środkowo-wschodnich z Moskwą, albo też mogłaby Polska i Rumunia próbować wznowić „politykę bariery“ opartej o mocarstwa zachodnie. Tylko że w razie dojścia do skutku wojenskowego sojuszu włosko-niemieckiego, obie te koncepcje, podobnie zresztą jak i paktu francusko-sowieckiego, stają się słabsze i wymagałyby tym forsowniejszego rozwoju własnej zdolności odporu wszystkich państw położonych w zagrożonym „trójkącie trzech mórz“. Według pojęć dotąd utartych wymagałoby to grubej i śpiesznej pomocy finansowej współzagrożonych przez oś berlińsko-rzymską mocarstw zachodnich. Nie wiadomo czy p. min. J. Beck, podczas swych rozmów „koronacyjnych“ w Londynie mógł stwierdzić jakąś w tym kierunku skłonność. Jeśli go w tym względzie spotkał zawód, to o ile państwa środkowo-wschodnie pragnęłyby zachować dotychczasową pełną niezawisłość, musiałyby szukać nowych własnych dróg dynamizacji.

Moment do pewnego stopnia uspakajający w tak niezmiernie drażliwej sytuacji europejskiej stanowi fatalny stan gospodarczy Niemiec, Rosji, po części także Francji i Włoch. Wysuwa on na pierwszy plan zagadnień, nawet ze strony „osi Berlin-Rzym, sprawy ekonomiczne, którym niezawodnie służyć będzie projektowana nowa podróż min. Schachta do Paryża. Jeśli liberalna gospodarka światowa znajdzie sposób wytworzenia jakiegoś *modus vivendi* zwłaszcza dla Niemiec, to dopóki pozostawałoby ono skuteczne, pokój dałby się zapewne utrzymać, projekty rozbiorowe uległyby odroczeniu, zagrożeni zyskaliby na czasie. Mało jest jednak nadziei, ażeby liberalna gospodarka światowa zdołała Niemcom dostarczyć surowców i żywności, o które im teraz najpilniej chodzi.

Å. Prawdzic.

Polskie Towarzystwo Historyczne na pół-wiekowym etapie rozwoju.

Dnia 5—6 czerwca br. święcić będzie we Lwowie „złote gody“ swego istnienia Polskie Towarzystwo Historyczne, jedno z najstarszych i najpoważniejszych naszych instytucyj naukowych. Zbiega się ten półwiekowy jubileusz z takąż samą uroczystością w tym mieście Towarzystwa Literackiego im. Adama Mickiewicza,

co pozwala doskonale uzmysłwić sobie rolę, jaką w kulturze narodowej, a szczególnie w dziedzinie nauk humanistycznych, odgrywał przed 50 laty Lwów jako stolica ówczesnego zaboru austriackiego. Obie te rocznice nasuwają żywe przypomnienie roli Uniwersytetu Lwowskiego w starych, dziś już przeważnie opuszczonych pomieszczeniach przy ul. Mikołaja, wiąza się również złą wstęgą nieocenionych zasług kulturalnych z Zakładem Narodowym im. Ossolińskich, skierowują wreszcie myśl do Archiwum Akt Ziemskich i Grodzkich w dostojnych murach Bernardyńskiego Klasztoru. W tych trzech ośrodkach działali ludzie nauki, którzy do życia powołali oba Towarzystwa, jedni z nich jako przewodnicy, wykształceni na dominującej w ówczesnej Europie historiografii niemieckiej, inni jako młodzi adepti, wchłaniający z całym zapalem i oddaniem się tajemnicy wiedzy o przeszłości, by stać się pierwszymi pionierami prawdziwie naukowej, ścisłej i systematycznej metody badań dziejów ojczystych i obcych.

Lwów zatem przed laty 50-ciu odgrywał niepoślednią i bezsprzecznie przodującą rolę jako ośrodek studiów historycznych, stworzył własną „szkołę historyczną”, która mnogością prawdziwych talentów wyprzedziła Warszawę i Kraków. O ile siedziba Almae Matris Jagiellońskiej szczyliła się w trzeciej ćwierci minionego stulecia przedstawicielami „Szkoły Krakowskiej”, z których każdy szedł własnymi szlakami dociekań naukowych, a wszyscy spotykali się w zgodnym wniosku co do syntenicznego poglądu na całość dziejów ojczystych, o tyle lwowscy wychowankowie Ksawerego Liskego stanowili mniej więcej zbliżoną do siebie metodą grupę badaczy, natomiast nie konstruowali końcowego wniosku swych rostrząsań o jednolitym tenorze. Tamci — prócz ks. Waleriana Kalinki (od chwili przyjęcia święceń) — żywy brali udział w życiu publicznym i starali się poglądem historiozoficznym umocnić pewną ideę polityczną, ci natomiast oddani całkowicie żmudnej pracy archiwalnej i źródłowej — postavili sobie za cel zbudowanie trwałych i solidnych zrebów pod przyszły rozkwit nauki polskiej. Były zresztą między dwoma szkołami węzły wzajemne bardzo silne, istniało wzajemne przenikanie się. Stanisław Smolka, uczeń Liskego stał się jako dojrzały pisarz — przedstawicielem „szkoły krakowskiej, naodwrot Walerian Kalinka, poglądami swymi solidaryzujący się z Bobrzyńskim i Szujskim — na terenie lwowskim związał się silnie z grupą Liskego, był jednym z założycieli Polskiego Towarzystwa Historycznego i jemu nawet zawdzięcza swe miano centralny organ towarzystwa: *Kwartalnik Historyczny*.

Idea stworzenia organizacji naukowej, któraby służyć miała łączeniu rozstrzelonych i daleko nieraz od siebie pracujących warsztatów historycznych — wyszła nie od samych mistrzów ówczesnego piśmiennictwa historycznego, ale z głów „młodych”,

dorabiających się dopiero uznania, adeptów dziejopisarstwa. Było to grono uczniów Ksawerego Liskego, profesora Uniwersytetu Lwowskiego przy katedrze historii powszechnej. Narodziła się ta myśl w maju 1886, kiedy były już w toku przygotowania młodych historyków, mające na celu uczczenie zasług niestrudzonego uczonego. Kilku z członków tego komitetu, a przede wszystkim Fryderyk Papée, ostatni laureat historycznej nagrody miasta Lwowa (1936) i nieżyjący już Ludwik Finkel i Aleksander Semkowicz postanowili uczcić zasługi swego mistrza przez powołanie do życia towarzystwa historycznego. Myśl ta, która zakiełkowała najpierw w skromnych akademickich mieszkaniach, przeniosła się niebawem w mury uniwersyteckie, a stamtąd także do Ossolineum, które było ogniskiem, skupiającym wszystkich naszych humanistów, a historyków w pierwszym rzędzie w dobie bujniejszego rozwoju życia kulturalnego Lwowa ery konstytucyjnej. Wymienieni akademicy — bez wciągania narazie „starszych” — przystąpili żywo do zawiązania komitetu organizacyjnego, na czele którego stanął Aleksander Semkowicz, długoletni później redaktor *Kwartalnika Historycznego* i autor pomnikowej monografii o *Dziejach Polskich Jana Długosza*. Ułożenie statutu powierzono wyróżniającemu się swymi zdolnościami prawniczymi Oswaldowi Balzerowi.

Posiedzenie konstituujące odbyło się 14 października 1887, zagajone podniosłymi słowami przez Aleksandra Semkowicza.

Na przewodniczącego powołano najgodniejszego na to stanowisko historyka, przebywającego wówczas we Lwowie, ks. Waleriana Kalinkę; Ksawery Liske, złożony ciężką chorobą nie mógł być obecnym. Ale właśnie jemu były poświęcone piękne i mądre słowa Kalinki, który wskazując na potrzebę oparcia polskiego dziejopisarstwa na niezawodnych i obiektywnych metodach analizy źródeł i na sumiennej krytyce erudycyjnej — wymieniał Ksawerego Liskego jako najodpowiedniejszego kandydata na prezesa Polskiego Towarzystwa Historycznego. Projekt ten, pokrywający się w zupełności z pragnieniami inicjatorów, zyskał jednomyślny aplauz i wybór z tytułem „prezesa dożywotnego”. Ułoża chorego prezesa odbyły się pierwsze posiedzenia Towarzystwa i odrazu ton pracy i wysoki poziom *Kwartalnika Historycznego* podyktowany był jego osobistymi zapaśtrawianiami i niełatwymi do pokonania wymogami obiektywności i skrupulatności.

Pierwszy prezes P. T. H., pochodzący z Wielkopolski i wykształcony na uniwersytetach niemieckich, w Wrocławiu, Berlinie i Lipsku, przeszedł surową szkołę u asów ówczesnej historiografii niemieckiej, przede wszystkim Jaffé’go i Droysen’a, zanim mianowany docentem historii powszechnej Uniwersytetu Lwowskiego — mógł rozpocząć owocną i jego pojęciom odpowiadającą akcję badawczą. Wezwany przez ówczesny Wydział Krajowy do przygotowania publikacji materiałów tzw. Archiwum Bernardyńskiego

tj. Aktów Grodzkich i Ziemskich — jął się tego dzieła z prawdziwie niemiecką systematycznością i zapalem. Przykład jego pociągnął młodych. Fakt ten ma niewątpliwie ideowy związek z genezą P. T. H. we Lwowie. Drugim momentem powstania towarzystwa, związanym z Liskem i Uniwersytetem — to fakt inspirowania przez niego zarówno Czytelnia Akademickiej, skupiającej patriotycznie czującą młodź, studiującą na wyższych uczelniach, jak i Akademickiego Kółka Historycznego. Aczkolwiek pierwszym prezesem tego kółka był Ludwik Finkel, Ksawerego Liskego — obdarzono najwyższą godnością honorowego protektora koła. Autorytet jego był niepodzielny, zmysł organizacyjny, nabyty u Niemców niezwykle czynny. Jeszcze przed powstaniem Polskiego Towarzystwa Historycznego, on rzucił myśl pomnikowego dzieła, którego wykonanie związane jest z nazwiskiem Ludwika Finkla: „Bibliografii Historii Polskiej“.

Pierwszy Wydział Towarzystwa Historycznego — obok dożywotnego prezesa — stanowili: jako wiceprezes, Tadeusz Wojciechowski, wysoce ceniony mediewista (*Szkice Historyczne XI wieku*) i od 1883 r. profesor historii polskiej na Uniwersytecie Lwowskim, jako skarbnik — Antoni Prohaska, kustosz Archiwum Ziemskiego we Lwowie; jako członkowie wydziału: Oswald Balzer, docent prawa polskiego na tutejszym Uniwersytecie, Wojciech Kętrzyński kustosz Ossolineum (po śmierci Augusta Bielowskiego został Dyrektorem), Fryderyk Papée urzędnik Biblioteki Uniwersyteckiej i prof. Roman Pilat, jeden z najgłośniejszych znawców historii literatury polskiej. Do pierwszego komitetu redakcyjnego *Kwartalnika Historycznego* należeli: Ksawery Liske jako redaktor naczelny, jako członkowie komitetu: Ludwik Finkel, Wojciech Kętrzyński, Saturnin Kwiatkowski, Roman Pilat, Aleksander Semkowicz i Tadeusz Wojciechowski.

W pierwszym tomie pomieścili swe prace (rozprawy, artykuły i recenzje) pracujący dziś jeszcze na niwie naukowej: Władysław Abraham, Wilhelm Bruchnalski, Fryderyk Papée (wszyscy trzej ze Lwowa) i Aleksander Brückner (z Berlina). Z nieżyjących już dziś wypełnili okazały, bo blisko czterdzieści arkuszy liczący pierwszy tom *Kwartalnika* liczni przedstawiciele wiedzy historycznej we wszystkich jej gałęziach: ze Lwowa — Oswald Balzer, Ferdynand Bostel, Wiktor Czermak, Ludwik Finkel, Walerian Kalinka, Władysław Łoziński, Roman Pilat, z Krakowa — Stanisław Smolka i Franciszek Piekosiński, z Warszawy — Władysław Smoleński i Stosław Łaguna, z Wrocławia — Władysław Nehring, z Halle — Maksymilian Perlbach i kilkunastu innych autorów, którzy znaleźli w tym organie znakomitą trybunę dla rozpowszechnienia wyników swych badań i poglądów na przeszłość. Od samego początku Liske bardzo rygorystycznie i ostro postawił niezależność i oryginalność krytyki naukowej tak, że przejście nowego autora przez ocenę *Kwartalnika* uchodziło za chrześc

ogniowy i najtrudniejszą próbę w zdobyciu fachowej opinii. Toteż *Kwartalnik Historyczny* odegrał naprawdę niepoślednią rolę w czasopiśmiennictwie polskim ostatniego pięćdziesięciolecia. Stał on godnie w szeregu najstarszych periodyków kulturalnych, jak *Biblioteka Warszawska*, *Przegląd Powszechny*, *Przegląd Polski*, *Przewodnik Naukowy i Literacki*, *Ateneum* i inne, przewyższając wiele z nich tym, że zawierał studia wyłącznie historyczne, a więc był organem specjalnym, a w krytyce nie potrzebował liczyć się z względami politycznymi i cenzuralnymi, tak jak pisma np. warszawskie.

Układ *Kwartalnika Historycznego* przez całe 50 lat swej służby nie zmienił się zasadniczo, zawierając dziś prawie te same działy, co w r. 1887. To poszanowanie tradycji, zjawisko tak rzadkie u nas nie tylko na polu czasopiśmiennictwa, ale i w innych dziedzinach życia, przynosi prawdziwy zaszczyt kolejnym redaktorom pisma i w kolosalnej mierze ułatwia i dziś korzystanie z tego nieocenionego periodyku. Otwierają każdy numer rozprawy większe rozmiarami, oryginalne, przynoszące nowe materiały faktyczne i nowe tezy, po nich idą Miscellanea tj. artykuły krótsze, łączące się najczęściej z ogłoszeniem nieznanym w druku źródła. Drugą część pochłaniają recenzje i sprawozdania z bieżącej produkcji naukowej, co uzupełniają obfite „zapisy bibliograficzne”, kiedyś składające się tylko z tytułów, dziś ze zwiezłej informacji o treści książek. Każdy tom *Kwartalnika* zawiera około kilkudziesięciu recenzji z piśmiennictwa polskiego i obcego i do kilkuset notatek informacyjnych. Kronika naukowa, nekrologi, polemika i sprawozdania z posiedzeń Towarzystwa — zamykają każdy zeszyt. Dzięki wysokiemu poziomowi swych prac, a zwłaszcza krytyki, *Kwartalnik Historyczny* bardzo szybko zdobył sobie uznanie nie tylko w całym kraju, mimo kordonów politycznych, ale nawet w oficjalnej nauce niemieckiej. Nie pozwolił lekceważyć i ignorować nauki polskiej, pilnie śledził za postępami i tendencjami nauki niemieckiej, a następnie francuskiej, rosyjskiej i angielskiej.

Kolejno przy biurku redakcyjnym zasiadali: najpierw Ksawery Liske od 1887—1889, po którym tekę redaktorską objął Oswald Balzer (do r. 1894). Od 1895 zaczęła się prawie ćwierć wieku trwająca, z kilkoma co prawda przerwami, praca kierownicza Aleksandra Semkowicza. Krótkie okresy jego nieobecności w funkcji redaktora wypełniła praca dra Józefa Korzeniowskiego (1898), Fryderyka Papée'go (1905), Stanisława Zakrzewskiego (1915) i wspólna Ludwika Finkla, Emila Kipy i Teofila Emila Modelskiego (1918). W r. 1923 po śmierci Semkowicza wszedł na jego miejsce prof. Jan Ptaśnik, podpisując *Kwartalnik* jako redaktor do swej śmierci w r. 1930. Po kilkuletnim kierownictwie wspólnym Franciszka Bujaka i Stanisława Zakrzewskiego oddał się w r. 1933 ofiarnej działalności re-

daktorskiej prof. Teofil Emil Modelski, sprawujący tę czynność aż do jubileuszowego tomu L-tego.

Poza posiedzeniami naukowymi, odbywanymi co miesiąc (wieczory czwartkowe) i cichą pozornie pracą — popularność P. T. H. poczęła rość nieustannie z roku na rok. Uzewnętrzniło się to najpierw w ściągnięciu do jednego ogniska umysłów i piór dziejopisarskich z całej Galicji, niebawem i z poza niej, następnie w obudzeniu drzemiącej prowincji do zainteresowania się losami swego regionu w bliższej i dalszej przeszłości. Powstały więc rychło dzięki celowym wysiłkom „Komisji dla kółek prowincjalnych” — koła takie w Drohobyczu, Tarnopolu, Buczaczu, Czortkowie, Przemyślu i Trembowli, nie mówiąc oczywiście o oddziale krakowskim, który wyłonił się z grona uczynnych tamtejszych profesorów Wszechnicy Jagiellońskiej. W r. 1887 liczyło Towarzystwo 216 członków, wśród których zabór pruski i rosyjski bardzo słabo cyfrowo były reprezentowane. Z poznańskiego godzi się wymienić Bronisława Dembińskiego, jako najstarszego stamtąd członka P. T. H., z Królestwa Polskiego Aleksandra Jabłonowskiego, Aleksandra Kraushara, Stosława Łagunę, Aleksandra Rembowskię, Władysława Smoleńskiego i kilku innych. Niebawem przybyły na listę członków nazwiska znane i zasłużone z stolic europejskich: z Paryża, Berlina, Wiednia, Petersburga, Pragi i Rzymu. We Lwowie podkreślić należy bardzo żywy i życzliwy stosunek ukraińskich historyków i publicystów do Towarzystwa i udział ich w posiedzeniach miesięcznych. Wygłaszali referaty i głos w dyskusji często zabierali: Iwan Franko, Miron Korduba, Aleksander Barwiński, a przede wszystkim najwybitniejszy spośród nich Michał Hruszewski.

W parze z rozwojem wewnętrznym szedł też rozwój Towarzystwa na zewnątrz, ujawniający się zarówno we wzmagającym się wzroście prestige'u zorganizowanego grona historyków, jak też z drugiej strony w uświetnianiu wielu podniosłych momentów współczesnej „żywej historii” narodu wypowiedzeniem się korefeuszów dziejopisarstwa, bądź też reprezentacją P. T. H. na ważnych uroczystościach. Że powaga Towarzystwa rosła świadczy sama cyfra i dobór jego członków; że rosło znaczenie moralne dowodzą udziały w wielkich obchodach dziejowych, a poza tym inicjatywa w zjazdach powszechnych historyków polskich. Moralną rolę Towarzystwa pośrednio musiało podnieść i to, że jego najwybitniejsi członkowie nie tylko w polityce krajowej wielką odgrywali rolę, ale dali się poznać i w zagranicznych wystąpieniach, zarówno naukowej jak i też politycznej natury. Szczególnie zabłysnął na tym polu Oswald Balzer przez opublikowanie Listu otwartego do Fryderyka Mommsena i przez swą znakomitą obronę praw Galicji do terytorium Morskiego Oka.

Z pierwszych rocznic, które Towarzystwo Historyczne uczęsto wymienić należy: trzechsetlecie zgonu Stefana Batorego

w r. 1886, stulecie urodzin Adama Mickiewicza w 1898 i w tymże samym roku analogiczny jubileusz Czechów, związany z osobą ich największego historyka Franciszka Palackiego, 500-lecia powstórnej fundacji Uniwersytetu Jagiellońskiego w 1900, i takież jubileusz triumfu Grunwaldzkiego w 1910, który w związku z odsłonięciem pomnika Władysława Jagiełły w Krakowie stał się jedną z najpotężniejszych manifestacji narodowych na przestrzeni całego okresu porozbiorowego. We wszystkich tych obchodach przedstawiciele Towarzystwa reprezentowali ten czynnik, który o wartości przeżywanych chwil i o doniosłości powodów wydobywania z mroków przeszłości świetlanych postaci i czynów — najwięcej miał do powiedzenia. Początkowo forma uczczenia pamięci „nieśmiertelnych” sprowadzała się do odczytów naukowych (np. dra Wiktora Czerbaka o Stefanie Batorym), następnie jednakże przybrała ona bardziej widoczny charakter przez występowanie delegacji, współudział członków Towarzystwa z innymi instytucjami, np. Towarzystwem Naukowym, lub Towarzystwem Literackim im. Adama Mickiewicza, wreszcie przez propagowanie kultu do obchodzonych wydarzeń dziejowych w prasie i wydawnictwach. Po wskrzeszeniu Rzplitej Polskiej — święcenie najpiękniejszych rocznic zbiegło się wyśmienicie z regularnie co 5 lat powtarzającymi się zjazdami historycznymi, co w rezultacie niebywale podnosiło walor wychowawczy, a nawet polityczny tych jubileuszów.

Na drodze rozkwitu P. T. H. dwa rodzaje faktów odegrały przewodnią rolę: zmiany w osobach prezesów i wspomniane wyżej zjazdy historyczne. Pierwsza zmiana na posterunku sternika coraz piękniej rozwijającej się organizacji okryła bolesną żałobą cały świat historyczny polski; spowodowała ją śmierć Ksawerego Liskego 27 lutego 1891 r. Niespożyty w swym trudzie organizacyjnym i wysoko niosący sztandar obiektywizmu historycznego — jeszcze niedługo przed zgonem podjął on gorącą obronę Zygmunta Kaczkowskiego, oświadczając się przeciwko podważaniu czci i honoru tego znakomitego pisarza przez zarzuty, nieoparte na niezbitych i bezwzględnie pewnych rewelacjach dokumentarnych. Kaczkowski, hojny ofiarodawca na rzecz Towarzystwa Historycznego — czynił zapisy z Paryża na rzecz instytucji, jakoby w niej widział ratunek dla swego haniebnego czynu z czasów powstania styczniowego. Liske, działając w najlepszej wierze pomylił się niestety co do czystości rąk niepospolitego autora powieści historycznych i tajnych memoriałów donosicielskich, jak to już wykazały i wykażą może jeszcze szczegółowiej archiwalne studia dr. Eugeniusza Barwińskiego. Głęboką wiarę w patriotyzm pisarza i działacza uniósł ze sobą w zaświaty duch obywatela-historyka, walczącego do ostatniej chwili o nieskalaną żadną najmniejszą wątpliwością gruntowność podstaw w ferowaniu wyroków na przeszłość i ludzi. Pogrzeb Ksawerego Liskego stał się ol-

brzymią manifestacją nauki polskiej w hołdzie szermierzowi prawdy dziejowej.

Od r. 1891 ujął ster spraw Towarzystwa w swe ręce Tadeusz Wojciechowski, kontynuując kierunek, nadany przez wielkiego poprzednika. Jego funkcje uniwersyteckie (był rektorem Uniw. Lwowskiego w roku akad. 1894/95) następnie mandat do Sejmu Krajowego, a nawet Izby Panów we Wiedniu — utrudniały mu niewątpliwie osobisty wpływ na tok spraw organizacyjnych. Trzecim z rzędu prezesem był Ludwik Finkel, na którego okres przypadł wstrzymujący rozkwit instytucyj kulturalnych, wybuch wojny światowej i okres inwazji rosyjskiej we Lwowie. Mimo niezwykle trudnych warunków, niezapomniane zasługi około podtrzymania organizacji i publikowania *Kwartalnika Historycznego* położył prof. Stanisław Zakrzewski. Powołany po śmierci L. Finkla na fotel prezesa — znakomity ten badacz średniowiecza polskiego, nadał taki pęd rozwojowi Towarzystwa, jakiego ani przed nim ani po nim nie można zaobserwować. Cyfra członków wzrosła do przeszło 1300 osób, ilość samodzielnych oddziałów podniosła się do cyfry 13. Co było jednak najważniejszą zdobyczą organizacyjną, to fuzja z warszawskim Towarzystwem Miłośników Historii, która zamknęła w jednym kręgu stołeczny świat naukowy z całą Polską. Od tego momentu mogły losy P. T. H. pójść raczej drogą pogłębienia rodzimej kultury historycznej w własnym społeczeństwie i wprowadzenia jej na forum międzynarodowe. Tej zaszczytnej funkcji poświęcili cały swój trud kierowania P. T. H. dwaj ostatni jej prezesi: prof. Franciszek Bujak i ponownie Stanisław Zakrzewski. Na pełnej ofiarności i inicjatywy działalności zaskoczyła tegoż ostatniego śmierć w r. 1936.

Dzieje Zjazdów Historyków Polskich i udziału w Międzynarodowych Kongresach Nauk Historycznych, to niewątpliwie jedna z najświetniejszych kart rozwoju P. T. H. i wyraz zewnętrzny jego przodującej roli w kształtowaniu się kultu przeszłości u nas. Dzięki tym zjazdom dokonała się w naszej historiografii ostatniego pięćdziesięciolecia znamienna ewolucja od legendy i subiektywizmu, płynącego z politycznych poglądów na przeszłość (zarówno w szkole lelewelowskiej, jak i „krakowskiej”) do coraz i coraz szerszego rozbudowania podwalin źródłowych i pogłębienia metody. Fakt odbudowy państwowości polskiej postawił niezwykle doniosłe zadanie przed dziejopisarstwem i erudycją historyczną w Polsce: zadania praktyczne, jak organizację nauki dziejów w najwyższych uczelniach, archiwa, biblioteki, nawiązanie kontaktów ze światem badawczym europejskim i pozaeuropejskim i zadania wychowawczo-poznawcze: surową krytykę przeszłości narodu i poglądów na nią, rozbudowę dyscyplin specjalnych na nowoczesnym poziomie, wykazanie czego dokonały prawdziwe cnoty obywatelskie, a co było dziełem pokornego patriotyzmu.

Bieżąca polityka państwowa postawiła też dziejoznastwu szereg piekących pytań, mających ułatwić rozstrzygnięcie czy to najdokuczliwszych bolączek ustroju, czy zawilych problemów dyplomatycznych. Nie na wszystkie te dylematy padła już odpowiedź pełna i jasna; nie jedno pozostało w cieniu zapomnienia, niedostatecznie jeszcze zanalizowane i nieprzygotowane do dojrzałej syntezy. Wszak praca to na długie dziesiątki lat, na długi szereg pokoleń. Rola Polskiego Towarzystwa Historycznego w tej doniosłej dziedzinie jest i powinna być przodującą i świadomą wysiłków. Że tak jest, świadczą zjazdy historyczne, w których z natury rzeczy obchodząca dziś 50-ciolecie instytucja szła na czele z inicjatywą i bogactwem myśli.

Pierwszy zjazd historyków polskich odbył się w Krakowie w r. 1880, wyprzedzając pod tym względem Niemców o lat 13. Był to pamiętny Zjazd Długoszowy, uświetniający pięćsetlecie zgonu pierwszego dziejopisa Polski w momencie, kiedy jeszcze Towarzystwo Historyczne nie istniało. Ale już drugi sejm naszych badaczy dziejów, odbyty we Lwowie w 1890 r. związany jest silnymi nićmi inicjatywy z Towarzystwem. Znamienna podczas niego dyskusja polemiczna między Oswaldem Balzerem a Tadeuszem Korzonem o kierunek dziejopisarstwa stanowi *sui generis* przełom w zapatrywaniach świata nauki polskiej na zadania piśmiennictwa historycznego. Już wprowadzić Kalinka i Liske rzucili podwaliny pod zmianę metod, ale oficjalny niejako wyraz tego zwrotu znalazł teraz swe uzewnętrznienie. Balzer wystąpił przeciwko *romantische Geschichtsschreibung*, żądając erudycyjnej, o bogaty aparat pomocniczy opartej twórczości badawczej. Był to już pogląd bezwzględnie panujący, a dalszym ogniwem organizacji naszych wysiłków rekonstrukcji minionych stuleci zajął się III zjazd historyczny w Krakowie 1900 roku. Tu z całym naciskiem młody profesor historii nowożytnej ze Lwowa Sz. Askenazjusz podkreślił doniosłość źródłowych badań doby porozbiorowej, która najbardziej ze wszystkich stuleci polskich, omotana była najciemniejszym płaszczem legend i uprzedzeń. Dążność do politycznej niepodległości narodu nie mogła opierać się na takiej znajomości czasów stosunkowo najbliższych, a przede wszystkim epopei napoleońskiej i Nocy Listopadowej. Z uczniów prof. Askenazego wyłoniła się znakomita plejada badaczy porozbiorowych, którzy prace Polskiego Towarzystwa Historycznego pchnęli na zaniedbane dotąd dziedzinę. Usilne przygotowania IV zjazdu historycznego, który miał w r. 1915 odbyć się we Lwowie (na czele komitetu stał Oswald Balzer) przerwała wojna światowa. Odbył się on już w Wolnej Polsce — w wspaniałą rocznicę tysiąclecia koronacji Bolesława Chrobrego w Poznaniu 1925 r., akcentując z całą powagą bojową zdolność budowy państwa i niezależność w stosunku do sąsiada zachodniego. Toteż dzieje potęgi Piastowskiej i zaczątków Królestwa Polskiego były cen-

tralnym tematem dyskusyj naukowych w Poznaniu, podobnie jak 5 lat później zjazd warszawski w stulecie Czynu Belwederskiego wydobyl na wierzch śmiało już rozbudowane dzieje porozbiorowe. Historia wojskowości i dzieje dyplomatyczne poszczycić się mogły najpiękniejszym postępem, co oczywiście odpowiadało państwowym postulatam nauki historycznej w pierwszych dekadach odrodzenia Rzplitej. VI Zjazd Wileński zorganizowany 1936 r. w dawnej stolicy W. Księstwa Litewskiego przypomniatł dziejotwórcze i cywilizacyjne następstwa Unii Krewskiej i triumfu idei Jagiellońskiej, wyznaczającej Polsce pochod na wschód z Krzyżem i pługiem, nie orężem w rękę.

O ile ta pobieżna charakterystyka polskich wewnętrznych zjazdów historycznych obrazuje znamienne zasługi P. T. H. w służbie odrodzonego państwa, nieocenione wprost następstwa dla propagandy naszej kultury zagranicą wyłoniły się z udziału członków Towarzystwa w międzynarodowych kongresach nauk historycznych. Po pierwszych powojennych zetknięciach się wielojęzycznej rzeszy historyków w Brukseli (1923) i Oslo (1928) pobit rekord wspaniałością zjazdu i poziomem obrad VII Międzynarodowy Kongres Historyków w Warszawie w r. 1933. Jak doniosłą rolę odegrało tu P. T. H. świadczy fakt wyłonienia z jego łona stałej delegacji do *International Comité of Historical Sciences* i do *Fédération des Associations Historiques de l'Europe Orientale*, w osobach prof. Br. Dembińskiego i prof. M. Handelsmana i mianowanie tego ostatniego członkiem Komitetu organiz. VIII. Międzynarodowego Kongresu Nauk Histor. w Zurychu w 1938. W r. 1934 i 1936 przedstawiciele P. T. H. odbyli bardzo ważne konferencje porozumiewawcze z historykami czeskimi, węgierskimi i angielskimi, w czasie których uznano powszechnie potrzebę przekładu polskich monografij na języki zachodnio-europejskie.

Akcja wydawnicza P. T. H. stworzyła do dziś bibliotekę, bez której żaden historyk obejść się nie może. Poza święcącym w br. półwiekowy żywot *Kwartalnikiem Historycznym* i wysmienitym towarzyszem studiów *Bibliografią Historii Polskiej* Ludwika Finkla (ukazuje się od lat kilku w rozszerzonym wydaniu) już w r. 1891 zainicjowano wydawnictwo *Materiałów Histor.*, a w r. 1899 *Fontes Rerum Polonicarum in usum scholarum*; od lat kilku ukazuje się jako odrębny druk bieżąca (coroczną) *Bibliografia Historii Polskiej*. Przez szereg lat zrzędu jako dodatek do *Kwartalnika* publikowane były *Wiadomości Historyczne*, poświęcone specjalnie przeglądowi piśmiennictwa, artykułom metodycznym, informacjom o ruchu wydawniczym i czosopiśmienniczym, kronice naukowej i sprawozdaniom z działalności P. T. H. Obecnie wszyscy członkowie otrzymują bezpłatnie *Wiadomości Historyczno-Dydaktyczne* (kwartalnik) i *Ziemię Czerwieńską* (2 zeszyty rocznie). Poza tym do publikacyj P. T. H. należy organ war-

szawski *Przegląd Historyczny*, wydawnictwa źródłowe poszczególnych oddziałów (np. Krakowa i Łodzi).

Obecny rozwój P. T. H. wyraża się cyfrą 12 oddziałów: we Lwowie, Krakowie, Warszawie, Poznaniu, Wilnie, Lublinie, Łodzi, Brześciu n/Bugiem, Katowicach, Kielcach, Grodnie i Przemyślu. Ster rozlicznych spraw Towarzystwa spoczywa w rękach nieustrudzonego pioniera dziejów gospodarczych i społecznych prof. Fr. Bujaka, jako prezesa i pięciu wiceprezesów: E. Barwińskiego, St. Kętrzyńskiego, Wł. Semkowicza, K. Tymienieckiego i St. Ehrenkreutza. Długoletnim sekretarzem generalnym Towarzystwa jest dr K. Tyszkowski, kustosz Ossolineum we Lwowie. Oddziały poszczególne pracują w sekcjach, z których wydawnicze i dydaktyczne wykazują najruchliwszą działalność, stosownie do potrzeb życia. Zarówno bowiem interesy nauki, jak i państwa, a więc kształcenie kadr młodzieży i ich wychowawców przyświecają Towarzystwu jako cele najwyższe. I dzięki tym rełom „złote gody“ P. T. H. są uroczystym wydarzeniem w dziejach kultury narodowej.

Dr Marian Tyrowicz.

Działalność P. Komitetu Walki z Handlem Kobiętami i Dziećmi.

Pomimo szczupłych stosunkowo dotacyj praca Polskiego Komitetu Walki z Handlem Kobiętami i Dziećmi postępuje naprzód, o czym świadczy ostatnie sprawozdanie z działalności jego, za czas od 1 kwietnia 1935 r. do 31 marca 1936 r. Jak wiadomo, głównym zadaniem tej instytucji o charakterze międzynarodowym, a na terenie Polski czynnej od r. 1923, jest nie tylko zwalczanie właściwego handlu kobietami i dziećmi, ale także ochrona kobiet i nieletnich przed zorganizowanym nierządem, oraz zakładanie ognisk wychowawczych i opiekuńczych dla osób, które padły lub mogą paść jego ofiarą. Zrozumiałym jest dlatego, że główny wysiłek Komitetu idzie w kierunku tworzenia Misyj dworcowych, zwłaszcza w granicznych i węzłowych stacjach, oraz zakładanie przy nich schronisk, które pozwoliłyby rozciągnąć także opiekę nad miejscowymi kobietami i dziewczętami.

Misje dworcowe Komitetu mieszczą się w Częstochowie, Bydgoszczy, Grudziądzu, Grodnie, Kaliszu, Krakowie, Gdyni, Poznaniu, Radomiu, Białymstoku, Stanisławowie, Tczewie, Łodzi, Lesznie, Ostrowiu, Wilnie, Lwowie, Zbąszyniu, Katowicach i Gdańsku. Starają się one czuwać nad przejeżdżającymi kobietami i dziewczętami, zwłaszcza samotnymi, poszukującymi pracy lub zaangażowanymi do niej, nad emigrantkami i reemigrantkami; służą im informacjami, pomocą prawną, czasem wsparciem.

W Gdyni i Gdańsku Misje pracują także w porcie i zwiedzają statki. Wszystkie te placówki pozostają naturalnie w bliskiej styczności z władzami bezpieczeństwa, a po części także z biurami emigracyjnymi.

Poza tą doraźną pracą inspekcyjną stara się każda Misja zdobyć odpowiedni lokal, który pozwoliłby jej prowadzić szerszą działalność zapobiegawczą i wychowawczą. Są to tzw. „schroniska”, w których mieści się jedna lub więcej sal noclegowych (niektóre Misje prowadzą nadto hotelik dla inteligencji), biura pośrednictwa pracy i biura pomocy doraźnej, udzielanej w formie pieniężnej lub bezpłatnych posiłków i pomocy lekarskiej. Tu organizuje się dla dziewcząt kursy gospodarstwa domowego, kroju i szycia, tu otwiera się świetlice, a w nich urządziła odczyty, czytelnie i rozrywki; w Wilnie prowadzono ostatnio także kursy dla analfabetek, przy pomocy koła akademików przy Polskiej Młodzieży Szkolnej. Jak rozległa praca dokonywała się we wszystkich powyższych instytucjach, świadczy wymownie ogólne zestawienie podług którego w roku sprawozdawczym:

ogółem korzystało z pomocy Misji osób	123.696
w tym poszukujących pracy	25.693
„ emigrantek i reemigrantek	23.220
„ cudzoziemek	3.146
noclegów udzielono ogółem	106.312
w tym bezpłatnych	42.989
posad wyrobiono	7.455
zapomóg wydano (pieniądze, porcje żywności, ubrania)	117.227
innych świadczeń udzielono	120.156

W ostatnich latach zwrócono, zarówno u nas jak na terenie międzynarodowym, baczniejszą uwagę na tzw. akcję rehabilitacyjną, tj. pracę nad poprawą dziewcząt i kobiet moralnie upadłych lub zaniedbanych, w celu skierowania ich z powrotem na dobrą drogę. Omawiane przez nas sprawozdanie wspomina o takim ośrodku wychowawczo-poprawczym w Brzuchowicach, pozostającym pod zarządem Misji lwowskiej. W willi z morgowym ogrodem daje on schronienie 30-u dziewczętom, które znajdują zajęcie w warsztatach tkackich, pralni i przy robotach ogrodowych i polnych; prowadzi się tu również kursy w zakresie szkoły powszechnej. W roku sprawozdawczym założono z inicjatywy Komitetu nowy podobny zakład w Jedłowniku na Śląsku, prowadzony przez SS. Opatrzności Bożej, który współpracuje z Misją dworcową w Katowicach. O otwarciu takiego domu myśli też Misja dworcowa w Wilnie.

W związku z tą pracą rehabilitacyjną warto przytoczyć, jak sprawozdanie zakładu w Brzuchowicach ocenia jakość i wyniki takiej pracy. „Pomimo — brzmią jego słowa — iż pewien pro-

cent wychowanek odpada, większość daje się, zdaniem Zarządu schroniska, utrzymać na dobrej drodze. Praca nad nimi wymaga jednak dłuższego czasu; trzeba 2—3 lat, aby wykorzenić złe nałogi, nauczyć pracy i systematyczności, wyrobić głębsze przekonania moralne i religijne, aby bez obawy puścić dziewczęta w świat samodzielnie". — Podajemy powyższe słowa dlatego, że w świetle ich społeczeństwo nasze będzie mogło lepiej ocenić cichą i od lat prowadzoną pracę polskich Zgromadzeń zakonnych, które taką właśnie działalność wychowawczą rozwijają dziś nie nad 30, ale nad przeszło 1.800 dziewczętami.¹⁾

Czynnikiem, który stanowi centrum całej tej działalności, jest naczelny Zarząd P. Komitetu Walki z Handlem Kobietami i Dziećmi, mieszczący się w Warszawie, ul. Chocimska 24. On pośredniczy między poszczególnymi placówkami, rozsyła informacje i wydawnictwa, załatwia ważniejsze sprawy, rozdziela wsparcia, zbiera dane sprawozdawcze. Przedstawiciele jego biorą udział w posiedzeniach Rady Opieki Społecznej i pozostają w ciągłej łączności z władzami państwowymi i samorządowymi. Ostatnio, po otrzymaniu przychylniej odpowiedzi Władz co do utworzenia biura rzeczoznawców dla spraw pornografii, leżących również w sferze zainteresowań Komitetu, przystąpił Zarząd do opracowania szczegółowego planu jego organizacji.

Na barkach Zarządu spoczywa też działalność propagandowa. Rozsyła on do wszystkich zainteresowanych urzędów, w kraju i za granicą, do duchowieństwa, do instytucji społecznych, do Izb Lekarskich oraz do lekarzy powiatowych i miejskich, do Redakcyj pism i do pojedynczych działaczy wydawnictwa informacyjne o handlu żywym towarem; w roku sprawozdawczym rozesłał również w różne strony kraju około 36 tys. ulotek ostrzegawczych dla kobiet. Ogółem biuro Komitetu wysłało w tym roku 6.266 listów, dokonało około 1.000 różnych tłumaczeń i odpisów, otrzymało 1.026 listów.

Biurowi Komitetu pozostaje w stałej łączności z centralnym Biurem dla spraw Walki z Handlem Kobietami i Dziećmi przy Lidze Narodów; w posiedzeniach jego w Genewie bierze udział Prezes Polskiego Komitetu, p. min. Chodźko. P. Komitet dostarczył też ostatnio cennych danych do międzynarodowej ankiety Ligi Nar. o metodach rehabilitacji dorosłych prostytutek, ich życiu i leczeniu. Przez swych delegatów wziął też udział w odbytej w Holandii Konferencji Przygotowawczej do X Kongresu Komitetów walki z handlem żywym towarem, a świeżo wystąpił

¹⁾ Zgromadzenie SS. Matki Bożej Miłosierdzia: 15 zakładów i ponad 950 dziewcząt; Zgrom. SS. Dobrego Pasterza: 5 zakładów i około 800 dziewcząt; SS. Opatrzności: 3 zakłady i ponad 100 dziewcząt. (O. Marian Pirożyński: *Zakony żeńskie w Polsce*. Lublin 1935.)

z paru referatami na Międzynarodowym Kongresie dla tych spraw w Paryżu.

Pomyślny rozwój całokształtu tego dzieła, dokonywanego przez Zarząd, Misje dworcowe i pozostałe placówki, zawdzięczać należy zarówno ofiarnej pracy oddanych mu osób, jak życzliwemu poparciu ze strony Władz i pewnej części społeczeństwa. Z pomocą, zwłaszcza w formie subwencji, przychodzi Komitetowi przede wszystkim Ministerstwo Opieki Społecznej; poparcia udziela również Min. Spraw Zagr., oraz Min. Komunikacji, które daje zniżki kolejowe na dokonywanie objazdów. Że z Komitetem współpracują także różne organizacje społeczne i wyznaniowe, o tym pisaliśmy już dawniej. Zrozumienie ważności jego zadań zaznacza się też coraz silniej w sferach kościelnych, które w różnej formie starają się popierać prace Komitetu.

Pomiędzy bezpośrednimi pomocnikami w tym dziele wymienia sprawozdanie z szczególniejszym uznaniem policję kobiecą.¹⁾

Żywimy nadzieję, że działalność Polskiego Komitetu Walki z Handlem Kobietami i Dziećmi będzie dalej rozwijała się pomyślnie i że spotka się z rosnącym, nie tylko uznaniem ale i poparciem ze strony katolickiego społeczeństwa. Potrzebę tego podkreślaliśmy niejednokrotnie. Z jednej bowiem strony akcja Komitetu obejmuje te dziedziny życia, które nikomu nie mogą być obojętne. Z drugiej strony, skuteczność jej zawisa przede wszystkim od czynników moralnych i religijnych, stosowanych w działalności zapobiegawczej i ratowniczej. Cenną jest wprowadzić pomoc ustawodawstwa i policji, ale gdyby Komitet miał liczyć tylko na nie, niewiele by zrobił. Pracując zaś równocześnie nad usuwaniem źródeł zepsucia i podniesieniem poziomu moralnego, przyczynia się najskuteczniej do zwalczania niegodziwego procederu i ratowania jego ofiar. W takiej jednak pracy katolików brakować nie powinno!

¹⁾ O współdziałaniu policji kobiecej zob. art. *Wierzbówki* w num. majowym br.

Ks. St. Podoleński T. J.

Spis rzeczy tomu 214.

Artykuły:

	Str.
Ks. J. Rostworowski T. J.: Wielkie święto Polski	3
St. Szczutowski: Czarne orły	9
T. Parnicki: Krzyżowcy	24
J. Skaliński: Przemiany w Stronnictwie Ludowym	38
R. Piotrowicz: Zagadnienia dostępu do surowców i kolonij	57
Dr J. Gołąbek: Piśmiennictwo łużyckie czasów powojennych	75
Dr W. Wasiutyński: Dynamizm katolicki młodego pokolenia	137
Dr J. M. Święcicki: Postawa duchowa Szczuckiej w Krzyżowcach	145
L. Skoczylas: Szkoła przyszłości	164
J. E. Płomieński: Zagadnienie ludu w twórczości Dygańskiego	175
Ks. St. Podoleński T. J.: Etyka katolicka a eugenika i medycyna	195
T. Parnicki: Aleksander Puszkina	209
Prof. dr O. Forst Battaglia: Łoża przy pracy	222
Ks. dr Wł. Wicher: Moralność seksualna dzisiejszej młodzieży szkolnej	281
H. J. Korybut-Woroniecki: Przemiany narodowe	301
R. Piotrowicz: Kolonizacyjny i polityczny eksperyment Italii w Libii	314
Dr J. M. Święcicki: Pesymizm Szczuckiej w Krzyżowcach	330
St. Szczutowski: Unia trzech mórz	349
Dr Otto Forst Battaglia: Sens i nonsens naszych dni	465
Ks. St. Bednarski T. J.: Na bezdrożach reformy szkolnictwa średniego	372

Przegląd piśmiennictwa.

St. Miłaszewski: Bunt Absalona. — J. Kisielewski: Powrót. — Wł. Grabski: Na krawędzi. — Cz. Straszewicz: Gromy z jasnego nieba. — W. Wasiutyński: Z duchem czasu. — E. Szermentowski: Hi-

historia jednej blagi i Karierowicz. — J. Wielawski i W. Winiarz: Gdzie ludzie żyją lat 25. — B. Pawłowicz: W słońcu dalekiego południa. —	
St. Łaszewicz: Sępy (Zofia Starowieyska-Morstinowa)	86
St. Brzozowski: Kultura i życie (Ks. Wł. Rejowicz T. J.)	94
Fr. Mauriac: Życie Jezusa (Zofia Starowieyska-Morstinowa)	96
G. Olechowski: Walka o prawo do pracy (St. Szczutowski)	99
St. Szczęch: Erazm Majewski jako ekonomista (St. Szczutowski)	100
Al. Davi-Neel i Lama Yongden: Mipani-Lama pięciu Mądrości	
Agni Joga (Ks. Br. Bojułka T. J.)	101
T. Szewczenko: Poezje (Ks. Br. Bojułka T. J.)	102
E. Romer: Polityczny Atlas kieszonkowy (Ks. Br. Bojułka T. J.)	103
Ks. Kazimierz Grądzki: Matężństwo w świetle prawa i życia. — Dobrodziejstwo Rozwodów (P.)	103
P. Popiel: Rodzina Popielów (Ks. R. Moskała T. J.)	104
St. Herbst i J. Zachwatowicz: Twierdza Zamość (Ks. L. Frąś)	105
Alina Chodaczek: De Priscilliani Lydi Solutionum capite VI (W. Z.)	105
R. Zawada: Książka rezerwisty (E. K.)	105
Gertruda von le Fort: Papież z Ghetta. — Michał Rusinek: Pluton z dzikiej Łąki. — Helena Zakrzewska: Płomień na śniegu. — J. Kędziora; Marcyna. — T. Kudliński: Rumiejące wolności. — Alia Rachmanowa: Fabryka nowych ludzi. — J. Suryna-Wyczółkowska: Jego kobiety. — Fr. Mauriac: Pielgrzymi. — J. Strzembosz: Pożyczka zagraniczna. — W. Berent: Diogenes w kontuszu. — Bernanos: Pamiętnik wiejskiego proboszcza (Zofia Morstinowa)	227
Zofia Kossak: Król trędowaty (Ks. Br. Wójcik T. J.)	239
Dr theol. J. Iwanicki: Morin et les demonstrations mathematiques de l'existence de Dieu (Ks. Br. Wójcik T. J.)	241
J. Mirski: Wychowanie i wychowawca (Ks. Z. Gołiński)	242
Ks. dr W. Kwiatkowski, prof. U. J. P.: U kolebki chrystianizmu (Ks. W. Zajączkowski T. J.)	244
O. Marjan Pirożyński: Zakony męskie w Polsce (J. U.)	245
J. Miedzińska: Na niemieckim froncie pracy (J. B.)	245
Kalendarz Ilustrowanego Kuryera Codziennego (S. B.)	246
Ks. Mgr Maksymilian Rhode: Kazania społeczne (H. M.)	247
S. Rostworowski, płk. dypl. s. s. — S. Stabrowski rotm. dypl. s. s.: Rolnictwo i Wojna (A. Romer)	385
Ks. Władysław Kwiatkowski: Kwestia prymasostwa polskiego pod koniec XVIII wieku (Ks. dr Henryk Rybus)	387
M. S. Gillet Z. K.: Kształtowanie charakteru (Ks. Henryk Misiak)	389
Ks. dr E. Dąbrowski, prof. Seminarium Metropol., docent Uniw. J. P.: Święty Paweł w Atenach (Ks. W. Zajączkowski T. J.)	391
Ks. Piotr Stach: Podróż naukowa Księża do Ziemi Świętej (Ks. Walenty Prokułski T. J.)	393

Ks. dr Stefan Biskupski: Obrońca wężła w kanonicznym procesie małżeńskim (Ks. dr Henryk Insadowski)	394
Szczepan Jeleński: Światła tajemnic (Ks. Br. Bojułka T. J.)	396

Sprawozdanie z ruchu religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła:

Kwiecień: Dwie encykliki. — Położenie Kościoła w Niemczech. — Zdemaskowanie rasizmu. — Perspektywy krzyżowej drogi (Ks. E. Kosibowicz T. J.)	108

Maj: Tragizm uniwersyteckiego problemu. — Szkodliwe precedensy. — Widoki i postulaty (Ks. E. Kosibowicz T. J.) . . .	205

Czerwiec: Na marginesie francuskiej polemiki o współpracę społeczną katolicyzmu ze socjalizmem (Ks. E. Kosibowicz T. J.)	399

Sprawy państwa:

Kwiecień: Blum i Roosevelt. — Rozkład kapitalizmu na Zachodzie. — Łuski na oczach. — Budowa kapitalizmu w Polsce. — Styl polityki polskiej (A ndrzej Prawdzic)	119

Maj: Depresja totalizmu. — Orzeźwienie liberalizmu. — Pakt o rozległych reperkusjach. — Stan sprawy rapallitańskiej. — Kroki polskie. — Walka z drożyzną a zagadnienie ustrojowe (A ndrzej Prawdzic)	257

Czerwiec: Trzecia faza osi Berlin — Rzym. — Polityka nad Dunajem. — Nowe cele Warszawy i Bukaresztu (A. Prawdzic)	408

Bilans protestantyzmu (Ks. W. Rejowicz T. J.)	126

Srebrny jubileusz polskiej misji w Rodezji (Ks. S. Nawrocki T. J.)	265

Masońska filantropia: (Ks. B. Wójcik T. J.)	274

Rola policji kobiecej w Polsce (J. Wierzbówka)	277

Polskie Towarzystwo Historyczne na półwiekowym etapie rozwoju (Dr M. Tyrowicz)	416

Działalność P. Komitetu Walki z Handlem Kobietami i Dziećmi (Ks. S. Podoleński T. J.)	426